PRZEGLĄD

POWSZECHNY

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO
Ps. 143.

ROK TRZYDZIESTY PIĄTY. — TOM 139 i 140.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ, PAŹDZIERNIK LISTOPAD, GRUDZIEŃ.

1918.

KRAKÓW.
DRUK EUGENIUSZA i Dra KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH.
1918.

Sprawa przyszłości żydów w Palestynie.

W obecnym burzliwym czasie wypłynęło na widownię tyle pierwszorzędnych zagadnień, że wymknęła się z pod uwagi ogółu bardzo ważna i bardzo ciekawa sprawa niezawisłego państwa żydowskiego. Od czasu do czasu podawały dzienniki krótką wiadomość o tworzącym się bohaterskim „pułku Dawida", o syonistycznych sympatyach Wilsona lub o stanowisku Papieża wobec niezawisłej żydowskiej Palestyny, ale całością kwestyi nie zaprzątały uwagi ogółu. A całość tę warto zestawić.

A więc „wieczny tułacz" miałby skończyć już swoją pielgrzymkę po całej ziemi? A więc, wbrew powszechnemu przekonaniu, rozprószony naród miałby skupić się znowu w niezależne państwo? A więc sanktuaryum chrześcijaństwa dostałoby się w ręce żydów? A więc ruch syonistyczny, wskazujący od szeregu lat narodowi swemu jako cel Palestynę, miałby być ruchem, z którym liczyć się należało? A więc nastąpi odciążenie Europy, a co nas zwłaszcza obchodzi, odciążenie Polski od obcego narodu, który falą całą wyemigruje do Palestyny? Tyle zagadnień i doniosłych i nad wyraz ciekawych!

Zanim wejdziemy w bieg tej sprawy, jak ona się dzisiaj przedstawia, uprzytomnijmy sobie podłoże kwestyi.

Od początków ruchu syonistycznego wzrost ludności żydowskiej w Palestynie przedstawia się następująco: W roku 1880

było w całej Palestynie 35000 żydów — w latach 1881—1890 przybyło 12500 żydów — w latach 1891—1901 przybyło 17000 żydów, w latach 1901—1911 przybyło 21000. Bezpośrednio przed samą wojną było w Palestynie koło 100000 żydów. Liczba ta, podczas wojny, wskutek ewakuacyi, nieco zmniejszyła się. Liczbie tej odpowiada w Palestynie 500000 ludności mahometańskiej i 150000 chrześcijan.

Co do zajęcia ludności żydowskiej, to 12000 mieszkało w koloniach wiejskich, reszta w miastach.

Pierwsze kolonie wiejskie istnieją od lat mniej więcej trzydziestu i składały się z żydów rosyjskich i rumuńskich. Z początku były trudności polityczne ze strony rządu tureckiego i klimatyczne jak malarya. Dopiero dzięki ofiarności barona Rotszylda zaprowadzono urządzenia odwadniające i obszerne zadrzewienia. Przy pomocy znacznych środków, dostarczonych przez żydowski bank dla kolonizacyi, założone zostały kolonie oraz szkoły rolnicze dla młodzieży. Obecnie istnieją 43 wioski żydowskie, z których 18 jest w Judei, 7 w Samaryi i 18 w Galilei. W tych wioskach — koloniach Judei żydzi zajmują się przeważnie uprawą drzew owocowych i winnic, w Galilei uprawą zboża i warzyw. Przestrzeń uprawianej ziemi wynosi ogółem około 50000 hk. Zbiory roczne szacowane były przed wojną na 4 miliony franków.

Kolonie w przeważnej większości mają być prowadzone wzorowo. Posiadają własne szkoły, apteki, urządzenie wodociągowe, kanalizacyjne, drogi i t. d.

Ludność żydowska po miastach zajmuje się handlem i przemysłem i odgrywa znaczną rolę przez swe domy handlowe, fabryki i warsztaty. —

Oto obecny stan posiadania żydowskiego w Palestynie, ku którego powiększeniu kieruje się dzisiaj wzmożona akcya żydów całego świata Dosłowny obraz tej akcyi zawdzięczamy objektywnemu komunikatowi referenta spraw żydowskich przy warszawskim departamencie spraw politycznych.

Stanowisko Anglii i koalicyi.

„Rząd Jego Królewskiej Mości jest przychylnie usposobiony dla myśli założenia dla żydów siedliska w Palestynie. Użyje on wszelkich sił dla przeprowadzenia tego celu. Rozumie się samo przez się, że obywatelskie i religijne prawa mieszkających w Palestynie zbiorowisk nieżydowskich, jako też polityczna pozycya żydów w innych krajach będzie nienaruszona".

Tak pisał Balfour do Rotszylda w listopadzie 1917 r., gdy wojska angielskie stały niemal pod murami Jerozolimy.

O powyższem zawiadomieniu rządu angielskiego złożył dłuższą deklaracyę lord Robert Cecil na wielkiem zgromadzeniu, urządzonem przez lorda Rotszylda w sali Opera House na Kingsway w Londynie 3 grudnia 1917 r. Powiedział między innemi:

„Decyzya gabinetu co do urzeczywistnienia ideału syonistycznego jest wytyczną wszechświatowego znaczenia. Odrodzenie żydowstwa, jakie stąd weźmie początek, przyniesie niemniej wspaniałe i szlachetne owoce, jak swego czasu odrodzenie Włoch. Zasada prawa narodów stanowienia o sobie, a szczególnie opieka nad małymi narodami, jest zasadą rządu angielskiego, od którego on nie odstąpi. Kiedy tylko nastąpi czas budowy państwa żydowskiego, będzie ono zabezpieczonem i niepodległem, pozostając względem Anglii w takim jedynie stosunku, jakiego samo pragnąć będzie. Jedyne zastrzeżenie, jakie Anglia uczynić może, odnosi się do dwóch punktów: 1) losu arabskiej ludności w Palestynie i 2) opieki nad chrześcijańskiemi i mahometańskiemi świętościami. Rząd angielski będzie musiał nalegać na to, ażeby otrzymać gwarancyę co do tych dwóch punktów.

Co się tyczy stosunku państwowości żydowskiej do żydów, posiadających przynależność państwową w innych krajach, to pod tym względem muszą być przeprowadzone międzynarodowe układy dla stworzenia jasnych i trwałych podstaw prawnych. Rząd angielski zwolni od poddaństwa tych poddanych żydów, którzy będą chcieli na stałe osiąść w Palestynie. Co do wszystkich żydów osiadłych w jakiejkolwiek części Zjednoczonego Królestwa, poddanych angielskich, lub też innej przynależności państwowej, rząd angielski

żądać będzie dla nich, jak przedtem tak i teraz — w granicach istniejących praw i traktatów — wolności obywatelskiej. Nie należy tego rozumieć w tem znaczeniu, jakoby Anglia nie była gotowa współpracować przy tworzeniu nowych stosunków prawnych. Chodzi o to, ażeby nikt z żydów, bez wyrażenia swej zgody lub też wbrew własnej woli, nie został poddanym państwa żydowskiego."

Deklaracya rządu angielskiego uczyniona była w porozumieniu z gabinetami w Waszyngtonie, Paryżu i Rzymie.

Od dość dawna toczyły się w tej sprawie pertraktacye pomiędzy pełnomocnikami międzynarodowej organizacyi syonistycznej a przedstawicielami rządów koalicyi. Już w grudniu 1914 roku odbyło się w Kopenhadze posiedzenie Komitetu Wykonawczego, który opracował główne zasady polityki syonistycznej. Wydelegowano tam dwóch członków Komitetu Ścisłego, dr. I. Czlenowa i N. Sokołowa. Mieli oni przygotować angielską opinię publiczną i rozpocząć pertraktacye. W ciągu lat 1915—16 przy wybitnym współudziale t. zw. „Koła z Manczesteru" czyniono przygotowania. Na skutek zabiegów tego koła stworzony został w Manczesterze Komitet Angielsko-Palestyński, do którego należeli również działacze nieżydowscy (szczególnie gorliwie pracował tam p. Skott, redaktor dziennika („Manchester Guardian"). Komitet opublikował swój program, a nadto wydaje tygodnik „Palestyna", specyalnie poświęcony tej sprawie. W końcu 1916 r. specyalna Komisya Syonistów Angielskich sformułowała żądania syonizmu, jako podstawę do rokowań z rządami. Dnia 17 lutego 1917 r. odbyły się pierwsze oficyalne rokowania między przedstawicielami rządu angielskiego i przedstawicielami syonizmu: N. Sokołowem, H. Wajcmanem, M. Gasterem, H. Sakierem, lordem Wolterem Rotszyldem i baronem Jamesem Rotszyldem, przyczem okazało się już wtedy, że rząd angielski traktuje przychylnie dążenia syonizmu.

Na początku kwietnia 1917 r. członek Centralnego Komitetu organizacyi syonistycznej, N. Sokołow, został wysłany do Paryża i Rzymu, aby zapoznać rząd francuski i włoski z żądaniami syonistycznemi. Nadto, przy współdziałaniu dyplomacyi angielskiej, przyjęty był Sokołow w dniu 28 maja tegoż roku przez Pa-

pieża w sprawie świętych miejsc w Palestynie. 14 czerwca 1917 r. pełnomocnik organizacyi syonistycznej otrzymał piśmienne zawiadomienie od rządu francuskiego, w którym tenże wyraża swoją sympatyę dla idei odrodzenia narodu żydowskiego w Palestynie, oraz zastrzega, że miejsca święte muszą pozostać eksterytoryalnemi. Rząd włoski również przyrzekł popierać to dążenie na kongresie międzynarodowym. Papież oświadczył, że zainteresowany jest wyłącznie w tem, aby miejsce święte było chronione i strzeżone.

Rząd Stanów Zjednoczonych przyrzekł również swe poparcie syonizmowi. Jak wiadomo zresztą, prezydent Wilson wypowiadał się parokrotnie w sposób bardzo życzliwy dla ruchu syonistycznego. Deklaracyi rządu angielskiego spodziewano się już dawniej podczas odwiedzin Balfoura w Waszyngtonie, kiedy Balfour i Wilson porozumieli się w tej sprawie. Ogłoszono jednak tę deklaracyę w tej chwili, kiedy już zajęcie Jerozolimy nie ulegało wątpliwości:

Prócz wynurzeń oficyalnych, do programu syonistycznego zgłosili również swój akces wybitni angielscy dziennikarze polityczni i mężowie stanu. Między innemi, lord Landsdowne (który był ministrem spraw zagranicznych w czasie, kiedy rząd angielski zaproponował odstąpienie terytoryum w Afryce Wschodniej dla urządzenia kolonizacyi żydowskiej) wystosował do przywódzcy syonistów angielskich, Izraela Zangwilla, list, w którym oświadcza, że jego sympatye dla sprawy żydowskiej bynajmniej nie osłabły i że jest on dla żydów niemniej przyjaźnie usposobiony, niż obecny rząd angielski.

Prasa angielska szeroko i często omawia sprawę Palestyny. Oto ważniejsze wyjątki: „Manchester Guardian“ pisze, iż polityka angielska będzie dążyła do popierania kolonizacyi żydowskiej i zapewnienia emigrantom żydowskim szerokiej autonomii, mającej na widoku cel ostateczny: zorganizowanie państwa żydowskiego. Specyalne interesy Anglii w Palestynie wymagają usunięcia niebezpieczeństwa ataku na Egipt. Może to być osiągnięte tylko w tym wypadku, kiedy żadna potęga militarna nie będzie w posiadaniu Palestyny. Warunek ten zostałby spełniony, gdyby nad Palestyną

utworzono protektorat Anglii, ewentualnie instytucyi międzynarodowej z Anglią, jako pełnomocnikiem na czele. „Daily Chronicle“ pisze: „Rząd angielski nie tylko wyraził swą sympatyę dla syonizmu, lecz dołożył wszelkich starań, aby zrealizować jego dążenia. Polityka angielska wobec Palestyny musi być bronioną z każdego punktu widzenia: żydowskiego, angielskiego i europejskiego“. To samo mniej więcej pisze „Times“, „Pall Mall-Gazette“ i inne.

Angielskie stronnictwa polityczne przyjęły oświadczenia rządu angielskiego życzliwie, zaś Komitet Wykonawczy Partyi Pracy włączył do swego programu pokojowego punkt o „wolnem państwie żydowskiem w Palestynie pod gwarancyą międzynarodową“.

Interesy Anglii, kryjące się pod oświadczeniem w sprawie Palestyny, są trojakiego rodzaju: polityczne, militarne i gospodarcze. Jednym z najważniejszych celów wojennych Anglii było stworzenie z Palestyny pomostu, łączącego kolonie angielskie w Egipcie i Sudanie z Indyami, ochrona kanału Suezkiego i wyparcie Turcyi od strony tego kanału ku Syryi. Zabezpieczenie dróg: Kair—Kanał-Suezki—Palestyna—Mezopotamia do Indyi, oraz od Kairu do Przylądka Dobrej-Nadziei, było jednym z pierwszych zamiarów Anglii w tej wojnie:

Żydzi, których ilość w Palestynie przez wzmożoną emigracyę mogłaby wzrosnąć, mogą być przez swoją wydatną rolę gospodarczą czynnikiem bardzo pożądanych dla interesów angielskich, zarówno jako żywioł pośredniczący w wytwarzaniu nowych rynków zbytu, oraz ożywiający nowe arterye komunikacyjne.

Chodziło na razie o zdobycie sympatyi żydów amerykańskich, którzy przez swoich potentatów finansowych odgrywają w ostatnich czasach dużą rolę w rzeczach wojny i z którymi prezydent Wilson znajduje się w stałym kontakcie. Nie małą rolę odgrywała również chęć zdobycia sympatyi żydów rosyjskich.

Celem jednak, obliczonym na dalszą metę, jest zaszachowanie planów i sparaliżowanie bardzo żywotnych interesów tureckich i niemieckich.

II. Stanowisko Turcyi.

Podczas całej wojny czynili syoniści liczne zabiegi o uzyskanie jakiegoś oficyalnego wyrazu sympatyi Turcyi dla ich dążeń. Zabiegi te były bezskuteczne. Dopiero deklaracya angielska skłoniła rząd turecki do dwóch oświadczeń w sprawie Palestyny. Jeszcze przed upadkiem Jerozolimy turecki minister spraw zagranicznych, Nessim-Bej, w rozmowie z dziennikarzami (dnia 20 grudnia 1917 r.) potwierdził co następuje:

„Turcya, która przez szereg stuleci była miejscem ucieczki dla rzesz żydowskich, ciemiężonych w innych krajach, nie zmieniła w chwili obecnej swego tradycyjnego, przyjaznego stosunku do żydów. Żydzi w Turcyi zawsze okazywali się lojalnymi i pracowitymi poddanymi państwa ottomańskiego. Witamy ze szczerą radością oczekiwaną emigracyę żydów i zapewniamy im wszelkie prawa obywatelskie".

Te jednak kilka ogólników, wobec powszechnego zainteresowania się planami angielskimi i wrażenia„ jakie w szeregu krajów plany te wywierają, nie mogły wyczerpać kwestyi stanowiska Turcyi w tej sprawie. To też postarano się o rozmowę z wielkim wezyrem, Talaat-Paszą. Uzyskał ją, za pośrednictwem hrabiego Bernsdorffa, dr. Juliusz Becker. Rozmowa ta zamieszczoną została w „Vossische Zeitung" (str. 666 z dnia 31 grudnia 1917 r.). Cytujemy ważniejsze wyjątki:

„Turcya jest jedynym krajem, gdzie nigdy nie było ruchu antysemickiego. U nas nie było nigdy objawów wrogich żydom, któreby mogły mieć jakikolwiek wpływ na politykę naszego państwa.

Jest mi to wiadomem i właśnie w obecnej sytuacyi politycznej byłoby bardzo interesującem, gdyby rząd turecki zechciał wystąpić z oświadczeniem, iż odnosi się przychylnie do kolonizacyi żydowskiej w Palestynie.

Ruch ten już posiada przychylność rządu, gdyż w przeciwnym razie powstanie i rozwój dzisiejszych kwitnących kolonii żydowskich w Palestynie nie byłby możliwy. Wprawdzie stoimy na stanowisku, że nie możemy dawać żydom stanowiska uprzywilejowanego względem naszych innych poddanych.

Wasza Wysokość bezwątpienia czytał list ministra Balfoura do lorda Rotszylda, w którym minister angielski w imieniu swojego rządu przyrzeka żydom ojczyznę w Palestynie:

Mais c'est une blague. Jestem najzupełniej przekonany, że poza tymi obietnicami niema nawet poważnych zamiarów. Anglia pisze do lorda Rotszylda tak jak pisała do szeryfa Husseina, a w końcu nie da nic, ani Husseinowi, ani żydom. Jedynym jej celem jest pozyskanie sympatyi żydów na całym świecie i przeciągnięcie ich na stronę koalicyi.

Czy nie byłoby możliwem, ażeby Turcya względem żydowskich dążeń kolonizacyjnych w Palestynie zajęła stanowisko przychylniejsze w szerszym zakresie? Dotychczas istniały pewne ograniczenia administracyjne, które stanowiły przeszkodę dla rozwoju kolonizacyi.

Jeżeli rząd ottomański dotychczas zmuszony był do zarządzenia pewnych ograniczeń, to pochodziło to z tego powodu, że żydzi emigrujący do Palestyny i pochodzący przeważnie z Rosyi, z powodu oporu ze strony swego rządu, zmuszeni byli do zachowywania rosyjskiej przynależności państwowej. Z tego powodu wytworzył się stan nienormalny, a dla nas naturalnie bardzo niepożądany, szczególniej z tej racyi, że przy stosowaniu kapitulacyi i wymiaru konsularnego sprawiedliwości, obco-poddani nie podlegają sądom tureckim i przy każdej sposobności zasłaniali się swoimi konsulami. Konsulowie ze swej strony wyzyskiwali tę sytuacyę, a następstwem tego były stale powtarzające się konflikty pomiędzy ich rządem a rządem tureckim, Temu należy przypisać pewne środki ograniczające kolonizacyę żydowską. Ponieważ obecnie Turcya wolną jest od zmory kapitulacyi konsularnego wymiaru sprawiedliwości, będzie możliwem znieść te ograniczenia. Naturalnie nastąpi to w tem przypuszczeniu, że żydzi, chcący na stałe osiąść w tym kraju, zrzekną się dotychczasowego poddaństwa, ażeby zostać obywatelami państwa ottomańskiego.

Czy Wasza Wysokość byłaby jeszcze tak łaskawą wyrazić swój pogląd na najważniejsze punkty dążeń syonistów

w Palestynie, mianowicie na kwestyę swobody emigracyi i swobodnego gospodarczego rozwoju?

Rozumie się samo przez się, że emigracya musi trzymać się w naturalnych granicach zdolności kraju do przyjęcia emigrantów, gdyż byłoby niemożliwem przyjąć odrazu setki tysięcy nowej ludności do Palestyny. Takiej liczby kraj nie mógłby dzisiaj wcale wyżywić. W gospodarczym rozwoju nigdy nie stawialiśmy żydom w Palestynie żadnych ograniczeń. Przeciwnie umiemy bardzo dobrze ocenić to, co pod tym względem zdziałali."

W dalszym ciągu wielki wezyr zapewniał rozmówcę, że żydzi w Palestynie w zakresie swoich potrzeb wyznaniowych i w urządzaniu swojej oświaty mogą nadal liczyć na całkowitą swobodę. Na pytanie zaś, czy możliwem będzie udzielić żydom w Palestynie pewnej samodzielności samorządowej, odpowiedział Talaat Pasza, co następuje:

„Muszę powtórzyć, co już zaznaczyłem, że nie możemy żydom dawać jakichś specyalnych przywilejów. Mogą oni posiadać tylko te same prawa, co i wszyscy nasi poddani. W obecnem naszem ustawodawstwie zapewnionem jest jednak dosyć szerokie prawo samorządowe dla gmin, a w nowym projekcie prawa, jaki będzie wkrótce przedstawiony parlamentowi, idziemy pod tym względem jeszcze dalej. Miejscowe gminy i wilajety mają otrzymać jeszcze większą samodzielność, niż dotychczas. W tych granicach znajdą — mojem zdaniem — urzeczywistnienie wszystkie upragnione życzenia żydów w Palestynie. Wogóle mogę Pana zapewnić, iż rząd nasz usposobiony jest przychylnie dla żydów i gotów jest rozważyć z całą znaną swoją życzliwością wszystkie dotyczące ich kwestye":

Stanowisko powyższe wielkiego wezyra, aczkolwiek powściągliwe i pełne zastrzeżeń, jest dość znaczną zmianą w poglądach rządu tureckiego na sprawę kolonizacyi żydów w Palestynie. Przez długie lata rząd turecki stawiał wielkie trudności w tej kolonizacyi. Akty kupna nabytej ziemi nie mogły być wystawione tam, gdzie były sporządzane, działo się to jedynie za pomocą przekupstwa. Emigracyę żydów utrudniano przez zaprowadzenie t. zw.

„czerwonych paszportów". Dopiero w ostatnich latach warunki rozwoju kolonii żydowskich stały się pomyślniejsze. Wszakże w stosunku do politycznych dążeń syonizmu rząd turecki zajmował stanowisko nieprzyjazne, szczególnie po przewrocie młodotureckim; młodoturcy, jako par excellence centraliści, nie chcieli słyszeć o jakiejś politycznej autonomii żydowskiej w Palestynie, nie chcąc też w dalszym ciągu dopuścić do tworzenia „państwa w państwie". Podczas wojny prześladowane były nawet drobne przejawy ruchu syonistycznego. Marki pielgrzymek, zbierane w koloniach żydowskich, miały jakoby oznaczać początek własnej poczty; czeki„ wydawane na początku wojny przez Bank Syonistyczny, bez kursu przymusowego i tylko dla zastąpienia brakującej monety metalowej, były uważane za początek własnej monety; sędziowie gmin mieli rzekomo oznaczać własne sądownictwo, a datki na utrzymanie szkół i dróg miały być jakoby zaczątkiem własnego systemu podatkowego. Tak te rzeczy rozumiejąc, Dżemal-Pasza, rządca Syryi, zdecydowany przeciwnik syonizmu, zabronił używania wspomnianych marek pod karą śmierci, zabronił też pełnienia funkcyi 150-ciu dozorcom miejskim i wiejskim, podejrzywając, że to — zaczątek własnej armii. Tego rodzaju zarządzenia budziły wśród syonistów całego świata wielką konsternacyę. Coraz silniej budziło się przekonanie, że Turcya nie pogodzi się z ideą jakiejś politycznej autonomii żydów w Palestynie. Stąd coraz częstsze zapewnienia przywódców syonizmu (jeszcze przed deklaracyą angielską), że nie życzą sobie bynajmniej oderwania Palestyny od Turcyi i pragną być poddanymi państwa tureckiego, posiadając własny szeroki samorząd w Palestynie.

Turcya rozumie, że rozwój kolonizacyi żydowskiej leży w jej interesie gospodarczym. Nieco szersze otwarcie Palestyny dla imigracyi żydowskiej przyniosłoby Turcyi zwiększenie korzyści celnych, przysporzenie sił roboczych i handlowych, unowożytnienie pracy rolniczej, co jest rzeczą szczególnej wagi wobec pierwotnych metod tej pracy wśród ludności mahometańskiej. Po większej części dzisiejsza Palestyna jest krajem gospodarczo zaniedbanym, którego znaczne przestrzenie w ciągu stuleci pozostają niezabudowanymi i którego mieszkańcy trzymają się uporczywie me-

tod gospodarczych z czasów zamierzchłej przeszłości. Nie rozwinęło się tam ani rolnictwo, ani handel, ani przemysł, ani komunikacya. Pod tym względem niektóre kolonie żydowskie stanowią wzorowe wyjątki, co też upoważnia do nadziei na większe korzyści gospodarcze w razie szybkiego rozwoju tych kolonii. Argumenty te propagowano często w opinii niemieckiej, omawiając przyszłe interesy Turcyi. W wydawnictwie „Das Grössere Deutschland“ (Zeszyt 48 z d. 1 grudnia 1917 r.) w artykule pod tyt. „Die jüdisch-deutsche Kolonisation Palestinas und die türkisch-deutsche Zukunftspolitik“ czytamy: „Żydowska kolonizacya w Palestynie powołaną jest do gospodarczego i politycznego wzmocnienia naszego tureckiego sprzymierzeńca i z tego powodu posiada już pośrednio dużą dla nas wartość“.

Względy powyższe są dobrze rozumiane w Turcyi, to też — jak widać z oświadczenia wielkiego wezyra — rząd turecki, wierząc w odzyskanie Palestyny, ma zamiar przychylnie traktować kolonizacyę żydowską, natomiast nie przyrzeka niczego, co by mogło zadowolić polityczne aspiracye syonizmu.

III. Stanowisko Niemiec.

Po raz pierwszy oficyalna opinia rządu niemieckiego o przyszłości żydów w Palestynie wypowiedziana została w dniu 4 stycznia 1918 r. na przyjęciu delegacyi żydów niemieckich. (Prezesa niemieckiej organizacyi syonistycznej, profesora Ottona Wahrburga i członka tegoż Komitetu dr. Handtkiego, oraz trzech kierowników berlińskiego „Komitee für Osten“: prof. dr. Oppenheimera, dr. Friedemanna i dr. Sobernheima) u następcy sekretarza stanu dla spraw zagranicznych, bar. von Busche, który w sprawie żydów w Palestynie rzekł, co następuje:

„Wobec istniejących wśród żydostwa, a w szczególności wśród syonistów dążeń w sprawie Palestyny, witamy oświadczenie, które niedawno złożył wielki wezyr, a w szczególności zamiar rządu ottomańskiego, zgodny z jego przychylnością, zawsze żydom okazywaną, popierania kwitnących kolonii żydowskich w Palestynie, przez zagwarantowanie swobodnej

emigracyi i osiedlania się w granicach naturalnej zdolności kraju do przyjmowania napływu przybyszów, przez zgodne z ustawami kraju zagwarantowanie miejscowego samorządu, oraz swobodnego rozwoju waszej odrębności kulturalnej".

Oświadczenie to przynosi więc jedynie całkowitą zgodę ze stanowisko wielkiego wezyra.

W opinii niemieckiej deklaracya angielska wzbudziła dość duże zainteresowanie. Pisma szeroko omawiały tę kwestyę, podkreślając zgodność interesów niemieckich i tureckich na terenie Palestyny i przeto konieczność poparcia stanowiska Turcyi w kwestyi żydowskiej, co również zalecano syonistom. Między innemi prof. Delbrück oświadczył w rozmowie ze współpracownikiem „Neue jüdische Nachrichten" co następuje:

„Zupełnie jak Anglia probuje mobilizować przeciw Niemcom wszystkie państwa, nawet najmniejsze republiki amerykańskie, tak samo chce ona teraz wygrać syonizm przeciw Niemcom. Anglicy nie obiecują nawet samodzielnego państwa żydowskiego, tylko żydowskie skupisko religijne pod ich protektoratem. Nie można zaprzeczyć, że taka obietnica może w pierwszej chwili działać zwodniczo na żydów. Anglia jest potężna i religijnie tolerancyjna. Jednak byłoby krótkowzrocznością, gdyby syoniści zdeklarowali się przez to jako sprzymierzeńcy koalicyi. Można myśleć o syonizmie rozmaicie, ale nikt nie może zaprzeczyć, że duchowe korzenie syonizmu tkwią w judeizmie niemieckim i że syonizm dużoby ucierpiał, gdyby go odcięto od Niemiec i ich żydów. Budowanie na władzy angielskiej może się stać zawodem, gdyż bez względu na okupacyę angielską, Palestyna po wojnie wróci do Turcyi. Kto więc dobrze życzy syonizmowi, musi szukać poparcia Turcyi, a tem samem i Niemiec. Syonizm, który robi sobie wroga z Turcyi, niszczy sam siebie."

Taką samą opinię wyrażono w szeregu oświadczeń i artykułów, co miało na celu przeciwdziałanie efektowi deklaracyi angielskiej i zamanifestowanie solidarności z Turcyą.

Jednocześnie w licznych rozprawach wskazuje się, jakie są gospodarcze interesy Niemiec w popieraniu kolonizacyi żydowskiej

w Palestynie, jako nierozerwalnej części państwa tureckiego. Ubogi w ludność kraj stać się może w przyszłości obszarem dla niemieckiego handlu i przemysłu. Małe, dotychczas istniejące kolonie niemieckie nie mogą wystarczyć dla tych celów. O syonizmie, jako ważnym czynniku wschodniej polityki niemieckiej, zamieściło obszerny artykuł pismo dr. Adolfa Grabowsky'ego „Das Neue Deutschland“ (Zeszyt Nr. 6 z dnia 15 grudnia 1917 r.).

W rozważaniach gospodarczych pisma niemieckie zwracają uwagę na znaczenie żydów kolonistów, jako „Kulturträgerów“, którzy w swych koloniach dowiedli znacznej wyższości nad ludnością mahometańską. Żydzi mogą przyczynić się do europeizacyi wschodniego gospodarstwa. Również zwraca się uwagę na fakt, że trzy czwarte żydów w Palestynie posługują się żargonem i tak też będzie w przyszłości, co gwarantuje łatwość porozumiewania się z kupiectwem niemieckiem. We wspomnianem już wydawnictwie „Das grössere Deutschland“, redagowanem przez posła Bacmeistera czytamy między innymi:

„Arabowie z powodu swoich prymitywnych środków roboczych nie są w możności podnieść tego kraju pod względem gospodarczym i kulturalnym. Lecz również i Turcy, po ukończeniu wojny, nie będą mogli zająć się pracami w Palestynie, gdyż będą mieli do rozwiązania niezliczoną ilość ważnych i trudnych zadań, mianowicie dotyczących obszarów uprzywilejowanych pod względem politycznym i ekonomicznym, jak np. kolei bagdackiej. Turecki kapitał i praca zwrócą się ku Palestynie tylko w bardzo szczupłym zakresie. Z tych względów silnie poparte finansowo i po europejsku wyszkolone żywioły żydowskie w Turcyi byłyby ważną pomocą... żydzi będą pionierami języka niemieckiego, który po wojnie — według wszelkiego prawdopodobieństwa — znajdzie w Turcyi coraz większe rozprzestrzenienie. W szkołach żydowskich wykładany jest język niemiecki z dobrym skutkiem. Żydzi staną się pionierami niemieckiej kultury na dużym obszarze Wschodu. Największy pożytek będzie z nich jednak dla niemieckiego handlu i przemysłu z tego powodu, że będą mieli ściślejszą łączność interesów z 2200 niemieckimi kolonistami, których

rozwój i siła przyciągająca niestety dawno już ustała; ci niemieccy koloniści (Templaryusze) będą im pomocni przez swe doświadczenie w rolnictwie. Przynosząc już ze swej ojczyzny, leżącej w sferze interesów niemieckiego przemysłu, stosunki handlowe z Niemcami, staną się żydzi w coraz większym stopniu odbiorcami niemieckich wyrobów."

Publicyści niemieccy przypominają, że niemieccy konsulowie już od szeregu lat zwracali w swych raportach uwagę na wielkie znaczenie żydowskiej kolonizacyi dla niemieckiego handlu i propagandy dla niemieckiej kultury. Konsulowie podkreślali również, że zmniejszenie się angielskiego handlu w Palestynie przypisać należy temu, że żydzi, mówiący po niemiecku, w rękach których koncentruje się większa część handlu zewnętrznego, wolą utrzymywać stosunki z niemieckiemi firmami.

W niemieckiej literaturze politycznej już od dość dawna pisano o znaczeniu kolonizacyi żydów w Palestynie dla interesów niemieckich. Np. w książce swej, wydanej w roku 1914 pt. „listy z podróży po Syryi" prof. dr. Hartmann pisał: „Jeżeli się mówi, że od Belgradu do Bagdadu żydzi stanowią most dla niemieckiego języka i niemieckiej kultury, to jest to może zbyt daleko sięgające wyrażenie. Lecz znaczny ruch żydowski, skierowany ku Palestynie, dostarcza z pewnością materyału, działającego w tym duchu. Możemy mieć zaufanie do kierowników tego ruchu, że oprócz narodowo-żydowskich dążeń, stojących dla nich na pierwszym planie, popierać będą również interesy niemieckie".

Tak więc stanowisko zarówno rządu niemieckiego, jak i poważnej opinii niemieckiej w kwestyi żydów w Palestynie, daje się ująć w sposób następujący:

1) Co do politycznej strony sprawy, całkowita solidarność z rządem tureckim, czyli odrzucenie wszelkich planów, dotyczących idei państwa żydowskiego w Palestynie.

2) Niemcy widzą duże korzyści gospodarcze w popieraniu kolonizacyi żydowskiej w Palestynie i podkreślają to z większym naciskiem, niż to czyni rząd turecki, obawiający się zbyt wielkiego napływu przybyszów, przekraczającego zdolności kraju pod tym względem.

3) Niemcy żywią nadzieję co do rozpowszechniania przez żydów języka i kultury niemieciej.

V. W państwach neutralnych.

Podczas wojny syoniści rozwijali wytężoną akcyę w państwach neutralnych, pozyskując wpływ u rządów, w różnych obozach politycznych, oraz prasie. Od czasu do czasu udawało się im uzyskać oświadczenie tego lub owego członka rządu, lub wybitniejszego męża stanu.

W „Manifeście pokojowym" Holendersko-Skandynawskiego Komitetu organizacyjnego dla Stokholmskiej Konferencyi, w punkcie 14 oświadczano: „Międzynarodowe rozwiązanie problemu żydowskiego. Autonomia w okręgach Rosyi, Austro-Węgier, Rumunii, Polski, w których żydzi mieszkają w zwartej masie, oraz ochrona kolonizacyi żydowskiej w Palestynie".

Przewodniczący konferencyi pokojowej w Bernie, która miała się odbyć w listopadzie 1917 roku dr. Dreseldeus złożył oświadczenie, sympatyzujące z żądaniami syonizmu. Tak samo — w słowach ogólnikowych — minister holenderski, dr Treuba.

Wszakże, z natury rzeczy, żaden z rządów państw neutralnych nie złożył oficyalnego oświadczenia w sprawie przyszłości żydów w Palestynie.

Po deklaracyi angielskiej szeroko o tej sprawie rozpisywała się prasa państw neutralnych.

W prasie szwajcarskiej („Gazette de Lausanne", „Basler Nachrichten" i inne) ukazały się dłuższe artykuły o koloniach żydowskich w Palestynie.

Prasa skandynawska wciąż zamieszcza artykuły o deklaracyi angielskiej. „Stockholms Tidinngen" twierdzi, że „List Balfoura w sprawie Palestyny zobowiązał Anglię do poparcia programu syonistycznego nawet w razie powrotu Ziemi Świętej pod panowanie tureckie. „Sympatye dla syonizmu wyrażają również „Norske Intelligenssedler", „Tidens Tegn" i „Aftenposten".

W prasie holenderskiej zdania są podzielone. „Standard", organ byłego premiera Knypera, powątpiewa o możności szybkiego

skolonizowania Palestyny. Syoniści będą zmuszeni poddać się supremacyi angielskiej. „Nieuve Courant“ sądzi, że należy jeszcze usłyszeć zdanie cesarza Niemiec, aby wiedzieć, czy porozumienie co do Palestyny da się osiągnąć. Z sympatyami dla syonizmu wystąpiły „De Herant“ i „Het Nieuws van den Dag“. W tym ostatnim znajdujemy taką uwagę: „Można z całym spokojem przypuszczać, że przywódcy żydów przejrzeli zamiary polityków, usiłujących wykorzystać ruch żydowski dla własnych celów. Zrozumiałe jest również, że żydzi spodziewają się odniesienia korzyści przy nowem uregulowaniu stosunków na Wschodzie, niezależnie od tego, z której strony będą one zaproponowane“. „De Telegraf“ zauważa, że deklaracya Balfoura wywoła namiętne spory w łonie samego żydostwa. Katolicki „Tyd“ występuje przeciwko oddaniu żydom chrześcijańskiej Ziemi Świętej. W tym samym duchu wypowiada się „Residentibode“ i „Onre Courant Hoorn“.

Należy w końcu zauważyć, że t. zw. Biura syonistyczne“, znajdujące się w państwach neutralnych, za jedno z ważniejszych zadań postawiły sobie kaptowanie na swoją stronę dzienników i w tym celu zawierają z redakcyami możliwie ścisłe stosunki.

V. Opinie żydów.

Deklaracya angielska nadwyrężyła w pewnym stopniu zasadę neutralności wobec państw wojujących, jakiej międzynarodowa organizacya syonistyczna starała się przestrzegać.

a) Żydzi angielscy.

W Anglii ta część żydów, która popiera ruch syonistyczny, powitała oświadczenie Balfoura z wielką radością. Na bankiecie, urządzonym z powodu deklaracyi angielskiej, baron James Rotszyld (syn Edmunda, założyciela kolonii żydowskich w Palestynie), oraz lord Walter Rotszyld oświadczyli, że oddają do dyspozycyi syonizmu całą siłę finansową ich domu.

Na wspomnianem już zgromadzeniu w Opera House w Londynie (Patrz wyżej 1), lord Rotszyld podkreślił, że plany palestyń-

skie nie mogą dotyczyć tych żydów, którzy czują się Anglikami, Francuzami i t. d. Palestyna — rzekł — będzie miejscem imigracyi przedewszytkiem dla „żydów wschodnich".

To oświadczenie wyraża pogląd żydów angielskich, którzy obawiają się uzależnienia stosunku do nich ze strony Anglii od jakiegokolwiek rozstrzygnięcia sprawy żydów w Palestynie. Nie chcą, aby ten stosunek zmienił się pod jakimkolwiek względem na gorsze. Tylko znikoma część żydów angielskich mogłaby zmienić swe dotychczasowe poddaństwo, gdyby nawet powstać mogło państwo żydowskie w Palestynie.

Charakterystyczną jest postawa żydów asymilatorów angielskich, którzy wskutek tego rodzaju obaw postanowili nawet utworzyć związek antysyonistyczny. Do założycieli należy lord Zwitling.

Zaznaczyć w końcu należy, że dla samych żydów angielskich kwestya przyszłości żydów w Palestynie ma bezpośrednio małe znaczenie.

b) Żydzi w państwach neutralnych.

Niektóre organizacye syonistyczne w krajach neutralnych powitały w oddzielnych deklaracyach i odezwach oświadczenie rządu angielskiego z wielkim zapałem. Tak uczyniło między innymi haskie biuro korespondencyjne, które do oświadczenia Balfoura dołączyło i rozesłało własny obszerny komentarz. W komentarzu tym haskie biuro wita z wielką wdzięcznością przyrzeczenia Anglii i oświadcza, że dzień drugi listopada jest przełomowym momentem w dziejach narodu żydowskiego. Dalej czytamy tam słowa dość ostrej krytyki pod adresem Turcyi, z powodu jej wrogiego stosunku do dążeń syonistycznych, a nadto z powodu prześladowania żydów podczas wojny, rugów z Jaffy, złego traktowania ludności żydowskiej podczas ewakuacyi i t. d. „Wbrew swej woli — pisze syonistyczne biuro haskie — musi naród żydowski podnieść skargę przeciw spokrewnionej nacyi tureckiej, z bólem musimy widzieć w Turcyi wroga naszych żywotnych interesów. Turcya przekona się, że nie może zdusić żydowskiego ruchu narodowego".

W innych natomiast oświadczeniach zachowano większą re-

zerwę, dbając o zasadę neutralności, która, zdaniem przywódców syonizmu, może przynieść należyty skutek na powszechnym kongresie pokojowym.

W Kopenhadze, dnia 10 grudnia 1917 r. Jerzy Brandes wygłosił mowę, w której z entuzyazmem witał utworzenie żydowskiego środowiska narodowego w Palestynie, widząc w tem jeden z najjaśniejszych punktów wszechświatowej wojny.

Godnym zaznaczenia jest głos religijnych żydów szwajcarskich, których organ („Das schweizerische israelitische Wochenblatt") pisze między innymi: „Wierni Torze żydzi chcą otrzymać Palestynę tylko wówczas, gdy wszystkie narody uznają nasze prawo do niej, nie zaś drogą gwałtów, bądź to ze strony Anglików, czy Niemców. Niemcy otrzymali Alzacyę i Lotaryngię przy zawieraniu pokoju, ale ileż to kosztowało krwi. Nie chcemy otrzymać w Azyi drugiej Alzacyi. Większość żydów pobożnych życzy sobie i oczekuje, jak wiadomo, od Turcyi, jako państwa zwierzchniczego nad Palestyną, oraz od przyszłego kongresu pokojowego zezwolenia na swobodną emigracyę do Palestyny, oraz swobodny rozwój kulturalny i ekonomiczny. Żydzi religijni nie dążą do tworzenia państwa.

c) Żydzi niemieccy i austryaccy.

Syoniści niemieccy wobec tak obiecującej deklaracyi angielskiej i jej półurzędowych komentarzy popadli w pewne zakłopotanie. Nie mogąc wyrazić swego zbyt daleko idącego zadowolenia i zdając sobie sprawę ze sprzeczności angielsko-niemieckich i angielsko-tureckich w tej mierze, powzięli następującą „neutralną" rezolucyę i ogłosili ją w dniu 23 grudnia 1917 r. (czyli przed oświadczenie barona von dem Busche i wielkiego wezyra).

„Organizacya syonistyczna w Niemczech wita z zadowoleniem fakt urzędowego uznania przez rząd angielski prawa żydów do życia narodowego w Palestynie. Przyjmuje z wdzięcznością do wiadomości oświadczenie austro-węgierskiego ministra spraw zagranicznych, że rząd Austro-Węgier z sympatyą odnosi się do syonizmu i gotów jest poprzeć dążenia syonistyczne u rządu tureckiego. (mowa o kilku ogólnikowych

wyrazach hr. Czernina, wypowiedzianych w dniu 18 listopada wobec dr. Handtke, członka Komitetu Wykonawczego niemieckiej organizacyi syonistycznej). Organizacya wyraża nadzieję, że Komitetowi Wykonawczemu udaje się zrealizowanie dążności syonistycznej za zgodą wszystkich wielkich mocarstw, w szczególności zaś Turcyi".

W pismach syonistów niemieckich poczęto wzywać rząd niemiecki i turecki do złożenia oświadczeń w sprawie Palestyny.

Po oświadczeniu wielkiego wezyra i akcesie rządu niemieckiego do tego oświadczenia, w sferach syonizmu niemieckiego zapanowało rozczarowanie. Zrozumiano, że polityczne plany syonizmu nie znajdą poparcia u rządu tureckiego i niemieckiego, z drugiej zaś strony nie mogą syoniści niemieccy kłaść nacisku na nadzieje związane z obietnicami angielskiemi. W kierowniczych sferach syonizmu niemieckiego zaczęto silniej forsować hasło autonomii żydowskiej w Palestynie w ramach państwa tureckiego. (Obszerna rozprawa na ten temat w „Neue jüdische Monatshefte" zeszyt No 6 z dnia 25 grudnia 1917 r. pióra członka parlamentu austryackiego, Maxa Kohena).

Natomiast w innych, szerokich odłamach żydostwa niemieckiego, przeciwstawiającego się akcyi syonistycznej rozlegają się obecnie głosy, bardzo energicznie zwalczające Anglię i nawołujące do zachowania biernego przymierza z Turcyą, zgodnie z interesami Niemiec. Tak np. organ frankfurckich żydów ortodoksyjnych „Israelit" w najostrzejszy sposób atakuje wspomniany powyżej komentarz haskiego biura korespondencyjnego i protestuje przeciw podjudzaniu żydów przeciwko Turcyi. „Syonizm — czytamy tam — nie jest przedstawicielem społeczności żydowskiej. Ortodoksya t. j. wielkie masy żydowskie widzą w osiedlaniu się żydów w Palestynie i powiększaniu sił produkcyjnych świętego kraju świętą cnotę i obowiązek. Ale odrzucają wszelkie próby wymuszenia i gwałtu. Odpowiedzialni syoniści ujrzą w tem karykaturę samodzielności państwowej żydów, pomiędzy młotem i kowadłem państw ościennych. Jesteśmy pewni, że woleć będą autonomiczne żydowskie siedlisko pod berłem rozwijającej się Turcyi, niż tego rodzaju

awanturę, która prędzej czy później skończyć się musi bólem i biedą".

Takie same stanowisko zajmują ortodoksyjne odłamy żydostwa austryackiego. Np., pismo ortodoksów „Selbstwehr", wychodzące w Pradze, występuje przeciwko wszelkim planom oderwania Palestyny od Turcyi i przeciw złudzeniom co do nieszczerych planów Anglii. „Samodzielna organizacya państwa żydów w Palestynie — pisze „Selbstwehr" — z ledwością mogłaby się utrzymać, gdyż byłaby zawadą pomiędzy dwoma państwami i prędzej czy później musiałaby być zduszona. Program syonistyczny domagał się przecież publiczno-prawnego schroniska w Palestynie, a nie samodzielnego państwa. A to chcieli osiągnąć tylko pod ochroną Turcyi. Naturalnie sympatye narodu żydowskiego stoją zawsze po stronie Turcyi, która w ciągu wieków otwiera wrota dla żydów, ściganych przez wszystkie kraje. W Turcyi mieszkają Arabowie, którzy też z żydami związani są pochodzeniem. Jeżeli Turcya patrzała z obawą na emigracye żydów do Palestyny, to dlatego, że narody europejskie często dawały jej powód do obawy o całość państwa, ale nie z racyi nieufności do żydów. Żydzi nie dążą w Palestynie do państwa samodzielnego, ale do życia i rozwijania się pod opieką Turcyi. Jedyne prawo, jakiego żądają w Palestynie, to samorząd lokalny... Jeżeli Anglia tylko przez przyrzeczenie żydom założenia im ojczyzny w Palestynie wzbudziła tak gorące uczucia, to jakąż pomoc otrzymaćby mogła Turcya od żydów, gdyby przezwyciężyła małostkową obawę i oświadczyła publicznie, że otwiera Palestynę dla kolonizacyi żydów i nie chce w niczem utrudnić ich rozwoju. Żydowski język i kultura nie są tak mocne, aby mogły wytrzymać ciężki nacisk wielkiej współczesnej kultury angielskiej i przy panowaniu Anglii można się obawiać, że żydzi poddaliby się wpływom tej kultury. Przy otoczeniu turecko-arabskiem obawy takiej niema. Interesy żydowskie, interesy Turcyi i jej sprzymierzeńców, państw centralnych, spotykają się tym razem".

d) Żydzi rosyjscy.

Żydzi rosyjscy są, jak wiadomo, podzieleni tak samo jak u nas na różne obozy o krańcowo odmiennych poglądach. Skrajni

socyaliści i „bundyści“ zwalczają syonizm w sposób najostrzejszy, jako ruch „wsteczny i burżuazyjny“. Syoniści jednak rozwijają w Rosyi ostatnimi czasy bardzo silną agitacyę. Po deklaracyi angielskiej urządzili cały szereg manifestacyi. Centralny Komitet syonistyczny w Rosyi wydał specyalny „manifest“ o oświadczeniu angielskiem. W Petersburgu delegacya syonistów złożyła Buchananowi podziękowanie dla rządu angielskiego. Tamże urządzono wiec, na którym, po szeregu entuzyastycznych przemówień, uchwalono następującą rezolucyę:

„Deklaracya angielskiego rządu, uznająca prawo narodu żydowskiego do Palestyny, otwiera nową epokę w historyi żydów. Zebranie wyraża rządowi angielskiemu swą wdzięczność, oraz żywi nadzieję, że przyszły kongres pokojowy całym swoim autorytetem usankcyonuje wspaniałomyślną inicyatywę rządu angielskiego. Witając w imieniu petersburskiej ludności żydowskiej utworzenie ojczyzny żydowskiej w Palestynie, która wzmocnić ma pozycyę polityczną żydostwa na świecie i stać się jednocześnie czynnikiem postępu, zebranie wzywa wszystkich żydów, bez różnicy stanu światopoglądu do współdziałania wszystkiemi siłami w tworzeniu ojczyzny żydowskiej w Palestynie.“

Podobnej treści rezolucyę powzięła Rada gminy żydowskiej w Moskwie. Wielkie manifestacye urządzone były w Odesie z udziałem dziesiątków tysięcy tłumu. Udano się do konsula angielskiego, który wygłosił mowę o tem, że Anglia, walcząc o wolność całego świata, walczy również dla narodu żydowskiego. Przychylną mowę wygłosił również konsul amerykański. Podczas wszystkich tych manifestacyi skrajni żydowscy socyaliści rozrzucali odezwy przeciw syonistom i przeciw Anglii.

e) Żydzi polscy.

Syoniści tutejsi natychmiast po ogłoszeniu deklaracyi angielskiej urządzili szereg wieców w różnych miastach Królestwa Polskiego. Na wiecach tych uchwalono następującą, jednobrzmiącą rezolucyę:

„Zebrani przyjmują z całkowitem zadowoleniem oświad-

czenie rządu angielskiego o postanowieniu popierania żądań syonistycznych i winszują federacyi syonistycznej w Anglii osiągnięcia wielkiego sukcesu. Zebranie zwraca się do państw centralnych, a przedewszystkiem do państwa tureckiego o wyrażenie zgody na urzeczywistnienie się ideałów syonistycznych.

Tego rodzaju wezwania do państw centralnych i Turcyi zamieszczono w prasie syonistycznej. Oficyalny organ syonizmu „Jüdisch Volk“ (Nr. 40 z dnia 29 listopada 1917 r.) pisał: „Oczekujemy — i mamy prawo tego żądać — by państwa centralne wzięły tak samo pod uwagę żydowską wolę narodową, żelazną logikę dziejów, wymagania sprawiedliwości i złożą podobne oświadczenia. Wywoła ono wielką radość i wzmocni grunt naszego neutralnego stanowiska, bowiem tak czy owak, problemat stworzenia siedliska żydowskiego w Palestynie wszedł już na porządek dzienny przyszłych rokowań pokojowych. Państwa centralne nie mają ze swego stanowiska powodu do czynienia opozycyi i ich zadaniem jest wpłynąć w drodze dyplomatycznej na rząd turecki, aby ten wyraził zgodę na nawskroś lojalne plany syonistyczne. W ten sposób łatwo pozyskają uznanie wielomilionowego narodu, którego wpływu w życiu politycznem nie należy lekceważyć.“

Kiedy już nastąpiło pełne rezerwy oświadczenie wielkiego wezyra oraz barona von Busche, w sferach tutejszego syonizmu zapanowało duże rozczarowanie.

Wśród nacyonalistów żydowskich, którzy wogóle na sprawę Palestyny nie kładą zbytniego nacisku, lecz walczą o urzeczywistnienie żydowskiej autonomii na miejscu, taki obrót sprawy wywołał raczej zadowolenie, gdyż sądzą oni, że wzmogą się ich wpływy na niekorzyść wpływu syonistów.

W szerokich odłamach żydostwa ortodoksyjnego przyjęto oświadczenie angielskie ze sceptycyzmem, a nawet zjadliwą krytyką. W organie ortodoksów „Das Juedische Wort“ (Nr. 271 z dn. 28 grudnia 1917 r.) zamieszczono obszerny artykuł p. t. „Turcya czy Anglia“, w którym tłomaczy się, jak wielkie grożą żydom niebezpieczeństwa ekonomiczne, polityczne i kulturalne w razie panowania Anglii w Palestynie, natomiast jakie korzyści pod tymi

względami gwarantuje żydom pozostanie Palestyny przy Turcyi. Rozwijając w dalszym ciągu sprawę korzyści gospodarczych i kulturalnych przy związku z Turcyą, pismo kończy uwagą: „Jesteśmy już zbyt starym narodem, abyśmy się mieli uganiać za zewnętrznemi dekoracyami samodzielności narodowej, jako to: własna armia, własna flota i t. d. Nam trzeba tylko warunków swobodnego rozwoju w Palestynie, a to Turcya dać nam może bez jakiejkolwiek szkody dla jej prestiżu, jako mocarstwa".

Oto wierny obraz tego, co dzieje się dziś w świecie w sprawie niezawisłego państwa żydowskiego. Przegląda z niego niewątpliwie tęsknota ludu żydowskiego ku swojej dawnej ojczyźnie, ale przegląda i przezorność, wobec niepewnej sytuacyi. Czynniki, które mogłyby rozstrzygnąć o przyszłości tej sprawy, same nie są pewne przyszłego biegu wypadków, i poruszając tę sprawę, nie tyle ją mają na oku, jak raczej pozyskanie nowego, a potężnego sojusznika.

Jakikolwiek jednak będzie bieg sprawy w przyszłości, ostateczne linie zagadnienia są już dziś oczywiste. Rozstrzygającym faktem dla całej tej kwestyi jest to, że Palestyna nie może fizycznie pomieścić więcej jak milion żydów; jest to zaś niespełna 10 procent obecnej liczby żydów na świecie. Utopią jest więc państwo, któreby wszystkich żydów zgromadziło, i utopią nadzieja, że nastąpi jakieś znaczniejsze odciążenie Europy. Czy ten milion wybrany wejdzie do Palestyny i założy żydowskie państwo? Przy najlepszej woli, najszybszem tempie i najlepszych warunkach emigracyi, przystosowanie ziemi na kolonie dla miliona mieszkańców wymagać będzie szeregu dziesiątków lat. Jest to okres czasu, wymykający się wszelkim obliczeniom. Niema więc potrzeby obawiać się już dziś o losy chrześcijańskiego sanktuaryum, które zresztą przez obie strony walczące są zagwarantowane.

Ks. J. Pawelski.

O prawa obywatelskie dla kobiet.

(Dokończenie).

IV.

Załatwiliśmy się z rzekomą niezdolnością kobiety do życia publicznego, a w szczególności do czynnej polityki, mającą pochodzić z osobliwych właściwości kobiecych sił i psychiki. Kolej na argument, brany ze stanowiska kobiety w rodzinie, które to stanowisko z natury swej ma być takiem, iż żąda wykluczenia kobiet od polityki. Argument ów mniej więcej tak się stawia. Kobieta z natury swej przeznaczoną jest na żonę, matkę i strażniczkę domowego ogniska. Jako żona, jest ona podległą mężowi, a taka podległość wyklucza pełnię samodzielności, jakiejby wymagał udział czynny w życiu politycznem. Jako matka i wychowawczyni młodego pokolenia, jest ona tak związana z domowem ogniskiem, że chyba tylko kosztem najistotniejszych swych obowiązków mogłaby się oddawać życiu publicznemu. Zresztą z natury swej płci i fizyologicznych jej funkcyi przez dłuższe okresy wprost nie mogłaby poświęcać się działalności po za domem. Dodają jeszcze autorzy tego argumentu, że bynajmniej nie myślą poniżać kobiety przez wykluczenie jej z życia politycznego; że poprostu stoją tylko na straży podziału pracy, jaką wprowadza sama natura między dwie płci. Mężczyzny areną jest świat zewnętrzny, kobiety — dom i dzieci.

Argument tak postawiony miałby niemałe znaczenie, gdyby się nie opierał na pewnych założeniach, które właśnie albo są nie dość silne, albo nawet wprost fałszywe. Najpierw, czy to prawda, że kobietę przeznacza natura (lepiej mówiąc Stwórca natury) tak bezwzględnie na żonę i matkę, iż jeśli nie pójdzie za tem powołaniem, to trzeba będzie uważać ją za istotę zwichniętą, wykolejoną, słowem taką, z którą, jako z wyjątkiem, nie może się liczyć prawodawstwo ogólne?

Cokolwiek bądź mogli ludzie o tem sądzić lub sądzą przed i po za chrześcijaństwem, jedno pewnem jest, że takie bezwzględne przeznaczanie kobiecie powołania żony i matki nie odpowiada duchowi naszej katolickiej religii. W religiach pogańskich, a nawet w religii Starego Testamentu zapatrywano się rzeczywiście na kobietę, jako na dodatek do mężczyzny, albo na rzecz — własność jego, i po za małżeństwem nie widziano dla niej żadnego powołania. Chrystyanizm odkrył w kobiecie o s o b ę, wobec Boga równorzędną z mężczyzną, i jako najważniejsze zadanie życiowe wskazał dla niej, jak i dla mężczyzny, doskonalenie się moralne, jako przygotowanie do wieczności. Postawił zatem przed kobietą na pierwszem miejscu cel osobisty. Kobieta, w myśl chrystyanizmu, jest przedewszystkiem człowiekiem, osobą, to jest samą sobą, a dopiero na drugim planie istotą, zdolną do podjęcia roli żony i matki, tak samo zupełnie, jak człowiekiem przedewszystkiem, osobą jest mężczyzna, a dopiero na drugim planie kandydatem na męża i ojca. I dalej, chrześcijaństwo wyraźnie podkreśliło dowolność podjęcia się obowiązków rodzinnych, albo zrezygnowania z nich. Owszem, pielęgnując instytucyę celibatu i dziewictwa, jako stanu, w którym stosunkowo łatwiej osiągnąć pierwszorzędne przeznaczenie człowieka, chrześcijaństwo zachęca do życia pod względem płciowym wstrzemięźliwego, i jeżeli ten stan obierany jest z wyższych pobudek służenia Bogu i społeczeństwu, chrześcijaństwo przyznaje mu wyższą etyczną wartość, niż stanowi małżeńskiemu.

Wiemy z historyi Kościoła, jak instytucya dziewictwa łącznie z kultem Najświętszej Dziewicy zaważyła na losach kobiety. Zachęta Chrystusa do dziewictwa u Mat. 19, 12, i zasada św.

Pawła, że niema już więcej ani Greka, ani barbarzyńcy, ani niewolnika i wolnego, ani mężczyzny i niewiasty, gdyż wszyscy są jedno w Chrystusie Jezusie (Gal. 3, 28), to *magna charta* emancypacyi kobiecej [1]). Chrześcijaństwo rozkuło pęta upokarzającej niewoli, jakie dźwigała kobieta pogańskiego świata, nakazało mężczyźnie widzieć w kobiecie nie rzecz ani przedmiot użycia, ale osobę, mającą to samo, co i on, przeznaczenie wieczne, natchnęło później rycerza średniowiecznego pietyzmem względem „swej pani" i wogóle względem kobiecości. Chrześcijaństwo także wyprowadziło kobietę na arenę publicznego życia. Pod opieką i kierownictwem biskupów starożytna chrześcijanka, dziewica, wdowa, zaprawiała się do pracy na polu miłosierdzia i nauczania, owszem, dopuszczaną bywa, jako dyakonisa, do pewnych funkcyi w samym kościele. W klasztorach średniowiecznych żeńskich tworzyły się ogniska kultury. Za czasów rycerstwa i feudalnych stosunków nauką i sztuką zajmowali się prawie wyłącznie albo duchowni, albo kobiety. Widziano je nawet na katedrach papieskich uniwersytetów. W życiu klasztornem cieszyły się daleko idącym samorządem i zasadą wybieralności przełożonych. A mało już kto wie dzisiaj, że w pewnych zgromadzeniach zakonnych, jak n. p. w Zakonie Zbawiciela, fundowanym przez św. Brygidę, kobiety nie tylko stały na czele żeńskich klasztorów, ale że bywały przełożonemi co do zewnętrznego życia i nad klasztorami męskimi. Kościół, który takie reguły zatwierdzał, chyba dość się wypowiedział w sprawie równouprawnienia kobiet.

Że chrystyanizm nie odrazu wypowiedział w kwestyi kobiecej ostatnie słowo, niechaj to nikogo nie gorszy. On nie wchodził w świat jak huragan, któryby łamał wszystko, co przed nim istniało, ale jako tchnienie wiosennej aury, ogrzewał serca, zapładniał nowemi ideałami umysły, by powoli przygotować ludzkość do społecznych reform. Cała historya Kościoła to powolny rozkwit i dojrzewanie w owoc tych pojęć, które w ludzkość pogańską

[1]) Znaczenie dziewictwa, jako czynnika, który wpłynął na podniesienie w kobiecie poczucia większej samodzielności i niezależności własnych przeznaczeń, uznają nawet protestanci, n. p. Höfding: „Ethik", tłóm. niem. 1901. str. 308.

rzucił chrystyanizm, jak pojęcia o godności człowieka, jako dziecka Bożego, pojęcia powszechnego braterstwa wszystkich bez różnicy płci w Jezusie Chrystusie. Nasienie Boskiego Siewcy wzeszło bujnie, i rozwijało się, i kwitło bogatem kwieciem. I kobieta może wcześniej osiągnęłaby zupełne z mężczyzną równouprawnienie, gdyby nie powiew niechrześcijańskich prądów. Pogańskie Odrodzenie, widzące w kobiecie przedewszystkiem ciało, pseudoreformacya Lutra, który zniósł klasztory i z kobiety uczynił jedynie żonę [1]), owszem, jak widzieliśmy, nawet rewolucya francuska z wyrosłym z nią kodeksem Napoleona — to właśnie te prądy, które zmroziły dużo tego kwiecia i opóźniły dojrzewanie owocu. Kościół katolicki atoli idzie swoją tradycyjną drogą. I dotąd, zwłaszcza w ubiegłem stuleciu, zakłada coraz nowe kongregacye zakonne, prawie wyłącznie życiu czynnemu poświęcające się, i kobietę - dziewicę śle w świat z rozliczną pracą, poświęceniem, zaparciem się. I po tem wszystkiem mielibyśmy deklamować: „Naturalnem przeznaczeniem kobiety — macierzyństwo; jeśli mu się nie poświęca, jest istotą wykolejoną? Równouprawnienie kobiet zwiększyłoby liczbę takich wykolejonych istot?“

Zresztą aksyomat, że najważniejszem przeznaczeniem kobiety jest małżeństwo, przychodzi pono na pamięć wielu tylko wtedy, kiedy potrzebują argumentu do zwalczania emancypacyjnych dążeń. Kiedyindziej obojętnie się patrzy na zastęp kobiet niezamężnych. A ten zastęp ustawicznie się powiększa. Obok zakonnic i innych kobiet, zrzekających się rodzinnego życia dla łatwiejszego służenia Bogu, spotykamy się z całemi kategoryami kobiet, skazanych na panieństwo z innych względów. Pominąwszy trudności zamążpójścia, jakie sprowadziła wojna, co można uważać za stan przejściowy, ileż dziewcząt pracujących i służących pozostaje celibataryuszkami dla trudnych warunków ekonomicznych, a po części i dlatego, że wielu mężczyzn żenić się nie chce? Ba, istnieją całe zawody, któreśmy otwarli dla kobiet, a które bez wątpienia doskonalej mogą być spełniane przez ko-

[1]) Zasługi klasztorów dla kobiet i to, że reformacya cofnęła sprawę kobiecą, przyznaje protestantka i socyalistka, Lily Braun, w swojej książce: „Die Frauenfrage“, Leipzig, 1901, str. 32 i nast.

biety niezamężne, niż przez mężatki. Dla przykładu weźmy zawód nauczycielski i niektóre rodzaje pracy biurowej, n. p. urzędniczki pocztowe, od których zwykle żąda się celibatu. Czy słusznie żąda się od nich tego, na razie nie rozstrzygamy. Stwierdzamy tylko fakt istnienia całych zawodów pożytecznych pracownic, które że pozostają niezamężnemi, uważamy za objaw zupełnie naturalny, a poniekąd i pożądany. A jeśli tak, to czy społeczeństwo lub państwo, z ich pracy korzystające, może im powiedzieć: „Politycznych praw wam nie damy, boście kobiety, a kobiety przeznaczeniem najpierwszem rodzina; wy rodziny nie założyłyście, ale też dlatego uważamy was za istoty wykolejone i jako z takiemi liczyć się nie możemy?“

Doszliśmy zatem do tego wniosku, że w razie, jeśliby rzeczywiście obowiązki żony i matki wykluczały udział w życiu politycznem, to i tak nielogiczną rzeczą byłoby odmawiać praw politycznych kobietom niezamężnym. Po pierwsze bowiem, kobiet takich jest wiele, po drugie, zrzekając się związków małżeńskich, skorzystały one ze swojego prawa rozporządzania własną osobistością i jeśli to uczyniły z powodów natury etycznej czy religijnej, zasługują tem bardziej na uznanie. Czynić wreszcie z kobiety koniecznie tylko pośrednie ogniwo w biologicznym rozwoju ludzkiego gatunku, możeby było logicznem ze stanowiska materyalistycznego ewolucyonizmu, nie odpowiada to jednak duchowi nauki chrześcijańskiej o samoistności ludzkiej jednostki i jej przeznaczeń osobistych.

Przejdźmy do kobiet zamężnych. Mimo wzrastającej ciągle liczby kobiet niezamężnych, można zdaje się być pewnym, że przeznaczeniem większości kobiet jest zamążpójście i macierzyństwo. Czy przynajmniej słuszną jest rzeczą, przy nadaniu pełni praw obywatelskich kobiecie - celibataryuszce, nie dać ich kobiecie zamężnej? W niektórych krajach, n. p. w Kanadzie, rzeczywiście obywatelskie prawa nadano najpierw kobietom niezamężnym; mężatki musiały osobno je zdobywać.

Otóż przeciwko takiej połowiczności w rozwiązywaniu kwestyi kobiecej można wiele powiedzieć. Najpierw, skoro pełnoletnia dziewczyna została uznaną za obywatelkę w całem znacze-

niu tego słowa, na równi z mężczyzną, za cóż ją pozbawiać przyznanych jej praw z chwilą, kiedy wychodząc za mąż, ma zostać matką i wychowawczynią przyszłych obywateli? Wyniknie przytem coś zabawnego: z czasem poważna matrona pod względem obywatelskim będzie stała niżej od własnej córki, którą do pełnoletności dochowała.

Zbadajmy jednak powody, które wyżej były podane przeciw udziałowi kobiety zamężnej w życiu politycznem. „Pełnia praw obywatelskich — powiadają przeciwnicy równouprawnienia kobiet — to udział dalszy czy bliższy w rządzeniu. Jakże taką prerogatywą obdarzać istotę, która z natury swego stanu jest zależną, będąc podległą władzy mężowskiej? Berło spoczywać może tylko w wolnych rękach!“ Ten argument atoli mieści w sobie dużo sofisteryi, a przytem jest tem niesympatyczny, że się podszywa pod naukę katolickiego Kościoła o konstytucyi rodziny. Że żona jest podległą mężowi i że mąż jest głową żony, pisał już św. Paweł (Efez. 5, 21 i nast.), i Kościół w rotę przysięgi ślubnej panny młodej wkłada obietnicę posłuszeństwa. Nie wolno atoli wyprowadzać stąd zbyt daleko idących wniosków w rodzaju tego, że rządy w rodzinie należą wyłącznie do mężów, a żonom przystoi tylko posłuszeństwo i to we wszystkiem.

Konstytucya małżeńskiego związku, według nauki katolickiej, jest bardziej zbliżoną do ideału równości między obiema stronami i kobiecie przysługuje w nim dużo większa autonomia, niż się pospolicie sądzi. Co się tyczy powiedzeń św. Pawła, dotyczących stosunku męża do żony, to niektóre z nich mogą być tylko odbiciem tego stanu rzeczy, jakie św. Paweł faktycznie znajdował w ówczesnej rodzinie, a zatem nie mogą służyć za wyraz ideału i za nieodwołalne prawo, jak nie mogą służyć za wyraz ideału analogiczne powiedzenia, dotyczące niewolników, mających ulegać panom swoim. (Por. do Efez. 6, 5 i nast.) [1]). Nikt już tekstami Apostoła narodów, nakazującymi niewolnikom posłuszeństwo panom swoim, nie będzie udowadniał, że niewolnictwo odpowiada

[1]) Trafne na ten temat uwagi wypowiada Sertillanges w „Feminisme et christianisme“, str. 253 i nast.

duchowi Kościoła. Św. Paweł i rodzinę znalazł w pewnych gotowych formach, publicznie uznanych, i z temi formami liczył się. Wyżej powiedzieliśmy, że chrześcijaństwo nie łamało gwałtem stosunków społecznych, ale nowemi ideami miało wychować ludzkość do ich powolnej przemiany. Mając na uwadze tę ekonomię Bożą, nie będziemy przeceniali tego czy innego oderwanego tekstu Nowego Testamentu i, zamiast na literę, zwrócimy więcej uwagi na ożywiającego ducha.

Zapewne, że pewna supremacya mężczyzny w rodzinie zawsze pozostanie, — do czego ona ma się rozciągać, w to tutaj wchodzić nie będziemy, jako w rzecz, dla naszego tematu podrzędną. Z przyznania jednak mężczyznie jakiejś supremacyi nie wynika wcale, że kobieta ma być pozbawioną praw obywatelskich, albo że traci zdolność do udziału w rządach, jeśli takową przed zamążpójściem posiadała. Wiktorya angielska czy Wilhelmina holenderska podobno również przysięgały swym małżonkom „małżeńskie posłuszeństwo", a jak wiemy, wcale to nie stanowiło jakiejś metafizycznej trudności do sprawowania rządów całych królestw. Czyż nie spotykamy się na każdym kroku z tem, że ci, co są zależni od innych i pod pewnym względem, sami rządzą innymi, a nawet i swymi zwierzchnikami, tylko pod względem innym? I ilużby mężczyzn trzeba było pozbawić praw politycznych, gdyby, jako warunku do nich, wymagało się zupełnej wolności i niezależności? Cóż więc za sprzeczność będzie w tem, że kobieta, zależna od męża w sferze spraw małżeńskich, odda niezależnie od niego swój głos przy wyborach na posła do parlamentu?

Co się zaś tyczy kandydowania kobiety do ciał reprezentacyjnych lub do publicznych urzędów, to nie potrzeba i tu powoływać się na zasadniczą zależność mężatki w rodzinie. Wystarczy postawić tę sprawę na równi z możnością kobiety pracowania na innych polach po za domem, w fabryce, w biurach, w zawodach wyzwolonych. Posłowanie do parlamentu, czy jakichś innych ciał zapewne nie w większej stoi kolizyi z obowiązkami rodzinnymi, niż wiele innych zawodów, od których jednak zasadniczo kobiet nie wykluczamy. Sądzę, że moglibyśmy pozostawić całą sprawę kolizyi pewnych aspiracyi politycznych kobiet z zaciągniętymi

przez nie obowiązkami własnemu sumieniu zainteresowanych i prywatnemu porozumieniu się ich z własnymi mężami, bez wkraczania w tę dziedzinę z prawnemi ograniczeniami. W każdym razie są one tutaj mniej potrzebne, niż ograniczenia kobiet zamężnych co do pewnych rodzajów zarobkowej pracy, n. p. w fabrykach. Zresztą można zaufać samej naturze i jej instynktom. Matka, posiadająca drobne dzieci, zapewne nie będzie wyrywała się na stanowiska, któreby ją stale od domu odciągały, chyba zmuszona trudnymi warunkami życia. A już nie można żadnej dopatrzeć się kolizyi z obowiązkami rodzinnymi w czynnem prawie wyborczem. Raz na parę lat pospieszyć na godzinę do urny wyborczej, wziąść nawet udział w paru przedwyborczych zgromadzeniach, przyniesie to chyba nie więcej szkody domowym obowiązkom kobiety, niż przynosi tyle innych zajęć kobiety po za domem, z któremi się jednak godzimy i do których kobietę, jak n. p. do udziału w pracach oświatowych, filantropijnych etc., nawet zachęcamy.

Co się powiedziało o możliwych kolizyach udziału kobiet w życiu politycznem z obowiązkami w rodzinie, to się da rozciągnąć i do innego zagadnienia: jak pogodzić czynny udział w życiu publicznem kobiety zamężnej z tymi przymusowymi okresami pozostawania w domu, jakie są związane z fizyologicznemi funkcyami macierzyństwa? Połogi, karmienie dziecka i t. d. czy dadzą się pogodzić z występowaniem kobiety w politycznem życiu? Odpowiadamy: co najmniej dadzą się tak pogodzić, jak godzą się dzisiaj z pracą zarobkową kobiet po za domem. Zostawmy znowu tę kwestyę do rozwiązania samym kobietom; do urzędów i parlamentów kobiety w okresach macierzyństwa zapewne tłoczyć się nie będą. Jeżeli zaś dopuściliśmy kobiety do urzędów na niższych szczeblach, nie troszcząc się o względy macierzyństwa, można będzie i wyższe urzędy otworzyć dla nich. Częściowo trudnościom można zaradzić przez urlopy, jak to czynimy względem chorych mężczyzn. W ogólności zaufać można głosowi natury, która tę sprawę nieodpartym nakazem najlepiej rozstrzygnie. A co się tyczy praw wyborczych, to nie zajdzie z rozpatrywanego tytułu żadna poważniejsza trudność.

Potrzeba harmonii i zgody w rodzinach — oto nowy wzgląd,

który skierowywa się przeciw nadaniu kobietom zamężnym czynnego prawa wyborczego. Politykowanie roznamiętnia, i kobieta, rzucając się w wir polityki, łatwo może rozminąć się z polityką męża, wnosząc tym sposobem do domu rozdwojenie.

Więc chcemy, żeby kobieta we wszystkiem była tylko e c h e m swego męża? Prawda, że taki n. p. Rousseau żądał, by kobieta nie posiadała nawet swojej religii, w panieństwie idąc w niej za ojcem, a jako mężatka — za mężem. Zapewne, że zgodność przekonań w rodzinie jest wielkiem dobrem, trzeba jednak powiedzieć, że nie jest dobrem bezwzględnem. Wyższem dobrem, na przykład, jest prawda. Jeśli kobieta posiada swoją duszę i swoje wieczne przeznaczenie, to wolno jej mieć przekonania, które uważa za prawdziwe. Niekiedy zatrzymanie przekonań własnych jest dla kobiety takim obowiązkiem, że trzeba dlań uczynić ofiarę nawet z domowego spokoju. Tu właśnie ma zastosowanie pewne zdanie Tego, którego nazywamy „Książęciem pokoju", a który wyrzekł pewnego razu: „Nie pokój przyniosłem na ziemię, ale miecz".

Tę wewnętrzną autonomię kobiety wolno rozciągnąć i po za religię, nawet do kwestyi politycznych. Pytać, czy kobiecie wolno posiadać w politycznych rzeczach własne zdanie, to znaczy pytać, czy ona jest istotą rozumną, człowiekiem. I faktycznie kobieta, zwłaszcza inteligentna, zdanie swoje posiada i w politycznych kwestyach. Jeśli ono jest identycznem ze zdaniem męża, temci lepiej dla domowej zgody. Jeśli nie, to niekiedy lepiej dla prawdy i dla dobra publicznego. Czyż ośmielimy się żądać od wierzącej katoliczki, by podzielała zasady polityczne męża ateusza czy socyalisty, — tylko w imię domowej zgody? Kobieta inteligentna zdanie jakieś w rzeczach publicznych nawet mieć musi, choćby dlatego, by sprostać swym obowiązkom matki i doradczyni dorastających synów, by nie stracić wobec nich całej powagi i zaufania. A jeśli wolno kobiecie zamężnej mieć zdanie w rzeczach publicznych, to dlaczegóżby nie wolno było jej tego zdania wypowiedzieć w formie n. p. głosu przy jakichś wyborach? I jeżeli jej „polityka" wywoła pewien rozdźwięk w rodzinie, to lekarstwem nań jest to samo, jak i na wszystkie inne dyssonanse małżeń-

skiego współżycia: wzajemne szanowanie się i tolerancya w duchu chrześcijańskiej miłości.

Przeciw prawu wyborczemu kobiet czerpie się jeszcze argument z pojęcia rodziny, jako społecznej jednostki. Prawo wyborcze jest pewną formą wywierania wpływu na życie społecznego organizmu przez składowe jego komórki. Lecz — powiadają przeciwnicy równouprawnienia kobiet — w organiźmie społecznym zasadniczą komórką, jednostką o prawdziwie społecznej wartości jest rodzina, nie zaś osobnik. Czyż nie w tem tkwił jeden z największych błędów, jakie popełniła rewolucya francuska, że rozbiła organizm na atomy, społeczeństwo na indywidua, lekceważąc starszą formacyę społeczną, rodzinę? Jednostka w rodzinie i przez rodzinę staje się członkiem społeczeństwa. Dlatego taki nawet trzeźwy umysł, jak Augusta Comte'a, za prawdziwą społeczną jednostkę uważał rodzinę. Jeśli zaś tak się rzecz ma, to w życiu publicznem rodzinę przedstawia dostatecznie mężczyzna, jako głowa rodziny; w nim i kobieta-żona: jak i dzieci dostatecznie są reprezentowane. Czyli wynika z tego poglądu, że żona dostateczny ma udział w życiu publicznem już przez to samo, że jej mąż zajmuje się polityką, rządzi, głosuje, jest wybieranym.

Jeśli nawet ten pogląd byłby całkowicie słuszny, to odnosiłby się tylko do kobiet zamężnych. Lecz co począć z kobietami, które nie uwiły wcale własnego gniazdka rodzinnego, noszą panieńskie nazwiska, dom wszakże rodzicielski opuściwszy, stanęły na samodzielnych stanowiskach pracy? Jakich rodzin są one członkami i kto je reprezentuje na zewnątrz? Zapewne fałszywą będzie każda teorya, która będzie rozbijała spoistość rodziny lub zapoznawała jej społeczną wartość, ale z tego nie wynika, żeby wpadać w ostateczność drugą. Może w czasach patryarchalnych nie pojmowano inaczej społeczeństwa, klanu jakiegoś, inaczej, jak jako zbiór rodzin, biorąc rodzinę w znaczeniu szerszem łącznie z czeladzią. Była to rzeczywiście ostatnia społeczna i ekonomiczna jednostka. W naszych czasach dużo się pod tym względem zmieniło. Społeczeństwo składa się wprawdzie z rodzin, jako komórek głównych, ale posiada również dużo luźnych jednostek, które ekonomicznie od rodzin nie zależą. Te są członkami społe-

czeństwa bezpośrednio, nie zaś przez rodzinę. I jeżeli prawo wyborcze pojmować będziemy jako prawo głosu jednostek społecznych, to bez wątpienia będzie ono słusznie należało się przynajmniej kobietom niezamężnym i samodzielnie pracującym. Albo też, jeśli toż prawo mamy przyznawać tylko głowom rodzin, to winniśmy go pozbawić wszystkich mężczyzn, którzy rodzin nie posiadają, wszystkich zatem celibataryuszów.

Co się tyczy kobiet zamężnych, to obok tego, że są one członkami rodzin, — przypuśćmy podległymi swym mężom, — trzeba pod pewnym względem przyznać im i godność bezpośrednich członków społeczeństwa. Wyjście za mąż nie jest abdykacyą żadną z praw obywatelskich, tylko zobowiązaniem się do współudziału — przypuśćmy, że w charakterze pomocnicy męża — w pewnem społecznem powołaniu. Uznanie w kobiecie obywatelki bynajmniej nie jest równoznaczne z zaprzeczeniem rodziny. Prawa tej ostatniej dość będą zabezpieczone, gdy jako instytucyi naturalnej i od państwa starszej przyzna się pewien zakres działalności, któregoby nawet powaga państwa nie ośmieliła się uszczuplać. Żeby zaś któryś z członków rodziny nie mógł od społeczeństwa czy państwa ani nic otrzymać, ani mu nawzajem nic dać inaczej, jak tylko przez rodzinę, do której należy, tego naturalne prawo, wynikające z istoty rodziny, wcale nie wymaga. A przynajmniej nie jest to takim pewnikiem, by mógł służyć za punkt wyjścia do odmawiania kobiecie pełni praw obywatelskich.

V.

Niektórzy znowu przeciwnicy równouprawnienia kobiet upatrują jakiś organiczny związek między polityką i udziałem w rządzeniu z jednej, a służbą wojskową z drugiej strony. Zarówno według protestanckiego autora Paulsena [1]), jak i O. Cathreina, temu tylko przystoi stanowić prawa, kto może wziąć miecz do ręki, by im posłuch zapewnić, tylko ten może sądzić, kto posiada siłę, by wyrok wykonać. Kobiety, nie nadając się do służby ani

[1]) Por jego „Etykę", str. 289 i nast.

wojskowej, ani policyjnej, konsekwentnie nie powinny mieć miejsca w prawodawstwie, sądownictwie, administracyi publicznej, ani mieć wpływu na te dziedziny przez prawo głosowania. Zwracają jeszcze uwagę, że równouprawnienie polityczne kobiet bez włożenia na nie ciężaru służby wojskowej postawiłoby je w położenie uprzywilejowane w porównaniu z mężczyznami.

Krańcowe feministki wobec tego argumentu być może powiedzą: „Dobrze, więc bierzcie nas i do wojska!“ Sądzę jednak, że ta ostateczność wcale nie jest potrzebną. Przytoczone bowiem rozumowanie posiada aż dwie słabe strony.

Po pierwsze, pachnie ono owymi prymitywnymi stosunkami, kiedy to mężczyzna, złożywszy całą domową robotę na żonę-niewolnicę, sam uzbrojony w oszczep i maczugę był przedewszystkiem wojownikiem, broniąc swego szałasu przed napaścią sąsiadów, organizując z drugimi wyprawy po łupy. On też wtedy sam jeden zawierał umowy z sąsiadami, naradzał się nad wspólnemi sprawami, sądził i wyroki wykonywał. Dzisiaj jesteśmy już dalecy od tych form życia społecznego. Zróżniczkowane społeczeństwo według różnorodności swych zadań i funkcyi posiada też i rozmaitość organów, rozdzielając obowiązki prawodawcy, sędziego, żołnierza, urzędnika, nauczyciela między rozmaite osobniki. Nadto w demokratycznym ustroju społeczeństwa wszystkie jednostki mają mieć pewną dozę wpływu na wszystkie te objawy zbiorowego życia, jako na funkcye, zmierzające do wspólnego dobra, i tę dozę wpływu wywierają już to przez wypowiadanie swej opinii, już to przez korzystanie z prawa wyborczego.

Nie w szpadzie więc szukajmy tytułu do praw i zadań obywatelskich, lecz w godności wolnego człowieka, członka społeczeństwa. Inaczej trzebaby dojść konsekwentnie do apoteozy militaryzmu i rządów wojskowych. Nie przypadkiem też może i przytoczony argument wypowiadanym bywa przeważnie, czy nawet wyłącznie w klasycznym kraju nowożytnego militaryzmu.

Można jeszcze zapytać zwolenników tego argumentu: czemu nie pozbawiają praw obywatelskich tych mężczyzn, którzy wcale wojskowo nie służą i do służby takiej się nie nadają? Wszak i oni, jak kobiety, nie są zdolni wymusić z mieczem w ręku

posłuchu dla praw, na których stanowienie mają jednak pewien wpływ.

Druga słaba strona rozumowania zwolenników militaryzmu jest ta, że zbytnio podkreślając zasługi miecza, nie widzą ważnych zasług płci niewieściej, dla których nie znajdziemy pono dostatecznego równoważnika u mężczyzn. Niechaj wpływ na bieg publicznego życia będzie nagrodą za jakieś położone dla społeczeństwa zasługi — zgoda na to! Lecz oto kobieta prawie tak powszechnie, jak mężczyzna w wojskowym zawodzie, kładzie nieocenione zasługi przez swoje macierzyństwo. I ono wszak jest funkcyą społeczną, nie obojętną nawet dla wojskowości: wszak ono dostarcza społeczeństwu obywateli i państwu żołnierzy. A czy pod względem trudów może iść w porównanie z macierzyństwem ojcowstwo mężczyzny? Tem powołaniem swojem dostatecznie zasługują kobiety na to, by je uważać za pełnoprawne obywatelki. Sądzę, że zbyteczną nawet będzie rzeczą, dla utrzymania równowagi obowiązków obydwóch płci, zaciągać kobiety do jakiejś analogicznej z wojskową publicznej służby, jak to tu i ówdzie proponuje się, gdyż nawet te kobiety, które powołania macierzyńskiego nie pełnią, pracują dobrowolnie w tylu zawodach, pożytecznych dla ogółu, a ileż ich pełni macierzyństwo w szerszem znaczeniu w roli wychowawczyń, pielęgniarek!

VI.

Mamy przed sobą jeszcze jeden zarzut przeciw politycznemu równouprawnieniu kobiet: zarzut natury etycznej: „Jeżeli nie dopuszczamy kobiet do polityki, do urny wyborczej, do urzędów, na trybuny parlamentarne, to czynimy to nie dla okazania pogardy kobiecie, lecz w interesie jej własnego wyższego dobra, a pośrednio dobra społeczeństwa. Chodzi nam o to, by kobieta w wirze życia publicznego nie zatraciła tych moralnych zalet i przymiotów, które stanowią wdzięk jej płci i podstawę moralnego zdrowia rodzin i społeczeństwa. Polityka roznamiętna, polityka nie przebiera w środkach. Kobieta, oddając się jej, utraci spokój i równowagę ducha, obniży swój poziom etyczny. Pokazując się

w świecie, zetrze z siebie ten urok, jaki jej daje rezerwa i oddalenie od wspólnej z mężczyznami pracy. Kobieta, dążąc do równouprawnienia, chce właściwie zostać tem, czem nie jest; mężczyzną się nie stanie, a z kobiecości dużo utraci; wytworzy jakąś płeć trzecią".

Faktycznie wielu nie umie sobie wyobrazić inaczej emancypowanej kobiety, jak w męskim stroju, z krótkimi włosami, na bicyklu, z papierosem w ustach. I wzdryga się przed tym typem. Wielu znowu w dążeniach emancypacyjnych krańcowych feministek widzi jakąś nierozerwalną całość. Ponieważ w programach feministycznych spotykamy i postulat ułatwienia rozwodów i nawet uprawnienia wolnej miłości, niekiedy pod zamaskowanem hasłem prawa do macierzyństwa, więc boimy się feminizmu wogóle, jako czegoś, co godzi na najświętsze podstawy społecznego ustroju.

Sądzę atoli, że te wszystkie obawy są przesadne. Oczywista rzecz, że żaden katolik nie może pójść we wszystkich żądaniach razem z Beblem, ani z jakąś panią Ellen Key. Mianowicie zastrzedz się musimy co do dogmatów katolickich, o konstytucyi rodziny, nierozerwalności małżeństwa i co do zasad katolickiej etyki w zakresie seksualnego życia. Ale myślę, że po odrzuceniu zmurszałych łupin znajdziemy i w feminiźmie zdrowe jądro. Taka n. p. Gnauck-Kühne w swoich feministycznych „tezach" wyraźnie stawia zasadę, że wszelkie usiłowania rozluźnienia węzłów małżeńskich są szkodliwe dla kobiet i zwalczane być powinny [1]). Lecz ani prawo głosowania, ani inne prawa polityczne kobiet bynajmniej nie wymagają prawnego rozluźnienia rodziny. Co najwięcej, chodzić może o większą samodzielność żony w zarządzaniu majątkiem, — co zresztą nawet ze strony katolickich pisarzy nie wywołuje żadnego sprzeciwu.

Co się tyczy obniżenia poziomu moralnego kobiet przez udział w życiu politycznem, to obawa ta dziwną jest nieco w naszych czasach, kiedy kobiecie i tak pozwalamy pracować po za domem, często w warunkach najbardziej dla moralności niekorzystnych, kiedy ją zachęcamy do udziału w innych przejawach pu-

[1]) „Die deutsche Frau", str. 164.

blicznego życia, w komitetach i stowarzyszeniach społecznych, dobroczynnych, oświatowych. Chyba trudno dowieść, że wystąpienie kobiety wśród mężczyzn na trybunie parlamentarnej bardziej obniży jej etykę, niż współpraca z nimi na innych polach, że zajęcie posady etatowej urzędniczki jest niebezpieczniejsze dla kobiecej obyczajowości, niż zajęcie prostej przepisywaczki lub kantorzystki.

Polityka sama z siebie jest taką niemoralną? A któż ją taką uczynił, jak nie mężczyźni? Czy mamy się upierać przy tem, by tę niemoralną dziedzinę uczynić na zawsze swoim przywilejem? A może właśnie kobieta wniesie do niej nieco etyki. Skąd taka pewność, że tej próby kobiety nie wytrzymają? Czy nie wyrażamy tym sposobem proudhonowskiego aksyomatu i niższości kobiet nie tylko pod względem intellektualnym, ale i moralnym?

Zapewne, że ma coś uroku w sobie ten typ kobiety, odgrodzonej od zepsucia świata, typ, pielęgnowany może jeszcze w pewnych cichych zakątkach kraju. Stwarza on w domu pewną poezyę i atmosferę, w której i mężczyźnie przyjemnie odetchnąć — dla odmiany po zanurzaniu się w „niemoralności“ polityki, no i w innych jeszcze niemoralnościach. Cóż robić? Ten typ powoli zanika z przekształcaniem się warunków życia i z postępem oświaty. Jeszcze Goethemu śmieszną się wydawała kobieta, znająca się na innych książkach, jak na kucharskich. Myśmy już oswoili się i z dyplomami doktorskimi kobiet. A nie potrzeba aż o kobietach-doktorach mówić. Współczesne życie ustawicznie ściera z kobiety tę uroczą barwę naiwności, nieświadomości zła, jaką pono nasze babki się odznaczały. I poniekąd prawdą jest, że nowy typ kobiety wykształca się. I teraz winno chodzić już nie tyle o to, by przed kobietą zasłonić wszystkie ujemne strony życia i do zetknięcia się z niemi jej nie dopuścić, jak raczej o to, by jej wolę oświeconą zahartować do walki ze złem. I otóż pod tym względem można mieć nadzieję, że nadanie praw politycznych kobietom nie przyniesie szkody, lecz przeciwnie, wyrabiając większe poczucie własnej godności i odpowiedzialności, będzie czynnikiem dodatnim w wyrobieniu charakteru współczesnej kobiety.

VII.

Mnożą się oznaki, że w zapatrywaniach na kwestyę kobiecą, w szczególności na równouprawnienie polityczne kobiet, dokonywa się powolny zwrot na ich korzyść nawet w kołach, które najbardziej zdawały się być pod tym względem opornemi. Palhoriès kładzie ten objaw między dowody „nowych oryentacyi w etyce". Stałe, byle taktowne stawianie żądań przez same kobiety może być uwieńczone pomyślnym dla nich rezultatem. Tego rezultatu mniej pono obawiają się już katolicy, niż ci, którzy teoretycznie hołdują skrajniejszym hasłom. Na kongresach feministycznych we Francyi, zwołanych pod egidą obozu niekatolickiego w latach 1889 i 1900, uznano w zasadzie prawa wyborcze kobiet, stwierdzano jednakże, że na razie nie należy się o nie dobijać, gdyż to wyszłoby na korzyść klerykalizmu. Kobiety bowiem jeszcze zbyt ulegają „religijnym przesądom", z których najpierw trzeba je wyleczyć przez wychowanie, zanim się da im możność zabierania głosu w polityce. Zapewne z powodu tej samej obawy upadł w r. 1902 w Belgii projekt nadania kobietom praw wyborczych, popierany gorąco przez odłam katolików, z Overbegh'em i Collaert'em na czele. Upadł z powodu braku poparcia ze strony liberałów i socyalistów. Powtarza się historya z czasów rewolucyi francuskiej. Pomimo zasług, jakie rewolucyi oddały kobiety, nie dopuszczono ich do głosu i wogóle zabroniono zajmować się polityką, głównie dlatego i wtedy, kiedy nawet najzagorzalsze jakobinki poczęły potępiać krwawe okrucieństwa Dantona i Robespierre'a. Wtedy to stwierdzono, że kobiety zbyt rządzą się sentymentalizmem, podczas gdy w polityce winien panować tylko rozum i logika, choćby to była logika Robespierre'ów.

Mojem zdaniem, właśnie dlatego warto dopuścić kobiety do udziału w życiu politycznem, w prawodawstwie, że są one jeszcze „przesądne" i więcej uczuciowe od mężczyzn. Znaczy to, że są na ogół religijniejsze i moralniejsze od nich. A właśnie wniesienia tych przymiotów, w większej niż dotychczas mierze, do życia politycznego, do prawodawstwa, życzyćby sobie należało. I kobiety możeby pod tym względem coś sprawiły, gdyby im, jako wyborczyniom, daną była możność wypowiedzenia swych zapa-

trywań i żądań, gdyby ich pewna liczba weszła nawet do naszych Izb i rad, gdzieby również mogły służyć swą radą i współpracą, zwłaszcza w zagadnieniach, w których są bardziej od mężczyzn kompetentne. I jeżeli te racye coś znaczą, to życzyćby wypadało, by nadano kobietom prawa polityczne coprędzej, zanim się wyzwolą z „religijnych przesądów".

Wzgląd na spodziewane dobro ogólne winienby, mojem zdaniem, być w naszej kwestyi decydującym. Na ruch emancypacyjny kobiet może zbyt patrzymy przez analogię z walkami partyi i klas społecznych. Nie chcielibyśmy, obok walki konserwatyzmu z liberalizmem, wsi z miastem, burżuazyi z proletaryatem, wywoływać jeszcze walki kobiet z mężczyznami. Sądzę, że i ta obawa jest płonną. Stworzenia jakiejś odrębnej kobiecej partyi, którąby stała w przeciwieństwie do ogółu mężczyzn, niema co się obawiać. Tem mniej zmajoryzowania mężczyzn przez kobiety na publicznej arenie. Już *a priori*, wychodząc z natury powołań i upodobań kobiety, można mieć pewność, — a potwierdza ją doświadczenie tych krajów, w których kobiecie prawa wyborcze przyznano, — że nigdzie, ani w parlamentach czy na sejmach, ani w radach lokalnego samorządu liczba kobiet nie dosięgnie połowy liczby ogólnej posłów czy radnych. Jeżeli tworzyć będą odrębne kluby, to głównie w celu zgodnego wyciśnięcia swego piętna na sprawach, które są im wspólne z mężczyznami. Pod względem przekonań politycznych, klasowych i t. p. wsiąkną w partye, dotąd istniejące, bo ich interesy to są interesy ich mężów, braci, słowem tego środowiska, z którego wyszły. Nawzajem, popierając dążenia kobiece, nie działamy dla jakiejś wrogiej nam, mężczyznom, klasy, gdyż działamy w interesie naszych matek, żon, sióstr i córek. Podnosząc je, podnosimy samych siebie w nich.

Przemawiając tedy za równouprawnieniem obywatelskiem kobiet, nie przemawiamy w imię jakiegoś ich wyłącznego interesu, przeciwstawionego interesom mężczyzn, ale w imię wspólnego dobra wszystkich. W równouprawnieniu kobiet dokona się wykończenie dzieła demokratyzacyi społeczeństw. Jak nieuzasadnionem i niesprawiedliwem wydaje się nam zastrzeżenie rządów i wpływów w życiu publicznem jednej jakiejś kaście, stanowi,

zawodowi, — powszechność da się pogodzić z rozumną proporcyonalnością wpływów, — tak niesprawiedliwem wydawać się powinno rezerwowanie tych rządów i wpływów wyłącznie jednej tylko płci.

Czy kobiety same dojrzały do tego, by je zrównać z mężczyznami we wszystkich prawach? Zapewne, że tłum ich nie jest do tego dostatecznie przygotowany. Ten tłum też zapewne do czynnej polityki cisnąć się nie będzie. Rzeczą klas wyższych, zwłaszcza kobiet inteligentnych, będzie pracować nad stopniowem politycznem uświadomieniem i wykształceniem ogółu kobiet. Ale weźmy kobiety inteligentne, mianowicie u nas. Czy nie dają one dowodów na każdym kroku, że umieją i po za domem pracować pożytecznie dla ogółu i że chcą tak pracować? Czy na naszych ziemiach powstało choć jedno poważniejsze dzieło o użyteczności publicznej bez ich udziału i poparcia? Kto głównie trudzi się nad oświatą ludową i patryotyczną, zwłaszcza na kresach? Kto spieszy z pomocą wszelkim opuszczonym i wydziedziczonym? Czyje ręce zbroją i ekwipują tych, co idą w bój za Ojczyznę, czyje ręce opatrują rany bohaterów i czyje serca żywiej boleją nad nieszczęściami i zawodami naszych nadziei? Dość postawić te pytania; odpowiedź na nie sama się naprasza.

Zdaje się więc, że nadszedł już czas, byśmy, i jako chrześcijanie i jako Polacy, wypowiedzieli ostatnie słowo zaufania do naszych kobiet. Niech uzyskają wszystkie p r a w a obywatelskie, by tem łatwiej i w pełniejszej mierze mogły wypełnić swoje względem społeczeństwa o b o w i ą z k i. Przygotowujmy nasze kobiety do tego zadania, by w nowych obywatelkach Kościół i naród zyskał nowy czynnik publicznego dobra i rozwoju chrześcijańskiej kultury.

Ks. Jan Urban.

Z działalności literackiej
KONSTANCYI MORAWSKIEJ.

Upływa rok, jak odeszła w lepsze życie jedna z najbardziej zasłużonych współpracowniczek Przeglądu powszechnego. Od samego początku pisma, przez cały szereg lat, zawiadamiała panna Konstancya swojem znakomitem piórem czytelników Przeglądu powszechnego o ważniejszych objawach życia publicznego i literatury. Publicystyka, oparta na dokładnej znajomości przedmiotu, zabarwiona temperamentem literackim, ciepłem uczucia, przejaśniona wysokim poglądem na świat, była i ozdobą naszego pisma i wielką zasługą publiczną. Odbijała się w niej podniosła dusza autorki, której całem dążeniem było budować Królestwo Chrystusowe w sobie i w drugich.

W rocznicę jej śmierci zamieszczamy niniejsze studyum Stanisława Tarnowskiego. Pierwszą część tego studyum, opisującą życie panny Konstancyi, zamieścił „Czas". Dodajmy, że niniejsza część omawia tylko drobną cząstkę twórczości literackiej autorki, o ile zamieszczoną była w pismach poznańskich i w krakowskim „Przeglądzie polskim". Pozostaje do omówienia olbrzymi dział jej pracy w „Przeglądzie lwowskim", w „Czasie" i w „Przeglądzie powszechnym".

Redakcya Przeglądu powszechnego.

Mówiła Konstancya Morawska o sobie, że przez dwadzieścia lat uczyła się, przez drugie dwadzieścia uczyła, a przez trzecie dwadzieścia pisała. Toby wskazywało, że chęć, popęd do pisania nie objawił się w niej, jak zwykle zaraz w młodości, ale aż w dojrzałym wieku. Czy jednak ten popęd nie dawał się jej czuć zamłodu, czy popęd i talent nie próbował się w jakich drobnych, dziś niezna-

nych pismach? Co pewna, to pisanie i ogłaszanie pism poczęło się i rozwinęło pod wpływem Stanisława Koźmiana. Czy znał może jakie jej próby pióra,, czy tylko z rozmów znał jej rozum, jej sposób myślenia i czucia, jej sąd o rzeczach i ludziach? Dość, że pobudził, wciągnął ją do pisania. Był on przyrzekł redakcyi Kuryera Poznańskiego dawać co tydzień jeden felieton, aż do liczby stu. Zaczęły się dnia 21 października, roku 1878, a skończyły się 11 września 1880. Sam, przy swoich mnogich zajęciach, nie byłby może zdołał dotrzymać przyrzeczenia, starał się więc o współpracowników, i zaprosił pannę Konstancyę. Pierwsze jej drukowane prace znajdują się w tych felietonach, które później wyszły, jako książka, pod tytułem „Z bliska i z daleka".

Powiedzmy naprzód, że to książka bardzo ładna, bardzo zajmująca. Cóż może być ciekawego w starych gazetach, a dopieroż w starych felietonach? Otóż w tych ciekawa i zajmująca jest najpierw treść zawsze rozumna, zawsze pożyteczna; a potem forma miła, żywa, we wszelkich tonach i odcieniach, od najpoważniejszych do lżejszych. Rozmaitość i obfitość wiadomości, jakie ten felieton podaje, spraw, o których mówi. Nigdy nic czczego, nic pisanego poto tylko, żeby było: zawsze albo wiadomość potrzebna, albo uwaga, (czasem nagana), niemniej potrzebna. Felieton dotyka spraw politycznych i społecznych, zdaje sprawę z nowości w literaturze polskiej i zagranicznej, udatnie zawiadamia o stanie rzeczy, o stosunkach różnych, nawet towarzyskich w innych częściach Polski: w Warszawie, w Krakowie, we Lwowie. Daje poznać stan opinii zagranicznej o Polsce i jej sprawach. O tem, co się dzieje w Wielkopolsce, mówi naturalnie najwięcej, czasem z upomnieniem lub krytyką, często z żądaniem, zawsze z miłością i doskonałem zrozumieniem potrzeb i obowiązków. Naprawdę, możnaby te sto felietonów uważać za wzór, za ideał tego, czem felieton być powinien, taka tam pilność i troskliwość, żeby czytelnikom dostarczyć zawsze czegoś potrzebnego i czegoś dobrego, taki rozum w wyborze i w przedstawieniu omawianych przedmiotów, taka zawsze poważna myśl, poważny cel patryotyczny, taka niewzruszona wierność zasadom i takie rzetelne, rzeczywiste oświecanie czytelnika.

Ale wszystke te felietony są bezimienne: żaden nigdy nie

podpisany. A więc: które są Koźmiana, a które panny Morawskiej? Napewno oznaczyć trudno; jednak na domysł można z pewnym podobieństwem prawdy rozpoznawać i przypuszczać. Często sama treść wskazuje autora mężczyznę, starszego i stojącego w samym środku spraw: częściej jednak widzi się różnicę w sposobie pisania, w języku i stylu. Doskonały język i styl Koźmiana jest zawsze zwięzły, oszczędny w słowach, przeważnie rozumowy i rzeczowy; język i styl panny Morawskiej, zawsze również poprawny i bez zarzutu, jest swobodniejszy, nie broni sobie dłuższego mówienia, lubi się rozszerzyć nad przedmiotem, a wydatnie zawsze daje poznać uczuciowość, która w naturze niewieściej objawia i odbija się mimowolnie łatwiej i częściej, niż w męskiej.

Na domysł zawsze, i nie ręcząc za prawdziwość domysłu, sądzilibyśmy, że sprawozdania o literaturze lub sztuce, że wiadomości o życiu w Królestwie lub w Galicyi, że wspomnienia o ludziach dawniej zmarłych, że ogłaszane nieznane wiersze lub listy poetów, są pisane przez pannę Morawską.

Spróbujmy na niepewne, na los szczęścia wymienić te, które szczególnie zwróciły na siebie naszą uwagę.

Tak naprzykład kilka przedmiotów o Klaudyi Potockiej, na podstawie jej listów. Jedne pisane są do matki męża, w roku 1831 zawsze pełne nadziei, potem pełne smutku, dalsze już z Drezna; drugie, późniejsze, do księżniczki Elizy Radziwiłłównej, tej, co kochała późniejszego cesarza Wilhelma, a przez niego niby była kochaną. Listy śliczne, pełne duszy, serca, poświęcenia, cnoty, i doskonale wykorzystane. Panna Morawska oprawiła je w ramy, które ślicznie uwydatniają szlachetność postaci. Szczegóły o śmierci pani Klaudyi, albo zupełnie niewiadome, albo przynajmniej dawno zapomniane, uzupełniają piękny szkic.

Niemniej ciekawy, także na podstawie listów, stosunek Niemcewicza do pani Edwardowej Raczyńskiej. Pokazuje się, że kiedyś, dawno, na kupno Ursynowa Niemcewicz pożyczył był dwa tysiące dukatów od Edwarda Raczyńskiego. Dług ten niezapłacony trapi go w emigracyi. Chciałby spłacić — nie może. Co gorzej, jest w wielkiej potrzebie pieniężnej, obawia się, że nie będzie miał z czego żyć. Pani Raczyńska przychodzi w pomoc i zrę-

cznie i delikatnie. On prosi, żeby się zajęła sprzedażą jego książek, ocalonych z Warszawy i z Ursynowa, a złożonych w Rogalinie. Sprawą kończy się tak, że Raczyńscy nabywają te książki za rentę dożywotnią, którą wypłacają staremu Ursynowi.

Bardzo ładny, bardzo zajmujący życiorys Marcinkowskiego, księdza Antoniewicza, Jenerała Chłapowskiego. Jenerała Morawskiego życiorysu niema, ale częste o nim wspomnienia żywo stawiają w oczach tę piękną postać.

Inne zaś felietony mówią o wywiezionych i zesłanych na Sybir, świeżo lub dawniej, a długie i piękne opowiadania o pani Róży Sobańskiej, (nie wymienionej z nazwiska) prawdziwej opiekunki tych nieszczęśliwych, przez cały ciąg jej długiego życia.

Sądzę, że wiadomości z Krakowa o karnawałach, o jubileuszu Kraszewskiego, o zmarłych (jak Piotr Moszyński), są także panny Morawskiej, a niemniej kilkakrotne upomnienia do zamożnych Wielkopolan, żeby zimowali w Poznaniu i mieli tam stałe mieszkania, co wzmocniłoby i polski charakter miasta i jego stan ekonomiczny.

Wiadomości o książkach niemieckich i francuskich, niektóre ze słusznem gorącem oburzeniem: o pismach peryodycznych, — a tu wiadomości, streszczenie i doskonały sąd o świeżo ogłoszonych Klaczki *Causeries Florentines,* przypisalibyśmy także pannie Konstancyi; jak i uwagi o chrzestnych imionach, dawanych dzieciom, albo wspomnienie świętych polskich, z powodu leżącej w Gnieźnie błogosławionej Jolanty. Felietony o muzyce świeckiej i kościelnej, z pewnością od niej też pochodzą, a prawdopodobnie i opowiadania o zmarłych, ukazujących się z tamtego świata, żeby żyjącym dać jaką wiadomość lub przestrogę.

Dużo wyjątków i bardzo zajmujących, z nieznanych listów Jenerała Morawskiego i Krasińskiego, i niemało ich wierszy wtedy nieznanych. Jenerała kilka bajek, parę wierszy lirycznych, kilka epigramów; Krasińskiego między innymi wiersz do E l i z y i streszczenie fragmentu W a n d y, o którym nikt wtedy nie wiedział, że jest na świecie.

A wszystko rozumne, wszystko słusznie, wszystko bardzo

ładnie, żywo pisane, i wszystko natchnione zawsze szlachetną myślą i szlachetnem uczuciem.

Oto nasze zdanie o pismach panny Morawskiej w *Kuryerze Poznańskim*. Ale sto felietonów nie było jeszcze skończonych, kiedy gdzieindziej zaczęły się ukazywać jej większe prace, mianowicie w *Przeglądzie Polskim;* a z rzewną, gorącą wdzięcznością zapisujemy jej przyjaźń dla biednego, dziś nieżyjącego pisma, któremu była wielką pomocą i wielką ozdobą.

Najdawniejsza, z roku jeszcze 1878, jedyna podpisana pseudonimem: Roman Nałęcz, to *Polacy i Polska w angielskiej powieści.* Pułkownik Monafield, przez dziesięć lat konsul angielski w Warszawie, po powrocie do Anglii wydał *A latter day novel,* na tle powstania roku 1863. W tej powieści złośliwości i niechęci do Polski dużo, prawdy niewiele, talentu nic. Sprawozdanie przytacza treść dość obszernie, a przypuszcza, że ona była może sposobem przeproszenia Rosyi za nieprzyjemność, jaką jej były konsul zrobił, kiedy przesłał swemu rządowi akta prześladowania Unitów podlaskich, ogłoszone w *Blue Book.*

Przerwa lat kilku, a później, w roku 1882: *Z korespondencyi Księżnej Łowickiej.* Przez Jenerała Chłapowskiego i pułkownika Gutakowskiego, szwagrów księżnej, panna Morawska była u najlepszego źródła tradycyi o niej; a u nich także, w Turwi, znajdowała wiele jej listów, i na tej podstawie zrobiła rzecz bardzo zajmującą i bardzo ładnie napisaną.

Wstęp mówi, bardzo słusznie, o potrzebie i pożytku pamiętników, wogóle zapisków z życia. Historya przechowuje pamięć faktów i zwrotów, ale „szczegóły giną, zacierają się fizjognomie, znikają rysy obyczajowego i towarzyskiego życia. Dlatego nigdy nie można dość upominać się i wołać o pamiętniki, a w nich o szczegóły, o wizerunki osób, choćby o drobiazgi i anegdoty. O Księciu Józefie, o Niemcewiczu każdy pamięta, o Staszycu i Woroniczu jeszcze niektórzy mają jakieś wyobrażenie, są nawet rzadcy, którzy wiedzą, kto była księżna Jenerałowa Ziem podolskich, albo księżna Wirtemberska; ale wiele postaci ciekawych, wiele rysów ówczesnego życia zaginęło już w niepamięci".

„Pomyślny traf, a raczej uprzejmość rodziny, połączonej

bliskiemi związkami krwi", podały autorce w rękę obszerną korespondencyę jednej z takich zapomnianych, zatartych postaci, „która współczesnych zachwycała swoim wdziękiem, a potomnych dziwi swoim losem": o Joannie Grudzińskiej, żonie Wielkiego Księcia Konstantego, księżnie Łowickiej.

Z uszanowaniem czyta się to opowiadanie.

Księżna Łowicka ukazuje się w niem, jako osoba bardzo dobra, co zresztą wszyscy współcześni przyznawali — i jako osoba szlachetna, która zawsze dobrze czuje. Jej listy tu ogłoszone świadczą ciągle i bardzo wyraźnie o podniosłości i delikatności uczucia, o duszy ugruntowanej w miłości Boga i w pobożności. Świadczą przytem, że ona nietylko dobrze czuje, ale dobrze myśli. Bez szczególnych darów umysłu, ma przecie sąd i zdanie o ludziach i rzeczach zdrowy, jasny, rozumny, ma dobrą radę dla drugich, ma znajomość świata i życia, i z tych listów robi wrażenie osoby rozumnej.

Panna Morawska mówi o niej z sympatyą i z politowaniem, lubi ją i żałuje jej. Prawda, że jest czego żałować: pomimo świetnych pozorów, życie smutne, od młodości do śmierci.

Rodzice rozwiedzeni: matka w drugim małżeństwie pani Brońcowa, „ograniczona, źle wychowana, płaskiego umysłu" — a prócz tego w wiecznych kłopotach pieniężnych.

Biedna panna Joanna czuła boleśnie swe fałszywe położenie. W jednym liście do przyjaciółek pisze: „O moje drogie, nie rozwódźcie się nigdy". Bywała i błyszczała w świecie, ale martwiła się tak, że zapadła w jakiś stan rozstrojenia, czy melancholii, tak, że posłano ją na kilka miesięcy dla wypoczynku na wieś do przyjaciół. Tam przyszła do siebie.

Jak przyszło do jej zamężcia? Wielki Książę oczywiście zakochał się; i bardzo, skoro dla tej miłości zrzekł się swego prawa do tronu, (którego zresztą nigdy nie pragnął). Dla jego brata, cesarza, i matki, był to dogodny sposób usunięcia od następstwa tronu człowieka tak niepoczytalnego charakteru i temperamentu. Ale panna Grudzińska co myślała? Jak i dlaczego się zdecydowała? Panna Morawska przypuszcza, że ona nie czuła się szczęśliwą w domu, że pragnęła zmiany, że miała już lat dwa-

dzieścia siedem, że była zmęczona, a nie przewidziała, że czekają ją gorsze zmęczenia; dalej, że trzechletnia stałość Wielkiego Księcia mogła ją jednak wzruszyć; że może i źdźbło próżności znalazło się w jej decyzyi; zapewne i nadzieja, że wpływem na męża będzie mogła działać dobrze dla kraju i dla ludzi — (w tem się zawiodła, bo na ślubie zapowiedział jej Wielki Książę, żeby się nie mięszała do niczego i nie wstawiała za nikim) — oto przypuszczalne powody jej decyzyi.

Z czasem przywiązała się szczerze, nawet bardzo do tego męża, który dla niej był dobry; ale początki pożycia jakie były? Księżna Łowicka w listach nie mówi nigdy prawie nic o sobie, tem bardziej nie zwierza się; nie może. Do sióstr pisze głównie o tem, co się ich tyczy. Jednak w jednym liście do krewnej i przyjaciółki mówi *„la lune de miel est une lune de fiel“*. Musiały być trudności w pożyciu, a była jedna wielka przykrość, kiedy Wielki Książę zmusił żonę, żeby była u jego dawnej kochanki, pani Fredericks. Była raz, u siebie jej nie przyjmowała. Ale syn tej pani chował się w Belwederze i księżna pielęgnowała go troskliwie. Rodzina męża była dla niej zawsze bardzo uprzejma, może szczerze życzliwa. Wiele taktu w postępowaniu: umiała dobrze zachowywać swoją pozycyę żony Wielkiego Księcia, a nie wysuwać się naprzód, nie dać nigdy uczuć różnicy w stanowisku jej a innych. Zdrowie było słabe i podróże dla kuracyi nieraz potrzebne.

29. Listopada, w napadzie na Belweder, ona uratowała zapewne życie mężowi, ukrywając go zręcznie. W Wierzbnie, kiedy Władysław Zamoyski traktował z Wielkim Księciem o zwolnienie wojska polskiego z przysięgi, ona była dużo bardziej stanowcza i bardziej gniewna, niż Wielki Książę.

W drodze do Rosyi, w Witebsku, śmierć Wielkiego Księcia na cholerę, 28. lipca.

2-go sierpnia z Wielkich Łuk pisze Księżna Łowicka do matki: „Opuściłam Witebsk, to miejsce boleści, a j e d n a k b ł o g o s ł a w i e ń s t w a“. Co to znaczy? Dlaczego miejsce błogosławieństwa? „Głucha wieść niesie, że w ostatniej chwili Księżna skłoniła męża do połączenia się z nią w jednej katolickiej wierze. Znając jej pobożność i przywiązanie do męża, przypuścić można,

że ta rzecz jest prawdopodobną. Ale dowodu na to w papierach, jakie mamy pod ręką, niema. W archiwum OO. Jezuitów ma się znajdować list, nie zostawiający żadnej pod tym względem wątpliwości. A ciągłe pełne ufności modły Księżnej Łowickiej za duszę małżonka utwierdzają nasze mniemanie, iż odtąd czuła się z nim w zupełnej jedności katolickiej wiary".

Chora od wiosny, parę razy ciężko, przyjeżdżała do Rosyi w złym stanie zdrowia. Wychodziła jednak, często przystępowała do Komunii; ale od września zapisuje ciągle w swoim dzienniczku: chora, chora. W listopadzie pisze do matki, że bardzo chora, bez pomocy nie może się obrócić na łóżku; parę razy przyjmowała wiatyk i oleje święte. Zapowiedziała, że umrze 29-go listopada i tak się stało (1831). Pochowana w kościele katolickim, w Carskiem Siole.

W testamencie, pisanym w Carskiem Siole 21-go września znajduje się następujące piękne postanowienie: „Wszystką własność moją w Polsce zapisuję królowi polskiemu, ktokolwiek nim będzie; to jest łączę ją do dóbr koronnych, należących do osoby monarchy. Nie będzie on mógł ich nigdy przedawać, ani zastawiać, ale mają przechodzić z ojca na syna, z monarchy na monarchę. Nie będzie mógł ani zaciągać długów, ani zamieniać tych własności na inne w innym kraju".

Swój piękny szkic o Księżnie Łowickiej kończy panna Morawska modlitwą za Marynę Mniszchównę, którą Krasiński kończył swego Agajhana: „Królowo Polski, daj jej zasiąść u stóp Twoich, bo korona Carów była dla niej wieńcem cierniowym, życie jej długą pielgrzymką, daleko od ojczyzny, wśród obcych i nienawistnych. Królowo Polski, zlituj się nad córą Twoją".

Ludwik Szymon Gutakowski, za Księstwa Warszawskiego Prezes Rady Stanu, a w końcu Prezes Senatu, pisał od młodości nie pamiętnik, ale raczej dziennik swego życia. Ten został w ręku jego syna, pułkownika Wacława, i na tej podstawie panna Morawska złożyła zajmujący wizerunek i życiorys człowieka bardzo godnego, który, bez wyjątkowych zdolności, rozumem i charakterem zdobywał sobie zaufanie i uszanowanie i doszedł do wysokich stanowisk.

Jako bardzo młody chłopiec, w towarzystwie równie młodego jednego z Sanguszków, jedzie do Francyi, bywa na dworze, przyjmowany aż dziwnie dobrze, skoro taki młodziutki cudzoziemiec siedzi przy obiedzie około jednej z córek Ludwika XV. Naturalnie bawi się w Paryżu. Stamtąd jedzie do Londynu ciekawy parlamentu i teatralnych widowisk; zapalony do dzieł sztuki jedzie jeszcze do Włoch; nawet na wiadomość o pierwszym rozbiorze nie wraca jeszcze do kraju. Ale później widzi się go w Radzie Nieustającej, w Sejmie Czteroletnim. Trzeci Maj wita z gorącym zapałem i ze świetną nadzieją. Rokiem później okropne wrażenie akcesu króla do Konfederacyi Targowickiej.

Przychodzi powstanie Kościuszki. Gutakowski bardzo niekorzystnie wyraża się o Kołłątaju, „którego kabała za cel zemsty brała Kościuszkę i Ignacego Potockiego". Klęska Maciejowicka, sprawa przegrana bez ratunku. Tu znowu bardzo niekorzystne zdanie o Zajączku: przy szturmie na Pragę „najpierwszy komendant najpierwszy z placu ujechał".

O rzezi Pragi szczegóły znane, zawsze okropne. Króla widuje Gutakowski często. Po rozkazie wyjazdu do Grodna, pierwszego wieczora widzi go smutnym, ale później spędza wieczory na oglądaniu rycin i na swobodnej rozmowie. A w Warszawie, jak teraz tu u nas, setki tysięcy ludzi czekają godzinami żeby dostać chleba, którego często nie dostają.

Przechodzą czasy pruskie: Jena, Francuzi w Poznaniu, w Warszawie. Puławski wysłany do Poznania na czele deputacyi z powitaniem Napoleona, który obiecuje niepodległość Polski, jeżeli ona postawi czterdzieści tysięcy ludzi.

Księstwo Warszawskie. Gutakowski w Dreźnie dla objaśniania Fryderyka Augusta o stanie kraju; mianowany Prezesem Rady Stanu, czyni zadość, jak może, wszystkim sprawom, a głównie stara się o obliczenie i ściągnięcie sum, należących się Księstwu od Francyi (sum bajońskich) nigdy, jak wiadomo, nie odebranych. Kampania roku 1809; radość z odebrania Krakowa. W roku 1810 Gutakowski mianowany Prezesem Senatu.

W październiku roku 1811 przerywa swój dziennicz ek, a wkrótce potem umiera.

Dobrze i słusznie się stało, że ten dzienniczek przeszedł przez ręce panny Morawskiej, i posłużył do odnowienia pamięci człowieka godnego, zasłużonego, dziś prawdopodobnie zupełnie zapomnianego. Jej zaś posłużył do wykonania, nam do czytania pracy zajmującej, nauczającej, a pisanej z życiem i z bardzo widocznym talentem.

Z Teki Jenerała Skrzyneckiego wychodzi na jaw wiele szczegółów z jego życia, niektóre wcale nieznane, wszystkie ciekawe, a nieraz bardzo piękne. Z jego później pisanego, prędko przerwanego małego pamiętnika wychodzą jego nauki szkolne wcale nie dobre jako nauka, gorsze — jako wychowanie, jako niedbałość o charakter i moralność uczniów. Po tej szkole chłopcy: Jenerał i jego starszy brat czują powołanie do wojska. Ojciec za radą dwóch kupczyków z Krosna chce ich oddać do szkoły wojskowej w Wiedniu; oni się opierają, ale nakaz stanowczy — trzeba się wybierać. Na wiadomość o Jenie, o Francuzach w Poznaniu, w Warszawie chłopcy bez wiedzy ojca przekradają się przez granicę i zaciągają się do wojska.

Z kampanii napoleońskich jedna chwila bardzo piękna, to kiedy cesarz pod koniec wyrzuca wojsku polskiemu, że ono i Polska nie dość dla niego zrobili, jeden młody oficer odpowiada: „Gdybyśmy nie byli doznali tylu przeszkód od twoich podwładnych, byłbyś dopiero widział, czegośmy zdolni dla Ojczyzny i dla ciebie“. Ten młody oficer to Skrzynecki. W kilka miesięcy później, pod Assis sur Aube, Napoleon w niebezpieczeństwie życia: ratuje go ten sam oficer, biorąc go w środek czworoboku, sformowanego z polskich żołnierzy. Czy mu oddał dobrą usługę? Może było by lepiej dla Napoleona, gdyby był wtedy zginął: nie byłby doczekał Waterloo i Stej Heleny.

Z roku 1831, z kompanii, listy i kartki do żony, potem znowu po Grochowie, po Wawrze i Dębem; to, co i inni mówią o Skrzyneckim w tych bitwach, im dalej, tem smutniejsze: Wspaniała mowa Skrzyneckiego pod Bolimowem: zdawał dowództwo Dembińskiemu. Po wzięciu Warszawy Skrzynecki się ukrywa, w przebraniu się wykrada, dostaje się do Kielc, do Krakowa. Ale

tu mają wkroczyć wojska rosyjskie: Kasztelan Wężyk wywozi go na Podgórze i tam oddał pod opiekę konsula austryackiego.

Odtąd Skrzynecki internowany: naprzód w Linzu, później w Pradze.

Za tego pobytu w Linzu spada na niego potwarz, godna ręki, która ją rzuciła. Sławny Adam Gurowski, założyciel Towarzystwa Demokratycznego, wtedy ukryty agent rosyjski, a później otwarty zdrajca, ogłosił w jakimś piśmie: *Cabinet de Lecture*, że Skrzynecki układał się z rządem rosyjskim o cenę, za jaką podda mu Warszawę. Oburzenie uczciwych ludzi; pismo zmuszone ogłosić zaprzeczenie. Skrzynecki odbiera listy pełne tego oburzenia, między innymi kilka bardzo serdecznych od Kniaziewicza i od niego powtarzana prośba, żeby pisał swoje pamiętniki, a w nich cały przebieg wojny roku 1831. Skrzynecki sam nie odpowiada na potwarz.

Z Linzu przeniesiony do Pragi, i tu tworzy się związek dwóch dusz szlachetnych, dwóch umysłów niepospolitych, złączonych jedną miłością Boga i wszystkiego, co dobre, wspólnością zasad i przekonań, i złączonych przyjaźnią, w której ze strony starszego jest jakaś powaga i pieczołowitość, ze strony młodszego — synowska prawie ufność i powolność. Ten starszy — to Skrzynecki, ten młodszy — to Montalembert.

Staje przed Jenerałem młodzieniec nieznany, ale gorąco miłujący Polskę i dlatego szukający jej byłego Wodza Naczelnego. Zbolały jest bardzo. Dziennik *l'Avenir*, którego był gorliwym i zapewne najzdolniejszym współpracownikiem, zganiony w Rzymie, jako zbyt liberalny. Młody Montalembert się poddał; na razie poddał się i ksiądz Lammenais. Ale zawód młodzieńca był wielki, a ból gorzki. Szuka uspokojenia, skupienia, w nauce i w samotności; szuka jej w Monachium i stamtąd pisze do Skrzyneckiego: „Nie mam nikogo na świecie, którego opinia tyle, co twoja, miałaby dla mnie powagi“ i przekłada mu wszystkie swoje wątpliwości, zamiary na przyszłość, sądy o stanie Francyi.

Ale oprócz tego przekłada mu i swoje sprawy sercowe. Kocha się w księżniczce Jadwidze Lubomirskiej, późniejszej księżnie de Ligne, i rady, pomocy, może pośrednictwa szuka u Skrzynec-

kiego. Nadziei wiele nie ma, ale kiedy ją stracił, ból był wielki; i po paru latach dopiero przyszedł do przekonania, że tak może lepiej dla niej i dla niego. Żadnej goryczy w jego sercu, owszem życzenie szczęścia, kiedy wychodziła za mąż, i szczera przyjaźń dla jej brata, księcia Jerzego.

Ale kiedy Lammenais, mistrz jego młodości i, rzec można, jego ideał, zbuntował się i zerwał z Kościołem, kiedy wydał swoje *Paroles d'un croyant*, a te rozchodziły się w setkach egzemplarzy, wtedy biedny młodzieniec doznał najboleśniejszego rozdarcia, i wtedy Skrzyneckiego roztropna czułość koiła jego cierpienie, ułatwiała równowagę. „Skrzynecki ukrzepiał Montalemberta przedewszystkiem mocą wielkiej wiary: wielką część zasług znakomitego obrońcy Prawdy odnieść należy do kierownika i wybranego ojca jego młodości."

Ale nawzajem i on, młodszy, uspokaja starszego, pomaga mu do równowagi. Skrzynecki jest zbolały Encykliką Grzegorza XVI. do Biskupów polskich. Montalembert tłomaczy, przypomina niewiadomość, w jakiej Polacy sami utrzymywali Stolicę Stą, i to, co Grzegorz XVI, lepiej uwiadomiony, od tego czasu mówił i robił.

Przychodzi sprawa powołania Skrzyneckiego do służby belgijskiej. Król Leopold — nie bez wpływu Montalemberta i krewnych jego żony (de Merode), — ofiaruje mu naczelne dowództwo swego wojska. Jenerał radzi się księcia Adama Czartoryskiego, radzi się innych jenerałów, radzi się zwłaszcza własnego sumienia i przyjmuje. W przebraniu wyjeżdża z Pragi, drogą na Anglię dostaje się do Brukselli. Wtedy książę Metternich ogłasza, że Skrzynecki dał słowo, że bez pozwolenia Austryi nie opuści, i że to słowo złamał. Skrzynecki odpowiada dumnie, że słowa takiego nigdy nie dawał, i protest ten ogłasza. Ale z tego powodu omal nie przyszło do odwołania posła austryackiego z Belgii.

Przyjaźń dotrwała do końca, a po śmierci Jenerała, na krótko przed własną śmiercią, Montalembert przesyła jej ostatni wyraz w serdecznym liście do pani Skrzyneckiej.

Panna Morawska kończy swoją piękną pracę o Skrzynec-

kim przytoczeniem słów, napisanych po jego śmierci przez Maurycego Manna.

Leon Ulrich, to jedyny, jaki jest, przynajmniej o jakim wiemy, życiorys zasłużonego tłumacza Szekspira. Życiorys zajmujący: życie bardzo smutne.

Po roku 1831 emigracya i bieda do śmierci. Zrazu w południowej Francyi, na różnych miejscach, najdłużej w jakiemś miasteczku Langon, i zarabianie na życie lekcyami i artykułami do dzienników. Stanisław Koźmian, kolega ze szkół lubelskich jeszcze, wyrabia mu w Anglii miejsce dozorcy chłopców w jakimś zakładzie naukowym. Przyjmuje, ma sposób do życia i spędza tam lat kilka, ale to dozorowanie chłopców tak go nuży i nudzi, że wytrzymać nie może i wraca znowu do południowej Francyi. Za tego pobytu w Anglii zaczęły się jego i Koźmiana przekłady z Szekspira. We Francyi zawsze to samo, zawsze troska o chleb powszedni, znowu lekcye po wiele godzin na dzień i znowu zarobek tak mały, że ledwo wystarcza na najskromniejsze życie. Do tego samotność, niemożność zamiany myśli z kimkolwiek, brak książek. A mimo to, ciągła praca, ciągłe tłomaczenie Szekspira, Aristofanesa, Plutarcha. Jedyna pociecha to korespondencya z Koźmianem i jedno spotkanie z Janem. Przyjaźń szczera, obustronna, pomimo wielkiej różnicy w pojęciach politycznych, a zwłaszcza religijnych. W politycznych zmiana wskutek nieszczęścia roku 1846, religijne zawsze, zdaje się, pozostały bez zmiany. W roku 1848 jest Ulrich w Krakowie. Z Szukiewiczem wydaje *Jutrzenkę*, ale krótko; przez rząd zmuszony do wyjazdu. Koźmianowie namawiają Ulricha, żeby się przeniósł do Wielkopolski, gdzie mu będzie i łatwiej i lepiej: nie chce; zostaje w swojem Langon, lub w Bordeaux i zawsze to samo: zawsze cały dzień lekcye po czwartych piętrach. Głos mu ochrypł z ciągłego mówienia, wzrok zaczął słabnąć — i tak ciągle, aż do lat siedemdziesięciu! A jednak nie przestaje pracować, pisać; tłomaczy zawsze: po Szekspirze — Aristofanesa. Już po śmierci księdza Koźmiana nalega na niego Stanisław, żeby się przeniósł do Poznania, i znowu napróżno, nie chce. Umarł w roku 1885; szczegóły śmierci nieznane.

W jednym ze swoich listów pisze Ulrich, że „przemarnował życie". Na to odpowiada panna Morawska, że „kto polskiej mowie przyswoił Szekspira, Aristofanesa i Plutarcha, ten zaiste dobrze się zasłużył Ojczyźnie i potomności".

Stanisław Koźmian to niewątpliwie jedna z celniejszych prac panny Morawskiej. Bardzo dokładny, nawet szczegółowy życiorys znakomitego człowieka, żołnierza, emigranta, pisarza, uczonego, wreszcie na polskiej ziemi i wiejskiego gospodarza, i duszy wszystkich prac i instytucyi naukowych, w końcu Prezesa Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a przytem wizerunek osobistości, umysłu, charakteru, duszy człowieka tak wierny i żywy, że czytelnik nieledwie widzi go przed sobą i z uszanowaniem, z rozrzewnieniem wpatruje się w tę postać. Co sprawiło, że ona staje w oczach tak wyraźnie i tak pięknie? Oto gorące przywiązanie, cześć, wdzięczność piszącej dla zmarłego. „*Duca, signore, e maestro,* chciał mi być tym wszystkiem", pisze panna Morawska, a to, co ona pisze, „będzie wypłaceniem się z długu wdzięczności i robotą miłości". Tę „robotę miłości" czuje się w całym ciągu pracy, na każdej karcie, i to sprawia jej urok; a doskonała znajomość Koźmiana i okoliczności jego życia jest podstawą realną, faktyczną, na której ów pierwiastek uczuciowy rzuca swoje piękne, ujmujące światła i barwy.

Młody chłopiec, przeniesiony z Lublina do Warszawskiego Liceum, na pierwszej lekcyi trafia na czytane w klasie wypracowanie jednego ucznia, chłopczyka o czarnych oczach, rumianej twarzy, kędzierzawych włosach. Drugi, starszy, wyższy, z radością widzi powodzenie młodszego, słyszy oddawane mu pochwały. Po lekcyi obaj życzliwie zbliżają się do nowego przybysza i zawiązują znajomość, która miała się stać przyjaźnią na całe życie. Ten młodszy, to Zygmunt Krasiński, ten starszy — to Konstanty Gaszyński.

Zaczyna się to, co Krasiński nazywa „Erą Fajkową", nieskończone rozmowy w jego pokoju o wszystkiem, głównie o literaturze, zwłaszcza o poezyi. Uniesienia nad Mickiewiczem, nawet obrona jego przed stryjem Kajetanem Koźmianem; uniesienia nad śpiewem panny Sontag; i pisanie, nawet drukowanie pierwszych

wierszy. Wespół z Gaszyńskim założył pierwsze pismo: *Pamiętnik dla Płci Pięknej* i w nim ogłaszał swoje młodociane wiersze. W takich zajęciach zastał Koźmiana 29 Listopada. Obaj bracia: Stanisław w dziewiętnastu, Jan w szesnastu latach, zaciągnęli się zaraz do wojska Już w wojsku pisał przecie jakiś dramat: *Szpieg* i tłomaczył Clavigo z Göthego, i nawspół z Ulrichem Wilhelma Tella Schillera. Ale poszli obaj w pole, w korpusie Sierakowskiego naprzód, później Ramoriny. Pod Ołtarzewem wzięci do niewoli, uciekli jednak szczęśliwie i dostali się do Warszawy. 8 września prześli w nocy na Pragę, stamtąd przez Płock do pruskiej granicy i koniec.

Emigracya. Zrazu w Brukselli; z bardzo małym zasobem pieniędzy; krótko tam bawią; ciągnie ich do Paryża. Ale tu emigracyjne swary jeszcze smutniejsze, niż samotność w Brukselli, i Koźmian czuje, że tu długo nie wytrzyma. Brata Jana wysyła do Tuluzy na studya prawnicze, sam wyjeżdża do Anglii.

Pieniędzy ma tak mało, że ledwie na dwa miesiące wystarczą. Co poczmie? Z czego będzie żył? Dał sobie radę. Przeniósł się do Birmingham, gdzie ciszej i taniej, znalazł przyjaciół, pisuje różne artykuły do dzienników, uwiadamia i objaśnia o Polsce; nawet krótką historyę literatury polskiej i literatury rosyjskiej. A trafił właśnie na czas, kiedy sympatya dla Polski była nie w stanie usposobienia Anglii, ale w modzie. Przez te prace staje się pożytecznym sprawie i staje się znanym. A równocześnie rośnie w nim miłość Szekspira i budzi się pierwsza myśl o tłomaczeniach.

Z Birmingham wraca do Londynu. Jego artykuły o Polsce zwróciły uwagę Lorda Dudley Stuart. Ten już od roku 1832 założył był *Towarzystwo Przyjaciół Polski*, a teraz zażądał pomocy tego młodego Polaka. Podawał mu pomysły do artykułów. Z najgorętszym zapałem, z najrzewniejszą wdzięcznością mówi o nim Koźmian w swojej książce: *Anglia i Polska*. Ta książka, jak była w swoim czasie, tak jest na dziś i na zawsze doskonałym zbadaniem i opisem usposobienia Anglii względem Polski, dla nas doskonałą wskazówką, czego z tej strony możemy, raczej nie możemy się spodziewać. Na tej książce także teraz zbierają się materyały.

Ale Lord Dudley Stuart zapragnął mieć Koźmiana przy sobie i zrobił go sekretarzem *Towarzystwa Przyjaciół Polski.*

I teraz dopiero praca jeszcze większa, nieraz po całych nocach: „każdy wniosek w parlamencie, każdą przemowę, manifest, list, sprawozdanie, artykuł w sprawie polskiej trzeba było obrabiać". W tej pracy — jeden krótki odpoczynek: podróż do Włoch z bratem w roku 1843, i wtedy w Rzymie spotkanie pierwsze od warszawskich czasów z Krasińskim, już zaręczonym.

Po powrocie — prace te same: ale zmęczenie, tęsknota, pragnienie powrotu coraz większe. Zwłaszcza odkąd brat dostał pozwolenie przyjazdu do Wielkopolski, odkąd się ożenił i osiedlił w Berlinie, pragnienie to wprawia Koźmiana w zły stan zdrowia. W roku 1844 Jan Koźmian zakłada *Przegląd Poznański.* Stanisław zdaleka tylko daje mu pomoc, posyła artykuły, wiadomości o Anglii, sprawozdania; a w tej ogromnej pracy nie zaniedbuje przecież przekładów z Szekspira; owszem kwapi się gorąco, żeby je dalej prowadzić i kończyć. Znajomości stosunków, przyjaźni w angielskim świecie coraz więcej. Tomasz Moore ze łzami witał tłomacza Peri i Raju. „Nigdy nie byłem tak rozrywanym i zapraszanym, nigdy tak zajętym i potrzebnym". Ale tęskni, pragnie się wyrwać, przez całe lata.

W jesieni roku 1846 wielka pociecha. Ma zamiar jechać do Rzymu; po drodze zatrzymuje się w Heidelbergu i przypadkiem spotyka tam Zygmunta Krasińskiego. Kilka tygodni razem spędzonych. Krasiński zbolały strasznie wypadkami galicyjskimi; w długich przechadzkach i rozmowach wynurzają się jeden przed drugim z tem, co ich boli, z tem, czego pragną. Wtedy Koźmianowi przychodzi myśl napisania *Do Mistrzów Słowa.* Pokazuje wiersz Krasińskiemu, jako niby z Paryża przysłany, a ten przypisuje go Słowackiemu, ale gdy doszedł do końca, krzyknął: „To ty!"

Ale następnej wiosny prośba, nalegania, żeby Koźmian podpisał się jako autor, na drukującym się właśnie *Ostatnim.* „Przyjąłem ten ciężar; dla takiego serca każda ofiara była miłą". *Ostatni* wyszedł, jako pisany niby przez autora *Do Mistrzów Słowa.* Ale Krasiński chciał nadto, żeby na mające się zrobić wydanie jego dzieł dawniejszych, Koźmian położył swoje nazwisko. Temu już

oparł się stanowczo: ten podpis nawet nie byłby nikogo oszukał, bo autor *Nieboskiej* i *Irydyona* był wszystkim wiadomy.

W jesieni roku 1847 znowu kilka tygodni razem w Heidelbergu, i wtedy bardzo ładny odwet Koźmiana. Napisał niby część dziesiątej pieśni Czyśca Dantego, tej, w której pokutują samochwalcy i próżni, a między tymi jest jeden pokutujący za to, że chodził w chwale nie swojej, choć bez swojej winy. Rzecz bardzo ładna, bardzo zręcznie w dantejskim stylu utrzymana, przez pannę Morawską pierwszy raz drukowana.

Pewnego dnia Krasiński nie zastał Koźmiana w domu i na jego stole napisał wiersz:

„Gdy czyhał na mnie północny morderca —
Ty byłeś dla mnie widomym aniołem,
Opieką bożą w człowieka postaci,
Za co dziękując, przyklękam przed Panem
I proszę Pana — niech tobie zapłaci".

W listach prozą Krasiński powtarza nieraz to samo, a Koźmian w swoich zapiskach mówi: „Dał mi Bóg przyjaźń Zygmunta gratis, najwyższą łaskę z łask swoich... Jego najwyżej między ludźmi stawiałem, a najserdeczniej obok mej żony, dzieci i brata ukochałem".

I pod względem religijnym działa Koźmian na Krasińskiego, który wtedy jeszcze przypuszcza jakąś ewolucyę w Kościele. Koźmian, mocno ustalony w katolicyzmie, zbija te jego zapatrywania.

W zimie z roku 1847 na 48, w Rzymie, ma chwilę wahania, pytania, czy ma wstąpić do stanu duchownego. Sam w sobie nie widzi jasno: szuka rady u księdza Kajsiewicza, i postanawia dalej służyć Bogu w stanie świeckim.

Na wiosnę roku 1848 krótki pobyt w Berlinie, w Wielkopolsce, ale niebawem nakaz wyjazdu, powrót do Anglii, i w roku dopiero 1851 pozwolenie powrotu, kupno Przylepek, zawód wiejskiego gospodarza. W roku 1853 ożenienie z panną Felicyą Łempicką. Ale niebawem brat Jan stracił żonę, postanowił zostać księ-

dzem i wyjechał do Rzymu, na nauki teologiczne. Na Stanisława spada teraz cały ciężar *Przeglądu Poznańskiego.*

Z rokiem założenia *Towarzystwa Przyjaciół Nauk* zostaje naturalnie jego członkiem. W roku 1867 przenosi się na stałe do Poznania; w 1870 wydaje dwa tomy swoich pism: w pierwszym wiersze, w drugim doskonałe i świetne pisma prozą. Wreszcie po śmierci Libelta w roku 1875 zostaje Prezesem Towarzystwa.

Tchnął w nie nowe życie. Stanął gmach muzealny, imienia Mielżyńskich, zbiory w galerye rozmieszczone, uporządkowane, biblioteki otwarte na użytek publiczny, mnożą się nakłady i wydawnictwa, sypią się hojne ofiary, rozszerzają się stosunki z instytucyami naukowemi. Prezes żyje w tem Towarzystwie, które kocha całem sercem, a należnej mu płacy nie tyka nigdy, składa ją na potrzeby Towarzystwa.

A własne prace nie ustają. Wychodzą trzy tomy przekładów Szekspira; wychodzi *Anglia i Polska,* dawniejsza *Podróż nad Renem i w Szwajcaryi.* Czynność tem dziwniejsza, że z wiekiem Koźmian czuje się coraz bardziej osamotnionym, tęskni za tymi, których utracił; z tych strat najboleśniejsza śmierć brata w roku 1877. Ale i ta go nie złamała. Ciągle ta sama czynność, w Towarzystwie i poza Towarzystwem; opieka nad *Kuryerem Poznańskim* i felietony wydane jako: *Z bliska i z daleka;* wciąganie, zachęcanie, kształcenie współpracowników młodszych — głównym, a właściwie jedynym była panna Morawska — czytanie wszystkiego ważniejszego, co przynosiła literatura polska, uniesienia nad *Ogniem i Mieczem.*

W lutym roku 1884, przy rannej modlitwie atak paraliżu. Połowa ciała porażona; z czasem różnica i w umyśle: chwilowe napady nieprzytomności. „Płakał wtedy, jak dziecko, a zapytywany o rodzaj cierpienia, odpowiadał z rozdzierającym wyrazem bólu: taka tęsknota! taka udręczająca tęsknota". Czasem probował pisać — niewyraźne zygzaki; czasem powtarzał sobie słowa lub urywki z Szekspira.

Powtarzając słowa Litanii: „Módl się za nami", skończył 23 kwietnia 1885 roku.

Ten życiorys to rzecz wielkiej wartości i wielkiego wdzięku.

Wielkiej wartości, bo jedyny tak obszerny, tak dokładny: daje poznać cały bieg życia znakomitego pisarza i doskonałego człowieka, i daje poznać jego naturę, jego duszę. Przez to ma prawo i powinien zostać w literaturze polskiej, a ktokolwiek będzie chciał zająć się Stanisławem Koźmianem, będzie musiał udać się do tego źródła.

A wielkiego wdzięku dlatego, że pisany z żywem uczuciem, bez żadnego panegiryzmu, ani przesady, ale z gorącem przywiązaniem do Koźmiana. Dlatego on tak dobrze znany, tak dobrze oświecony, a jego żywot dlatego tak ujmujący: nietylko zajmuje czytelnika, ale go ujmuje dla Koźmiana i dla jego biografa.

Po śmierci B o h d a n a Z a l e s k i e g o, którego pna Morawska ładnie nazywa poetą tęsknoty, jego życiorys, pisany z wielką miłością dla niego, z wielkiem współczuciem dla jego smutków i cierpień. Obszerny, opowiadający cały przebieg życia poety, trafnie i wybitnie wydobywa na wierzch główne zwroty jego życia, ilustruje je dobranymi wyjątkami z wierszy lub listów, wnika w duszę poety i daje ją trafnie poznać. Niewzruszona prawowierność katolicka Zaleskiego, jego stanowisko względem Mickiewicza i Towiańszczyzny, występują tu z całą mocą. W tej pracy miała panna Morawska źródło jedno, nikomu przedtem nieznane: to liczne a bardzo serdeczne listy poety do Jana — później księdza — Koźmiana. Śliczne listy, pełne tęsknoty, smutku, ale pełne także wiary i ufności w Bogu. Ale między listami Zaleskiego jest parę takich, które się czyta ze szczególną ciekawością. Brat autorki, Zdzisław Morawski, wtedy piętnastoletni studencik, zdobył się na odwagę napisania do starego poety, którego gorąco podziwiał i kochał, z prośbą o wiadomości i objaśnienia w kwestyi Mickiewicza i Towiańszczyzny. Zaleski odpowiada mu serdecznie, donosi, że nawet po zerwaniu z Towiańskim, nie wymurzał się nawet przed najbliższymi przyjaciółmi o swoich przekonaniach religijnych, ale wiadomo, że umarł po katolicku. Kończy zaś Zaleski tak: „Czcić mamy Mickiewicza Adama, atoli z restrykcyą katolicką, oraz modlić się zawsze za jego duszę. Do spółki duchowej ze mną zapraszam cię w tej mierze. Po ojcowsku kreślę znak krzyża nad czołem twojem, z błogosławieństwem na poczciwy żywot. Żyw święty zapał w młodem sercu... Przyciskam cię z czułością do piersi mej, miły gim-

nazyasto".. Listów podobnych jest parę: jeden do całego grona wychowańców księdza Koźmiana, z okazyi uroczystości, urządzonej na dzień jego imienin w roku 1876. W liście tym pisze Zaleski: „Wielkopolanie! wy jesteście obecnie pociechą i chlubą dla wszystkich innych spółziemian!"

Smutki coraz większe, coraz częstsze: śmierć córki, potem śmierć zięcia, starość daje się czuć: słuch słabnie, wzrok słabnie, tylko duch nie słabnie. W roku 1881 jedzie stary Bohdan do Rzymu na pielgrzymkę słowiańską. Mam go jeszcze w oczach, jak klęczy przed Leonem XIII, szczególnie łaskawie przez niego podnoszony, i przygarnięty. Potem jeszcze rzewnie przyjmuje uroczysty obchód swoich ośmdziesięciu lat, boleje nad śmiercią księdza Jełowickiego, martwi się pogłoską o zamierzonem niby odwołaniu księży Zmartwychwstańców z Paryża; śmierć księdza Koźmiana opłakuje w liście do Zdzisława Morawskiego, a list ten kończy: „Nastąpią czasy prób dla nas. Po katolicku, młody ziomku, módlmy się tem strzeliściej o zmiłowanie Pańskie dla świętego Kościoła i dla naszej Polski".

W ostatniej chorobie, po Sakramentach, prosi go ksiądz o błogosławieństwo dla kraju i ziomków. Umierający podniósł rękę i skonał. Ostatnią jego myślą na ziemi było to błogosławieństwo; powtarza je teraz z góry.

Panna Morawska tak kończy ten życiorys:

„Co z duszy Bohdana Zaleskiego płynęło, było zawsze przejrzystem i przeczystem, i dlatego pieśń jego, pieśń wiary, nadziei, miłości i tęsknoty, pozostanie jednym z najlepszych i najpiękniejszych pomników polskiej mowy, uczucia i natchnienia."

K a r d y n a ł N e w m a n to niezmiernie zajmująca wiadomość o znakomitym człowieku, którego życie wywołało zmianę w całem stanowisku katolików w Anglii. Rzecz przytem w treściwości swojej doskonale zbudowana i napisana, pociąga formą, kiedy treścią przykuwa.

Młody profesor oksfordzkiego uniwersytetu miał sławę wielkiego kaznodziei. Ludzie uczyli się na pamięć ustępów z jego kazań, a mówili, że nikt nigdy równego wrażenia nie robił. Przesiąkły był wszystkiemi protestanckiemi i angielskiemi uprzedzeniami do

katolicyzmu, ale cierpiał nad stanem angielskiego Kościoła. To nie Kościół, to jakaś instytucya rządowa. (Taką prędzej czy później stać się musi każdy Kościół osobny, narodowy). On chciał swój Kościół podnieść, uduchownić, marzył o przywróceniu mu świętości apostolskich czasów. Zagłębiał się w Ojcach Kościoła i wydał tak zwane *Tracts,* które miały ogromny rozgłos.

W tym czasie rząd zamianował niejakiego doktora Stampden profesorem teologii w Oksfordzie, a następnie biskupem, pomimo jego aryańskich pojęć i nauk. Oprócz tego zamianował rząd biskupa dla Jerozolimy, ale takiego, który miał być wspólnym biskupem dla anglikanów, lutrów, kalwinów, nawet nestoryanów i eutychianów. To wkroczenie władzy świeckiej w sprawy duchowne i kościelne oburzyło Newmana i wywołało jego sławny traktat dziewięćdziesiąty, zawierający krytykę trzydziestu dziewięciu artykułów anglikańskiego kościoła i dowodzący, że w kościele pierwotnym znajdują się wszystkie nauki rzymskie. Wrzawa nie do opisania: biskupi żądają zaniechania Traktatów, uniwersytet potępia ostatni. Udał się do pobliskiego Littlemore i tam urządził rodzaj klasztoru dla siebie i swoich towarzyszy. Życie ascetyczne, aż do przesady, nabożeństwo w niektórych formach zbliżone do katolickiego. Z tych towarzyszy niejeden został katolikiem. W nim także bezwiednie rozwija się katolickie przekonanie i pragnienie zmiany wiary, aż w roku 1845 przyzwał księdza, złożył przed nim wyznanie wiary, odbył spowiedź i przyjął Komunię świętą. Następnej niedzieli był na mszy w katolickim kościele.

Jego przejście przez to stało się jawnem. W całej Anglii wrażenie niesłychane. Gladstone pisał, że to od czasów Reformacyi najważniejszy wypadek w Anglii na polu religijnem. Powtarza to Lord John Russell i Disraeli. Nowonawrócony jedzie do Rzymu. Za wskazówką Piusa IX wstąpił do zgromadzenia Oratoryanów i, wyświęcony na kapłana, odprawił pierwszą mszę i wrócił do Anglii, jako zakonnik. Osiadł na resztę życia w małem miasteczku Edgbaston.

Kiedy w roku 1850 Pius IX wprowadził hierarchię biskupów katolickich w Anglii, wybuchły gwałtownie wszystkie nienawiści do Kościoła i zwracały się przeciw Newmanowi. Jakiś Włoch

rzucił na niego potwarz; on wytoczył proces, dał dowody potwarzy, ale mimo to skazany został na zapłacenie kosztów procesu, wynoszących dwanaście tysięcy funtów szterlingów. Tych oczywiście nie miał; zebrały się drogą składek. Ale po tym wyroku sądu pisał *Times*, iż katolicy mają prawo mówić, że niema dla nich sprawiedliwości w Anglii.

Na te liczne napaści i potwarze odpowiedział w roku 1864 książką pod tytułem *Apologia pro vita sua*, która się stała wielkim wypadkiem, bo zwróciła na Newmana nietylko opinię, ale i serce ogromnej większości Anglików. Uniwersytet oksfordzki mianował go honorowym członkiem jednego ze swoich kolegiów. Papież mianował go kardynałem.

Po tej nominacyi podróż do Rzymu, ostatnia. Od roku 1879 zdrowie zaczęło słabnąć; czynność nie ustawała. Skończył, mając lat dziewięćdziesiąt, po krótkiej chorobie. Na pogrzebie tłumy; bardzo wiele protestantów, uniwersytet oksfordzki. W pismach publicznych słowa, że „każdy prawy Anglik już go w swem sercu kanonizował. Wiele on zdziałał piórem i słowem, więcej otwartą księgą swego życia".

Ten żywot, ten psychologiczny proces powolnego nawrócenia, jego wpływ na stanowisko katolików w Anglii, torowanie drogi ku poznaniu prawdy przez to społeczeństwo, przedstawiła panna Morawska tak doskonale, że pracę tę należy zaliczyć do jej najcelniejszych i najświetniejszych.

Dość znaczna liczba prac, spowodowanych cudzemi książkami, i wiadomości o takich i sprawozdania. Ale w tych sprawozdaniach występują zawsze dwie rzeczy własne: Jedna — to sposób pisania, żywy, zajmujący, wdzięczny; a druga — to własna myśl i własne uczucie, które dyktują autorce spostrzeżenia, uwagi, zawsze rozumne, zawsze ożywione i kierowane szlachetnem sercem, niezwykłym rozumem i ciągłą, gdy jest sposobność ku temu, pamięcią i baczności na polskie sprawy, potrzeby, usposobienia.

Niema takich w pracy o Byronie. *Nowa Biografia Byrona* to sprawozdanie z książki: *The real Lord Byron*, by I. C. Jeofferson.

Książka musi być wiele warta i zajmująca. Tłomaczy psy-

chologiczne wpływy, które od dzieciństwa na niego działały i spowodowały jego usposobienie i jego liczne zboczenia i błędy. Grunt duszy zostaje jednak zawsze szlachetnym, a sumienie, nawet uczucie religijne, nie znikły nigdy. Co dziwne, że podług tego biografa, jedyną kobietą, którą Byron naprawdę bardzo kochał, była... żona. Ta musiała być nieznośna, sztywna i kwaśna istota, zdolna odstręczyć i odstraszyć od cnoty. Jeszcze po śmierci Byrona prześladuje jego siostrę, pisze i drukuje o niej potwarze. On tymczasem do śmierci pragnie zbliżenia, pojednania. Pani Guilccioli była podług biografa pospolitą i umysłem i charakterem.

Wawrzyniec Oliphant (Episodes in a life of adventure, by Lawrence Oliphant) to sprawozdanie z autografii człowieka bardzo niezwykłego, pędzonego po całym świecie awanturniczym duchem. Widzieliśmy go i tu parę razy w roku 1863. Dwadzieścia dwa razy przepłynął Atlantyk, był na wojnie krymskiej, był na chińskiej, w Indyach na jakiemś wcale groźnem powstaniu Hindusów, w Japonii, ranny nawet w jakiejś walce, spieszył wszędzie, gdzie zbierała się, lub wrzała jaka burza. Tak przyjechał i do nas: z ciekawości raczej, niż z życzliwości, jednak życzliwy, a względem Rosyi usposobiony nienawistnie. Trafia tu na rozbicie i uwięzienie Langiewicza; mieszkał pod Baranami u hr. Adamów Potockich. Stąd jeździł do Lwowa, do Warszawy, do różnych obozów po lasach. Trzy rozdziały poświęca tym swoim wspomnieniom polskim, a w nich mówi z trafnym krytycyzmem o naszych politycznych zdolnościach i działaniach, ale ze szczerem, gorącem uczuciem o naszej miłości ojczyzny. Po upadku powstania, w Anglii był zawsze życzliwy i przyjazny dla bawiących tam Polaków, a pomocny, ile być mogło, różnym polskim potrzebom lub sprawom.

Ale pod koniec swej autobiografii pisze, że „świat cały ze swojemi wojnami, intrygami, oszukaństwem i t. d. wydaje mu się jednym olbrzymim domem waryatów".

Pragnął, szukał prawdy, szukał lekarstwa na choroby wieku i społeczeństw i mniemał, że je znalazł w jakiejś nowej nauce, nowej religii. „Od lat dwudziestu, jak pisze, poświęcał się badaniu tajemniczych sił przyrody, w których widzi sam rdzeń prawdy, i naj-

pewniejszy środek uleczenia chorej ludzkości". Ta jego mniemana prawda to jest mieszanina spirytyzmu, magnetyzmu i mistycyzmu.

W kilka lat później, *Na Manowcach*, ukazuje go panna Morawska w pełnem posiadaniu, wykonywaniu i apostołowaniu tej nowej religii.

Dostał się pod wpływ jakiegoś szarlatana Harrisa, zakładającego jakieś nowe Jeruzalem w Ameryce, pojechał tam ze starą matką; oboje żyli przez lata w najcięższej ręcznej pracy i w złudzeniu odkrytej prawdy. W roku 1870 wrócił do Anglii podczas wojny francusko-pruskiej, pisał, odnowił stosunki, ożenił się; ale znowu z żoną wrócił do Ameryki i żonę na swoją wiarę nawrócił. Spostrzegł się dopiero na oszukaństwach Harrisa, kiedy ten chciał go rozłączyć z żoną i matką, rozesłać ich w różne miejsca. Ale stracił tylko wiarę w proroka, nie w swoją nową religię. Zajęła go teraz szczególnie myśl zaludnienia i użyźnienia Palestyny, przez zakładanie kolonii żydowskich. Starał się o akcyę rządów w tej sprawie: bez skutku. Wtedy sam założył taką małą kolonię w Haifa. Pisał dużo: na współ ze żoną napisali *Sympneumata:* współtchnienia. Przyjaciele zaczęli się obawiać obłąkania. Żona umarła. Po czasie wielkiej boleści pocieszył się myślą, że Alicya żyje w nim, wstąpiła w niego swoim duchem. Napisał jeszcze jedno dzieło: *Naukowej Religii*, jeszcze bardziej mętne, niż owo *Tchnienie*. Ożenił się powtórnie, na rozkaz pierwszej żony, jak mniemał i mówił; ale niebawem umarł. W ostatniej chorobie znikły gdzieś dawne religijne mrzonki i błędy, a wystąpiła wiara w Zbawiciela. Imię Chrystusa było ciągle na jego ustach, mówił, że czuje się szczęśliwym w objęciu Chrystusa, że go Chrystus odrodził i oczyścił. —

Kończy panna Morawska swoje opowiadanie rzewnem słowem sympatyi dla wielkiego rozumu i talentu, dla szlachetnego serca, które dało się uwieść, ale szlachetnem było zawsze i przez to znalazło wkońcu pojednanie z tą Prawdą, której długo na błędnych drogach szukało.

Stanisław Tarnowski.

Bóg w duszy sprawiedliwego.*)

Zamierzam w tej sprawie głębiej wniknąć w znaczenie tych słów Chrystusowych: *Jeśli mię kto miłuje, będzie przestrzegał mowy mojej, a Ojciec mój umiłuje go i do niego przyjdziemy i mieszkanie u niego założymy.*[1])

Według Pisma św. my jesteśmy domem i świątynią Boga[2]). Wprawdzie Świątynią jest Kościół, ciało mistyczne Chrystusa, ale jest nią i każdy członek Kościoła i to w całości swego jestestwa. *Aza nie wiecie, iż członki wasze są kościołem Ducha Świętego, który w was jest?*[3]) Rozumie się samo przez się, że Kościół ten jest poświęcony, inaczej byłby to tylko dom zwykły. Ale i poświęcenie nie wystarcza. Świątynia Jerozolimska była przecież poświęcona, Bóg figurycznie był w niej i działał w niej więcej, niż gdzieindziej: *Będą tam oczy moje i serce moje po wszystkie dni*[4]), powiedział Jahwe do Salomona. Bóg przyjmował tam ofiary, wysłuchiwał prośby, ale nie mieszkał w niej o s o b i ś c i e; to też, jakkolwiek świątynia ta była bogata i święta, zawerała ona tylko, wedle wyrażenia Apostoła, *cień dóbr obiecanych w przyszłości*[5]). My

*) Ustęp z przygotowującej się do druku książki o łasce.

[1]) Jan XIV. 23.

[2]) 2 Kor. VI. 16.

[3]) 1 Kor. VI. 19.

[4]) 3 Król. IX. 3.

[5]) por. Żyd. X. 1.

zaś jesteśmy czemś więcej, niż świątynią Bogu poświęconą, my jesteśmy świątynią, którą Bóg o s o b i ś c i e zamieszkuje.

Świątynia doskonała jest najśw. człowieczeństwo Chrystusa Pana[1]) nie tylko dlatego, że Bóstwo jest w niem rzeczywiście obecne, ale że jest w niem *wszystką swą pełnością*[2]). Otóż, skoro my przez łaskę poświęcającą zostajemy wcieleni w Chrystusa, otrzymujemy, jak świadczy Jan św., coś z tej pełności i w ten sposób Bóg zaczyna mieszkać w nas. Jezus Chrystus posiada całe Bóstwo; my tylko w niem uczestniczymy; Jezus je posiada przez sam fakt istnienia, jako Słowo Wcielone i od pierwszej chwili swego ludzkiego poczęcia, — my je zwyczajnie posiadamy od chrztu świętego; Jezus je posiada jako Syn współistotny i odwieczny Boga, — my je posiadamy jako synowie przywłaszczeni; Jezus jest z niem nierozerwalnie zjednoczony, — my na ziemi możemy je zawsze utracić, dopuszczając się ciężkiego przewinienia. — Atoli, przy tych różnicach, pozostaje prawda, że łaska sprawuje w nas to, co natura sprawia w Jezusie: że jak On jest świątynią żywą Boga, tak i my jesteśmy nią również.

Ale wniknijmy głębiej w to przedziwne, tajemnicze, najpożądańsze p r z y j ś c i e i m i e s z k a n i e Boga w duszy ludzkiej. O tem p r z y j ś c i u podam tylko kilka uwag; zatrzymam zaś dłużej czytelnika przy wyjaśnianiu m i e s z k a n i a Boga w duszy.

Czem jest to przyjście Boskich Osób do duszy?

Z rozumu i z objawienia wiemy, że Bóg jest niezmierny, wszędzie obecny, że żadne miejsce, żadna przestrzeń ogarnąć Go nie może. Świat jest pełen Boga. Teologowie, wyjaśniając niezmierzoność Boga, mówią, że jest On wszędzie swą potęgą, swą obecnością, wiedzą i swą istotą.

P o t ę g ą t. j. że daje byt stworom, że je zachowuje, że nic się nie dzieje bez Niego, że wszystko ulega najwyższej Jego woli, że może z wszystkiem czynić, co Mu się podoba.

O b e c n o ś c i ą czyli wiedzą — Jego władztwo i wola nie

---

[1]) por. Jan II. 19.
[2]) por. Kolos. II. 9.

z daleka się wykonywa. Wszystko jest Mu obecne, wszystko przed Nim odkryte[1]).

I s t o t ą s w o j ą, co jest tylko dla Boga możliwe, — co właściwie stanowi Jego niezmierzoność. Jest wszędzie cały, prawie tak, jak dusza w ciele. Władza monarchy rozciąga się dalej, niż jego wzrok; jego wzrok ogarnia przestrzeń, której sam nie zajmuje; dla Boga, gdzie sięga Jego potęga, Jego wzrok, tam też jest Jego Istota cała, żywa, jedyna, niepodzielna; On jest pierwszą i konieczną przyczyną wszystkiego, co ma byt. Nic nie żyje jak tylko przez Niego t. j. Jego obecnością i działalnością. Jest On przyczyną wszelkiego bytu i działania. *W Nim mamy ruch, życie i istnienie*[2]).

Wszystko jest w Bogu i Bóg jest w każdej rzeczy. A jeżeli tak jest, jakże pojąć, że gdzieś przychodzi; co znaczą te słowa Chrystusa Pana: *My (Ja i Ojciec i Duch Święty) do Niego przyjdziemy?* Przyjść, nie jestże to pójść do miejsca, gdzie się nie było? Gdzie nie jest Ten, który jest wszędzie? W pewnem znaczeniu prawdą jest, że „p r z y j ś ć“ jest dla Boga niemożebne. A jednak mówimy, że gdzieś przychodzi, kiedy zaczyna czynić coś, czego przedtem nie czynił. Ponieważ Bóg działa z pełną swobodą we wszystkich swych stworzeniach, przeto może zawsze w nich działać więcej lub mniej. Kiedy więc w nich sprawia jakiś s k u t e k n o w y, a l e p s z y, mówimy, że przychodzi — i Bóg sam w taki wyraża się sposób: *Duch Święty zstąpi na cię*[3]) — mówi Archanioł Gabryel do Najśw. Dziewicy. Niezawodnie Duch Święty już był w Niej; On to czynił ją Niepokalaną, świętą, pełną łaski, ale teraz ma Ją uczynić Matką Boga i to właśnie anioł zaznacza, zwiastując to n a d e j ś c i e, drugie przyjście (superveniet).

Bóg jest więc w duszy, kiedy w niej — że się tak wyrażę — więcej bosko działa. Przychodzi jak matka, która już trzymała swe dziecię, pomagając mu do chodzenia, ale która silniej je chwy-

---

[1]) Żyd. IV. 13.
[2]) por. Dzieje Ap. XVII. 28.
[3]) Łuk. 1. 35.

ta, a w razie potrzeby unosi, kiedy, zamiast kroczyć po równej ziemi, ma ono potok do przebycia. Bóg przychodzi przez pomoc, jaką daje, *venit subveniendo*[1]). Przychodzi, jak słońce wschodzące do pokoju, którego nagle otwierają okna, dotąd grubemi założone okiennicami. Pokój ten nie był zupełnie ciemny — światło, które weń wnikało, pochodziło od słońca, atoli skoro przejście stało się wolne, światło przypływa do pokoju, który nagle zostaje w pełni oświecony. Bóg podobnie przychodzi przez światłość, jaką rozlewa, rozświeca: *venit illuminando*[2]). Przychodzi jak woda potoku, który, płynąc w ścieśnionem łożysku, w danej chwili napotyka na łożysko szerokie i głębokie, gdzie jego fale w pełni się przelewają i swobodnie płyną. Przychodzi, rozszerzając i napełniając istotę, którą rozszerzył; *venit implendo*[3]).

Nie myślmy, że Bóg wpływa w nas w sposób subtelnego płynu i rozlewa się w duszy ruchem miejscowym, jakby w jakiemś duchowem naczyniu, któreby Go zawierało. Nie sądźmy też, że ta święta Istota Boża jednoczy się z naszą, jak gdyby te dwie istoty tworzyły tylko jedną, jak się to dzieje, kiedy mieszamy wino z wodą. Istota Boża nie przenika nas na sposób przymiotu, który pod pewnym względem stałby się czemś naszem jak np. białość, która staje się rzeczą naszej twarzy. Wszystko, co tu nazywamy opanowaniem, przepromienieniem, wylaniem, obfitością, zjednoczeniem, jest tylko najczystszą i transcendentalną czynnością tej niezmiennej i wszechmocnej Istoty Bożej, która wytwarza niezasłużenie i wzniośle w nas skutki podobne do tych, jakie wytwarzają w swym porządku i na swój sposób drugie, podrzędne przyczyny, o których mówimy. Oto dlaczego tych obrazów słusznie możemy używać; mają one prawdziwą podstawę i pomagają nam do lepszego zrozumienia tych tak wzniosłych rzeczywistości, jakiemi są działania Boże i stosunki, jakie z nich wykwitają.

Bóg zatem przychodzi do dusz naszych, jak życie przychodzi do ciała omdlałego i schorzałego, kiedy wskutek energicznego lekarstwa lub cudu choroba zdrowiu ustępuje. Przychodzi, jak prawda przychodzi do naszego umysłu, kiedy po długiem rozmy-

---

[1]) [2]) [3]) Św. Augustyn, przytoczony przez św. Tom. Coment. in Joan. XIV. 23.

ślaniu nad jakąś zasadą, nagle spostrzegamy liczne i ważne wyniki, które dotąd były przed nami zakryte. Przychodzi, jak miłość niekiedy przychodzi do serca naszego, kiedy się znajdujemy wobec osoby nadzwyczaj pięknej i dobrej. Przychodzi, jak radość wchodzi do duszy, kiedy się nareszcie odzierżyło dobro, długo pożądane, ścigane, wyczekiwane.

Oto, co możemy powiedzieć o tem Boskiem przyjściu, które nam Zbawiciel obiecuje, oznajmiając nam jego warunki: *Jeśli mię kto umiłuje i przestrzega nauki mojej, Ojciec mój umiłuje go i do niego przyjdziemy.* I dodaje: *i mieszkanie u niego założymy.*

Mieszkanie Boskich Osób w duszy.

Jak to przyjście Boga do duszy jest nadnaturalne, tak i Jego przebywanie w nas jest również nadprzyrodzone. Zrozumiejmy najpierw, jaką niezmierną łaskę to mieszkanie Boga przydaje do Jego przyjścia. Gdyby Bóg przyszedł do nas, ażeby tylko przejść wedle swego zwyczaju, swej natury i charakteru, c z y n i ą c d o b r z e[1]) byłoby to już z Jego strony nieocenioną łaskawością. Są w zwykłem towarzyskiem życiu odwiedziny, które nam wielki przynoszą zaszczyt. Są inne, które potrzebną niosą nam pomoc, które zapoczątkowują miłe stosunki i cenne nawiązują przyjaźnie. Cóż dopiero powiedzieć o nawiedzeniach Bożych? Atoli tu nie idzie już tylko o nawiedzenie. Bóg przychodzi do duszy, by w niej pozostać. *Mieszkanie w niej założymy.* Cóż powiedzieć o tem mieszkaniu i jak je pojąć?

Otóż ono pociąga za sobą i mieści w sobie koniecznie pomiędzy Bogiem a duszą zjednoczenie niezmiernie wzniosłe, głębokie, silne, które z obydwu stron, zwłaszcza ze strony Boga, opiera się na potężnych powodach i tytułach największej wartości.

Dalej, w myśli i zamiarze Boskiego Gościa, który do nas przychodzi, to zjednoczenie jest tak silnie ugruntowane, że z natury swej jest ono stałe, niezmierne. *Człowiek* — mówi Psalmista — *to wiatr idący, a niewracający się*[2]). Niestety, jakże my

---

[1]) Dzieje Ap. X. 38.
[2]) Ps. LXXVII. 39.

często od Boga odchodzimy! Bóg bezsprzecznie miałby również do tego prawo, ale go nigdy nie używa. Jego obecność to *dar bez żałowania* — stąd to Jego mieszkanie ustanawia i wytwarza stały *stan łaski.*

A że, gdzie przyszedł, tam przebywa — gdzie przebywa, tam też działa, a Jego działanie odpowiada w pełni charakterowi i doniosłości Jego przyjścia, którego najwyższym owocem i pierwszą przyczyną jest właśnie to przebywanie, mieszkanie.

Jak Bóg wytyczył Sobie cel, przychodząc do nas: tak też naznacza Sobie samemu powody i tytuły zamieszkania w nas.

Nawet wśród ludzi jest kilka rodzajów i stopni zamieszkiwania według woli i motywów przebywania w jakiemś miejscu.

Jeśli podróżny, chcąc kilka dni zatrzymać się w jakiemś mieście, zamawia sobie pokój w hotelu, słusznie mówimy, że tam mieszka; jeśli zaś najmuje dom, tem bardziej twierdzimy, że w tem mieście mieszka; a jeśli zamiast najmu kupuje dom i w nim się na stałe umieszcza, staje się tem samem mieszkańcem, jakby obywatelem owego miasta, w którem snać sobie podoba i tuszy sobie, że będzie w niem żył szczęśliwie. Mamy tu nader ważny obraz, ale tylko obraz różnych sposobów mieszkania Boga w duszy naszej.

W gruncie przyczyny, jakie sobie Bóg naznacza do tego nadprzyrodzonego mieszkania w nas, sprowadzić możemy do jednej: do Jego niewysłowionej ku nam miłości.

My nigdy nie zdołamy wytworzyć sobie rzetelnego pojęcia o miłości, jaką Bóg ma dla swoich stworzeń już z tego tytułu, że są one Jego tworami. Tem bardziej Bóg miłuje te, które utworzył na swój obraz, uzdolniając je do poznania i miłowania Go, — jakiemi są aniołowie i ludzie. Wszelako pomiędzy tą miłością, którą można nazwać jakby naturalną w Bogu, a miłością, jaką żywi dla duszy uświęconej łaską, większa zachodzi różnica niż pomiędzy ziemią a niebem. Atoli ta druga miłość ma swe korzenie w pierwszej. Bóg miłuje nas nadprzyrodzenie tylko dla tego, bo do tego Go skłania ta miłość, która, w naszem pojęciu, wydaje się pierwszą, pierwiastkowa. Z miłości, która nas stwarza, wykwita miłość, która nas odkupuje: atoli skoro dusza nasza, oświecona, podniesiona i rozszerzona łaską uczynkową, dobrowolnie przyjmuje ofiarowaną

sobie od Boga łaskę, że się tak wyrażę, miłości bardziej Boskiej, na której się opiera doskonalsze z Bogiem zjednoczenie: wtedy na wzór Maryi dusza Bogu mówi: „Oto ja, służebnica Twoja, wierzę, ufam, miłuję, wydaję się, niech mi się stanie według słowa Twego"; miłość, która wtedy przypływa i ją napełnia, nie ma w sobie podobnej, chyba tylko w miłości nieskończonej Boga dla świętego człowieczeństwa, w które Słowo Jego się wcieliło. Upodobanie, jakie Bóg ma teraz w człowieku, jest rodzajem zalewu i wylania niewysłowionych upodobań, jakie ma w Jezusie Chrystusie, upodobań, które mają swe źródło w istotnem i odwiecznem rodzeniu tegoż Syna.

A że Bóg jest nieskończenie mądry, przeto nie ogranicza się do podobania Sobie w ten sposób w tej duszy, z powodów czerpanych z Siebie samego. Bóg czyni duszę tak piękną, tak czystą, tak szlachetną, tak dostrojoną do pojęcia swego o niej, tak podobną do Jezusa, jej najwyższego typu, tak świętą, że — iż się tak wyrażę — usprawiedliwia się przed Sobą samym z tej dziwnej miłości, jaką jej okazuje. Gdyby — co niemożliwe — Bóg nie był wszędzie, byłby w niej jeszcze, bo Mu się podoba tam mieszkać. Bóg czyni Sobie z tej duszy skarb, *a gdzie skarb Jego, tam i serce* Jego[1]). A nie jestże właściwą miłości stawiać po za nią samą istotę, którą miłość ogarnia? I dlatego św. Dyonizy nazywa miłość ekstatyczną, bo miłość przenosi osobę miłującą w miłowaną t. j. Boga w stworzenie, a stworzenie w Boga, z tą wszelako istotną różnicą, że kiedy miłość sprowadza Boga do stworzeń, to dlatego, by je do Boga porwać, przyciągnąć. Bóg, na swój sposób, ulega temu prawu, jakie Sam uczynił; czyż Sam tego nie wyznaje, kiedy mówi do swej tajemniczej umiłowanej: *zraniłaś* (w innem tłumaczeniu *excordiasti me) serce moje, siostro moja, oblubienico*[2]). Duch Święty, który w tajemnicy Trójcy Przenajśw. rzuca, że tak powiem, Ojca w Syna i Syna w Ojca tak, że Obaj pozostają w tej jedności miłości, jaką jest On Sam, rzuca też Boga w tę duszę, a duszę w Boga, tak, że mieszkanie, o którem mówi Zbawiciel, jest

---

[1]) por. Mat. VI. 21.
[2]) por. Pieśń IV. 9.

wzajemne: *we mnie mieszka a ja w nim*[1]). Jest więc między duszą a jej Gościem przenikanie wzajemne, całkowite, trwałe; jest to objęcie, ściśnienie raczej niż mieszkanie, objęcie żywe, gorące, tak doskonałe, iż można powiedzieć, że ci dwaj, co się ściskają, są w jednem, co Pan Jezus wyraził temi słowy: *aby byli doskonałymi w jedno*[2]) — o ile życie obecne tego zdolne.

Nie brak więc niczego, przynajmniej że strony Boga, do doskonałości tego mieszkania. Bóg wie, czego chce, i dlaczego tak chce; naznaczył Sobie samemu dobre przyczyny, by tego chcieć; uczynił wszystko wedle woli swojej; a że Jego dobroć jest szczęśliwa, więc Jego mądrość i Jego świętość są w pełni zadowolone. *Przyjdziemy do niego i mieszkanie u niego założymy.*

To też, wchodząc do duszy, Bóg wypowiada te święte, uszczęśliwiające słowa, jakie najpierw miłość dyktuje — jako przejaw pierwszej swej potrzeby. Bóg mówi duszy: bądźmy *razem* — dodaje: *na zawsze*, a tu, jak wszędzie, Jego słowa są prawdą i życiem[3]), czynią to, co wyrażają.

Bóg daje stworzeniu moc chcenia zawsze tego, czego Sam pod tym względem chce: ułatwia mu tę wierność, czyniąc ją ponętną, pozostawiając jej jednak możność sprzeniewierzenia się. Jak długo żyć będzie na tym świecie, wyjąwszy potwierdzenie jej w łasce, co się bardzo rzadko wydarza i czego zwyczajnie nie można się spodziewać, — stworzenie może odmienić się, upaść, porzucić Boga, uciec od Niego. Bóg atoli ani chce ani może uciec, zawieść, zmienić się. W duszy, w której mieszka jak w Sobie samym, jest Bóg niezmienny: *u którego niema odmiany, ani zaćmienia przemiany*[4]). Ziemia nie jest tak silnie oparta na swych podwalinach, jak Bóg, który raz wszedłszy nadprzyrodzenie w duszę, jest w niej utrwalony: *niebo i ziemia przeminą, ale słowa Jego nigdy nie przeminą*[5]) — ani Jego łaska i stany, jakie ona wytwarza. Bóg jest w nas więcej i doskonalej, niż w niebiosach zewnętrznych, które

---

[1]) Jan VI. 57.
[2]) Jan XVII. 23.
[3]) por. Jan VI. 64.
[4]) Jakób I. 17.
[5]) Mat. XXIV. 35.

jednak opowiadają chwałę Jego, gdzie Jego potęga przedziwnie się ujawnia. Gwiazdy firmamentu, porównane z nami, dla Niego są jako proch; sam firmament jest Mu jakby namiotem, który podróżny zwija, kiedy zamierza pójść dalej; my zaś jesteśmy Jego świątynią. W woli Bożej świątynia ta ma trwać na wieki wieków. *Jeśli mnie kto miłuje, do niego przyjdziemy i mieszkanie u niego założymy.*

Z tego, cośmy powiedzieli czy o powodach, jakie Bóg sobie naznacza mieszkania w ten sposób w nas, czy o samem mieszkaniu, wynika, że tam, gdzie Bóg przebywa, działa. Bóg bowiem jest *aktem czystym*, jak nauczają teologowie. Nie pojmujemy Go jako istoty bezczynnej nawet niezależnie od wszelkiego działania na zewnątrz. Bóg w swej wiecznoci działa na wewnątrz. Ale tam, gdzie chce działać, jakże daleko rozciąga się Jego działalność i czegoż nie wytwarza!

Pierwsza rzecz, jaką czyni, jest to, że się *objawia, okazuje*, bo objawiać, okazać się jest to Siebie uwielbić, a chwała Boga jest zawsze najwyższym dzieł Jego celem. My wtedy stajemy się jakby widownią, na której On się ukazuje. Dusza w łasce jest dla Boga jakby niebem duchownem, gdzie On się ukazuje, wystawia. Wprawdzie jest to jeszcze dla nas tylko tajemnica wiary. Czem być mamy, czem zaczynamy być, *jeszcze się nie okazało*[1]), ale, co dla nas jest ukryte, Bóg to widzi; Święci w niebie to widzą, o ile podoba się Bogu im to odsłonić. Bóg widzi wszystko, patrzy na wszystko, a to widzenie swej chwały potęguje Jego miłość ku nam i radość, jakiej zażywa w nas ta niepojęta miłość. Wtedy to iści się słowo, jakie raczył powiedzieć: *Kochanie moje być z synami człowieczymi*[2]). Gdybyśmy mieli więcej wiary w te najpewniejsze prawdy, jakżebyśmy często z rozkoszą o nich myśleli; byłoby nam nawet trudno myśleć o czem innem.

Dalej, ukazując się, Bóg *nas przemienia*. Wprawdzie dwa te działania są tylko dwojakim poglądem i dwojakim skutkiem tego samego aktu. Ale cóż czyni Bóg, by nas przemienić? Domyślamy się, że to w Siebie nas przemienia. Otóż tem wyrażaniem, tą formą

[1]) Jan III. 2.
[2]) Przyp. VIII. 32.

Boską, jaką w nas wprowadza, tą formą, która staje się naszą, a która jest najpierw formą, czyli wyrażeniem Jego jedynem, z którego podobało Mu się uczynić formę powszechną — jest Jezus Chrystus[1]). Jak Duch św. ukształcił Jezusa ewangelicznego w łonie Niepokalanej Dziewicy: tak ukształca Chrystusa mistycznego, mistyczne Jego członki we wszytkich duszach, jakie zawiera dziewicze łono Kościoła. Tam leży tajemnica naszego przemienienia, o którem św. Paweł napisał: *A my w toż wyobrażenie przemienieni bywamy z jasności w jasność, jako od Ducha Pańskiego*[2]).

Oto dzieło Boga, owoc właściwy i dobrowolny Jego nadprzyrodzonego mieszkania w duszach naszych. My otrzymujemy dary Boże, ale dlatego, że otrzymujemy najpierw Dawcę; a przez to my żyjemy, zapoczątkowujemy już na ziemi nasze życie niebiańskie i wiekuiste, życie, o którem św. Paweł powiada, że będąc prawdziwie całe naszem, *jest jednak skryte z Chrystusem w Bogu*[3]), ażeby się ukazało — dodaje — kiedy się Chrystus Sam ukaże, On, który jest naszą chwałą[4]). W porządku naturalnym wszechmoc Boża wyłania z nicestwa stworzenia mniej lub więcej piękne; w porządku łaski Jego miłość czyni ze stworzeń bogi. A chociaż to imię Boga dane jest wielom, pisze wielki Apostoł, wszelako w rzeczywistości jest tylko jeden i ten Sam Bóg: *albowiem choć są, które bogi zowią,—wszakże nam jeden Bóg*[5]), którym jest Chrystus; czynić bogi jest to zawsze i koniecznie czynić Chrystusa w duszach naszych.

Oto dzieło, jakie w nas sprawuje, oto arcydzieło, jakie, mimo naszą niemoc i niegodność, wytwarza z nas ten Boski Artysta, jakim jest Bóg Ojciec, Syn i Duch Święty, stawszy się przez łaskę naszym Gościem wnętrznym, miłującym i umiłowanym. Dlatego to przychodzi do nas, wchodzi w nas i zakłada w nas swe mieszkanie. Nieustannie dzień i noc, kiedy czuwamy lub śpimy, kiedy się zajmujemy zwykłemi czynnościami życiowemi, kiedy pod okiem

---

[1]) por. Kol. I. 15. Żyd. I. 3.
[2]) Kolos. III. 3.
[3]) 2. Kor. III. 18.
[4]) Tamże 4.
[5]) Kor. VIII. 5. 6.

i wodzą Opatrzności my zubożeni czy wzbogaceni, wyniesieni czy poniżeni, kuszeni czy uspokojeni, utrapieni czy rozradowani, czy jesteśmy dziećmi czy ludźmi dojrzałymi, czy starcami, w życiu czy przy zgonie, z wyżyn, ze szczytu naszej duszy, gdzie łaska umieszcza Boga, wykonywa On tę pracę; wszystka ta praca iści się w nas, gdziekolwiek się udajemy, nosimy w sercach naszych to dzieło i jego Artystę.

Przez łaskę dusza ludzka przybiera kształty i rysy upodobniające ją nie tylko do Chrystusa, ale i do wszystkich trzech osób Trójcy Przenajśw., która w tym obrazie ręką swoją własną szkicuje kopię zewnętrznych swych przejawów. Obraz ten jest dziełem wspólnem całej Trójcy Przenajśw., wszystkie trzy Osoby rzucają na duszę cień swego tajemniczego istnienia. „Barwność obrazu Boga w duszy, mówi Scheeben, pochodzi nie z barw i świateł stworzonych, lecz ze źródła wszelkiej światłości, z Boga Troistego. A promienie tego światła spuszcza Bóg na duszę, przepuszczając je niejako wpierw przez pryzmat swej troistości tak, że rozszczepione na barwy, poszczególnym Osobom właściwe, rzucają na duszę refleksy tych barw i odcieni, które każdą Osobę charakteryzują. Takim refleksem swego światła zatwierdzają One swoje do duszy przybycie i swoje w duszy przebywanie".

Teologia rozmaite rozróżnia stopnie tego na zewnątrz przebywania Osób Boskich, zależnie od tego, na jakim fundamencie opiera się połączenie działania na zewnątrz z pojedyńczemi Osobami. Jeśli połączenie to jest tylko tworem naszego umysłu, któremu w rzeczywistości nic realnego nie odpowiada oprócz pewnego podobieństwa, które umysł odkrywa między zjawiskiem stworzonem a przejawami życia Bożego, cechującemi poszczególne Osoby, biorąc z tego pochop do przypisywania danego zjawiska jednej Osobie przed drugiemi, ażeby w ten sposób grubym pojęciom naszym uprzystępnić rozróżnienie procesyi, nazywamy to zwykłą apropryacyą. Apropryacyami takiemi posługujemy się często np. przypisując Ojcu potęgę, Synowi — mądrość, Duchowi Świętemu — miłość i t. p.

Jeżeli zaś to połączenie ideowe między pewną rzeczą a Osobą Boską zostało włożone nie przez umysł ludzki, ale przez Boga,

chcącego pod widzialną postacią niewidzialne przebywanie jednej z trzech Osób objawić, nazywamy to misyą symboliczną. Takimi symbolami poszczególnych Osób były np. języki ogniste, wyrażające zesłanie Ducha Świętego, albo gołębica, unosząca się nad Panem Jezusem podczas chrztu w Jordanie.

Jeżeli wreszcie połączenie to nie jest już tylko idealne, lecz w całem słowa znaczeniu realne, wtedy mamy unię hipostatyczną, której jedynym przykładem jest osobiste Słowa Bożego przebywanie w naturze ludzkiej.

——„Ale w jaki sposób, pyta Scheeben, możemy sobie wyobrazić przebywanie Boskich Osób przez łaskę w duszy ludzkiej? Otóż zajmuje ono pośrednie stanowisko: nie jest Ono tak realne jak przebywanie hipostatyczne, ale z drugiej strony nie jest czysto idealne lub symboliczne. Realną podstawą przebywania Osób Boskich w duszy przez łaskę jest owo szczególne działanie Trójcy Przenajśw., mocą którego na tle duszy zarysowuje się projekcya wewnętrznego życia Bożego, uwydatniająca w sobie różnice hipostatyczne. Działanie to samo w sobie jest wspólne wszystkim trzem Osobom, ale ponieważ na duszy odbija sylwetki Ich osobne, można powiedzieć, że każda z nich z osobna w duszy przebywa. Więc w chwili udzielenia łaski Bożej Trójca Najśw., jakoby w niewidzialnym obłoku miłości swojej, zniża się do duszy, by na niej wyrazić swą pieczęć. Pieczęć to przedziwna, żywa, bo wyrażone na niej życie Boże, w podwójnym swoim przejawie. poznawania, które kulminuje w jasności Syna — i kochania, które kulminuje w płomiennej miłości Ducha. W chwili więc, kiedy Trójca Przenajśw. przykłada tę pieczęć do duszy, za zetknięciem się tego podwójnego prądu życia Bożego z duszą, przeskakuje jakoby jedna iskra z pierwszego łożyska, zapala w duszy jasność podobną chwale odwiecznej Słowa Bożego, a druga iskra przeskakuje z drugiego łożyska i wznieca w duszy płomień miłosny, podobny do żaru płonącego z Ducha Świętego. W ten sposób życie Boże, toczące się w odwiecznym biegu w łonie Trójcy Przenajśw., zetknąwszy się z duszą, przelewa się na nią, tworząc w niej jakoby uzewnętrznienie, przedłużenie swego podwójnego łożyska i wyciska na niej żywą odbitkę; z jasności pierwszego rodzi sobie podobiznę Syna,

żywy odblask Słowa na wzór odwiecznego swego rodzenia, a z żarów płomiennych drugiego łożyska zapala żywy płomień miłości na wzór odwiecznego wylewu miłości Ducha Świętego. Działanie to bardzo dobitnie uwydatnia to, co teologia nazywa *missio in divinis*. Albowiem poselstwo Osób Boskich różni się tem właśnie od Ich odwiecznego pochodzenia, że tamto ma sobie przydzielony w czasie nowy sposób przebywania poza łonem Trójcy Przenajśw. w stworzeniach, podczas, kiedy pochodzenie jest odwieczne i za łono Trójcy Przenajśw. nie wychodzi. A w dziele łaski Bożej dokonuje się właśnie to poselstwo Syna, który od wieków rodząc się z łona ojcowskiego, przez owo tajemnicze zetknięcie się z duszą w niej zyskuje nowy sposób przebywania, — dokonuje się poselstwo Ducha Świętego, który od wieków pochodząc od Ojca i Syna, w podobny sposób zakłada w duszy nowe swoje mieszkanie".

Przebywanie, mieszkanie Osób Boskich w duszy nie jest więc czystym wymysłem, lecz jest czemś realnem, tak realnem, że jak wyżej wspomniałem, gdyby Bóg nie był na mocy swej wszechobecności przytomny w duszy, musiałby być tam obecny na mocy owego przebywania, tak, jak pieczęć w swojej odbitce.

Obraz, w którym Trójca Przenajśw. złożyła w duszy swoją podobiznę, jest obrazem ż y w y m. Wiemy, że życie pulsujące w duszy jest życiem Boga w duszy zaszczepionem, jak życie szlaszlachetnej róży na szczepie dzikiego głogu. Dusza dwoma obdarzona skrzydłami, które z łaski wyrosły: Boskiem poznaniem i Boskiem kochaniem, dąży do swego kresu, jakim jest Bóg sam w sobie, nie w stworzeniach, lecz bez osłony, władzom duszy przytomny, którego poznaniem i kochaniem swojem ma objąć w miłosnym uścisku i tam znaleźć ostateczną, zupełną swą szczęśliwość.

Ks. J. St. Adamski.

Mowy ku czci Kościuszki

przed stu laty wygłoszone*).

Bolesna wieść o zgonie Naczelnika, zgasłego na obcej ziemi, na łonie obcej rodziny, wśród obcych dźwięków mowy dość późno, bo dopiero 8. listopada, niesie się przez krainę polską na łamach Gazety Warszawskiej[1]). Odrazu budzi we wszystkich zakątkach Polski gromki odzew: wszędzie Polacy przywdziewają żałobę, tworzą komitety, zbierają składki i urządzają publiczne i wspaniałe obchody żałobne za duszę wielkiego „Współrodaka i Bohatera dwóch części świata", jak go nazwał mówca poznański Hiacynt Zakrzewski. A nie tylko w stolicach odprawiano uroczyście bolesne obrzędy, nie, wieść o śmierci „wszystkie prawie świątynie Boskie miast i miasteczek i wsiów(!) kraju Polskiego otwo-

*) Literatura: Gaz. Warsz. R. 1817 i 1818. — Gaz. Krak. R. 1817 i 1818. — Gaz. W. Xięstwa Pozn. R. 1818. — Gaz. Lwowska 1817. — Zeitung des Grossherzogtums Posen 1817. — X. Szaniawski, Kazania t. 3, Warszawa 1820. X. Wincenty Łancucki, Kazania i Mowy, wyd. X Teodor Kiliński, Poznań 1856. X. Bernard Bilrowicz, Kazanie na obchodzie żałobnym za duszę ś. p. Tadeusza Kościuszki w Kościele Katedralnym. Poznań, dnia 19 grudnia 1817 roku. Kalisz u Machwalda. — Hiacynt Zakrzewski, Mowa . . . . w Kościele Katedralnym Poznańskim, 19 grudnia 1917. Druk Deker i spółka. — Stan. Hr. Wodzicki, Mowa . . . . przy katafalku Tadeusza Kościuszki, dnia 23 czerwca 1818.

X. B. Jan Woronicz, Przemowa przy złożeniu do grobu śmiertelnych Zwłoków(!) Ś. P. Tadeusza Kościuszki, w Kościele Katedralnym krakowskim miana. Dnia 23 czerwca 1818 r. Kraków, druk. Józef Matecki. — Zbiór mów oraz opisów obchodów żałobnego nabożeństwa po zgonie Tad. Kościuszki. Wilno 1818. X. dr Jougan. Szkice na urocz. jub. Kościuszki, Gaz. kościelna we Lwowie. — Rok 1917 Nr. 39 i 40.

X. dr. J. Pelczar. Zarys dziejów kaznodziejstwa w Polsce. Kraków 1917. Drugie wyd. — Korzon. 1) Kościuszko, biografia z dokumentów wysnuta. Kraków. 2) Rozprawa w Enc. powsz. M. — Pamiętniki J. U. Niemcewicza. Poznań 1871. — X. dr. Jougan. X. Prymas Woronicz. Lwów 1908. — Dr. Feliks Koneczny. 1) Tadeusz Kościuszko. Poznań 1917. 2) Istota wielkości Tadeusza Kościuszki. Przegląd powszechny. Październik 1917.

[1]) Jednak według Pamiętników Niemcewicza już w końcu października wiedziano w Warszawie o śmierci Kościuszki.

rzyła", tak donosi Gazeta Krakowska z dnia 31. grudnia 1817 r.

A wśród tych nabożeństw, naród rozkochany od wieków w wymowie składał hołd zmarłemu Dobroczyńcy przez usta co najwymowniejszych synów. Warto będzie dziś wśród dostojnych uroczystości Kościuszkowskich popatrzeć na pożółkłe kartki mów podówczas wygłoszonych i drukowanych, posłuchać rzewnych, boleścią nabrzmiałych głosów i z wiekowego oddalenia krytycznemu poddać rozbiorowi dzieła mowy, o ile nam są przystępne.

Jedno z pierwszych nabożeństw żałobnych za duszę Kościuszki[1]) odbyło się w Warszawie, bo 14 listopada 1917 r., a mianowicie w kościele Ks. Misyonarzy u św. Krzyża. W pamiętnym tym dniu od najwcześniejszego ranka poczęły się liczne odprawiać msze aż do 10-tej, kiedy się rozpoczęło główne nabożeństwo. Przybyli na nie dostojnicy duchowni i świeccy, między nimi i W. Książę Konstanty. Mszę odprawił ksiądz Gołaszewski, biskup wigierski, a kazanie wygłosił X. kanonik Szaniawski.

X. Franciszek Ksaw. Szaniawski — odróżnić go należy od X. Józefa († 1762), autora „Kazań na święta doroczne" i Jana Feliksa, biskupa chełmskiego († 1733) — pochodzący z Wiązownicy pod Jarosławiem (1768—1830), profesor uniwersytetu i kanonik warszawski, późniejszy sufragan, znany był wówczas ze swej wymowy i właśnie około roku 1820 wydał najwięcej swych kazań. Między innemi przemawiał też „przy wprowadzeniu ciała Księcia Józefa Poniatowskiego do Warszawy 9. września 1814 r."

„Mowę na nabożeństwie żałobnem za duszę ś. p. Tadeusza Kościuszki rozpoczyna krótkie, lecz trafne motto z psalmu 63. „Laudabuntur omnes recti corde". Kaznodzieja wskazwszy w niedługim wstępie za potrzebę ogłaszania „czynów znanej osoby" i przedstawiwszy skromnie swój zamiar mówienia o „prostem sercu" Kościuszki, zastanawia się nad prawdą, że w człowieku walczą ze sobą pociąg do cnoty i popęd zmysłowy i wysnuwa wniosek: „zwyciężać samego siebie w każdem zdarzeniu jest to cnota mędrców, powinność chrześcijanina". A zwycięstwo takie bije jasnem blaskiem z Kościuszkowskiego życia, jakie nam tera-

[1]) Pierwsze odbyło się, o ile nam wiadomo, w Kownie 10 listopada, a dalej 17 także w Kiejdanach.

kaznodzieja dość zwyczajnie rysuje, choć nie brak tu silnych zwrotów. Oto piękna charakterystyka: — „Któżby na miejscu Kościuszki podobnym był Kościuszce? Prostego jest serca, prosty w postępowaniu prywatnem i publicznem: czy rządzony, czy rządzi, jednostajny okazuje charakter, więcej się podoba i ujmuje szczera i nieinteresowna jego dusza, niżeli sławne czyny, które zręcznie wykonał".

Mimowoli przypomina się tu świadectwo, jakie o Kościuszce wystawił generał południowej armii Greene, pod którym nasz bohater służył: „Należy do najużyteczniejszych i najmilszych towarzyszów broni, niczem nie zrównanej gorliwości, czujności, staranności. Bardzo się też wyróżniał bezprzykładną skromnością i zupełną nieświadomością tego, że dokonał czegoś niezwykłego. Nigdy nie objawiał żądań ani pretensyi dla siebie samego, nigdy nie pominął sposobności odznaczenia i zalecania cudzych zasług".

Podobnie prostym sposobem maluje kaznodzieja wpływ bohatera, wołając: „Świat zadziwił, pociągnął ku sobie serca wszystkich Polaków, zyskał i u obcych szacunek", bo nie należał do samolubów, którym mówca nie szczędzi gorzkich uwag, lecz, „serce jego przepełnione było miłością ludzi... Nie przepomniał o rolnikach w majętności jego mieszkających, darował im grunta wieczyście, nie wymagając od nich żadnych obowiązków".

Wogóle zasługi takie i cnoty zasługują na wdzięczność w narodzie, a najlepiej się tę wdzięczność objawi, gdy się bohatera naśladować będzie w cnotliwości. Mowa kończy się modlitwą za duszę Tadeusza, który „poświęcał się dla dobra bliźnich".

Mowa X. Szaniawskiego nie należy do mów pogrzebowych pierwszego rzędu, brak w niej polotu i gorętszego uczucia, ale owiana serdeczną prostotą, miłe wywiera wrażenie, a ciekawa i z tego względu, że wolna od zwrotów pochwalnych, skierowanych w stronę cara Aleksandra. Uderza zaraz w tej pierwszej mowie objaw, że w całem kazaniu niema miejsca ani z Pisma świętego, ani z Ojców Kościoła, odrazu czujemy trochę zimny powiew drugiej połowy XVIII wieku, w którym studya teologiczne nie odznaczały się głębokością. Z drugiej strony biją w niej tętna ówczesnych ogólno-ludzkich ideałów, zaklętych choćby w „Odę do młodości", a ucieleśnionych w czynach Kościuszki.

Ciekawszą bez wątpienia jest mowa Juliana Ursyna Niemcewicza, wygłoszona na tem samem nabożeństwie, po mszy św. Przytacza ją „Gazeta Warszawska“ w dodatku z dnia 15 listopada 1817 r., lecz pisze, jakoby chciała podać życiorys zawarty w przemowie Niemcewicza. Tymczasem to, co drukuje, wygląda na całą mowę. W każdym razie należy przemówienie Niemcewicza do najwznioślejszych owego czasu:

Czyż nie musiał podniosły nastrój owiewać słuchaczy, kiedy przed nimi Kościuszki towarzysz w szczęściu i nieszczęściu poczynał snuć przędzę swych uczuć.

„Ten smutny, uroczysty obrządek, te żałobne ofiary, te gorejące światła, te tłumy zebranego rycerstwa i ludu, głos wymowny szanownego Kapłana, żałosną i wielką nam wszystkim zapowiada stratę... Przebóg! nie do tych siwych włosów, co wkrótce do grobu zstąpić mają, nie do zgasłego już głosu mego, nie do stępionego latami i trudami umysłu należało mówić o Mężu pokoju i wojny“.

Podkreśliwszy dobitnie, że to najżałośniejsza strata w ciągu tylu strat w latach ostatnich, woła:

„Wspomnieć imię Kościuszki jest to wzniecić w sercach Polaków tysiąc chlubnych acz smutnych pamiątek, wzór cnót obywatelskich, tę do zgonu czystym płomieniem gorejącą miłość Ojczyzny, tę nieustraszoną w bojach odwagę, tę mężną wytrwałość w nieszczęściach, tę prostotę obyczajów, rzymską prawie, tę nakoniec skromność nieoddzielną od prawdziwej wartości.“

Po tej ogólnej charakterystyce kreśli mówca z zastosowaniem prawideł retorycznych życiorys bohatera tem cenniejszy, że własnemi oczyma patrzał Niemcewicz na wielkie jego czyny. To też słowa płyną mu potokiem, drgają życiem. Choćby ta prozopopeja: „Powiedźcie, wy pozostali świadkowie, wy błonia Zielenic i Dubienki, jeżeli Kościuszko, jeśli Polacy walczyli, jak Polakom walczyć przystoi?“

Dotknąwszy zlekka tylko insurekcyi ze względu na cara Aleksandra, któremu „wdzięczność nasza“ się należy, przypomina dobitnie, co „Wielkomyślny Paweł I.“ dla Kościuszki i jeńców uczynił. Lecz zakradły się tu nieścisłości historyczne: nie skończył

by Kościuszko w „czarnych lochach", bo już Katarzyna rozbrojona jego łagodnością, wyznaczyła mu pałac Orłowa na mieszkanie; a dalej Kościuszko rozbił okowy nie tylko 20 Polakom, jak głosi mówca, lecz 12 tysięcom.

Opowiada potem mówca prawdziwie dramatycznie niebezpieczną, wspólną przeprawę przez ocean, gdzie jakiś kupiecki okręt uderzył na statek Kościuszki i o mało go nie naraził na zatonięcie, tryumfalne przyjęcie w Ameryce przez członków Kongresu, powrót do Europy, i ostatnie chwile, podkreślając, że umarł Kościuszko, jak chrześcijaninowi umierać przystoi z ufnością w Bogu, przytomnie i mężnie".

A wreszcie odezwał się tak rzewnie i serdecznie, że zapewne niejedno oko łzą się zwilżyło szczerą, kiedy zawołał:

„Pokój niech będzie cieniom twoim, o Mężu cnotliwy, przyjm ostatnie pożegnanie ziomków twoich, przyjm ostatnie pożegnanie tegò, który nieraz zbolałą twą głowę na rękach swoich unosił. Niestety! kiedy już nie nasza ziemia przykrywa twe zwłoki, kiedy duch twój tam mieszka, gdzie ostatni z Rzymian, niech się choć pamięć twoja między nami zostanie, niech wizerunek twój, któryby przypominał i rysy twej twarzy i dobroć duszy twej, umieszczony będzie w Pańskiej świątnicy, niech będzie skromnym, tak jak było skromnem całe życie Twoje, nie potrzeba napisów, dosyć imienia. Wtenczas, czy to ziomek, czy daleki przychodzień, podniósłszy zroszone łzami oczy na głaz, wyrażający Ciebie, powie: Takim był Mąż, który ziomkom swoim nie dał ginąć bez chwały i cnotami swojemi uzacnił imię Polaka":

Jak już wspomnieliśmy, mowa Niemcewicza należy do najlepszych, jakie wówczas o Kościuszce wygłoszono, bo pełna treści, nabrzmiała serdecznym, męskim żalem, drga życiem mówczem. Chociaż to przeważnie tylko życiorys bohatera, ale tyle w nim realizmu i dramatyczności, iż odrazu poznać można w autorze poetę i dramatyka. Jest o tyle jeszcze mowa ta niesłychanie ważną, że przemawia tu towarzysz broni i daje publiczne, chlubne, wierne świadectwo o zasługach zmarłego.

Najciekawszą bodaj jednak ta mowa ze względu na okoliczności, jakie towarzyszyły jej wygłoszeniu. Chcąc uczynić ob-

chód prywatnym, nie zaproszono nań rządu, tem mniej, że Wielki Kniaź Konstanty nie kazał czynić honorów wojskowych zgasłemu generałowi. Nawet dopiero w pół obrzędu wpadł ze swoimi do kościoła i gdy Niemcewicz zaczął przemawiać, usiłował go zmieszać zachowaniem swojem, lecz nie udało mu się. Kiedy mówca wspominał o wolności, Kniaź aż „parskał". Dziwne to zachowywanie Konstantego: toć mówca nie tylko wysławiał wspaniałomyślność Pawła I., czego mu niektórzy z słuchających Moskali darować nie mogli, ale mówił nawet, jak na nasze zapatrywania, z pewną służalczością: „Związki, które nas łączą z ludem pobratnim, wspólność Pana jednego, wdzięczność dla Aleksandra I., nie każą się rozciągać nad tą pamiętną wojną". — Jest to przykre naprężenie, jakie ujawnia się na tle wspaniałego obchodu już głuchą zapowiedzią przyszłych zatargów i wypadków.

II.

Ale tymczasem ciągle jeszcze we wszystkich mowach Kościuszkowskich dziwnym rozdźwiękiem, a przeważnie głośnym hejnałem rozbrzmiewa pieść hołdownicza na cześć wspaniałomyślnego imperatora Wszechrosyi, najgłośniejszym pewnie na Litwie. Ojczysty kraj najokazalej święcił uroczystościami licznemi pamięć wielkiego Syna, który chociaż był obywatelem całej Polski, w szczególniejszy sposób i pochodzeniem i poczuciem należał do ziemi litewskiej. Czczono go tu też nie tylko w stolicy, ale i nawet w mniejszych miastach i tu właśnie, co podkreślić należy, najpierwsze w całej Polsce odprawiono nabożeństwa jak w Kownie, Kiejdanach, Wiłkomeirzu. Czczono go tu powszechnie we wszystkich kościołach bez różnicy wyznania i narodowości.

Najwspanialsze odbyły się nabożeństwa oczywiście we Wilnie, a osobliwie 10. grudnia 1817 r., w kościele św. Kazimierza, z współudziałem trzech biskupów, licznego duchowieństwa świeckiego i zakonnego, w obecności wszystkich władz świeckich z towarzyszeniem muzyki żałobnej, wykonanej według kompozycyi cesarskiego kompozytora Kozłowskiego. Pomysłowo zbudowany piękny „katafal" zdobiły lśniące złotemi literami łacińskie wiersze układu prof. Groddecka i polskie układu Franciszka Grzymały.

Mszę św. odprawił sufragan miejscowy „Kawaler“ Puzyna, a po mszy miał kazanie X. Nosewicz, kaznodzieja katedralny.

Poczynając od słów Księgi Rodzaju: „zeorał się poczet niemały, sprawując obchód z płaczem ciężkim“, od pogrzebu Józefowego ojca „Jakuba“, wskazuje na podobny żałobny obchód za duszę Tadeusza. Po ogólnym wstępie, przechodzi do życiorysu zmarłego, kreśląc go w prosty sposób: Lecz znachodzi się niekiedy silne miejsca.

Tak opisując insurrekcyę, woła: „Burza wrzącymi gromami warcząc, otworzyła żelazne drzwi wojny; zbiegł się lud uzbrojony, w zapale groźnego marsa do morderczej walki. I wśród ogromnego narzędzia pocisków, wśród przelewu krwi strumieniami płynącej, wśród klęsk śmiertelnych szukali na łonie swej matki synowie śmierci lub zwycięstwa“.

Potem dość oryginalnie zastanawia się nad upadkiem „Bohatyra“; rządami Opatrzności, przechodzi dalsze życia koleje i pięknie wieści jego sławy nieśmiertelność.

„Najpóźniejsze pokolenia czytając w historyi świetną życia swojego epokę, powtarzać o tobie będą: Oto ten!... którego dni znaczone były poświęceniem się dla swoich współbraci: nie dał im ginąć bez chwały i cnotami swemi wzmocnił imię Polaka“.

Nawiasem mówiąc, przypomina tu mówca myśli Niemcewicza, może bezwiednie, a może też pod wpływem jego mowy, którą mógł czytać w „Gazecie Warszawskiej“.

Następuje potem cenny jak na owe czasy posuchy egzegetycznej, w kazaniach bardzo cenny ustęp o miłości kraju ojczystego wedle Pisma św. i wskazanie na miłość Ojczyzny u „Bohatyra“, którego duszę poleca Bogu, a testament dla żywych tak głosi, kończąc kazanie:

„Ten najlepiej pamiątkę cnotliwych uczci, kto ich cnoty najwierniej naśladować będzie“.

X. Nosewicz Bonawentura, doktor teologii, z zakonu franciszkańskiego, musiał należeć do znakomitszych mówców wileńskich. Ostało się po nim kilka mów żałobnych. B. Pelczar podaje trzy, lecz nie wymienia między niemi Kościuszkowskiej. Jest to wcale ładna mowa, treściwa, dość oryginalna, potoczystym pisana

językiem, lecz nierówna, za mało przejrzysta, przerywana zwrotami hołdów w stronę Aleksandra.

Po X. Nosewiczu miał marszałek powiatu Trockiego Römer przemowę, „która rozrzewniła równie mówcę jak i słuchaczów", jak pisze współczesne sprawozdanie. A mogła rozrzewnić, bo mowca nastrojowo mówił:

„Czoła nasze zasępione, łzą rzewną zroszone źrenice, ta cichość głęboka, przerywana niekiedy westchnieniem, żalu naszego nieutulonego i czci najwinniejszej są wiernym i jawnym dowodem".

A kreśląc życiorys Kościuszki trafnie scharakteryzował jego sławę — wojenną temi słowy: „Wielki Wojownik! Nie należy wszakże do rzędu owych Wojowników, którzy próżnej wielkości dymem uniesieni, roznoszą mordy i pożogi w odległe spokojnych mieszkańców krainy! Walczył za wolność i całość ojczystej krainy".

Jakkolwiek się mówca przedstawił jako „prosty Ślachcic, nieuczony i niewymowny", orzec trzeba, że mowca kłam zadaje swym skromnym słowom. Niezły to był mówca, to też się raz jeszcze z nim spotkamy [1])

Nie ograniczyło się Wilno na jednym obchodzie. Tak odprawiono w tym samym kościele jeszcze nabożeństwa dnia 11. grudnia dla młodzieży duchownej, uniwersyteckiej i gimnazyalnej, a 13. dla obywateli miasta Wilna; na ostatnim wygłosił mowę burmistrz Giec.

Również 11. grudnia odprawiono uroczyste nabożeństwo w kościele ewangelickim. Przemawiali pastorzy Jakób Nikolai, Aleksander Łabowski i „rangi 9tej klasy Aptekarz", Karol Wagner, wysławiając cnoty Naczelnika.

Najciekawsza to może wiadomość o nabożeństwach, urządzonych ku czci polskiego „Bohatyra" w meczecie mahometańskim na przedmieściu Łukiszkach i w izraelickiej szkole. Tutaj zebrało się 10. grudnia mnóstwo żydów z kahałem na czele i po odprawieniu wspólnych modłów, odśpiewano hebrajską pieśń ułożoną — autor nieznany — umyślnie na tą uroczystość, pieśń naśladującą psalmy i poczynającą się od słów:

[1]) Nie miałoby celu rozbierać choćby pobieżnie z kolei wszystkie mowy, raz dlatego, że głoszono je na drugorzędnych nabożevstwach a powtóre dlatego, że przeważnie powtarza się ich treść. Niektóre są ogólniejszej natury i nie mieszczą w sobie wysokich wartości mówczych.

„Przeważny Mąż dzielności na wyniosłe wstąpił wyżyny".

W meczecie zaś wśród nabożeństwa dnia 21. grudnia wygłosił Mołła Daniel Szabłowski króciutką, ale bardzo piękną przemowę, zwracając się szczególnie do „nieodrodnych Synów tej Ojczyzny", co walczyli za nią pod Kościuszką, poczem po arabsku odprawiono modły.

Liczne nabożeństwa w miastach prowincyonalnych rozpoczyna obchód w Kownie w kościele PP. Bernardynek, z dniem 10. listopada, o tyle ważny i szczególniejszego podkreślenia godny, że to pierwszy na ziemiach polskich, ile nam wiadomo. Po mszy miał kazanie X. Rapszewicz, proboszcz kormiałowski, lecz ani w Zbiorze mów tego kazania niema, ani B. Pelczar tego kaznodziei nie zna. Po skończonem nabożeństwie przemawiali jeszcze pp.: Ignacy Zawisza, Bernard Pączkowski, Józef Chłopicki i Józef Fergiss, którego mowa, jedynie podana, trąci przesadą.

Podobnie nie znamy i mowy, jaką wygłosił w Kiejdanach 14. listopada X. Wierciński, proboszcz poniewiezki. Zato poważna, gruntowna i szeroko pojęta, miejscami silna, jest mowa Adama Kujawskiego, profesora miejscowego.

Na nabożeństwie w Trokach, odprawionem 17. listopada w kościele farnym, nie było wcale kazania. Ze świeckich przemawiali: znany nam już mówca wileński Römer — mowa jego zupełnie odrębna od wileńskiej — Piotr Kleczkowski, którego mowa dość szeroko pojęta, oraz Józef Bąkowski, którego mowy niema w Zbiorze.

Na obchodzie żałobnym w Wiłkomierzu, urządzonym 29. listopada, przemawiał znowu „znany z wymowy w Litwie" X. Nosewicz, prawdopodobnie podał mniej więcej to samo, co później we Wilnie. Z mów świeckich Franciszka Komorowskiego, Marszałka powiatowego, Józefa Kozakowskiego, Prezydenta Sądów i Marcina Mackiewicza podano tylko urywki, lecz o tyle na uwagę zasługuje ostatni mowca, były burmistrz, że przemawia „od licznej mieszczan i kmiotków klassy" podnosząc:

„On nad tą najliczniejszą klassą mieszkańców tej ziemi czułą rozciągał opiekę, zabezpieczył prawa ich własności, umiarkował prace wedle sił i mocy, otarł pot z czoła spracowanych,

a w domy licznych familii wprowadził spokojność, szczęście i dał uczuć słodycze z zachowania praw ludzkości pochodzące".

Mackiewicz to jedyny na Litwie mowca, co obszerniej charakteryzuje zasługi Kościuszki, położone około szerokich warstw ludowych.

W Wołkowysku na nabożeństwie, urządzonym 8. grudnia, przemawiali X. Ignacy Borowski i p. Leon Suchodolski. Głośny wówczas kaznodzieja, po ogólnym wstępie, zwraca się do komitetu, urządzającego uroczystość, tudzież do „zacnej i szanownej płci, którą kościół pobożną a świat piękną nazywa", wymieniając bez ogródki nazwiska niektórych dam, przypomina niegodność swoją i daje charakterystykę „Bohatyra" na tle jego życia, tego męża, którego stopa gdziekolwiek ziemię uszczęśliwiła, ludy tysiącami błogosławieństw pamięć jego uwieńczają, którego najsurowsza krytyka chwałą okrywa, którego pamiątkę narody czczą i uwielbiają." On to, „wywiązawszy się Religii, ludzkości i Ojczyźnie dnia 17. października idącego roku, życia dokonał."

Potem rozwodzi się o żalu powszechnym, a podkreśla, że właśnie w takiej chwili odszedł, gdzie potrzeba „Bohatyrów" dla młodych pokoleń. Przepiękny jest tu zwrot do „nieszczęśliwej ziemi" i do „drogiego cienia Tadeusza Kościuszki."

X. I. Borowski, podówczas kaznodzieja gimnazyalny świsłocki, został później kaznodzieją uniwersyteckim w Wilnie († 1852), — należy go odróżnić od Franciszka Borowskiego, którego wybitna działalność kaznodziejska przypada na wiek XVIII., i biskupa żytomirskiego Kaspra. — Autor rozmaitych mów i kazań, których miał przeszło 500 zostawić w rękopisie, nieznany B. Pelczarowi jako mowca Kościuszkowski, odznacza się w tem kazaniu pewnym ogniem kaznodziejskim, lecz brak w niem wyrazistości wybitnej, no i Pisma św.

Podobnie znany już w dziejach kaznodziejstwa jest mówca obchodu nowogrodzkiego (dnia 13. grudnia), X. Franciszek Godlewski — odróżnić go należy od Rutyliusza z drugiej połowy XVIII. wieku i Lucyana, współczesnego.

Po wspaniałym wstępie, opowiadającym o walkach Judy Machabejczyka, przechodząc do naszego „Bohatyra" woła kaznodzieja potężnie:

„Narodu, narodu tu całego potrzeba było, aby tak znakomitemu i zasłużonemu Obywatelowi, należny hołd wdzięczności złożył. Dwóch części świata potrzeba, aby jako świadki dzieł jego waleczności i cnoty, uwielbiły go dosyć godnie. Niebiosa tylko same objawićby nam mogły wielkość nieśmiertelnej chwały Kościuszki".

Potem, w „części pierwszej" mówi więcej ogólnie o „mniemanej wielkości", użyciu talentów, miłości Ojczyzny, gdzie przypomina wiersz Krasickiego, a stosując ją do Kościuszki orzeka: „Ona była żywiołem oraz panującą, że tak wyrazić powinienem pierworodną duszy jego namiętnością". Przepromieniała całe jego życie.

W „części drugiej" znowu ogólne rozważanie o czci dla Boga, o „prawdziwym Bohatyrze", który „jest wizerunkiem dodroci i wielkości Boga, miłośnikiem cnoty i ludzkości, czcicielem świętości religii". A takim był Kościuszko. Piękna następuje prozopopeja do „szanownego cienia, czcigodnego ducha Kościuszki", co ogląda „niezgaszone żadnym pasmem wieków światła wiecznej chwały" i modlitwa do Boga, którą kazanie się kończy.

Kaznodzieja, znany już jako autor Kazań świątecznych, jednych i drugich, oraz Kazań niedzielnych i przygodnych, zawarł w tem kazaniu dobrą przemowę kościelną, lecz i tuby się jeszcze więcej Pisma św. przydało. Rzecz pełna namaszczenia i powagi, jest typowem kazaniem ówczesnem, w ujęciu i opracowaniu także językowym, gdzie pełno „uczuciów", „religiów" itp. Część ogólna, dość głęboko pojęta, szczegółowa o Kościuszce mniej obszerna, miejscami pobieżna.

Nadmienić jeszcze można, że po X. Borowskim przemawiali jeszcze Marszałek Woyniłowicz i Wicemarszałek Michał Mackiewicz, a nawet Pan Putkamer, „młody kawaler" „odczytał Elegię czułą, przez siebie napisaną".

Ostatnie na Litwie nabożeństwo, jak podaje „Zbiór Mów", odbyło się w Kalwaryi 22. stycznia 1818 r. Kaznodziei nie znamy z nazwiska nawet, zato w całej rozciągłości podana mowa Komisarza Miłaszewicza, prawdziwie piękna, pełna poezyi i treści.

(Dok. nastąpi).

X. Nikodem Cieszyński.

W czasach Chmielniczyzny.

(Czy zdrajca?)

Na zamku w Zabłotowie gospodarował w czasie rozpoczynającej się Chmielniczyzny Jerzy Bożawola Rzeczkowski, starodawnego roku, ojczyźnie zasłużonego, zacny potomek. Miał on tutaj jakąś część wielkiej włości Zabłotowa, podzielonej z dawna na rozmaite działy, należące dożywociem do wielkich rodów kresowych, Potockich, Wiśniowieckich. W czasie ruiny, należały dobra do Eufrozyny Stanisławskiej, wdowy po Michale Kasztelanie Kamienieckim. Należały do Zabłotowa wsi: Dymitcze, Tuluków, Koluchów, Trościaniec, Hankowce, Zadudrowce, Lubkowce i Oleszków, tudzież osady puste: Budzduczka, Ohrymowce i Koluczków. Częścią tych dóbr administrował pan dziedzic z Zabłotowa, posiadający także dożywocie w Uhrynowie.

Tę ostatnią wieś otrzymał Rzeczkowski jeszcze w 1642 r., od króla Władysława. W donacyjnym dokumencie uzasadnia król darowiznę pochlebnem dla Jerzego świadectwem. Zasługi wojenne, mówi król[1]) — połączone z zacnością rodu, pobudzają nas ku wdzięczności, tem większej względem tych, którzy i zasługami przodków i własnemi jaśnieją, a którzy większą część życia na usługach naszych i rzptej w wojnach zdrowie własne i fortunę nakładali. Dzielnością wojenną, na rozlicznych wyprawach, Jerzy

[1]) Castr. Hal. 135 p. 1192 z datą 1642 r. 20 marca.

Rzeczkowski odznaczył się wielce, chwali go król, i nie dla zysku z żołdu ani też z żądzy łupów nieprzyjacielskich, ale gorącą chęcią służby rzptej powodowany, jej zawsze służył... Dożywocie królewskie na Uhrynowie, nadane aktem powyższym, z warunkiem płacenia kwarty podwójnej do skarbu królewskiego, rozciągało się i na żonę Jerzego, Annę Świerską. Była to już druga żona Jerzego; pierwszą była Anna Bydłowska z domu, i z niej miał syna Stanisława. Z drugiej pochodził syn Aleksander i córka Teresa.

W 1645 r. nabył Jerzy od Stefana Żurakowskiego część Opryszowiec, należał przeto do średnio zamożnej szlachty. Nabytek, o którym mowa, nie przyniósł mu pociechy, a raczej naraził na kłopoty i procesy z sąsiadami o najazdy, jak z wdową po Stefanie Potockim Maryą, z domu Mohylanką, z Monasterzyszcz, z Kuropatwami z Czerniejowa itp. Miał atoli już pan Jerzy syna, któremu ustąpił ową słobodę Uhrynów i Opryszowce, a który — nie tylko wyręczał ojca w administracyi dóbr, ale nadto był już i współdziedzicem Zabłotowa, a był nim p. Stanisław.

Wtem nastąpił wybuch powstania Chmielnickiego; hetman w. koronny wysłał syna Stefana Potockiego celem uśmierzenia niepokojów; u Żółtych wód zadał mu Chmielnicki klęskę.

W bitwie brał udział Stanisław Rzeczkowski, ojciec bowiem nie mógł widocznie brać udziału w pierwszej zaraz kampanii, zresztą musiał pozostać ktoś na obszernem gospodarstwie i w Zabłotowie, gdzie w zamku pozostała rodzina Jerzego i małoletnie z drugiej żony dziatki

Wtem przeraziła Jerzego wieść o klęsce Stefana Potockiego. Był Rzeczkowski związany z domem Potockich rozmaitymi stosunkami — w domu tym lokował swe kapitały, szukał oparcia i poparcia od młodości. Jeszcze 1620 r. u wojewodzica bracławskiego Mikołaja, syna Jakóba Potockiego, ulokował 13.000 zł. p.[1]) U ojca ówczesnego wojewody bracławskiego Piotra był on na dworze i zapewne później i majątkami tegoż zarządzał na kresach, deponował kapitały uciułane pracą, który to wniosek wy-

[1]) Ter Hal 77. p. 1271.

pływa stąd że z synem wojewody, Pawłem, miał po śmierci wojewody spory o pewne sumy i o dziedzicznych poddanych i to przez lat kilkanaście. Wojewoda kilkakrotnie zapewniał Jerzego, że nie tylko mieć będzie go w swej opiece, ale także i dziatkami jego i swym synom polecił opiekować się Rzeczkowskimi i to gdy będzie czynić testament ostatniej woli. Toż i Jerzy opiekunem dzieci swych naznaczył pomiędzy innymi wojewodę.[1]) Tem się wyjaśnia, że syn Stanisław stawił się pod chorągwie Stefana Potockiego.

Zapewne pogodził się Jerzy z myślą straty syna, wiadomem bowiem było na kresach, że nikt z bitwy nie powrócił. Kresowiec stary nie miał zresztą czasu do rozpaczania z powodu straty pierworodnego i klęski ojczyzny, gdyż równocześnie z wieściami o Żółtych Wodach począł się szerzyć na pobliskiem już Podolu bunt poddanych; wnet już przedarł się do starostw kołomyjskiego i śniatyńskiego i to w czasie, gdy klęski Korsuńska i Polawiecka wstrząsnęły posadami rzptej. W jesieni tego nieszczęsnego 1648 r. bunty na Pokuciu zaznaczyły się krwią, rabunkiem i pożogą zameczków, dworów, kościołów; na całem podgórzu... pomiędzy innemi, a około Bożego Narodzenia padł ofiarą także i zameczek Zabłotowski. Uderzyła nań wataha, w której przewodnią mieli mieszczanie aż z Łyśca miasteczka, zdobyli zameczek, zrabowali doszczętnie wszystko, a armatę, broń, wszystkie ruchomości uwieźli[2])... Widocznie Jerzy Rzeczkowski schronił się z rodziną w bezpiecznem miejscu i powrócił do Zabłotowa dopiero po ustąpieniu napastników...

Wśród tych klęsk i domowych i ojczyzny jedna pociecha spotyka niespodziewanie Jerzego Rzeczkowskiego. Oto wraca syn Stanisław, którego miał już za zginionego. Radość była tem większa, że bunty nie ustały na kresach, że wśród klęski i zniszczenia trzeba było chronić rodzinę wśród największych niebezpieczeństw, dopomagać staremu ojcu, by dom utrzymać, spokój w dobrach przywrócić i porządek dawny ustalić. Toż widzimy Stanisława w pierwszych dniach marca 1649 r. w Haliczu w sądzie grodzkim.

[1]) Castr. Hal 146 p. 852.
[2]) G. Hal. 141 p. 1143.

gdzie jako dziedzic Zabłotowa zakłada protest przeciwko mieszczanom Łyśca, z powodu napadu i rabunku zameczka Zabłotowskiego w porozumieniu z Kozakami — a równocześnie krzątą się pośród szlachty, która zjechała się na sejmik, aby wyrobić pewne ulgi dla dóbr swoich. Zabiegi nie były bezskuteczne, czego dowodem uchwała sejmikowa z 14 marca, zasługująca na przytoczenie.

„Żadne dzierżawy ani starostwa w ziemi naszej od stanowisk ludzi naszych powiatowych nie zwalniamy, oprócz wszystkich dzierżaw hetmana wielkiego koronnego, z powodu nieszczęścia, które dla ojczyzny w niewoli pogańskiej ponosi, także dzierżawy p. Ludwika Wydżgi... także Uhrynów, słobodę, zostającą w dzierżawie Imci p. Rzeczkowskiego młodego, który na Żółtych Wodach w nieprzyjacielskie dostawszy się ręce, teraz powrócił..." Zaiste, zaszczytna dla pana Stanisława uchwała, stawiająca go w jednym rzędzie z hetmanem pod względem ulg, któremi szafował sejmik, uznaniem, wspominająca o jego niewoli, stawiająca go w rzędzie nieszczęsnych bohaterów wojny, słowem wynosząca po nad poziom zwykłej szlachty, do rzędu kandydatów na poselstwo lub godności ziemskie.

Inne natomiast o p. Stanisławie, o jego czynach, panowały sądy pośród rycerstwa. Oto miało go rycerstwo za zdrajcę, jako takiego uważało i za zdradę pociągnęło do odpowiedzialności. Miał się stawić w Lublinie, gdzie przy sposobności komisyi dla zapłaty wojska zebranej, odbywał się także i sąd wojskowy, pod przewodnictwem Aleksandra Ludwika Niezabitowskiego, sędziego wojskowego.

Na dniu 13. kwietnia 1650. nie pojawił się w Lublinie na terminie przed sądem wojskowym Stanisław Rzeczkowski. Było dla sprawy jego niekorzystnem pozostawiać oskarżenie w tak ważnej rzeczy nieodpartem — gorsza było to dlań, że rotmistrz z pod Jeremiego Wiśniowieckiego, Aleksander Brzuchański, stanąwszy przed sądem jako powód, dowodził, że Stanisław Rzeczkowski, towarzysz niegdyś Stefana Potockiego na Żółtych Wodach, przedarł się do Kozaków.

Ponieważ powód — brzmiał wyrok słusznemi świadectwy przez towarzyszów rozmaitych chorągwi dowiódł, że właśnie in

a c t u wojny z nieprzyjacielem przedał się, a pozwany, żadnego usprawiedliwienia, będąc pozwem hetmańskim obesłany, o sobie nie dał, winnego zbrodni pozwanego uznawa i onego trąbą wojskową według zwyczaju przy komisyi ogłosić rozkazał i na delacie do dalszego w tej sprawie postępku podać na przyszłym sejmie zechce.

Wyrok ten, z rozkazu króla i senatu, został otrąbiony i ogłoszony niebawem w Warszawie, na Starem Mieście przez woźnego Marcina Jeżewicza wobec szlachty, która na sejm zjechała. Pan Stanisław był obwołany zdrajcą i bez czci...

W parę dni później, 25. kwietnia, król nadał dobra infamisa zdrajcy, zbiegłego z obozu w Żółtych Wodach do zbuntowanych Kozaków obozu, panu Janowi Marczyńskiemu, rycerzowi tak królowi jak i rzptej bardzo zasłużonemu....[1])

Snać wyrok nie był jeszcze znanym w Zabłotowie... Stanisław był w owym czasie w Opryszowcach, zarządzając tu gospodarką, jako współdzierżawca wraz z ojcem połowy tych dóbr. Zaciągnął on był pożyczkę 500 zł. od Wnorowskiego, dzierżawcy drugiej części Opryszowiec, na wyprawę wojenną, którą mu się tak nieszczęśliwie powiodła, a gdy teraz w terminie nie oddał pieniędzy, a wierzyciel wwiązał się w część swego dłużnika w Opryszowcach, wyrzucił go p. Stanisław przemocą[2]). I ten fakt świadczy ujemnie o zasądzonym...

Tymczasem Jan Marczyński starał się o egzekucyę nadania sobie dóbr infamisa. W początkach grudnia 1652. przyszła do skutku ta egzekucya w Zabłotowie, w obecności Remigiana Dzierżka, który zastępował podstarościego halickiego. Jerzy Rzeczkowski przedłożył atoli swe prawo dożywotnie, które wraz z pierwszą małżonką miał do tychże dóbr i inne zapisy, żądając, by go w spokojnem posiadaniu pozostawiono, z pominięciem wyroku, wydanego w kontumacyi, na podstawie mylnego doniesienia, w terminie nielegalnym bez dekretu trybunału co do kognicyi praw mianych do Zabłotowa i zarządał uwolnienia go od pretensyi Marczyńskiego tak co do Zabłotowa, jako też i Opryszowiec. Wobec ta-

[1]) Castr. Hal. 143 p. 1446 i Castr. Leop. 400 p. 1285 ad castra Koczon utpote Kozakorum rebellium transfugam...

[2]) C. Hal. 144 p. 458.

kiego sprzeciwu urząd odstępuje od egzekucyi i odsyła powoda do trybunału lubelskiego, celem uzyskania dekretu kognicyjnego (cognitio iurium), czyli rozstrzygnięcia, kto właściwie ma prawo posiadania na Zabłotowie.

Sprawa kończy się dwoma protestacyami, pierwszą Marczyńskiego, który był oczywiście niezadowolony z odstąpienia od egzekucyi i drugą Jerzego Rzeczkowskiego, przeciwko bezprawnie ufundowanej w dworze swym jurysdykcyi z naruszeniem szlacheckiej wolności... Poczem przystąpił zastępca prawny OO. Franciszkanów halickich, przedkładając list dłużny Stanisława Rzeczkowskiego, opiewający na 600 zł., a ubezpieczony na Zabłotowie i Opryszowcach, części pana Stanisława[1]).

Obdarowany dobrami infamisa Marczyński nie dał za wygraną tego niekorzystnego dla siebie obrotu sprawy i udał się dalej na drogę prawną, do trybunału koronnego. Przewidując, że gdyby przyszło do kognicyi praw, nic nie uzyskałby, wytoczył proces w trybunale przeciwko staroście halickiemu z powodu odstąpienia od egzekucyi. Istotnie trybunał uznał skargę za słuszną i 26. września 1654 r. zawyrokował w sprawie z delacyi sejmu dekretem sejmowym zasądzonego Stanisława Rzeczkowskiego infamisem, dla przedania się do obozu wroga ogłoszonego, nakazując egzekucyę wyroku staroście halickiemu Andrzejowi Potockiemu, tj. zajęcie i oddanie dóbr ziemskich infamisa na rzecz powoda, Marczyńskiego.

Był to cios dla Stanisława — cios, którego nie dożył już Jerzy Rzeczkowski. Biedny ojciec infamisa, skutkiem utrapień, ruiny finansowej, jakiej na kresach uległa szlachta i bolesnych przejść i ciosów, od jakich jęczała cała rzpta, a w dodatku z powodu zmartwień, jakich przyczyny niezawodnie szukać należy w smutnem, rozpaczliwem niemal położeniu syna Stanisława, popadł w ciężką chorobę. Wiekiem i pracami przygnieciony czuł dobrze, że zbliża się dlań ostatnia godzina...

Na zameczku w Zabłotowie, dnia 26. sierpnia tegoż 1654 r., ciężką chorobą złożony, ale zdrów na umyśle i z zupełną przytom-

[1]) C. Hal. 144 p. 600.

nością ducha, Jerzy Rzeczkowski wobec przyjaciół czynił rozporządzenie ostatniej woli. Byli to: ks. Stan. Domaniewski, ks. Michał Skopowicz, superior konwentu jezupolskiego Dominikanów, Jakób z Romanowa Świrski, Wojciech Dąbrowski i Stanisław Chojnacki. Upraszał najprzód małżonkę, by ciało pochowała w kościele jezupolskim OO. Dominikanów, którym legował 1000 złp. z tych pieniędzy, które miał u starosty czerkaskiego, Mikołaja Potockiego na wsi Podłużu ubezpieczone, z obowiązkiem odprawiania co sobotę mszy św. Dziatki miłe, aż do wieku sprawnego, mają pozostać przy matce i dobra wszystkie i sumy pieniężne u kogokolwiek będące, i na dobrach ziemskich ubezpieczone, niemniej jak i te dobra, których sam zażywał i trzymał, niedawno w ziemstwie halickiem dziatkom zapisane, ma używać żona aż do czasu dojścia ich do wieku sprawnego, a wszystkie ruchomości niemniej jak i inwentarz żywy z pasiekami, przekazywał małżonce. Kwotę 300 złp. zapisywał siostrzenicy swej, Stanisławowej Chojnackiej, a drugiej Jadwidze Iwińskiej prawo swe, które miał u wojewodzica bracławskiego Jana Potockiego „o dziedzicznych poddanych, zbiegłych do tegoż". Pamiętał o czeladniku swym Michałowskim, starym swym słudze i o wszystkiéj swej czeladzi, prosząc, by według zasługi swej byli wynagrodzeni, dodając: abym przez nich przed majestatem Pańskim i straszliwym sądem Jego nie był sądzony. A jeśli by się słusznie pokazało po śmierci mojej, jeślibym czego na ten czas przepomniał, upraszam opiekunów, aby wszystkim eliberowali sumienie moje i duszy mojej nie czynili ciężko. Opiekunów upraszał, aby znosząc się z małżonką, czynili to wszystko, coby było ku chwale Bożej a ku przystojnemu wychowaniu dziatek [1])...

Nie uderza nas, że o pierworodnym synu nie wspomniał w testamencie; wszakże Stanisław był infamisem, któremu bądź co bądź dowiedziono winę zdrady ojczyzny, a który nie mógł nawet stawić się do sądu, by się uniewinnić... Nieposzlakowane imię rodziny było splamione przez własnego syna... w obec Boga i własnego sumienia, nie mógł o takim nawet wspomnieć w testamen-

[1]) C. Hal. 146 p. 852 in.

cie, gdyż to był już członek zmarły dla rodziny, dla społeczeństwa, dla ojczyzny; każdy mieszkaniec mógł go bezkarnie zabić, zgładzić, jako zakałę i hańbę ludzkości, usunąć z ziemi, krwią szlachecką, krwią bohaterów wojny, obrońców ojczyzny tak obficie przepojonej. A gdy gasnącą pamięcią obejmował najważniejsze chwile życia, owe krwawe wojny, Cecorę, Chocim, Smoleńsk, kędy i on krew swą hojnie dla ojczyzny przelewał, z jakąż boleścią schodził z tego świata, nie mogąc nawet wspomnieć o błogosławieństwie dla pierworodnego, który nawet bezpiecznie nie mógł pozostawać przy chorym ojcu i kto wie, czy był obecnym przy zgonie, niebawem po spisaniu testamentu nastąpionym.

Młoda wdowa — te na kresach nie mogły długo obserwować żałoby i mając drobne dziatki, pozostawać bez opieki męskiej — niebawem już wyszła za mąż powtórnie, za Piotra Myśliszewskiego, który też objął rządy męskie w Zabłotowie i innych majątkach zmarłego. Był to czas najwyższy dla tej opieki męskiej, pośpieszono się tedy ze ślubem, gdyż jak wspomniano, wróg Stanisława pan Marczyński, posiadał dekret trybunalski, nakazujący egzekucyę w majątkach infamisa i czynił przygotowania, by jak najrychlej przyszła do skutku.

Na dniu 5. marca 1655 r. w siedm miesięcy po śmierci Jerzego Rzeczkowskiego, zjawiają się egzekutorzy w zameczku Zabłotowskim[1]). Myśliszewscy jednak nie dopuszczają urzędu grodzkiego halickiego do ufundowania jurysdykcyi we własnym domu; urząd musiał tedy urzędowanie swe przenieść do miasta, do domu sławetnego Janusza Fanseyta. Tam to zjawia się plenipotent nieboszczyka Jerzego Rzeczkowskiego i wobec urzędu, ogłaszającego przystąpienie do egzekucyi oświadcza, iż z powodu śmierci Jerzego i wyjścia za mąż wdowy po nim pozostałej, nie ma tutaj żadnego terminu i uprasza o uwolnienie go od tej sprawy sądowej. Oparty na donacyi i na wyrokach sądowych, zastępca prawny Marczyńskiego żądał przystąpienia do egzekucyi. Urząd skłania się do żądania strony powodowej, uważając sprawę jako już osądzona. Sprzeciwia się temu następca ś. p. Jerzego i zakłada mocyą.

[1]) Oblata executionis ex parte Marczyński C. Hal 147 p. 1248.

Urząd nie przychyla się do mocyi, poczem pozwany protestuje, a urząd zakłada reprotestacyą.

Co do dóbr Opryszowiec, pełnomocnik śp. Rzeczkowskiego oświadczył urzędowi egzekucyjnemu, że na podstawie zapisu cesyjnego pomiędzy Anną z Bydłowa Stolnicką, w powtórnem małżeństwie żoną ś. p. Jerzego i zapisu rezygnacyi Opryszowiec, dobra te nie mogą również podlegać egzekucyi wyroku infamii, zapadłej na Stanisława Rzeczkowskiego i to w kontumacyi; nie mogą podlegać i teraz, gdy Aleksander i Teresa Rzeczkowscy, dzieci ś. p. Jerzego, objęły wraz z Myśliszewskimi te dobra i całą tę sprawę o Opryszowce należy odesłać do trybunału, dla rozstrzygnięcia, komu właściwie przysługuje prawo do tychże dóbr (ad experientiam iurium). Odparto ze strony Marczyńskiego — że prawa niepoparte intromisyami nie mają waloru i nadaniu króla uwłaczać nie mogą — zapisy zresztą dotyczą pierwszego małżeństwa, podczas, gdy infamis pochodzi z drugiego — dodał mylnie poinformowany zastępca Marczyńskiego i tem samem osłabił prawomocność swego żądania[1])... Ostatecznie jednak urząd zakończył sprawę egzekucyi tem, że dobra te, jako darowiznę królewską oddał Marczyńskiemu...

Stanisław Rzeczkowski nie przestał jednak pracować z ukrycia nad odzyskaniem dóbr i nad rehabilizacyą swoją. Latami całemi pukał do szlachty, do znajomych, do krewnych, do dawnych towarzyszów broni... Był to czas ruiny, kiedy to wielu ze szlachty odpadało od wierności królowi powinnej do Szweda, do Rakoczego... ludzie znakomici, zasłużeni, stawali się zdrajcami, infamisami. Nawet chorąży ziemi haliskiej, Michał Stanisławski, za przejście do obozu Szweda został infamisem; dobra i chorąstwo stracił; to ostatnie dano Stefanowi Złoczewskiemu. Szlachta podzielona na polityczne obozy, poczęła współczuwać z infamisami, żałować ich, a Stanisław nie ustawał w pracy i dopiął wreszcie swego. Sejmik haliski polecił w instrukcyi, danej posłom na sejm 1658 r. wstawić się za nieszczęsnym... Oto co w niej czytamy:

[1]) Może pobałamucił tu kopista aktu. Anna Myśliszewska na podstawie zapisu męża z 12 kwietnia 1655 r. była wwiązaną w dobra Opryszowce (in aream Swiridowska nuncupatam).

„Tak dalece w teraźniejsze czasy do nabycia dobrego mienia (majątku) involverunt sposoby, że i najniewinniejszy w swoim honorze i substancyi osiedzić się nie może. Co że i w ziemi naszej IMci p. Rzeczkowskiemu, obywatelowi naszemu, żołnierzowi doświadczonemu i po wszystkie ekspedycye wojenne ojczyźnie służącemu, gdy na Żółtych Wodach wzięty do bisurmańskiego więzienia w okowach zostawał, się przydarzyło, że na nim niesłusznie na utwierdzenie kajdan in contumatiam w komisyi lubelskiej trąbienie otrzymawszy i na delacie podawszy pars adversa ius caducum wyjednała. Instabunt pp. posłowie, aby to ius caducum, jako iniquum za expurgacyą in foro competenti per legem kasowane, i aby nikt in posterum w dobra cudze iure caduco sobie konferowane, dokąd pars partem iure non vicerit, nie intromitował się, legewarowano było".

Redakcya instrukcyi powyższej, stanowczością swoją, wnioskiem prawnym do niej dodanym, pozwalała przypuszczać, że szlachta halicka głęboko była przeświadczoną o krzywdzie swego współobywatela... Podnoszono zasługi wojskowe i jego doświadczone służby a dodajmy, że jak przed laty dziesięcioma, tak i teraz stawiano imię jego pomiędzy najzasłużeńszymi w ziemi, albowiem równocześnie popierano petitum Jana Potockiego, wojewodzica bracławskiego, powtórnie w grubem więzieniu pogańskiem cierpiącego.

Co bardziej, Stanisław znalazł przyjaciół i na sejmiku generalnym w Wiśni, gdyż i stamtąd polecono posłom wstawić się za zasłużonym dobrze w wojsku, na którym, gdy w niewoli przebywał, ad male narrata p. Marczyński super omnibus bonis ius caducum uprosił. Żądano, aby ten przywilej skasowano i aby ci, którzy takie przywileje otrzymują, karani byli według prawa[1]).

Wstawiennictwa sejmików osiągnęły pomyślny dla Stanisława skutek. Na sejmie warszawskim, 31. sierpnia 1658 r., król na prośby szlachty wystawić kazał zasądzonemu na infamię list żelazny, aby mógł prawne akty sprawować, wobec sądów się jawić

[1]) Akta gr. i Z. XVI. p 249.

i ze stroną przeciwną rozprawić się tak w sprawie niesłusznie nań spadłej proskrypcyi jako też i infamii[1]).

Tak przygotowana droga do rehabilitacyi, musiała doprowadzić Stanisława do pożądanego portu rehabilitacyi.

Ale lubo się powiodło Stanisławowi odzyskać cześć prawnie, nie odzyskał jej u wielu ludzi. Ojczym, Piotr Myśliszewski, zwymyślał go najgrubszymi epitetami. Co prawda Stanisław imieniem swem a także i brata przyrodzonego Aleksandra zapozwał macochę Myśliszewską o niewydanie mu inwentarza i ruchomości pozostałych po ojcu. Ostatecznie spory te rodzinne zakończyły się zgodą polubowną.

Natomiast cierpiał wielce z powodu sporu z potężnym domem Potockich. Rzeczkowsy mieli, jak to wyżej wspomniano, ulokowaną na dobrach domu teog kwotę 13.000 zł. — suma, stanowiąca pod owe czasy majątek. Stanisław imieniem także rodzeństwa uprasza o zwrot, wreszcie wystąpił sądownie przeciwko Mikołajowi Potockiemu, staroście czerkaskiemu, a uzyskawszy dekret, starał wwiązać się w dobra jezupolskie, ale intromisyi jak później i rumacyi nie dopuszczono mu. Podobnież i z Janem Potockim trwał proces od 1648 r. a jeszcze i w r. 1664, a więc w 16 lat po wszczęciu sporów wychodzą dekreta, przyznające słuszność pretensyom Stanisława, ale intromisye, rumacye zawsze były odpierane i proces, jakby z rozmysłu strony przeciwnej, usiłującej go przedłużyć, trwał na zgryzotę i ruinę finansową Stanisława, który, ożeniwszy się z Magdaleną Achingerówną z domu, tem bardziej potrzebował gotówki[2]). Nie było to ponoś przypadkowem

[1]) C. Hal. 149 p. 1224.

[2]) Siostra przyrodnia Stanisława wyszła za Achingera Adama; był to dom z Rzeczkowskimi kilkakrotnymi węzłami familijnymi połączony. W 1669 r. wdowę po Adamie Achingerze jadącą publicznym gościńcem porwał Aleksander Stoiński z Koropca i razem z kolasą uwiózł i niewiadomo, gdzie w niewoli trzymał. Aleksander Rzeczkowski jako brat rodzony porwanej wraz z matką Anną z Romanowa Swirską-Myśliszewską i bratem Stanisławem wytoczyli Stoińskiemu proces o raptus virginis. Niewiadomo, jak się ta sprawa zakończyła. Aleksander był dzielnym wojakiem, brał udział w wyprawie Sobieskiego pod Wiedeń a pod Parkanami widocznie zasłużył się królowi, gdyż 14 października 1683 r. król Jan III w obozie pod Parkanami nadał jemu i żonie tegoż, Annie Komorowskiej z domu, zezwolenie na cesyę dożywocia mianego w Nowosiółce na rzecz Jana Duborskiego C. Leop. 171 p. 969.

owo znęcanie się precesami nad dawnym a już rehabilitowanym infamisem, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod rozwagę przytoczony wyżej fakt, że dom wojewody bracławskiego miał się nawet opiekować dziećmi Jerzego Rzeczkowskiego, a jak wiadomo domy kresowe szanowały zarządzenia ojców, tradycye rodzinne i dbały o przyjaciół rodziny..

Ale to najdotkliwiej dało się odczuć Rzeczkowskiemu, że on, dawny kresowiec, towarzysz chorągiewny, nie odzyskał ani czci ani przyjaźni u wojskowych. Gdy był na zamku Kołomyjskim w 1664 r. wraz z młodą swą małżonką, wszczęli z nim zwadę towarzysze chorągwi Jabłonowskiego, sponiewierali go i wezwali na pojedynek. Po niedługim czasie napadli oni na niego w domu, gdzie omal że go nie zabili. Skończyło się na poranieniu sługi pana Stanisława, stawającego w obronie swego pana[1]).

Jeszcze w 1669 r. jako dzierżawca zastawny wsi Kotowa doznawał zgryzot z powodu sporów i procesów z Feliksem Potockim, który pod bokiem osadził nową wieś, Nowosiołki, i chłopi z Kotowa tłumnie opuszczali dzierżawę Stanisława, uciekając do nowej słobody.

Jak z aktów samych wypływa, los rehabilitowanego nie był do pozazdroszczenia. Czy dostojnicy haliccy, czy szlachta tej ziemi i wogóle województwa miały podstawę do prześladowania Stanisława Rzeczkowskiego, któremu przecież ułatwiła rehabilitacyę i dopomogła do uratowania czci i części mienia? Historyk musi to tylko stwierdzić, co z aktów wypływa, że mianowicie syn zacnego i dzielnego rodzica, sam uczestnik kilku wypraw wojennych, za przejście do obozu nieprzyjacielskiego został proskrybowany i infamiowany i że ledwo przy pomocy szlachty sejmikowej zdołał oczyścić się z winu mu zadanej i to w lat dziesięć po owej nieszczęsnej bitwie nad Żółtemi Wodami. Również i to podnieść musi badacz, że mimo rehabilitacyi nie doszedł Rzeczkowski ani do urzędu i znaczenia, ani do majątku, że wreszcie cierpiał prześladowanie, a i od rodziny własnej nie był otaczany czcią mu nale-

[1]) C. Hal. 157 p. 968.

żną, jakoteż że zaledwie zdołał ocalić drobną część majątku, uwikłał sie w długi, gdyż większą część majątku pochłonęły procesa o ratunek czci straconej, jako też o odzyskanie dóbr własnych a przez króla nadanych zasłużonemu rycerzowi.

W czasie, gdy Stanisław Rzeczkowski skazany był na infamię, inny jego ziomek, szlachcic tegoż samego województwa, ale z ziemi przemyskiej pochodzący, Wojciech Rokicki, członek zbiedniałej szlachty, pozostawał w ciężkiem więzieniu, na dnie wieży zamku halickiego. Był on szpiegiem kozackim przez dwa lata, szpiegiem w czasie poczynającej się ruiny. Rys to znamienny; szlachcic z przemyskiego szpiegiem w kresowych ziemiach i to szpiegiem największych wrogów szlachty, którą ten nieprzyjaciel domowy bezlitośnie zcinał, rabował, mordował... na kołach rozbijał a ciała pomordowanych wieszał na szubienicach. Nie podjął się jednak Rokicki brudnego rzemiosła z nędzy, gdyż jakkolwiek zbiedniałej szlachty potomek, posiadał mienie; nie został szpiegiem z chciwości grosza, gdyż niem szafował na zbożne cele... musiał przeto być ofiarą agitacyi, jaką rozwinął Chmielnicki nietylko na ziemiach Ukrainy, ale i województwach zachodnich, a nawet w Małopolsce. Ale starosta halicki, And. Potocki posiadał czujną straż, miała ją i szlachta ziemska, która wystawiła kilka chorągwi powiatowych dla obrony ziemi — i Rokickiego pojmano. Przy jakiej sposobności i gdzie zaszło pojmanie, nie wiadomo. Przyznał się Rokicki zaraz do winy. Tem samem los jego był rozstrzygnięty; szpiegów bowiem, ze szlachty pochodzących, ścinano. Wiedząc, co go czeka, uprosił Rokicki przed ścięciem pomocy duchownej, wyspowiadał się, poczem zaprosił pana starostę, by był świadkiem zarządzenia ostatniej swej woli, słowem, spełnił wszystkie przygotowania do przyjęcia kary, jako wymiar sprawiedliwości, za spełnioną przeciwko Bogu i ojczyźnie zbrodnię. Znane jest to zarządzenie ostatnie woli. Ojciec Baltazar, Dominikanin, który go na śmierć dysponował, przedłożył w grodzie halickim do oblaty testament[1]).

„W imię Ojca i Syna i Ducha świętego Amen. Ja, Wojciech

[1]) C. Hal. 143 p. 1593. testament oblatowany dnia 10 czerwca 1651 r.

Rokicki, schodząc z tego świata za występek mój, majestat Boga mojego obrażając, a to przez lat dwie będąc szpiegiem kozackim, przez karanie sądu zamkowego w Haliczu, czynię tedy testament ostatniej woli mojej, zeznając tym testamentem, nieprzymuszonym będąc i owszem dobrowolnym i zupełnym mym rozumem i pamięcią przed niżej opisanymi Ich Mciami, mianowicie IMcią p. Andrzejem Potockim, wojewodzicem podolskim, starostą kaliskim, i inszą szlachtą, którzy na podpisie będą niżej wyrażone w tym testamencie ostatniej woli mej to jest: odkazuję IMciom OO. Dominikanom halickim, przy kościele Anny św. mieszkającym, z dóbr moich wszystkich sad jeden w Sośnicy pod Przemyślem, a drugi sad wedle tegoż synowi mojemu. Które sady sąsiedniej strony między szynkarzem, a z drugiej między Krzyskiem słodownikiem, te trzyma siostra moja rodzona na imię Jaguśka Kobłowska, co w Monasterczu pod Samborem mieszka. Mam też w schowaniu prawa i insze zapisy mnie służące u Zajączka w skrzyni, w Przemyślu, między którymi ma być skrypt na zł. 400, które mi winien p. Kornekt. Którą sumę, t. j. te 400 zł. IMciom OO. Dominikanom, wzwyż mianowanym, na kościół Anny św. leguję. Z tegoż mają udzielić i synowi mojemu, co będzie wola i łaska IMciów. Przy tejże siostrze, wzwyż mianowanej, Jaguśce Kobłowskiej, krów trzy i pasieki pniów ośmnaście i to wszystko ma być oddano Ojcom, wzwyż mianowanym, na kościół św. Anny w Haliczu. Nadto, za sadami, wzwyż mianowanymi, jest łan pola przez ojca mego za własne jego pieniądze kupiony, którym ja dziedzictwem do tegoż czasu trzymam i ten odkazuję Imciom OO. Dominikanom halickim, a oni te wszystkie rzeczy otrzymawszy, powinni naprzód ciało moje grzeszne, według powinności chrześcijańskiej, przy kościele św. Anny pochować, za duszę moją powinni mszami, świętemi modlitwami jako i za grzechy moje Pana Boga błagać. Długów, jeśliby się miał kto odzywać po śmierci mej, żadnych nie zostawuję, anim nikomu nie winien, jako też i mnie. Oprócz tego, co się tu w tym testamencie ostatniej woli mojej legowało, dokładam też tego, że syn mój wie o tych sprawach, które zostają u Zajączka, mieszczanina Przemyskiego. Com pozwolił i do ksiąg dla lepszej wiary i pewności w Haliczu podać. Działo się w Haliczu na zamku dnia

trzydziestego pierwszego maja anno Domini millesimo sexcentesimo quinquagesimo primo. A że pisać nie umiem, ten znak † czynię krzyża świętego, kładę świadek tego testamentu. Przy bytności mojej Andrzej Potocki, starosta halicki, Aleksander Lubkowski podstarości halicki. Stephan Aleksander Radziechowski, przy bytności mojej Jan Świechowski.

Po spisaniu tego testamentu oddał Rokicki głowę pod topór kata. Los szpiega był odmienny, aniżeli Stanisława Rzeczkowskego. Wina jego wielka, ale przyznanie się do niej łagodzi jej okropność, nawet u surowego sędziego, nawet u starosty, który nie wahał się być świadkiem testamentu kozackiego szpiega, skoro się tenże otwarcie przyznał do winy. Śmierć Rokickiego wzbudza współczucie nad jego dolą, a to właśnie z powodu uznania zbrodni i żalu za winę.

Dr. Antoni Prochaska.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Ks. Dr. A. Mytkowicz, **Powstanie i rozwój emigracyi sezonowej,** Kraków, 1917, 8°, VIII. — 167.

Sześćset pięćdziesiąt do siedmiuset tysięcy Polaków rok rocznie opuszcza swe rodzinne miejsca, idąc na sezonową pracę do: Niemiec, Francyi, Danii, Szwecyi, Rumunii, Szwajcaryi i Węgier. Z tego 600000 „co najmniej" dąży w granice państwa nemieckiego, wobec czego ruch czasowej emigracyi do Niemiec, „obieżysastwem" zwany, ma największe znaczenie dla całego polskiego społeczeństwa. Lecz emigracya nie jest jakąś wyjątkową cechą polskich ziem, ale to ogólny objaw społeczny nowożytnej epoki, na drodze rozwoju życia gospodarczo-społecznego. Współczesne stosunki życiowe sprawiają, że szybkiemu wzrostowi ludności, a jeszcze szybszemu wzrostowi jej potrzeb nie może równomiernie nadążyć wzrost wytwórczości kraju. Jedynie kraje przemysłowe są w stanie zaspokoić wszystkie, z kulturalnego postępu wzrastające potrzeby zwiększającej się ludności". (70).

A więc na emigracyę składają się dwa czynniki: nadmiar sił do pracy w naszym narodzie i ich zapotrzebowanie za granicą, zwłaszcza w Niemczech. W każdym zaborze inne warunki sprawiły, że ilość ludzi bez zajęcia, a tem samem bez utrzymania, wzbierała coraz bardziej, aż wreszcie rozlała się falą za granicę. Ludność Galicyi, kraju traktowa-

nego od chwili rozbioru jako ofiara, z której trzeba ciągnąć zyski, ale troszczyć się o nią nie potrzeba, pozostawiona w ciemnocie, podtrzymywana w pijaństwie, niedołężnie broniona przed lichwą, skazana na dzielenie ojcowizny w karłowate gospodarstwa, doszła wreszcie do tego, że przedstawia „1.200,000 zbędnych rąk do pracy“ (29). Tak wielka podaż sił roboczych musiała obniżyć ich wartość w kraju, wskutek czego proletaryat skazany był na ostatnią nędzę, względnie na szukanie gdzieindziej lepszego bytu.

Ruch emigracyjny rozpoczął się w Galicyi od r. 1880. Celem był początkowo nowy świat amerykański. Objął najpierw zachodnią część Galicyi, z czasem posuwał się coraz bardziej ku wschodowi. „Obieżysastwo“ właściwe datuje się od roku 1895. W piętnastu następnych latach ustawicznie wzrasta, tak że w r. 1911 liczba jego doszła do 320.000, z czego 29'37 procent przypada na Rusinów, reszta na Polaków.

W Królestwie „przeszłość dziejowa, stosunki społeczno-gospodarcze i polityczne stworzyły olbrzymie masy bezrolnych i małorolnych włościan. Następnie gęste zaludnienie kraju, a zwłaszcza okolic o wybitnym charakterze rolniczym, połączonym z niską kulturą rolną i niekorzystnym dla robotnika rolnego systemem gospodarowania na roli, szybki przyrost ludności w rozmiarach większych niż nawet w krajach przemysłowych, stanowią główne przyczyny, dlaczego w Królestwie rozwija się silnie wychodźctwo (63). „Gorączka wychodźcza wybuchła najpierw w kierunku emigracyi zamorskiej, a następnie rozszerzyła się na wielką skalę w obieżysastwo“ (62). Pierwszą grupę robotnika rolnego sprowadzono z Królestwa do Niemiec w r. 1880. W liczbie absolutnej Królestwo przewyższa znacznie Galicyę. Już w r. 1905 do 400,000 obieżysasów szukało chleba w Niemczech. Ludzie ci, zaledwo w jednej szóstej części zajęci są w przemyśle, reszta zaś uprawia niemiecką glebę.

Od lat siedemdziesiątych ogarnął również ruch emigracyjny naszych rodaków z pod zaboru pruskiego. Przyczyny tego wychodźctwa są przedewszystkiem natury gospodarczej. „Silnie wzrastająca ludność wiejska, wskazująca wysoką cyfrę przyrostu naturalnego, rolniczy charakter kraju, brak warunków dla rozwoju wielkiego przemysłu, niska pierwotnie kultura rolna, nieurodzajność ziemi, niekorzystny dla włościaństwa rozdział obszaru ziemi między włościjańską a dworską wła-

sność roli, sprawiły, że za wiele było rąk do pracy na wsi i stały się przyczyną emigracyi". (69). Wychodźctwo to odbywa się głównie w granicach państwa niemieckiego. Skierowane przedewszystkiem do rejonów fabrycznych: Westfalii i Nadrenii. W roku 1913 liczba Polaków tam zajętych doszła do 400,000 (117). W parze z tem przesiedlaniem się Polaków w zachodnie strony Niemiec idzie „obieżysastwo", czyli czasowa emigracya w kraje niemieckie do robót polnych. Obejmuje ona zarówno obydwie części Prus jak i Śląsk. W Poznańskiem w r. 1900 42,244 osób uległo prądowi tego rodzaju emigracyi (120). Lecz już w roku 1908, przedsięwzięto próbę zatrzymania robotnika rolnego w Księstwie. Mimo pierwszych zawodów akcya rokuje najlepsze skutki. — Cyfry podane nie są absolutnie pewne.

Drugą przyczyną „obieżysastwa" jest zapotrzebowanie robotnika, zwłaszcza rolnego, w Niemczech. Brak robotnika tej kategoryi był koniecznym następstwem niemieckiej polityki gospodarczej. Aż do ostatniej chwili jest robotnik rolny upośledzony, pozbawiony prawa koalicyi. Nic więc dziwnego, że od dawna szukał poprawy swej doli najpierw w emigracyi zamorskiej do tego stopnia, że trzecią część wszystkich amerykańskich wychodźców XIX wieku stanowiła ludność niemiecka. Kiedy następnie, po wojnie francuskiej, rozwinął się w Niemczech w nadzwyczajny sposób przemysł i handel, ludność wiejska skierowała swe kroki w ogniska przemysłowe i handlowe. W ciągu jednego dziesięciolecia (1889—1899) straciły Prusy 2,000,000 ludności wiejskiej na rzecz wielkich miast (82). Wobec tego musiało zabraknąć robotnika na wsi. Prócz tego na popyt za roboczą siłą rolną wpłynął bardzo równoczesny wzrost gospodarstwa rolnego, przez stosowanie intenzywnej gospodarki, której sprzyjały najnowsze wynalazki nawozów sztucznych, maszyn i fabrykacya cukru z buraków.

Temu brakowi robotnika rolnego starał się rząd ustawowo zapobiedz tak ze względów gospodarczych jak i nacyonalistycznych. Wszystkie jednak dotychczasowe próby zawiodły. Niemcy potrzebują bezwarunkowo robotniczego zasiłku z zewnątrz, a przedewszystkiem z Polski.

Oto wynik pracy Ks. Dr. Mytkowicza, poparty bogatą statystyką i obfitym materyałem naukowym. To też dzieło posiada w swem zakresie prawdziwie wielką wartość. Autor uczynił wiele, by ułatwić obję-

cie całości poruszonego przezeń tematu. Pod koniec niemal każdego rozdziału podaje krótką rekapitulacyę jego treści, co napewno jest wielką zaletą metodyczną.

Wielka jednak szkoda, że autor nie nakreślił graficznie rozwoju emigracyi sezonowej. W czwartej zwłaszcza części, gdzie właśnie autor statystycznie rozwój obieżysastwa rozpatruje, tego rodzaju tabele ułatwiłyby ogromnie pogląd na jego przebieg.

Dzieło przez nas omawiane jest dopiero pierwszą częścią pracy. We wstępie zapowiada autor, że niebawem okaże się i druga część. Nie wiemy jeszcze, jaka będzie jej treść, ale poznawszy rozmiar „obieżysastwa", pragnęłoby się lepiej ocenić doniosłość tegoż w życiu społecznem, ekonomicznem i narodowem i wyrobić sąd, czy i w jaki sposób należy przeciwdziałać ruchowi wychodźczemu, względnie, czy i jak go popierać.

Pod koniec ośmielimy się zwrócić czcigodnemu autorowi uwagę na nieco wadliwą konstrukcyę kilku zdań, która zaciemnia nieco myśl autora i tem więcej może uderzać, że całość pisana wcale zajmująco i płynnie: „Tymczasem, gdy gospodarstwa chłopskie ulegają coraz większemu rozdrobnieniu*), a zwłaszcza latyfundiarna okazuje zdolność i dążność powiększania swych obszarów, kosztem ziemskiej własności średniej" (28) — brak następnika. „Zarobek męża nie wystarczał zwykle na utrzymanie rodziny, musieli zarobkować także żona i dzieci" (75). „Kiedy napoleońska wojna handlowa z Anglią zamknęła dowóz trzciny cukrowej z angielskich kolonii, zaczęła się z konieczności przyjmować uprawa buraków cukrowych we Francyi i Niemczech i doszła z biegiem czasu do masowego używania cukru, jako codziennego artykułu żywności" (92). „W reńsko-westfalskim okręgu przemysłowym podała przy ogólnych spisach ludności następująca liczba osób język polski, jako wyłącznie używający" (115). „92 tysięcy osób" (117). „Liczba ta, podana przez graniczne urzędy policyjne, zdaje się być najwiarygodniejszą ze rzeczywistym stanem rzeczy" (131). Usterki te kładziemy na karb zagranicznego wykształcenia i czerpanie materyału z obcych, niemieckich źródeł. — W przyszłem wydaniu dadzą się z łatwością usunąć.

*) w tekście „coraz większeniu rozdrobnienia".

J. Krzep.

Ks. Jan Szmigielski, **Wiara i moralność,** Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolfa, 1917, str. 271.

Niewielka ta książka omawia w 26 rozdziałach rzeczy, dotyczące dogmatów wiary, a w 63 rozdziałach zagadnienia z etyki katolickiej. Rozdziały krótkie, zwięzłe, podają właściwie katechizm katolicki, odróżniający się tem jednak od zwykłych katechizmów, że poniechanym został system pytań i odpowiedzi, a powtóre, że potrąca, zwłaszcza w części etycznej, o wiele rzeczy, pomijanych zwykle w katechizmach. Omawia np. nie tylko cnoty prywatnego życia, ale i także zagadnienia, jak kwestyę socyalną, patryotyzm, rodzaje konstytucyi państw, obowiązki obywateli. Na początku tejże części daje przegląd różnych systemów etycznych. Dziełko to może bardzo się przydać tak uczącym się religii w szkołach, jak i starszej inteligencyi. Nie wszędzie zadawalnia precyzyą pojęć i wyrażeń (np. „moralność“ u autora znaczy naukę moralną, czyli etykę), często jeszcze zawiele scholastycyzmu; naogół atoli książka robi wrażenie czegoś świeżego i zasługuje na zalecenie.

Ks. Jan Urban.

Ks. Dr. Czesław Sokołowski, **Alfred Loisy, analiza psychologiczna,** Warszawa, księg. „Kroniki Rodzinnej“, 1918, str. 602.

Wyłączony w 1908 z Kościoła agzegeta francuski, Alfred Loizy, wydał w pięć lat potem rodzaj historyi swego życia i rozwoju myśli, p. t. Choses passees, w którym usiłował dać czytelnikom obronę swego stanowiska wobec Kościoła i teologii prawowiernej. Nad tym pamiętnikiem ks. dr. Sokołowski przeprowadził formalne studyum. Cytując w przekładzie długie ustępy z książki Loisy'ego, zaopatruje je w komentarz, chwyta autora na sprzecznościach ze samym sobą, wykazuje dobitnie, że Loisy, choć się za ofiarę uważał, już prawie w pierwszych wystąpieniach swych naukowych stanął na stanowisku niegodnem z nauką katolicką. Rzeczywiście, jeżeli kto z czytelników miał wcześniej nawet jakieś podejrzenia o surowość względem Loisy'ego ze strony władz kościelnych, po przeczytaniu Choses passees musi zadziwić się, że autor, tak śmiały w swych negatywnych twierdzeniach, jak francuski modernista, był wszakże tyle lat cierpianym w Kościele, i zamiast współczucia do wyklętego, raczej odczuwa żal głęboki do

człowieka, który długie lata oznajmiał na wszystkie strony, że chce Kościołowi służyć, a wyłączony zeń, przyznaje się, że temu Kościołowi zawsze był obcy i dopiero po wyklęciu szczęśliwym się czuje.

Interesującym się historyą modernizmu książka prof. Sokołowskiego może oddać wiele cennych usług. Nie jest to bowiem tylko parafraza tekstu pamiętnka Loisy'ego, ale bogaty zbór wskazówek, dotyczących egzegezy modernistycznej. Autor bowiem nie pominie żadnego potrąconego przez Loisy'ego szczegółu, by nie przytoczyć całej odnośnej literatury: rozpraw, recenzyi, replik, tak w francuskim, jak i innych językach. Co się tyczy polskich prac, to zdaje się, niema ani jednej odnośnej pracy, artykułu, notatki, choćby ubocznie tylko do tematu się odnosiły, któreby nie były w swojem miejscu zanotowane.

Idąc za tekstem pamiętnika Loisy'ego, autor naraził się na zbytnią rozwlekłość i drobiazgowość, której dałoby się uniknąć, gdyby obrał inny porządek traktowania przedmiotu. Chodziło atoli autorowi widocznie o chronologiczne następstwo szczegółów z życia Loisy'ego. Dużo uwag autora wydają się mi zbytecznemi: samo przeczytanie odnośnego ustępu z pamiętnika pozwala czytelnikowi urobić sobie sąd rzeczowy; ustawiczne opatrywanie zdań Loisy'ego komentarzem, naraża na powtarzanie się i zakrawa trochę na zrzędzenie. W chwytaniu Loisy'ego na sprzecznościach, nieprawowiernych powiedzeniach, przeinaczaniach nauki katolickiej etc., autor staje się czasem zbyt drobiazgowym i dokuczliwym. Tak n. p. na str. 63 zarzuca Loisy'emu, że przekręcił punkt apologetyki katolickiej o powstaniu Chrystusa zgoła własną mocą, wyrażając się, że Jezus został wskrzeszony. Tymczasem Loisy używał tylko wyrażenia, jakiem stale się posługują Dzieje Apostolskie (3, 15; 4, 10 i in.) i Listy św. Pawła, Sądzimy, że i najprawowierniejszemu katolikowi wolno tak się wyrażać.

Mimo tej drobiazgowości, która też spowodowała, że książka osiągnęła może zbyt wielkie rozmiary, czyta się ją z zajęciem do końca.

Ks. Jan Urban.

Ks. Stanisław Sapiński. **Poezye.** Kraków 1918. Nakładem własnym. Czcionkami drukarni „Głosu Narodu" str 112.

Niewielki tomik ks. Sapińskiego, gustownie i ładnie wydany, odznacza się wzniosłą tendencyą i rodzimym kolorytem. Czuć w utworach

Autora jakby woń pól i łąk naszego Podkarpacia: wieś polska ze swoją ciszą i wdziękiem przemawia z wierszy tych swojską i miłą nutą. Tematy poszczególnych utworów nie są banalne. Ten robotnik, stawiający kościół, mędrcy, szukający słońca, wycieczka ochoczej młodzi na szczyt Jawornicy, kolatorka-żebraczka, starająca się o swą kaplicę, a wreszcie Sławek-poeta wiejski, niby drugi „Janko Muzykant", wszystko to obrazy trafnie pomyślane i interesujące. Autor posiada dar opowiadania i humor pewien epiczny, forma jego wierszy staranna i poprawna na ogół, świadczy o znacznem oczytaniu i owładnięciu techniki wiersza.

Głęboka pobożność księdza — autora, szczere przywiązanie do ludu i ziemi ojczystej, a do tego słoneczny i pogodny umysł, zapewniają wierszom jego sympatyczne przyjęcie. Jakże piękna myśl ożywia np. tę zwrotkę:

Świata nie będę mamion
Złudami więcej już —
U Boga spocznę ramion,
W krainie jasnych zórz!

Są oczywiście pewne usterki formy np. „senny oczami" (str. 103), lub usterki wyrażeń np. „plamił się rzeczywstością" (str. 103) i t. d., ale zwięzłość nie pozwala szerzej nad niemi się zatrzymywać. W „Kolatorce" znać lekki wpływ Słowackiego: „Była to cerkiew„ z modrzewiu jej ściany" — (ks. Sapiński: „Stała kapliczka — z kamienia jej ściany), oraz Syrokomli, opisy niektóre może zadługie. Całość książeczki wywrze pewnie na czytelnikach miłe wrażenie, a bliskiemu kółku znajomych Autora wdzięczną będzie pamiątką.

Ks. Tadeusz Karyłowski.

Iza Konarska, **W rozterce.** Nakł. Krzyżanowskiego 1918.

Jestto tomik nowel, na które warto uwagę zwrócić. Pisane są ze znacznym talentem, dążącym w obrazowaniu do realizmu, z za którego prześwieca silne poczucie piękna i pewna powściągliwa rzewność, częściej tragizm. Nowele te zwracają nadto uwagę poruszonymi problemami: autorka nie uważa erotyzmu za jedyną sprężynę życia, a więc i literatury i to jest jedną z cech czyniących ją oryginalną. Natomiast

umie pokazać, że bywają sytuacye inne również i nawet głębiej dominujące: W noweli tytułowej „W Rozterce“ ksiądz idealista — postać wybornie skreślona — w zawodzie swym wzorowy, wchodzi w kolizyę, gdy nie licząc się z rzeczywistością życia, angażuje lekkomyślnie nie do wybaczenia kapitał kasy raifeizenowskiej, by dla dobra materyalnego parafii pchnąć sprawę wyborów. Kandydat jego i dłużnik, marzyciel karyerowicz, ostatecznie oszust, przepadłszy na wyborach, zbiegł do Ameryki. Ksiądz świętego imienia kapłańskiego na poniewierkę nie da — poświęca więc ojcowiznę, ale zarazem łamie ostatek dni matki staruszki i młodość siostry. Silnie odczuty i oddany młody ból dziewczęcia, które za tym kawałeczkiem ziemi świata nie widzi. — Cichy tragizm wieje z dziejów „Antosi“ prostej, nieuświadomionej dziewczyny, służącej, niewinnej ofiary rozruchu głodowego. Zblazowany „pan Leonard“ wojną został zapędzony do nieznanej mu dotąd swojej posiadłości w górach — bawi go zrazu egzotyczność tej wycieczki do własnej ziemi. Wojna i silnie z nią związane wrażenia, barwnie i aktualnie skreślone, równie jak zetknięcie się ze swojską przyrodą, budzą w nim trochę człowieka: pociąga go naturalność i zdrowie życia. „Dziwna książka“, pierwsze, obiecujące dzieło głodującego młodego talentu, nigdyby nie powstało, gdyby nie intuicyjna, a dyskretna pomoc uiszczająca należność za bony obiadowe, które młody talent! — narazie... ściąga. O tym problemie moralnym, równie jak o poglądzie autorki co do głównego źródła, miłosierdzia, możnaby otworzyć dyskusyę. Narazie raz jeszcze stwierdzić trzeba, że zapoznajemy się w tym tomiku z nowem zdolnem piórem i szlachetnem głębszem spojrzeniem na świat. — Co do języka, napotyka się tu trochę usterek, których łatwo na przyszłość ustrzedz można.

Wierzbicki Aleksander inż., dyrektor Biura melioracyjnego Wydziału Krajowego. **Melioracye rolne.** (Zagadnienia techniczne odbudowy kraju. 11) Lwów, 1917, Nakład i własność księgarni polskiej B. Połonieckiego. 8-ka. str. 121 koron 3.

Hasło „odbudowy kraju“ zachęciło inż. Wierzbickiego do napisania omawianego dziełka, którego celem jest zaznajomienie szerokich kół z melioracyą gruntów. Bo i na tem polu społeczeństwo kraju przeważnie rolniczego, jakim jest Polska, powinno rozwinąć szeroką działal-

ność, by celem zatarcia śladów wojny, podwoić i potroić wydajność ziemi.

Staraniem tedy autora było przedstawienie w sposób treściwy, zrozumiały dla szerokiego ogółu, celu, zasad i sposobu wykonania wszelkiego rodzaju melioracyi rolnych. W drugiej zaś części swojego dziełka nakreślił inż. Wierzbicki obraz dotychczasowej działalności Sejmu i Wydziału krajowego na tem polu w Galicyi. Nie wiadomo, co nam przyszłość przyniesie, i nie jest wykluczone, że ustrój społeczny Galicyi ulegnie radykalnej zmianie. To też było na czasie załatwienie bilansu w tej przełomowej chwili i przedstawienie naszemu społeczeństwu rezultatu 35-cioletniej pracy na polu melioracyi rolnych Biura melioracyjnego Wydziału krajowego, w tem przeświadczeniu, że przytoczone cyfry nie tylko pozostaną pamiątką, ile w tak stosunkowo ubogim kraju jak Galicya, na tem polu zdziałano, ale także będą zachętą na przyszłość dla naszego społeczeństwa.

Zacząwszy od osuszania gruntów i ich drenowania, przyczem szczegółowo omówiono kierunki, głębokość i odstęp drenów, średnicę rurek drenowych, ich spadek, rowki drenowe, połączenie, ubezpieczenie, wyloty, powody nieprawidłowego działania, koszta i skutki drenowania, przechodzi inż. Wierzbicki do melioracyi torfowisk, ich osuszania, uprawy, nawodnień użyźniających, systemów nawodnienia, oblicza koszta i rentowność melioracyi rolnych, wreszcie w nader obszernym wywodzie (strony 79—121) przedstawia rozwój melioracyi rolnych w Galicyi.

Całość, pisana nader jasno i przystępnie, daje dokładny obraz tego, co u nas, w zakresie melioracyi rolnych, dotąd zdziałano. Strona zewnętrzna wydawnictwa nader gustowna, choć skromna, cena przystępna. *Zet.*

Podręcznik statystyki. Edward Grabowski. Warszawa, Nakład Gebethnera i Wolffa (1917). 8-ka. str. 117.

Praca, której tytuł wymieniliśmy, powstała z 16-tu wykładów, wygłoszonych przez autora w zimie 1917 r., na kursach akademickich dla wyższej administracyi przy uniwersytecie warszawskim. Jako wykład, wypowiedziany w ograniczonej liczbie godzin, nie może oczywiście

rzecz ta pretendować do wyczerpania przedmiotu. Do ogłoszenia zaś jej drukiem skłonił autora brak w języku polskim współczesnego krótkiego podręcznika statystyki, zawierającego materyały, niezbędne dla studjujących, nie zamierzających zresztą poświęcać się specyalnym badaniom statystycznym. Rzecz prosta, że dla badań specyalnych przestudjowanie tego podręcznika okaże się niewystarczające.

W związku z rozmiarami pracy omawianej pozostaje też fakt, że nie może ona też rościć sobie pretensyi do samodzielności poza samym układem, wyborem materyału, specyalnym uwzględnieniem zadań, dotyczących Polski, wreszcie poza pewnym oświetleniem rzeczy w niektórych miejscach.

Całość rozpada się na 14 rozdziałów, w których zwięźle omawiano: pojęcie statystyki, dzieje statystyki, rozwój jej w Polsce, teoryę prawdopodobieństwa w statystyce, technikę statystyki, t. zw. „prawa statystyczne", wyniki badań statystycznych, spisy, rejestracyę ruchu naturalnego ludności, tablice śmiertelności, statystykę kultury, statystykę gospodarczą, administracyjną, wreszcie instytucye statystyki, międzynarodowej. Ważniejsze źródła i prace podstawowe, tyczące się samego przedmiotu, zostały wymienione w przedmowie do podręcznika.

Zaleca się on zwięzłością, treściwością i jasnością w przedstawieniu rzeczy tak, że może oddać istotne usługi czytelnikowi inteligentnemu, pragnącemu zaznajomić się w zarysach najogólniejszych z zasadniczymi oznakami statystyki, o ile nie chce, czy nie może sięgnąć do źródeł obcych. *Dr. St. Z.*

Z piśmiennictw obcych.

Cursus Theologicus Oniensis Tractatus De gratia Christi Auctore Blasio Beraza S. J. Bilbao Alameda de Mazarredo, apostado 223.

Mamy przed sobą poważne dzieło. Firmą zewnętrzną i objętością wprawdzie nie przypomina foliałów XV, XVI i XVII wieku; nie różni

się od tego rodzaju dzieł nowoczesnych; zato treścią dorównuje tym ostatnim, i nie ustępuje w niczem pierwszym, a raczej je przewyższa.

Zamiarem autora było gruntowne opracowanie teologicznego traktatu o łasce. Praca więc obejmuje nie tylko wszystko, co ściśle wchodzi w zakres tego przedmiotu, lecz uwzględnia także kwestye poboczne, jak również i te, które się do wydoskonalenia pojęć i poglądów na łaskę przyczyniają.

Podział dzieła jest zwyczajny. Po krótkich wstępnych objaśnieniach następuje część druga o łasce uczynkowej, zajmująca 588 stronic; trzecia część wypełnia resztę książki, stronic blisko 300. Poprzedza tekst oprócz rejestru, zestawienie pojedynczych tez, i podanie bogatej uwzględnionej w dziele literatury i zamyka go dokładny spis alfabetyczny.

Rzeczowe opracowanie jest bardzo sumienne i gruntowne. Dowody z Pisma św. podaje zwykle autor w komplecie; przynajmniej je napomyka; Ojców św. przytacza według wymagania kwestyi, dobierając z nich miejsca, które jaśniej i dobitniej wykazują tezę; teologów cytuje, uwzględniając ich powagę lub także różnice zdań, brak jasności i błędne lub mniej uzasadnione zdania. Nauka św. Tomasza z Akwinu znajduje godną ocenę. Nie ma kwestyi, w której by nie zaznaczył należnego jej pierwszeństwa.

Na szczególną wzmiankę zasługuje sposób obejścia się z przeciwnikami, czy nauki katolickiej, czy też przekonań samego autora. Nie zadawalnia się bowiem podaniem ich zdań co do treści, lecz przytacza je ze samego źródła, zestawia różne miejsca z największą skrupulatnością, grupuje ich rozwój, wykazuje sprzeczności i wyniki, nie dodawając nic ze swego. Dzieła wielu autorów, których się po zwyczajnych bibliotekach nie znachodzi, ma czytelnik w ten sposób przed sobą we wiarygodnym przedruku.

Sposób traktowania rzeczy jest ściśle scholastyczny. Po krótkim objaśnieniu, o co w każdej kwestyi chodzi i podaniu przeciwników, następuje zwięzła sylogistyczna argumentacya ze zwykłych źródeł teologicznych; zamyka tezę podanie i rozwiązanie zarzutów. To ostatnie stanowi główną siłę dzieła i jest jego niepospolitą zaletą. Wprawdzie się może czytelnikowi na pierwszy rzut oka wyda nużącem przerzucanie raz po raz stronicami się ciągnących trudności i odpowiedzi ujętych

w ścisłą formę sylogistyczną, lecz po głębszem wejrzeniu w treść, przekona się, ku wielkiemu swemu zadowoleniu, że te suche formułki są ściśle rzeczowo obmyślane, ściśle z tezą związane i logicznie, a możnaby bez przesady rzec, artystycznie między sobą powiązane. Ich treść jest tak bogata, że zaznajamia czytelnika z kwestyami obszernie u innych autorów omawianemi, a odpowiedzi są tak zwięzłe i trafne, że bez porównania skuteczniej rozświecają zawiłe i subtelne zagadnienia, jak długie wywody. Nie pożałuje czytelnik fatygi, jeżeli, idąc za tokiem myśli autora, dobije do końca każdej kwestyi. Odpowiedzi wskazują zawsze sam rdzeń prawdy, na samą jakby żyłę złota. Oczywista, że nowicyuszowi w teologii to przekopywanie się przez łańcuch najdelikatniejszych odcieni teologicznej spekulacyi nieraz będzie mozolnem, ale napewno uwolni go od mętnych i niejasnych pojęć, których się trudno wyzbyć w kwestyach o łasce.

Trudno pominąć milczeniem stanowisko, jakie autor zajmuje w zdaniach, co do których Kościół dotąd nie dał określenia, lecz pozostawia uczonym swobodę. Chodzi tu przedewszystkiem o system pogodzenia wolnej woli z łaską. Autor jest z przekonania zwolennikiem molinizmu. Na uznanie jednak zasługuje spokojny, choć stanowczy ton, z jakim przeciwników odpiera i wykazuje słabe ich strony. Nader cenne są przy tem zestawienia przeciwnych zdań z nauką wzbronioną przez Kościół. Zaznaczenie tych zbliżeń i różnic, dokładne ich rozgrodzenie, wyświetlenie cieni i ich źródeł, nadzwyczajnie wiele światła rzuca na naturę łaski, jak również na powody sporów, ich zawikłań. Co się tyczy zdania, którego broni sam autor, trzeba zaznaczyć, że nie robi dość powszechnie przez autorów powtarzanej*) różnicy między molinizmem i kongruizmem, lecz wykazuje dosadnie (n. 639) identyczność jednego z drugiem i brak rzeczowej podstawy do takiego odróżniania.

Innych zdań dowolnych nigdy nie przyjmuje autor bez gruntownego uzasadnienia, które go skłania do przechylenia się raczej na to, jak na przeciwne twierdzenie. I tak pod n. 862 i następ., utrzymuje z Suarezem, że Wszechmocy Bożej odmówić nie można wadzy zachowania równocześnie łaski poświęcającej w duszy, mimo ciężkiego grzechu, choć teologowie zwykle przeciwne zdanie przyjmują.

---

*) por. Tanguerey: Vol. II. De Deo Sanctificatore et Remuneratore n. 126, 128.

Często zachodzi także między teologami różnica co do stopnia pewności lub określenia jakiejś prawdy. Autor przychyla się zwykle do łagodniejszej oceny, czyli nie podaje nic za naukę uroczyście określoną lub pewną bez oczywistych dowodów.

Bez przesady można powiedzieć, że dziełko jest cennym nabytkiem w literaturze teologicznej. Może się miejscami wyda rozwlekłem. Ale biorąc rzecz ściśle, ani tego zarzutu autorowi robić nie można, bo się nigdy nie rozwodzi nad potrzebą ani sobie nigdy nie pozwala na amplifikacyę, któraby z powagą tej książki nie licowała. Styl trzeźwy i jasny uderza zawsze na jądro rzeczy i chroni przed manowcami wyobraźni, na które się w kwestyi dla nas tak nieuchwytnej, jak łaska, zbyt łatwo schodzi. Nie tylko więc fachowy badacz, ale zamiłowany w naukach uczeń, z wielkim pożytkiem, a nawet z przyjemnością ten spory tomik przerzuci.

Ks. Ludwik Cichoń.

Andre Lichtenberg: **„Le sang nouveau“.** Paris 1914.

Powieść kreślona szerokimi rzutami, bez drobnych szczegółów i opisów: postacie działają żywo i występują plastycznie, myśl przewodnia zarysowuje się odrazu wyraźnie: potrzeba nowej krwi dla odświeżenia, odrodzenia rodzin i stosunków.

Autor zapoznaje nas z trzema pokoleniami, tworzącemi jedną, kochającą się rodzinę: dziadek, uczony przyrodnik, z piękną głową i pogodną duszą helleńskiego filozofa. Ojciec — przemysłowiec, oddany polityce i w niej zatopiony, stąd nerwowy i często zgryźliwy i gorzki. Żona jego, kobieta zacna, ale ciasna i drobiazgowa, zatopiona w sprawach powszednich i dewocyi. Syn ich, Maks, to bohater powieści — młodzieniec zdrowy na duszy i ciele, typem swoim różny od dziadka i ojca. Niema wysokiego intellektualizmu pierwszego — a polityka, będąca namiętnością drugiego, jest mu wstrętną — od dziecka patrzy na rozdwojenie i intrygi, jakie wytwarza w małomiejskiem zwłaszcza środowisku. Jest inżynierem w fabryce ojca i pracuje gorliwie i umiejętnie; po za pracą zawodową oddaje się namiętnie sporom i jest prezesem klubu sportowego, który jednoczy młodzież wszelkich stanów, począwszy od arystokratycznego wice-hrabiego, a skończywszy na in-

teligentnym monterze fabrycznym. W klubie są szczerymi kolegami; uczą się poznać, polubić i ocenić wzajemnie i to jest też ten nowy prąd, który uzdrowi społeczeństwo.

Maks kocha Klarę Larutty, towarzyszkę zabaw dziecinnych, a córkę dawnego robotnika w fabryce ojca. Obecnie stary Larutty jest jednym z filarów syndykalizmu, stoi więc w sprzeczności z kapitalizmem, a tem samem z dawnym swoim chlebodawcą. Klara jest piękna i wykształcona, pracuje jako nauczycielka — kocha Maksa całą duszą, ale rodzice jego nie godzą się na taki związek dla jedynaka. Maks szanuje ich wolę. Klara zbyt dumna, by się narzucać rodzinie, która serc i domu otworzyć jej nie chce, z wyjątkiem dziadka, który z wysoka patrzy na życie.

Młodzi przestają się widywać — Maks oddaje się awiatyce i ulega ciężkiemu wypadkowi — przez kilka tygodni jest między życiem a śmiercią. Przy jego łożu rodzice, drżący o jedynaka, odnajdują dawne serdeczne zespolenia serc, jedną troską tętniących; matka z wiary swej, która wydobywa się z drobnych dewocyi i jaśnieje wielka i silna, czerpie światło, które jej daje poznać drogę i siły, by pójść nią i pociągnąć za sobą męża. Czynią oboje ofiarę ze swej dumy — Klara zostaje żoną Maksa. Lecz związek to nierówny, a pojęcia otoczenia utrudniły by życie młodym. Maks staje na czele Towarzystwa awiatycznego w Ameryce połud. i wyjeżdża z żoną na długo — może na zawsze. Rodzice ponoszą tę ofiarę dla jego szczęścia, które on wraz z żoną zdobywa ciężką pracą — ponoszą wielkie i nieoczekiwane trudy, walczą z życiem, ale wychodzą zwycięsko, silni swoją miłością. Motorem, który na dalekiej, obcej ziemi dodaje Maksowi mocy do wytrwania, to także poczucie, że dzierży w rękach honor ojczyzny swojej wobec ludzi innego plemienia, że winien dawać ze siebie przykład prawości i pracy, dlatego, że jest Francuzem, że tam, gdzie jest, reprezentuje niejako Francyę. Powieść kończy się listem, który pisze Maks do ukochanego przez młodą parę dziadka, Klaudyusza Dailliot. Donosi mu o przyjściu na świat prawnuka, który nosi jego imię. Wspomina o przebytych ciężkich chwilach, zawiadamia, że obecnie jest dyrektorem wojskowej szkoły awiatycznej w Rio de Janeiro. Młody człowiek dziękuje dziadkowi i rodzicom za wszystko, co mu dali na życie z ducha i krwi i obiecuje,

że jego synowie, tu na obcej ziemi, będą wychowani tak, by dla francuskiej ojczyzny byli nową, odradzającą się krwią.

Helena Skolimowska.

Bajeslovne drobty z lidowych podani napisał prof. dr. Jiři Polivka. (Zvlasnostni otisk ze „Sborniku filologickeho). Praga, 1915, 8-ka, kł. nlb. 1, str. 63—75.

Janeus Dunaj v narodni poesii ruske. Tenże. (Zvlastni otisk „Sborniku filologickeho"). Praga, 1914, 8-ka; str. 263—324.

Lalija; ze swych studii o slovenskych pohadkach predklada Jiři Polivka. Praga 1914. Nakładem Ceske Společnosti.

Povidky lidove o zkroceni zle żeny. (Odb. z wydawnictwa „Prywit Iwanowy Frankowy w sorokolitije jeho pyśmeńskoji praci"). Lwów, 1914, 8-ka, str. 303—320.

Przy studyach bajkoznawczych najpierwszem zadaniem badacza jest zestawienie możliwie najpełniejszego kompletu bajek jednego typu i ugrupowanie ich terytoryalne, iżby tem wyraźniej wyszła na jaw zawisłość wzajemna wersyi bliskich sobie pod względem terytoryalnym i przyczyniła się do tem pewniejszego rozstrzygnięcia głównych kwestyi o powstaniu i wieku danego wątku. Przy suchej analizie filologicznej bajek napotkać można nierzadko na poszczególne motywy o charakterze niewątpliwie mitologicznym. Jest nim między innymi wątek o upersonifikowanym dniu, powtarzającym się w całym szeregu baśni ludowych najrozmaitszych narodów, który stanowi przedmiot badań pierwszej z wymienionych rozprawek prof. dra Polivki. Z pracowitego zestawienia całego mnóstwa bajek tego typu przychodzi autor do przekonania, iż powieści ludowe, w których występuje uosobienie dnia, powstały samodzielnie, niezależnie od siebie w różnych częściach świata: w Ameryce północnej i południowej, w Polinezyi i Azyi północnej, jako też w Europie. Również motyw zwodniczy: uchwycenie słońca w nieckę rozwinął się wszędzie samodzielnie z zasadniczego wyobrażenia o słońcu.

Fakt, że nazwa „Dunaj" powtarza się nader często w poezyi ludowej Słowian południowych i zachodnich, nie jest bynajmniej dziwny wobec tego, że narody owe miały oczywista większe lub mniejsze wyobrażenie o tej rzece. Niepomiernie natomiast znamienniejsze jest, jeśli nazwa „Dunaj" powtarza się u narodów, które nie mogły mieć chociaż pobieżnej wiadomości o istnieniu tej rzeki, to jest u plemion,

osiadłych na wybrzeżu morza Białego oraz na najdalej wysuniętych krańcach północno-wschodniej Syberyi. I tym razem prof. dr. Polivka posługuje się w swoim rozstrząsaniu sposobem terytoryalnym, wykazując statystycznie, w których krajach i w jakich pieśniach wspomniana jest nazwa „Dunaj", osobną zaś charakterystykę tychże pieśni odłożył do innej pracy. Praca omawiana stanowi cenne uzupełnienie obszernej rozprawy prof. Jagića, drukowanej w r. 1876 w „Archiv für slavische Philologie", w której zostało wykazane, jak bardzo jest nazwa największej rzeki środkowo-europejskiej rozpowszechniona w tradycyach wszystkich narodów słowiańskich i gdzie zostały uzasadnione przyczyny tego rozpowszechnienia się nazwy „Dunaj". Od czasu bowiem, kiedy Jagić ogłosił swoją rozprawę, zebrało się w zbiorach etnograficznych rosyjskich, mało- i białoruskich bardzo wiele materyału, za którego odstąpienie i usystematyzowanie należy się autorowi szczera wdzięczność.

W trzeciej pracy zajmuje się prof. dr. Polivka znaną też w folklorze polskim baśnią o zabarwieniu lenorowem, mającą za treść, jak to dziewczyna została narzeczoną dyabła. Jakkolwiek w pracy tej chodzi głównie o bajkę słoweńską, przecież zostały pracowicie tu ugrupowane analogiczne opowiadania innych narodów, a przedewszystkiem słowiańskie, skutkiem czego stają się jasne odrazu przemiany, jakim ulegał ten wątek u różnych narodów pod rozmaitymi wpływami.

Rozprawa ostatnia z wymienionych powyżej rozpatruje ludowe wersye opowieści, zbliżone do tej, jaką unieśmiertelnił Szekspir w swojej słynnej komedyi „Poskromienie złośnicy".

Oto okruchy, jakie dał ze swojej pracowni prof. dr. Polivka. Rozwiązuje w nich szereg kwestyi, nigdy dotąd nie poruszanych, a do znanych już dorzucił nowe przyczynki.

Dr. Stan. Zdziarski.

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Akcya o stronnictwo katolickie w nowej Polsce. — Memento w sprawie robotników sezonowych.

Akcya o stronnictwo katolickie w nowej Polsce.

Akcya duchowieństwa tarnows· zdążająca do stworzenia stronnictwa katol.-ludow. w całej Polsce, zaczyna budzić dokoła coraz żywsze echo. W krakowskiej Czytelni Księży odbyły się w tej sprawie już dwa zebrania; w jednem z nich brali udział Delegaci tarnowscy. Oznajmili wtenczas, że delegacya tarnowskiego związku katolicko-ludowego, złożona z dwu księży i dwóch świeckich, była już u wszystkich Księży Biskupów galicyjskich z prośbą o popieranie akcyi tarnowskiej i wszędzie znalazła łaskawe przyjęcie. Książe Biskup krakowski przyrzekł zwołać częściowy zjazd duchowieństwa dyecezyi, któryby się nad tą sprawą zastanowił.

Zjazd ten przyszedł w drugiej połowie czerwca do skutku i o nim dziś parę słów zapisujemy.

Zjazd zebrał znaczną ilość duchowieństwa. Przewodniczył ks. kanonik Kołodziej, który w krótkiem ale bardzo treściwem i bardzo wymownem zagajeniu przedstawił istotę rzeczy. Obszer-

niej całe zagadnienie stronnictwa katolicko-ludowego jak i jego genezę i historyę wyłuszczyli z wielką swadą i jasnością ks. Zegarliński i ks. Lubelski. W dyskusyi, jaka na tle tych referatów toczyła się, ważyły się zdania za i przeciw; wogóle jednak opozycya nie była silną i liczną. Przy ostatecznem głosowaniu prawie jednogłośnie oświadczyło się zebrane duchowieństwo za tem, by pójść wzorem dyecezyi tarnowskiej.

Jaką jest geneza akcyi tarnowskiej i jak doniosłą jest myśl stworzenia stronnictwa katolickiego w Polsce, pisaliśmy już o tem w tem piśmie kiedyindziej. Dziś warto podnieść z dyskusyi krakowskiej dwie myśli, które mogą mieć znaczenie dla całego kraju.

Jedną z trudności, które najpierw powstają na myśl o stronnictwie katolickiem w Polsce, jest smutne doświadczenie przeszłości. Już było kilka prób i wszystkie skończyły się mniej lub więcej niepomyślnie. Nie będzież nowa próba nowym próżnym wysiłkiem?

W odpowiedzi na tę trudność wskazano wymownie, że nigdy podobnie pomyślnych okoliczności nie było. Nigdy za akcyą taką nie stało całe duchowieństwo ze swymi Arcypasterzami na czele. Podejmowały się akcyi tylko jednostki. Jednostki te stawały nadto wobec nieprzezwyciężonych trudności. Bez doświadczeń przeszłości, bez poparcia ogółu, walczyć musiały z potęgą innych stronnictw politycznych, które z różnych względów były w tworzeniu się stronnictwa katolickiego przeciwne. Dziś wiele przeciwieństw usuwa wyjątkowe położenie wojenne i ewentualnie powojenne. Wobec niezwykłego wzrostu socyalizmu w świecie, wobec socyalistycznej Rosyi o miedzę, nikt dbający o dobro kraju nie będzie śmiał stawiać trudności tworzeniu się stronnictwa, które jest antytezą socyalizmu. Sama zresztą chwila narodzin nowej Polski jest sprzyjającą powstaniu stronnictwa, które ma utrzymać katolicki charakter państwa i wzmocnić węzły historycznej tradycyi.

Inna trudność, czy znajdą się siły, czy będzie zaufanie ludu i ludzi świeckich, odpartą została przez doświadczenie dyecezyi tarnowskiej. Wogóle myśl, żeby zacząć dopiero akcyę po szeregu odpowiednich przygotowań, wydała się w dyskusyi niepraktyczną. Najlepszem przygotowaniem jest cała praca katolicyzmu; szczegó-

łowe przygotowania sprawiłyby, że cała akcya rozpłynęłaby się w nicość. Cały szereg ludzi, który dziś przystąpiłby do tej akcyi, w braku stronnictwa katolickiego, musiałby przejść do innego obozu politycznego i prawem nałogu jużby w nim na zawsze pozostał. Ruch i praca są najlepszym środkiem do zyskania i powiększenia sił. Stwierdza to dyecezya tarnowska, która w akcyi swej politycznej rozporządza już masami ludu, znacznem poparciem nauczycielstwa i ludzi świeckich, z innych sfer. Zaufanie idzie za pracą i za towarzyszącem jej powodzeniem.

Były to dwie najważniejsze trudności, uzasadniane i roztrząsane z różnych punktów widzenia. Krótkie powyższe zestawienie w tem miejscu wystarczy. Inne trudności historyczne lub zasadnicze, jak na przykład o stosunku księdza do polityki, już mają całą swoją literaturę, ażeby bliżej wspominać o nich trzeba.

Zebranie krakowskie było silnem poparciem akcyi tarnowskiej i zdaje się oznaczać chwilę namysłu, czy dyecezya krakowska nie ma stanąć do szeregu. Będzie też zapewne to zebranie pobudką i zachętą do podobnych zebrań duchowieństwa w innych dyecezyach.

Momento w sprawie robotników sezonowych. Ruchliwcść czasu wojennego sprawiła, że corocznie przez wszystkie lata wojny stykałem się bezpośrednio z polskimi robotnikami sezonowymi w Niemczech. Dwa razy pełniłem dla nich przez czas dłuższy obowiązki pastoracyjne, odwiedzałem szereg stacyj, w których pracują, koszary, w których mieszkają; prawie z każdym osobno o jego doli mówiłem.

Wybuch wojny zastał w Niemczech około pół miliona tych robotników i zrobił z nich odrazu jeńców wojennych, internowanych i zmuszanych do dalszego pełnienia obowiązków, przy jakich ich wojna zastała. A po największej części było tak, że byli to członkowie porozrywanych rodzin: mąż pracuje w Niemczech, żona pozostała w kraju, — rodzice w kraju, dzieci w Niemczech — te i tym podobne odmiany. Podczas wojny ściągnęli Niemcy z Królestwa jeszcze kilkaset tysięcy nowych robotników i trzymają ich przymusowo przy pracy, z wykluczeniem nadziei powrotu do kraju

przed końcem wojny. W ostatnim czasie, ze strony urzędu wojennego obiecano dawać polskim robotnikom krótkie urlopy, w wykonaniu jednak, wskutek wmieszania się komend korpusu, obietnica zeszła na to, że tylko mały procent robotników z prawa urlopu skorzystał.

Jakie piekło nędzy przedstawiają robotnicy polscy w Niemczech, ci nowocześni murzyni, wypowiedzieć trudno. Przyznajmy, że w tych miejscowościach, w których byliśmy, zapłata była dobra. Ale tylko tyle. Pożywienie okropne; mieszkanie, pominąwszy nieliczne wyjątki, tak ochydne, tak brudne, że po dziś, na myśl o tem, wzdrygamy się. W tych mieszkaniach najczęściej niema żadnego względu na obyczajność — w jednej ciasnej izdebce mieszka kilka rodzin. A już o sporadycznej nieuczciwości pracodawców ze spokojem mówić trudno, tak woła o pomstę do nieba. Jeden przykład. W jednych koszarach pracuje mąż i żona. Po jakimś czasie pracodawca żonę wyrzuca na bruk, bo wbrew kontraktowi stała się brzemienną. W dodatku zatrzymuje sobie pracodawca kilkadziesiąt marek kaucyi, jaką każdy robotnik składa, bo kontrakt stał się nieważny, z winy strony drugiej. Biedna kobieta musi opuścić męża i w rozpaczy nie wie, co z sobą zrobić, bo pieniędzy niema na powrót do kraju. A cóż mówić o wyjątkowych prawach pruskich dla robotników polskich, albo o pewnych następstwach istniejącego prawa pruskiego! Istnieje między robotnikami cały szereg dzikich małżeństw. Obie strony chciałyby dziś wejść w związek sakramentalny. Nie mogą, bo nie pozwalają na to pewne formalności prawa pruskiego, a ziemi pruskiej opuścić im nie wolno. Dopiero po 2 latach wojny nastała zmiana.

Zjawienie się księdza polskiego wśród tych helotów jest dla nich tak wielkiem, tak niewypowiedzianem szczęściem, że kto tego nie widział na własne oczy, nie może mieć o tem pojęcia. Cały czas wolny, jaki mają, spędzają wtedy w kościele; od godziny ósmej wieczór w sobotę aż do godziny ósmej wieczór w niedzielę ksiądz kościoła prawie ani na chwilę opuścić nie może. Wszystko ciśnie się do spowiedzi. A ile potrzebują pociechy, jak strasznie odczuwają to, że przymusowo są oderwani od kraju, niech stwierdzi taki wypadek. Jedną z przemów zacząłem od następnego zdania:

„Drodzy ziomkowie, przynoszę wam pozdrowienie od ziemi ojczystej!“. Już więcej mówić nie mogłem — zerwał się taki lament i jęk w kościele, płacz spazmatyczny tak wstrząsał piersiami tłumu, tłum jak fala morska tak przypływał i odpływał od ambony, iż przez dziesięc minut musiałem milczeć, zanim burza zaczęła się zwolna uspokajać.

Gdy raz w rozmowie z księżmi niemieckimi wyraziłem pogląd, iż najbardziej ludzką rzeczą byłoby źródło emigracyi polskiej zatamować, zaczęli mi z całą forsą dowodzić, że się mylę, że emigracya ta spełnia wielką misyę narodu polskiego, bo niesie katolicyzm na zachód. Poniekąd jest to prawdą. Na takiem Pomorzu, gdyby nie polscy robotnicy, nie byłoby kościoła katolickiego, byłyby tylko nieliczne rodziny katolickie bez kościołów i bez hierarchii. Cały szereg kościołów i kaplic powstał tylko z datków robotników polskich i pewne parafie powstały dopiero po przybyciu tych robotników. Ale, gdy obejmuje się myślą całą nędzę tej emigracyi; tę gehennę boleści i łez ludzkich, rozwydrzenie zwłaszcza obyczajowe, trudno pogodzić się z myślą przyzwalającą na stałą emigracyę. Jedno jest pewne, że rodzice, którzy puszczają na tę emigracyę dorastających chłopców i dziewczęta, popełniają zbrodnię.

W każdym razie ma się żal do Polski za tę emigracyę. Gdyby więcej było myśli przewidującej w kraju, więcej troski o przemysł, możnaby tę emigracyę znacznie zmniejszyć. A jeżeli już jakaś emigracya musi być, to powinien kraj otoczyć ją troską i opieką. Co z ludem tym się dzieje, dziś mało kto w kraju wie. Dozwala się agentom lud ten oszukiwać, wieść go tłumami, jak bydlęta, bez wiedzy, dokąd i po co, dozwala się znęcać się nad nim każdemu; zostawia się go w nędzy, w upodleniu, bez najmniejszej troski o jego los, jakby to nie były dzieci tejże samej ziemi. Od czasu do czasu zjawi się jakaś interpelacya w parlamencie lub rozpocznie się jakaś debata o stworzeniu emigracyjnego sekretaryatu. W najlepszym razie myśli o tej sprawie i pracuje dla niej kilku ludzi, gdy praca i kilkudziesięciu ludzi byłaby niewystarczającą.

Piszemy dziś o tem, bo z powstającem państwem polskiem sprawa wchodzi w nowe stadyum, bo w związku z tem powstaje

nowy i pilny obowiązek Kościoła. Na ten obowiązek Kościoła polskiego pierwsi Niemcy zwrócili uwagę kilka miesięcy temu w czasopiśmie „Caritas".

Gdy u nas mało kto o tem myśli, Niemcy już rozwiązali dla siebie zagadnienie, czy z powstaniem państwa polskiego emigracya polska do Niemiec pozostanie jak była dotąd, czy zmniejszy się, czy całkowicie ustanie. To ostatnie byłoby wprost śmiertelnym ciosem dla Niemiec, ale o to Niemcy nie boją się. Obliczyli, że pewien mały procent dotychczasowych robotników sezonowych musi odpaść, by wyrównać straty wojenne. Liczą także, że nowy porządek państwowy i gospodarczy w Polsce stworzy korzystniejsze warunki gospodarcze w przemyśle i rolnictwie, co również wpłynie na jakieś zmniejszenie się fali emigracyjnej. Ostatecznie jednak przypuszczają, że wobec nędzy ludu polskiego umniejszenie to nie może być znaczne i że emigracya po chwilowem wahaniu będzie w przyszłości mniej więcej taką, jaką była dotąd. Biorąc za punkt wyjścia statystykę Królestwa Polskiego, stwierdzają, że istnieje tam przeszło milion proletaryatu rolnego, a $1^1/_4$ miliona takich gospodarzy małorolnych, których własność najwyżej dosięga trzech morgów, z czego nie można wyżywić rodziny. W Galicyi stosunki te są jeszcze gorsze. Nędza więc polska jest najlepszą gwarancyą emigracyi w przyszłości.

Pragnęlibyśmy z całego serca, ażeby gospodarka nowego państwa polskiego była tak mądra, żeby wbrew wszelkim okolicznościom emigracya ustała. W tej chwili jednak liczyć się wszyscy musimy z faktem niezaprzeczonym, jakim jest nędza ludu polskiego, a więc i z faktem istnienia emigracyi w przyszłości.

Wobec tego już dziś należy rozpocząć pracę nad naprawą jednego wielkiego zła, jakie epoka porozbiorowa przyniosła. Nie mieliśmy w tej epoce własnego rządu, owszem mieliśmy rządy wrogie, w których interesie leżało osłabienie polskości pod każdym względem. Poszło stąd, że i całe społeczeństwo polskie i wszystkie polskie ruchy społeczne nie miały nad sobą nietylko ojcowskiej opieki, ale żadnej opieki. Powstała ludność rozbijająca społeczeństwo na atomy. Dziś pierwsza troska w Polsce winna być ta, ażeby i jednostki i mniejsze i większe odłamy społeczne poczuły swą

istotną przynależność do jednej wielkiej polskiej rodziny — z drugiej zaś strony to, co jest głową w tem społeczeństwie, powinno poczuć swój obowiązek do wszechstronnej troski i zabiegliwości o każdą jednostkę i o każdy odłam społeczny. Przenosząc tę zasadę do kwestyi emigracyi, sprawa przedstawia się tak, że jeżeli ojczyzna już tak jest biedna, że corocznie setki tysięcy własnych dzieci musi wypychać do obcych krajów po kawałek chleba, to winna wszystko uczynić, ażeby tych wydziedziczonych wszelką otoczyć opieką. Emigranci przed wyjściem z kraju, powinni być dostatecznie pouczeni o wszystkiem, co ich czeka i na niejedno niebezpieczeństwo uzbrojeni, zwłaszcza powinni być w stałym związku z krajem i z rządem przez jakąś organizacyę, której obowiązkiem byłoby czuwać nad wszelkiemi sprawami i potrzebami emigracyi.

I to jest, o co nam chodzi, i co już dziś da się rozpocząć. Wzór świetny takiej organizacyi, stworzonej przez Biskupa Kremony Bonomellego, widzimy we Włoszech. Pisał u nas o tem dr. Teodor Rzymski w broszurze: „W kwestyi wychodźtwa polskiego", obecnie zajmuje się tą samą sprawą dr. Kubina w czasopiśmie „Caritas". Pod wrażeniem tych i podobnych głosów zaczęła się u nas na kilka lat przed wojną szlachetna akcya, zainicyowana przez kilku Księży Biskupów, która już niejeden dobry owoc przyniosła. Niestety, wojna i ten związek jak wiele innych zmroziła. Dziś zatem rozpocząć trzeba całą pracę na nowo.

Organizacya taka musiałaby mieć półurzędowy charakter, musiałaby być popieraną i subwencyonowaną przez państwowe władze, musiałaby być także w kontakcie z państwowymi urzędami pracy. Pozatem jednak winnaby być zbudowaną na charakterystycznej podstawie i duch miłości chrześcijańskiej powinien ją ożywiać i być jej głównym motorem. Z tego względu winna wyjść z inicyatywy Kościoła; oprzeć się zaś głównie na duchowieństwie powinna i z tego względu, że musi się cieszyć zaufaniem emigrującego ludu, którem lud szczególniej darzy duchowieństwo.

Zadaniem tej organizacyi byłaby opieka nad całym biegiem emigracyi, od jej początku do końca. Musiałaby potworzyć we wszystkich parafiach albo przynajmniej dekanatach, z których lud emigruje, swoje wydziały, któreby przyszłych emigrantów syste-

matycznie pouczały o wszystkiem, co z emigracyą jest związane, zwłaszcza o odpowiednich dla nich rynkach pracy, i prowadziłyby kontrolę nad agencyami emogracyjnemi i nad ich lokalnymi fortelami. Organizacya taka musiałaby następnie stworzyć na granicach państwa sekretaryaty i domy przytułku dla wychodźców. Sekretaryaty takie musiałyby powstać także we wszystkich prowincyach, w których większa ilość emigrantów pracuje, ażeby zająć się ich całym losem i wszystkimi ich wypadkami. Sekretaryaty winneby być kierowane przez księży polskich, ze względu na pozyskanie zaufania ludu. Na czele całej organizacyi stałby generalny sekretaryat, który prócz kierownictwa sekretaryatów miałby obowiązek wydawać tygodniowe czasopismo dla emigrantów.

Dzieło wielkie i trudne, ale godne wysiłków i poświęcenia; chodzi o doczesne i wieczne dobro milionowej rzeszy. Na usta ciśnie się Chrystusowe słowo: „Misereor super turbam".

Ks. J. Pawelski.

Z WYDAWNICTW KATOLICKICH.

The Catholice Encyclopedia P. XIII. (New York).

Olbrzymie przedsięwzięcie katolickiej Encyklopedyi dotarło już przed wojną do zamierzonego celu. Do połowy 1914 r. ukazały się trzy ostatnie tomy — iście amerykańskich rozmiarów: widocznie liczba ich była naznaczona z góry, a materyał nieubłaganie się tłoczył, bo co tom, to grubszy i cięższy. Ostatni zaś, — jest już niemal kubicznym, co nie mało utrudnia posługiwanie się nim, a cóż dopiero w przejrzeniu sumiennie każdej strony w celu sprawozdania!

Zanim jednak przejdziemy do tego ogromu, należy otworzyć tom XIII, bardzo również poważny objętością i treścią, jak przystoi dziełu, na które złożyło się przeszło 250 autorów. Liczba ta, tłumacząca z jednej strony szybkość powstania całości, świadczy z drugiej o sumienności wydawców, wyszukujących zdolnych specyalistów dla powierzenia im poszczególnych przedmiotów. Z tych śmiało powiedzieć można, iż w tomie tym najstaranniej opracowane i najbardziej zajmująco przedstawione są tematy religijne a tych jest sporo — zacząwszy od pierwszego wyrazu: Revelation (I. H. Joya). Autor określa objawienie bardzo prostymi słowami jako „bezpośrednie przemówienie Boga do

człowieka“ — dodaje że „skoro Bóg dał ludziom możność porozumiewania się między sobą, nie mógł przecież samemu sobie odmówić sposobu porozumienia się z nimi“.

Rozprawa jest długa, bo zawsze jak niemal wszystkie tego rodzaju kontrowersye z przeciwnikami wiary. Walka to zawsze potrzebna nie na to, aby ich samych przekonać, lecz aby przed ich błędami uchronić słabsze umysły. Drugi artykuł Revelations (objawienia) prz. Aug. Poulain, — omawia objawienia prywatne poszczególnych świętych dusz, podając bardzo potrzebne nieraz wskazówki do rozeznania, które objawienia pochodzą od Boga, a które są wytworem nerwów, wyobraźni lub podszeptów szatańskich. Głównym probierzem jest świątobliwość życia, a zwłaszcza wzrost prostoty i pokory w uprzywilejowanych duszach, jest niezachwiana wiara i posłuszeństwo wobec Kościoła. Wszelkie wizye nie rodzące tych cnót winny być od razu odrzucone. Zresztą żadne z nich nie są podane za dogmat — nawet aprobata Stolicy św. znaczy tylko tyle, że są zgodne z wiarą, a więc wierzyć w ich prawdziwość bezpiecznie się godzi. Są znów takie, jak n. p. niektóre wizye Błog. Katarzyny Emmerich — których główna treść zupełnie jest wiarogodną, a poboczne szczegóły etnograficzne lub astronomiczne mogą zawierać pomyłk.. Huysmanns w swym Żywocie Św. Lidwiny tłomaczy to w ten sposób, iż wizya w pierwszej chwili doskonała, przechodzi następnie przez pryzmat umysłu widzącego, zaczem przybiera formy materyalne, do których oczy jego i myśli przywykły.

Artykuł Rites (obrządki) prz. Mich. Ott, bardzo ciekawy i z natury swojej obszerny, byłby najlepszą odpowiedzią na zarzuty nawet przez pobożnych łacników czynione nieraz Kościołowi, z powodu Unii, którą chętnieby nazwali nadużyciem. Wnikając nieco głębiej, dowiedzieliby się, jak wielką po wsze czasy była co do form zewnętrznych tolerancya Stolicy św., jaka szerokość poglądów, jaka na Zachodzie i na Wschodzie mnogość obrządków, łączących się w jeden akord wiary i posłuszeństwa. Posłyszeliby — o czem zapewne nie wiedzą — że z reguły każdy patryarchat miał swobodę używania własnego obrządku i że pod tym względem w każdym z nich panowała ścisła jednostajność okrom — patryarchatu Rzymskiego, którego głową jest Papież. W tym patryarchacie bowiem, ogromnym, bo obejmującym Włochy, Francyę, Hiszpanię i t. d. każda niemal dyecezya, każde większe miasto przybrało

w średnich wiekach osobny obrządek. Unifikacya zaś odbyła się stopniowo, przychodząc nie z góry lecz z dołu, t. j. nie od Stolicy św., ale od poszczególnych biskupów, a w znacznej mierze i królów. Dużo bardzo pod tym względem zdziałał Karol Wielki. Nie mniej przeto Medyolan i Toledo mają po dziś dzień własne obrządki; we Francyi zaś rytuał Gallikański zagnieździł się na długo. Przytem zauważyć należy, iż każdy niemal z wiekszych Zakonów, jak Karmelici, Dominikanie, Franciszkanie i t. d. posiadają osobny rytuał, nawet przy odprawianiu Mszy św.

Co do obrządków wschodnich (Andrew Shipman) Kościół zadawalnia się wymazaniem wyrazów, łączących herezyę, oraz dodaniem imienia Papieża jako Głowy Kościoła. Nawet wyraz *Filioque* nie jest absolutnie wymagany, a Cerkiew Rusko-Unicka używa go na własne żądanie. Rozprawa zawiera obszerny opis różnych obrządków heretyckich — zwłaszcza protestanckich — w części wymyślonych, a w części pozbieranych po odrobinie z innych liturgii. Najwdzięczniejszem polem studyowania tego przedmiotu są — według autora — Stany Zjednoczone, gdzie różnorodni przybysze skupiają się w partye i zazdrośnie strzegą odmiennych form swej religii.

W ślad za rytuałami widzimy skreślony przez Jos. Pohla artykuł o Ritschlu i Ritschlianizmie, znanym lepiej pod nazwą szkoły z Göttingen — najbardziej od połowy XIX w. rozszerzonej sekty protestanckiej. Szkoła ta, zaprzeczająca bóstwu Chrystusa Pana, grożąca piekłem tylko za grzech przeciw Duchowi św., a wogóle w pojęciach swoich bardzo elastyczna i mglista, jest przedmiotem niechęci i wzgardy w oczach tak Anglików jak i oficyalnego luterskiego kościoła, nie może bowiem być zaliczoną w poczet chrześcijaństwa.

Nie mniej może niechętnem okiem spoglądają Anglikanie i Lutrzy na Ritualizm (Edwin Baston), którego dzieje zbyt są długie i zbyt znane, by je tu powtarzać. Zajmującym jednak zawsze jest ten ruch duchowy, wyrosły z niedostateczności anglikanizmu i tęsknoty za katolicką wiarą. Nie mówiąc już o wznowieniu form liturgicznych, zgromadzeń klasztornych i t. p., charakterystyczną jest potrzeba „Żywego Głosu“, dającego kierunek w rzeczach wiary. W tym względzie Rytualiści dzielą się na dwie partye. Jedni biorą za podstawę anglikański Prayer Book, zawierający katechizm i symbol wiary — ten jednak

tłomaczą sobie z punktu widzenia katolickiego, zważywszy — jak mówią — że ci, co książkę tę ułożyli, wyrośli byli na łonie katolicyzmu, więc ją tak rozumieć należy, jak oni ją rozumieli. Inni zaś biorą za zasadę, że należy przyjąć za dogmat każdy punkt, na który zgadza się Rzym, kościół anglikański i cerkiew moskiewska. Naukę anglikańską tłomaczą równie dowolnie jak tamci. Twierdzą n. p. że założyciele anglikanizmu odrzucając Mszę św. i inne „Rzymskie zabobony", mieli na myśli tylko niektóre nadużycia, a nie Najśw. Ofiarę i t. p. Toż samo dzieje się z kultem Najśw. Panny i Świętych. Punkta zaś, na które nie ma zgody między Rzymem, Moskwą i Canterbury, lub te, które są przemilczone, pozostają dowolne: gotowi n. p. wierzyć choćby w nieomylność Papieża — byle mu się tylko otwarcie nie poddać.

Wiadomą jest rzeczą, iż Anglicy, chcąc koniecznie zwać się katolikami, wynaleźli na to wybieg; utrzymują bowiem, że Kościół składa się z trzech odłamów: anglo-katolicy, grecko-katolicy i rzymsko-katolicy. Tej ostatniej denominacyi poświęca H. Thurston osobną rozprawkę, po nim pod tytułem R o m a n B e l a f s (Rzymskie wierzenia), podaje I. Gerard szkic prześladowań wycierpianych w Anglii i w Irlandyi włącznie do czasów O'Connella. Dalej znów na artykuł R o m a n (Rzymskie), musiało się kilku złożyć autorów; mamy tam bowiem obraz wszystkich Kongregacyi, Kollegiów, rytuału xx. a nawet długą rozprawę o listach św. Pawła do Rzymian. Art. R o m a (Karl Hoeber) mógłby spory tomik stanowić z pięknemi rycinami, historyą Papieży, opisem budynków i wszystkiego, co Rzymskie.

Idąc z kolei, trafiamy na ciekawą — dla prostych śmiertelników — rzecz o Różańcu (R o s a n y). Widzimy tu, iż u starożytnych ludów istniał, podobnie jak dziś na Wschodzie, zwyczaj liczenia modlitw za pomocą paciorków, węzełków na sznurku, lub kamyczków. U Chrześcijan liczono tak wielokrotnie odmawianą Modlitwę Pańską, stąd u niektórych n. p. Serbów pozostała jeszcze na różaniec nazwa p a t e r e c z k a. Około połowy XII wieku zastąpiono Ojcze nasz Pozdrowieniem Anielskiem, przerywając zrazu każde „Zdrowaś", a potem każdą dziesiątkę pokłonem, zachowanym dziś u mnichów greckich pod nazwą m e t a n i a. Autor, Andrzej Shipman, stanowczo zwalcza tradycyę łączącą założenie różańca z imieniem św. Dominika — opisuje przytem skąd i jak powstało to podanie, o którem piszą pierwotni biografowie

Świętego. Toż samo dzieje się z Sancta Casa w Loretto. Tu Herbert Thurston jest mniej stanowczym, zostawia jednak toż samo wrażenie powątpiewania, zwłaszcza gdy twierdzi, że w Walsingham istnieje takiż sam Święty Domek z absolutnie podobną tradycyą. Wogóle autorowie Encyklopedyi nie grzeszą łatwowiernością.

Za to wyrazy Sacraments (J. Kennedy) i Sacrifice (J. Pohle), stoją na czele bardzo obszernych, gorąco skreślonych rozpraw. Przykuwającą zwłaszcza jest druga, zawierająca dzieje Ofiary wszystkich narodów i wybranego ludu od początku świata aż do boskiej Ofiary na Krzyżu, powtarzanej co dnia w Ofierze Mszy Św. Z artykułów religijnych mamy jeszcze Scal (pieczęć) wzięte głównie jako symbol tajemnicy spowiedzi; Scholasties obszerne, oparte głównie na pismach św. Tomasza. Schizm, określający schizmę wschodnią i zachodnią, artykuły o powstaniu i rozwoju różnych Zakonów n. p. Salezyanów. Schools przez kilku autorów poświęcone licznym szkołom katolickim z osobliwem (jak zawsze) uwzględnieniem angielskich i amerykańskich.

Działy historyczny i geograficzny obrobione są obszernie, starannie i często bezstronnie. Napotykamy życiorys kardynała Richelieu, dzieje rewolucyi francuskiej i angielskiej, Rosyę, Rumunię, Sycylię i t. d. wszystkie z rycinami najpiękniejszych miejsc i gmachów. Śliczne ryciny też towarzyszą życiorysom artystów. Piękne bardzo n. p. jest barwne odbicie obrazu Andrea del Sarto La Madonna delle Harpie; za to obco trochę w tym zbiorze wygląda odbicie malowidła Schwinda z Pinakoteki monachijskiej, przedstawiające podróż poślubną a wyjęte z cyklu Symfonia.

Dział życiorysów jest bardzo obfity: spotyka się w nim cudne osobistości jak n. p. Ricci T. J. i O. Schall, apostołów Chin, którym obu przypadł tenże sam prawie los, co O. Nobili w Indyach; dalej O. Roothaan, Jezuita na Białej Rusi, później generał swego Zakonu. Jest i nasz poeta Sarbiewski i tysiące innych, wobec których chwyta uczucie wstydu na myśl, że tylu było mądrych, a nawet wsławionych ludzi, o których się nie miało pojęcia. Słusznie bardzo napisał przed 200 laty O. Franciszek Nepveu T. J. że „możnaby kilku uczonych utworzyć z tego, o czem najuczeńszy z nas nie wie".

Teresa Wodzicka.

WOJENNE WYDAWNICTWA UKRAIŃSKIE.

Nadzwyczaj słaby w czasach normalnych ruch wydawniczy ukraiński wzmogła niepomiernie wojna, głównie skutkiem zabiegliwości „Sojuza wyzwolenia Ukrajiny", który czyni — trzeba mu przyznać — nadludzkie wprost wysiłki, byle tylko utrzymać sprawę ukraińską na powierzchni fali dziejowej.

Cóż jednak począć, kiedy wydawnictwa te pod względem jakościowym świadczą nie dodatnio wcale o wyżynach, na jakich znajduje się umysłowość ukraińska. Nawet jeśli uwzględnimy tę okoliczność, że w największem z nich, zatytułowanem „Pamiatkowa knyżka Sojuza wyzwołenia Ukłajiny" (Wiedeń, 1917, 8-ka, str. CIV i 338), wzięli udział jedynie literaci, zamieszkali w Galicyi, to okaże się ich tak znikoma ilość w stosunku do ogólnej liczby ludności małoruskiej, jakiej nawet uprzedzony do Rusinów nie przypuszczałby. Wystarczy chyba dla naocznej ilustracyi powiedzianego co dopiero nadmienić, że na 45 utworów, zamieszczonych w dziale literackim omawianego wydawnictwa, znajdujemy poezye jednego zaledwie poety. Po za Łepkim inni „poeci", których utwory tu zamieszczono, albo nie zasługują na miano poetów, albo też, jak Franko, należą do przeszłości lub wreszcie, jak Szewczenko, nietylko należą do przeszłości, ale w dodatku nie pochodzili z Galicyi. Okazuje się z tego wymownie, iż Ruś galicyjska — oprócz jednego Łepkiego — nie ma obecnie wcale kim się pochwalić. Co więcej? — w księdze rzeczonej nie zamieszczono ani jednej noweli. I nowelistów zatem nie dał grunt galicyjski, mający być Piemontem Ukrainy rosyjskiej! Wobec jasności i przejrzystości wniosków, jakie z takiego stanu rzeczy nasuwają się same o sile kulturalnej żywiołu ukraińskiego w Galicyi, zbędne byłoby ich jaskrawsze jeszcze podkreślanie.

Nie lepiej wszelako mają się rzeczy z artykułami literacko-publicystycznymi, co jest już wprost rozpaczliwe. Bo niedobrze jest, jeśli n. p. Wasyl Simowycz w artykule „Szewczenkow zapowił i 1914 rik", wyznaje otwarcie, iż nie wie, czy Rusini morzem krwi wylanej „okropili wolność, czy wykują w tej wojnie wolność Ukrainy?" A jeszcze znamienniejsze, jeśli miliony Ukraińców z drugiej strony frontu oświadczają się wyraźnie przeciwko mocarstwom centralnym, a bynajmniej nie dążą do tego, iżby „rozpadła się zgniła kłoda — Rosya!"

Niewesoło przedstawia się szkic p. Bohdana Łepkiego p. n.: „Czem żyje literatura ukraińska?" Wystarczy chyba, jeśli nadmienimy,

iż 35-ciomilionowy naród ukraiński nie ma obecnie ani jednego pisarza, nie powiem już na miarę naszego Kasprowicza czy Przybyszewskiego, Reymonta, Weyssenhoffa lub Sieroszewskiego, ale bodaj na miarę Perzyńskiego lub Kosiakiewicza! Utworów zaś poetyckich tej wartości, jaką mają utwory współczesnych poetów ukraińskich, nie poważyłoby się drukować żadne szanujące się pismo literackie polskie!

Na jakim zresztą stopniu stoi literatura ukraińska, o tem najlepiej poinformować się można z „Krótkiego przeglądu literatury ukraińskiej" pióra p. Wasyla Simowycza. Pustką z niego wieje okrutną. Wszakżeż największy poeta ukraiński Szewczenko może równać się, jako artysta, co najwyżej z naszym Olizarowskim! Jakie zaś miejsce zajmuje Olizarowski w historyi literatury polskiej, o tem poinformuje pierwszy lepszy podręcznik.

Z zupełnie fałszywego założenia wychodzi p. Włodzimierz Lewickyj w pracy swojej p. n. „Jak powodzi się narodowi ukraińskiemu w Austryi?", skoro utrzymuje, że naród ukraiński „od pierwszej chwili wojny stanął jednomyślnie w pierwszym rzędzie do walki przeciwko nawale moskiewskiej". Toż pułki czysto ukraińskie zdobywały Lwów w r. 1914, w armii jenerała Ruzskiego!

Z innych artykułów informacyjnych pewną wartość przedstawiają: M. Łozyńskiego, „Reprezentacya ukraińska w Austryi", W. Temnyćkiego „Ukraińscy strzelcy siczowi", Iwana Boberskiego „Ruch sokoli na Ukrainie austryackiej", Iwana Czupreja „Ruch siczowy na Ukrainie austryackiej", wreszcie W. Doroszenki „Ukraiństwo w Rosyi", (o pracy ostatniej pomówimy osobno w artykule następnym).

II.

O tem, jak przedstawiają się siły ukraińskie na najróżnorodniejszych polach działalności kulturalnej i społecznej, stara się informować szerszy ogół znany ruski folklorysta, oddający się też podczas przymusowego pobytu na uchodźtwie publicystyce — p. Włodzimierz Hnatjuk w książeczce p. t. „Nacionalne widrodżeńskie awstro-uhorskych Ukrajińciw (1772 — 1880 r.)", wydanej w Wiedniu nakładem „Sojuza wyzwołenia Ukrajiny" (8-ka, str. 65).

Kiedy po pierwszym rozbiorze Polski dostali się Ukraińcy do Austryi, nie stanowili bynajmniej narodu, tylko masę etnograficzną, która nie reprezentuje narodu w wielkim pochodzie kulturalnym do naj-

wyższych duchowych dóbr. Rusini nie posiadali wówczas żadnych wyższych warstw, jakie dzierżyłyby rząd dusz społeczeństwa i nadawały ton życiu narodowemu. Oprócz straszliwie ciemnego chłopa i popa, innych warstw społecznych u Rusinów nie było. Chcąc wytworzyć z takiej masy naród w nowoczesnem tego wyrazu znaczeniu, trzeba było zaczynać od rzeczy elementarnych, w pierwszym rzędzie od nauki czytania i pisania. Trzeba tedy było wielkich wysiłków, zanim minął proces fermentacyi i powstał nowoczesny, choć niezbyt silny, naród małoruski.

Właściwy ruch ukraiński rozpoczął się dopiero w latach siedemdziesiątych XIX wieku, kiedy to zgon największego poety małoruskiego, Tarasa Szewczenki, odbił się donośnem echem w Galicyi. Sprowadzony z za kordonu jego „Kobzar" wywołał zapał nieopisany. Ponadto niemały wpływ na rozbudzenie się świadomości narodowej Ukraińców wywołał Michał Dragomanow, którego idee wytworzyły stronnictwo radykalne.

Również około tego samego czasu rozpoczął się żywszy ruch na polu szkolnictwa początkowego. Że zaś rozwój jego nie mógł postępować krokami gigantycznymi, winę za to zwala autor wyłącznie na Polaków, w których widzi przyczynę wszystkiej biedy narodu małoruskiego w Galicyi. Całkiem inną miarę zastosowano tu wszelako do Niemców, którzy na Bukowinie dali Małorusinom dwa gimnazya ukraińskie i jedno czysto ukraińskie; oraz do Węgrów, którzy zezwalają tylko na naukę języka małoruskiego, ograniczającą się sylabizowaniem tekstów cerkiewno-słowiańskich, drukowanych cyrylicą i grażdanką. Cóż jednak miał począć autor, kiedy chwila bieżąca wymaga umizgów kokieteryjnych do Niemców i Węgrów?! Więc przyznaje, że Rusini węgierscy stoją obecnie prawie na tem stanowisku, na jakiem stali Ukraińcy galicyjscy z początkiem XIX. stulecia, oraz że tam odrodzenie narodowe nie rozpoczęło się jeszcze, ale za to nie ciska gromów na nikogo. Znamienne!

A co jeszcze znamienniejsze? Oto, że fakt istnienia zaledwie trzech dzienników, mających zaspakajać potrzeby czytelnictwa powszedniego Małorusinów galicyjskich, nie nasuwa p. Hnatjukowi żadnych refleksyi. Boć przecież tak marnemu stanowi publicystyki małoruskiej winien brak jej potrzeby rzetelnej. A może — może winni temu Polacy, którzy nie subwencyonują, nie prenumerują pism małoruskich, ani nie dają do nich ogłoszeń. Mojem zdaniem — nikt inny, tylko wła-

śnie Polacy! Przedsięwzięcia ruskie bez poparcia polskiego marniały zawsze.

Równie marnie przedstawia się w omawianej broszurze rozwój życia politycznego Ukraińców, które byłoby żadne, gdyby go nie podsycały ciągłe warcholstwa, mające na celu nie zdobycze realne, podyktowane rozumem politycznym, lecz jedynie i wyłącznie waśń polsko-ruska.

Stan instytucyi społecznych, bibliotek, muzeów i towarzystw oświatowych małoruskich, w których pracują, nawiasem powiedziawszy, prawie jedni i ciż sami ludzie dla braku sił odpowiednich, równa się bodaj stanowi takichże instytucyi u Słoweńców. Trochę to za mało jak na naród, który miał być klinem, rozwalającym potęgę imperyalizmu rosyjskiego, w którem — tak przynajmniej utrzymywali „Ukraińcy" galicyjscy — mieszka 80 milionów z górą ich współbraci.

Im to poświęcił znany publicysta Włodzimierz Doroszenko pracę p. n. „Ukrajinstwo w Rosyji", wydaną we Wiedniu, nakładem tegoż samego „Sojuza" (8-ka, str. 114).

Cóż jednak począć z tem rzekomem odrodzeniem się Ukraińców rosyjskich, kiedy odrazu bije w oczy fakt nie dający się zaprzeczyć, że większość działaczy ukraińskich na terytoryum państwa rosyjskiego pisała po małorusku nadzwyczaj mało, a natomiast gros urac literackich takiego: Kostomarowa, Kalisza, Antonowicza, Czubińskiego, czy Dragomanowa ukazywały się w języku rosyjskim!

Podpisany ma pretensyę do dokładnego znania działalności wszystkich partyi wolnych rosyjskich w epoce rewolucyi pokonstytucyjnej. I może zaświadczyć sumiennie, że wszyscy ci Zelabowy, Kibalczyce, Lizoguby i jak im tam nie na imię, byli rewolucyonistami rosyjskimi nie ukraińskimi, chyba tylko w znaczeniu terytoryalnem czysto. I musi z autopsyi nadmienić, że nikomu z ukraińskich przewrotowców nie śniła się osobna rzeczpospolita ukraińska! Wbrew temu, co twierdzi p. Doroszenko, muszę oświadczyć, na podstawie rozmów, jakie prowadziłem z najwybitniejszymi członkami Dumy państwowej z Ukrainy, żebym tylko wymienił pp.: Szraga i Szemeta, że panowie ci używają w życiu codziennem języka rosyjskiego, nie małoruskiego, korespondują ze sobą po rosyjsku, cały zaś ruch kulturalny ukraiński traktują tak, jak my traktujemy zakopiańszczyznę, czy kaszubczyznę, a o separatyzmie narodowościowym ani się im nie śniło. Wogóle termin „ukraiński", używany jest w Rosyi całej i na samej Ukrainie w znaczeniu czysto terytoryalnem, nie mającem niczego wspólnego z odrębnością

narodową! Całe ukraiństwo rosyjskie nie jest niczem innem, jak tylko dalszym ciągiem „narodniczestwa“ czy „chłopomaństwa“, nie mającem na celu żadnych dążności separatystycznych . Całe mnóstwo tego rodzaju „Ukraińców“ przebywało we Lwowie podczas inwazyi i oświadczało na każdym kroku przynależność swoją do wspólnego państwa rosyjskiego, jak zaś traktowało „Prikarpatczyków“ wraz z ich pretensyami do niezawisłości państwowej, o tem wiadomo wszystkim doskonale.

Dr. Stanisław Zdziarski.

Z WYSTAW SZKOLNYCH.

Wystawa Szkoły Sztuk Pięknych dla kobiet p. Maryi Niedzielskiej.

Zupełnie dodatnio przedstawia się na ogół wystawa tej Szkoły, urządzona w roku bieżącym po 10 latach jej istnienia. I, choć to nie jest zbyt długi przeciąg czasu, stwierdzić przecież należy, iż ani jedna z tego rodzaju Szkół prywatnych dawniej założonych nie istniała tak długo, jak Szkoła p. Niedzielskiej. A były między niemi takie np., jak szkoła założona i utrzymywana czas jakiś wielkim sumptem przez wybitną rzeźbiarkę, p. Tolę Certowiczównę. Jedynie szkoła sztuk piękn. dla kobiet przy Muzeum im. Baranieckiego starszą jest od szkoły, z której wystawy podaję sprawę.

Uderza na tej, niby jubileuszowej, niewielkiej wystawie godna najwyższych pochwał celowość i systematyczność w jej prowadzeniu. Pokazuje się to zarówno na studyach aktu i głów, czy to malowanych, czy rysowanych, czy też na studyach kwiatów a nawet na kilku wprost znakomitych studyach krajobrazowych.

Celem uświetnienia tej wystawy, wzięło w niej także udział kilka jej uczenic, dziś już znanych artystek, jak pp: Daniel, Stryjeńska i Szalayówna, ale o wystawionych przez nie pracach nie wspominam, gdyż znalazły się one tylko przygodnie na tej „szkolnej“ wystawie.

Sprawozdanie z takiej wystawy zaczyna się zwykle od prac najlepszych, lub najsłabszych. Tym razem jednak wybór uczynić trudno, albowiem wszystkie oniemal wystawione studya stoją na tym samym wcale wysokm poziomie. Zdaje się przecież, że praca p. Zborow-

skiej*) przedstawiają najwięcej danych, pozwalających wyciągnąć wnioski, co do bardzo wyraźnego talentu ich autorki, znacznego już teraz opanowania techniki rysunkowej i malarskiej. Jej „Głowy", rysowane węglem, są bez zarzutu. „Akt" zaś, malowany olejno, zastanawia pewnością w rysunku i w dotknięciach pędzla. Także jej „Kwiaty" zasługują na uwagę właśnie tą pewnością, która zazwyczaj nie bywa udziałem niewiast, nawet dużo dalej zaawansowanych w kunszcie malarskim, niż p. Zborowska.

„Hyacynt" p. Sturzygowskiej malowany jest tak, że wszędzie, nie tylko na wystawie szkolnej, zwróciłby na siebie uwagę. P. St. zadała sobie trudność namalować na jasnem, prawie białem tle, i z podobną draperyą studyum, pomimo tego barwne i miłe w kolorze. Tasama uczenica dała kapitalną notatkę krajobrazową „Brzozy".

„Szkic do pejżażu" p. Polatschek jestto rzecz przez nastrój chmurnego, burzę zapowiadającego nieba, przez szeroko naszkicowane masy drzew i silny koloryt, wprost uderzająca i zapowiadająca w p. P. znakomitą w przyszłości malarkę krajobrazów.

Wymienionym dotąd pracom wcale nie ustępują p. Romanowskiej dwa „Studya" olejne, przedstwiające w $^3/_4$ naturalnej wielkości postacie chłopca i dziewczyny. Śmiało, z zacięciem rysowane są węglem jej dwa „Akty" i studyum krajobrazowe.

Na wzmiankę zasługują też dobre „Akty" i „Głowa mężczyzny", węglem rysowana, p. Brautbart, w której to „Głowie" widać kiełkujący talent portrecistki.

P. Stehlinkówna zaś wybitnie dobrze maluje kwiaty. Czyni to ona bynajmniej nie na taki sposób, jak to czyniły ongi malarki, których malatury kwiatów przypominały nie naturę, lecz haft, lub wyszywanie. Maluje ona bowiem szeroko, szuka wrażenia, całości, nie gubi się w szczegółach, o co tak łatwo przy malowaniu kwiatów.

Podobne zalety, lecz w mniejszym cokolwiek stopniu, a mianowicie mniej śmiałości w wykonaniu, posiadają „Kwiaty" p. Skłodowskiej.

„Wnętrze kościoła Św. Anny", rysowane pastelą przez p. Zielińską, jest wcale udatną próbką malarstwa architektonicznego, któ-

---

*) Za dokładność nazwisk, przezemnie podanych, nie przyjmuję gwarancyi, gdyż na świstkach, umieszczonych pod studyami, wypisano je hieroglifami, bardzo trudnymi do odczytania.

remu za granicą poświęca się wiele artystek, a które przez nasze malarki zupełnie jest zaniedbanem.

Szczegółowo omówiłem tylko najwybitniejsze prace, ale i reszta prac stoi znacznie wyżej ponad to, co zwykle się ogląda na tego rodzaju wystawach szkolnych. Jak dotąd Szkoła p. Niedzielskiej pochlubić się może osiągniętymi wynikami i przyznać też Szkole trzeba, że spełniła dobrze swe zadanie wobec braku Szkoły sztuk piękn. dla kobiet, zorganizowanej przez kraj, lub państwo, jako zakład prywatny.

ka.

WYDAWCA I REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: *Ks. J. Pawelski T. J.*

DRUKARNIA EUGENIUSZA I DRA KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH.

Deotyma: **Kościuszko,** fragment poematu. Warszawa 1918, str. 20.

Jeske-Choiński: **Co Żydzi robili w Polsce?** Warszawa 1918, str. 20 in 16°.

Ks. Michalski Konstanty C. M.: **Kazanie na 300-letni jubileusz „Pań Miłosierdzia".** Kraków 1918.

Ks. Sapiński Stanisław: **Poezye.** Kraków 1918, str. 114 in 16°.

Jellouschek, Dr Carl O. S. B.: **Johannes von Neapel und seine Lehre vom Verhältnisse zwischen Gott und Welt.** Mayer et Comp. Wien 1918, str. 128.

Austriacus Observator: **Zur Wiederverjüngung Oesterreichs,** Versuch der Verfassungsreform. Wien 1917, str. 209.

Nakładem księgarni św. Wojciecha w Poznaniu:

Ks. Kłos Józef: **Magnificat.** Nauki na maj, 1918, str. 296.

Hahn, Dr Wiktor: **Kościuszko w polskiej poezyi dramatycznej.** Poznań 1918, str. 55.

Ks. Żychliński Bolesław: **Mały przewodnik dla Sodalisów Maryi.** Poznań 1916, str. 289 in 16°.

Ks. Adamski J. St. Tow. Jez.: **W imię Ojczyzny polskim rodzinom.** Poznań 1918, str. 116.

Nakładem „Kroniki Rodzinnej" w Warszawie.

H. T.: **Słownik polityczny.** Warszawa 1917, str. 78 in 16°.

Ks. Morice, Prof. H.: **Eucharystya a moc ducha,** przeł. Z. Rieff. Warszawa 1917, str. 23 in 16°.

Ks. Sokołowski, Prof. Dr. Czesław: **Alfred Loisy.** Analiza psychologiczna. Warszawa 1918, str. 602.

Dzieła Anny z Bardzkich Karwatowej.

Czarna perła, powieść 2 tomy. Kraków 1915. Nakładem Gebethnera.

Bratnie dusze, powieść współczesna, 2 tomy. Kraków 1914.

Kwiat Jagiellonów, obraz historyczny z XVI w. uscenizowany w 5 aktach. Kraków 1915. Nakładem Gebethnera.

Królowa kwiatów. Symfonia dramatyczna w 4 aktach. Kraków 1915 u Gebethnera.

Z mojej teki. Utwory ulotne. Kraków 1907 u Gebethnera.

Wawrzyna. Obraz dramatyczny wierszem w 5 aktach. Kraków 1909 u Gebethnera.

Nadzwyczajni goście. Obrazek scen. w 2 odsłonach. Poznań 1918.

Jakie kobiety bohaterki daje nam obecny prąd zmysłowy w powieści i w sztuce dramatycznej — i wpływ ich na społeczeństwo. Poznań 1912.

Pośród skał i jarów, dramat w 5 aktach z czasów Bolesława Krzywoustego. Kraków.

Józef Skaliński, powieść w 14 pieśniach na tle współczesnem, 2-gie wydanie. Kraków 1911.

Kwiaty i kolce. Obraz sceniczny w 6 aktach. Poznań 1901.

Na naszej glebie. Obrazek ludowy w 2 aktach ze śpiewami. Poznań 1910.

Stryj Agapit. Komedya w 3 aktach. Wyd. 2. Poznań 1910.

Na służbie, sztuka ludowa w 5 aktach. Wyd, 2. Poznań 1912.

Nakładem księgarni B. Herdera w Fryburgu.

Lehmen Adolf S. J.: **Lehrbuch der Philosophie.** I. Bd.: Logik· Kritik, Ontologie. 1917. Str. 516.

Schäfers Joseph: **Ewangelienzitate in Ephräms des Syrers Kommentar zu den Paulinischen Schriften.** 1917. Str. 54.

Zimmermann Otto S. J.: **Warum Schuld und Schmerz?** 1918. Str. 112 in 12°.

Riesch Helene: **Die hl. Hildegard von Bingen.** 1918. Str. 160.

Pfeilschifter, Dr. Georg: **Feldbriefe katholischer Soldaten** im drei Theilen: I. Aus Tagen des Kampfes, II. Aus Ruhestellung und Etappe, III. Die religiöse Gedankenwelt der Soldaten, 1918. Str. 226+264+170.

Dreiling, Prof. Dr. Raymund O. F. M.: **Lazaret und Friedhofsbilder aus Saint-Quentin,** 1918. Str. 38 in 12°.

Göller, Prof. Dr. Emil: **Das Eherecht im neuen kirchlichen Gesetzbuch** 1918. Str. 80.

Bilz Prof. Dr. Jacob: **Die Ehe im Lichte der kathol. Glaubenslehre** 1918. Str. 52.

Schäfer, Dr. Jakob: **Die Wunder Jesu in Homilien erklärt.** 1918. Str. 312.

Geyser, Prof. Dr. Joseph: **Ueber Wahrheit und Ewidenz.** 1918. Str. 98 in 12°.

Sierp Walter S. J.: **Die Marianischen Kongregationen in Deutschland.** 1918. Str. 106.

Cathrein Wiktor S. J.: **Die Grundlage der Völkerrechts.** 1918. Str. 108.

Brand Prof. Dr. Friedrich: **Die Katechesen des Edmundus Augerius.** 1918. Str. 180.

Binktrine, Dr. Johannes: **Der Messopferbegriff** in den ersten zwei Jahrhunderten, 1918. Str. 144.

Graf, Dr. Julius: **Der Hebräerbrief.** Wissenschaftlich-praktische Erklärung. 1918. Str. 332.

Bartmann, Prof. Dr. Bernhard: **Lehrbuch der Dogmatik**, II-er Bd 1918. Str. 552.

Keppler, Dr. Paul, Bischof: **Mehr Freude.** Volksausgabe 1918. Str. 160.

v. Spiegel Benedicta O. S. B.: **Mehr Liebe.** Pius de Hemptinne O. S. B. Ein Lebensbild. 2 Auflage. 1917. Str. 272.

Lippert Peter S. J.: **Gott und die Welt.** 1918. Str. 160.

Strätter, Dr. Hermann: **Das Männerapostolat, seine Bedeutung und Ausgestaltung.** 1918. Str. 168 in 12°.

Huonder Anton S. J.: **Zu Füssen des Meisters,** kurze Betrachtungen für vielbeschäftigte Priester, 10-te Auflage, 1918. Str. 404 in 12°.

Krebs, Dr. Engelbert: **Was kein Auge gesehen.** Die Ewigkeitshoffnung der Kirche. 1918. Str. 206 in 12°.

— **Die Wertprobleme und ihre Behandlung in der kathol. Dogmatik.** 1918. Str. 56 in 12°.

Scholl, Dr. Kaspar: **Jungfräulichkeit ein christliches Lebensideal.** 1918. Str. 238 in 12°.

Stiglmayr Joseph S. J.: **Das humanistische Gymnasium und sein bleibender Wert.** Str. 156.

Bastgen, Prof. Dr. Hubert: **Die römische Frage,** I-er Bd. 1918. Str. 467.

Struker, Dr. Arnold: **Die Kundgebungen Papst Benedikts XV zum Weltfrieden.** Str. 144.

Eickholt Klemens A.: **Rom letzte Tage unter der Tiara.** 1918. Str. 320 in 12°.

van Kasteren Joh. Peter S. J.: **Wie Jesus predigte.** Bearbeitet von J. Spendel S. J. Str. 112 in 12°.

Schäfer, Dr. Jakob: **Der Rosenkranz ein Pilgergebet.** I-te Theil freudenreiche Geheimnisse 1918. Str. 83.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki.

Ks. Kozierowski Stanisław: **Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu.** Poznań r. 1917, stron 512.

— **Visitatio generalis decanatus posnanensis, auctoritate eppi. A. Onuphrii Okęcki, per Josephum Rogaliński consumata 1781.** Poznań r. 1918, str. 510.

— **A. Onuphrii Okęcki eppi. posnan. et varsavien. Ecclesiae cathedralis posnanensis visitatio 1781—1784.** Poznań r. 1917, stron 147.

— **Zapiski muzealne, zeszyt 1.** Poznań r. 1916, str. 44 in 4°.

— **Wystawa doborowych dzieł malarstwa polskiego ku uczczeniu Brandta i Kowalskiego.** Nakładem Muzeum hr. Mielżyńskich. Poznań 1918, str. 30.

— **Katalog wystawy Kościuszkowskiej.** Nakładem Muzeum hr. Mielżyńskich. Poznań 1917, str. 34.

— **Liczebność Zakonu Karmelitów w dawnych wiekach i obecnie.**

Weinfeld, Dr. Ignacy: **Koszta wojny,** Warszawa 1917. Str. 16.

Gerstmann Zygmunt: **„Wierna rzeka" Żeromskiego,** odczyt. Stanisławów 1913.

Ks. Spis, Prof. Dr. Stanisław: **Uwagi o kanonikach akademickich kapituły krakowskiej,** Kraków 1913, str. 48.

— **Hymn Matki Bożej „Magnificat".** Kraków 1915, str. 32.

K. Morin, Benedyktyn: **Idea zakonna.** Opracował O. Aleksander, Paulin. Częstochowa 1917, str. 186.

Koeltz Stanisław: **Zapóźno,** obrazek dramatyczny w 1 akcie, Warszawa 1918, str. 20.

Mniejsze pisma Tacyta.

(Dialogus de oratoribus — Agricola — Germania).

Jeżeli z życia Tacyta mamy nie dużo szczegółów, to w zamian o jego literackiej działalności i pisarskim charakterze dużo mielibyśmy do powiedzenia, bo znaczące jego dzieła w wielkiej części się zachowały, a na wskroś są indywidualne i odsłaniają nam tajniki duszy autora. Zdaje się, że Tacyt dosyć poźno, już jako człowiek czterdziestoletni, w zakresie piśmiennictwa występować zaczął. Dotychczas był czynnym jako mowca i urzędnik, a smutne dzieciństwo, które przypadło na epokę Nerona i lata młodzieńcze i pierwsze męskie, za Domicyana przeżyte, zawarły mu duszę w skłonności do przeżywania i przeżuwania w milczeniu myśli opornych przeciw szorstkościom rzeczywistości i w ciszy ponurych rozważań. Ta domicyanowska epoka, w której według wyznań poczynionych w Agrykoli młodzi dojrzewali przedwcześnie, starsi szybko do kresu zbliżali się życia, a wszyscy zamykali się w głuszy bezmownej, wyrzeźbiła mu nietylko charakter, lecz wyżłobiła też swoje piętno na jego późniejszym mówienia i pisania sposobie. Milczenie to ustąpiło, skoro tylko lepsze po zamordowaniu Domicyaaa nastąpiły czasy, kiedy otucha pewna wstąpiła w ducha Tacyta i rozjaśniła jego myśli posępne.

Problem literacki go zajął w pierwszym rzędzie i pisarz postawił sobie za zadanie, aby ten problem w artystycznej omówić

formie. Toby już zapewne uprawniało, aby ten utwór, wyodrębniający się z całej, ku historyi ciążącej spuścizny Tacyta, za najwcześniejszy płód jego pióra uważać. Ale z zagadnieniem literackiem łączy się tu już polityczne. Tacyt, który uznaje konieczność cesarstwa, widzi już teraz i stwierdza zawsze stanowczo, że pewna rezygnacya, pewne zrzeczenie się dawnych natchnień szerokiej wolności jest niezbędnem, że jako okup za to, co nowy ustrój przynosi, pokój i bezpieczeństwo, oddać należy w ofierze niektóre dawnej wolności krasy i zdobycze, między innemi świetną wymowę, która była dzieckiem wolności, *licentiae alumna*, i tę wolność stwierdzała i utwierdzała. Dzisiaj tymczasem nie można wymową już takiego dosięgnąć rozgłosu, zmalały i zacieśniły się stosunki i szczuplejszym stał się zakres wymowy. Więc „ponieważ nikt w tym samym czasie nie może osięgnąć wielkiej sławy i wielkiego spokoju, niechajby każdy używał błogosławieństwa swojego wieku bez zawiści względem innego". (Dial. 41). Tem hasłem i takim wynikiem kończy się pisemko, odgłosem melancholijnym, stwierdzającym konieczność zrzekania się pełnego szczęścia, które to wyrzeczenie Goethe i jego Faust uznali za nieodłączną bytu ludzkiego towarzyszkę. A w tej antytezie między błogosławieństwami nowego pokoju i dawnej wolności występuje nadto zaraz w progu twórczości rys znamienny Tacyta, który do zestawiania przeciwieństw miał zawsze wybitną skłonność nietylko w myśli, lecz i słowie.

Pismem tem złożył autor hołd Cyceronowi, który niegdyś w podobnych dyalogach rozprawiał o potędze wymowy, pewien jeszcze i przeświadczony, że ta potęga jest trwałą i nieśmiertelną; odsłonił on dalej tajnie swej młodej myśli, kiedy jeszcze literackie zagadnienia ją zajmowały, a polityczne i historyczne problemy nie zapanowały w niej wszechwładnie; słowem Tacyt oddał niem młodzieńczy pokłon Apollinowi i Muzom. Później surowa Muza historyi zobowiązała go do służby wyłącznej. W utworze, poświęconym literaturze, użył też Tacyt ozdobnej i literackiej formy, którą Cycero w swych dyalogach, poświęconych teoryi i kolejom wymowy, a dalej w swym Hortensiuszu, w którym nawoływał po zestawieniu ze sobą różnych ludzkiej

twórczości i pracy dziedzin do filozofii, dla tego rodzaju roztrząsań uświęcił; cyceroński traktat de Oratore i dyalog pod tytułem Hortensius niewątpliwie znaczny wpływ wywarły na dobór i przeprowadzenie owej literackiej formy.

Oznaczenie czasu, w którym dyalog się odbył i w którym Tacyt rzecz swoją napisał, napotyka pewne trudności. Tacyt wyraźnie powiada, że do dnia, w którym ów dyalog miał miejsce, upłynęło od śmierci Cycerona lat 120. Rachunek ten naprowadza nas, ponieważ Cycero zginął w r. 43 przed Chr., na rok 77 po Chr. Ale w tym samym rozdziale 17-ym czytamy następujące słowa: *ac sextam iam felicis huius principatus stationem qua Vespasianus rempublicam fovet.* Gdybyśmy te słowa tłómaczyli przez szósty rok rządów Wespazyana, naprowadziłoby nas to na datę nieco odmienną, bo szósty rok tego panowania, które się rozpoczęło w r. 69, przypadł na lata 74/75. Dziwna ta sprzeczność nie będzie jednak sprzecznością, jeżeli ową *sexta statio* zrozumiemy jako szóste stanowisko w szeregu rządów cesarskich. Pierwszy okres objąłby panowanie Augusta, drugi rządy Tyberyusza, trzeci czteroletnie Kaliguli, czwarty lat 28 Klaudyusza i Nerona, piąty słynny i burzliwy rok trzech cesarzy Galby, Othona i Vitelliusza, wreszcie szóstą statio, szóstym niejako posterunkiem byłyby rządy Wespazyana. Na takie zaś pojęcie tych słów, które usuwa dat pozorną niezgodność, naprowadza nas uważne odczytanie tacytowskiego tekstu. — Ważniejszem jest pytanie, kiedy Tacyt napisał ten dyalog? Tacyt (r. 1) nadmienia, że słuchał go *juvenis admodum*, w bardzo młodzieńczym wieku. Kto się tak wyraża, musiał go napisać w kilkanaście albo kilka przynajmniej lat po r. 77, w którym rzekoma rozmowa się odbyła. Naprowadzić to może na rok 80 za panowania Tytusa. Ponieważ dyalog tchnie pewną swobodą nastroju, wnioskowano stąd, że biegłość rządów Tytusa mu niańczyła. — Do panowania zaś następnego Domicyana (81—96) trudno z tego powodu przesuwać powstanie pisemka, skoro Tacyt w Agric. 3 wyznaje, że w tych czasach „młodzieńcy posunęliśmy się ku starości... w ś r ó d m i l c z e n i a". Ale możliwem zato jest przesunięcie daty na podomicyanowską epokę; zwrócono słusz-

nie na to uwagę, że Tacyt po nazwisku wprowadzał do dyalogu i wymieniał zapewne tylko zmarłe osobistości, tak jak to czynił Cycero w dziele de oratore, Cassius zaś Dio donosi (67, 12), iż w roku 91 Domicyan zabić kazał niejakiegoś Maternusa, który zapewne jest tą samą osobą z głównym uczestnikiem dyalogu. Mielibyśmy więc termin post quem stanowczy; milczenie zaś Tacyta poświadczone za rządów Domicyana skłaniałoby nas do przesunięcia daty dyalogu na okres po r. 96, t. j. zbliżyłoby dyalog powstaniem do czasu powstania Agrykoli w r. 98.

Treść pisemka dotyczy, jak wspomniałem, literackiego problemu. Niejaki Fabius Iustus, przyjaciel Tacyta i Pliniusza młodszego, zapytywał kilkakrotnie, coby było przyczyną upadku wymowy w epoce cesarstwa. Na to odpowiada Tacyt przytoczeniem rozmowy, którą rzekomo słyszał w r. 77 w domu Curiatiusa Maternusa. Ten Maternus był mowcą, ale wskutek niesprzyjających wymowie warunków przerzucił się na pole poezyi i pisał teraz tragedye, osnute na podaniach greckich, lub zaczerpnięte z dziejów Rzymu, t. z. *praetextae*, w których Domitius lub Cato z Utyki byli bohaterami. Do domu jego przychodzą dwaj sławni mowcy wespazyanowskiej epoki Marcus Aper i Julius Secundus. Obydwaj oni hołdują nowym kierunkom wymowy i w większym lub mniejszym stopniu są tej „nowożytnej“ wymowy wielbicielami. M. Aper jest jej stanowczym zwolennikiem. Od 3-go do 14 go rozdziału mamy przeważnie rozprawę między Aprem i Maternusem; pierwszy wielbi wymowę i wyrzuca Maternusowi, że ją porzucił, drugi kruszy kopię za poezyą. Aper przemawia gwałtownie (*acrius, ut solebat* r. 11), Maternus nadzwyczaj poetycznie (*concitatus et velut instinctus* r. 14) w obronie umiłowanej przez siebie poezyi. Na to pojawia się nowy przybysz, Vipstanus Messalla, ktory w latach 69/70 w walkach między Vitelliusem a stronnikami Flawiuszów czynny po stronie Wespazyana brał udział, napisał o tych czasach pamiętnik, i u Tacyta cieszył się szczególną sympatyą. Messalla ten z przerwami kilkakrotnie w ciągu dyalogu głos zabiera, a jest on starej wymowy wielbicielem. Wywiązuje się tedy pojedynek na słowa między Aprem a Messallą, w którym Aper w obronie

nowej wymowy, nowożytnej ozdobności i pościgu za niezwykłością występuje[1]), Messalla sławi dawniejszych, a przedewszystkiem Cycerona. Od rozdz. 28 wylicza on przyczyny upadku, które upatruje głównie w niedbałem wychowaniu młodzieży, braku wyszkolenia, w rozwielmożnieniu się deklamacyi, które od prawdy i rzeczywistości odwodzą. W r. 35 znaczniejsza luka w rękopisach uszkodziła ciągłość tych roztrząsań. W tej luce zaginął w każdym razie koniec przemowy Messalli i odezwanie się Juliusa Secundusa, które w rozdziale 16 było zapowiedzianem. To zaś, co potem następuje, dotyczy politycznych warunków nowszych czasów, które ścieśniły, obniżyły, podcięły dawną wymowę, a pozornie według zachowanego nam tekstu jest przemową Maternusa. Wielce jest jednak prawdopodobnem przypuszczenie, że w rozdziale 40 znowu coś wypadło, że rozdziały 36 — 40 należały do przemowy Juliusa Secundusa, której zakończenie zaginęło w rozdziale 40, podobnie jak początek końcowego odezwania się Maternusa. Zamyka się wszystko wynikiem, że dawny, potężny głosem i słowem orator zaginąć musiał, aby w zmienionych stosunkach ustąpić miejsca rzecznikom, causidici, advocati, patroni, którzy już nie zasługują na owe miano wspaniałe.

Jeżeli zważymy, że w drugiej połowie pisma dosyć dużo zaginęło, a może nawet więcej, niż na pierwszy rzut oka zdawać by się mogło, to dysproporcya w budowie dyalogu, którego znaczna część początkowa nie dotyczy właściwego problemu, nieco się złagodzi. W każdym razie mamy w tym dyalogu pismo niepośledniej wartości i wybitnego uroku; walka, jak świat stara, między starymi i młodymi rozgrywa się na tych kartach, lecz spory te splatają się tu z przyczynami nieliterackiej natury, które wkraczają głęboko w życie polityczne epoki. Słowo było potężnem, gdy wielu o rzeczy publicznej radziło i wielu nią kierowało; zamilknąć ono musiało, gdy jedna myśl owładła państwem, gdy „długi czasów spokój i ciągła ludu bezczynność i stałe senatu uciszenie i wpływu cesarza przewaga samą nawet

[1]) Ciekawy jest szczegół, że Aper każe mowcy czerpać swe *lumina*, ozdoby nietylko z „klasyków“ Wergiliusza i Horacego ale także z nowszego Lukana.

wymowę podobnie jak wszystko uspokoiła". — Ale przeciwieństwo między nową i starą epoką nie tylko do tego się ograniczało; nowożytna wymowa nie porywała mas, lecz miała olśniewać wybrańców i smakoszów literatury przez swoje błyskotliwe niezwykłości i zwroty wyszukane. Dyalog tacytowski jest także protestem przeciw tym obłędom smaku i zboczeniom od natury, podobnie jak był nim w tych czasach osobny traktat Kwintyliana i cała tego pisarza działalność. Jest ten dyalog jednym z rzadkich okazów literackich roztrząsań, przekazanych nam przez starożytnych. Obok dyalogów pokrewnych Cycerona należy mu się zaszczytne i wyższe nawet miejsce: pełnią treści i subtelnych uwag przypomina on starszego Seneki prefacye, a mierzyć się może z greckim, pełnym bystrych uwag wywodem „o podniosłości". Wyższą rzecz Tacyta od Cycerona szkiców jędrnością i zwartością treści; w nich doświadczenie i poczucie wygórowane własnej zasługi bywało niekiedy gadatliwem i natarczywem w pouczeniu, że drogi cycerońskie były jedynie właściwemi drogami i wyłącznie prowadzą do doskonałości, którą się utożsamiało z własną osobą. Na traktacie Tacyta tymczasem osiadł jakiś wdzięk młodości, a ciętość wrodzona podsuwała autorowi wyrazy mocne, dobitne. Osoby rozmowy przemawiają z wielkiem życiem i siłą, choć walka utrzymuje się w granicach wykwintnej szermierki, a wszystko się kończy uśmiechem zapaśników, który prawie nigdy się nie pojawia ani na ustach Tacyta ani jego późniejszych historycznych postaci. *Cum arrisissent, discessimus*, brzmią ostatnie słowa tego pisemka.

Styl jego jest odmiennym od sposobu pisania dzieł późniejszych. Jakaś pełnia, bujność wyrażeń, w licznych synonimach się objawiająca, wstąpiła z Cycerona na Tacyta; on, który szarpał później zdań symmetryę, nie lubił zbyt regularnej i strojnej peryodów budowy, tutaj utacza niekiedy swe zdania według modły cycerońskiej, tak że pojedyncze ich człony podobieństwem szyku i rozmiarami sobie odpowiadają. Mamy tu Tacyta, który niekiedy pisze jeszcze nie po tacytowsku, lecz hołduje dawnym stylu tradycyom. Ci tedy, którzy dyalog cofali do roku 80-ego mieli w tym stylu dosadny argument, aby twier-

dzić, że styl Tacyta nie odrazu był gotowym, lecz rozwinął się genetycznie od cycerońskiej dźwięczności do nierówności, szorstkości pewnej następnych czasów. Ale wobec tego zauważono słusznie, że jeden i ten sam autor może prawie równocześnie w różnych rodzajach piśmiennictwa odmiennych używać stylów. Dla rozprawy literackiej styl cycerońskich wywodów z tego zakresu stał się niejako kanonicznym i obowiązującym. A zresztą mimo pewnej pełni i zestroju w zdań budowie przebija już w dyalogu na niejednem miejscu jędrność Tacyta, jego skłonność do ostrego, epigramatycznego myśli ujęcia, zwartość zdań i pełnia znaczenia w pojedynczych wyrazach. Nie znamy innego współczesnego autora, któremubyśmy ten utwór przypisać mogli. — A zresztą wątpliwość co do autentyczności dyalogu, która dawniej wielce zaprzątała umysły, dzisiaj ustąpiła stanowczo. Rękopisy przypisują pisemko Tacytowi; mimo wszelkich odrębności ma ono znamię tego wybitnego umysłu, a słowa Pliniusza młodszego, który pisze do Tacyta (epist. 9, 10, 2), że „poemata według twojego zdania najlepiej się układają wśród drzew i gajów", *inter nemora et lucos*, znajdują się w dyalogu 9, 12 i autentyczność tego pisma niezbicie stwierdzają.

Mamy więc w tem piśmie wycieczkę wielkiego historyka w dziedzinę literatury, a to zboczenie od prawdziwego powołania przyniosło nam jeden z klejnotów rzymskiej literatury, do którego się powraca, aby z równym zachwytem i z równem zajęciem rozważać myśli, podziwiać piękności małego pisemka. Starość i czas straciły swe prawa wobec tego wiecznie młodzieńczego utworu. Nie był wprawdzie Tacyt już młodzieńcem pisząc go, ale był młodym, początkującym autorem; a z resztą nawet po czterdziestce można zachować świeżość uczucia, zwłaszcza, jeżeli przedmiot ożywi i odświeży myśli i wrażenia z życia wiosny i zadrgać znów każe miłościom i hasłom minionej przeszłości.

Drugie, równoczesne pisemko, wypłynęło z rodzinnych po części pobudek i nosiło tytuł: de vita et moribus Agricolae; niektórzy nawet przypuszczają, że wyprzedziło ono dyalog czasem

powstania. Napisał je Tacyt w samem zaraniu lepszych czasów, w początkach panowania cesarza Trajana, który po styczniu r. 98 na tron po Nerwie wstępował. Snuły się już wtedy w głowie Tacyta wielkie historyczne zamiary, których spełnieniem „choćby niewprawnym i surowym głosem pamięć dawniejszej niewoli i świadectwo obecnej błogości“ zamierzał utrwalić. Przemyśliwał więc o dziełach historycznych o dawniejszych cesarzach i współczesnych. Tymczasem przywiązanie rodzinne *(pietas)* natchnęło go do napisania wspomnienia o własnym teściu Agrykoli. (Agric. 3).

Ten Cn Julius Agricola nie był człowiekiem wybitnym, ale dzielnym i uczciwym wojakiem i urzędnikiem, który w różnych dziedzinach, w Rzymie i prowincyach wysługiwał się swym panom z Flawiuszów dynastyi. Najświetniejszą chwilą w jego życiu była wyprawa do Brytanii, podjęta po konsulacie w r. 77. Dowodził on tu w latach 78 — 85 i szerzył zagony i zdobycze rzymskie ku północy, tak że część Szkocyi po zatokę Firth of Clyde i Firth of Forth została podbitą. Niechęć Domicyana odwołała go jednak stamtąd w r. 85 i skazała na bezczynność w stolicy, gdzie umarł w r. 93.

Tacyt postanowił więc uwiecznić jego pamięć i czyny. Uczynił to w małem pisemku, które krótko zbywa młodość i koleje Agrykoli aż do szczytu jego życia, namiestnictwa i dowództwa w Brytanii. Tutaj biografia łączy się z historyą i ustępuje przed historyą. Autor opowiada nam obszerniej o mieszkańcach Brytanii, ich oporze przeciw Rzymowi, o dotychczasowych Rzymu w tym kraju podbojach, zadaniach Agrykoli jako namiestnika, który także cywilizacyą i błogosławieństwami pokoju zdobywać chciał dusze i życzliwość mieszkańców; *idque apud imperitos humanitas vocabatur, cum pars servitutis esset;* wreszcie mamy tu szczegółowy opis przedsięwzięć i przewag wojennych Agrykoli. Opowiadanie kończy się z r. 85, rokiem odwołania. W opisie lat ostatnich, które przyszło Agrykoli spędzić w Rzymie wśród bierności wymuszonej srogością i wybrykami późniejszych lat Domicyana, wybrzmiewa pisemko wyrazem rezygnacyi, współczucia dla zgonów poniesionych i cięż-

szych ofiar żyć marniejących pod złymi rządami, a wreszcie tkliwą żałością po stracie umiłowanego człowieka.

Przesiąknięte to wszystko ciepłem rodzinnem, rzadką otwartością w wyrażaniu uczuć rzewnych, które Rzymianin zwykł był pewną wstrzemięźliwością i dyskrecyą przysłaniać. Małżeństwo Agrykoli z Domitią Decidiana prześlicznie tu określone (r. 6): „ten związek był mu w dążeniu do wyższych celów ozdobą i siłą. I żyli w podziwu godnym zestroju, wśród zobopólnej miłości, nawzajem się wywyższając", *vixeruntque mira concordia per mutuam caritatem et invicem se anteponendo;* nigdy i nigdzie w krótsze słowa nie ujęto pełni i błogosławieństwa rodzinnego szczęścia. W rozdziale 29 wspomniano w rzewnych wyrazach stratę dziecka, która dotknęła Agrykolę wśród brytańskiej wyprawy. W żałobie służba i wojna dostarczyła Rzymianinowi leków; *et in luctu bellum inter remedia erat.* A w końcu po opisie zgonu Agrykoli mamy prawdziwie liryczny wylew tęsknoty za zmarłym, złączony z męskiem upomnieniem, aby nie bezsilną żałością i skargą kobiecą, lecz naśladowaniem cnót zmarłego uczcić jego pamięć... *similitudine decoremus.* Rzymski autor uchylił tu rąbek swej togi, aby nas przekonać, że w rzeczywistości nie było tak wszystko posągowem, lodowatem jak w deklamacyi, na scenie teatru i historyi, lecz że wieczne ludzkie uczucia miały oczywiście także w Rzymie swoje prawa i dochodziły do głosu. — Osobiste uczucia i przekonania piszącego wyjawiły się także z naciskiem, kiedy mówił o zachowaniu się Agrykoli pod Domicyanem. Pisał on w chwili kiedy wśród wytchnienia i ulgi po śmierci tyrana nienawiść i zemsta piętnowały uciski tego panowania, kiedy niechęć ścigała tych wszystkich, którzy za Domicyana brali udział w życiu publicznem.

Tacyt tu pierwszy raz wygłasza wymownie stałą swoją zasadę, że nawet za złych cesarzy można być tęgim człowiekiem i że umiarkowanie, któremu zawtórzy pewna dzielność i energia, przewyższy tych chwałę, którzy wśród działań karkołomnych, bez pożytku dla sprawy publicznej, dumną wsławili się śmiercią (r. 42). Mamy tu więc znaną Tacyta teoryę, że na szali zasługi wśród ciężkich politycznych warunków zaważy bardziej

jakieśkolwiek działanie niż abstencya, bierność lub pyszałkowate strojenie się w męczennika. Ale ta chęć służby i pracy może się także wyczerpać; zaznał więc Agrykola w końcu życia i zaznało wielu sprawiedliwych tej nadmiernej goryczy na widok marniejącej pracy, wykolejonych żyć i zniszczonych zdolności, nad któremi przewrotność rządów zaciężyły złowrogo. Znanem to i zrozumiałem narodom, którym wielkie nieszczęścia wymiary przypadły w udziale. I znanem to uczucie, z którem Tacyt w końcu sławi i wielbi szczęście Agrykoli, który umarł w porę i nie oglądał tych dalszych nieszczęść, grozy i wstydu, które po jego zgonie Rzym nawiedzić miały. Nie wszystkim to zrozumiałem, dostępnem; po za retoryką jest tu coś, czego pełnię docenią ci jedynie, którzy za życia przeszli przez podobne piekła i doświadczyli na sobie bezprawiów gwałcicieli zakonów, woli i sumienia narodów.

Ale ta apologia postępków Agrykoli i ten wylew uczucia końcowy są czemś ubocznem, dodatkowem. Głównie chodziło w tem piśmie Tacytowi o uwiecznienie pamięci, uwydatnienie zasługi swego zmarłego zięcia. Biografia jednak rozrosła mu się na historyę, a rozrosła dlatego, że działalność publiczna, a szczególnie wyprawa brytańska była szczytem w tego życia rozwoju, że dalej starożytność do analizy prywatnych kolei i osobistych uczuć ludzi daleko mniejszą przywiązywała wagę, jak do przedstawienia ich publicznych występów. W życiorysie Agrykoli mamy tedy rodzaj monografii o Brytanii i jej zawojowaniu. Cornelius Nepos rozpoczynając biografię Pelopidasa, obawiał się, że kiedy zacznie opisywać życia tego koleje, zdawać się będzie pisać historyę, nie życiorys. W podobnem położeniu znalazł się Tacyt i przed historyą się nie cofnął. Wyraźnie historyczne zadania i zagadnienia żywo go już naówczas zajmowały. Dlatego mamy tu rzecz o położeniu i ludach Brytanii (*Britanniae situm populosque referam* c. 10) a w opisie walk między Rzymem a tubylcami staje się nawet autor szczegółowym, mianowicie gdy przedstawia wyprawę samego Agrykoli; nie zaniechał on nawet zwykłej historycznych opowieści ozdoby, przemów, które wygłaszają do swych szyków wodzowie. Przed

walną rozprawą między Agrykolą i Calgacusem i jego Szkotami znajdujemy prawdziwie krasomówcze zawody, w których retoryka nie szczędzi swych zwrotów i sztuczek.

Wobec tak dziwnego układu pisemka, biedzą się krytycy i historycy literatury, jak Agrykolę nazwać, pod jaką etykietę literacką podciągnąć ten utwór Tacyta. Ogłoszono to za rodzaj pochwały nagrobnej, choćby tylko przeznaczonej do czytania. Bo na recytacyach wygłaszano takie chwalby wielkich zmarłych — *quasi funebres laudationes*, jak się Pliniusz epist. 8, 12, 5 wyraża. Inni myśleli, że to rodzaj panegiryku. Najprościej będzie pismo uważać za to, za co je Tacyt ogłosił, za życiorys zmarłego Agrykoli (r. 1); w malowaniu tła pofolgował autor budzącej się skłonności historycznej i dawnej retorycznej, na czem zyskała niewątpliwie nasza znajomość kraju i dziejów Brytanii, a dalej dziełka ozdobność; dla poznania jednak Agrykoli takie szczegóły były dość obojętne.

Jeżeli mówiliśmy, że w Dyalogu pracował Tacyt pod znakiem Cycerona, to w Agrykoli podziw dla Cycerona również kilkakrotnemi naśladowaniami się znaczy. Szczególnie pewna część dzieła de Oratore, mianowicie 3, 2, 8 przypomina się przy czytaniu końcowych, wymownych rozdziałów dziełka (rr. 43—46). Ważniejszym stał się jeszcze wpływ Sallustyusza. Skoro tylko Tacyt tknął się tematu, który z historyą miał związek, zapisał się on odrazu pod znaki pisarza, którego nazwał „dziejów rzymskich najświetniejszym opowiadaczem". Na zwartości Sallustyusza uczył się tedy Tacyt cnoty, aby w nielicznych wyrazach jak najwięcej ująć treści, na jego wzorze zaprawiał się w przedstawianiu ludzi i charakterów, w którem kilka słów wrażających się w pamięć jak napis, trafniej, dosadniej częstokroć określało ludzi, niż szeregi superlatywów przeciętnych biografii. Tacyt przejmował od Sallustyusza niekiedy gotowe frazesy; przecież co o jednym człowieku powiedziano, mogło się łatwo do drugiego stosować. Bardziej nas jednak dziwi, że Tacyt nawet rysów i opisów bitew afrykańskich w Jugurcie Sallustyusza (101, 11) nie wahał się użyć przy przedstawianiu zapasów Agrykoli z Brytańczykami. (Agr. 37, 2). To zapożycza-

nie motywów od innych historyków i przenoszenie ich w zupełnie obce dziedziny uchodziło w starożytności zawsze za coś dozwolonego. Po wszystkie czasy pozwalała retoryka zmyślać cokolwiek w historyi, aby pisarze mogli co dowcipnego powiedzieć (Cyc. Brut. 42). A retoryki jest w Agrykoli nie mało. Tacyt nigdy nią nie pogardzał, umiał jednak nieco ukrywać jej sztuki i ozdoby. W Agrykoli tymczasem mowy Calgacusa i samego bohatera życiorysu wykazują wyraźne odgłosy deklamacyi.

To nie przeszkodzi, że Agrykolę uznamy za jedno z najpiękniejszych, najszczerszych uczuciem dziełek starożytności i światowej literatury. Jest coś dziwnie kojącego, rzewnego i szlachetnego w tym utworze. Ostatnia inwokacya do Zmarłego ze zwykłem w tego rodzaju apostrofach *Si* wobec tajemnicy pozagrobowej jest najwymowniejszem zobowiązaniem pozostałych wobec pamięci Zmarłego, którego ducha — *forma mentis aeterna* — zamierza się w życiu uwiecznić naśladowaniem i czynem.

Wreszcie w tym samym roku 98 ukazała się po Agrykoli Germania. Tytuł tego pisma brzmiał może: *de origine et situ Germaniae*, bo tak czytamy w pewnej liczbie rękopisów; w innych brzmi on pełniej: *de origine, situ, moribus ac populis Germanorum*. — Interes dla Germanii był wtedy w Rzymie żywym. Od końca drugiego wieku przed Chr., kiedy Cymbrzy i Teutonowie wtargnęli do Italii, niebezpieczeństwo od wielkich ludów północnych grożące stawało Rzymianom przed oczami. Za Augusta ponawiały się więc ciągłe wyprawy wojenne, aby granice państwa ubezpieczyć zarówno nad Renem jak nad Dunajem. W r. zaś 98 znajdował się nowy cesarz Trajan w Kolonii i do wiosny roku 99 pozostał nad Renem i Dunajem, aby tu przez układy, zakładanie i wzmocnienie fortec, przywrócenie ładu wśród wojska zabezpieczyć państwa granice. Imperyalistyczna polityka pchała Rzymian do Brytanii, podobne zaś dążenia wraz z troską o ochronę przed wyprawami niespokojnych Germanów podniecała w Rzymie ciągle ciekawość i obawy wobec szczepów północy; przyczyniał się do rozbudzenia interesów także

handel rosnący z Germanią, a wreszcie postacie Germanów, którzy do wojska rzymskiego zaciągnięci, siłą i wyniosłością fizyczną uderzali przechodniów na Rzymu ulicach. Cesarz Trajan ukrzepił ducha i zwycięską otuchę w armii rzymskiej; dotąd zaś głównie na niezgodzie nowych Rzymu wrogów opierano nadzieje, że niebezpieczeństwo z ich strony grożące da się zażegnać. To też w literaturze współczesnej ciągle napotykamy wzmianki o tym braku spoistości wśród przeciwników Rzymu. Niezgodę wśród mieszkańców Brytanii podnosi Tacyt w Agrykoli 12; wynikiem jej jest że: *singuli pugnant, universi vincuntur.* Podobnie się działo wśród Gallów; wobec Rzymian osłabiano się tu swarami między pojedynczymi szczepami o pierwszeństwo w razie wywalczenia wolności; *nondum victoria, iam discordia erat,* powiada Tacyt w hist. 4, 69. A najznamienniejszem jest przekleństwo połączone z modlitwą, które Tacyt w Germanii (roku 33) rzucił w twarz wrogom: „niech zostanie, błagam, i utrwala się wśród narodów, jeśli nie miłość do nas, to nienawiść wzajemna, skoro los wśród losów państwo gniotących nic już cenniejszego dostarczyć nam nie może nad wrogów niezgodę". — W tarciach i walkach narodów nadużywano ciągle świętego hasła wolności; magicznym tym dźwiękiem starano się oszałamiać, upajać lub uśpić tych, co od razu karku nie ugięli. Bo jak Tacyt w hist. 4, 73 twierdzi: nikt obcej niewoli i panowania dla siebie nie zapragnął, żeby przytem owych wyrazów (t. j. wolności) nie miał na ustach.

Germanami tedy zajmowali się w pierwszym rzędzie Rzymianie i osobne pismo poświęcił im Tacyt. Wyraźnie zbierał on wtedy już materyały historyczne dla prac późniejszych i one dostarczyły mu tła historycznego w Agrykoli i całego zasobu wiadomości do monografii o Germanach. Polityczny więc interes zespolił się tu z naukowym. Bo od wszechstronnej działalności Posidoniusza, ożywiła się znacznie ciekawość, zwracająca się w kierunku odległych, nieznanych dotąd szczepów. Posidonius koło r. 100 przed Chr. starał się wszechstronnie pod względem fizycznym i umysłowym przedstawić n. p. Celtów. Po nim pisał szczegółowiej o Germanach Sallustius w swoich

historyach, Liwiusz kilkakrotnie w księgach późniejszych swego dzieła, a najobszerniej opisał istotę Germanów i wojny dotąd z nimi prowadzone Pliniusz starszy w Bellorum Germaniae Cl. 20. — Materyału więc i wiadomości Tacytowi nie zbrakło. Ujął on ją w krótką książeczkę, która w zwięzłej a pięknej formie miała czytelnika o północnym narodzie pouczyć, a zarazem przynieść mu nieco moralnego obroku. Bo nie same naukowe cele miał z pewnością na oku ten, który treść tak obfitą w krótkim szkicu spopularyzować usiłował; Tacytowi, myślącemu w antytezach i skłonnemu do antytezy, w pisaniu musiały się nasunąć porównania między Germanami i Rzymem i bynajmniej też nie pominął on tych zestawień. Przecież podania historyczne od dawnych już czasów idealizowały odległe, w mgle oddalenia nurzające się narody. Opowiadano sobie o sprawiedliwości i błogości niczem niezamąconej Scytów, to znów gdzieś na dalekich północnych krańcach lub wśród Etyopów południowych umieszczano tę przystań wszelkiego szczęścia, w innych razach bajka przenosiła jakieś obrazy rajskiego obyczaju i cnoty do Indyi lub do Serów zamieszkających wschodnie świata kresy. Te porównania i moralne tendencye nie są zasadniczym celem etnograficznego szkicu Tacyta, ale jego znamienną przymieszką. Jeżeli historycy pisali swe dzieła dla zbudowania rodaków, to nie dziw, że do drobnego traktatu podobne się przyplątały zamiary. Są one ubocznymi, ale stwierdzić i uznać je należy także tutaj stanowczo.

Pisemko rozpada się na dwie części, ogólną od 1—27 r. i szczegółową (27—46). W pierwszych pięciu rozdziałach rozprawia autor o kraju i jego mieszkańcach, następnie w rozdziałach 6—27 o obyczajach i ustroju Germanów. Szczegółowa część zawiera przegląd pojedynczych szczepów, w którym autor postępuje naprzód od zachodu ku wschodowi, następnie od północy ku Dunajowi; w końcu zaś mamy dodatkowe uwagi o szczepach zamieszkujących bałtyckie wybrzeże.

W charakterystyce ogólnej uwydatniono ciągły niepokój i wojowniczość Germanów: *ingrata genti quies,* spokój nie przypada narodowi do smaku; później jednak zaznaczył autor

nadmierną jego skłonność do snu, od którego pono dopiero chrześciaństwo, pędzące do kościoła, ludzi wyleczyło, a dalej wybitne w piciu upodobanie; piwo już narodowym jest trunkiem (23 r). Wobec tych rysów grubych występują inne dodatnie. Obyczaje narodu są czyste i surowe; nie żartuje się tam z wybryków, a drugich znieprawiać i być nieprawym nie nazywa się bytu istotą. Bezdzietność nie jest u Germanów czemś pożądania, zazdrości godnem; wyzwoleńcy po domach małe mają znaczenie. Pogrzebów wystawnych się nie wyprawia; darń starczy za nagrobek. Zwykle opis jakiegoś rysu obyczajowego kończy się krótką, epigramatyczną sentencyą. Retoryki w piśmie dosyć dużo; skłonność do antytez wytwarza czasem mało znaczące zestawienia, obliczone na silne wrażenie u czytelnika, które jednak niekiedy zawodzi. W Germanii nadto, podobnie jak w Agrykoli, liczne mamy dowody, jak przeważny Sallustius na Tacycie wpływ wywarł, zanim on nie wyrobił sobie swego odrębnego, indywidualnego stylu.

Wogóle Germania nie jest wypływem tak ciepłego natchnienia, jak Dyalog i Agricola Osobistość autora, jej przekonania i uczucia nie drgały przy tej pracy równie żywo, jak kiedy się ucierał za literackiemi swemi hasłami, lub tęskną pamięcią wielbił zmarłego teścia. Pewne stylistyczne sztuczki nadają Germanii niekiedy piętno nieco mroźnej maniery. Niemniej pismo jest bardzo ważnem i zawiera pełno cennych wiadomości. A poważną i chlubnie o jasnowidzeniu politycznem Tacyta świadczącą była myśl, aby dokładniej się zająć tymi narodami północy, które pukały już do bram państwa i w końcu te bramy przemogły.

Kazimierz Morawski.

Jeszcze do sporu o chełmskich wyznawców.

Na artykuł mój „Spór o chełmskich wyznawców“[1]) zwróciła ze strony ruskiej uwagę N y w a, pismo kleru ukraińskiego we Lwowie, w zeszycie za czerwiec-lipiec b. roku. Właśnie odnośny artykuł pomienionego miesięcznika, podpisany inicyałami Dr. J. L., pod któremi łatwo domyśleć się redaktora pisma, ks. Jarosława Lewickiego, powoduje mnie do zabrania jeszcze raz głosu w sprawie chełmskich „opornych“ unitów, sprawie — zdawało się — już dostatecznie oświetlonej.

Najpierw parę słów w kwestyi poniekąd osobistej. Dr. L., jak pisze, na podstawie poprzednich moich prac spodziewał się po mnie bezstronności i odwagi w wypowiedzeniu prawdy swoim i obcym, srodze się jednak zawiódł i musiał dojść do przekonania, że wśród Polaków niema już ani jednego człowieka, któryby „nie dał się opanować psychozie rozagitowanych miejskich biurokratycznych polskich mas“. Ze względu na tę powszechną psychozę całego naszego narodu chce być pobłażliwym dla jednostki, w danym razie zapewne dla mnie. Otóż prosiłbym ze swej strony o zaniechanie wszelkiej pobłażliwości dla mojej osoby i jakiegokolwiek uwalniania mnie od odpowiedzialności za mój artykuł. Całą bowiem odpowiedzalność zań przyjmuję na siebie, a dla wyjaśnienia

[1]) P r z e g l. P o w s z., marzec-kwiecień 1918.

dodam, że poglądy w nim wyrażone skrystalizowały się we mnie nie dopiero po wypadkach brzeskich, pod wpływem podrażnionego nimi uczucia patryotycznego, ale o wiele wcześniej, mianowicie podczas moich prac misyjnych wśród „opornych" i na widok tego, jak ci oporni skorzystali z ukazu tolerancyjnego Mikołaja II w roku 1905. Traktat brzeski dał mi tylko sposobność do wypowiedzenia tego, co myślałem od szeregu lat. A w wypowiedzeniu swoich zapatrywań starałem się być zarazem „odważnym", powściągając właśnie i sprowadzając do miary właściwej argumenty, jakimi posługiwał się pewien odłam polskich mowców i publicystów podczas lutowych manifestacyi. Wszak sam Dr. L. to stwierdził, kiedy dopatrzył się w moim artykule aż „odrzucenia" przeze mnie w sprawie chełmskiej argumentów historyczno-politycznego i statystycznego, jakimi posługuje się w sporze strona polska.

Dr. L. zresztą w danym razie wyczytał w moim artykule zbyt wiele, gdyż tych dowodów zrzekać się nie miałem potrzeby; faktem jest tylko, że odrzuciłem przesadne twierdzenia, w rodzaju takich np., jak „kraj chełmski jest o d w i e c z n i e i c a ł k o w i c i e ziemią p o l s k ą" itp. Dowody historyczny i statystyczny, zredukowane do właściwych granic, mają też swoje znaczenie. Historycznie rzecz biorąc, nie wiem dlaczego Ukraina — nawet gdyby takie państwo było istniało przed wiekami[1]) i posiadało było Chełmszczyznę przez lat 500 — miałaby dziś więcej praw do Chełmszczyzny niż Polska, która również przez lat 500 nad nią władała. Przynajmniej historyczne prawa nowej republiki naddnieprzańskiej nie byłyby tak jasne i wyłączne, za jakie się je

[1]) Do państwa Włodzim. W. i Jarosława należała nie cała Chełmszczyzna (np. nie Podlasie), po roku 1054 trudno mówić o jakiemś państwie ukraińskiem. — Istniał cały szereg państewek drobnych, związanych luźno przez wspólność dynastyczną książąt, walczących ciągle między sobą. O przynależności Chełmszczyzny do „Ukrainy" w owych czasach można tyle mówić, ile mówićby można o należeniu do niej np. Wielkiego Nowogrodu i Suzdala, które również do owego aglomeratu księstewek należały. Jeżeli zaś zwrócimy uwagę na większe podobieństwo języka „bużan" do języka innych plemion dzisiejszej Ukrainy, niż do języka północnej Rusi, to opuszczamy już historyczny argument i przenosimy spór na inny zupełnie teren.

uważa po stronie ruskiej. Co się tyczy argumentu statystycznego, to właśnie mój artykuł cały około niego się obraca, udowadniając nie wyłączność polskości w Chełmszczyźnie, jak możeby ktoś chciał, ale polską większość ludności, o ile włączy się tych byłych unitów, którzy, jak starałem się dowieść, zupełnie za Polaków się mają.

Główne zarzuty, jakie Dr. L. mnie stawia, są następujące:

Po-pierwsze, zdradzam analfabetyzm historyczny, kiedy mówię o dobrowolnem spolszczeniu się szlachty ruskiej w Rzeczypospolitej.

Po-drugie, rzekomo wielką wyrządziłem krzywdę męczennikom chełmskim twierdzeniem, że cierpieli prześladowanie nie za wiarę katolicką we wschodnim obrządku, lecz za polskość.

Po-trzecie, tendencyjnie przedstawiam historyę nowszą twierdząc, że unici przeszli na obrządek łaciński w r. 1905 bez agitacyi z polskiej strony i że obecnie już o unii nie myślą, będąc zupełnie spolszczonymi.

Po-czwarte, Dr. L. nie wie, na czem opieram swe twierdzenie, że unici mogli przecież robić w r. 1905 starania o przywrócenie unii, a jednak tego nie próbowali wcale, i od siebie dodaje, że unia do samego końca istnienia caratu w Rosyi była zabronioną.

Wreszcie po-piąte, najcięższy spotkał mnie zarzut grubej niemoralności, jaką rzekomo popełniłem, wraz z całym klerem polskim, domagając się od Ukraińców zrzeczenia się praw do zrabowanej im Chełmszczyzny.

Przypatrzmy się tym zarzutom.

Co się tyczy pierwszego, to nie wiem, co ktoś inny pod przymusowem polszczeniem rozumie. Ja, rozumiejąc wyraz „przymus“, tak jak jest on określany w słownikach, nie napotykam w historyi Rzeczypospolitej niczego (wyjąwszy jakieś odosobnione fakty), co dałoby się scharakteryzować, jako przymus ze strony państwa, czy polskich współobywateli na szlachcie ruskiej do porzucenia własnej narodowości na rzecz polskiej. Dr. L. odsyła mnie do badań biskupa Likowskiego, prof. Bobrzyńskiego i Łozińskiego; byłbym atoli wdzięcznym za wskazanie mi, gdzie ci pisarze mówią o przymusowem polszczeniu szlachty ruskiej i kto te-

go przymusu się na niej dopuszczał. Już parokrotnie zauważyłem, że ruscy polemiści ze sfer duchownych, kiedy chcą pod adresem polskim coś niemiłego wypowiedzieć, zwłaszcza argumentu a d i g n o r a n t i a m zwanego użyć, powołują się na ks. Likowskiego, nie cytując atoli szczegółowo jego pism. Zdaje się jednak, że nazwiska biskupa poznańskiego zbyt się nadużywa. Znam jego pisma i wiem, że dla Rusi i Unii był najprzychylniej usposobiony i że niejedną odkrył plamę na historyi stanowiska polskiego kleru i społeczeństwa względem unitów, i przyznam się, że naogół zdania jego podzielam. Nie wiem jednak, gdzie w swoich dziełach i kogo oskarża o przymusowe polszczenie szlachty ruskiej. Wytyka co innego: potępia podszepty i zachęty, jakich w kolegiach jezuickich miano używać w celu przeciągnięcia młodzieży ruskiej na o b r z ą d e k łaciński, ale jest to zupełnie czem innem, niż przymusowem p o l s z c z e n i e m szlachty ruskiej. Była ona już przeważnie spolszczona, kiedy oddawała swych synów do jezuickich kolegiów i chyba wcale nie odczuwała przymusu, kiedy ci synowie obrządek zmieniali; owszem to zmienianie obrządku było już następstwem dokonanego po największej części spolszczenia. Rzecz charakterystyczna, że na przymus ze strony polskiej skarży się nie sama szlachta, lecz tylko biskupi uniccy, zwłaszcza metropolita Rutski, usiłujący uzyskać w Rzymie nawet zakazy przechodzenia na łaciński obrządek. Udaje się mu to w połowie tylko, odnośnie do księży i zakonników (co również tłumnie unię opuszczali), niemożliwym zaś się staje podobny zakaz odnośnie do prostych wiernych. Pęd do zmiany obrządku, głównie z powodu braków w Cerkwi ruskiej, był tak wielki, że trzebaby było użyć prawdziwego p r z y m u s u, by go zatrzymać i stłumić. To zaś byłoby nawet niemożliwem w państwie, gdzie istniała tak szeroka swoboda szlachecka, jak to było w Polsce i na Litwie.

Co się tyczy właściwego polszczenia się szlachty ruskiej, to wszak we wschodnich połaciach Rzeczypospolitej, o których może tu być mowa, władzę wszelką dzierżyła taż sama szlachta i magnaterya, której spodobało się przyjmować polską kulturę i obyczaje, i nie istniała tam żadna wyższa moc, któraby mogła ją do tego zmusić lub w tem jej przeszkodzić. W szczegółach nie tu

miejsce na badanie przyczyn polonizacyi przodujących warstw Rusi; w każdym razie trudno mówić o przymusie zewnętrznym.

Rozpatrując zarzut drugi, nie mogę się dopatrzeć w czembym ubliżył pamięci męczenników podlaskich, twierdząc, że cierpieli oni nie za unię, jak ją konkretnie rozumieją dzisiejsi „ukraińscy" unici, ale za unię, która w ich przekonaniu składała się z przywiązania do Rzymu p l u s pewne obrzędy zapożyczone od łacinników i polski język w kazaniach i pieśni. Dr. L. trochę zarzut przeszarżował, kiedy przypisuje mi twierdzenie, iż unici nie mieli cierpieć za wiarę katolicką we wschodnim obrządku, lecz za p o l s k o ś ć. Ja tak wyłącznym w swem twierdzeniu nie byłem. Bezwątpienia atoli zgodnem jest z prawdą, że polski język był jedną z tych świętości, których unici oporni wraz ze swym klerem bronili wytrwale, słusznie czy nie słusznie widząc w nim, jak i w zapożyczonych z łacińskiego Kościoła praktykach pobożnych, zewnętrzny niejako wyraz swej przynależności do Kościoła prawdziwego. Czy to ubliża ich pamięci czy nie, nie wiem naprawdę; może ze stanowiska ukraińskiego — tak, ale w takim razie jestto nowym dowodem, że wyznawcy chełmscy za ukraińców się nie uważali.

Dr. L. ze słów moich chce wywnioskować, że chełmszczanie, dzięki działalności własnych kapłanów polonizatorów (których zowie renegatami, zdeprawowanymi przez Polaków), poprostu źle rozumieli katolicyzm, utożsamiając takowy z polskiemi pieśniami i organami. Może być, teoretycznie tak, praktycznie jednak i oni i ich pasterze widać mieli dobry katolicki instynkt. Faktem jest, że tylko ci „ciemni" spolszczeni unici zostali uratowani dla wiary katolickiej, podczas gdy druga połowa unitów chełmskich, których przez kilka lat, poprzedzających apostazyę Popiela, setka księży ruskich z Galicyi z biskupem Kuziemskim na czele uświadamiała, że katolicyzm i unia nie polega wcale ani na pieśniach polskich, ani organach, których w tym celu wysyłała do Galicyi, by się przypatrzyli, że unia istnieje bez tych polskich dodatków, że mówię ta druga połowa tak uświadomionych o istocie unii chełmszczan... przyjęła schizmę bez protestu prawie. Wobec tego, bądź co bądź dziwnego faktu, czy nie za surowym jest Dr. L. względem tych kapłanów chełmskich, którzy jęczeli po więzieniach, zna-

czyli jako wygnańcy swymi śladami dalekie przestrzenie Rosyi, szli na poniewierkę do Galicyi (gdzie ich wcale nie z radością witali ich bracia po obrządku), gdy ich obecnie obrzuca mianem renegatów, zdeprawowanych przez Polaków, przypisując im winę wszystkiego co zaszło?

Wracając jednak do zarzutu, radzę memu Oponentowi czytać współczesne źródła, np. książkę unickiego księdza Bojarskiego „Czasy Nerona", żeby się przekonać, za co właściwie cierpieli i czego bronili wyznawcy chełmscy. Być może, że Dr. L. poczuje się im obcym pod wielu względami, ale też łatwo wyprowadzi stąd wniosek, że trudno rewindykować na rzecz ukrainizmu synów tych wyznawców.

Wtedy prawdopodobnie cofnie i swój trzeci zarzut, który z poprzednim w ścisłym stoi związku. Jak lat temu czterdzieści, tak tembardziej obecnie lud podlaski i chełmski, wyznający katolicyzm, uważa się za polski. Ci, co obecnie rozpoczęli pracę nad jego uświadomieniem ukraińskiem, skarżą się bardzo na ciemnotę i niepojętność tego ludu pod względem narodowego poczucia. O ile chodzi o „ukrainizm", to mają zupełną słuszność; lud ten pod tym względem jest bardzo niepojętny, ale dlatego, że jest gruntownie, dużo gruntowniej niż lud w innych częściach Królestwa, uświadomiony w polskim duchu i do polskości przywiązany. Co się tyczy obrządku, to w r. 1905 absolutnie żadnej agitacyi nie było i nie było potrzeby za tem, by ten lud, niegdyś unicki, nakłonić do zapisania się do ksiąg parafii łacińskich. Dr. L. posądza mnie o to, że rozmijam się z prawdą, gdy to twierdzę. Podejrzenie pozostawiam jego sumieniu, a nie cofnę twierdzenia. Jedyną agitacyą za łacińskim obrządkiem było to, że księża odczytali z ambon ukaz tolerancyjny, a potem przez kilka tygodni bez wytchnienia zapisywali nazwiska nowych swoich parafian, którzy z polską pieśnią kościelną na ustach procesyonalnie i masowo garnęli się do kościołów. Jeśli Dr. L. ma dowody jakiejś sztucznej za tem agitacyi, przymusu lub czegoś podobnego, niechaj takowe przytoczy.

Uważa Szanowny Oponent w czwartym zarzucie za moją tajemnicę, na czem oparłem twierdzenie, że nie było zasadniczo możliwem starać się o wskrzeszenie unii w Chełmszczyźnie, gdyby

ludność sama tego była chciała. Tajemnicę tę mogę zdradzić, o ile już jej nie wyjawiłem w pierwszym swoim artykule. Mianowicie ukaz kwietniowy, ogłaszający tolerancyę dla wszystkich wyznań, rzeczywiście nie czynił wyjątku i dla greckiego obrządku. Również później, ani z Dumy, ani z ministeryum petersburskiego nie wyszło żadne pod tym względem ograniczenie. Oczywiście, że przywrócenia unii na Podlasiu nie życzyłby sobie rząd Stołypina i stawiałby napewno liczne biurokratyczne trudności, jakie zresztą niebawem począł stawiać i przechodzeniu prawosławnych na katolicyzm łaciński. W rzeczywistości jednak nie był wcale do tego sprowokowany, gdyż żadnych żądań ani starań o unicki obrządek ze strony ludności nie było. Próby tego rodzaju były gdzieindziej na małą skalę, mianowicie w Petersburgu, gdzie grono wiernych z paru kapłanami, konwertytami z prawosławia, na czele, utworzyło coś w rodzaju małej parafii grecko-katolickiej i otwarło nawet kaplicę. Dłuższy czas rząd stołypinowski, który zapewne nie sprzyjał w duchu unii, tolerował wszakże podjęte próby, nie mając widocznie prawnej podstawy do stanowczego stłumienia tej akcyi, i kiedy po jakichś dwóch latach począł robić owej grupie trudności i kaplicę nawet zamknął, to nie powoływał się wcale na zasadniczą niedopuszczalność unickiego obrządku w Rosyi, lecz motywował swoje stanowisko względem kaplicy już to brakiem przepisanych technicznych warunków w jej urządzeniu, jużto jej dwuznaczną nazwą „prawosławno-katolickiej", co według opinii hierarchii schizmatyckiej było podstępem w celu zwabienia do unii prawosławnych. Pisemko atoli, wydawane przez petersburskich greko-katolików, istniało do samej wojny.

Przystępujemy do zarzutu ostatniego i zarazem najcięższego, zarzutu n i e e t y c z n o ś c i, jaka ma tkwić w pretensyi Polaków do Chełmszczyzny. Zrabowaliśmy cudzą rzecz i nie chcemy jej zwrócić prawemu właścicielowi! Odpowiedź na ten zarzut ułatwia mi sam Dr. L. w przypisku, zaznaczając, że ludność Chełmszczyzny nie jest „rzeczą", tylko ciemną, zbałamuconą i steroryzowaną masą. Co się tyczy „ciemnoty" chełmszczan, to wyżej już o niej mówiliśmy. Ważnem jest to, że chełmszczanie nie są r z e c z ą, zatem stosowanie do nich zwyczajnych norm etyki o resty-

tucyi jest nie na miejscu. Żywi ludzie, zwłaszcza w naszych czasach, mają prawo sami stanowić o swojej narodowości. Otóż jeżeli większość ludności, do której to większości włączamy i byłych opornych unitów, oświadcza się, że są Polakami i nimi pozostać pragną, to ze stanowiska etyki możnaby postawić inne pytanie, mianowicie, czy etyczną jest rzeczą chcieć ich z m u s i ć, by się wyparli narodowości, do której się przyznają i przeszli do ukraińskiej?

Wracając do zarzutu, zwracam jeszcze uwagę, że — o ile pod moim adresem skierowanym został — opiera się on na niezrozumieniu celu mego artykułu. Ja bynajmniej nie nawołuję do zatrzymania Chełmszczyzny w granicach Polski, już choćby dlatego, że wiem, że mój głos nic a nic na politykę rozstrzygających czynników nie wpłynie. Moje zadanie było skromniejsze: stwierdzałem, że dusza ludu chełmskiego, owych byłych „opornych" unitów, jest po stronie polskiej i wypowiedziałem przekonanie, że tamże pozostanie bez względu na dalsze polityczne losy kraju. Czy się mylę, pokaże to przyszłość, wszakże nie wyczyta nikt w moim artykule żadnego w e z w a n i a do takiej czy innej politycznej akcyi. Oświadczam tylko, skoro mi Dr. L. dał do tego sposobność, że uważałbym za grubo nieetyczną rzecz, gdyby moje społeczeństwo było obojętne na garnięcie się doń byłych chełmskich unitów, z którymi przeżyło tyle czasów wspólnej niedoli pod rządem carskim, i miałbym prawdziwy żal do odpowiedzialnych mężów stanu, gdyby dla jakiegoś oportunizmu politycznego, okazali tyle ustępliwości, że dobrowolnie zrzekliby się tego męczeńskiego kraju i odtrącili dłonie i serca, do Polski się zwracające. Co innego, jeśli tej amputacyi dokona jakaś v i s m a i o r.

Jeszcze słowo. Żeby nie być źle zrozumianym, zaznaczam, że w wypowiadaniu swoich poglądów na sprawę chełmską, nie powoduję się żadną niechęcią do obrządku greckiego, ani do narodowości ruskiej. Moje stanowisko tak względem jednego jak i drugiej bynajmniej nie zmieniło się w ostatnich czasach. I tak co do obrządku, to gdyby mi postawiono pytanie, który z dwóch obrządków bardziej mi się podoba, to wprawionoby mię w prawdziwe zakłopotanie — tyle czuję pociągu i sympatyi dla obrząd-

ku greckiego. I gdym w swoim czasie objeżdżał Podlasie, przeżyłem niejedną chwilę żalu za przeszłością. Patrząc na cerkwie niegdyś unickie, a wtedy schizmatyckie, doznawałem przykrego uczucia na myśl, że w nich już nie odrodzi się służba Boża katolicka w obrządku Chryzostoma i Bazylego. Byłem jednak już wtedy prawie pewny, że grunt dla unii na Podlasiu jest stracony, i dzisiaj to samo przychodzi mi stwierdzić. Główną winę ponoszą tu schizmatycki rząd Rosyi, i ci, którzy mu w zakusach sprawosławienia ludu podlaskiego pomagali.

Jeżeli chodzi o mój stosunek do narodowości ruskiej, to chyba nikt bezstronny nie miałby mi za złe, gdybym się cieszył jako Polak, z tego, że eksperymenty rusyfikacyjne, dokonywane na unitach, przysporzyły — wbrew oczekiwaniom rosyjskiego rządu — kilkaset tysięcy Polaków. Przynajmniej ja nie brałbym za złe Rusinom podobnej radości, gdyby swój stan posiadania wzbogacili bez żadnej ze swej strony przemocy, choćby to się stało na niekorzyść mojego narodu. Czy faktycznie cieszę się z tego, co się stało z Podlasiem, nie uważam za potrzebne spowiadać się. Tego atoli nie może nikt ani ode mnie, ani wogóle od Polaków żądać, byśmy sami do tego się przykładali, by byłych unitów od polskości odepchnąć, rzucając ich w objęcia Ukrainy.

Przewiduję możliwość jeszcze jednego zarzutu, który bywa zresztą dość często kierowany w stronę polskiego kleru ze strony ruskiej. Oskarżani bywamy o szowinizm narodowy w stosunkach z Rusinami, kierujemy się rzekomo egoizmem narodowym, nawet kiedy przemawiamy w imię religii. Zapewne, że i po stronie polskiej są możliwe objawy przesadnego szowinizmu u wielu jednostek, jeżeli atoli stanowisko, jakie zajął w sporze o Chełmszczyznę ogół polski, jest grzechem tylko dlatego, że występujemy w nim w imię narodowego interesu, to możemy się pocieszyć, że wspólników tego grzechu mamy w Ukraińcach, nawet w klerze ruskim. W imię czego bowiem występuje choćby i mój Szanowny Oponent, jak nie w imię interesu narodowego? Wszak, rewindykując byłych unitów dla Ukrainy i dla unii, nie kieruje się chyba żadną pobudką natury religijnej. Uznając zupełną równość obydwóch obrządków wobec Kościoła, chyba łatwo się zgodzić na to, że pod względem

religijnym owi „oporni“ unici nie stracili nic na tem, że przeszli do obrządku łacińskiego, że się ostatecznie spolszczyli. Przeciąganie ich z powrotem do unii chybaby nie dało im większej rękojmi zbawienia dusz, nie mówiąc już o tem, że sprowadzałoby nowy zamęt i nowe moralne tortury. Jeżeli więc nie wyższe dobro religii i zbawienie dusz, to co, jak nie czysto narodowościowy względ służy za pobudkę dla Rusinów i ich kleru w wytaczaniu pretensyi do byłych unitów? Potępiać ich za to nie myślę, o ile propaganda ukraińizmu ograniczałaby się do prostej perswazyi, bez uciekania się do gwałtów i demagogicznych metod. Nie rokuję atoli takiej akcyi wielkiego powodzenia. Dużo kwasu z wzajemnych naszych stosunków ulotni się w dniu, kiedy zrozumianem to zostanie i po ruskiej stronie.

Ks. Jan Urban.

Pożyczki wojenne w starożytnym Rzymie.

Jednym z głównych środków do prowadzenia wojny tak obecnie jak i w dawnych wiekach są pieniądze. I tak, jak dzisiaj państwa zdobywają te środki w najrozmaitszy sposób, tak samo i w odległej starożytności rządy państw, prowadzących wojnę, chwytały się różnego rodzaju operacyi finansowych, aby tylko zapewnić sobie dostateczny napływ szlachetnego kruszcu do kasy państwowej. Zwykle wystarczały w tym celu podatki, nałożone na poddanych, sprzymierzeńców lub własnych obywateli, albo też różnorodne operacye mennicze i monetarne, które mogły nieraz bardzo wydatnym stać się źródłem dochodu. Ostatnią wreszcie ucieczką rządów bywał jak i dotąd kredyt i pożyczki wojenne.

W obecnych czasach jesteśmy świadkami olbrzymich pożyczek wojennych, ściągających miliardowe sumy do kas państwowych, pożyczek, w których mniej lub więcej dobrowolnie uczestniczą ogromne warstwy ludności każdego państwa. Badaczowi historyi starożytnej mimowoli przychodzi na myśl pytanie, czy podobnego zjawiska nie możnaby odnaleść w dziejach klasycznego świata, a w takim razie, jak się ono tamże przedstawia.

Ograniczając swe badania do historyi rzymskiej Republiki, znajdujemy już w dosyć odległych wiekach zjawisko, które mo-

glibyśmy nazwać pożyczkami wojennemi. Mimo więcej naturalnego gospodarstwa, które ten obrót gotówkowy czynił to znacznie mniejszym i mniej skomplikowanym, przecież i płynna gotówka bywała zawsze potrzebną, czy to na wypłatę żołdu dla wojska, czy to na uregulowanie rachunków z dostawcami wojskowymi, które z natury rzeczy musiały być bardzo znaczne. Naturalnie, że jako gotówkę rozumiano nie tylko monetę brzęczącą, w mennicy wybitą i opatrzoną znakiem państwowym, ale wogóle szlachetny metal: złoto, srebro, a nawet i miedź w jakiejkolwiek postaci. Zdobyć jak największe zapasy tych metali dla kasy, to cel polityki finansowej każdego rządu, to również jeden z celów, jakie sobie zwykle stawiali wodzowie rzymscy w krajach nieprzyjacielskich. Im większe sumy pieniędzy przywozili z sobą do Rzymu, tem wspanialszy i lepszy mieli tryumf, tem głośniej byli wychwalani. Zdarzało się jednak nieraz, że wojny były ciężkie i długotrwałe, że wodzowie nie przysyłali złota zdobycznego do Rzymu i że na prowadzenie wojny nie starczyły zapasy. Wówczas senat, który finansami rzymskimi niepodzielnie prawie rządził, uciekać się musiał do zarządzeń podatkowych, które miały na celu podwyższyć normalne dochody kasy państwowej i pociągnąć ogół obywateli do pewnych świadczeń na rzecz państwa. Ale i te źródła nieraz zawodziły. Trybut, pobierany od majątku obywateli, nie mógł przekraczać pewnej normy, a z drugiej strony, w miarę przedłużania wojny, bywał coraz mniejszy, tak z powodu ogólnego wyczerpania, jak i z powodu zniszczenia majątków rzymskich przez nieprzyjaciela. Wówczas odwoływał się senat do kredytu i w rozmaitej formie zaciągał pożyczki, tak w gotówce, jak w naturaliach, ale również na gotówkę przerachowanych. Pożyczki te, tak jak i dzisiaj można na 2 rodzaje podzielić: pożyczek wewnętrznych, czyli u własnych zaciąganych obywateli i pożyczek zewnętrznych, czyli zagranicznych, zaciąganych za granicą.

Nadzwyczajna organizacya Rzymu była powodem, że tylko wyjątkowo i nader rzadko zwracał się senat do zagranicy z prośbą o pomoc. Przynajmniej historya przekazała nam tak niewiele wypadków tego rodzaju, że je rzeczywiście za wyjątkowe uważać należy. Wszystkie pochodzą z okresów ciężkich wojen punickich

Rzymu z Kartaginą, a kierują nasz wzrok na dwóch niejako bankierów starożytnego świata, na Syrakuzy i Egipt.

Zwłaszcza z Syrakuz od króla Hierona czerpali Rzymianie szeroką dłonią. Polybius (I. 16) powiada nawet, że Rzymianie, po krótkiej przeciw niemu kampanii, na początku I. wojny punickiej, zawarli bardzo chętnie i skwapliwie z nim pokój w tej tylko myśli, że w dalszej wojnie z Kartaginą bardzo wiele pomocy uzyskają z zaprzyjaźnionych Syrakuz. Hieron też, który swoje państewko na Sycylii pofrafił nadzwyczajnie zorganizować i wzbogacić, okazał się niezwykle wiernym i usłużnym sprzymierzeńcem Rzymu. Hieron też, zrozumiawszy prędko właściwy stosunek sił obustronnych, zaprzestał walki i zawarł z Rzymem przymierze, poprzestając odtąd na stanowisku prawdziwego bankiera i finansisty. Swoje państewko sycylijskie zorganizował wkrótce nadzwyczajnie, a w swoich skarbowych zarządzeniach stał się potem, jak wiadomo, wzorem dla Rzymian na Sycylii. Nie tylko gromadził olbrzymie zapasy zboża i pieniędzy w Syrakuzach, a po swej śmierci zostawił bogaty skarbiec i spichlerze, ale i udzielał chętnie pomocy finansowej tak Rzymianom jak i Grekom.[1]) Pierwsi nazywali go z tego powodu najlepszym swoim przyjacielem, Grecy zaś chwalili jego szlachetność i szczodrobliwość względem Hellady (Pol. I. 16. 10.). Hieron okazał się przedewszystkiem niezwykle wiernym i usłużnym sprzymierzeńcem Rzymu od chwili zawarcia traktatu pokojowego przez cały dalszy ciąg swego długoletniego panowania, wspierając wojska sycylijskie Rzymu wszelkiego rodzaju zapasami, tak żywności, jak i materyału wojennego.[2]) Gdy po tej wojnie wybuchło wielkie powstanie Gallów w północnej Italii i Rzym zbroił się gorączkowo, przysłał znowu Hiero znaczne ilości zboża dla legionów[3]) i taksamo pierwszy usłużył Rzymowi pożyczką pieniężną w czasie wojny z Hannibalem.

Klęska pod Kannami wyczerpała bowiem tak dalece kasę rzymską, że na rozpaczliwe wołania wojsk w Sardynii i Sycylii i prośby ich o żywność i pieniądze senat musiał odpowiedzieć, że

[1]) Beloch: Griech. Geschichte 1904 II. 347.
[2]) Polyb. I. 16, I. 18.
[3]) Diodor XXV. 14.

nie ma nic, i żeby sami wodzowie radzili sobie jak mogą. Na skutek tej odpowiedzi zaciągnął propretor sycylijski T. Otacilius pożyczkę u Hier. Syrakuzańskiego [1]), na Sardynii zaś rozpisano kontrybucyę. Prócz tego posłał Hieron na wojnę z Hannibalem do Rzymu pomoc zbrojną już w pierwszym roku wojny (Polyb. III. 75, 7), parokrotnie duże ilości zboża, oraz posąg Wiktoryi w złocie odlany (Liv. XXII. 37. 6. XXIII. 21. 5. 38. 13).

Nie jest rzeczą pewną, jaki charakter prawny mają te wszystkie świadczenia króla Hierona. Niektóre, jak n. p. posiłki zbrojne, były bezwątpienia uregulowane w pierwszym układzie i przymierzu, mocą którego Syrakuzy znalazły się wewnątrz symmachii italskiej. O innych można przypuszczać, że były darami, np. ów posąg Niki w złocie, który tylko dlatego miał Hiero w tym kształcie kazać go odlać, aby senat ofiary jego nie mógł odrzucić. Co do przesyłek zboża, to tylko o jednej podaje nam tradycya, że była pożyczką i to w późniejszym czasie uregulowaną. Diodor (XXV. 14), mianowicie pisząc o przysłaniu przez Hierona zboża podczas wielkiej wojny gallijskiej, dodaje, że pieniądze za tę przesyłkę otrzymał Hiero po ukończeniu wojny. I Plutarch również w życiorysie Marcella (VIII) wspomina, że Hieron otrzymał wówczas od Rzymian, jako dobry sprzymierzeniec, rozmaite dary. Nie ulega zatem wątpliwości, że pożyczkę syrakuzańską uregulowali tym razem Rzymianie w zupełności. Nie wiemy tylko, w jakiej ona była wysokości, a właściwie, ile zboża wówczas nadesłał Hieron i po jakiej cenie.

Lepsze nieco mamy wiadomości o ostatniej pożyczce Hierona dla Rzymu z 216 r. Zapasy w zbożu i srebrze, które wówczas propretor Otacilius uzyskał ze Syrakuz, nazywa Liwiusz (XXIII. 21. 5.) wyraźnie pożyczką, i jako taką w ciągu swego opowiadania traktuje. Było to zboże w ilości wystarczającej na 6 miesięcy dla jednego legionu, oraz pieniądze na wypłatę półrocznego żołdu dla tego samego wojska. Jak z Polybiusa (VI. 39) wiadomo, otrzymywał każdy legionista 4 rzymskie modii pszenicy (a 8·7 litrów) na miesiąc, każdy zaś jeździec dla siebie i konia 7 mediumów, czyli

[1]) Liv. XXIII. 21. 5.

42 modii jęczmienia i 12 modii pszenicy. Z pośród zaś sprzymierzeńców piechota otrzymywała pszenicę na równi z obywatelami rzymskimi, jazda natomiast nieco mniej, bo tylko 30 modii jęczmienia i 10 modii pszenicy. Jeżeli teraz przyjmiemy, że na 1 legion składało się wówczas jeszcze tylko 4200 pieszych i 300 jezdnych obywateli, nadto 4200 pieszych i 900 jezdnych sprzymierzeńców[1]), razem 9600 ludzi, to aprowizacya ich miesięczna wymagała dostawy 46.200 modii pszenicy i 39.600 modii jęczmienia. Zapasy te na pół roku musiały zatem wynosić 277.200 modii pszenicy i 237.600 modii jęczmienia. Biorąc znowu za Polibiusem najniższą choćby, przez niego zanotowaną cenę ziarna 3 sesterce za modius w czasach przedwojennych Italii, otrzymamy sumę 1.188.000 sesterców, jako możliwie najniższą wartość pożyczonego zboża i udzielonej w zbożu pożyczki. Oprócz zboża, pożyczył jeszcze wówczas Hieron Rzymianom gotówkę na zapłacenie półrocznego żołdu wojskom stacyonowanym na Sycylii. Według Polybiusa (VI. 39. 12.) pobierał każdy legionista dziennie 2 obole, centuryon 4, jeździec 1 drachmę. Odpowiada to w stosunku rocznym i w walucie rzymskiej kwocie 120, 240 i 360 denerów. Żołd ten, otrzymywali sami tylko obywatele rzymscy, gdyż sprzymierzeńców opłacały własne ich miasta. Od kwot powyższych jednak odliczano bardzo skrupulatnie rozmaite koszta utrzymania żołnierza w polu, tak, że według badań Domaszewskiego[2]) zostawało tylko właściwie 75 denerów zamiast 120 dla legionisty. Obliczając według tego dla całego legionu, i tylko żołd półroczny, dojdziemy do sumy 208.350 denerów, czyli 833.400 sesterców. Cała zatem pożyczka Hierona z 216 roku przedstawiała wartość co najmniej 2.000.000 sesterców.

Pożyczka ta nie miała być długoterminową, przeciwnie, Rzymianie chcieli ją już w następnym roku zwrócić. Pretor na rok 215 Ap. Claudius Pulcher, na Sycylii, miał już powierzone pieniądze do oddania Hieronowi. W ostatniej chwili jednak wybuchła wojna macedońska nie pozwoliła Rzymianom uiścić się z długu.

[1]) Schiller: Röm. Alterthümer 230.

[2]) Heidelberger Jahrbücher X. 219.

Senat wyprawił czemprędzej do pretora legata po odbiór pieniędzy, które teraz okazały się potrzebne na budowę floty i w ten sposób dług pozostał w dalszym ciągu nieumorzony. (Liv. XXIII 38. 12.).

Wkrótce potem umarł król Hieron, ale następca jego, młody i lekkomyślny Hieronymos nie zapomniał o wierzytelnościach swojego dziadka. Polybius opowiada, że gdy poselstwo rzymskie przybyło do Syrakuz w celu odnowienia przymierza, młody król, zdecydowany już na antirzymską politykę, postawił posłom między innemi za warunek zwrot wszystkich pieniędzy, jakie kiedykolwiek od króla Hierona otrzymali, oraz wszystkich ilości zboża, jakie tenże w przeciągu swego panowania do Rzymu posłał. Hieronymos za namową swoich doradców postanowił uważać zatem wszystkie posyłki swego dziadka dla Rzymu nie za dary, lub świadczenia sprzymierzeńca, lecz za pożyczki, których zwrot winien być warunkiem odnowienia przymierza. Słusznie jednak zauważa Polybius (VII. 5 .7.), że tego rodzaju żądania postawione były umyślnie i że stały się prowokacyą Rzymian. Posłowie odjechali też z tem przekonaniem, że wojna jest nieuchronna. Z żądań syrakuzańskich wynikają jednak dwa pewniki, raz, że Rzymianie większość przesyłek Hierona uważali za dary, a właściwych nawet pożyczek do końca nie równali, powtóre zaś, że z śmiercią starego króla wypowiedziano im kredyt.

Pożyczki syrakuzańskie nie były jedynemi w historyi rzymskiej, chociaż jeszcze najwięcej o nich tradycya nam szczegółów przechowała. Były z pewnością i inne, zaciągane tak u własnych sprzymierzeńców, jak i u państw obcych, ale o nich słabe zeledwie ślady u dawnych pisarzy znaleźć możemy. W tej samej II. wojnie punickiej, na której czasy przypada zaciągnięcie pożyczki u Hierona, wyżej omawianej, miały również według Liviusa (XXII. 32. 4 i 36.9) ofiarować się Rzymowi z większemi sumami złota niektóre miasta sprzymierzone, jak Neapol i Paestum. Miały to być jednak dary, których senat podobno nie przyjął. Z większem prawdopodobieństwem możnaby przypuszczać pożyczkę w Egipcie, dokąd w 210 roku wysłano osobne poselstwo. Według Liviusa chodziło o zawarcie, ewentualnie odnowienie przymierza (XXVII 4 10),

jednakże prawdopodobniejszą jest wersya Polybiusa (IX. 44), że tu szło o zapewnienie i zakontraktowanie dostaw zbożowych, gdyż głód i drożyzna niesłychana srożyły się właśnie w Rzymie. Ponieważ równocześnie i skarb był pusty, przeto można przypuścić, że zboże egipskie, o którego nadejściu zresztą nic nie wiemy, musiało być również wzięte na kredyt i dopiero po wojnie zapłacone. Wskazywać się na to zdaje inna notatka Liviusa, że tuż po zawarciu pokoju (Liv. XXXI. 23) w 201 roku wyjechało z Rzymu nowe poselstwo do Ptolomeusza Philopatora IV z podziękowaniem, że w tak ciężkiej wojnie, jak z Hannibalem, kiedy to najbliżsi sprzymierzeńcy Rzym opuścili, Egipt przecież wytrwał w przyjaźni. Że Egipt nie tylko zboże, ale i pieniądze pożyczał obcym państwom, to wiemy z jednej notatki Appiana (Sic. 1·), który mówiąc o ciężkiej sytuacyi Kartaginy w I. wojnie punickiej wzmiankuje, że zwróciła się do Egiptu z prośbą o pożyczkę 2000 talentów. Egipt jednak miał się zasłonić neutralnością w tej wojnie, czy też przyjaźnią rzymską, i nic Kartaginie nie pożyczył[1]).

Od tych zewnętrznych pożyczek, których, jak widzimy, bardzo małe tylko ślady w tradycyi późniejszej się przechowały, daleko ważniejsze były pożyczki wojenne wewnętrzne, zaciągane u własnych obywateli, już choćby z tego względu, że daleko większemi sumami tu obracano. W przedstawieniu niniejszem nie chcę mówić o drobniejszych operacyach kredytowych, o dostawach wojskowych, płatnych dopiero po zawarciu pokoju, o korzystaniu z usług publikanów rzymskich i t. d. Pragnę natomiast kilka słów poświęcić tym wielkim pożyczkom wojennym, które rządowi bezpośrednio spory zasób gotówki przyniosły i wyczerpaną kasę zasiliły, a przez to najwięcej mają podobieństwa do dzisiejszych miliardowych pożyczek wojennych.

Historya rzymska przynosi nam dwa przykłady tego rodzaju ofiarności społeczeństwa na rzecz ojczyzny. Raz stało się to podczas napadu Gallów i spalenia Rzymu w 390 r. Według Polybiusa, siedzieli Gallowie w Rzymie 7 miesięcy, oblęgając bezsku-

[1]) Meltzer: Geschichte der Karthager II. 312.

tecznie Kapitol, broniony przez dzielną załogę Mauliusa, poczem porozumieli się z Rzymianami w przyjacielski sposób i odeszli do swoich siedzib na północ. Jak to porozumienie nastąpiło, donosi Diodor zapewne za Fabiusem, mianowicie, że Gallowie za opłatą 1000 funtów złota zobowiązali się miasto opuścić. Tę samą kwotę okupu podaje jeszcze Livius V. 48. oraz Plutarch w żywocie Camillusa 30. natomiast Varro (u Noniusa p. 228.), oraz Dionisios podają ją 2 razy wyższą: pierwszy na 2000 funtów, drugi na 25 talentów (Dionis. 13. 9).

Oba te rozmaite przekazy pragnie wyrównać Plinius (33. 1. 14), który wie wprawdzie, że okup zapłacony Gallom, nie przenosił kwoty 1000 funtów złota, ale znowu łup, tym samym Gallom przez Camillusa odebrany i w świątyni Jowisza kapitolińskiego złożony, miał wynosić 2000 funtów. Ponieważ za czasów Pompeiusa w 52 r. skradziono właśnie taką sumę ze skarbca, przeto niektórzy połączyli obie te cyfry i wydarzenia razem i stąd tradyca u Varrona i Dionisusa, że okup wynosił 2000.

Mommsen, który katastrofie gallijskiej poświęcił osobną monografię, nie zajmuje się kwestyą, w jaki sposób pieniądze powyższe zgromadzono i jaki charakter miała dla Rzymu ta operacya finansowa. Ale i z tego, co historya nam przekazała, nie wiemy na pewno, skąd Rzymianie na ten cel powyższy znaleźli tyle złota. Pod tym względem znajdujemy u autorów 3 rozmaite tradycye. Varro (u Noniusa p. 228) wyraża się w ten sposób, jakoby złoto dla Gallów zebrali Rzymianie poprostu ze świątyń. Rozumieć to należy w ten sposób, że na wiadomość o nadciąganiu Gallów, po klęsce nad Allią, senat kazał wszystkie ozdoby i depozyty świątyń rzymskich, razem z wszystkiem, co jakąś większą wartość przedstawiało, przenieść na Kapitol i zdeponować w świątyni Jowiszowej, skąd przy płaceniu kontrybucyi wzięto odpowiednią ilość złota.[1])

Inna wersya zapisana jest u Liviusa (V. 50). Według tego autora, postanowione wprawdzie było użyć złota ze świątyń na spłatę wymienionej kontrybucyi, ponieważ pokazało się, że w ka-

[1]) Mommsen: Die gallische Katestrophe. Röm.Forschungen II 297.

sie państwowej nie było dostatecznych zapasów. Jednakże w ostatniej chwili, zgłosiły się do rządu matrony rzymskie i ofiarowały dobrowolnie swoje biżuterye i ozdoby złote, byle tylko świętych naczyń ofiarnych nie tykać. Otrzymały one za to nie tylko podziękę rządu, ale nadto prawo laudacyi pośmiertnych, podobnych do tych, jakie wygłaszano przy pogrzebach znakomitych mężów. O tej tradycyi wie także i Diodor (XIV, 117), jednakże uważa ją za niepewną (Λέγουσί τινες), nie mówi o skarbach kościelnych, lecz tylko o matronach i podaje, że w nagrodę otrzymały prawo jazdy po mieście. O udziale i ofiarności ówczesnej matron czytamy wreszcie u Appiana (IV. 33), który tego rodzaju ogólnikowe zdanie wkłada w usta Hortenzyi, stojącej na czele proskrybowanych kobiet po śmierci Cezara.

Trzecią wreszcie wersyę zapisaną mamy w słowniku Festusa (de verborum significatu p. 500). Nazywa on całą tę akcyę gromadzenia złota dla Gallów trybutem, t. zw. tributum temerarium, a to z tego powodu, że przez 15 lat najbliższych nie było żadnego cenzusu. Tem samem daje ten autor do zrozumienia, że przy ściąganiu tego złota posłużono się starodawną instytucyą trybutu, a więc zwrócono się do wszystkich obywateli, a ci odpowiednio do swego majątku dawali składkę. Festus tego już nie mówi, ale jest rzeczą zrozumiałą, że w oblężonym Kapitolu reprezentowały większość nieobecnych obywateli same matrony rzymskie, które w osttaniej chwili z złotem i srebrem domowem do twierdzy uciekły.

Ważniejszem jest to, że tym samym terminem „tributum temerarium“ nazywa Festus drugą wielką składkę rzymską za czasów Hannibala, o której wiemy już dokładnie, że była pożyczką wojenną. Daje tem samem do zrozumienia, że i ta składka złota na Kapitolu w 390 r. była również pożyczką obywatelstwa na rzecz rządu, pożyczką niejako przymusową, gdyż wtłoczoną w ramy instytucyi tributu, ale w każdym razie zwrotną, jak tamta po wojnie. Na to samo wskazuje i mowa Hortenzyi u Appiana (4. 33). Powiada w niej autor, że matrony rzymskie chętnie dawały na potrzeby ojczyzny, zwłaszcza, gdy całości państwa groziło niebezpieczeństwo, jak za wojny kartagińskiej, celtyckiej i partyjskiej.

Wtedy chętnie przynosiły, ale nie z ziemi, gruntów i domów, lecz z swoich ozdób i to nie według jakiegoś oszacowania, ani z musu, lub zdradzone przez szpiegów i donosicieli, ale tyle, ile same uznały za stosowne.

W powyższem myli się Appian o tyle, że za wojny partyjskiej Krassusa nie było pożyczk, lecz tylko składka na dar narodowy, oraz że za II. wojny punickiej ogłoszone przecież były pewne normy, przy których o braku oszacowania lub o dobrowolnych i dowolnych ofiarach trudno mówić. Jednakże, zestawienie i tutaj obu faktów razem, składki dla Gallów 390 r., oraz składki z czasów wojny hannibalskiej, dowodzić może, że w charakterze swoim była jedna i druga wielką pożyczką wojenną, zaciągniętą u własnych obywateli.

Ale jest jeszcze inny ślad tego faktu, że złoto galijskie było pożyczką wojenną i to pożyczką, zwróconą później obywatelom. Ślad ten widzę w owej tradycyi, bardzo dawnej i u szeregu autorów się w rozmaity sposób powtarzającej, mianowicie, jakoby Rzymianie mieli to złoto z powrotem odzyskać. Jedni, jak Diodor (14. 117) i Strabon (V. 2. 3.) opowiadają za Fabiusem, że to Caeryci wracających z łupami Gallów napadli i, odebrawszy im złoto, do Rzymu je odesłali. Odmienną wersyę podaje tenże Diodor, a także Livius (V. 50) i Plutarch (Cam. 33), mianowicie, że to dyktator Kamillus napadł z rzymskiem wojskiem na Gallów, zadał im klęskę i złoto odebrał. Livius umie nawet opowiedzieć, że całe to złoto odzyskane uznano za rzecz świętą i nietykalną i złożono w skarbcu świątyni Jowisza kapitolińskiego. Jeszcze inna wersya, najpóźniej już powstała i u Swetoniusa (Tib. 1) zapisana, donosi, że to nie Kamillus, lecz pretor Livius Druzus, prowadzący wojnę w kraju Senonów, złoto to odzyskał z powrotem.

Nowsi badacze, z Mommsenem na czele, odrzucają wprost tę tradycyę, jako wymysły kronikarskie, zmierzające czy to do uświetnienia dziejów ojczystych, czy to do wywyższenia rodu Camillusa lub Liviusa Druzusa. Tradycya to jednak bardzo stara, gdyż przechowana u Diodora, figurowała niewątpliwie już u Fabiusa. Polybius nie zamieścił jej w swojej historyi, gdyż dla jego celów był to już szczegół niepotrzebny, a może i dlatego, że tra-

dycyi w tej formie już nie wierzył. Myślę, że da się ona łatwo zrozumieć, jeżeli przypuścimy prędki zwrot tej pożyczki obywatelom. Jak z tradycyi wynika, prowadzono w najbliższych latach po spaleniu Rzymu w dalszym ciągu wojny z Gallami, wojny szczęśliwsze i bogatym łupem się kończące. Łup ten mógł posłużyć do zwrotu pożyczki obywatelom, t. j. tym, którzy, zamknięci ongiś na Kapitolu, złożyli się na żądaną przez Gallów sumę 1000 funtów złota. Zwrot tej pożyczki wojennej był w Rzymie czemś tak niecodziennem i niezwykłem, że pozostał długo w pamięci obywateli, ale z biegiem czasu urósł w legendę, w rozmaity sposób upiększoną. Pieniądze urosły do sumy 2 razy większej, odbija je Kamillus lub inny wódz rzymski w nienaruszonym stanie, wreszcie nie oddaje wierzycielom, lecz składa w skarbcu świątyni. Te i tym podobne upiększenia i przeróbki kronikarskie świadczą, mojem zdaniem, tylko o tem, że pieniądze w rzeczywistości zwrócone zostały obywatelom i że pożyczkę tę wojenną uregulowało państwo w ciągu krótkiego czasu. Zwrócił ją nie zwycięski wódz rzymski, odebrawszy Gallom, ale zwrócił ją senat z kasy państwowej, jak tylko ta była w stanie tego rodzaju wydatkowi podołać.

Jest to pierwsza i najdawniejsza rzymska pożyczka wojenna, którą z mętnych annalistycznych źródeł można wywnioskować.

Druga, o której również nie wiele mamy szczegółów, przypada na ostatnie lata długoletniej I. wojny punickiej, ale już tylko z pewnemi zastrzeżeniami może być nazwana pożyczką wojenną w tak obszernem tego słowa znaczeniu. Uczestniczył w niej bowiem nie ogół ludności rzymskiej, ale jedynie najbogatsza klasa obywateli. Gdy w bitwie pod Drepaną utracili Rzymianie 4-tą z rzędu flotę w tej wojnie, byli finansowo już tak wyczerpani, że do budowy jeszcze jednej floty już nie mogli przystąpić. Wojnę prowadzono więc przez lat kilka wojskami lądowemi na Sycylii, ale bez widocznego rezultatu. Po 6-ciu latach zrozumiano, że jedynie na morzu mogą nastąpić rozstrzygające wypadki i że tak uciążliwą wojnę tylko silna flota ukończyć może. Na budowę jednak tej floty dali fundusze sami obywatele. Według Polybiusa (I. 59.), który prawdopodobnie idzie w tym ustępie za Fabiusem, podjęli się budowy floty naj-

znakomitsi czyli najbogatsi mężowie w Rzymie, a więc w pierwszym rzędzie senatorowie, w ten sposób, że stosownie do swego majątku 1, 2 lub 3 do spółki wzięło na siebie wybudowanie i uzbrojenie jednej pentery. Ponieważ budowa takich wojennych okrętów musiała się odbywać w dokach rządowych, a i uzbrojenie ich również tylko pod kontrolą rządu dokonać się mogło, przeto należy przypuszczać, że budowa tej floty nie była przedsiębiorstwem prywatnem, lecz państwowem, a tylko fundusze szły na to z kieszeni obywateli, a nie z kasy państwowej. Polybius dodaje, że obywatele zastrzegli sobie zwrot tych funduszów w tym wypadku, jeżeli flota cel swój osięgnie, t. j. jeżeli wywalczy zwycięstwo i pokój z Kartaginą. Rozumiało się samo przez się, że w razie przeciwnym, w razie klęski, fundusze te przepadną i państwo nie będzie obowiązane do zwrotu. Była to zatem pożyczka wojenna na flotę, związana z ogromnem ryzykiem dla subskrybentów, którzy jednak zachęceni byli do niej sukcesami, jakie niektórzy prywatni przedsiębiorcy ze swymi pirackimi statkami na wybrzeżu afrykańskiem osiągnęli.

W pożyczce z 242 r. uczestniczyli, według słów wymienionego autora, najznakomitsi obywatele, to znaczy najbogatsi senatorowie, albo też przedewszystkiem senatorowie, jako najmajętniejsi. W jaki sposób pożyczkę tę przeprowadzono, nie mamy żadnych wskazówek. Może utworzono w tym celu bank specyalny, czyli komisyę bankową, jak później w czasie II. wojny punickiej, a może upełnomocniono kwestorów do przyjmowania pieniędzy. W każdym razie, nie da się pomyśleć, by prywatni sami zajęli się budową i uzbrojeniem floty i gotowe już statki oddawali rządowi do dyspozycyi. Flota była bezwątpienia budowana pod nadzorem i z ramienia rządu. Co do jej budowy, przechowały się tylko w późniejszej tradycyi 2 szczegóły: raz, że budowę uskuteczniono na wzór okrętu rodyjskiego, znajdującego się właśnie w porcie, a drugie, że tych penter wybudowano 200. (Pol. I. 59.).

U niektórych nowszych historyków wzbudza ta cyfra 200 penter pewne niedowierzanie[1]), inni natomiast przyjmują ją bez

[1]) Beloch: Einleitung in die Altest. III. 1^2, oraz M. Gelzer: Die Nobilität der röm. Republik. Leipzig 1912 p. 17.

zastrzeżeń (Meltzer, Duruy). Pewnego kryteryum tutaj nie mamy, a słowa Polybiusa, że zbudowano przeszło 200 penter, każą przypuszczać, że liczba ta nie jest chyba za wielka. Odpowiada ona też ilości członków senatu, jeżeli zważymy, że nie zawsze jeden, ale czasem dwóch, a nawet i trzech składało się razem na sumę potrzebną na wystawienie jednej pentery. Ta właśnie cyfra 200 może być zarazem świadectwem, że pożyczkę niniejszą subskrybowali w pierwszej linii, jeżeli nie wyłącznie, sami senatorowie.

Jak wysoką była ta pożyczka, nie mówią naturalnie źródła zupełnie. Możemy tylko przybliżone robić tu obliczenia, a to właśnie na podstawie liczby okrętów i późniejszych analogii. W czasie wojny I. macedońskiej wybudowano mianowicie w 215 r. flotę, z 25 penter złożoną i jak donosi Liwiusz (XXIII. 21. 5), przeznaczono na ten cel sumę, jaką właśnie miano oddać królowi Hieronowi w Syrakuzach. Według obliczeń, na innem miejscu uczynionych, suma wynosiła około 2.000.000 sest. i jak widzimy, wystarczyła zaledwie na postawienie 25 penter, czyli niecałe 100.000 sest. kosztowała budowa i uzbrojenie jednego okrętu. Flota zatem, z 200 penter złożona, wymagała jednorazowego wydatku w kwocie około 20 milionów sesterców, tyleż więc, jeżeli nie więcej, wynosić musiała i pożyczka z 242 roku.

W jaki sposób ta pożyczka została uregulowana, nie podają zupełnie źródła. Przypuszczać należy, że w myśl pierwotnych zobowiązań zwrócił ją rząd w całości obywatelom. Flota bowiem spełniła swoje zadanie, pobiła przy wyspach egejskich 241 r. flotę kartagijską i sprowadziła rzeczywiście tak długo oczekiwany pokój. Mam wrażenie, że pożyczkę tę zwrócono subskrybentom zaraz po nadesłaniu pierwszej kontrybucyi i że między pożyczką a tą kontrybucyą zachodzi pewien związek. W pokoju bowiem z 241 r. zażądali Rzymianie początkowo 2200 talentów srebra, płatnych ratami w ten sposób, że 200 talentów miała Kartagina zapłacić zaraz po podpisaniu warunków, a następnie po 100 talentów płacić przez alt 20[1]). Jednakże komisya senatorkska, z 10 mężów złożona, wysłana w tym celu na Sycylię, zmieniła pierwotny układ wodzów,

[1]) Meltzer: Gesch. der Karthager II. 351.

podwyższyła i inaczej rozłożyła tę kontrybucyę. Zażądano od Kartaginy natychmiastowej wypłaty 1200 talentów i kazano jej przez 10 lat następnych po 200 talentów do Rzymu przysyłać. Otóż na to podwyższenie pierwszej raty z 200 na 1200 talentów wpłynął, mojem zdaniem, wzgląd na wierzycieli państwowych i chęć spłacenia odrazu pożyczki wojennej z 242 roku. Przypuszczam to na tej podstawie, że suma 1200 talentów odpowiada 28.000.000 sesterców, a więc nie o wiele przewyższa kwotę, jaka na budowę 200 penter mogła być potrzebną. Pierwotnie żądana suma 200 talentów nie wystarczałaby na pokrycie ani jednej piątej długu, natomiast kwotą 1200 talentów mogła być odrazu umorzona cała pożyczka. Że tak się stało, jest i z tego względu prawdopodobne, że w najbliższych czasach, po zawarciu pokoju, nie słyszymy o żadnych nadzwyczajnych wydatkach, budowach lub inwestycyach, któreby tak znacznego kapitału potrzebowały.

Trzecia, znowu innego rodzaju pożyczka wojenna, o której już daleko więcej mamy szczegółów, przypada na ciężkie czasy II. wojny punickiej, na czasy wojny z Hannibalem. Zaciągniętą została mianowicie w 210 roku.

Sprawę tę najobszerniej opisuje Livius i w kilku księgach do niej powraca: znać, że opiera się w tem na jakichś urzędowych zapiskach, chociaż rozszerza je i upiększa po swojemu. Daleko krócej podają ten fakt późniejsi autorzy jak Valerius Maximus (V. 6. 8), Annaeus Florus (I. 22. 23), oraz Festus (p. 550), a wspólnem dla nich znamieniem jest, że nie nadają mu charakteru pożyczki i wogóle nie mówią o tem zjawisku, jako o państwowym długu wojennym.

Według Liviusa, czas zaciągnięcia tej pożyczki przypada na najkrytyczniejszą dla finansów rzymskich chwilę wojny hannibalskiej. Wojna ta, 9-ty rok już toczona, wyniszczyła i zubożyła niezmiernie kraj cały, a końca jej jeszcze widać nie było. Nadchodziły czasy nadzwyczajnej drożyzny, kiedy to za pszenicę płacić trzeba było 15 razy więcej niż przed wojną — (Polyb. IX. 44.). Ponadto dochody państwowe i podatki wpływały coraz to słabiej, a koniecznemi okazały się nowe nadzwyczajne zbrojenia i budowa oraz powiększenie floty. W przeświadczeniu o konieczności nowych

źródeł fiskalnych wystąpił senat w 210 roku z projektem nowego, drugiego z rzędu podatku flotowego, podobnie jak przed 4 laty, nadzwyczaj uciążliwego dla obywateli. Komisya jednak odrzuciła ten projekt olbrzymią większością, co więcej, rozpoczęła narzekania na niesłychane wycieńczenie finansowe ludności.

Wówczas to wystąpił konsul M. Valerius Laevinus z wnioskiem dobrowolnej wewnętrznej pożyczki, projektując oddanie prawie wszystkich zapasów złota, srebra i miedzi, jakie w prywatnych rękach się znajdują, do kasy państwowej. Według Liviusa (XXVI. 35) była to pożyczka, a właściwie zbiórka metali dobrowolna (voluntaria collatio) i miała być rozpisana tylko między senatorami, a więc najbogatszymi obywatelami, a dopiero przez szlachetną emulacyę i poczucie patryotyczne miały i inne stany zapragnąć także same wziąć w niej udział, mianowicie rycerstwo, czyli kupiectwo rzymskie i majętni plebejusze. Tak samo o udziale wszystkich stanów mówią i Festus i L. Annaeus Florus. Natomiast Val. Maximus przedstawia sprawę w ten sposób, jakoby senat pozostawił obywatelom do wyboru albo płacić podatki w dalszym ciągu, albo subskrybować pożyczkę, przyczem, każdy subskrybujący wolny byłby od podatków. Dodaje jednak tenże autor, że każdy chętnie i gorliwie w składce metali wziął udział, tak mężczyźni jak niewiasty.

Sposób, w jaki pożyczka omawiana miała być przeprowadzona, miał według Liviusa zaprojektować tensam konsul Laevinus, przyczem jednak ten charakter dobrowolnej pożyczki uległ już pewnym modyfikacyom. Przepisy bowiem, wydane przy tej sposobności, równały się prawie że przymusowemu zajęciu metali przez państwo. Stanowiły bowiem, co do złota, aby nikt więcej w domu nie zostawił sobie, jak po jednym pierścieniu złotym dla siebie, żony i dzieci, po jednej bulli dla synów małoletnich, a po jednej uncyi (27 gr) złota w biżuteryach dla żony i każdej z córek. Co do srebra, pozostawiano każdemu po jednym funcie wagi, ponadto wolno było i nadal urzędnikom kurulnym posiadać srebro, uprzęże dla swych koni, po jednej czarze i po jednej misce ofiarnej do nabożeństwa. Miedzi wreszcie zostawiono każdemu najwyżej

5000 asów w monecie. Wszystko zresztą inne złoto, srebro i miedź miało iść na potrzeby ojczyzny.

Z powyższego opisu Liviusa widzimy, że rekwizycyą obłożono niejako wszystkie 3 metale, które naówczas stanowiły podstawę waluty rzymskiej. Jest rzeczą charakterystyczną, że późniejsi autorzy ograniczają coraz więcej ten zakres. Valerius Maximus (V. 6. 8), nie wdając się w szczegóły, pisze tylko o złocie i srebrze i to wszystkiem, jakie mężczyźni, kobiety, a nawet chłopcy posiadali. Florus (I. 22. 23) mówi już tylko o złocie, które zniesiono do kasy wszystko, z wyjątkiem bull chłopięcych i pierścieni. Festus wreszcie nie mówi już nic o metalach, ale wyraża się, że tak senat jak lud rzymski znieśli wszystko, co mieli, do aerarium.

Od powyższych autorów nader silnie odcina się Appian w mowie, włożonej w usta Hortenzyi, podczas proskrypcyi 43 r., zaraz po śmierci Cezara. Wynika zeń, że skarb państwowy za czasów hannibalskiej wojny zasiliły przedewszystkiem matrony rzymskie, podobnie jak za najazdu Gallów. Przyniosły zaś do skarbu swoje biżuterye i ozdoby i to tyle, ile same chciały, a nie według jakichś przepisów, lub oszacowań. Te wywody Appiana (IV. 33), stoją w sprzeczności z wiadomościami zapisanemi u Liviusa, stąd też niektórzy z nowszych badaczy odnoszą je nie do pożyczki wojennej z 210 r., lecz do innej operacyi finansowej, podczas tejsamej wojny w Rzymie przeprowadzonej, mianowicie do zajęcia majątków wdowich i sierocych przez państwo. Pojęcie to jednak jest, mojem zdaniem, mylne, gdyż sam Appian nie mówi w odnośnym ustępie o wdowach i sierotach, lecz wogóle o niewiastach, a powtóre, tenże autor porównuje tę ofiarność z ofiarnością matron rzymskich za najazdu Gallów, a więc z analogiczną pożyczką wojenną. Zresztą, tego rodzaju przedstawienie rzeczy, jak u Appiana, jest umyślnie tendencyjne i w ustach Hortenzyi, jako przewodniczki dotkniętych proskrypcyą niewiast, zupełnie zrozumiałe. Tembardziej przeto tradycya zachowana u Liviusa wydaje mi się wiarygodną.

Przeprowadzenie tej wielkiej pożyczki wojennej oddał senat w ręce komisyi bankowej, stworzonej jeszcze w r. 216, specyalnie w celach administracyi długami państwowymi. A więc, według Liviusa, nie kwestorzy w aerarium, lecz bank państwowy miał po-

lecone przyjmowanie pieniędzy i metali, oraz prowadzenie specyalnych ksiąg z ewidencyą wierzycieli. O ile z pierwotnego projektu Laevinusa nie widać jeszcze wyraźnie, czy mu chodziło o pożyczkę, czy też o dar na obronę ojczyzny, to w tem przekazaniu całej tej operacyi bankowi państwowemu widać już wyraźnie charakter kredytowy tej manipulacyi finansowej. Wymieniony bowiem bank zajmował się, jak z innych ustępów Liviusa widać, tylko długami państwowemi i załatwiał takie interesy, jak n. p. pożyczki u publikanów, oddawanie dostaw wojskowych na kredyt, kupno niewolników, płatnych dopiero po wojnie etc. Największą bezwątpienia operacyą kredytową, jaką podczas tej wojny przeprowadził, była pożyczka niniejsza obywatelska.

Jest to już dodatkiem Liviusa, podyktowanym jego patryotyzmem, gdy opisuje nam, jak to senatorzy na wyścigi znosili do banku złoto i srebro, jak w pocie czoła musieli pracować urzędnicy bankowi, którzy tłumy subskrybentów ledwie obsłużyć zdołali. Za Liviusem powtarza i Florus (I. 22. 23), że na wpisanie subskrypcyi ledwo starczyły księgi i ręce pisarzy, chociaż nic nie wspomina o banku. Z tej przesady późniejszych autorów wynika jednak tyle, że pożyczka ówczesna wydała rzeczywiście nadzwyczajne rezultaty, czyli że znakomicie zasiliła kasę państwową. Że ona jednak, wobec niesłychanych wydatków i drożyzny nie wystarczyła na długo, tego dowodem i to, że na ten sam rok 210 zmiejszono ilość wojska, porobiono oszczędności w żołdzie, a w roku następnym 209 podniesiono ze skarbu „aerarium sanctius“ ostatni fundusz rezerwowy, jakim jeszcze senat dysponował, t. zw. aurum vicesimarium. Jak wielką była pożyczka z 210 r., o tem nie mamy najmniejszych danych, aby choć w przybliżeniu ją oszacować. W każdym razie musiała być bardzo wysoką.

Zachodzi pytanie, czy i w jaki sposób pożyczka niniejsza przez państwo umorzoną została. Przez wpisanie do ksiąg bankowych była ona wprawdzie już od początku zagwarantowana przez państwo, jednakże sposób jej umorzenia długo nie był wiadomy. Prawdopodobnie uważano, że dopiero po skończeniu wojny, lub gdy stan finansów i kasy na to pozwoli, obywatele spłaceni zostaną. Tymczasem prędzej, niż się spodziewano, bo 204 r., w 6 lat po

subskrypcyi, a jeszcze przed zawarciem pokoju, kasa rzymska okazała się na tyle pełna, że można było przystąpić przynajmniej do częściowej amortyzacyi tej pożyczki. Ten sam M. Valerius Laevinus, który w 210 r. wystąpił był z odnośnym projektem rekwizycyi metali, postawił również w 204 r., jak Livius donosi (XXIX. 16), wniosek, dotyczący zwrotu pożyczonych wówczas pieniędzy.

Ponieważ pożyczkę subskrybowali najwięcej senatorzy, przeto i ten wniosek Laevinusa przyjęli nader skwapliwie; po obliczeniu jednak skrupulatnem okazało się, że kasa nie jest w stanie cały rachunek odrazu wyrównać, uchwalono zatem wówczas w 3 ratach uskutecznić wypłatę całości: jedną trzecią spłacić jeszcze w bieżącym 204 r., drugą część za lat 4, t. j. w 200 r., trzecią zaś i ostatnią za lat 8, czyli w 196 r. Nad wypłatą mają odtąd czuwać konsulowie i ich urzędnicy, coby dowodziło, że bank państwowy już wówczas nie istniał, a agendy jego przeszły w ręce cenzorów i kwestorów, zwłaszcza odkąd cenzorowie w 208 r. wybrani, nie abdykowali jak przedtem[1]), lecz gorliwie oddali się urzędowaniu.

Livius nie mówi wyraźnie, czy uchwalony w 204 r. zwrot $^1/_3$ części pożyczki wojennej przyszedł rzeczywiście do skutku, przyjąć jednakże należy to bez wahania, tem bardziej, że pod rokiem 200 jest już mowa o spłacie drugiej raty. Tym razem rząd już nie pamiętał o terminie, ale wierzyciele sami musieli się upominać. Udali się, jak Livius opowiada, (XXX. 13. 2), naprzód do konsulów, ale ci, wskazując na ogromne przygotowania do wojny macedońskiej, na duże zbrojenia i budowę floty, oświadczyli, że wobec tych wypadków wojennych niema mowy, by kasa zdołała jeszcze długi państwowe uregulować. Wobec tego udali się wierzyciele do senatu ze skargami, a tutaj postanowiono w inny sposób sprawę załatwić.

Zamiast pieniędzy, których w skarbie nie było, otrzymali wówczas wierzyciele w zastaw grunta publiczne, 50 mil od Rzymu odległe, prawdopodobnie w jednym wielkim kompleksie. Grunta te mieli konsulowie oszacować, odmierzyć i rozdzielić między poszczególnych obywateli. Ziemia pozostała nadal własnością państwową,

---

[1]) Liv. XXIV. 43. 4 i XXVII. 6 — Por. Liv. XXVII. 36. 6.

a użytkujący mieli z tego tytułu płacić roczny podatek od morga w śmiesznie małej kwocie 1 asa. Zastrzeżono równocześnie, że gdy kasa będzie w stanie gotówką tę ratę długu zapłacić, a wierzyciel będzie wolał pieniądze niż rolę, to każdej chwili będzie mógł wymianę taką uskutecznić.

Nie wiemy, w jakiej mierze wierzyciele skorzystali z powyższego prawa zastawu i objęli wskazaną rolę w użytkowanie. Leży w naturze rzeczy, że tego rodzaju rozdziału gruntów można było dokonać tylko wśród ograniczonej liczby obywateli, prawdopodobnie tylko wśród tych, których wierzytelności wynosiły pewną dość wysoką kwotę. Wobec tego wszyscy, którzy drobne sumy mieli subskrybowane na ową pożyczkę, albo otrzymali zaraz przypadającą wówczas jedną trzecią sumy, t. j. drugą ratę, albo też zdecydowali się czekać na ratę następną.

Rozdzielone wówczas grunta otrzymały nazwę „ager trientabulus", gdyż za jedną trzecią część długu państwowego były oddane[1]).

Nie wiemy, jak wielkie były te obszary ziemi, abyśmy mogli mieć pojęcie o ogromie całej pożyczki wojennej. Jednakże już to samo, że kasa rzymska, która pod koniec wojny punickiej zgarniała skarby całego Zachodu, a od 202 r. otrzymywała corocznie bardzo wysoką kontrybucyę kartagińską, przecież nie mogła podołać i nowym zbrojeniom i jednorazowej spłacie jednej trzeciej części długu, już to samo daje nam wyobrażenie, do jak olbrzymiej sumy doszła omówiona pożyczka wojenna.

W 4 lata później, t. j. w 196 r., przypadała trzecia i ostatnia rata do spłacenia. Ale podobnie jak przedtem, tak i wówczas nie było w kasie dostatecznej ilości pieniędzy, które wojna macedońska i inne w niezwykle wielkim zakresie pochłaniały. Trzeba było znowu uciec się do nadzwyczajnych zarządzeń, by kasę napełnić i zobowiązaniom finansowym sprostać. Wówczas to, jak donosi Livius (XXXIII. 42), kwestorzy miejscy, A. Fabius Labeo i L. Aurelius, wpadli na pomysł, może sami, może za wskazówką senatu, pościągać zaległe podatki od duchowieństwa. Okazało się bowiem,

[1]) CIL. I. 90, Daremberg: Dictionnaire s. v. ager. I. 137.

że członkowie kollegiów kapłańskich, jak augurów, pontifików i innych nie czuli się zobowiązani do płacenia tributu i przez cały czas wojny hannibalskiej, a może i późniejszych nie płacili wogóle żadnych pieniędzy do kasy państwowej. Kwestorzy zażądali przeto teraz zapłaty i to za cały czas i za wszystkie lata, w których trybut był rozpisany. Ponieważ za wojny punickiej wybierano trybut przez kilkanaście lat z rzędu, i to w podwójnej a nawet potrójnej wysokości, ponieważ dalej członkami kollegiów kapłańskich bywali mężowie z najpierwszych i najbogatszych w kraju rodzin, łatwo sobie wyobrazić, że ówczesne bilety egzekucyjne na ogromne sumy musiały opiewać i że wywołały niezwykłe oburzenie i zaniepokojenie kapłanów rzymskich.

Żądanie jednak kwestorów było zupełnie prawne i uzasadnione, tak że nie było od niego żadnej apelacyi. Kapłani zwrócili się przeto z prośbami do trybunów, by ci mocą swego prawa intercessyi zatamowali dalsze kroki kwestorów w tej sprawie. Niestety nie znaleźi żadnego trybuna chętnego do ich obrony i wszystkie zaległe sumy podatkowe do skarbu uiścić musieli.

Nie jesteśmy poinformowani, ile naówczas z tego źródła zyskała kasa państwowa i czy sumy wpłacone przez kapłanów wystarczyły rzeczywiście na wyrównanie ostatniej raty wielkiej pożyczki wojennej. Są pewne wskazówki, które pozwalają przypuszczać, że i wówczas jeszcze nie wszyscy wierzyciele zaspokojeni zostali i że jakaś część pożyczki została jeszcze nadal niepokrytą. Wnioskuję o tem mianowicie z jednego ustępu w XXIX księdze Liviusa (XXIX. 7), w którym opowiada najwidoczniej na podstawie urzędowych zapisków o zarządzeniach finansowych senatu w 186 r. z okazyi tryumfu Manliusa Volsona. Wódz ten, który po klęsce Antyocha urządzał przez kilka lat stosunki w Azyi mniejszej i Grecyi, przywiózł do Rzymu w tryumfie niezmierne skarby, zebrane od podbitych ludów Wschodu, a to dało powód jego przyjaciołom, że postawili w senacie wniosek co do podziału tych pieniędzy między obywateli. Za ich przyczyną zapadła uchwała senatu, aby z przywiezionych przez Manliusa sum pieniężnych wypłacić resztę pożyczki, jaka dotychczas nie została jeszcze uregulowana. Pożyczkę nazywa Livius na tem miejscu „stipendium colla-

tum", podobnie zresztą jak przedtem pod r. 196, gdzie mówi o „pecunia collata". Że ten autor nie miał tu na myśli jakiegoś innego długu państwowego, lecz tylko ten dawny z czasów wojny hannibalskiej, dowodzi mojem zdaniem i to także, że w tym i w poprzednich ustępach i księgach o żadnych innych pożyczkach nie wspomina, ani o żadnej nie pisze spłacie długów, po którejby mogły jakieś reszty nieuregulowane pozostać. Dziwnemby zaś i niewytłomaczonem było, gdyby autor, pisząc o spłacie reszty długów publicznych, zamilczał spłatę głównej i przeważnej ich części. Należy zatem przyjąć, że autor ten mówi tu o resztach pożyczki wojennych, upłaconej już trzema ratami poprzednio.

Z tego powodu nie mogę iść za zdaniem nowszych historyków, jak Langego, Marquerdta, Mommsena etc., którzy powyższy ustęp Liviusa tłómaczą jako zwrot reszty trybutu, wpłaconego przez obywateli na wojnę azyatycką i nie mającego żadnego związku z wielką pożyczką wojenną z 210 r. Jeszcze inni uważają rozdział tych pieniędzy tryumfalnych za pewnego rodzaju szczodrobliwość senatu i podarunek dla ludu, podobnie jak zwyczajny wówczas rozdział zboża. Komplikuje bowiem tę kwestyę bezpośrednio potem umieszczona uwaga Liviusa (XXXIX. 7), że kwestorowie miejscy rozdzielili skrupulatnie po 25 i pół asa na każde 1000 asów. Jak to wyrażenie rozumieć, nie kusi się żaden z badaczy: przyjąć jednak trzeba, że ci, którzy mają na myśli w tym wypadku zwrot trybutu, uważają, że kwestorzy zwracali wówczas po 25 i pół asa na każde 1000 asów wpłaconego podatku, co nie byłoby żadnym zwrotem lecz opustem zaledwie 2 i pół procent. Gdybyśmy znowu przyjęli, że kwestorzy płacili po 25 i pół asa od każdego 1000 asów, zeznanego w cenzusie majątku, to dziwnemby było w tym wypadku forytowanie ludzi majętnych i spłacenie jakiejś premii od majątku, tembardziej, że to nie leżało w pierwotnych zamiarach ustawodawcy.

Jedynie przeto możliwem wydaje mi się przypuszczenie, że senat chciał tym sposobem uregulować już całkowicie ową pożyczkę wojenną z 210 r., i spłacić jej resztki, które wynosiły jeszcze 2 i pół procent kapitału. Trzecia rata, wypłacona w 196 r., na którą pieniądze wzięto od duchowieństwa rzymskiego, nie została

widocznie uregulowana w całości, lecz drobny procent pozostał jeszcze do spłacenia. Tę resztę długu, wynoszącą według Liviusa 25 i pół procent od kapitału, wypłaciła kasa rzymska dopiero w 186 roku. W ten sposób pożyczkę wojenną, zaciągniętą w 210 roku, umorzono w zupełności po 25 latach.

Takie byłyby najgłówniejsze przykłady wielkich pożyczek wojennych za republiki rzymskiej. Czy były jakie jeszcze inne, nie przekazały nam źródła. Nowsza historyografia pragnie tego rodzaju pożyczki widzieć w owym podatku majątkowym, trybutem zwanym, który jeszcze za czasów królewskich Rzymu miał być zaprowadzony. Pod tym względem mam jednak inne zapatrywania i własne badania do innych nieco doprowadziły mnie rezultatów. W każdym razie, rzecz ta jako dłuższa i nieco innego rodzaju nie może być na tem miejscu rozpatrywana i do osobnej monografii należy.

Dr. M. Gumowski.

W czasach Chmielniczyzny.

(Leśniczy kałuski).

Straszna doba ruiny rozpoczęła się z dniem śmierci Władysława IV. Z klęskami nad Żółtemi Wodami, pod Korsuniem, Pilawcami prawie równocześnie wszczął się bunt włościan. Już w czerwcu 1648 r. mówiono o niepokojach włościan na sejmikach województwa ruskiego, kiedy już Podole było w ogniu rozruchów. Pod koniec lata obejmują bunty Pokucie, szerzą się dalej wśród ludności podgórskiej hen aż pozà Sanockie. Na Pokuciu najwcześniej rozpoczęli agitacyę emissaryusze kozaccy, poczęli rozdawać jakieś hramoty, jakieś przywileje tym, którzy zapragnęli bezpieczeństwa... grozili tym, którzy do buntu przystąpić nie chcieli, organizowali powstanie, obierali setników, pułkowników, obstawiali lewy brzeg Dniestru, by nie dopuścić wojska polskiego do stłumienia rozruchów.

Wnet już rozpoczęto działalność od rabunku dworów, od zabijania szlachty, księży, żydów, od oblęgania i zdobywania zameczkow szlacheckich jakie tylko były na podgórzu pokuckiem. Zdobyto zamek w Pałaiczach, zrabowano i pozabijano obrońców; popi dolińscy są przewodnikami chłopów, ich wodzami, jak pop Wasil z Jezierzan, Żukowski pop z synem, pop Korytko nazwiskiem i inni.

W Otynii jakiś Semen Wysoczan, podżegnąwszy do kilkuna-

sty tysięcy ludu, zwerbowawszy szlachtę podgórską na pułkowników, rozłożył się pod Otynią obozem, poczem rzucił się na pniowski zamek. Owdzie znowu zniszczono po zrabowaniu dwór w Żywaczowie; gdzieindziej zrabowano uciekającego aż z Białej Cerkwi Jabłońskiego, do cna obdarto i zniszczono dwory w Korniewie, Grabówce, Starunie, Żurakach, Obertynie, zameczek w Horodence, takiż w Zabłotowie gdzie zabrano broń i działa, w Peczeniżynie, w Łuczy, spalono zaś dwór w Tekuczy, zabito w sołotwińskich lasach Marcina Jabłonowskiego.

Jak podsycany wiatrem pożar, objął bunt wnet już Kałuskie. Obejmowało starostwo tameczne z końcem XVI w. całe prawie dorzecze Łomnicy, w jej średnim biegu, więcej aniżeli 10 mil kw. przestrzeni, na której znajdowało się miasteczko i 14 wsi królewskich nad Łomnią i włość Wojniłow; od północy i południa było kilka mniejszych dóbr szlacheckich przez drobną osiadłych szlachtę. W podgórskiej tej krainie i przez lat kilkadziesiąt nie zmieniło się tu wielce, tak, że i w XVII w. na milę wypadało pewno nie więcej niżeli 10 dworzyszcz — był to więc mało zaludniony kąt, lubo miała warzelnie soli i wiele lasów... I oto rozpoczął się bunt i w tym tak mało ożywionym zakątku podgórskim; zrabowano i zniszczono Krechowce, Broszniów, zrabowano dwór Stanisława Rożniatowskiego w Rożniatowie, a żonę męczono; uległ rabunkowi zamek Anny Jabłonowskiej w Perehińsku i Iwan Pop z Grabowki zniszczył i zrabował z swą watahą zamek w Bereźnicy, a także i dwór Pawła Gziedzińskiego w Zborze. W Babinie zamordowano Rożniatowskiego, w Dołhem utopiono w rzece Łomnicy panie Swierzchowiecką i Kurowską; padł ofiarą rabunku dwór Dzierzków w Kołodziejowie, zamek Giedzińskiego w Łuce i t. d....

Kałuscy mieszczanie utrzymywali stosunki ze sprawcami niepokojów, z wschodnimi sąsiadami z starostw Śniatyńskiego i Kołomyjskiego. Akta współczesne zapełnione są imionami mieszczan kałuskich, biorących udział w napadach na dwory, rabunkach zamków, że tu tylko przytoczymy nazwiska Ławra Kowala i Sapiczki, Wasila Słuczyca, Iwana Kramarza, Cybula, popowicza syna namiestnika (popa) kałuskiego, Iwana Nowickiego, Olek-

sy Hrybowiczowego zięcia, Stasia zięcia Milukowej i t. p. bohaterów, oskarżanych później jako wodzów pryncypałów lub uczestników w napadzie na Suchodół, w zrabowaniu i zniszczeniu kościoła w Dolinie, w spaleniu dworu Katarzyny Jasieńskiej w Podhorkach, w zniszczeniu wspomnianego zamku w Perehińsku, tudzież drugiego królewskiego w Bereźnicy. Tutaj to odznaczył się głównie pop Iwan z Grabówki. On to przewodził poddanym z Pojła, Siewki, Dołhego, Kopanek, Kadobnego, Berłohów, Uhrynowa, którzyto gorący brali udział w napadach i rabunkach np. Studzianki, gdzie zdobyto i zniszczono zameczek Grzegorza Przyłuskiego.

Żywy udział prawie w tych wszystkich krwią i pożogą zaznaczonych napadach i rabunkach przypadł mieszczanom kałuskim; owszem oni sami spowodowali niejeden rabunek, a akta współczesne podkreślają, że Kałusz był ogniskiem i stolicą buntowników. Tutaj składali hersztowie swoje zdobycze, przysyłali żywe inwentarze szlachty, samychże jeńców szlachtę lub ich służbę. Onito popierali pochody popa z Grabowki, a akta wyraźnie podkreślają ten fakt, nazywając Kałuszan „comprincipales Iwani poponis de Grabówka".

W jesieni zbuntowani chłopi z Kadobnego, zrabowawszy całe stada bydła w Krechowcach, wiodą je do Kałusza, gdzie wyczekawszy dwa tygodnie nachodzą tych poddanych, którzy się z buntem nie połączyli, plądrują i znęcają się nad nieszczęśliwymi. Czy byli już wówczas Kozacy w Kałuszu, niewiadomo, to pewna, że zaraz po św. Michale zapanowała już w Kałuszu swawola kozacka, jak się wyrażają współczesne sądowe zapiski, z których jedna mówi, że do Kałusza zbuntowani chłopi sprowadzają szlachtę, jak Adama Przeczmińskiego, trzymają go w okowach, wiążą łańcuchami a męczą go Kozacy; był bowiem na kole ciągniony w celu zmuszenia go do wskazania miejsca swego skarbca — dał im okupu trzy tysiące zł. Chłopi tegoż nieszczęśliwego ziemianina zabrali mu bydło, zboże w stogach zgromadzone i odwieźli to wszystko do Kozaków do Kałusza „jako do stolicy wszystkich buntowników". Akta nie wspominają szerzej, jaka to była wataha kozacka, skąd i jak zabiegła, z treści jednak wynika niewątpli-

wie, że mowa tutaj nie o poddanych zbuntowanych, lecz o Kozakach Chmielnickiego. Może wezwano jakąś sotnię z obozu Chmielnickiego na pomoc, może sam Chmielnicki wysłał sprawniejszych swoich celem rozszerzenia buntu, może, co najprawdopodobniejsza, był to luźny oddział takiego Wysoczana lub innego naddnieprowego wojaka, organizującego przy pomocy swoich bunt na podgórzu pokuckiem, którego zapewno zawezwali Kałuszanie do zajęcia zamku jaki tu był i do owładnięcia miastem. Wszakże było to starostwo ordynata Jana Zamojskiego, a co ważniejsza żupy solne królewskie; odpowiedzialność za targnięcie się na takie miejsce, a co gorsza za zrobienie go ogniskiem buntu wielka; oddział mały kozacki dodał widocznie odwagi mieszczanom... administrator Zamojskiego, Stanisław Serebryński ulotnił się z Kałusza, taksamo jak i rządca dóbr, Ludwik Woroszyło; pozostał ze starszyzny starościńskiej jedyny leśniczy Daniel Makowski, ale i ten nie śmiał stanąć w obronie prawowitej władzy, o ile że bunt objął całe miasto i wsie starościńskie, i cofnął się do którejś z wsi spokojniejszych.

Ale zemsta zawisła już nad miastem. Jeszcze w drugiej połowie czerwca sejmik haliski celem zahamowania grożącego już podówczas obszernej ziemi buntu, uchwalił podatki na chorągwie powiatowe, a do Kałusza przeznaczył jednego z trzech obranych na sejmiku pułkowników z kilku chorągwiami Michała Kuropatwę. Zanim jednak tenże zebrał chorągiew, zanim zaopatrzono się w broń, żywność, zanim odnowiono dyscyplinę, zaskoczyły wypadki, o których była mowa — w jesieni bunt zapanował w mieście, w zimie w całej okolicy.

Wtem dano znać, że dwie chorągwie starosty bracławskiego spiesznymi marszami gonią na stłumienie buntu. Na wieść o tem zrzedły miny i hersztów i uczestników... Kozacy znikali, tłumy poczęły się powoli rozpraszać po okolicy; pop grabowiecki począł myśleć o schronieniu się w swej parafii. Miastu jego ze strony prawowitej władzy groziła egzekucya wojskowa za bunt i zdradę... Wtedyto burmistrz Andrus Petraszow z rajcami Mikolajem Kośmidrem, Wojciechem Łopką i innymi udają się do pana leśniczego, jedynego reprezentanta starościńskiej władzy, z prośbą o pośred-

nictwo i zasłonienie miasta od zemsty żołnierza. Przyjechał Daniel Makowski w kilka koni — zapewne strzelców kałuskich lasów wziąwszy, ci bowiem prócz służby leśnej mieli obowiązek ścigania zbójców nie rzadko nawiedzających to starostwo i jako tacy odważni byli i w niebezpieczeństwach obyci. W sam czas przyjechał pan leśniczy do miasta, gdzie jeszcze było pełno hultajstwa i swawolników... gdyż już nazajutrz miały przybyć obie chorągwie husarska i rajtarska i inne w tyle idące... aby, jak się mieszczanie wyrażali[1]), dobywać ogniem i mieczem miasteczko, znosić je i ubóstwo miejskie wykorzeniwszy zakować i zabierać...

Pan Makowski wziął się energicznie do pracy. Hersztów buntu, jak popa grabowskiego i innych ogłosił buntownikami i zdrajcami, przez których miasteczko w niesławę popadło, tegoż popa i towarzyszy pojmał i w żelaza przy pomocy mieszczan potężnie opatrzył — że tu użyjemy słów samychże mieszczan — poczem dla utrzymania pokoju i całości miasteczka jurysdykcyą fundował. Tak tedy leśniczy starościński napowrót przywrócił urząd starosty, rozproszył swawolę...

Gdy zaś nazajutrz wspomniane dwie chorągwie wjechały do miasteczka, „zahamował" je pan leśniczy w taki sposób, że i Kałusz i włość kałuską uratował od represyi....

Stało się to wszystko albo pod sam koniec 1648 lub co prawdopodobniej w samych początkach następnego roku[2]).

Wśród takich stosunków miasteczko mogło mówić chyba o cudownem ocaleniu i postanowiło wdzięczność swą dowodnie okazać swemu wybawicielowi. Zwoławszy tedy na ratusz zgromadzenie całego pospólstwa rajców i ławników, uchwalono uwolnić folwark własny Makowskiego na przedmieściu kałuskiem, zwanem dolińskiem, za rzeczką Siewką, położony, od wszelkich ciężarów miejskich i pańskich, czynszów, szosów, żołnierskich straży i szaiwarków. Innemi słowy wszystkie służebności i podatki, ciążące na folwarku, brało miasto na swój rachunek.

---

[1]) C str. Hal. 144 p 228

[2]) Por. C. Hal. 141 p. 1597 in., z którego to aktu okazuje się, że w lutym (22) 1649 siedział pop g abowiecki w więzieniu. W akcie swym z 21 marca 1650 rokn mówią mieszczanie Kałuscy o poratunku im przez Makowskiego wyświadczonem, jako zaszłem z e s z ł e g o r o k u, coby wypadało na początek 1649 r.

Ocalenie miasteczka było zupełne; odpowiadali jeszcze herszтowie kałuscy za swoje sprawki przed sądem, jak np. mieszczanie Andrusz Petraszowicz, Iwan Lechnowicz, Hawryło Konicki, Winnik, Malecki za męczenie i zabicie sługi Aleksandra Jasińskiego w czasie owych buntów, ale i tym głowa z szyi nie spadła — skończyło się wszystko, jak przypuszczać można, na więzieniu, na zapłacie główszczyzny, na pokorze i polubownej zgodzie z krewnymi ubitych ofiar.

Okazana przez mieszczan wdzięczność Makowskiemu jest aktem tak naturalnym, że dziwićby się należało, gdyby był nie nastąpił. Inny natomiast akt budzi nasze zdumienie. Oto starosta kałuski, Jan Zamojski, w kilka lat po owym ratunku danym miastu przez Makowskiego[1]), również dowodnie okazał wdzięczność swą za ten akt ratunku, danego miastu, swemu leśniczemu. Oto za zasługi tak staroście jako i miastu i wszystkiej włości — mówi Zamojski w nadaniu swem — podczas przeszłej rebelii kozackiej, które Makowski w ochronieniu ich z narażeniem życia wyświadczył, nadaje starosta jemu i jego potomkom dwie ćwierci pola w Zagurzu, którego używanie puszcza z zwolnieniem od wszelkich staroście należących powinności, pozwalając zarazem starać się o królewski konsens na tę donacyę. Mieszczanie niezawodnie zawinili biorąc żywy udział w buncie, a tu wykonawca władzy, starosta wynagradza swego sługę, który uratował winnych od miecza zemsty. Zaiste, przypominając sobie z dziejów Europy, jak Niemiec np., stłumienie podobnych buntów, zdumiewaćby się należało nad takiem pobłażliwem postępowaniem, zwłaszcza gdy dodamy, że król, będąc we Lwowie, zatwierdził donacyę, co bardziej w parę lat później zatwierdza król nadaną przez starostę Makowskiemu ćwierć pola pod Kałuszem w Zagurzu, Kozierowszczyzna nazwaną, prawem dożywotniem i to bez wszelkich ciężarów, a tylko za czynszem rocznym do zamku — i dodaje, że donacya jest wynagrodzeniem za zasługi okazane w obronie poddanych kałuskich od wojska i od opressyi sąsiadów.... Wypływa stąd, że i sam król uznaje trudność stosunków wśród których po-

[1]) 30 czerwca 1655 r. C. Hal. 157 p. 1416.
[2]) 30 czerwca 1655 r C. Hal. 157 l. c.

zostawali mieszczanie Kałusza w czasie burzy Chmielnickiego, że poczytuje Makowskiemu pomoc daną miastu za zasługę, że podobnie, jak Zamojski, z dobrocią i wielkodusznością przebacza winnym ich przestępstwo i zniewala napowrót poddanych do wierności i posłuszeństwa, a tego, który z narażeniem życia zasłonił tychże od miecza pomsty, uznaje godnym nagrody. Jest to zresztą przymiot wszystkich tych, którzy wychowani w unii narodów bardziej do przebaczania byli skłonni, aniżeli do wymierzania kary tym, którzy w chwilowem zaślepieniu działając zbrodniczo, tem bardziej uznawali potem swoją winę i tem gorliwiej starali się o zadośćuczynienie.

Miał atoli p. Makowski rozmaite trudności do zwalczenia ze swemi donacyami. Oto jedna z niw jego, Baranowska nazwana[1]), nad kieratem Bani kałuskiej między łanami dworskimi położona, była mu wielce niedogodną, gdyż kieratnik, swym żywym inwentarzem wypasał zasiane tam zboża. Musiał tedy wyprosić u starosty zamianę. Dano mu w zamian sianożęć dworską Żurawę, pod Kopankami, większą nawet od obszaru Baranowska zwanego i pozostawionego przy używaniu nadanej sianożęci. Później znowu, przy sposobności lustracyi królewszczyzn, wystąpił z pretensyami pop kałuski do owej daniny dwóch ćwierci, przez starostę nadanych a przez króla zatwierdzonych. Rzecz poszła do oświadczenia się starców miejscowych, którzy przyznali, że istotnie pop użytkował z owych dwóch ćwierci, ale płacąc czynsz za nie, przeto lustratorowie zachowali Makowskiego przy przywileju a popa odesłali na drogę prawa[2]). Było to 1660 r. Na dwa lata przedtem potwierdził był starosta uwolnienie, dane Makowskiemu przez miasto, od ciężarów zamkowi należących z folwarku na dolińskiem przedmieściu leżącego, które to ciężary ewikcyą mieszczanie na się i na potomki wzięli i polecił namiestnikom swym zachować pana leśniczego przy tem prawie. Roboracyę tę zatwierdził też i król w Warszawie jeszcze tegoż samego roku 1658. Lat kilkanaście cierpliwie wyczekiwał Makowski na owo potwierdzenie dawnego objawu wdzięczności ze strony mieszczan kałuskich.

[1]) Castr. Hal. 157 p. 1418 darowizna starosty z 9 lipca 1658 r.
[2]) C. Hal. 157 p. 1420. Acta lustr. Palat. Russiae.

Ale nie na tem koniec trudności, zwalczanych przez Makowskiego. Trzeba było postarać się, by sejm zatwierdził donacye dwóch ćwierci. Na sejmie można było otrzymać taką roboracyę li tylko przez poparcie sejmikowe. Musiał się przeto Makowski postarać o promocyę sejmiku halickiego, który w instrukcyi swej danej posłom 21 marca 1661 r. polecił, aby stanęła aprobacya sejmowa przywileju od J. Kr. Mci Makowskiemu za listem starosty kałuskiego na dwie ćwierci pola, Baranowszczyzna nazwanego, we wsi Zagórki starostwa kałuskiego danego. Były to czasy zrywanych sejmów, przeto ponowił Makowski starania swe jeszcze dwukrotnie na sejmikach halickich, a mianowicie 8 października 1664, tudzież 1 marca 1666 r., kiedy to poprawiono tekst dawniejszej instrukcyi dodając, że pole nie w Zagórkach ale we wsi Zagurzu leżało. Makowski należał do służbistów, bezwzględnych w wykonaniu swych obowiązków, narażał sobie sąsiadów, szlachtę, możnych jak np. Jana Dąbskiego, z którym miał zatarg o obrazę honoru, jak szlachcica Iziorę, którego pozwał o zaoranie dóbr starościńskich w Podmichalu, jak wreszcie Mikołaja Daniłowicza, którego skarżył w grodzie halickim o zajazd zbrojny wsi Tomaszowki i lasów starościńskich Kopanki, o wyrąbanie tamże dwóch tysięcy dębów i zabranie tychże do swych dóbr. Tutaj może należy szukać powodu, dla którego szlachta nie popieraa gorliwie pożądanej roboracyi sejmowej, która też o ile wiadomo nie nastąpiła.

Po Makowskim zostało wspomnienie w Kałuszu; oto folwark ów na przedmieściu dolniańskiem nazwany był jego nazwiskiem Makowszczyzna. Wiemy o tem z laudum sejmiku halickiego w 1748 r., odbytego pod laską Stanisława Nehrebeckiego. Gdy bowiem książe wojewoda ruski August Czartoryski część ową na przedmieściu kałuskiem leżącą jako starosta kałuski odebrać kazał, miasto postarało się, że sejmik polecił swemu marszałkowi listem instancyonalnym upraszać księcia o rekognicyę praw miasta Kałusza, mianych do Makowszczyzny[1]).

[1]) Makowski, o ile wypływa z aktów, nie pozostawił rodziny; żonaty był z Bogumiłą Orchowską. Castr. Hal. 157 p. 1422.

Dr. Antoni Prochaska.

Z CYKLU „OPOWIEŚCI CHRYSTUSOWE".

„ZŁA RADA".

— Dlaczego właściwie wezwano nas? — Rabbi Gamaliel, zwrócił się z tym pytaniem, do Aleksandra należącego do arcykapłańskiego rodu Fiabi, a ten, poprowiając niadbałym ruchem róg osuwającego się płaszcza, uśmiechnął się drwiąco:

— Żal ci twoich ksiąg i wiejskiego zacisza?

— Gonieć arcykapłana oderwał mnie od takiej ciekawej pracy.

— A mnie od takiej... ciekawej niewiasty. No ale widzisz, drogi, ludziom wolno umierać, przyzwyczailiśmy się uważać śmierć, jako nieodzowny koniec wszechrzeczy, ale gdy ktoś zmartwychwstanie, to fakt taki wytrąca z równowagi wszystkich uczonych mężów a do szaleńczego entuzyazmu przywodzi lud.

— Baśń!

— Niestety... nie. W Bethanii po czterech dniach, wstał z grobu na wezwanie Jezusa z Nazaretu, Łazarz architekt. Po czterech dniach, gdy, jak twierdzą liczni świadkowie, ciało było już pochwycone rozkładem... Naturalnie wieść poruszyła i oburzyła naszych świętych mężów. Bo po/pierwsze: zbrodnią jest działanie cudów, gdy się nie należy do naszej prześwietnej, jedynie do obcowania z Bogiem uprawnionej kasty, a po drugie... Na słupy świątyni! Ileż to punktów wymienić by można, szkoła Szamaj i Hillela

sprzeczać się będzie przynajmniej dwa lata o to, czy czystym, czy nieczystym uznać należy człowieka, który z za grobu powrócił... a tymczasem, co czynić z człowiekiem?

— I dla tego.. cudu, wezwano nas dzisiaj? — ironicznem lekceważeniem pytał rabbi Gamaliel.

— Naturalnie... Zaraz wczoraj, gdy tylko wieść o cudzie doszła do stolicy, Annasz jako najstarszy wiekiem pojechał do Bethanii, stwierdził niebywały entuzyazm u ludu... entuzyazm, mogący w skutkach mieć następstwa różne.

— Jakie?

Aleksander głos zniżył:

— Ten, który przyszedł poprawiać zakon, jak sam twierdzi, może się również zabrać do poprawy stanu kapłańskiego. Niech lud uwierzy w jego posłannictwo, a snadnie stać się może, iż on i uczniowie jego zajmą miejsce nam przynależne... tembardziej że...

— Co?

— Z pomocą piekła czy nieba... ale cud miał miejsce... Setki ludzi widziały zmarłego, były przy złożeniu do grobu i przy zmartwychwstaniu... Wiary w ten cud obalić nie zdołamy.

— Myślisz?

Rabbi Gamaliel zatrzymał się na szerokich, marmurowych schodach, wiodących w głąb wiejskiej willi Kaifasza, długiem spojrzeniem objął widniejące w dali Jeruzalem; w powodzi słonecznego blasku, na tle granatowych w tonie chmur ciągnących od północy, dachy i przyczółki świątyni lśniły, jakgdyby fala roztopionego złota, a niepokalana biel murów wizyą się wydawała jasną. Rasowa, mądra twarz rabina przybladła.. zacisnęły się szczupłe dłonie... pokolenie Aarona władało tam od wieków, miałżeby teraz wygnać je stamtąd sromotnie syn cieśli z Nazaretu?

Nigdy!

A jeżeli...

Precz z wahaniem!

Głos rabbi Gamaliela ostry się stał i zgrzytliwy jak miecza szczęk:

— Pozostaje więc nam albo uznać cud Mesyasza godny.. albo...

— ?

— Owego zwycięzcę śmierci, samego na śmierć wydać... Drogi pośredniej nie widzę... Gdy lud zobaczy, iż on, człowiek śmiertelny jest, prawom natury podlegający jako wszyscy, rozwieje się sama przez się aureola otaczającej go cudowności.

— Więc śmierć... — Wąskie usta Aleksandra opuścił uśmiech.

— Nawet więc twojem zdaniem, światły potomku dobrego Hillela, przywrócenie człowiekowi życia, na równi z odebraniem go, wydaje się czynem zasługującym na karę śmierci?

— Wszystko, co nie jest naturą... jest przeciw naturze, a tem samem zasługuje na zagładę.

— Nie myślisz, drogi, że może stać stać, iż zgładzimy człowieka ale nie zdołamy zdławić posiewu jego myśli?

— Człowiek umarły, nie jest już groźnym nikomu.

— Żyjemy jednak w czasach... gdzie wstają umarli, a myśl, raz przybrana w formę słowa, życie ma w sobie... Jak kamień rzucony w wodę, coraz szersze wytwarza kręgi, chociaż sam legł na dnie, tak i myśl krzewi się nieraz, chociaż twórca zgasł.

— Zdławi się ją... prześladowaniem.

— Albo przeciwnie... prześladowaniem podsyci.

— Wyboru nie widzę... my albo on... więc on, bo któżby wyrok wydał na samego siebie.

— A jeżeli ów mistrz z Nazaretu nie dąży do zagłady zakonu?

— Nie byłby człowiekiem, gdyby nie pragnął władzy...

— Za syna Bożego go mają... — szepnął Saduceusz, przekraczając za rabbi Gamalielem próg wiecowej sali. Przyzwyczajone do pełni słonecznego światła oczy, z trudem oswajały się z drgającym, żółtym blaskiem gorejących w krąg oliwnych lamp. Namiętny, burzliwy gwar przelewał się w sali i trudno się było zoryentować w powodzi sprzecznych zdań, głoszonych równocześnie, z żywością właściwą temperamentowi ludzi wschodu. W głębi komnaty, od wysokiego oparcia krzesła odcinała się ostremi liniami biała, starsza głowa Annasza; blady, schorowany, o sępiej głowie na długiej, chudej, żylastej szyi, arcykapłan zdawał się drzemać. Maska twarzy nie odbijała wrażeń doznawanych, tylko czasem z pod sinych, przejrzystych prawie powiek zabłysły okrągłe, czarne oczy, drapieżne w wyrazie, jako oczy ptaka śle-

dzącego łup i wtedy cała ta martwa twarz nabierała jakiegoś sztucznego życia, a długie ręce, o starannie utrzymywanych paznokciach, wykonywały dziwny ruch na tle szaty białej... pajęczy ruch.

Obok Kaifasz w ciemnej purpurze złotem tkanej szaty, brodę na pięści wsparł... Chory się czuł, krew do głowy uderzała mu falą, szalała w tętnach, chwilami chwytała go dławiąca duszność... wtedy drżącą ręką po czarę z winem sięgał.

Gdy rabbi Gamaliel z Aleksandrem przestąpili próg, właśnie arcykapłan Annas ręką dał znak, iż mówić chce, cicho się stało, a w tej ciszy dźwięczał starszy, suchy, atakami kaszlu przerywany głos arcykapłana:

— Słyszałem przed chwilą zapytanie czyjeś: czem zawinił Jezus z Nazaretu? I słyszałem jak ktoś drugi drwiąco rzekł: iż zdaje się za wiele i za potężnych cudów zdziałał... i prawdę ten ktoś powiedział, wbrew woli. Te cuda właśnie są główną winą, podburzają lud, odwodzą go od tradycyi uświęconych powagą wieków, wnoszą w pojmowanie Pisma, pojęcia od ustalonych przez światłych ojców i dziadów naszych dalekie, ulepszając pozornie zakon, podkopują go. Byłem w Bethanii... widziałem Łazarza, słyszałem opinię ludu... za Mesyasza mają syna cieśli z Nazaretu, za Syna Bożego! Dawno już byłem zdania, że Jezusa usunąć należy... dziś, mówię wam, iż uczynić to powinniśmy jak najrychlej... w obronie Boga ojców naszych, w obronie starych prawd i tego na manowce wiedzionego ludu.

— I naszego własnego dobrobytu....

Przerwał czyjś ironiczny głos... Drapieżne oczy starca spojrzały w kierunku głosu, ale trudno im było rozróżnić twarze w drgającym błysku oliwnych lamp, podjął więc z mocą:

— Tak, nie przeczę i w obronie naszego własnego dobrobytu, więcej, naszego istnienia w ogóle, przed wiekami zdobytych, wiekami uświęconych praw. My byliśmy dotąd pośrednikami pomiędzy ludem a Panem, my byliśmy tym węzłem łączącym niebo z ziemią...

— I my kazaliśmy sobie wagą złota opłacać to pośrednictwo! — drwił Aleksander Fiabi.

Annasz uśmiechnął się końcami zwiędłych warg: była to przecież wspólna wina ich wszystkich.

— Pokolenie Aarona nie otrzymało przy podziale ziemi, bo jako słudzy i włodarze Pana, mieliśmy tem samem prawa do najlepszego z owoców jej. Zali nie rzeklibyście o dzierżawcy: głupi jest! — gdyby pilnował pańskich dóbr z takiem poświęceniem, iżby nie wziął części dla siebie i swoich? Za pracę zdobywa się prawo chleba. By móc pracować, trzeba żyć, by żyć, jeść trzeba. Z martwego robotnika kłopot miałby gospodarz nie pożytek.

Aleksander niedbale ręką skinął, zalśniły na niej barwami tęczy drogich kamieni ognie, pomyślał w duchu: że chleb, to nie przesyt, prawo życia, to nie prawo nadużycia... ale w gruncie rzeczy.. czyż im wszystkim nie było z tem wygodnie? Pocóż przeszkadzać Annaszowi i występować w roli obrońcy i to kogo? Syna cieśli z Nazaretu... człowieka z ludu. Dobrze jest, jak jest. Nie przerywał już więc, gdy arcykapłan mówił dalej:

— Jak donoszą szpiedzy świątyni, lud w Galilei, Judei, Perei, Samaryi, wierzy w messyańskie posłannictwo Jezusa. Więc czas nam działać, bo może się stać, że dojdzie do przewrotu, może się stać, że obałamucony lud królem żydowskim obwoła Jezusa, uzna w nim Syna Bożego i w tryumfie wwiedze do świątyni. A wówczas co? Państwo rzymskie w obronie wywalczonych praw zabierze nam resztę posłuszeństwem okupionej, wolności.. a wówczas, zagniewane oblicze odwróci od wybranego narodu prawdziwy Bóg. Czyż nie rzekł „Nie będziesz miał bogów innych przedemną"? „Nie będziesz się im kłaniał, ani służył, bom Ja, Pan Bóg twój, Bóg zawistny w miłości"! My, duchowi przewodnicy tego ludu, my, włodarze Pana, musimy dziś ten ruch niezdrowy w narodzie przemożną dłonią zdławić, o ile nie chcemy dopuścić do tego, by on nas ogarnął i zgubił. Dziś przy nas jest jeszcze moc, przy nas prawo wydawania wyroków... więc oto wezwaliśmy was, byście zatwierdzili wyrok śmierci na Jezusa z Nazaretu, bo winien jest śmierci.

Cisza się stała nagła, naprężona oczekiwaniem, coś niewytłumaczonego lękiem przejęło ludzkie serca, zdławiło na ustach

słowa i słychać było jeno ciche, żałosne łkanie cyprysów wstrząsanych wichurą i daleki, groźny, ponury... gromów ryk.

— A jeżeli jest to rzeczywiście obiecany narodowi Izraelskiemu Zbawiciel... czyż wtedy nie odwróci od nas zagniewanego oblicza Przedwieczny, niech po wiek wieków czczone będzie Imię Jego... czyż nie rozprószy nas jako owce, którym zabito pasterza?

— Nazarejczyk!

Odsunięto się nagle, jak od człowieka dotkniętego zarazą, gniewne oczy Annasza wpiły się w błękitne Nikodema. Oparty szczupłemi dłońmi na kościanej gałce laski, stał w środku sali sędziwy członek sekty faryzejskiej i nie zważając na groźny, zdziwiony szept w koło, ciągnął spokojnie a z mocą:

— Nie jestem jeszcze wyznawcą Jezusa z Nazaretu ani Jego uczniem, pomimo, iż dziś stanąć pragnę w Jego obronie. Łatwiej jest bowiem wyrok wydać, aniżeli unicestwić go, łatwiej człowieka śmierci na łup rzucić, niżeli życiu oddać. Stary jestem, do grobu mi nie daleko, nie daleko do wieczności, jako i tobie Annaszu, nie zabierzemy tam złota, ni klejnotów, ni dobrobytu, ale snadnie zabrać możemy winę, a tej się nam strzec! Człowieka zabić możemy, bo prawu śmierci wszystko podlega co żyje na ziemi, ale Ducha Bożego zabić nie zdołamy, a przez tego człowieka Duch Boży przemawia i czyni.

Nerwowa pięść Annasza w stół uderzyła, gromowo zabrzmiał ochrypły gniewem głos:

— Dyabelska moc w nim jest, nie Boża! Nie ma Synów Bożych, boć jeden jest tylko Bóg!

— Tak Annaszu, ale ponieważ przy stworzeniu, każdemu z nas dał Bóg iskrę ze swego nieśmiertelnego Ducha, więc synami Bożymi jesteśmy wszyscy... I każdy z nas może rzec „Ojcze", a nie stanie się przez to bluźniercą. A chociaż tak podkreślasz istnienie jednego Boga, to jednak, my, wszyscy, jak tu jesteśmy, wielu wyznajemy bogów. Jedynego sławimy w Jeruzalemskiej świątnicy, ale w codziennem życiu bałwochwalcami jesteśmy: złoto, władza, rozkosz... oto bałwany, przed którymi chylimy czoło, których niewolnikami jesteśmy, my przedstawiciele ludu, my zastępcy i włodarze Pana!...

— Kłam!

— Ostrożnie starcze, bo i tobie zabrzmieć może wyrok: winien jest śmierci!

— Milcz Nikodemie...

— Prawda, nie kłam... bolesna prawda, Annaszu.... W chwili, gdy wybranemu narodowi grozi śmierć duchowa, bo Boga swego przestał czcić sercem, chociaż nie przestał go sławić ustami... zjawił się między nami Jezus z Nazaretu.. i oto my... Powiedzcie, zali dyabelską moc może mieć w sobie człowiek, który zapytany, jakie uważać należy za najpierwsze z przykazań Bożych, rzekł: „Pan Bóg nasz jest jeden, przetoż będziesz miłował Pan Boga twego, ze wszystkiego serca twego, ze wszystkiej duszy twojej, ze wszystkiej myśli i siły", a wtóre temu podobne jest: „będziesz miłowała bliźniego twego jako samego siebie. Większego przykazania nad to, niemasz". Więc zanim sąd wydacie na tego człowieka, na naród może cały.. zastanowić się wam, myśl o ziemskich zyskach, stratach, trwogach i nienawiściach odsunąć daleko, wczuć się w ducha, który słowa dyktuje, by nie popełnić występku właśnie przeciw tym dwom najpierwszym przykazaniom. Bo miłować należy Boga, dawcę wszelkiego żywota, i miłować bliźniego, bo to Bogu milsze nad całopalenia i ofiary. Czy słyszeliście kazanie mistrza z Nazaretu? Odczuliście i zbadali ducha jego nauki? Nie! Wyrok chcecie wydać na podstawie donosów szpiegów świątyni i rozgoryczonych członków sekty faryzejskiej. A oto ja, faryzeusz również, mówię wam: on nie przyszedł, by po ziemską władzę żądne wyciągnąć dłonie, by nam bogactwa wydrzeć, on oczy nasze od ziemi oderwać pragnie.. drogę wiecznego żywota wskazać! Namyślcie się... grzech ojców mści się na dzieciach, grzech kapłanów na całym narodzie.

Błękitne, zimne, oślepiające światło błyskawicy na mgnienie zalało salę obrad, trupią barwą powlekając twarze członków rady, piorun uderzył gdzieś blisko...

Martwa cisza... i ostry, metaliczny głos rabbi Gamaliela:

— Niech się mści... ja, głosuję za śmiercią.

— A jeżeli to naprawdę syn Boży? — zadźwięczał czyjś lękliwy szept.

— To... zmartwychwstanie... — Zimno zauważył rabbi Gamaliel, patrząc w ogród, który przesłoniła fala ulewnego deszczu.

A oto jeden ze starców ozwał się łagodnie:

— Słuszność ma Nikodem, grzech kapłanów mści się na całym narodzie... Zażądajmy, by opuścił granice państwa żydowskiego... wygnajmy go... Ja w tym człowieku nie widzę winy, a przed wydaniem wyroku na niewinnego... wzdryga się duch.

— Życie jest jedynem dobrem, jakie człowiek posiada, grób jest końcem wszystkiego... niechaj opuści kraj, — poparł Aleksander Fiabi.

Kaifasz, najwyższy arcykapłan roku, milczał dotąd, szeroko rozwartemi oczyma patrząc w ciemny granat nieba, doznał dziwnego złudzenia... Zniknęła sala rady, ogrodu zjawa, zdało mu się, że oto w miejscu Świętem Świętych stoi i jako w dniu pojednania, ma skropić krwią kamień, na którym niegdyś spoczywała arka przymierza... ofiarną krwią...

I oto owłada nim obca moc, zamiera siła i zdolność własnej myśli, cisną się na usta słowa o dziwnej, nieznanej treści. Ktoś wkuwa mu je w mózg z przepotężną siłą... czyjaś potężna wola woła nań: spójrz i przemów Kaifaszu!

Chory jestem i odejść mi trzeba — resztą świadomości broni się arcykapłan — chory jestem.

Ból w mózgu potęguje się do bezmiaru, konwulsyjnie drżą wargi...

Czas ci głos zabrać Kaifaszu...

Lud słucha...

Przecież nikogo niema w krąg... przecież widzi wyraźnie hyacentową barwę zasłony, zarys świecznika... kamienia płytę...

A jednak słyszy szept...

— Kaifasz przemówić chce...

Wszystko w koło zdaje się wirować w szalonym tańcu, kupi w plamy barwne, w obrazy dziwne, znikające z błyskawiczną szybkością nim treść uchwycić zdoła myśl.

Oto po kamieniu latorośl winna się pnie, zżółkłe, uschłe pędy, jakgdyby z ziemią się zrosły w uścisku..

Zdawało mu się, że krew w czaszy ofiarniczej trzyma i przelać ją musi — on arcykapłan narodu...

Bo chwila jeszcze, a cała winna latorośl śmierci stanie się łupem.

Naród wybrany...

Czy naród przeklęty...

Za winy narodu...

Za winy świata...

Czyjaż to krew?

Czarno mu przed oczyma... tchu.. tchu...

Spłynęła krew po ofiarnej płycie... zazielenił się krzew, z suchych gałęzi młode zerwały się pędy.. rosną... oto już świat cały oplotły uściskiem... jeno tam, w dole dawny w pół obumarły pień, jeno tam zwiędłe, zczerniałe listowie i gałęzie czepiające się ziemi drapieżnym, nienasyconym gestem...

Krew odkupienia...

Czyja to krew?

A ów obumarły pień...

Chwycił arcykapłan kurczowo róg stołu, wytężonym wzrokiem pragnie zagadkę widzianego rozwiązać, a wargi jego wygłaszają słowa obcą, potężną dyktowane wolą:

— Nie wiecie nic! Nie myślicie nawet, że pożytecznie jest, by jeden człowiek umarł za lud, ażeby ten wszystek naród nie zginął.. Jak wam to mówię... ja, Kaifasz, najwyższy arcykapłan roku.

— Tak, lepiej gdy jeden człowiek zginie, aniżeli na bezdroża miałby wejść cały lud... A więc Jezus z Nazaretu winien jest śmierci.

Dźwięczy w odpowiedzi spiżowy głos rabbi Gamaliela...

O Jahwe! Więc krew Jezusa z Nazaretu miałaby być tą krwią odkupienia.. a owym martwym, przeklętym, gnijącym pniem... oni sami?

Nie! nie!

Jakoż wytłumaczyć... mięsza się myśl... Zali naprawdę wyrok wydają na Syna Bożego — na naród cały...?!

A on, grzeszny arcykapłan, grzesznego narodu... on bezsilny stoi i milczący... ostatni raz był włodarzem Pana...

Oprzytomniał... spojrzał po zgromadzonych, ręką po czole przeszedł, był na nim zimny, śmiertelny pot... zdawało mu się, czy mówił co...?

Nie pamiętał...

Jaki trupi wygląd mają w tym zapadającym zmroku ludzkie twarze... Zdaje się groza jakaś w przestrzeni się czai... Aha... prawda... sądana Jezusa, syna cieśli z Nazaretu, który na bezdroża wiedzie lud...

— Winien jest śmierci...

Dźwięczy w przestrzeni zgodny chór męskich głosów...

— Winien jest śmierci...

Echem powtórzyły kolumnady sali... rozełkane cyprysy i wichru jęk.

Marya Czeska.

Wojenne czasy muzyki.

(Ciąg dalszy).

Wspomniałem już w poprzedniej części mego szkicu, że wobec zwycięskiego pochodu neoromantycznego kierunku (Berlicz — Liszt — Wagner — R. Strauss) niespodzianką było pojawienie się genialnego umysłu, jakim był Reger, który z początku przynajmniej — ale w każdym razie przez długi czas (bo do op. 120) zdawał się być spadkobiercą kierunku Brahmsa, „ostatniego klasyka", a więc bądź co bądź „konserwatywnego" kierunku. Uznano Regera za reakcyonistę, a przyczyniał się do tego rodzaj form, jakiemi Reger chętnie posługiwał się (do końca życia). Pisał mnóstwo fug, preludyów, passacagliów, romanc, waryacyi, sonat itp. form, którym neoromantycy dawno zaśpiewali „requiem aeternam". Utwierdziło ich w przekonaniach co do znaczenia Regera i jego zabarwienia to, że Reger nazywał swymi mistrzami Bacha, Beethovena i Brahmsa, że tworzył wiele dzieł organowych i kameralnych, kantat i dzieł chóralnych, a przedewszystkiem to, że nie pisał dzieł na orkiestrę, ten jedyny instrument, na którym grali po wirtuozowsku spadkobiercy Wagnera, grupujący się koło R. Straussa. Nic wreszcie Reger nie miał wspólnego z t. zw. programową muzyką, z poematami symfonicznymi i dramatem muzycznym; miary zaś dopełniło wyrażenie się Regera, iż nie ma nic przeciw „programowym" utworom muzycznym, byle zawierały muzykę i posługiwały się muzy-

[1]) Por. P. P. styczeń—luty 1918.

cznymi środkami oddziaływania, nie zaś literaccyzną. Już przez to samo poznaliśmy tendencyę Regera, którą w zasadzie zatrzymał do końca życia, jakkolwiek w ostatnich dziełach swych (głównie orkiestrowych) zdołał udowodnić, że można pisać i „programowo", byle nie wyzbywać się absolutnie — muzycznych środków i nie liczyć na pomoc innych czynników, mających zastąpić to, co brakuje samej koncepcyi muzycznej danego utworu. Tak wzięte razem na uwagę cechy charakterystyczne Regera jako twórcy mógłyby na tle współczesnej twórczości (nietylko niemieckiej) sprawiać wrażenie „reakcyjnego" kierunku Regera. Tymczasem wewnętrzna jego istota niepokoiła i tych, którzy nie byli po stronie Straussa, z jakichkolwiek bądź powodów, tj. tych którzy z zasady uznawali się za zwolenników Brahmsa lub też nie rozumieli Straussa, nie umiejąc posunąć się dalej poza Wagnera. Reger niepokoił ich przedewszystkiem coraz bardziej widocznem dążeniem do harmonicznych nowatorstw, jakiemi było zarzucanie jasno określonej tonacyi (dur lub moll), ustawiczne modulacye, tak ruchliwe, jak u żadnego z następców Wagnera, niezwykle pomysłowe alteracye (zwłaszcza niesłychanie interesujące stosowanie „akordu neapolitańskiego"), polifonia śmielsza niż u jakiegokolwiek kompozytora od czasów Bacha i to wprost osłupiające władanie wszelkimi środkami polifonii, ten zmysł kombinacyi, które już nie działają tylko jako technika, budząc coś więcej niż podziw. I mimo tych nie dających się na razie uchwycić śmiałości, ogromna logika konstrukcyi formalnej, korzystającej in extenso z wszystkich możliwych środków architektoniki muzycznej, ta głębia myśli i uczucia, to pogardliwe schodzenie z dróg wszelkiej powszedniości w myślach i wykonaniu. Trzeba było kilku lat ciężkiej walki na wszystkie fronty, aby wreszcie zdano sobie sprawę, że Reger nie jest ani reakcyonistą, ani burzycielem, ale też i nie idzie drogą konwencyi, lecz takimsamym wielkim na razie samotnikiem, jak każdy prawdziwy geniusz. Zwalczano kierunek, zwalczano kierunki, taksamo jak przeciw Brahmsowi wysuwano Brücknera a naodwrót. Nie uznać olbrzymiej potencyi Regera było rzeczą wykluczoną, ignorować ją — to byłby dowód własnej słabości, a więc — zwalczano ją, a czynili to zarówno tzw. „postępowi", jak i ci, którzy

myślowo jeszcze nie zdołali opanować partycyi rzeczy, dziś tak prostych jak partycya „Tustana“, „Śmierci i wyzwolenia“, „Śpiewaków norymb.“ i „Tilla Eulenspiegla“. Do zwalczających Regera należał i nauczyciel jego, Riemann; ale to były sprawy osobiste. Reger sam wiele sobie zaszkodził, odkrywając wady i niedostatki rzeczy wielbionych. Pozytywnych zarzutów nie podniesiono dotąd przeciw jego dziełom; takie wyrażenia, jak „zbytnia komplikacya“, „mała inwencya“, „schematyczność“ fug lub waryacyi itp., są bronią raczej — odporną niż zaczepną, a więc bronią słabych duchów, nie umiejących zdobyć się na realną inicyatywę. Zresztą cóż znaczy wobec coraz bliższej przyszłości, świtającej dla dzieł Regera, to że ten lub ów recenzent lub fejletonista w sposób stylistycznie mniej lub więcej udatny „pogromi“ Regera? Aby to uczynić, trzebaby mieć conajmniej równe siły, a wątpię, czy ktoś się odważy... Tymczasem sztuka Regera istotnie odniosła tryumf. Zauważono, że zwalczając kierunek w twórczości jego nie zwalcza się jeszcze samej twórczości. Dziś w środowiskach muzycznych każdy zna jego waryacye na temat Bacha, Mozarta, Beethovena i Stillera, jego najpotężniejsze od czasów Bacha dzieła organowe, jego kolosalne dzieła kameralne, i te jedyne w swej wartości utwory fortepianowe, których dziś tak mało się pisze. Suity orkiestrowe (baletowa, Boecklinowska i romantyczna), serenada op. 95 i waryacye orkiestrowe są po części utworami klasycznej wartości, a dla samej twórczości Regera tem bardziej ciekawe, że obalają dawne twierdzenia przeciwników, jakoby Reger nie zdołał instrumentować w sposób stawiający go na wyżynie współczesnych wymogów. Instrumentacya ostatnich dzieł jest chyba ostatnim wyrazem tej sztuki. „Scherzo“ ze suity romantycznej nie ma sobie równej w swej lekkości i przejrzystości od czasów „Fee Mab“ Berlicza. Reger przypomina tu Bacha, który całe życie uczył się i korzystał z tego, co inni mistrze stworzyli, aby to samo wyrazić po swojemu, pójść jeszcze dalej i zatracić wszelkie wpływy i źródła swej wiedzy w dziełach zupełnie indywidualnych. Sztukę waryacyi posunął do krańcowej doskonałości; przewyższył i Brahmsa i Straussa i innych wielkich nowych waryacyonistów, wprowadzając do

waryacyi techniki także szeroko rozgałęzioną robotę tematyczną, będącą na usługach wyrazu. W formę fugi, o której już mówiono jako o formie przeżytej, wlał tyle nowego życia i nowych pomysłów, iż raz na zawsze udowodnił bezprzedmiotowość tych i tym podobnych mniemań, mających źródło, w abstrakcyjnych estetykach, lecz nie w realnej sztuce, nie w zrozumieniu tego kardynalnego prawidła że *nie o formę, lecz o ducha* chodzi w sztuce. Czy ktoś kiedykolwiek wyraził się, że sonet jest formą przestarzałą, ponieważ już Petrarka...? Owszem, weźmy za wzór poezyę francuską ostatnich lat: odżywają jak wspaniałe kwiaty formy rzekomo dawne już przestarzałe. Jeśli ktoś tylko umie nadać fudze te wielokształtne formy, tak jak to umiał uczynić Bach, a po nim w niewielu dziełach Beethoven, ten uzna całą tę nowożytność, jaką dyszy każda fuga Regera. Można tylko mówić, że w historyi pewnej formy są epoki wyniesienia i upadku (np. dziś już zaczyna przeżywać się forma sonatowa), ale nie można twierdzić, że forma jakaś, całkowicie skrystalizowana i rozwinięta, żyje tylko przez pewien czas. — Organowa muzyka Regera jest tego najlepszym przykładem. Od czasów Bacha nastał upadek organowej twórczości, gdy muzyka zupełnie nabrała charakteru sztuki świeckiej. Sączyły się tylko usiłowania regeneracyi (zwłaszcza we Francyi), ale nie chciano zbytnio wierzyć w możność renesansu tego instrumentu. Nie zajmował się nim żaden wielki twórca. Kilku mistrzów, jak np. C. Franck, Guilmant, Widor, Liszt itd. nie zdołało mimo wysokiej wartości swych dzieł wywrzeć wpływu galwanizującego staroświeckie poglądy. Dopiero Reger oznacza nową w organowej muzyce epokę. Fugi, preludya, fantazye, passacaglie, waryacye, suity, sonety i chorałowe parafrazy organowe tego mistrza są arcydziełami. Upadającą muzykę kameralną wsparł potężnem ramieniem urodzonego polifonisty, pieśń solową a zwłaszcza chóralną (wraz z dziełami religijnemi) wzbogacił mnóstwem bezcennych utworów. Szczególnie ulubionym rodzajem „kameralnej“ muzyki Regera było tworzenie na instrumenty solowe (skrzypce, altówka, wiolonczela) bez towarzyszenia fortepianu, rzecz od czasów Bacha zupełnie zaniedbaną. Trzeba mieć wiele do powiedzenia, aby ograniczyć się do tak skromnych środków, z wyłącze-

niem „barwności“ instrumentacyjnej i harmonicznej. Ale trzeba też mieć potężną fantazyę kombinatorską, aby nie być bezbarwnym producentem muzyki z pozą prostoty klasycznej“.

Mimo ścisłych form znajdziemy w Regerze niewyczerpane bogactwa fantazyi, a nawet fantastyczności. Znajdą się u niego dzieła wprost abstrakcyjne w swym charakterze, w swej treści, przypominające Bacha w ostatniej jego epoce, gdy tworzył „Vor Himmel hoch da komm' ich her“; upłynie wiele czasu, nim garstka wybranych zda sobie w przybliżeniu sprawę z nich. Ale Reger nie jest w stanie nie być conajmniej interesującym w każdym szczególe. Może nawet przytłacza nieraz nieprzebraną ilością szczegółów, zawsze wybranych w swym rodzaju. Ma swe ulubione zwroty (np. zawieszone kadencye), tak jak je ma Mozart, Haendel, Schubert, Brahms, C. Franck, Wagner; ale o tych mistrzach zapominają ci, którzy zbyt chętnie walczą negatywnymi argumentami. Każdemu z nich można dać radę mieszczącą się zupełnie w dwóch słowach „disce puer“. Twórczości Regera będę miał sposobność poświęcić osobne studyum. Jeśli jednak chodziłoby o wyznaczenie jej w historyi muzyki stanowiska, to nie sądzę, że możnaby lepiej je określić, jak zdaniem: Reger jest „reakcyonistą“, jeśli przez ten wyraz mamy rozumieć fakt przywrócenia dawnym formom ich znaczenia, jakie im się należy ze względu na zasadę, że nowy duch czyni dawne formy trwałemi i zawsze świeżemi; a dalej: Reger przeciwdziałał wprowadzeniu do muzyki elementów niemuzycznych, które wprowadzały brak równowagi między formą, środkami i treścią. Biorąc zaś ogólnie na uwagę stan obecnej muzyki, możemy stwierdzić, że z tą chwilą, gdy Reger zwyciężył, popadł w bankructwo zbyt literacki „poemat symfoniczny“. Zjawisko to daje się obserwować przynajmniej w Niemczech, w których „neoromantycy“ tworzą coraz więcej symfonie i suity, kwartety i „sonaty“ (nie brak też coraz więcej fug, jakże inaczej pisanych obecnie niż dawniej!), coraz mniej zaś „poematów symfonicznych“. Powrót do form ściślejszych odbywa się jakby pod duchowym patronatem Regera.

Życie jego zewnętrzne było zrazu dość bezbarwne; jako profesor kompozycyi działał w Monachium i Lipsku, jako kapelmistrz

w Meiningen, przy końcu zaś życia mieszkał stale w Jenie, gdzie obecnie co roku odbywają się wielkie uroczystości Regerowskie. Z pogodnym humorem przyjmował wysokie odznaczenia i honorowe doktoraty (Jena, Heidelberg, Berlin). Urodził sią w Bawaryi w r. 1873, zmarł 1916 w Lipsku, napisał blisko 150 dzieł. Wydał także małą, lecz bardzo cenną rozprawkę „Beiträge zur Modulationslehre“ (obecnie 10 wydanie), przyczynił się też korzystnie do obniżenia „autorytetu“ wszechwładnych recenzentów. Katalog dzieł Regera wydała berlińska firma Simrocka.

III.

Klaudyusz Achilles Debussy (1862—1918). Wśród ostrzeliwań domów i kościołów w twierdzy paryskiej, wśród dni trwogi i trosk o dobro bogatej w twórcze talenty i dzieła sztuki ojczyzny, niszczonej przez „swoich“ i „obcych“, utraciła skołatana a tak rycerska Francya swego największego kompozytora doby obecnej, kompozytora, który należy do najśmielszych duchów w dziejach twórczości muzycznej, który w erze panowania tzw. wagnerowskiego kierunku i wśród przemożnej jeszcze plejady twórców zapatrzonych w szkołę romantyków, oraz Beethovena i Bacha zdołał nietylko twierdzić, że można inaczej komponować niż wymienieni tu apologeci „chronologii szkół“, ale dzięki swemu istotnemu gieniuszowi udowodnić i przeprowadzić z całą konsekwencyą swą tezę twórczą. Jeśli o którym z wielkich twórców można powiedzieć, że zmarł za wcześnie, to właśnie o Debussy'm. Wszak żyje jeszcze Saint-Saens, wielki przedstawiciel — że tak powiem — klasycznego eklektyzmu francuskiego, „Mendelssohn Francyi“ (jak bywa nazywany za Renem), żyje i tworzy w pełni sił wielki nauczyciel młodej Francyi w muzyce, Wincenty d' Indy, wyrosły na sztuce Bacha, Beethovena, Wagnera i C. Francka, jeden z najgłębszych umysłów muzycznych teraźniejszości i erudyta, jakiego nie znajdziemy nigdzie (nawet w Niemczech). A jednak Debussy wypowiedział się już zupełnie — widzi to każdy, kto poznał rozwój jego twórczości, a zwłaszcza stworzone podczas wojny utwory (np. wydaną w słynnej „King Albert-Boock“ ku czci króla

belgijskiego „berceuse heroique“ i etiudy fortepianowe poświęcone pamięci Fr. Chopina). Nietylko wypowiedział się, ale i wywarł wpływ niezmiernie silny, nawet w Niemczech, posiadających w ostatniej dobie tak potężne, genialne umysły twórcze, jak R. Strauss, G. Mahler, M. Reger (zmarły w młodym wieku podczas wojny), w Niemczech czerpiących pełną dłonią z ożywczego źródła sztuki Wagnera, Brahmsa i Brücknera. Jedynie rosyjska muzyka mogła się opierać naporowi kierunku Debussy'ego, gdyż posiadała pokrewny mu wielki talent i również pełen śmiałej inicyatywy i samodzielności w osobie Aleksandra Skrjabina, którego młode życie znalazło wczesny kres również podczas wojny. Straszliwe jest jej działanie: jeśli pomyślimy, że żyjący jeszcze Ryszard Strauss już znajduje się poza zenitem swej twórczości, że siła napięcia jego wielkich zamierzeń i czynów zaczyna się zupełnie widocznie zmniejszać, choć jest jeszcze wielką, to dojdziemy do jednego rezultatu: obecne dążenia w muzyce straciły swych przodowników; niema umysłu genialnego, któryby płomienną pochodnią swej twórczej ekspanzyi wskazywał drogę ku przyszłości.

Porównywano Debussy'ego z impressyonistami, pointywistami i ekspresyonistami francuskimi, porównywano go z symbolistami, prymitywami, parnasistami i innymi przedstawicielami poezyi i malarstwa ostatniej doby. Niewątpliwie znajdziemy wiele stycznych w poglądach tego mistrza i poglądach wielkich francuskich poszukiwaczy nowego piękna w poezyi i malarstwie. Niemateryalne formy, barwa jako najwyższa ekspressya, zanik realnego rysunku melodyjnego, zbudowanego symetrycznie, egzotyzm melodyi i harmonii, dążenie do wyrażania jakby podświadomych stanów duszy i szukanie rzeczywistości pięknej w sennych marzeniach, wyrafinowanie faktury technicznej mimo jej pozornej prostoty, rysy niekiedy karykaturalne ale pełne siły wyrazu, umyślne nierozwiązywanie dyssonansów, brzmiących jednak doskonale, a przynajmniej niezwykle interesująco, nawet oddanie im roli tej, jaką przedtem miały konsonansy itd. itd. — ale te porównania nigdy nie są czemś więcej jak literatczyzną, mniej lub więcej wyszukaną, o której już Wagner powiedział, że posiadają tylko wartość „gry słów“.

A jednak nie da się zaprzeczyć, że potężny ruch na polu malarstwa we Francyi nie mógł nic wywrzeć wpływu na francuskiego muzyka. Nie illustruje szumu potoka, jak romantycy, nie illustruje szmeru padających kropli deszczu, natomiast stara się wyrazić muzycznie grę światła na wodzie („Reflets d'eau"), rytmiczny ruch fal („jeu de vagues"), fluktuacyę morza („La mer"), ruch obłoków zmieniających swe kształty wśród promieni księżyca („Les nuages"). Możnaby iść jeszcze dalej: Debussy illustrujący swe wrażenie na widok chińskiej pagody („Les Pagodes") byłby wyrazem wpływu na muzykę sztuki oryentalnej, która za pośrednictwem japońskich drzeworytów i chińskich malowideł zdołała istotnie już od czasu słynnej rozprawy Goneonitów zmienić poglądy sztuki francuskiej na rysunek i koloryt. Wpływ malarstwa na muzykę jest tem bardziej możliwy, że należący do szkoły Debussy'ego wybitny hiszpański kompozytor, Enrico Granados y Campina napisał utwory illustrujące groteskowe fantazye Goyi, który nigdy nie cieszył się taką popularnością i wpływem, jak dziś właśnie. Wiemy, ile wrażeń zawdzięczają francuscy malarze Hiszpanii, gdzie barwność dnia i wieczoru, gdzie nastrój wieczornego życia jeszcze nie przybrały tak konwencyonlnych form, jak w reszcie cywilizowanej Europy. Debussy nie zwlekał: „Iberia" i „Granada" — to owoce przeżyć z tamtej strony Pyrenei, gdzie muzyka ludowa hiszpańska nie przedstawia się tak, jak w banalnych fabrykatach Moszkowskiego: jest świeższa i nie ujęta w szablony powtarzających się kołowrotkowo rytmów, gdzie istnieje jeszcze taneczna improwizacya w ludzie, nie zbanalizowana przez poruszane jakby sprężyną tancerki z „Variété"... To szukanie tematów i nastrojów, które przeciętnemu i znudzonemu szarugą życia Europejczykowi wydają się być egzotycznemi, a które Gauguina zaprowadziły wśród poszukiwań za bezwzględną bezpośredniością poza Europę, wpłynęło na Debussy'ego w sposób bardzo stanowczy. Ale „egzotyczne tematy Gauguina posiadają jeszcze klasyczną formę w porównaniu z formą „egzotycznych" utworów Debussy'ego.

Francuski muzyk jest może najtypowszym objawem zerwania ze wszelką tradycyą muzyczną — to upodabnia go do Skrja-

bina i to różni go zasadniczo od Straussa, a zwłaszcza Regera. Muzycy niemieccy są owocem logicznej ewolucyi historycznej, mogą się wykazać antenatami conajmniej do czasów Bacha, są jego wnukami w prostej linii nawet tam, gdzie ucho i oko laika tego nie spostrzeże. Powód jest bardzo prosty: w Niemczech w obrębie muzyki odbywają się ewolucye tylko pod wpływem wyłącznie muzycznych czynników, gdy tymczasem we Francyi są one ugruntowane ogólnem umysłowem życiem. Pierwszy wielki przedstawiciel koloryzmu orkiestrowego, Berlicz, gra współcześnie tęsamą rolę, którą w malarstwie francuskiem odegrał Delacroix. Że Debussy utrzymuje ścisły związek z współczesną poezyą francuską, dowodzi choćby fakt, że teksty jego poezyi należą do francuskiej literatury po Baudelairze i Verlainie. Jedyny dramat muzyczny Debussy'ego ma tekst Maeterlincka („Peleas i Melisande"). Z drugiej strony nikt nie zaprzeczy wpływu muzycznych pierwiastków na poezyę francuską. Rzec można, iż wszelkie nowe ideje w jednej sztuce znajdują tam echo w innej. Dzieją się we Francyi nieraz zdumiewające rzeczy: gdy w latach siedmdziesiątych tylko garstka muzyków ośmiela się przyznać, że uwielbia Wagnera, grupa poetów i malarzy zakłada pismo „Revue Wagnerienne" celem „przeprowadzenia idei Wagnera na polu innych sztuk" (!). Gdy uwielbienie dla Wagnera staje się w całej Francyi wielkie, Debussy zwalcza jego zasady w myśl ideałów stworzonych przez nowatorów francuskiego malarstwa. To ostatnie możnaby nazwać specyficzną francuską sztuką; jego rozwój w XIX. wieku we Francyi nosi wszelkie znamiona konsekwentnego rozwoju, stopniowej ewolucyi; — podobnie muzyka jest specyficznie niemiecką sztuką, jej rozwój w Niemczech od czasów Bacha jest również bardzo konsekwentny, organiczny. O muzyce francuskiej i o malarstwie niemieckiem nie można tego powiedzieć. Ale jak „debacle" roku 1870 nie wstrzymała wpływu Wagnera na muzykę francuską, tak obecna wojna nie stanęła na przeszkodzie wpływowi Debussy'ego na muzykę niemiecką, która mimo to rozwija się nadal organicznie. Dzieła najwybitniejszego z młodych kompozytorów niemieckich, Ewalda Straessera, są najlepszym tego wyrazem.

Powiedzieliśmy, że Debussy jest twórcą, który miał odwagę

zerwać z tradycyą, a więc z tym właśnie normalnie-, organicznie-ewolucyjnym rozwojem muzyki — rozwojem jej formy, stylu i jej techniki. Omija skrzętnie wszelkie regularnie zbudowane frazy, wszelkie z góry określone i przewidziane powroty tematu, wszelkie snucia motywów i rozwijania ich do większych, organicznie zbudowanych kompleksów melodyjnych. Niema u niego żadnej z form, które określamy nazwą sonata, rondo, waryacya, fuga, tenor; te bowiem są dla niego zbyt „określone", zbyt „materyalne", zbyt konstrukcyjne, może nawet zbyt „matematyczne". Nie architektonika organiczna, lecz a morfizm, w którego rytmiczno-harmonicznej fluktuacyi nieraz nie znajdziemy „melodyjnych" konturów w popularnem tego słowa znaczeniu. Debussy wybrał te swobodne formy, których nazwy właśnie nie oznaczają żadnej dającej się bliżej określić muzycznej konstrukcyi: dwa zeszyty fortepianowych „Préludes" są ostatecznym tego wyrazem, także 2 zeszyty „Etudes" (1915). — Wogóle większość jego kompozycyi — a przeważają fortepianowe — są preludyami dłuższemi i krótszemi bez względu na to czy D. nada im nazwę „Estampes", „Images", czy — ze względu na nastrój — nazwie je „nocturnes" (na orkiestrę). Można styl Debussy'ego nazwać preludyującym, rapsodycznym, fantastycznym, lub — jak niektórzy — psalmodyującym. Ale to jeszcze nie określi go tak, aby melomanowi ułatwiło zdanie sobie sprawy z istoty rzeczy. Raczej można tu mówić o „nieskończonej melodyi" Wagnera, doprowadzonej do zupełnej mozaikowości, zwłaszcza że „tematy" Debussy'ego są bardziej krótkooddechowe, aniżeli jakiegokolwiek współczesnego muzyka. Możnaby go porównać z poetycką dykcyą pisarza-impressyonisty, który rzuca myśli nastrojowe, nie budując ich konstruktywnie; związek między niemi, związek syntagmatyczny, powstaje samorzutnie w umyśle wrażliwego czytelnika. W przeciwnym razie „zoil" mówi o braku logiki i o chaotyczności. Tymczasem w utworach Debussy'ego, nawet najbardziej oderwanych od pojęcia „formy", panuje przedziwna jasność i plastyka, każda myśl jest zamknięta w sobie, każda posiada swój odrębny wyraz, niekiedy jakby szeptem wypowiedziany, ale zawsze silny, zawsze przejmujący do głębi, co więcej — szczery nawet wtedy, gdy sztuczny. Ta po-

zorna sprzeczność, to już jedna z charakterystycznych cech muzyki francuskiej. Nie jest od niej wolnym Debussy np. wtedy, gdy illustruje — woń perfum (por. „Préludes"), unoszącą się zresztą nad przeważną ilością dzieł jego (spuścizna po Chopinie...), które niekiedy sięgają po narkotyki oryentalne. Debussy poszedł dalej niż ów francuski poeta, który tylko „widzi tony i słyszy barwy"...

Gdy Debussy rozpoczynał świadomie dążyć do skrystalizowania swego stylu, napisał w „Revue blanche" słynny artykuł znany powszechnie z książki Romaina Rollanda o „Paryżu jako mieście muzyki". Autor zwraca się tam przeciw wszelkiej konstruktywnej muzyce i wzywa francuskich twórców, aby odwrócili się od Beethovena i Wagnera, nawiązali przerwaną nić tradycyi z dawną francuską muzyką, która wydała Couperinów i Rameau, odznaczała się wielką prostotą myśli i formy, naturalnością wyrazu i wytwornością stylu. Niewątpliwie Debussy nie chciał, aby jego poglądy były brane zbyt dosłownie, gdyż szereg późniejszych zwłaszcza jego dzieł byłby cokolwiek ich antytezą. Ale napisał wiele utworów tanecznych, które dowodzą tylko, że Debussy miewał — wizye rokoko, tak jak je miewali niektórzy malarze „szkoły" zwanej impressyonizmem i neoimpressyonizmem (np. Guerin). Tu należą jego pavany, gignes, menuety itp. Obrał też dla dzieł większych, stanowiących cykl, formę suity, która w dawnej Francyi bujnie kwitnęła. Ale mimo tego te „wizye rokokowe" nie są w tym stopniu dziełami wizyonerstwa muzycznego, jak inne dzieła. Debussy jest zbyt zrośniętym z współczesnością za wszelką cenę. (Jego „tancerki z Delphi" są wyrazem wrażenia starożytnego tańca, wykonanego przez stylowe tancerki francuskie, którym jest z tem do twarzy", jego znany poemat symfoniczny pt. „L'après-midi d'un faun" opiewa popołudniową siestę „fauna", który nie podglądał nimf aż w starożytności, skoro żyje dziś... Są to tylko dyskretne niedyskrecye...)

A jednak dykcya muzyczna Debussy'ego jest istotnie płynną i przejrzystą, trzeba tylko przyzwyczaić się do jego środków harmonicznych, które zrazu działają zbyt oszołomiająco, gdyż są może nie śmielsze niż te, którymi posługuje się R. Strauss (w „Salome") lub Reger, ale za to zupełnie odrębne, tak odrębne, że warto

zastanowić się nad niemi. Zasadniczą podstawą harmonicznego systemu Debussy'ego jest gama całotonowa (c, d, e, fis, gis, ais, bis cc[1]). Na niej buduje Debussy nie tyle swoje melodye, gdyż inaczej byłyby wszystkie do siebie podobne (co zresztą też się zdarza), lecz harmonie. Taki całotonowy „hexachord" (aby użyć wyrażenia z teoryi tonacyi kościelnych) stanowi podstawę do wszelkich kombinacyi, których rezultatem jest „prowadzenie głosów" (o ile o niem można mówić) w równoległych sekundach, tercyach wielkich, kwartach zwiększonych, kwintach zwiększonych (w brzmieniu przypominających małe seksty), w sekstach zwiększonych. Zwykłemu trójdźwiękowi odpowiada w jego systemie trójdźwięk zwiększony, chętnie prowadzony równolegle, także akordy kwintsekstony z podpisaną kwintą i sekstą. Debussy jednak sprowadza mnóstwo swobodnych, nierozwiązywanych dyssonansów, akordy bez tercyi, przypominające „harmonie" średniowiecza, wiele sekundowych, septymowych i nowszych współbrzmień, przyczem czysty trójdźwięk (moll lub dur) zdarza się tak rzadko, iż można mu wyznaczyć w utworach D'go rolę tęsamą, jaką dawniej grał — dyssonans. To „odwrócenie wartości" spotykane zresztą nietylko u Debussy'ego, ale przez niego z największą swobodą i pewną uporczywością stosowane, nadaje — rzecz jasna — zupełnej odrębności jego stylowi, stanowi nawet istotę stylu, wyzwolonego z reguł wszelkiej harmonicznej „prawomyślności, przerażającego zarówno francuskiego pedanta jak i niemieckiego „Schulmeistra". Ale mimo to nie obala „dawnej" harmonii, która jeszcze daleka jest do wyczerpania — jest tylko inną harmonią, taksamo inną, jak harmonia Skrjabina, który dla ostatnich swych dzieł skonstruował odrębną gamę. Że dyssonansowe brzmienia harmoniki Debussy'ego nie mają swych rozwiązań i mieć nie mogą, to wynika już z systemu, będącego szeregiem brzmień nazywanych przez teoretyków „dawnej" harmonii dyssonansami. Z chwilą gdy nie możemy uznawać tego systemu za dualny (moll-dur), nie możemy żądać, aby dyssonujące akordy całotonowej gamy rozwiązywały się na akordy zawarte w gamie dur lub moll, jakkolwiek — co już Riemann udowodnił — każdy

akord systemu Debussy'ego można objaśnić nauką o alteracyi harmonicznej.

Nie można wprawdzie uznać Debussy'ego za tego muzyka, który po raz pierwszy wprowadził harmonie na gamie całotonowej oparte — znajdziemy je już u Saint-Saensa, także u Zarembskiego — ale Debussy ujął je w system i zapewnił im wielką nutliwość, tak wielką, że postępy tych harmonii czynią wrażenie, jakby sprzeciwiały się logice harmonicznych postępów; ale w zasadzie sprzeciwiają się tylko logice harmonii opartej na gamie dur i moll. Stąd też łączenie niewspółmiernych „akordów" i nierozwiązywanie ich powodują wrażenie „impresyonizmu muzycznego", której to nazwy można jednak użyć dla określenia budowy fraz melodyjnych, budowy taksamo pod względem metrycznym wolnej i luźnej u Debussy'ego, jak jego harmonie. Jestto zresztą wynik wzajemnego związku przyczynowego między harmonią i formą, metryką i rytmiką.

Debussy jako orkiestrowy kolorysta zasługuje na szczególną uwagę, choćby z tego względu, że w czasie, gdy w Niemczech stale jest w twórczości orkiestrowej powiększany skład orkiestry (por. Simfonia domestica", „Salome", „Electra" R. Straussa, symfonie Mahlera i Hauseggera) dla osiągnięcia możliwie największego blasku i rozmaitości kolorytu, Debussy nie posługuje się tą olbrzymią machiną, będącą jednym z najdoskonalszych tworów ducha ludzkiego, lecz owszem używa orkiestry, którą dziś możnaby nazwać małą. Jestto tylko zrozumiały wynik oddziaływania formy i stylu Debussy'ego na techniczny aparat. Massywnie i potężnie zbudowane dzieła niemieckich symfonistów, przedstawiające się jako organizm skonstruowany polifonicznie, wymagają odpowiednich środków. Zresztą nietylko w Niemczech obowiązuje ta norma: coś podobnego widzimy także u niektórych francuskich symfonistów (por. symfonię b-dur Wincentego d' Indy lub ostatnie poematy symfoniczne Al. Skrjabina). Debussy jako stylista jest tak zupełnie innym, że inna musi być jego orkiestra, jako środek, który ma wyrazić delikatny świat lotnych wrażeń, nastrojów nieokreślonych często dość uchwytnie, jakby doznawanych mimo wszystko nie w blasku słońca lecz księżyca. Stąd

przeważają u niego ciemne barwy, w każdym razie nie jaskrawe. (Debussy często nie używa trąbek i puzonów). Nie jestto instrumentacya przypominająca malowanie czystemi, niemięszanemi barwami — jak chcą niektórzy krytycy —, przeciwnie tę rozmaitość kolorystyczną, a jednak posiadającą jednolity ton, można osiągnąć tylko — co jest aż nadto zrozumiałem — w drodze mięszania barw, jak to widoczne jest w każdej partycyi Debussy'ego (np. częste unisona klarnetu lub rożka angielskiego z jednym z instrumentów smyczkowych). Także jako instrumentator zdołał Debussy wywrzeć wpływ i poza Francyą. Sposób, w jaki zatrudnia w zespole orkiestrowym instrumenty dęte drewniane, jest nie mniej świetny, jak u Straussa. Przyszłe podręczniki instrumentacyi nie obejdą się bez przykładów z dzieł Debussy'ego.

Mam wrażenie, że mimo całej swej radykalnie odmiennej tendencyi w stylu i w formie, zaczął Debussy przebywać w ostatnich czasach jakieś wewnętrzne zmiany, wyglądające jak powolny odwrót. Już w wielu „Préludes" fortepianowych jest widoczna skłonność do nadania swym utworom bardziej umiarowej formy, nie tak bajecznie rozwiązanej i nieuchwytnej, jak w dawniejszych kompozycyach. Podczas obecnej wojny wydał Debussy — sonatę na wiolonczelę i fortepian. Niestety do chwili, w której słowa te piszę, nie udało mi się otrzymać od usłużnej firmy szwajcarskiej tego dzieła, więc nie mogę osądzić, czy Debussy zbliża się do formy sonatowej, czy też jestto takasama „sonata", jak owych dziewięć „sonat" Skrjabina, które mają formę bardziej swobodną niż niejedna — fantazya. Czyżby Alfred Bruneau, który w swoim czasie, pisząc o muzyce francuskiej, wyraził się, iż Debussy może odczuje żal, że oderwał się od świata rzeczywistego — miał mieć racyę?

W każdym razie Debussy stworzył szkołę — w pierwszym rzędzie we Francyi. Jego najwybitniejszym i dziś już wysoko cenionym zwolennikiem jest Maurice Ravel, jego zmanierowanym naśladowcą zaś jest angielski kompozytor Cyryl Scott. Tym zaś, który zebrał odpadki ze stołu Debussy'ego jest — Puccini. Młodsi kompozytorowie niemieccy jak Schreker, Straesser, Blümml, a po części nawet Reger (por. początek suity romantycznej) udowodnili,

że rozumnie i krytycznie wyzyskane środki harmoniczne Debussy'ego mogą w danej chwili być cenne — nietylko w obrębie systemu francuskiego mistrza. Początek dał jednak Strauss w „Salome", a nie wzgardził nimi nawet d'Indy, którego sztuka jest tak bardzo nawet przeciwną kierunkowi Debussy'ego. W partycyi „Erosa i Psyche" Różyckiego widzę dowody przeniknięcia tegoż kierunku także do Polski. Urodził się Debussy w r. 1862 w St. Germain en Laye; pominąwszy pobyt we Włoszech (1885—88) przebywał D. stale w Paryżu, żyjąc tylko dla kompozycyi. W czasie wojny objął redakcyę krytyczną części dzieł Chopina. Jedną z jego ostatnich czynności było napisanie bardzo pięknej ale i charakterystycznej przedmowy do zbiorowej publikacyi pt. „Pour la musique française". Zdamy z niej sprawę niebawem.

Prof. Dr. Adolf Chybiński.

Mowy ku czci Kościuszki
(przed stu laty wygłoszone).

(Dokończenie).

III.

Gród podwawelski, chociaż najbliżej Szwajcaryi położony i cieszący się swobodą „Wolnego Miasta“, zdobył się na uroczystości żałobne dopiero 11. grudnia. Wystąpił z całą okazałością. Dostojna katedra krakowska, w kiry żałobne przybrana, nie mogła pomieścić tłumów, jakie się garnęły na nabożeństwo. Wspaniały katafalk otaczało duchowieństwo tak zakonne, jak świeckie i władze najrozmaitsze, jak Senat Wolnego Miasta, Komisya Wojewódzka, Reprezentacya Narodowa, Akademia in corpore itd. Był nawet obecny komisarz pełnomocny cesarza, Miączyński.

Mszę celebrował biskup krakowski Woronicz, a przemawiał scholastyk katedralny X. Łancucki „ze zwykłą sobie wymową, do łez wszystkich słuchających pobudzającą“, jak pisze korespondent w Gazecie Wielk. Xięstwa Pozn.

Zajrzyjmy do mowy X. Łancuckiego i przekonajmy się, czy owo orzeczenie nie było zwykłym frazesem dziennikarskim, czy i dziś jeszcze, po wieku całym, mowa wywiera wrażenie.

Bardzo trafnie, z Ekklezyastyka dobrane motto odrazu dostojnością swoją zastanawia, a od razu na dźwięk pierwszych słów budzi się nastrój w duszach zasłuchanych:

„Znowu ponura żałoby pomroka ziemie polskie okryła. Znowu z rozdartych serc rodaków jęki i wzdychania ojczyste napełniły zagrody. Znowu płaczliwe pienia, błagalne ofiary, zwiędłe marnością rzeczy ludzkich ozdoby, szkodę powszechną ogłaszając, Boską tę napełniają Świątynię".

Niedawno, bo 23. lipca chowano na Wawelu zwłoki Xięcia Józefa i wtedy także Łancucki przemawiał; więc teraz o tamtym pogrzebie wspomniawszy, przechodzi do zgonu Kościuszki, a mianowicie zamierza sławić jego „męstwo rycerskie i obywatelską cnotę".

Po ogólnem zastanowieniu się nad prawdą odwieczną, że słodką jest śmierć za Ojczyznę, woła pełen uniesienia:

„Lecz, czyliż tylko sama śmierć ofiarą jest prawdziwej miłości Ojczyzny?... O Kościuszko! Cnotliwy Mężu! Waleczny Wodzu! Zaszczycie rodu Polaków! tej tylko chwały dla Ciebie zabrakło. Odebrane rany w obronie kraju niosłeś do grobu; ale nie był on jeszcze dla ciebie otwarty; okupiły Cię od niego więzy niewoli; została Ci jeszcze pociecha cierpieć za Ojczyznę.

„Całych ona nas dla siebie wymaga; całego życia do usług swoich od nas czeka. Niech się zamienią w pustynię te szkoły, te przybytki nauk, gdzie imię Ojczyzny jest zamilczane! Niech i te świątynie boskie zamknięte zostaną, jeśli na ich ołtarzach imię Boga ojców wzywane nie będzie!"

Zaczynając od przodków „Bohatyra", których żaden z mowców nie wspomina, kreśli żywo i umiejętnie jego życie, ubierając znane szczegóły w odświętną szatę bujnej retoryki. Posłuchajmy:

„Dzięki Tobie, waleczny mężu, żeś imię rodu polskiego na brzegi Hudsonu zaniósłszy, sławę Jego po zmarzłych Kanady jeziorach rozświetnił. Dzięki Twojej cnocie, która wszędzie orężowi Twemu towarzyszyła; dzięki nakoniec szczęściu, z którego ręki, wziąwszy laury zwycięskie, z niemi do ojczystej powróciłeś ziemi".

Umie tu teraz mowca po mistrzowsku zagrać na strunach lokalnego uczucia u słuchaczy, kiedy tak pięknie prawi:

„Kolebką jej (tj. wolności) były mury miasta Krakowa. Tu ona najpierwej żale swe nad upadkiem Ojczyzny rozwodzić zaczęła; tu skargi swe, przeciw zdradzie braci, przeciw przemocy

obcych, przeciw złej wierze sprzymierzonych, do samych niebios przeniosła. Tu garstka miłośników swobód narodowych, nie ważąc sił swoich, hasło powstania zbrojnego wszystkim mieszkańcom ziemi polskiej podała; tu lemiesz i kosa pierwszy raz postać wojennego narzędzia przybrały; tu Tadeusz Kościuszko, naczelnym wodzem siły zbrojnej okrzykniony, podniósł swój oręż, któremu więcej cnota jego niż szczęście towarzyszyć miało."

Natchnienie musiało ogarniać mówcę, kiedy począł wywoływać cienie wielkich generałów, towarzyszów broni Kościuszkowskich, kiedy uderzył w bojową pobudkę legionów, wołając:

„Tymczasem, święty zapał miłości Ojczyzny przeniósłszy się z nad brzegów Wisły, nad łożyska Padu, Tybru i Renu, wdarłszy się nad walczące z chmurami Pireneów wierzchołki, roznosił w towarzyszach broni Kościuszki rzewne czucia nad losem niesprawiedliwie zgładzonego narodu."

„Na barkach to Waszych, waleczni Wodzowie, Zajączku, Dąbrowski, Kniaziewiczu, tułało się imię Polaka. Wyście dawną Jego sławę ocalić i utrzymać umieli wszędzie, gdzie męstwo i cnota działać razem mogą."

Lecz w legionach boleśnie objawiła się Kościuszce „znikomość obietnic". Więc w religii, w przyjaźni, w charakterze swoim szukał pociechy. Jakimż echem drżeć musiały w duszach słuchaczy wreszcie owe słowa kaznodziei:

„Wymówmyż już tu, co dotąd żal w ustach krępuje. Dzień 15. października bieżącego roku był ostatnim życia Tadeusza Kościuszki; w tym dniu dla całego narodu Polskiego żałobą pokrytym, zawołał Bóg tę duszę cnotliwą do mieszkania wybranych".

Mowca kończy wspaniałą prozopopeją do „Szanownego Cienia!" i wskazaniem na nieprzebraną wartość Ofiary przenajświętszej, bo Ona wyjedna niebo Temu, który „walczył i cierpiał za całość tych świętych ołtarzów, tych przybytków Boskich".

Tak oto przedstawia się streszczenie tej, zdaniem naszem, najpotężniejszej mowy, jaką wówczas wygłoszono na ziemiach polskich, ku czci Bohatera. Głębokie i szerokie ujęcie przedmiotu, polot iście poetycki, wspaniałe wyzyskanie danych retorycznych, ży-

cie, ogień, rozmach prawdziwie oratorski, oto zalety, jakie znaczą dzieło Łancuckiego.

Toteż nie dziw, że kaznodzieja katedralny krakowski nietylko współcześnie był znanym i cenionym mowcą, ale chlubnie imię swe zapisał w dziejach kaznodziejstwa. Już w roku 1782 ukazały się jego kazania postne w Warszawie, a szczególnie wsławił się przez świetne kazanie, jakie miał w dzień imienin Napoleona, w roku 1809. Mowy X. Łancuckiego mają tę dobrą stronę, że zachowują jeszcze dziś swoją świeżość. Wydał je X. Kiliński w Poznaniu 1856 r., a jeszcze i w naszym wieku możnaby ponowić wydanie. Razi nas może używanie wyrazów jak: „pieluchy", „ród" zamiast naród, łacina w cytatach, ale styl naogół jeszcze dziś możliwy, o wiele przystępniejszy i przyjemniejszy od stylu biskupa Worcnicza.

IV.

I zabór pruski nie pozostał dłużnym pamięci wielkiego Ziomka. Również okazale, chociaż ostatnia, obchodziła stolica Wielkopolski żałobne uroczystości. Najpierw, bo 12. grudnia, odprawiono nabożeństwo w kościele gimnazyalnym, byli tu między innymi obecni i namiestnik Radziwiłł i naczelny prezes Zerbonieli Sposetti i wielki prezydent de Colomb. Mszę miał X. kanonik Wolicki, a kazanie X. Brodziszewski. Po mszy przedstawił jeszcze X. prof. Antoszewicz życie Bohatera.

Uroczystość właściwa przypadła na 19. grudnia, obchodzono ją w katedrze znowu z udziałem wszystkich niemal władz, a nawet senatorów, generała Dąbrowskiego i wojewody Działyńskiego, nawet Księżna pruska Ludwika z mężem przybyła. W czasie nabożeństwa zbierała młodziutka Eliza Radziwiłłówna składkę.

Mszę św. celebrował X. Gembarski, biskup gnieźnieński, a kazanie wygłosił X. Bernard Bibrowicz, proboszcz z Rzegocina pod Pleszewem.

Motto zaczerpnął z Kochanowskiego i Owidyusza, a jako thema wziął słowa z księgi Mach.: „Płakał go wszystek lud, płaczem wielkim i czynił żałobę dni wiele", poczem tak rozpoczął:

„Prześwietna publiczności! Zebrany ludu!“ „Oblewać łzami zwłoki Człowieka, którego krew lub przyjaźń łączyła z nami — każe naturalna czułość, ale ronić łzy nad zgonem Męża, którego zawód chlubne w pamiętnikach zostawił wspomnienie, każe miłość Ojczyzny i obywatelska powinność.“

Ażeby godnie uczcić tę uroczystość, woła tak pięknie:

„Posępna żałobo! otocz mnie swoim cieniem — niech twoje natchnienie językiem moim włada!“

Kazanie rozkłada się na dwa działy. W „dziale pierwszym“ rozbiera mowca istotę prawdziwej wielkości, podkreślając trudności, jakie w tem oznaczeniu się mieściły, mianowicie wtedy:

„W tych wiekach — Panowie — gdzie sztuka udawania i chytrość do najwyższego posunięte są stopnia, — gdzie namiętność w wszystkich, przemagając jednych, wynosi nad sprawiedliwość — drugim zaciemnia oczy na przekonaniu rozumu — o! jak jest trudno istotną od pozornej rozpoznać wielkości!“

A tej prawdziwej wielkości historya hołd odda, „wieki ją wiekom podadzą“. Należą przecież do takich wielkich mężów: Tytus, Henryk IV, Fryderyk Wielki, „który często z tronu do ubogiej spieszy lepianki, Kazimierz Piast“.

Po tej ogólnej części w „dziale drugim“ przechodzi kaznodzieja do Kościuszki, którego „Ojczyzna umieści na czele Mężów szanownych, jemu współczesnych: Małachowskich, Czartoryskich, Potockich, Czackich, Kołłątajów, Zakrzewskich“.

Następuje dość ogólny życiorys, przyczem dziwna, niepojęta na nasze czasy, występuje rezygnacya, kiedy mowa o nieszczęśliwym wyniku powstania: „Znać jednakże, iż Opatrzność nie chciała nas mieć pośród narodów — gdyż później nieco straciliśmy byt i Ojczyznę. — Bo któryż jest naród, coby trwał wiecznie?“

Dodaje jednak, że to największe nieszczęście stracić wolność.

Wreszcie pięknie opisuje ostatnie lata Kościuszki, wołając:

„Boże nasz! Podobało Ci się zatruć goryczą dni nasze, kiedy obrońcom swobód i wolności narodowej, nie pozwalasz życia zakończyć na łonie naszem, abyśmy obecnością ich zwłoków mogli im te religijne oddawać hołdy.“

A wreszcie, po pięknej prozopopei, zwróconej do „Bohatyra“, dziękuję władzom a osobliwie „Prześwietnej Kapitule“, iż w tych czcigodnych murach, gdzie „się unoszą cienia(!) Bolesławów Chrobrych, Mieczysławów i Kazimierzów“... dała „dowód przywiązania dla godnego Rodaka“, poczem woła:

„O świetne ściany... Czemuż w waszem świętem zaciszu nie możemy tak kosztownego sercom naszym złożyć skarbu... Bodajbyśmy kiedyś prochy Jego ujrzeli“ i kończy słowy „Rzymianina:“ „Koniec życia Twego dla nas opłakany, — dla Ojczyzny smutny — dla obcych nawet i nieznajomych dotkliwy“. Amen.

Rozwiedliśmy się dość obszernie nad kazaniem proboszcza wiejskiego. Zaiste! takie kazanie i katedry i uroczystości było godne, bo należy rzeczywiście do najlepszych ówczesnych. Głębokie, oryginalne, dostojną odziane szatą, jasne i wyraziste, ma dużo swoistego uroku. Gdy się czyta tak poważną mowę, na dalszy plan ustępują błędy i usterki, jak dziwne pojęcia o osobistościach historycznych, podziw dla mężów, którzy na to nie zasługują, brak Pisma św. i wogóle niedostateczne przepromienienie mowy duchem kościelnym. Zachodzi więc pytanie, czy tak niecodziennego mowcę dzieje znają. Niestety! Ks. Pelczar nic o nim nie wie, ani Nowodworskiego Encyklopedya kościelna. Widocznie prócz tej mowy nic, albo nie wiele drukował. Dość częsty to los talentu, rzuconego w niebezpieczne, bo senne i usypiające zacisze wiejskie.

Za to szczęśliwy jest jeden z następnych mowców Hiacynt Zakrzewski; jeszcze po stu latach wspominają o nim rozmaici autorzy i nawet go na księdza święcą. A był to były prezes Izby Administracyjnej Kaliskiej, członek Rady Departamentu poznańskiego, znany swego czasu widocznie z wymowy, bo nie tylko wśród Kościuszkowskich przemawiał uroczystości, ale i na pogrzebowym obchodzie za duszę gen. Dąbrowskiego.

Rzeczywiście mogła mowa jego wywierać pewne wrażenie, tem większe, że Zakrzewski „ośmiela się choć nieudolny głos podnieść“, „jako naoczny świadek cnót i męstwa“ Kościuszki. Po krótkim wstępnie kreśli dość zręcznie życiorys „Bohatyra“. Przyrównując go trafnie do Leonidasa, wołał:

„Przebóg! Jakiż cios okropny dzielną Jego przeraża duszę? gdy mimo niezmordowanych usiłowań, mimo cudów waleczności, nie zdołał odwrócić nieszczęść drogiej Ojczyzny.“

Opowiadając o uwolnieniu Kościuszki, zaznacza błędnie, że z nim 20 tys. Polaków „z głębi Syberyjskich pustyń“ odzyskało wolność.

Po opisaniu życia, podkreśla, że „późny Tacyt bez gniewu i stronności, kreśląc dzieje narodu, zedrze zasłonę z dzieł i wieku twego“. Wreszcie, po dość pięknej prozopopei do „Czcigodnego cienia“ dziękuje „Nayiaśnieyszej Xiężnej“, iż oddała „cześć pamięci Bohatyra dwóch światów“.

Przed p. Hiacyntem Zakrzewskim przemówił jeszcze Jan Amilkar Kosiński, lecz mowa jego nie przeszła do nas.

Na tem kończymy przegląd mów Kościuszkowskich, że się tak wyrazimy, pozgonnych. Przejrzeliśmy wszystkie nam dostępne. Może być, że jeszczeby się tu i ówdzie jakaś odnalazła, boć w Miechowie np. przemawiał X. Klauzowicz, w Krakowie u P. Maryi X. Dzianott, ale nie zmieni ona już w zasadzie obrazu, jaki nam mowy te o Kościuszce i o obchodach żałobnych przedstawiają. Nie wszystkie mowy stanowią nabytek dla dziejów retoryki, ale bądź co bądź, szczególnie mowy „katedralne“ mogą rzucić sporą smugę światła na ówczesny sposób przemawiania wogóle, a w szczególe na sposób odczucia zgonu wielkiego Męża.

Ponieważ wszystkie mowy w tym samym czasie, w tych samych warunkach politycznych, z powodu tej samej wygłoszono okoliczności, nie dziw więc, że w wielkiej części do siebie podobne. Więc we wielkiej części, szczególnie świeckich mów, po wstępie ogólnem i uniewinnieniu, że mowca śmie głos zabierać, następuje życiorys, mniej lub więcej retorycznie skreślony, ukłon w stronę Aleksandra, „wspaniałomyślnego Monarchy“, wysławienie cnót Kościuszki, nawoływanie do naśladowania i zwrot do jego cienia. Są rozumie się, szczególnie w dłuższych na ogół kazaniach duchownych, jak już wskazaliśmy, najrozmaitsze odmiany, ale ten ogólny zarys niemal we wszystkich znaleść można.

Wychwalanie Aleksandra tak się wszędzie powtarza, jakby osobny ukaz wszystkich mowców do tego obowiązywał. Jedyny

X. Szaniawski, mowca warszawski, odbiega od tej stereotypowości. A w niejednej mowie trąci to rozdźwiękiem, boć wiemy, że Kościuszko szczególnie przeciwko Rosyi walczył, a nawet przesadą, jeżeli np. burmistrz wileński, Giec, życzyłby sobie, by „łaskawe Nieba wysłuchały próśb i wzięły z liczby śmiertelnych ludzi tak dobrego i tak łaskawego Monarchę". Jakże to chyżo czasy i ludzie się odmieniają. Toć jeszcze przed pięciu laty z utęsknieniem wyglądano „boga wojny", a teraz jego nieprzyjaciela wysławia się pod niebiosy i nie tylko pod zaborem rosyjskim, lecz i w Krakowie i Poznaniu.

Lecz nas dzisiaj nie tyle zastanawia stosunek narodu do Rosyi, albo dokładniej mówiąc, do Aleksanrda, ile stosunek do Kościuszki, świeżo zgasłego. Otóż, uderza tu na pierwsze powszechny żal i łączący się z nim zapał w urządzaniu wspaniałych nabożeństw i drogocennych katafalków, a nawet przejęcie się jego miłosierdziem dla ubogich. Dziś, możebyśmy żal ten inaczej wyrazili, serdeczniej, prościej, ale przyznać trzeba, że żal ten był szczery, prawdziwie odczuty, a najrzewniejszy drga i łka w kazaniu plebana rzegocińskiego.

Co jednak uderzać może, to ta odległość mowców od zgasłego niedawno Bohatera. Przecież nie mogła się jeszcze rwać nić tradycyi o nim w kraju, boć sporo żyło jeszcze jego rówieśników, znajomych, a nawet towarzyszy broni, boć właśnie niektórzy z nich nawet mowy głosili, a jednak tak mało bezpośredniego oddziaływania, znajomości osobistej z Kościuszką. Nawet na Litwie, skąd się wywodził i gdzie długie pędził lata, tak mało tam w mowach tej osobistej pamięci o nim, jak wyglądał, jak się w życiu urządzał, jakie o nim opowiadano anegdotki. Żaden mowca np. nie wspomni, że u zakonników, Pijarów, pierwsze przechodził nauki. Kilku wspomina o tem, że byli jego towarzyszami broni, ale jedyny Niemcewicz coś szczególniejszego o życiu jego opowie.

A może to wpływ zimnego klasycyzmu, który każe razem z odświętną szatą, taką urzędową, poważną przywdziewać maskę, że niema tam już miejsca dla przyjacielskiego uśmiechu, do lubego wspomnienia lat młodzieńczych, ubiegłych wspólnie z bohaterem spędzonych? Klasycyzm rzeczywiście panoszy się w tych

mowach, wskrzeszając nie tylko imiona Epaminondasów, Milcyadesów, Owidyuszów, Horacych, Tacytów, ale żyjąc ich duchem i zapożyczając u nich szerszego tchnienia. W każdym razie duch klasycznego wykształcenia w retoryce wieje z tych mów i przypomina, że Polacy nie tylko mowcami z urodzenia — jak dowodzi Sarbiewski — ale że tej wymowy uczyli się w szkołach, czy to jezuickich, czy pijarskich, na podstawie świetnych podręczników i żywych ćwiczeń. Dziś, zdaje nam się, nie wszystkie mowy byłyby tak dobre, gładkie i warte wygłoszenia i drukowania, tak czystym napisane językiem, jak owe mowy mowców, nieraz przygodnych, dziś już nawet i encyklopedyom nieznanych.

V.

Uroczystości Kościuszkowskie skończyły się w r. 1817, przynajmniej w Krakowie. Z nową, świetną okazałością podjęto je w pamiętnym miesiącu czerwcu 1818 r.

Kaznodzieja, X. Bibrowicz wypowiedział w katedrze poznańskiej w swej mowie życzenie, które pewnie w głębi wielu dusz nurtowało, życzenie, w gorących zamykające się słowach:

„O świetne ściany... Czemuż w waszem świętem zaciszu nie możemy tak kosztownego sercom naszym złożyć skarbu... Bodajbyśmy kiedyś prochy jego ujrzeli!“

Nie spodziewał się pewnie mowca, że tak wcześnie spełni się jego i narodu życzenie.

Pisze bowiem korespondent Gazety W. Xięstwa Poznańskiego, że „wszyscy zapragnęli, by zwłoki Bohatyra sprowadzono do kraju i godny im dano grobowiec“. Podjął tę sprawę „Rząd Polski“, wysyłając prośbę do Cesarza Wszech Rosyi, a ten zezwolił na wykonanie zamiaru. Tedy obywatele zgromadzeni na Sejmie grudniowym w r. 1817, zanieśli prośbę do Senatu, wyrażając życzenie, by miejscem spoczynku dla Naczelnika stał się Kraków. A kiedy i warszawski rząd na to się zgodził, zajął się książe Jabłonowski, wicereferendarz, sprowadzeniem zwłok. Złożono je już 11. marca 1818. na Kleparzu, w kościele św. Floryana, dokąd napływać poczęły rzesze ludu.

Dopiero 23. czerwca miał być dniem uroczystym złożenia zwłok do grobowca na Wawelu. Już kilka dni przedtem, tłumy gromadziły się w Krakowie nie tylko z pobliża, ale przybywali rodacy „z najodleglejszych prowincyi i okolic“. Po przez roje ludu wiejskiego, który zajmował wszystkie ulice, poprowadził X. Łancucki, w towarzystwie licznego duchowieństwa, w przeddzień o 7-ej godz. wieczorem kondukt żałobny. Zwłoki, wiezione na wspaniałym wozie, ciągnionym przez sześć koni, złożono na przepysznym katafalku, zbudowanym na kształt piedestału kolumny Trajana, zdobnym w białych orłów i tarcz Kościuszki, w murach dostojnej katedry, a mowy przy trumnie, przeciągały się późno w noc.

Nazajutrz, o 10-tej zrana „wśród najpoważniejszych, płci pięknej i wszystkich Władz, obywatelstwa i niezliczonego ludu zgromadzenia“, przemówił hr. Stan. Wodzicki, prezes senatu Rzeczypospolitej Krakowskiej, rozpoczynając uroczystość.

„Rodacy!

„Uczczenie pamiątki tych, którzy, zapomniawszy o sobie całkiem się dla Ojczyzny poświęcili, jest świętym narodu długiem, z którego dzisiaj tem chętniej, naprzeciw Tadeusza Kościuszki wypłacamy się, że podobnie nikt z Polaków, po Kazimierzu Wielkim, tak powszechnie kochany nie był. Od nikczemnych chat, aż do pysznych pałaców, brzmiały dla niego uwielbienia“.

Oddawszy cześć nie tylko Aleksandrowi, którego nazywa „ukoronowanym filozofem“, lecz i drugim dwom monarchom, w prawdziwie pięknych słowach opisuje „wdzięczności zapał“, jaki ogarnął całą ziomków Jego rodzinę, wszystkich synów Polski, od Dniepru do Wisły(!) — „Jest to święto całej polskiej rodziny... Dziś się nam tylko cieszyć przystoi, że Ojczyzna takiego wydała syna, winszować, że Ameryka z Europą na wartości Jego poznały się i naród wielkością Jego uzacniony, przez tak powszechną czułość udowadnia, że nietylko godzien jest, aby się dla niego poświęcano, ale spodziewać się każe, iż mu w przyszłości na mężach równie cnotliwych nie zabraknie.“

Potem rozwodzi się o Kościuszki sławie, której nie zawdzięcza ani rodzinie znamienitej, ani szafowaniu pieniędzmi, lecz przy-

miotom wyższego rzędu: „bez korzystności celów moralności w środków wyborze, nieugiętości w zasadach, całkowitemu poświęcaniu się“. Dzięki bohaterskim czynom, zasłużył sobie na zaszczyt spoczywania obok króla Jana III. i ks. Józefa Poniatowskiego. Żeby uczcić pamięć Jego, powiat „Wrocławski“ (tj. Włocławski) uchwalił dla jednego z „Rycerzy Racławskich“ 724 złote, a przeznacza się dla Józefa Terskiego, rannego pod Maciejowicami, za wierną 36-letnią służbę Ojczyźnie.

Wśród dziękowań Opatrzności, że „imię Polski od Wiednia traktatów wymawiać można bez obawy prześladowania“, nawołuje, by czynem, tj. naśladowaniem cnót, uczcić pamięć „Bohatyra“, a „dopiero wtedy odszczególnimy w zepsutym wieku nasz charakter i naród i zasłużymy w Europie na poważanie“.

St. Wodzicki, znany w piśmiennictwie naszem jako autor dzieł z zakresu botaniki, ogrodnictwa, socyologii, objawia w tej mowie wybitne zdolności mowcze, dostojność szlachetną i szczery patryotyzm.

Po mszy, odprawionej przez B. Woronicza, zabrał głos X. Łancucki i w wspaniałej mowie przedstawił Kościuszkę jako człowieka wybitnemi jaśniejącego cnotami. Dla mówcy, który o Kościuszce przemawiał przed pół rokiem, było niebezpieczeństwo, że przy ponownej przemowie powtarzać się będzie. Tymczasem zajaśniał tu wybitny talent X. Łancuckiego, zatryumfowała sztuka retoryki, która umie na ten sam temat stworzyć odrębne dzieła. Podkreślamy, że drugie kazanie X. Łancuckiego odrębne i co do formy i co do treści.

„Na otarcie łez, poczyna mowca, które z oczu naszych smutny odgłos śmierci cnotliwego rodaka wycisnął, na ulgę żalowi, któremu się cały naród polski w powszechnej klęsce oddał, ten tylko widok pocieszonej żałoby oczy nasze spotyka, że śmiertelne zwłoki Jego z obcej do ojczystej przeniesione ziemi, odtąd miejsce zasługą Jego uświetnione, zalegać będą. Wzywam tu, z pod śmiertelnych prochów imienia twego, Tadeuszu Kościuszko i nim całą wielkość straty naszej oznaczam.“

„Moglibyśmy pozostać w smutnem sieroctwie, bez posiadania zwłok tak ukochanego w narodzie i tak wiele zasłużonego

Ojczyźnie męża? Czyliż zabrakło kawałka ziemi polskiej, którąby te święte zwłoki obrońcy swego na wieczysty spoczynek przyjęła?“

Zaznaczywszy, że zwłoki za łaską Aleksandra przewiezione zostały, i postawiwszy imię Kościuszki w rzędzie „Tarnowskich, Żułkiewskich(!), Chodkiewiczów, Zamoyskich, Potockich, Czarnieckich, Poniatowskich, rozwodzi się o sławie Męża cnotliwego ogólnie, poczem przechodzi do naszego Bohatera.

Reszta kazania to umiejętne, a głębokie wnikanie w charakter Kościuszki i kunsztowne kreślenie jego życia na szerokiem tle dziejów współczesnych. Podziwiać tu można historyozofię, zaklętą w formę retoryczną, kiedy mowca woła:

„Dzięki Opatrzności, że gdy na jednej połowie kuli ziemi straszne te zwaliska słyszeć się dały, na drugiej, cnota, dawszy swoje hasło, nowe wolności siedliska obrała“

A potem sięga mowca do przeszłości i wydobywa na jaw proroctwa Skargi, by pod działaniem ich, w mocarnych słowach zawrzeć opowieść upadku narodowego.

Tak przedstawiwszy życie Kościuszki, nawołuje ku końcowi do naśladowania jego cnoty.

Pewnie, że z istoty rzeczy, różne wypadki i nawet nazwiska powtarzać się muszą i powtarzają w tej drugiej mowie, ale zawsze to w innej formie, i pomijając życiorys, nawet treść po części jest odmienna. Nie ma tu już tego życia, tego żalu drgającego, tej siły retorycznej, jak w pierwszej, jest więcej powagi, spokoju, dostojności, ale i ta mowa, choć niżej stoi od pierwszej, ma swoją niezmierną wartość nie tylko ze względu na Kościuszkę, ale wogóle w homiletyce.

Wspaniałe obrządki, kończy przemowa biskupa-senatora Woronicza. Najdostojniejszy z współczesnych mowców, nawiązując do pogrzebu X. Józefa Poniatowskiego, mówi:

„Dni moje i tego doczekały smutku, abym podobną religijną usługą, uświęcił zwłoki drogiego w rodzie naszym Rycerza, który w murach tej starożytnej Stolicy, podnosząc Sztandar szlachetnego czucia i rozpaczy, zostawił potomności przykład, że naród, choćby najsroższej znękany, nie umiera, póki go duch narodowy nie odbiega.“

Wskazawszy na cara Aleksandra, „równie szlachetnego“, jak „potężnego Mocarza“, jak pozwolił na sprowadzenie „Zwłoków“, i na olbrzymi zjazd z „wszystkich niemal powiatów dwóch Bratnich Narodów“, przechodzi do ogólnego rozważania nad stosunkami politycznymi, przedstawiając je w świetle religii.

Potem, wracając do Kościuszki, podkreśla jego wybitne znaczenie w dziejach narodu, przedstawia „Bohatera“ jako typ „starego Polaka“, podczas gdy my go dzisiaj jako Polaka nowożytnego czcimy i uderza w ton pięknej prozopopei:

„Pociesz się, rodzinna Ziemio Jego, iżeś nam takiego Poczetnika wydała, który hartem skromnej i niewydatnej(!) cnoty zaćmił błyskotną łunę nadętej dumą próżności.“

W końcu błaga Boga, by wejrzał łaskawie na te niemowlęta po rumowiskach wielkości narodowej pełznące.

Nie rozwodzimy się dłużej nad przemową biskupa-poety, bo zresztą nie długa, o Kościuszce mniej przynosi owych szczegółów i jest raczej mową kościelno-polityczną, a zresztą rozpisał się o niej obszernie X. Jougan w swej książce o Woroniczu. Podkreślimy tylko to, że jest mniej wyrazistą i spoistą i nam już mniej przystępną, że względu na dość liczne wyrazy przestarzałe, jak narodowładza, zaszczepca, stanowca, uczuciów, upadu, powietnik, przechowek, wychowu, przegadać upominki. Sam Jougan, chwaląc prymasa, zaznacza, że „całość przedstawia się jako konglomerat luźnych aforyzmów, niekiedy bardzo głęboko pomyślanych i jędrnie oddanych“.[1])

* * *

Oto obraz hołdów, jakie przed wiekiem w murach kościelnych składano „czcigodnemu i szanownemu cieniowi“ Bohatera. Najwyraziściej uwypuklają się w nim zarysy mów, osobliwie wygłoszonych po miastach stołecznych. Dziwić tylko może, że Lwów nie bierze udziału w tych uroczystościach, przynajmniej w „Gazecie lwowskiej“ nie znaleźliśmy wzmianki o jakimś obchodzie miejscowym w mieście.

[1]) X. Prymas Woronicz II. 151.

W tym obrazie uroczystości i mów Kościuszkowskich, rzuca się szczególnie w oczy dziwna, harmonijna jednomyślność, bije jedno gorące, serdeczne uczucie wdzięczności dla Bohatera, wszystkie partye polityczne, wszystkie warstwy społeczne jednoczą się i przez swoich najwybitniejszych przedstawicieli cześć oddają zasłudze. A widoczny z mów ten tryumf, że nie tylko swoi, ale i obcy uznają cnoty polskiego generała, a nawet rządy, z którymi on walczył, nie stawiają na ogół przeszkód i żywy biorą udział w uroczystościach przez swoje miejscowe władze. Prawdziwie, naród cały, jakoby urzędowo, a przytem istotnie szczerze święci pamiątkę swego ostatniego, siermiężnego hetmana.

Ks. Nikodem Cieszyński.

PRZEGLAD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Ks. Dr. Stanisław Zegarliński: **Nauka moralna Epikura** a chrześcijańskie zapatrywanie na najwyższe dobro człowieka. Kraków, 1917. Str. XII + 324.

Epikur, wskazujący na szczęśliwość jako ostateczny cel człowieka, jest poprzednikiem całego szeregu późniejszych filozofów, którzy podobne zadanie stawiają naszemu życiu. Do rzędu ich zaliczyć możemy pomiędzy nowszymi przedewszystkiem Benthama, J. St. Milla i H. Spencera. Ponieważ zaś szczęśliwość jest również najwyższem dobrem człowieka według chrześcijańskiej nauki moralności, zdawaćby się mogło, że sympatyzuje ona z powyższymi kierunkami. Lecz zgodność ta jest tylko pozorną; w rzeczywistości zachodzi zasadnicza różnica. Zrozumieć ją jednak i określić nie jest rzeczą tak prostą, zwłaszcza przy dzisiejszem zamieszaniu pojęć; z drugiej strony kwestya to pierwszorzędnej wagi dla ludzkości. Dlatego słuszną jest rzeczą, byśmy wyrobili sobie o niej możliwie dokładne pojęcie. Zadania tego podejmuje się autor, zestawiając podobieństwa i różnice pomiędzy epikurejską a chrześcijańską etyką. Takim jest pierwszy cel niniejszej pracy.

Nie zamierza ona przedkładać całej nauki filozofa rozkoszy. Poszczególne jego teorye uwzględniane są jedynie o tyle, o ile wiążą się z nauką moralności, jako jej podstawy i założenia. Z tem wszystkiem autor poświęca im sporo miejsca a to ze względu na drugi cel, jaki so-

bie wyznaczył. Niektórzy bowiem czynią Epikurowi zarzut niekonsekwencyi i niesystematyczności. Wbrew nim usiłuje autor wykazać, że nauka moralna tego filozofa da się ująć w system, w którym poszczególne twierdzenia wypływają na ogół logicznie z materyalistycznych założeń, na jakich się wspierają.

Stosownie do wyznaczonego programu znajdujemy w pierwszej części książki historyczną stronę szkoły epikurejskiej; życiorys jej założyciela, jego dzieła i uczniów oraz charakterystykę. Ta ostatnia nastręcza niemało trudności, gdyż źródła starożytne, zachowane do naszych czasów, bywają często zupełnie sprzeczne; jedne przesadnie chwalą, drugie ganią i oczerniają filozofa.

Druga część rozbiera te zagadnienia filozofii Epikura, które potrzebne są do zrozumienia jego teoryi moralności. A więc pojęcie i stanowisko filozofii, kryteryum prawdy, religia i stosunek bogów do ludzi, wreszcie człowiek, jego pochodzenie, namiętności i wolna wola.

Teraz dopiero przechodzi autor do właściwej etyki Epikura i rozbiera ją w trzeciej i czwartej części. Celem najwyższym człowieka jest, jak już wspomnieliśmy powyżej, szczęśliwość. Koło niej obracać się będzie wszystko. Stąd kilka z kolei rozdziałów poświęconych jest rozbieraniu dowodów, że rozkosz jest ostatecznem dobrem oraz badaniu jej natury i rozróżnieniu na stałą i przemijającą, na szczęście ciała i duszy, z uwzględnieniem wzajemnego ich stosunku. Oczywiście pomiędzy cnotami I-sze miejsce zająć muszą te, które umożliwiają osiągnięcie celu, a więc odpowiednio zrozumiana roztropność, męstwo, wstrzemięźliwość i sprawiedliwość. Pozostaje ważna kwestya sumienia, obowiązku i sankcyi a w końcu nieco o obowiązkach społecznych, rodzinnych, państwowych i przyjacielskich.

Przedłożywszy nam przed oczy poglądy Epikura, przystępuje autor w piątej i ostatniej części do pozytywnego wykładu chrześcijańskiej nauki moralności, odnośnie do najwyższego naszego dobra. W kilku dłuższych rozdziałach rozwija kwestyę ostatecznego celu człowieka wogóle i w szczególności, jak również trudne zagadnienie dobra i zła moralnego oraz bodźców naszego działania. Obszerny ten wykład podaje jasno różnicę pomiędzy nauką chrześcijańską a zapatrywaniami nowożytnych utylitarystów i Epikura. Nicość etyki tego ostatniego występuje jeszcze w wyrazistszem świetle, kiedy rozważymy smutne jej konsekwencye a zarazem bezradność wobec cierpień i śmierci, stojącą w tak żywym kontraście do proklamowanej, jako cel życia, szczęśliwości.

Logiczny ten rozkład materyału, łącznie z potoczystym stylem i ja-

snością przedstawienia rzeczy, przyczynia się wielce do wyrobienia sobie należytego na nią poglądu. Zapewne — pozytywna część końcowa, przedkładająca chrześcijańską teoryę moralności, nie jest tak prostą i przystępną, jakby sobie niejeden życzył, lecz okoliczność tę tłumaczy się zarówno trudnością kwestyi jak naukowym charakterem książki. Autorowi chodziło nie tylko o pobieżny wykład zagadnienia, ale o obszerniejsze i gruntowniejsze jego przedstawienie, któreby umożliwiło podanie wystarczającej odpowiedzi na zarzuty nowożytnych. Zoryentowanie się i znalezienie szczegółów ułatwia zamieszczony na końcu alfabetyczny spis rzeczowy i nazwisk, a literatura, cytowana w przypiskach, świadczy o gruntowności i źródłowem opracowaniu rzeczy. To też praca niniejsza jest cennym nabytkiem dla polskiej literatury filozoficznej, tem cenniejszym, że w kwestyi tak doniosłej podaje zdrową krytykę i sąd prawdziwy.

Ks. Stanisław Podoleński.

Ks. Dr. Ludwik Wrzoł. **O Opatrzności Boskiej.** Dla wierzącego ludu. Cieszyn 1918. Nakładem „Dziedzictwa błog. Jana Sarkandra dla ludu polskiego na Śląsku".

Małą objętością mamy przed sobą książkę, ale obszerną, bo bogatą, co do treści, zajmującą co do sposobu przeprowadzenia, urozmaiconą wyborem dowodów i objaśnień.

Opatrzność Boża — jak obszerny to przedmiot — jak wiele obejmuje! Zdaje się, że się z konieczności, pisząc o niej, trzeba ograniczyć do ogólniejszych uwag lub do rozwiązania pewnych szczegółowych zagadnień. Tymczasem autor z dziwną zręcznością i naturalnością zarazem powiązał kwestye ogólnej natury z poszczególnemi zdarzeniami, wyjaśnił ogólne zasady i rozwiązał trudności i wątpliwości codziennego życia — uwzględnił tok spraw potocznych i wyświetlił sposób zdrowego zapatrywania się na nie, faktami historyi ludzkości i zbiorem błędnych teoryi, sięgających nieraz aż do zamierzchłej starożytności. Sposób dowodzenia jest jasny i jędrny. Pismo św. pierwsze zajmuje w nim miejsce, ale jego cytaty bywają przeplatane tylu przykładami i objaśnieniami, że nawet zwykły czytelnik bez trudności pojmie jądro rzeczy. Psalmy przekładu Kochanowskego często bywają cytowane w całości, a zdania innych autorów polskich i zagranicznych tak stosowne znajdują umieszczenie, że poważna skądinąd treść nabiera polotu, zajmuje, miejscami nawet zaciekawia czytelnika.

W ten sposób przedstawia autor w dziewięciu rozdziałach dzieje Opatrzności wogóle, istnienie zła na świecie, cierpienia w świetle doczesności i wieczności, cierpienia niewinnych dzieci i bezbożnych, Opatrzność Bożą wobec zła moralnego czyli grzechu, wobec wojny i wobec modlitwy.

Wzgląd na lud śląski, a który książka ma przedewszystkiem na oku, wymagał także przyjęcia niektórych wyrazów, których się już obecnie w innych dzielnicach Polski nie używa. Ta domieszka prowincyonalizmów nie odstręczy czytelnika. Owszem braterska jedność tego samego plemienia odżywa, odczytując te już gdzieindziej pogrzebane wyrazy. Ma się wrażenie jakby dawni przodkowie zmartwychpowstali i przemawiali do nas językiem, którego używali za życia.

Można więc książkę śmiało zalecić wszystkim stanom. Klasy inteligentne znajdą w niej wiele głębokich myśli i poglądów, literaci nie jeden zabytek, który stanowi cenną pamiątkę językową, prości, zwłaszcza uciśnieni, znajdują zrozumiałą naukę i gruntowną pociechę dla życia, kapłani krótkie streszczenie wszystkiego, co się pod temat Opatrzności podciąga. *Ks. Ludwik Cichoń.*

Dr. Med. Alfred Sokołowski: **Wielkie klęski społeczne i walka z niemi,** Warszawa, Gebethner i Wolff, 1917, str. 375.

Dwanaście wykładów z dziedziny medycyny społecznej, wypowiedzianych na Wyższych Kursach Naukowych, złożyło się na tę książkę. Omawiał autor w swych wykładach najgroźniejsze choroby zakaźne, więc ospę, tyfusy, dżumę, cholerę, influenzę, choroby dziecięce, suchoty i choroby weneryczne. Traktuje takowe pod kątem widzenia społecznym, jako klęski, z któremi wysiłkami zbiorowymi społeczeństwo walczyć powinno. Wykłady obfitują w dane historyczne, dotyczące omawianych chorób, ich statystykę, omawiają popularnie naturę każdej choroby i środki do jej zwalczania. Najwięcej, bo aż trzy wykłady, poświęcił autor gruźlicy, tej najbardziej nękającej ludzkość pladze. Omawia również kwestyę alkoholizmu, jako podłoża, sprzyjającego rozwojowi wielu zaraźliwych chorób. Książka, napisana lekko i zajmująco, zasługuje na rozpowszechnienie w kołach inteligentnych. Dostarczy wielu wskazówek, jak osobiście ustrzedz się zarażeń i zachęcić może wszystkie do zbiorowej akcyi w celu zwalczania tych istotnie „wielkich klęsk społecznych". Jedno tylko mamy do zarzucenia auto-

rowi: nie docenia on, zdaje się, wpływu ze strony religii i Kościoła w walce z prostytucyą i alkoholizmem. Tak np., wspominając o wysiłkach zwalczania tego ostatniego, wylicza różne świeckie związki abstynenckie, nie wie nic atoli o kościelnych bractwach trzeźwości, o misyach i rekolekcyach, tak że zaledwie jednym ogólnikiem (na str. 368) uznał wpływ duchowieństwa katolickiego na tem polu. *J. U.*

Joannes Sajdak, **De Gregorio Nazianzeno poetarum christianorum fonte,** Cracoviae, sumptibus Academiae litterarum 1917 (80 str. –8° lex).

Już przed rokiem — zdając sprawę z dzieła, prof. T. Sinki p. t. De traditione orationum Gregorii Nazianzeni (1917) — omawiał Przegląd wielkie przedsięwzięcia, jakie podjęła nasza Akademia Umiejętności, przygotowując krytyczne wydanie pism Grzegorza z Nazyanzu. Dziś pragniemy pokrótce zwrócić uwagę naszych czytelników na inne jeszcze w tym kierunku prace. Znany chlubnie z swych krytyczno-filologiczych prac profesor Uniw. lwowskiego Dr. Jan Sajdak, który obok profesorów Sternbacha i Sinki opracowuje dla Akademii dzieła wielkiego teologa z Nazyanzu, wydał w r. 1914 swą: Historia scholiastarum et commentatorum Gregorii Nazianzeni. Jak wiadomo, zajmuje ten Ojciec Kościoła pierwsze miejsce między pisarzami i poetami chrześcijańskimi epoki bizantyńskiej, któremu z tego powodu współcześni i potomni uczeni poświęcali liczne „scholia" i komentarze. Do takich należał np. Maximos Confessor, Eljasz z Krety, Niketas z Heraklei, Euthymios Zigabenos i Nikofor Kallisto Xanthopoulos. Aliści na pilną uwagę badaczów literatury greckiej zasługują także i scholiaści mów Grzegorza, jak np. Pseudo-Nonnus, Basilius Minimus, Georgios Mokenos, Jan z Cypru (Geometres), Michał Psellos i inni. Im przeto przedewszystkiem poświęcił swe badania prof. Sajdak już w r. 1914.

Na tem jednak nie poprzestał. W nowej pracy, wydanej w roku ubiegłym, uczony autor bada wszechstronnie a sumiennie wpływ, jaki poezya i mowy wielkiego teologa wywarły na późniejszych poetów Wschodu chrześcijańskiego. W tym celu omawia naprzód trzy rodzaje pieśni kościelnych (tj. psalmy, hymny i ody duchowne), o których — jak się zdaje — wspominał już Apostoł narodów w liście do Efezów (5 18. 19). Nie wchodząc tu bliżej w ich mało uchwytne różnice między sobą, które — zdaje się trafnie — uwypukla prof. Sajdak, trzeba

podkreślić zupełną słuszność jego twierdzenia, że tak zwane „Ody Salomona", wydane w r. 1909 przez Harrisa, są właśnie najstarszą spuścizną poezyi chrześcijańskiej z pierwszych wieków, jaka się nam przechowała. Charakter dogmatyczny jest główną jej cechą. Gdy jednak Aryusz i obydwaj Apollinaryusze (ojciec i syn) zaczęli w w. IV. szerzyć swe błędy między ludem także zapomocą pieśni, Sobór Laodycejski (około r. 360) zakazał, aby n o w y c h hymnów po Kościołach nie śpiewano, a Grzegorz z Nazyanzu, choć sam już w podeszłym wieku, ułożył nawet dwa hymny dogmatyczno-moralne, by naukę o Trójcy św. między ludem utrwalić i wyjaśnić. Nie śpiewano ich jednak po kościołach, by zadość uczynić przepisom Soboru. Natomiast mowy Grzegorza, przeplatane wierszami i rytmami o charakterze dogmatycznym, znalazły bardzo silne echo wśród pisarzy następnych wieków i zwolna weszły nawet do kościołów. Jak wynika z trafnych, a nieraz bardzo pomysłowych wywodów prof. Sajdaka, do staro chrześcijańskich pisarzów, którzy najbardziej ulegali wpływom teologa z Nazyanzu, należy zaliczyć naprzód D o r o t e u s z a opata z VI. w. On to do swych Didaskaliai (zwłaszcza do XXII i XXIII) wyciągnął rytmiczne ustępy z mów Grzegorza, jak np. Orat. 1. Eis to hagion Pascha (P. G. 35, 396 A) i Orat. 35 (P. S. 35, 1173 C. D), które nawet mnichom swoim, jako kościelne pienia, w dni świąteczne śpiewać zalecił. — Po nim w w. VII. zasłynął w tejże Palestynie J a n D a m a s c e ń s k i, autor przepięknych hymnów na niedziele i święta. Jego np. „Kanon eis ten kyriaken ton Pascha" przypomina wielce mowy Grzegorza (1 i 45), chociaż — trzeba to wyznać — Jan Damasceński nie wypisuje niewolniczo całych zdań z pism Grzegorza, jak to np. czynił jeszcze Doroteusz Opat. — Pomijając cały szereg hymnów anonimowych, które pośrednio lub bezpośrednio opierają się na Grzegorzu, wspomnijmy (za Sajdakiem) przynajmniej K o s m ę z M a j u m y (w w. VIII), A x s e n i u s z a z K o r c y c y (w w. IX) i N i k e f o r a B l e m m y d e s a (w w. XIII po Chr.). Ten ostatni np. taką otaczał czcią teologa z Nazyanzu, że na jego cześć pisał ody (akolouthiai), przepełnione obrazami a nawet wyrazami z pism tegoż Biskupa. Wszystko to wskazuje wymownie, jaką powagą cieszył się wielki teolog po swej śmierci, całe niemal dziesięć wieków. Że ustępy z mów jego weszły powoli w kościelną liturgię tak grecką jak i łacińską, tego dowodem księgi kościelne kościoła wschodniego i zachodniego.

Oto krótka nić nader treściwych a sumiennych wywodów prof. Sajdaka. Po tak gruntownych studyach, które zawdzięczamy ideal-

nemu zespołowi takich uczonych a wytrawnych filologów jak profesorowie Sternbach, Sinko i Sajdak, można z całym spokojem i ufnością oczekiwać, że samo wydawnictwo dzieł „teologa" będzie należało do najkrytyczniejszych i najlepiej przygotowanych prac filologicznych naszego zakrwawionego stulecia. Oby i inni pisarze kościelni złotej ery greckiej i łacińskiej doczekali się podobnie monumentalnych opracowań! Przez wydawnictwo dzieł Grzegorza, zakrojone na tak szeroką skalę, a przeprowadzone z takim aparatem wiedzy i krytyki, filologia polska stawia sobie pomnik a e r e p e r e n n i u s. Hołd tym cichym, uczonym, a niezmordowanym pracownikom!

Ks. prof. Wł. Szczepański T. J.

E d w a r d S ł o ń s k i. **Ta, co nie zginęła...** Wybór wierszy o Polsce, o wojnie i o żołnierzach. Str. 204.

Wśród powodzi wierszy, jakie wywołała doba obecnej wojny, korzystnie i mile wyłaja się narodową nutą i tchnieniem prawdziwej poezyi „Beranger polski", Edward Słoński, w tym ostatnim tomiku swoich piosnek żołnierskich. Wyrosły one, jak cudne kwiaty, z krwawego zamętu, w jaki kraj nasz rzuciła wojna światowa. W prostych wyrazach głoszą te piosenki ból nasz, nadzieje radości i tęsknoty, związane z idącymi szybko wypadkami. Skarży się więc poeta na dolę naszą, która w trzech armiach pędzi przeciw sobie synów jednej ziemi, skarży się, że nie wie, jak dobyć oręża, bo ojczyzna jego bez kopców, bez granic, — „w pieniach kozackich zgubiła swój ton". W tych masach wojsk, które się przewalają po polskiej ziemi, „naszego nie masz oręża, tylko się nasza leje krew", to też smuci się poeta z doli narodu, smuci się ze zgliszcz, jakie szerzy wojna w ziemiach polskich. Przecież przez te smutki i żale przebija dobra otucha: Oto „nasz sen rycerski, sen o szpadzie, wreszcie się dzisiaj jawą stał". Piosnka Słońskiego głosi, że z tych bojów, z tej krwi przelanej wyróść musi „Ta, co nie zginęła", że pola, zdeptane przez tysiączne wojska, „chabrami i rumiankiem zasieje z wiosną Bóg".

Znajdujemy w prostych wierszykach Słońskiego i echa proklamacyi 5 Listopada i bojów legionowych. „Tym, co odeszli" rzuca poeta gorące pożegnanie za łuny zgliszcz i zniszczenia, „o tych co przyszli" mówi ostrożnie i pod alegoryą raczej: wszakże książka wyszła pod cenzurą... Tej zapewne okoliczności przypisać należy, że brak w tym zbiorku ładnej piosenki o pogrzebie austryackiego ułana, Polaka, w którym biło

serce „bezpańskie", „choć mundur słonił go obcy". Wogóle wypadki bieżące ocenia poeta trzeźwo bez złudzeń i sercem prawdziwie polskiem je odczuwa. Oburza się Słoński na „autorów protestu przeciwko daleko idącym uchwałom", nie wierzy przecież pomocy obcej i myśl swą podnosi jedynie do Boga. Oto co mówi w prześlicznym wierszu „Bóg czuwa":

Śpij Haniu, śpij i nad nami
Dziś kiedy zdeptał nas wróg,
Tak samo jak nad słowikiem
W błękitach gdzieś czuwa Bóg!

Całokształt wierszy Słońskego budzi niezwykłe miłe wrażenie świeżością uczucia i wdzięku poezyi prostej a rzewnej. Niemile uderza pewna apoteoza „czerwonych sztandarów w wierszu „1 Listopada 1905". W wierszu „Omój rozmarynie" przebija ton swywolnych erotyków, poza tem znajdujemy tu prawdziwe perły natchnień, pełne poetycznego blasku. To też sądzimy, że piosenki te, obok wojennych pieśni „Janusza" znajdą na zawsze zaszczytne miejsce w skarbcu polskiej poezyi.

Ks. T. Karyłowski.

Aleksander hr. Fredro: **Trzy po trzy.** Pamiętniki z epoki napoleońskiej. Wydał H. Mościcki, nakł. Gebethnera i Wolffa, str. L + 228.

Nowe wydanie pamiętników naszego najpopularniejszego komedyo-pisarza trzeba nazwać wspaniałem. Odbito je na kredowym papierze w formacie in 4° i ozdobiono 60 ilustracyami, przeważnie reprodukcyami osób, o których pamiętniki wspominają. Wartość wydania podnosi obszerna przedmowa pióra Adama Grzymały-Siedleckiego, pomagająca czytelnikowi wczuć się w piękną duszę autora pamiętników.

Karol Rzepecki: **Pułk czwarty** (1830—1838), szkic historyczny według relacyi ustnej i pamiętnikarskich notatek Kajetana Władysława Rzepeckiego, napisał.... Poznań 1916, str. 190.

Prawie całkowicie oparta na zapiskach podporucznika Rzepeckiego stanowi ta książka przyczynek do historyi „czwartaków" i ich udziału w wojnie 1830—1831. Wydana ozdobnie i licznemi ilustracyami (portrety dowódzców, mapy) opatrzona będzie miłą lekturą zwłaszcza dla młodzieży.

Ks. Władysław Staich. **Królestwo Maryi.** Nauki majowe o N. Maryi P. na tle dziejów Polski. Stron 464. Kraków 1917. Cena 6 kor.

Nie mija w Polsce ani jeden rok, w którymby nie ukazała się nowa książeczka o Królowej Korony Polskiej, zwłaszcza na miesiąc maj. Ten rok przyniósł nam niezwykłą, oryginalną pracę, jakby na to obliczoną, aby bramy nowej Polski na oścież otwarła zawczasu wszechwładnemu panowaniu Maryi w Polsce, a tak Polska stała się w najpełniejszem znaczeniu słowa państwem Maryi. W 32 pięknie tytułowanych rozdziałach wykazuje autor, oparty na dobrych źródłach historycznych, czem była Marya dla Polski i jak życie i dzieje nasze wszechstronnie były związane z Jej służbą i z Jej imieniem. Trzeźwo patrzy się na przeszłość, bez ogródki wykazuje to, co nie licowało w niej z królowaniem Maryi i co było przyczyną upadku Ojczyzny. Książkę czyta się z wielkiem zajęciem i niechybnie przyniesie ona wiele pożytku i oświaty religijnej. Może nie wszystko przyda się tu kaznodziei majowemu, czytelnik jednak z zaciekawieniem rosnącem będzie się w niej zagłębiał i z wdzięcznością przyzna, że dowiedział się z niej wielu rzeczy nowych i pożytecznych dla życia i cnoty. *Ks. J. N.*

Z piśmiennictw obcych.

Henri Hauvette, Professeur adjoint à l'Université de Paris.— **Boccace.** Etude biographique et littéraire. Libraire Armand Colin, Paris. Str. XII + 501.

Dzieło to francuskiego uczonego służyć może za wzór, jak powinno się pisać studyum biograficzno-literackie. Prof. Hauvette z właściwą Francuzom jasnością i plastyką przedstawił w niem Boccacia tak, że przed czytelnikiem staje jak żywa postać „ojca prozy włoskiej, autora „Dekamerona", będącego jednym z najznakomitszych dokumentów „komedyi ludzkiej", pierwszego niemal humanisty włoskiego a przytem gorącego wielbiciela Dantego, serdecznego przyjaciela Petrarki i wogóle świetnego przedstawiciela geniusza rasy łacińskiej.

Rezultat taki zawdzięcza autor temu, że umiał w swej pracy harmonijnie pogodzić wymagania krytyki literackiej z tem, czego się żąda od biografii. To zaś nie zawsze udaje się krytykom, względnie historykom literatury, piszącym monografie, gdyż często bierze u nich górę albo strona czystej krytyki literackiej, albo anegdotyczno-biograficzna.

Należy przytem zaznaczyć, że prof. Hauvette napisał swe studyum z dokładnością, nawet pedanteryą, rzadko spotykaną u Francuzów, tak, że skutkiem mnóstwa cytat w przypisach jest ono miejscami trochę ciężkie w czytaniu.

Dla każdego, co interesuje się historyą literatury powszechnej, dzieło to francuskiego uczonego posiada dużą wartość, pozwala bowiem wglądnąć w początki wyłaniającej się z mroku wieków średnich zorzy włoskiego renesansu, który pod postacią humanizmu wyprzedził znacznie wiele odrodzenie w zakresie sztuk plastycznych i budownictwa. Autor unika wprawdzie dygresyi, tu i ówdzie jednak szkicuje kilku śmiałymi rzutami w sposób mistrzowski te bujne, młodzieńcze „trecenti". Na tem tle wypukla się postać Boccacia, obdarzonego szalonym temperamentem, niewyczerpanym humorem, wielką ambicyą i niezrównanym artyzmem.

W młodości i wieku dojrzałym jestto swywolny sceptyk, biorący chciwie od życia wszystko, co mu dać ono może. Po przekroczeniu czterdziestki usposobienie jego zmienia się, poważnieje on, w starości staje się nawet pobożnym i z ubolewaniem wyraża się o swej poprzedniej twórczości literackiej, mogącej niejednego zgorszyć.

Szeroki ogół zna Boccacia tylko jako autora „Dekamerona". Tymczasem napisał on szereg innych utworów, jak „Fiametto", „Filacelo", „L'Ameto", „Amorosa visione" itd. W romansach tych upatruje prof. Hauvette początki współczesnego romansu psychologicznego. Dalej napisał on życiorys Dantego, będący właściwie hymnem pochwalnym na cześć wieszcza i florenckiego spółziomka, niedokończony komentarz do „Boskiej Komedyi", będącej treścią jego wykładów przez rok jeden w „Studio' florenckiem, pamflet przeciw kobietom „Il corbaccio", szereg wierszy łacińskich wzorowanych na bukolikach Vergiliusza, rozprawy: „De claris mulieribus" i „Genealogia deorum gentilium" i w. in.

Wielce ruchliwy żywot Boccacia wypełniły, obok prac pisarskich, wielokrotne misye dyplomatyczno-polityczne, spełniane z ramienia rządu rzeczypospolitej florenckiej do rozmaitych rządów w ówczesnych rozdrobnionych Włoszech i do Papieży, przebywających w Awinionie,

częste podróże po półwyspie Apenińskim a szczególniej do ukochanego przezeń Neapolu, gdzie spędził najpiękniejsze lata swej młodości, wreszcie rozległa korespondencya z wielu uczonymi, poetami, literatami i osobistymi przyjaciółmi, która dochowała się w znacznej części, stanowiąc nieoceniony przyczynek do charakterystyki ludzi tamtej epoki.

Jeżeli na kim, to na Boccaciu sprawdza się fakt stwierdzony przez naukę, że inteligencyę bierze się po matce. W jego talencie przeważają zalety, które do dziś dnia stanowią urok pisarzy francuskich: lekkość stylu, oryginalność w ujęciu tematu, jasność rozumowania, niezrównany dowcip i górujący ponad tem wszystkiem — zdrowy rozsądek. *J. Trepka.*

Gabriel Hanotaux: **La France vivante.** Paris. Hachette et Cie.

Znakomity pisarz i członek Akademii francuskiej postawił sobie za zadanie zbliżyć społeczeństwo swoje do Ameryki płn. przez wspomnienia dawnych tradycyi, w których jaśnieją imiona Champlain'a, kolonizatora Kanady, Montcalm'a, jej bohatera, Lafayette'a, bojownika o wolność Stanów Zjednoczonych. Oddawszy hołd przeszłości, wchodzi w teraźniejszość i pragnie przez nawiązanie bliższych stosunków między Francyą a Ameryką płn. podnieść ojczyznę swoją, wyświetlić niejedną prawdę i przez to przygotować przyszłość. Czyniąc to, wznosi się po nad ducha „businessu", choć i ten mu jest znany, ale twierdzi, że jeśli dobrą jest wymiana wytwórczości materyalnej, to równie ważną lub ważniejszą jest wymiana myśli i przykładów. Mówiąc o Kanadzie, podnosi autor tę tak kulturalną kolonizacyę bez ucisku i ciężącej władzy. Jakie jest znaczenie takiej aneksyi, pokazuje Kanada francuska, w której, mimo zmiany rządu, żyje wciąż geniusz rasy francuskiej i jej dusza. „Zwycięzca" — mówił Samuel Champlain w XVII w. — „winien być liberalnym, ludzkim i uprzejmym — winien dotrzymywać słowa, a strzedz się zemsty i okrucieństwa. Jeżeli tak wykorzysta swoje zwycięstwo, zyska sobie szacunek i życzliwość nawet u pokonanych nieprzyjaciół".

Francya może się wiele nauczyć od Ameryki, więc autor pragnie, by młodzież francuska mogła tam jeździć, by przed zaczęciem życia czynnego poznać tamtejszy obyczaj, pracę, nowy światopogląd; taka „wentylacya" usunęłaby niejedno uprzedzenie i wzmocniła młodzież, która nie wyrabia dostatecznie swoich sił w ramach życiowych zbyt

wygodnych i zbyt przewidujących. Pragnie on tej samej szkoły dla młodych dziewcząt, które przez poznanie amerykańskiego społeczeństwa i obyczaju, stałyby się więcej „sobą". Amerykański „self control", nawyknienia do oceniania następstw swoich czynów, to byłaby główna korzyść ze zbliżenia się do Ameryki. Zyskałaby na tem i radość życia, bo nuda i pessymizm rodzą się z lenistwa, nieznanego amerykańskiemu społeczeństwu.

W cywilizacyi obecnej istnieje pewna tendencya do osądzania wartości narodów wedle ich potęgi ekonomicznej. Bogactwo Francyi posiada źródło obfitsze: jest niem żywotność i bujność narodowej wytwórczości. Francya dźwiga ciężar pracy z wytrwałą wesołością, z nieslabnącą nigdy energią, a nie było chyba przedsięwzięć o światowem znaczeniu, którychby nie popierała swemi subsydyami.

Bezsprzecznie jest prawdą, iż Francyi grozi depopulacya; rodziny francuskie są nieliczne i boją się przyrostu dzieci. Pozostawiając na boku czynniki natury moralnej, autor mniema, iż kolonialna ekspanzya może tu być potężnym środkiem pomocniczym, stawiając eksyomat, iż im więcej dany naród rozszerza się na zewnątrz, tem bardziej rozrasta się do pracy na niej. — Niewątpliwie, pogłębienie zasad moralnych, pojmowanie życia mniej samolubne, a oparte o ideał wyższy, najpierwszym będą tu środkiem zaradczym. Ale i dziś, czy niema tych zasobów moralnych w narodzie, który pierwszy szedł na wyprawy krzyżowe, zasiał swoją ziemię lasem gotyckich świątyń, szukał zawsze prawdy, a i w obecnej dobie poświęca zawsze teraźniejszość dla przyszłości? Takie narody nie giną, bo oparły się nie o to, co przemija, ale o to, co jest wieczne; wysiłki intellektualne są także i wysiłkiem moralnym, bo podnoszenie się ku idei wznosi zarazem do wieczności. Pomimo szerzącego się w niej zwątpienia i pessymizmu, Francya wierzy, bo gorące miłosierdzie, miłość piękna i głód poświęcenia się napełniają jej życie prywatne i publiczne. W ojczyźnie św. Ludwika i Wincentego a Paulo wiara jest zawsze żywotną: od szeregu stuleci po dzień dzisiejszy missye katolickie zasilają się najwięcej Francyą, jej ludźmi, jej duchem ofiary, a nawet w tej smutnej dezoryentacyi duchowej, która cechuje naszą dobę, religijne myśli i uczucia stanowią potężny, choć może nieraz ukryty motor.

Rozwój katolicyzmu w Ameryce płn. jest zjawiskiem historycznem pierwszorzędnego znaczenia, a zajęcie Kanady przez Francyę było zarazem jej ewangelizacyą, bo jak wyrzekł biskup Ireland „Francya jest ojczyzną missyonarzy".

W obecnej dobie Stany Zjednoczone liczą 15 milionów katolików. Ameryka zrodziła się do katolicyzmu od chwili, gdy Krzysztof Kolumb stanął na jej ziemi. Żyje w niej 150 milionów katolików od zatoki hudsońskiej począwszy aż do cieśniny Magellana.

Patrząc tylko ze stanowiska czysto ludzkiego, Kościół rzymski szerzy się, bo jest potężną organizacyą, służącą największej cywilizacyjnej myśli, jaka kiedykolwiek istniała na ziemi.

Imię Francyi związane jest nierozdzielnie z ekspanzyą katolicką w świecie, specyalnie w Ameryce.

Historya czasów nowożytnych, począwszy od wojen krzyżowych, od wypraw Vasco de Gama i Krzysztofa Kolumba, jest historyą kolonialną. Mocarstwo bez kolonii jest potęgą bezpłodną, a wdzięczność dziejów zwraca się zawsze ku narodom kolonizującym. Francya XVII w. umiała mądrze skolonizować Kanadę, w XVIII. mimo bohaterskich wysiłków Montcalm'a, nie umiała jej utrzymać. Dzisiejsza Francya pojmuje znaczenie kolonii i swoje posłannictwo w tym kierunku; złożyła na to dowody w Algierze, w Tonkinie, w Tunisie, Kongo i Madagaskarze. W ekspanzyi swojej kolonialnej winna zachować wspomnienie błędów, popełnionych w sprawie Kanady, aby ich uniknąć gdzieindziej. Lecz mimo utraty władzy nad Kanadą, wpływ ducha francuskiego żyje tam obok wdzięcznego wspomnienia rządów prawdziwie kulturalnych. Dowodem na to uroczystość odsłonięcia pomnika Champlain'a nad jeziorem, noszącem jego nazwisko. Przybyła na nią delegacya Komitetu Franko-amerykańskiego, którego zadaniem łączyć Francyę z obiema Amerykami, bo jeśli Ameryka płn. nastręcza szersze pole działania, to Ameryka płd. bliską jest Francyi przez rasę i kulturę łacińską.

Uroczystość odsłonięcia pomnika Champlain'a, złożenia wieńca na grobie Montcalm'a, oddanie Kanadzie rzeźby Rodin'a, przedstawiającej „Francyę", była symbolem tej unii duchowej, która przetrwała stulecia i z korzeni, głęboko tkwiących w ziemi, nowe, zielone wypuszcza gałęzie na przyszłość.

Helena Skolimowska.

Romain Rolland. **„Au dessus de la mêlée".** Paris. — Librairie Paul Ollendorf. 1916.

Pomimo, że wojna dzieli i rozdziela świat na wrogie obozy, siejące nienawiść, zniszczenie i śmierć, szlachetne duchy ludzkie wznoszą się

„ponad wojenną zawieruchą“ i usiłują zadzierzgnąć nici, z których ma się uprząść trwały prawdziwy pokój. A ma on wyrosnąć z głębi uczuć ludzkich, z miłości i poszanowania człowieka, skarbów i dorobku jego ducha, jego wolności i tej wspólnoty, która czyni wszystkich ludzi dziećmi jednego Ojca. Takie myśli podają nam pełne filozoficznej i religijnej głębi pisma Fr. W. Foerstera — podobne im, choć niestety, nie tak religijnym, ale szlachetnym jednak duchem natchnione, przemawiają do nas ze zbioru Romain Rolland'a: „Au dessus de la mêlée“. Rozpoczyna je prześliczny ustęp z „Jana Krzysztofa“, który autora swego uczynił sławnym, a ustęp ten, w obliczu europejskiej wojny, brzmi niemal proroczo, napisany na dwa lata przed jej wybuchem. We wstępie do tej aktualnej swej książki Romain Rolland składa wyznanie wiary w braterstwo ludów, w ich jaśniejszą przyszłość, gdy chrześcijański ideał przeniknie społeczeństwa i rządy.

I rzuca siejbą swoją w zakrwawioną ziemię z ufnością, że zejdzie żniwo.

Porwane wojennem upojeniem społeczeństwo francuskie odnosiło się nieprzyjaźnie do szlachetnych, beznamiętnych myśli Rollanda — zupełnie jak w Niemczech do Foerstera.

Artykuły Rollanda wychodziły w dziennikach szwajcarskich — w r. 1916.

Wydał je w Paryżu, zebrane w książkową całość. Rozpoczyna ją List otwarty do Gerharda Hauptmanna, wzywający jego i niemiecką, umysłową elitę, do podniesienia głosu przeciw czynom wojennym, zaprzeczającym wielkiej, starej kulturze. W rozdziale „Pro aris“, przedkłada, iż wojna, wydana ludziom, winna jednak szanować pomniki kultury „tę arkę przymierza pomiędzy dawnymi a nowymi laty“ — i żąda, by myśliciele danego narodu nie pozwalali na zatruwanie jego duszy przez gloryfikacyę spustoszeń, czynionych w imię wojny, z zaprzeczeniem cywilizacyi. W dalszych rozdziałach walczy z tem, co było przyczyną tej niebywałej światowej katastrofy: z imperyalizmem, militaryzmem, z nienawiścią we wszelkich jej kształtach. A walcząc z nią, wie, iż zarówno jak i on, czują tysiące serc we wszystkich krajach świata.

Ciekawem jest porównanie, jakie robi między pangermanizmem a panslawizmem. Może my, znający bliżej duszę Rossyi, nietylko przez pryzmat pism Tołstoja i Dostojewskiego, nie ze wszystkiem zgodzilibyśmy się na wywody autora; niemniej wywody to niezmiernie zajmujące. Pyta dalej Rolland, czy Europa uważa swoją cywilizacyę za

tak silną, że się nie boi zachwiania jej posad? Czy nie było obowiązkiem pokojowo rozdzielać owoce pracy świata i jego bogactw? Czy silniejszy musi zawsze marzyć o zagarnięciu słabszego pod swój pyszny cień? a słabsi muszą się łączyć, aby wspólnie tamtego obalić?

Znamiennym rysem tej potwornej epopei jest jednomyślne oświadczanie się wojujących narodów za wojną; to jakby epidemiczny szał, rzucający miliony przeciw sobie w krwawej zawierusze; rozum, nauka, poezya, wszystkie siły umysłu idą w służbę tej idei. Ale duch jest światłem; obowiązkiem jest wznieść go ponad chmury które go chcą zaćmić ciasnotą nienawiści.

Pełnym gorących uczuć ludzkich jest rozdział „Inter arma caritas", w którym roztacza niedolę jeńców cywilnych i zapoznaje z akcyą, jaką zawiązano w Genewie, by jej ulżyć. Jasny to obraz i jaśniej się robi na duszy na widok, ile dobra i miłości wykwita jednak z serc prawdziwie chrześcijańskich czasu tej zawieruchy, miotającej istnieniami ludzkiemi, jak zeschłymi liśćmi.

Specyalne zajęcie budzi zestawiony przez Rollanda przegląd literatury wojennej młodych Niemiec. Ciekawym jest fakt, że poeci i pisarze starsi porwani są szałem wojny i śpiewają peany na jej cześć.

Młodsi — na widok cierpień, jakich wojna jest sprawczynią, mają serca pełne tkliwości i żalu współczującego. Może właśnie z serc tej szlachetnie czującej mniejszości spłynie na świat zdrój, łagodzący jego rany i uniemożliwiający zadawanie podobnych w przyszłości. W poezyach, w listach, pisanych w obozie, ujawnia się tęsknota dusz do pokoju, do miłości i harmonii — wyrywają się okrzyki boleści, łagodzonej wiarą, że „Bóg każe ludziom przechodzić przez to piekło, aby się lepiej nauczyli tęsknić do nieba i kochać je".

Helena Skolimowska.

Lettres de prêtres aux armées — recueillies par Victor Bucaille. Paris, Payot et Cie 1916.

Ustawa francuska z r. 1905 uczyniła księdza żołnierzem, podporządkowała go regułom i karności wojskowej z hasłem: „Les curés sac au dos". W czasie pokoju ksiądz był żołnierzem tak samo jak byli nim ludzie innych zawodów; w czasie wojny, kapłan wyrósł ponad żołnierza i przeistoczył go. „Eris sacerdos in aeternum". Kiedy po bitwie ustaje pomruk dział i pękanie granatów, a słyszeć się daje jęk kona-

jących i rannych, widać niejednokrotnie żołnierzy, nieraz także ugodzonych, pochylających się nad umierającymi i kreślących nad nimi znak ostatniej absolucyi i błogosławieństwa: to księża żołnierze, którzy walczyli obok towarzyszy, a w ostatniej chwili niosą im słowo pokoju i zbawienia. Intencya, która powołała księży do służby wojskowej, była prawdopodobnie zupełnie inna od wyników, jakie przyniosło zastosowanie tej ustawy, zwłaszcza w czasie wojny. Obecność księży w okopach, dzielenie przez nich trudów i niebezpieczeństw wojennych, ich przykład, ich słowa, roztaczają niewymownie potężny wpływ. Wraz z nimi wszedł Chrystus w życie żołnierza, przez nich wyciąga błogosławiące dłonie nad niedolą wojenną, ich ustami wymawia słowa przebaczenia i łaski nad tymi, którzy oddają życie za ojczyznę.

Pod tym wpływem maleją szeregi niewierzących, rosną zastępy żołnierzy Chrystusowych. Chrystus schodzi na ołtarze polowe, na których w okopach odprawia się Msza św. — schodzi do serc, które zagrzać trzeba do spełnienia ciężkiego obowiązku ofiary z młodego życia; schodzi do tych, którzy w nieopisanej męce wydają ostatnie tchnienie. Przystępują do ołtarza ci, którzy od dzieciństwa wierni byli Chrystusowi — idą za ich przykładem tacy, którzy w spoganiałych środowiskach zaledwie znali Go z imienia. Wzruszającym jest opis pierwszej Komunii oficera, który zapragnął zostać chrześcijaninem, pociągnięty przykładem wierzących towarzyszy, nawrócony przez kolegę księdza. Wzruszające są słowa żołnierza, idącego na bój: „Odważnie się idzie w ogień pod rozkazami dowódzcy, który przystąpił rano do Komunii św.“. Wojna obecna stworzyła nieznany nigdy przedtem typ księdza oficera, prowadzącego ciała na śmierć, a dusze do wiekuistego życia. Przewaga jego nad podwładnymi płynie więcej z mocy duchowej, niż ze szlif i złotych galonów; wiedzą, że rozdziera mu się serce, gdy ich wiedzie do szturmu, ale idą ufni, że za nim idąc, pełnią obowiązek. A gdy śmierć zaglądnie w oczy, czują, że dowódzca ten ma moc otwarcia im nieba.

Są w armii francuskiej liczne zastępy księży, pełniących służbę sanitaryuszy: prêtre-brancardier. Nawykły do leczenia dusz, nauczył się szybko sztuki łagodzenia cierpień ciała i w posłudze swojej łączy obydwa te posłannictwa samarytańskie.

Właściwą sobie rolę pełnią w armii kapelani; ustawa z r. 1880 zniosła we Francyi ten urząd, uważając go za zbyteczny w czasie pokoju; wojna wprowadziła go w życie na nowo.

Unoszące się nad Francyą niebezpieczeństwo obudziło w duszach

poczucie nieśmiertelnych prawd, a 15 wieków katolickiego życia było dla nich gotową podwaliną.

Przez długie lata przesądy, ciemnota lub nienawiść oddzielały lud od Kościoła — często zamykały się przed księdzem i domy i dusze. Obecnie życie w okopach zbliżyło lud do księdza i rowy strzeleckie stały się jakby chrzcielnicą, w której Francuzi XX. w. czerpią nowe przymierze z Kościołem.

Przez wyrwanie duchowieństwa od prac duszpasterskich mniemał rząd, iż podetnie u ludu wiarę i wyrwie ją z korzeniem, ale, jak tyle razy w dziejach, siła zła poszła w posługę dobra: korzenie wiary rozrosły się i poszły w głąb, i wystrzeliło z nich bujne kwiecie. Owoce zbierze przyszłość.

Helena Skolimowska.

N. Fassbinder: **Am Wege des Kindes,** ein Buch für unsere Mütter. Freiburg, Herder. 1916. str. 396.

Już w czasie wojny wyszła ta książka. Autor, mało u nas znany, daje ciekawy wzór popularnej książki pedagogicznej. Chcąc widocznie dotrzeć do najbardziej płytkich matek w swym narodzie, wybrał styl powieściowy, zajmujący fabułą, przypominający romans, tak chętnie czytany przez ogół kobiet tak zwanych inteligentnych. Specyalnie zwraca się do matek niemieckich, daje jednak obraz rodziny tak ogólny, że z pożytkiem czytany być może przez każdą przeciętną matkę ze sfer mieszczańskich. Ma jednak taka rodzina niemiecka swoje cechy specyalne, które zwracają naszą uwagę. Jest w jej życiu patryotycznem pewne poczucie pewności nam zupełnie obce. Obowiązki państwowe tak tam harmonijnie łączą się z miłością ojczyzny, że wszelka niepewność, nam tak dobrze znana, jest w tem życiu wykluczona.

Więcej natomiast trudu ponieść musi matka rodziny niemieckiej katolickiej w sprawie wychowania religijnego dzieci, niż każda z naszych matek. Otoczenie protestanckie, szkoła, towarzystwo dzieci, wszystko to wymaga czujności bezustannej i zdwojonej gorliwości.

M. Fassbinder w swej pracy trzyma się metody negatywnej. Mniej poucza, a więcej znacznie krytykuje i wytyka. A wszystko, co mówi, to takie powszechne, takie codzienne, że co chwila, czytając, z uśmiechem kiwa się głową, przytakując trafnej uwadze, lub znakomicie podpatrzonej sytuacyi. Począwszy od opowiadania bajek małym dzie-

ciom, a skończywszy na wysłaniu syna do dużego miasta na uniwersytet, na każdym kroku wytyka matce miłość własną, bezwzględną wszechwładną. Nie kocha ona dzieci dla nich samych, ale wyłącznie dla siebie. Wiedzie je tam, gdzie jej jest przyjemnie je widzieć, kieruje niemi według własnej fantazyi, poświęca się nawet bardzo, ale jedynie z pobudek wyłącznie cielesnej miłości, gdy chodzi o zdrowie, a gdy idzie o duszę, stawia przed sobą duchowe zwierciadło i przegląda się w niem z upodobaniem, nie bacząc, że dzieci patrzą na nią ze zdumieniem i wcale jej nie pojmują. Znakomitemi przykładami tu są: opowiadanie małym dzieciom powieści, która niegdyś jej własną fantazyę świetnie ubawiła, a która dla jej dzieci jeszcze jest niezrozumiałą.

Spacer, na którym tak gwałtownie a tak chaotycznie wlewa im wiedzę w formie opowiadań o drzewach i kwiatach, a wstręt do natury budzi obrzydzeniem własnem dla ropuchy i wreszcie przymuszanie syna do studyów, do których on nie ma wybitnych zdolności, zakończone tragicznie wykolejeniem się zupełnem młodego człowieka na uniwersytecie.

Jeszcze jeden błąd ostro wytknięty: chwiejność, brak stanowczości i konsekwencyi, podleganie własnym humorom i nastrojom.

Oto najważniejsze zalety książki. Główną jej wadą jest nierówne traktowanie wychowania chłopców i dziewcząt. Całą wagę przykłada autor do wychowania chłopca, o dziewczynce mówi daleko lżej. Nie przeczę, że na ogół łatwiej prowadzić dziewczynkę jak chłopca, że szczęśliwe zamążpójście jest zupełnie słusznie najpiękniejszym celem kobiet, niemniej jednak w traktacie o wychowaniu niepodobna pominąć szerokich gałęzi pracy zawodowej, do której każda dziewczynka przygotować się winna. Autor widzi w kobiecie jedynie wychowawczynię, czy to jako matkę czy jako nauczycielkę, a jednak wydał książkę swą już podczas wojny, której początek opisuje, a podczas której tak wiele kobiet stanęło do pracy w zastępstwie mężczyzn i tak świetnie się z zadania wywiązuje.

Mojem zdaniem, mało jest, by dziewczyna skończyła pensyę i szkołę gospodarską. Niech próbuje gimnazyum póki specyalnych szkół dla dziewcząt nie mamy, a jeśli nauka jej trudności sprawia, niech poprzestanie na wydziałowej szkole. Ale tak czy tak, z większem lub mniejszem wykształceniem niech wcześnie wybiera zawód praktyczny i naukę swą stosuje do jasno wytkniętego celu.

Z kwestyą uświadamiania nie zgadzam się także z autorem. Nie można dziecku odmawiać nigdy p r a w d z i w e j odpowiedzi, uważać

tylko należy bardzo na pobudkę pytania, które może być dwojakie: poważne, wypływające z namysłu, lub bezmyślne, płynące z powierzchownie rozbudzonej ciekawości, którą łatwo jeszcze uśpić można, często na długie miesiące lub na lata.

Oto kilka uwag o książce Mikołaja Fassbindera, aby była czytana dużo i z pożytkiem. Oby matki, które tak dobrze życzą swym dzieciom, a tak łatwo się zaślepiają, czytając ją, zrozumiały, że wszelka podagogia zaczyna się i kończy na pracy nad sobą.

Józefa Merunowiczowa.

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Obsadzenie stolic biskupich.

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy Ojciec święty dokonał mianowania aż dziesięciu biskupów polskich. Najpierw zostali mianowani biskupi sufragani w dyecezyach Królestwa: ks. prałaci Stanisław Gall dla Warszawy, Wojciech Owczarek i Władysław Krynicki dla Włocławka, Adolf Szelążek dla Płocka, Paweł Kubicki dla Sandomierza i Romuald Jałbrzykowski dla Sejn. Niebawem otrzymała pasterza wakująca stolica biskupia w Lublinie w osobie ks. prałata Maryana Fulmana, a jednocześnie ks. prałat Henryk Przeździecki i ks. Piotr Mańkowski otrzymali nominacye na katedry, przez rząd rosyjski skasowane i wskutek tego przez pół wieku przez sąsiednich biskupów administrowane, mianowicie pierwszy w Janowie Podlaskim, a drugi w Kamieńcu Podolskim. Wreszcie ks. Edward hr. O'Rourke dostał nominacyę na biskupstwo w Rydze, które już od czasu wprowadzenia reformacyi w prowincyach nadbałtyckich nie było obsadzone, a później było wcielone do arcybiskupstwa mohylowskiego. Dodajmy do całości, że już po wybuchu rewolucyi rosyjskiej wakujące arcybiskupstwo mohylowskie (z siedzibą w Petersburgu) objął, po zrzeczeniu się

katedry wileńskiej, biskup-wygnaniec Edward bar. Ropp, a ks. kanonik Zygmunt Łoziński, niedawno konsekrowany w Warszawie, został biskupem dyecezyi mińskiej, przywróconej po półwiekowej przerwie.

Przez wymienione nominacye przywróconą została liczba biskupstw w zaborze niegdyś rosyjskim i w samej Rosyi, jaka była ustanowiona przez konkordaty rządu rosyjskiego ze Stolicą świętą z lat 1817 i 1847, to jest ośm w Królestwie kongresowem i siedm w granicach b. cesarstwa, owszem przybywa nowa dyecezya nadbałtycka, mająca objąć Estonię, Inflanty i Kurlandyę (ta ostatnia należała dotąd do dyecezyi żmudzkiej). Wszystkie te kanonicznie istniejące katedry zostały obsadzone przez własnych pasterzy, z wyjątkiem katedry wileńskiej, skąd usunięto przemocą nawet administratora apostolskiego ks. Michalkiewicza i której obsadzenie, z powodu skomplikowanych warunków politycznych i narodowościowych zapewne ulegnie dłuższej zwłoce. Nadto wszyscy dyecezalni biskupi Królestwa, z wyjątkiem kieleckiego, lubelskiego i podlaskiego, otrzymali pomocników w osobach mianowanych biskupów sufraganów.

Rok bieżący z powodu ostatnich mianowań utworzy w historyi Kościoła polskiego radosną kartę, i będzie może zorzą odrodzenia religijnego w naszym srodze doświadczonym narodzie. Wypada podkreślić jeszcze tak sposób, w jaki dokonało się mianowanie nowych biskupów, jak i dobór kandydatów. Jednoczesne obsadzenie tylu katedr i dodanie pasterzom dyecezalnym biskupów-sufraganów stoi niewątpliwie w związku z obradami księży biskupów w Warszawie i z przyjazdem do Królestwa wizytatora apostolskiego Mgr. Ratti'ego. Niepodobna nie widzieć korzyści dla Kościoła z tego, że jemu samemu pozostawionem zostało tak ważne zarządzenie, jak obsadzenie wakujących katedr. O ile nam wiadomo, w przedstawieniu kandydatów na wakujące biskupstwa władze świeckie nie brały udziału, przynajmniej oficyalnego. Kandydaci, godni mitr biskupich, zostali wskazani przez tych, którym z natury rzeczy najbardziej pod tym względem ufać należy, to jest przez księży biskupów; Mgr. Ratti, który w naszych stosunkach kościelnych szybko a znakomicie zdołał się zoryentować, poparł

sprawę nominacyi biskupów swojem przedstawieniem, Ojciec święty wreszcie wyrzekł ostatnie słowo bez zwłoki. Jakże korzystnie odbija się ta droga od sposobu praktykowanego za czasów rządów rosyjskich, kiedy to o każdą nową nominacyę biskupów trzeba było staczać całą kampanię dyplomatyczną, kiedy Stolica Święta niejednokrotnie widziała się zmuszoną odrzucać proponowanych jej przez rząd petersburski kandydatów, a znowu rząd ten za zatwierdzenie biskupów, którzy wymaganiom Stolicy świętej zadośćczynili, usiłował wytargować w Rzymie jakieś ustępstwa, czy to dla języka rosyjskiego w seminaryach, czy inne. Wiadomo, że z powodu tych targów, nieraz przewlekłych, stolice biskupie pozostawały bez pasterzy przez długie lata, albo gorzej, niejednokrotnie w ciągu ubiegłego stulecia zasiadali na nich ludzie słabszego charakteru, zbyt ustępliwi dla wymagań rządowych, niedorośli do swego zadania. Oby obecne nominacye zapoczątkowały już u nas nową erę, erę zupełnej swobody Kościoła w sprawie obsadzania biskupstw.

W nominacyach ostatnich uderza i dobór kandydatów na biskupie stolice. Mianowicie, z wyjątkiem ks. biskupów Przeździeckiego i Fulmana, wszyscy inni nominaci należeli dotąd do tych samych dyecezyi, w których obecnie mają dzierżyć pasterskie laski. W szczególności ks. biskup Mańkowski powraca, jako pasterz dyecezyi, do tej samej katedry, w której szereg lat pracował jako proboszcz i z której rząd rosyjski usunął go za popieranie katolickich instytucyi zakonnych na Podolu. Nie można nie widzieć tu palca Bożego i tryumfu katolicyzmu nad bezprawiem i przemocą. Ks. biskup O'Rourke ma osiąść w mieście, w którem odbywał niegdyś studya politechniczne i którego potrzeby duchowne zna gruntownie. Wszyscy nowomianowani biskupi-sufragani w Królestwie pracowali dla dobra Kościoła w tych samych dyecezyach na stanowiskach regensów seminaryów, członków kapituł i konsystorzy, — obeznani są zatem lepiej niż ktokolwiek inny z warunkami i potrzebami dyecezalnemi i zżyci z klerem, który po większej części sami wychowali i wykształcili. To wszystko daje najlepszą rękojmię, że nowa godność zacieśni tylko te mocne węzły, jakie już ich z dyecezyami łączyły i pomnoży owo-

ce ich pracy na chwałę Bożą i dobro wiernych. Zaiste, z wielu względów cieszyć się należy z dokonanych nominacyi, a Najprzewielebniejszym ks. Nominatom słać serdeczne życzenia: a d m u l t o s a n n o s!

Truone stanowisko Kościoła w Rosyi.

Rewolucya wiosenna r. 1917, wywróciwszy carat, zapowiadała zupełną swobodę dla katolicyzmu. Za ministerstwa ks. Lwowa utworzono w Piotrogrodzie komisyę dla spraw wyznania katolickiego, do której weszli, obok dygnitarzy nowej republiki, także przedstawiciele Kościoła, z ks. biskupem Cieplakiem na czele. Komisya ta nakreśliła program stosunku, jaki miał odtąd zachodzić między rządem a Kościołem katolickim, program wielce liberalny, zapewniający Kościołowi zupełną swobodę wewnętrznego zarządu. Pierwszem wielkiej wagi zdarzeniem była nominacya ks. biskupa Roppa na arcybiskupa-metropolitę mohylowskiego. Niestety, nowy przewrót bolszewicki postawił Kościół w położenie, pod wielu względami gorsze od tego, w jakiem znajdował się on pod rządami caratu. Wprawdzie nie odjęto katolicyzmowi prawa jednania nowych adeptów nawet z pośród wyznawców cerkwi prawosławnej, wprawdzie rząd Lenina nie wtrąca się do nominacyi kapłanów na stanowiska kościelne; zato spadły na Kościół inne ciosy. Cofnięto wypłacane na utrzymanie duchowieństwa, akademii i seminaryów sumy, — które, nawiasem mówiąc, nie były wcale wydatkami ze skarbu, lecz odsetkami od skonfiskowanych kościelnych majątków i funduszów. Wskutek tego kler katolicki znalazł się w trudnych warunkach materyalnych, akademię zaś i seminaryum w Piotrogrodzie musiano zamknąć i młodzież duchowną wysłać gdzieindziej lub puścić do rodziców. Grozi to w najbliższej przyszłości zmniejszeniem się kadrów kleru, tam gdzie właściwie trzeba było myśleć o jego pomnożeniu. Dekretem bolszewickiego rządu wprowadzono małżeństwa cywilne i rozwody i odjęto duchowieństwu prowadzenie metryk, co przy ogólnem rozprzężeniu moralnem, jakie spowodowała wojna, doprowadziło do tego, że wielu z pośród katolików faktycznie odpadło od Kościoła, korzystając z bolszewickich ślubów i rozwodów. Bolszewicki rząd dokonał laicyzacyi wszystkich szkół, usuwając z nich zupełnie naukę wszelkiej religii, wskutek

czego targnięto się i na te szkoły, które utrzymywał sam Kościół, jak naprzykład na zakłady naukowe przy kościele św. Katarzyny w Piotrogrodzie. Nie potrzeba dodawać, że obok popełnienia grabieży, stworzono stan rzeczy, grożący zupełnym zanikiem religii wśród dorastającego pokolenia. Warunki pogarszają się z dniem każdym. Kilku kapłanów zamordowano. W ostatnich czasach doszły nas wiadomości, że wielu kapłanów ujrzało się zmuszonymi do zaprzestania odprawiania mszy świętej w dni powszednie z powodu braku wina i mąki na opłatki. Artykuły te całkowicie znajdują się w rękach bolszewickiego rządu, i jeśli obecny stan rzeczy potrwa, może dojść do zupełnego upadku publicznego katolickiego kultu. Dochodzą też wiadomości, dotąd wszakże nie dość jasne, o zabraniu na rzecz państwa wszystkich świątyń.

W granicach obecnej republiki bolszewickiej znajdują się dwie katolickie dyecezye: arcybiskupstwo mohylowskie z siedzibą metropolity w Piotrogrodzie i biskupstwo tak zwane tyraspolskie z katedrą w Saratowie. Do niedwna arcybiskup mohilowski zarządzał także, w charakterze administratora apostolskiego, dyecezyą mińską, która obecnie dostała własnego pasterza. Ponadto z krajów, należących do jurysdykcyi acybiskupów mohylowskich, odpadła od Rosyi Finlandya, w której sprawy Kościoła zapewne będą uregulowane bezpośrednio przez Stolicę Świętą przy porozumieniu się z rządem finlandzkim. Katolicy mają tam zaledwie dwie parafie z paru tysiącami wiernych. Dalej odpadły kraje nadbałtyckie, mające już odtąd tworzyć osobne biskupstwo, do którego może wejdą i tak zwane Inflanty polskie. Kilka placówek katolickich na Ukrainie lewobrzeżnej znalazło się w granicach zaimprowizowanej republiki ukraińskiej, wreszcie obszary Rosyi azyatyckiej, wyłamują się z jedności rosyjskiej — przynajmniej na czas panowania bolszewików — co znowu przecina arcybiskupowi możność komunikowania się z kościołami i klerem syberyjskim. Łatwo zrozumieć, jak utrudnionymi są rządy kościelne w tych krajach. W podobnem położeniu znalazła się dyecezya tyraspolska, której obszary wcielonymi zostały do różnych formacyi polityczno-państwowych. Bessarabię anektowała Rumunia, całe południe Rosyi przyłączono do Ukrainy, kozactwo dońskie i Kaukaz

organizują się politycznie w szereg państewek, część Kaukazu przyznano pokojem brzeskim Turcyi. Prawdopodobnie z ustaleniem się stosunków politycznych i granic, a może i wcześniej obie wzmiankowane dyecezye będą musiały być podzielone na szereg biskupstw, lub wikaryatów apostolskich, jak w krajach misyjnych. — Groźna chmura nadciąga na biskupstwo mińskie i okupowaną dotychczas część mohilowskiego, które mają znowu być wydane na łaskę i niełaskę bolszewików moskiewskich.

ościół na Ukrainie. Na obszarach, mających tworzyć, według traktatów brzeskich, państwo ukraińskie, znajdują się dwie dyecezye katolickie: łucko-żytomierska i odłączona od niej dawna kamieniecka. Również wcielonymi zostały do Ukrainy całe obszary z archidyecezyi mohilowskiej i dyecezyi tyraspolskiej. Do tej ostatniej należał naprz. Krym i Odessa z wielu katolickiemi niemieckiemi koloniami w Noworosyi. Również Ukrainie mają przypaść części dyecezyi lubelskiej i podlaskiej, o ileby traktat brzeski nie uległ rewizyi i zmianie. Nie licząc Podlasa i Chełmszczyzny, w nowopowstałem państwie ukraińskiem zamieszkuje ponad milion katolików. Położenie obecne Kościoła nie jest tu może tak trudnem, jak w bolszewickiej Rosyi, nie jest wszakże dotąd całkowicie i jasno unormowanem i Kościół wraz ze społeczeństwem polskiem stoi jakby na wulkanie. Pocieszającym wielce objawem jest to, że mimo tak niepewnych warunków, kler katolicki Wołynia, Podola i Ukrainy, wraz ze swym pasterzem ks. biskupem Dubowskim pracuje energicznie i wytrwale nad umocnieniem katolicyzmu w kraju. Wizytacye biskupie na całej przestrzeni, tworzenie nowych parafii, zakładanie szkół — oto objawy tej katolickiej akcyi. Poczyna rozwijać się i piśmiennictwo kościelne: od nowego roku (1918) wychodzi w Kijowie miesięcznik S ł o w o k a t o l i c k i e pod doskonałą redakcyą ks. Dr. Kalinowskiego, pismo, które rozmiarami, aktualnością i poziomem artykułów zajmuje bodaj czy nie pierwsze miejsce wśród podobnych dyecezyalnych publikacyi polskich. Tenże ks. Kalinowski jest autorem wcale dobrego podręcznika szkolnego Apologetyki (wyd. 3, Kijów 1917) i Historyi świętej (w 2 tomikach, tamże 1916); inni katecheci jak ks. Lech, Naskręcki wydali

podobne podręczniki do innych działów nauki religii w szkołach (ks. Lecha: Krótka historya święta; ks. Naskręckiego: Historya Kościoła i Nauka dogmatyczno-moralna). To wskazuje na ruchliwość tamtejszego kleru na polu piśmiennictwa religijnego. Trzeba jeszcze zanotować, że zarząd dyecezyi występuje u odnośnych czynników z przedstawieniem o zwrot kościołów, zabranych różnymi czasy na rzecz prawosława. Oby tylko ta akcya uwieńczoną została pomyślnym skutkiem!

Konkordat czy rozdział? Pod takim tytułem poruszył o. Woroniecki, Zak. Kazn. w Roku Polskim (czerwiec 1918) zagadnienie o zasadniczem dla naszego Kościoła znaczeniu, zagadnienie stosunku między Kościołem a państwem w mającej się politycznie urządzić Polsce. Zagadnieniu temu poświęcił był już rok przedtem na łamach naszego pisma (czerwiec 1917 i nast.) swą uwagę prof. J. Brzeziński, tężsamą kwestyę poruszył i niżej podpisany w swoim artykule „Kościół wobec państw i narodowości“ (Przegląd Powszechny, czerwiec 1917). Jest to w istocie zagadnienie tak ważne, iż przyklasnąć trzeba każdej pracy, mającej za cel teoretyczne jego oświetlenie i ustalenie wskazówek dla praktycznej prawodawczej twórczości. Prof. Brzeziński wskazywał w swych artykułach, że najzgodniejszem z duchem całej naszej historyi rozwiązaniem zagadnienia byłoby nawiązanie do zasad Konstytucyi 3. maja, uznającej religię katolicką za panującą w Polsce i zapewniającej jej swobodny wewnętrzny samorząd. O. Woroniecki bierze rzecz bardziej ze stanowiska form, w jakich stosunek Kościoła do państwa wyraża się w naszych czasach w różnych krajach. Dziś stawia się zwykle alternatywę: konkordat albo rozdział. Więc i O. Woroniecki oświetla te dwa sposoby ułożenia stosunków prawno-kościelnych. Słusznie zauważa, że oba one nie są idealnymi, idealny bowiem stosunek między Kościołem a państwem, wychodząc z natury Kościoła, jako instytucyi boskiej i w celach swych nadprzyrodzonej i w takim charakterze przez państwo uznanej, winienby być stosunkiem wzajemnej zgody i harmonijnego współdziałania dwóch władz, to jest takiego współżycia, by się obie one wspierały bez wtrącania się atoli w sferę

spraw do drugiej władzy należących. Jest to system, który z teologicznego punktu widzenia jedynie jest uzasadniony, który też starałem się, jako ideał, scharakteryzować w swoim artykule. Praktyczne zalety i wady dwóch zwykle wysuwanych form układu stosunków między Kościołem a państwem, konkordatu i rozdziału, omawia O. Woroniecki; żadnej z nich ani bezwzględnie polecić, ani kategorycznie potępiać nie można, zależy bowiem wiele od tego, jak się konkordat, albo rozdział rozumie i jak się je w praktyce przeprowadzi. Opatrznościowa mądrość Stolicy świętej, której nauka o odnośnem zagadnieniu znalazła wyraz w encyklice Leona XIII „Immortale Dei", w praktyce tolerowała i rozdział, gdzie był on tak pojmowany, jak w Belgii, że dawał stosunkowo najwięcej rękojmi wolności Kościoła. O. Woroniecki przestrzega, by u nas przy rozwiązywaniu praktycznem tego problematu nie kierowano się zbyt abstrakcyą i teoryą, lecz wzięto w rachubę i konkretne warunki, i taki obrano sposób współżycia obydwóch władz, by Kościół miał zapewnioną swobodę rozwoju i akcyi. W tym celu chciałby autor wywołać zainteresowanie dla poruszonego zagadnienia i dyskusyę nad niem.

Nic słuszniejszego nad te życzenia. Mamy nadzieję, że pismo nasze powróci do tej kwestyi w obszerniejszej pracy. Tymczasem niech wolno nam będzie rzucić parę słów. Jasna jest rzecz, że nowopowstające państwo polskie musi zająć względem Kościoła jakieś stanowisko. Nie trudno przewidzieć, że nie obejdzie się bez jakiegoś porozumiewania się rządu ze Stolicą świętą, choćby w kwestyi zwrotu skonfiskowanych dóbr kościelnych, ewentualnie uposażenia duchowieństwa. Czy miałby atoli być to konkordat w dotychczasowem znaczeniu tego słowa, któryby określał różne dziedziny życia kościelnego, nadawał państwu prawo ingerencyi w obsadzaniu biskupstw i innych godności kościelnych etc.? Sądzimy, że bez tego mogłoby się obejść bez wpadania w drugą ostateczność — proklamowania rozdziału Kościoła od państwa. Czy nie prostszą byłoby rzeczą w ustawach zasadniczych państwa poświęcić Kościołowi jeden tylko paragraf, w którymby powiedziano, że Kościół katolicki rządzi się swem własnem prawem, zawartem w nowym kodeksie? Tym sposobem oszczędzonoby państwowym

organom prawodawczym trudu tworzenia ustaw co do prawa małżeńskiego z wyjątkiem określenia cywilnych skutków małżeństwa, ustaw o beneficyach kościelnych itp. O zwrot Kościołowi dóbr duchownych, przez rząd rosyjski skonfiskowanych lub o inny sposób indemnizacyi winny być podjęte starania, lecz niepożądanemby było pozostawianie utworzonego w ten sposób funduszu religijnego w administracyi państwa, co stawia Kościół w położenie małoletnich, uzależnia kler od polityki rządowej, z kapłanów czyni urzędników ze szkodą dla religii, a pośrednio i dla samego państwa. Dlaczegóżby fundusz ten i utrzymywanie zeń kultu i kapłanów nie mogły być w zawiadywaniu samych biskupów? Znowu nie znaczy to, by Kościół miał być koniecznie zdegradowany do rzędu zrzeszeń prywatnych; może być dlań stworzona w prawie osobna kategorya i szczególny stopień opieki prawa. Rzucam tylko luźne myśli, rozumiejąc, że nie wyczerpuję wcale całokształtu zagadnienia. Pożądanem jest, aby kompetentne siły prawnicze zajęły się szczegółowem opracowaniem tego przedmiotu, a uświadomiona opinia katolicka umiała zająć odpowiednie przy porządkowaniu spraw kościelnych stanowisko. A pożądanem jest to jaknajrychlej, b o p e r i c u l u m i n m o r a!

Uniwersytet w Lublinie. Dzięki niesłychanej wprost hojności jednego człowieka a energii drugiego, ma powstać w Lublinie nowe ognisko nauki i kultury polskiej. Pan Jaroszyński nakładem kilkunastu milionów funduje i zabezpiecza materyalny byt uniwersytetowi, a ks. Idzi Radziszewski, dotychczasowy rektor akademii duchownej petersburskiej, organizuje wewnętrznie nowy przybytek wiedzy. Jak dzienniki doniosły, postanowiono już w tym roku otworzyć trzy wydziały, — mianowicie prawa kanonicznego i nauk moralnych, prawa i nauk społeczno-ekonomicznych i nauk humanistycznych, razem z 60 katedrami. Potem przyjdzie kolej na medycynę i nauki przyrodnicze. Nowy uniwersytet, nie nosząc nazwy katolickiego, ma w myśl tworzonej dlań ustawy zapewniony charakter uczelni katolickiej. Tym sposobem Polska zyskałaby wszechnicę taką, o jaką od wielu lat starają się katolicy austryaccy

(w Salzburgu), a zyskałaby dzięki nie tyle zbiorowym staraniom społeczeństwa, jak inicyatywie paru jednostek. O ile wspaniały plan założycieli da się zrealizować, może byłoby przedwczesnem dzisiaj o tem sądzić. Z wielu stron słyszy się powątpiewania, czy znajdzie się u nas dość sił naukowych do obsadzenia choćby znacznej części projektowanych katedr, mając na uwadze szczerby, jakie w ostatnich czasach poczyniła śmierć i wojna w szeregach pracowników polskiej nauki, i potrzebę obsadzenia uniwersytetu warszawskiego. Zdaje się, że inicyatorzy monumentalnego projektu liczą na znaczną pomoc ze strony profesorów-polaków, którzy dotąd zajmowali katedry na uniwersytetach rosyjskich, a obecnie pod rządami bolszewików nie mają co robić w Rosyi. Druga trudność może się nastręczyć co do jakości zwerbowanych sił. Jeżeli wszechnica nowa, w myśl fundatorów, ma się stać ogniskiem nauki wybitnie katolickiej, to oczywista, że katedry mogą być powierzone tylko uczonym, znanym ze swego chrześcijańskiego światopoglądu i jednolitość tego światopoglądu winna cechować całą uczelnię. Czy mamy dosyć uczonych, którzyby żadnych pod tym względem nie budzili obaw? Jeżeli te powątpiewania zostały wzięte w rachubę i mimo to istnieją widoki uruchomienia uniwersytetu, to zaiste stworzonem zostanie dzieło, którego wiele katolickch narodów będzie mogło nam zazdrościć.

Ks. Metropolita Szeptycki a celibat. Pod datą 31 sierpnia ogłoszonem zostało w Archieparchialnych Wiadomościach pismo ks. Metropolity Szeptyckiego „o wychowaniu alumnów i o radach ewangelicznych". W niem, stwierdziwszy braki w wychowaniu kandydatów do kapłaństwa w grecko-katolickim Kościele w Galicyi, rozwija JE. ks. Metropolita zasady, jakie winny tem wychowaniem kierować i cnoty, jakie muszą kapłana a zatem i kleryka zdobić — cnoty pracowitości, bezinteresowności, ofiary, poświęcenia i żarliwości w rozszerzaniu Królestwa Bożego. Z przykrością stwierdza pismo Arcypasterza, że często tych przymiotów brakowało kandydatom do święceń kapłańskich, że trafiali się dumni, leniwi, interesowni, przywdziewający duchowną sukienkę dla zdobycia kawałka chleba lub uniknięcia służby wojskowej, co też smutnie się

odbijało na ich służeniu Kościołowi. Za łagodnie sądzono o dostateczności przygotowania kandydatów do kapłaństwa. „Między wielu błędami mojej pracy biskupiej przed wojną, — tak pisze ks. Metropolita, — był i ten, że w ocenianiu kandydatów spuszczałem się na sąd innych, a przez to może nieraz przypuściłem do święceń ludzi, których nie powinienem był dopuścić. Obecnie uważam to za ciężkie przewinienie i stanowczo chcę się z tego poprawić". Zwraca jeszcze ks. Metropolita uwagę na nadmierny brak powołań zakonnych w Cerkwi, co uwidocznia zestawieniem ruskich dyecezyi z łacińskiemi. Okazuje się, że w Cerkwi jest tych powołań o dziesięć razy mniej, niż w łacińskim Kościele. Nic dziwnego, że Cerkiew unicka nie może sprostać tym zadaniom, jakie się przed nią otwierają, zwłaszcza teraz na Wschodzie. Poleca tedy ks. Metropolita pasterzom parafii i katechetom, by budzili i pielęgnowali wśród powierzonej sobie młodzieży ducha rad ewangelicznych i powołania zakonnego, co się zaś tyczy kleru świeckiego, zarządza, że odtąd na przeciąg lat dwunastu połowę miejsc w seminaryum lwowskiem rezerwuje wyłącznie dla tych kandydatów, którzy złożą obietnicę pozostania w celibacie. W ten sposób zamierza utworzyć kadry przyszłych misyonarzy.

Zarządzenie ks. Metropolity wywołało burzę wśród ukraińskiej inteligencyi. Dopatrzono się w niem próby przymusowego zaprowadzenia celibatu w ruskiej Cerkwi, czyli targnięcia się na jedną z nietykalnych świętości wschodniego obrządku. Rozległy się w prasie codziennej oburzenia, zaś „Narodny Komitet" wysłał do Arcybiskupa deputacyę, żądającą cofnięcia zarządzenia. Gdy wyjaśnienia ks. Metropolity nie przekonały deputatów, odeszli oni z pogróżką, że J. Ekscelencyę czeka walka, przed którą naród nie cofnie się. Takie stanowisko zajęła inteligencya ukraińska wobec swego pasterza, którego rok temu, powracającego z więzień rosyjskich, z entuzyazmem witała jako głowę i przewodnika całego narodu.

Nie mamy zamiaru stawać w obronie zarządzenia ks. Metropolity, ani przekonywać remonstrantów. Naszem zdaniem, wydane zarządzenie odkryło najsłabszą stronę Cerkwi i stara się podać skuteczne lekarstwo. Stanowi też owo zarządzenie dowód

apostolskiego ducha Głowy Cerkwi ruskiej i tego, co się nazywa „sentire cum Ecclesia“. Natomiast racye, jakie przytacza prasa ukraińska i jakie wyłożył przewodniczący deputacyi, pos. Romańczuk, w swojem przemówieniu do ks. Metropolity, nie wiele mają wspólnego z motywami kościelno-religijnymi. Wprawdzie niezadowoleni z zarządzenia podkreślają moralną wartość małżeństwa księży, dających wzór życia rodzinnego wiernym i w żonach kapłanów widzą naturalne przewodniczki i doradczynie kobiet i dziewcząt wiejskich, główny atoli nacisk kładą na to, że zaprowadzenie celibatu księży, unicestwiając rozsadnik inteligencyi ukraińskiej, wyszłoby na szkodę narodowi. Wyłania się więc tu jakoby przeciwieństwo interesów Kościoła, które ks. Metropolita kładzie na pierwszem miejscu, z interesami narodu, jakim przeciwnicy celibatu chcieliby zapewnić przewagę.

Poza kwestyą o korzyść z celibatu czy szkodliwość jego, musimy podkreślić w tym sporze bardziej zasadniczą rzecz. Mianowicie w proteście inteligencyi ukraińskiej ujawnia się znowu, nieraz już obserwowane, usiłowanie skrępowania władzy duchownej przez czynniki świeckie w jej zarządzeniach kościelnych. Odzywa się tu odwieczna tradycya i duch, odziedziczony po schiźmie, które znajdowały niegdyś swój wyraz w kontrolowaniu rządów biskupich przez bractwa stauropigialne, a dzisiaj jeszcze hamują próby ożywienia Cerkwi duchem bardziej katolickim. Przejaw tych pretensyi do wpływania na życie kościelne ze strony świeckiej, wpływania nie przez zgodną współpracę z inicyatywą pasterzy, lecz przez uśmiercanie wszelkiej ich inicyatywy, mieliśmy w protestach przeciw podjętej przez ks. biskupa Chomyszyna reformie kalendarza, dzisiaj w protestach przeciw celibatowi, trochę dawniej przeciw reformie bazyliańskiej, i tak na każdym niemal kroku. Nie potrzeba chyba dodawać, że w interesie religii i Kościoła leży zasadnicze oparcie się przedstawicieli hierarchii kościelnej tym nieuzasadnionym pretensyom.

O nuncyaturę papieską w Chinach.

Kiedy pewne symptony odrodzenia katolickiego we Francyi w ostatnich czasach zapowiadały, zdawało się, możliwość jakiegoś zbliżenia się kierowników republiki do

Watykanu, zaszedł fakt znacznie podkopujący te nadzieje. Faktem tym był protest, założony przez Francyę przeciw ustanowieniu nuncyatury papieskiej w Pekinie. Wiadomo, że Chiny same nawiązały bezpośrednie stosunki dyplomatyczne ze Stolicą świętą, proponując ustanowienie chińskiego poselstwa przy Watykanie. Stolica święta nawzajem zamierzyła ustanowić nuncyaturę w Pekinie i na stanowisko pierwszego nuncyusza został już upatrzony Mgr Petrelli, były delegat apostolski na Filipinach, obeznany doskonale ze stosunkami religijnymi na dalekim Wschodzie. Wtem rozpoczęła się kampania ze strony Francyi przeciwko temu zamiarowi. Nie dość wyjaśniono, w jakiej formie rząd paryski założył protest i czem takowy motywował. Z doniesień agencyi telegraficznych i głosów prasy zdawało się zrazu, że protest kieruje się przeciw osobie upatrzonego kandydata na nuncyusza, Mgr Petrelli'ego, w którym dopatrzono się popleczника mocarstw centralnych i osobistego przyjaciela niemieckiego sekretarza stanu v. Hintze. Osservatore Romano wyjawił, że wątpliwości, skierowane przeciw Mgr Petrelli'emu wprost nie mają pod sobą żadnej podstawy, skoro Mgr Petrelli nigdy nie miał sposobności zawrzeć przyjaźń z Hintzem lub dać się wciągnąć w sferę polityki niemieckiej. Paryski Temps ze swej strony zdradził, o co głównie chodziło: Francya nie może dopuścić wogóle ustanowienia nuncyatury papieskiej w Chinach dla dwóch powodów: po-pierwsze dlatego, że wyłącznie jej przysługuje prawo protektoratu nad katolikami na Wschodzie, po-wtóre, ponieważ taka nuncyatura mogłaby uledz wpływom niemieckim i stać się narzędziem polityki niemieckiej, na co Francya nie może pozwolić. Papieski organ Osservatore (25 sierpnia) zabrał jeszcze raz głos w tej sprawie, wykazując, że w ustanowieniu nuncyatury w Chinach chodzi o interesa czysto religijne i że mianowanie nuncyusza nie stoi w żadnej sprzeczności z jakiemikolwiek umowami dyplomatycznemi lub przywilejami. Tymczasem prasa wymieniała nowych kandydatów na stanowisko nuncyusza w Pekinie; przepowiednie jej jednak dotąd się nie spełniły i zdaje się sprawa cała pozostała na razie w zawieszeniu.

Jeżeli prawdziwymi są motywy, jakie protestowi francuskie-

mu podsuwała prasa, to niepodobna nie dziwić się zaślepieniu i zacietrzewieniu rządzących sfer we Francyi. Tam zdaje się nie mogą zrozumieć, by możliwem było rządzić Kościołom i stać na straży interesów religii z zachowaniem ścisłej neutralności wobec walczących stron. We wszystkiem dopatruje się tylko polityki. Wyrażona obawa, że nuncyatura w Pekinie mogłaby uledz wpływom niemieckim, zakrawa na humorystykę: dlaczegożby bowiem nie mogli pokusić się o podobne wpływy Francuzi, którzy przecież w Pekinie posiadają wielkie wpływy, w każdym razie większe, niż Niemcy, stojący na stopie wojennej z Chinami? Wreszcie powoływanie się na prawo protektoratu nad katolikami na Wschodzie najmniej licuje z polityką rzeczypospolitej wobec Kościoła wewnątrz kraju, która to polityka odjęła rządowi wszelkie moralne prawo do tytułu opiekuna interesów religijnych, o ile one pojmuje się jako rzeczywiście religijne, a nie jako polityczne.

Ks. Jan Urban.

Trzy lata działalności K. B. K.[1]

Z góry już można było przewidzieć, że skoro w dzisiejszej wojnie silniejsza część ludzkości, zorganizowana jak najściślej, wytężyła wszystkie swe siły i zasoby, by niszczyć dorobek kultury i wokół szerzyć śmierć i ból, to klęska tak się rozpanoszy, iż oficyalna pomoc bezwarunkowo uśmierzyć jej nie zdoła. Nikt jednak o tem nie myślał, by z chwilą wybuchu wojny zorganizować ochotniczą akcyę ratunkową i to jaknajszerszą, by ruszyć do pracy tysiące ludzi, których i tak przyciskał ciężar wojny, by zebrać miliony na zatamowanie powodzi klęsk wojennych. A przecież mimo tego byliśmy świadkami nadzwyczaj dzielnej i skutecznej akcyi ratunkowej, jaką na ziemiach polskich roztoczył Książęco-Biskupi Komitet.

O wewnętrznej organizacyi K. B. K. w krótkości nadmienimy, że obecnie posiada już drugi statut. Pierwszy, zatwierdzony przez Namiestnictwo w maju 1915, był bardzo dobry, póki pole pracy K. B. K. nie

---

[1]) Trzy-lata działalności K. B. K. Sprawozdanie Książęco-Biskupiego komitetu pomocy dla dotkniętych klęską wojny, za lata 1915—1917. Kraków 1918.

było jeszcze tak rozległe; zmienione warunki pracy wywołały zmiany w statucie, które w lutym 1917 przedłożono do zatwierdzenia. Komitet składa się z Przewodniczącego Księcia Biskupa krakowskiego, mianowanych przez niego członków i przewodniczących sekcyi. Organem działającym K. B. K. jest Wydział Wykonawczy, złożony z Przewodniczącego Komitetu, skarbnika, sekretarza i trzech członków. Komitet powołuje do życia sekcye i delegacye; Wydział załatwia bieżące sprawy na posiedzeniach, które się odbywają przynajmniej co tydzień, kontroluje rachunki i działalność delegacyi i sekcyi.

Jak z tego widać, forma organizacyjna K. B. K. bardzo prosta i dlatego może jest tak sprężysta i tak dobrze odpowiada zmiennym warunkom, powodowanym przez wojnę. Pewno nie można twierdzić, że K. B. K. przedstawia ideał organizacyi, że w każdym calu wywiązał się najlepiej z swego zadania i owszem sam sprawozdawca zaznacza, że były w nim pewne usterki, jak w każdym zresztą ludzkim dziele. Obok tego atoli posiada wiele cech, świadczących o bystrości kierowników i członków Komitetu. Podział pracy, dostosowanie akcyi zapobiegawczej do trudnych okoliczności, do rozległości potrzeb, przytem swoboda, z jaką tworzono nowe sekcye, odpowiednio do nowych wymagań i zwijano dawne, kiedy się okazały mniej pożyteczne, to znamiona bardzo dodatnie, a wobec wojennych niespodzianek konieczne.

Równie dodatnią stroną całej inicyatywy jest i to, że Komitet nie zacieśniał się do siebie, do Krakowa, ale że z nadzwyczajną śmiałością, a dodać należy i z powodzeniem, zakładał ekspozytury swej humanitarnej działalności w formie delegacyi lokalnych, przyczyniał się do organizacyi delegacyi w innych dyecezyach, wchodził w styczność z analogicznemi instytucyami i w kraju i za granicą, dzieląc się z niemi swą pracą równie dobrze, jak i funduszami. Lokalnych delegacyi do końca r. 1917 w Galicyi, Królestwie, na Śląsku i w Czechach było 79 i trzy dyecezyalne. K. B. K. od początku działał w porozumieniu z Generalnym Komitetem Szwajcarskim dla ofiar wojny w Polsce, utrzymywał kontakt z Duńskim Komitetem Ratunkowym, z Komitetem Amerykańskim, z Poznańską Radą Narodową i z Głównym Komitetem Ratunkowym (G. K. R.) w Lublinie.

Pracę K. B. K. najlepiej uwidoczni parę choćby cyfr, wyjętych z ogłoszonego świeżo „Sprawozdania“. Kapitał, jakim Komitet rozporządzał w czasie od 4/1 1915 do 31/12 1917 wynosi 8,858.742 K. Jedną z największych pozycyi, jaka widnieje w wydatkach za ten czas, są wydatki Sekcyi Sanitarnej; wynoszą one 904.548 K. Suma wprawdzie

całkiem pokaźna, lecz jeśli do niej dodamy i to, że przez szpitale Kolumn sanitarnych przeszło w tym czasie 4413 chorych, których leczono łącznie przez 95523 dni, to ów wydatek okaże się zdumiewająco mały. Ale bo też w tej bezkrwawej walce ze śmiercią brały udział osoby, które w imię najszczytniejszych haseł za bezcen narażały codziennie swe życie, a nawet czasem bez skargi oddawały. To też z całego sprawozdania najbardziej charakterystyczny jest rozdział o Kolumnach Sanitarnych (str. 11—185). Wprost rozrzewniającą jest zapobiegliwość i poświęcenie, z jakiemi poszczególne grupy urządzały szpitale. Bogate pałace kniaziów i ciasne włościańskie chałupy, szkoły czy karczmy, sale teatralne i budynki biur rządowych wszystko zdobywała miłość, nie znająca wprost miary w poświęceniu i przemieniała w przytuliska dla ciężko chorych. Dodać też warto, że w liczbie chorych byli i żydzi i poważny odsetek Rusinów, że praca ta odbywała się przy niejednokrotnym oporze pacyentów i co smutniejsza — wobec bierności i nawet niechęci tych, od których słusznie całe społeczeństwo mogło oczekiwać wielkiej pomocy. Mowa jest o niektórych dworach polskich. Przy całej radości, jaką się odczuwa z tego pochodu tryumfalnego miłości chrześcijańskiej, mimowoli zasępia się czoło, czytając te słowa, że „były, gdzie po kilkanaście osób z czworaków chorych na tyfus brzuszny lub plamisty zabierać musieliśmy do szpitali, ale rzadko kiedy dwór taki troszczył się o to, czy szpital może wyżywić chorych. Czasem jeszcze zastrzegano sobie, żeby chorych brać ze szpitala tylko w niedzielę, bo w inne dnie koni do chorych posyłać nie mogą". (Str. 172).

Jeszcze większą sumę w rozchodach przedstawia Sekcya Opieki nad dziećmi, bo aż 934.108 K, ale też blizko trzy tysiące dzieci, pozbawionych skądinąd opieki, doznało pomocy w rozmaitej formie. Cyfry te zresztą nie odnoszą się wcale do pozakrakowskich delegacyi K. B. K. i obejmują wyłącznie tylko Schronisko w Kalwaryi Zebrzydowskiej, w Niepołomicach, Zakład wychowawczy dla opuszczonych chłopców w Łososinie Górnej i dzieci, któremi zajmował się oddział pań sekcyi Opieki nad dziećmi. Lwowska Delegacya w tym czasie wydała na pomoc dla sierót gotówką 90.221 K, w żywności 10.548 K, w odzieży i obuwiu 31.178 K. Analogiczne ofiary złożyły Delegacye przemyska i tarnowska.

Trzecią prawie część całego kapitału wydał Komitet na zapomogi i subwencye dla Galicyi. Łączna kwota na ten cel obrócona wynosi dwa miliony 310 tysięcy 873 K. Dochodziła ona do rąk potrzebujących bądź za pośrednictwem delegacyi K. B. K., bądź przez istniejące już za-

kłady humanitarne albo też przez komitety parafialne, lub całkiem bezpośrednio i to w gotówce lub w towarze.

Tych kilka liczb ilustruje dostatecznie wielkość akcyi ratunkowej K. B. K. Lecz akcya ta nie była jednogatunkowa: stosowała się ona do potrzeb, które w równej mierze objęły i dorosłych i dzieci, i w rodzinnych siołach i na uchodźtwie, i żołnierzy i ludność cywilną. Wspomnieliśmy już o Sekcyi Sanitarnej, o Sekcyi Opieki nad dziećmi, o Sekcyi Pomocy doraźnej i gdyby na tem ograniczył swą działalność K. B. K., dokonałby już bardzo wiele. Ale Komitet starał się uwzględnić wszystko, co mógł.

I tak dla tych, których bezwzględna wojna wypędziła z rodzinnych pieleszy, stworzył w swem łonie Sekcyę Opieki nad Uchodźcami, która energicznie broniła wygnańców przed głodem i chłodem. Pokrewną pracę rozwinął Komitet w barakach oświęcimskich, gdzie ujął w swe ręce aprowizacyę i w ten sposób bronił przed lichwą tych nieszczęśliwych. Doniosłych skutków działalności Komitetu doznawali uchodźcy nie tylko zdala od rodzinnych stron, ale i wówczas gdy wracali do nich po przesunięciu linii bojowej. Nadzwyczaj wiele usług w tym względzie oddała społeczeństwu naszemu Sekcya aprowizacyjna. W okolicach, gdzie szalały boje, a wojsko wybrało wszystko do ostatniego ziarna, K. B. K. przez swą Sekcyę aprowizacyjną wprowadzał powoli dawne życie. Starał się też przyczynić do odbudowy kraju przez założenie odpowiedniej Sekcyi, ale trudności „przewyższające najpesymistyczniejsze przewidywania“ nie pozwoliły mu rozwinąć odpowiedniej działalności.

K. B. K. zresztą nie ograniczył się do ratowania tylko ludności cywilnej, tak lekceważonej w czasie wojny, lecz z równą troską zajął się tymi, którym z prawa należy się szczególniejsza opieka od państwa: żołnierzami i jeńcami. Osobna Sekcya starała się ulżyć w ciężkiej doli żołnierzowi Polakowi, ułatwiając mu wyżywienie się lub urozmaicając długie i bolesne chwile po szpitalach i barakach lekturą i innymi podarunkami.

Wszystkich nadto, których wojna ograbiła z mienia i odzieży, starał się Komitet okryć odpowiednio. Stąd to powstała specyalna Sekcya Odzieżowa, która przez swe szwalnie zdołała, za czas objęty sprawozdaniem, dostarczyć 23351 ubrań i 28589 par obuwia w cenach niekiedy kilkakroć niższych jak po innych handlach.

Prócz tego K. B. K., chcąc przyjść z pomocą wszystkim, którym prawo przyznawało jakąś pomoc finansową, założyło w sierpniu 1915 r.

Biuro informacyjne i porady prawnej. Do końca grudnia 1917 Biuro załatwiło 16225 spraw. Tem samem uchroniło te tysiące od zaprzepaszczenia słusznych pretensyi i od lichwiarskiego pośrednictwa, jakie się dziś na wielką skalę uprawia.

Oto parę szczegółów, świadczących o wielkości, rozległości i różnorodności pracy K. B. K. Wypada jeszcze słów parę dorzucić o znaczeniu tej pracy.

Przedewszystkiem nie chcemy tu mówić o tem, co mają do zawdzięczenia Komitetowi ludzie, których K. B. K. wyrwał z niebezpieczeństwa śmierci, których żywił i odziewał, którym torował powrót do swych domostw, którym służył wsparciem lub poradą. Zasługa pod tym względem zbyt widoczna.

Tu chcemy najpierw zwrócić uwagę na moment poniekąd jeszcze ważniejszy. Cały K. B. K. i jego działalność to żywy dokument niespożytej siły Kościoła, żywotnego wpływu jego zasad, to pomnik prawdziwie chrześcijańskiej miłości bliźniego. W momencie tym można dopatrzeć się pewnej wartości apologetycznej. Trudno dziś całkowicie ocenić obywatelskie znaczenie działalności Komitetu. Tkwi ono nie tylko w tem, że przez swą szeroką miłość, którą ogarnął nietylko Polaków, ale i wrogów polskości, raz jeszcze pokazał światu, ile szlachetnych zalet posiada nasz naród. Obywatelską zasługą niezwykłej doniosłości jest fakt, że do pracy tak szlachetnej i tak skutecznej zdołał K. B. K. wciągnąć tyle sił, które w przeciwnym razie działałyby bardzo mało i mniej wydatnie, a możeby nawet gnuśniały w próżnych żalach na ciężkie czasy. Jak z jednej strony w sprawozdaniu niejednokrotnie K. B. K. wyraża swą wdzięczność dla wszystkich, którzy swą współpracą dopomogli mu do wykonania najszczytniejszych zamiarów, tak z drugiej strony i serca współpracowników czują niewątpliwie wdzięczność za to, że K. B. K. dał im sposobność do rzetelnego czynu obywatelskiego, że im ułatwił chwilę tego zadowolenia, jakie się odczuwa, gdy się komuś bezinteresownie uczyni dobrze. Przypuszczamy, że dusze te, a jest ich poważny zastęp, które cierpliwie ślęczały nad wychowaniem sierót, nad sporządzaniem odzieży i t. p., nie osłabną już w swym obywatelskim rozmachu, ale jeszcze i drugich do czynu pobudzą.

Można też, sądzić, że K. B. K. przez założenie warsztatów taniej odzieży i obuwia, przez zorganizowanie choćby częściowe aprowizacyi dał wspaniały przykład, jaką drogą powinien iść nasz przemysł i handel, a w ten sposób zachęci może niejednego do odpowiednich wysiłków.

Co się tyczy układu samego „Sprawozdania“, to rozpada się ono na 15 rozdziałów, z których każdy ma swego osobnego autora. Rozdział I. ogólny (str. 1—99) opracował sekretarz K. B. K., Dr. Jan Górski. Zamknięcie rachunkowe przedłożył p. W. Anczyc, poczem następuje ośm sprawozdań z ośmiu różnych sekcyi i dwa rozdziały, omawiające działalność Biura Informacyjnego i sprawę baraków w Oświęcimiu. Trzy ostatnie rozdziały, streszczają działalność delegacyi lwowskiej, przemyskiej i tarnowskiej. Żałować trzeba, że „Sprawozdanie“ nie posiada tabel schematycznych, któreby ułatwiały oryentowanie się w różnego rodzaju datach, jakich przecież w „sprawozdaniu“ z natury rzeczy musi być wiele. Brak tabel daje się szczególnie odczuć przy nader związłem sprawozdaniu Delegacyi lwowskiej.

Ks. Romuald Moskała T. J.

Ze świata odkryć i wynalazków.

Pismo i psychologia. Nowy sposób uczenia pisania. — Transplantacya a pokrewieństwo gatunków. — Precz z koniem! — Nowy gatunek broni.

Jedną z ciekawszych zagadek psychologii człowieka, i to tak jednostki, jak ludzkości, jako całość wziętej, przedstawia alfabet i wogóle pismo. Przypuszczają przeważnie historycy, że początków jego szukać należy w hieroglifach, owych znakach, mających za cel przedstawić i utrwalić myśli i wyrazy zapomocą drobnych, często skróconych obrazków i że przekształcenie się hieroglifów na fonetyczny alfabet przypada mniej więcej na 35-ty wiek przed Chr.; pod wpływem tego alfabetu egipskiego ukształtował się następnie fenicki, a za nim inne. Jest to tylko przypuszczenie, a za jego prawdopodobieństwem przemawiałby fakt ciekawy, że ani alfabet egipski, ani fenicki, nie mają samogłosek, podobnie jak i późniejszy hebrajski, a natomiast spotykamy je już w alfabecie greckim. Skąd taka różnica u rozmaitych ludów już w tak zasadniczej sprawie, dlaczego kształty liter tak bardzo się różnią, jaki wpływ wywiera fonetyka na skład alfabetu, a znowu pismo i alfabet na fonetykę, dlaczego wiele ludów wogóle nie wpadło na pomysł utworzenia alfabetu i pisma, jaki jest wpływ pisma na kulturę narodów — oto niektóre z tych ciekawych pytań, które każdemu, zastanawiającemu się nad kwestyą pisma, odrazu narzucić się muszą. To co do ludzkości zbiorowo wziętej; ale niemniej zajmująco przed-

stawia się sprawa pisma, gdy zwrócimy uwagę na jednostkę, na pojedynczego człowieka. Przedewszystkiem uderzyć tu musi odrazu fakt niezmiernie ciekawy, że każdy człowiek, który pismem wprawnie i często się posługuje, ma swój swoisty, sobie tylko właściwy sposób pisania, mimo że w głównych zarysach trzyma się utartych i powszechnie przyjętych norm i wzorów. Właściwość ta jest tak widoczną i uderzającą, że już patrząc na adres listu, który z poczty dopiero co otrzymaliśmy, odrazu poznajemy, czy to pisze osoba już nam bliżej znana, i jaka to osoba, czy też ktoś obcy.

Toteż opierając się na tym fakcie ludzie już dawno, jeszcze za rzymskich czasów, wpadli na pomysł odgadywania charakteru człowieka z jego pisma, a w wieku ubiegłym nauka ta, znaną pod nazwą grafologii, rozwinęła się bardzo w ręku fizyologów i psychologów, i rzeczywiście pozwala w przeciągu kilkunastu nieraz minut dojść do tak gruntownego zgłębienia charakteru osoby piszącej, że wiele lat współżycia z nią trzebaby było, by ją tak dokładnie zbadać. Odkładając jednak obecnie na bok kwestyę niezmiernie zresztą interesującą, grafologii, chciałbym obecnie zająć się inną. Zastanawiając się mianowicie nad sprawą pisma u pojedynczego człowieka, zwrócić musimy uwagę na trudności, z jakimi dziecko lub nawet dorosły analfabeta walczyć musi, zanim nabędzie wprawy i biegłości w posługiwaniu się pismem. Ile to biedactwo małe napoci się i nawysila, aby nauczyć się jako tako trzymać w swych drobnych paluszkach rysik, czy pióro, z jakim mozołem odrysowywać mu przychodzi zaklęte i tajemnicze runy. A gdy jeszcze czynić to wszystko musi pod kierunkiem siły pedagogicznej, nieumiejącej panować dostatecznie nad nerwami i wyładowującej bez ogródki ich napięcie na zewnątrz w rozmaitych formach, to nic dziw, że powierzchnia papieru pokrywa się nieraz nie tylko mniej lub więcej udatnemi a z takim mozołem sadzonemi literami, ale wśród kiksów i plam spadnie na papier i rzewna gorąca łezka maleństwa, które nie może zrozumieć, za co i po co tak je dręczą. A udręka tem większa, że przez kilka miesięcy uczono go liter drukowanych na książce, a tu teraz powiadają, że tamto drukowane to wygląda inaczej, a jak chce kto tę samą literę napisać, to musi wyglądać ona znowu inaczej! Dlaczego i poco taka różnica?

Obawiać się należy, że niewielu tych, którzy uczą dzieci trudnej sztuki pisania, potrafiłoby dać pewną i jasną odpowiedź na to pytanie, chociaż widzą i z doświadczenia codziennego doskonale wiedzą, że różnica między literami pisanemi a drukowanemi utrudnia bardzo spra-

wę nauczania dziecka czytania i pisania. Niestety my tak często bezmyślnie przechodzimy koło zjawisk codziennego życia i przyzwyczajeni do ich widoku zupełnie się nad niemi nie zastanawiamy, z wielką szkodą własną i innych. Pytanie powyższe zadał sobie prof. Kühlmann w Monachium, a odpowiedź na nie, wyczerpująca i gruntowna, naprowadziła go na myśl prawdziwie genialną, zdolną zdecydować o zupełnej zmianie sposobu dotychczasowego nauczania pisania.

Jak historya manuskryptów poucza, początki naszego „pisanego" alfabetu sięgają mniej więcej wieku dwunastego naszej ery. Wzory liter, któremi się w Europie zachodniej wówczas posługiwano, brano z napisów pomników rzymskich, a więc były to litery te same, których i dziś używamy w druku tak zwanym łacińskim. Pisarze, skryby, odrysowywali początkowo starannie każdą literę z osobna. W miarę jednak, jak rosła wprawa i szybkość piszącego, litery poczynały przyjmować kształty więcej zaokrąglone i prostsze, ręka piszącego nużąc się ciągłem odrywaniem się od powierzchni papieru, tu i ówdzie łączyła pojedyncze litery, aż wreszcie łączniki te i uproszczenia dowolne skrystalizowały się w postaci takiej, jaką obecnie widzimy w alfabecie tak zwanym pisanym. Na znanym tym fakcie historycznym i na owem prawie, które stwierdza, że rozwój psychiczny jednostki jest jakby obrazem i powtórzeniem rozwoju cywilizacyjnego społeczeństwa, którego ta jednostka jest członkiem, oparł prof. Kühlmann następujący genialny pomysł, który, gdyby się udał, stanowić zarazem może świetne stwierdzenie przytoczonego dopiero co prawa historyozoficznego. Zamiast mianowicie kazać dziecku mozolnie kopiować gotowe litery tak zwane pisane, które odpowiadają raczej wyższemu psychicznemu rozwojowi, czyż nie odpowiedniejby było dozwolić, by dziecko pisało z początku literami drukowanemi, z jakiemi przez przeciąg pierwszych kilku miesięcy nauki szkolnej już się zżyło i z nimi gruntownie zapoznało. Problem tak postawiony poddano zbadaniu doświadczalnemu a rezultat przeszedł wszelkie oczekiwania.

Za przedmiot doświadczenia służyły dzieci z pierwszego roku nauki, a więc w wieku około 6 i pół roku, w sławnej miejskiej ludowej szkole doświadczalnej w Monachium. Badania odbywały się w sposób następujący: Gdy już nauczono dzieci rozpoznawać i czytać litery alfabetu łacińskiego, kazano im je z pamięci odrysowywać. Przejście od rysowania do pisania odbyło się następnie w ten sam sposób, jak to widzieliśmy u całej ludzkości. Zachęcano dzieci, by starały się rysować coraz prędzej i prędzej, i tak dzieci bez mozołu i wysiłku do-

szły do wprawy w pisaniu. Nie trzeba jednak sądzić, że pisały stale literami drukowanymi. Drobne, wzorami kaligraficznymi niezepsute paluszki dziecięce już po kilku tygodniach stawiały zgrabnie literki kursywy, pisma zwykłego, którego nikt dzieci nie uczył, a które rozwinęło się u nich samo z pisma drukowanego — na zasadzie, że rozwój osobnika jest powtórzeniem rozwoju całego społeczeństwa. A pismo to jest tak oryginalne i piękne, że gdy się patrzy na nie w przykładach, przytoczonych przez prof. Kühlmanna[1]), łatwo się wierzy zapewnieniom autora, iż pięknością naiwną swych kształtów wywoływało uznanie najznakomitszych artystów. Przytem zauważyć należy, że chociaż dzieciom pozostawiono zupełną swobodę co do kierunku liter, co do ich form, i stosunku wielkości liter wielkich do małych, mimo to panowała pomiędzy autografami poszczególnych dzieci wielka jednolitość. — Idąc za tą metodą, w przeciągu kilku tygodni dzieci osiągnięły wprawę tak wielką, że do jej nabycia potrzeba było przy dawnej metodzie lat kilku. Zaoszczędzenie czasu i zdrowia dziecka, wyzyskanie i skierowanie na swoiste tory jego zmysłu wynalazczego i indywidualnego patrzenia na świat i rzeczy, oto parę rysów tej prawdziwie genialnej a tak prostej i naturalnej metody. Naprawdę każdy, kto choć trochę interesuje się dzieckiem lub poruszonemi wyżej problemami naukowymi, powinien zapoznać się bliżej z tą genialną metodą i starać się wprowadzić ją w naszych szkołach.

* * *

Przeważna większość, albo raczej ogół dzisiejszych przyrodników, także i katolickich, stoi na stanowisku ewolucyi, które uczy, że w pewnych przynajmniej granicach gatunki zwierząt przekształcają się i przeobrażają, dając początek nowym. Tak więc pomiędzy niektóremi przynajmniej gatunkami zwierząt panuje mniej lub więcej bliskie pokrewieństwo, a zadaniem nauki jest badać te pokrewne klany i zestawiać w większe zespoły, czyli typy.

Różne dotychczas znano kryterya, zapomocą których oznaczać się starano, które grupy zwierząt są bliskiem pokrewieństwem związane. I tak pominąwszy podobieństwo budowy anatomicznej, kryteryum takiem była zdolność krzyżowania się gatunków między sobą, dalej pewne właściwości krwi, które wykrywano zapomocą tak zwanej metody Friedenthala. Obecnie dr. Loeser zwraca uwagę na inne jeszcze kryteryum, mianowicie na zdolność transplantacyi pomiędzy bada-

[1]) Umschau 1918 Nr. 35 i w dziele: Schreiben neum Geiste. Monachium 1918.

nymi gatunkami. Chodzi tu mianowicie o zjawisko, znane już od lat szeregu w biologii i medycynie, że np. kawałek skóry wycięty w jakiemś miejscu osobnika można przenieść, przeszczepić, na inne miejsce powierzchni ciała i po pewnym czasie skóra przyjmuje się na nowym ośrodku, a rana goi się całkowicie. Podobnie postępować też można z różnymi osobnikami tego samego gatunku. Gdy jednak zaczęto czynić takiesame próby nad zwierzętami różnych gatunków, przekonano się, że niektóre próby się udawały, inne natomiast dawały wyniki ujemne, i albo rany się nie goiły, albo nawet zwierzęta, na które obcą skórę przeszczepiano, ginęły. Tak naprzykład transplantacye dokonywane pomiędzy żabą wodną i zieloną goiły się po jakich trzech miesiącach, natomiast przeszczepienia pomiędzy żabą zieloną a ropuchą, lub szczurem i myszą nie udawały się, i albo zwierzę przeszczepioną skórę odrzucało, albo też ginęło. Otóż zdolność wzajemnej transplantacyi pomiędzy dwoma gatunkami zwierząt, stanowił ów według Loesera dowód, że gatunki te są ze sobą spokrewnione, że pochodzą z jakiegoś innego pragatunku. Jak z tych przykładów widać, chodziłoby tu tylko o wykrycie pokrewieństwa bardzo blisko siebie stojących gatunków, ale w problemach tak doniosłych i najmniejszy nawet krok naprzód za wielką uważaćby należało zdobycz.

* * *

Precz z końmi — oto hasło, jakie świeżo rzucono w Niemczech, a chociaż nie znalazło ono tam ogólnej sympatyi, warto jednak zaznajomić się bliżej z przyczynami, które hasło to spowodowały. Przedewszystkiem zwrócić należy uwagę na to, że wojna obecna bardzo zdyskredytowała konia jako czynnik strategiczny. Przed wojną niejednokrotnie zadawano sobie pytanie, jaką rolę obejmie koń w dzisiejszym sposobie wojowania i chociaż wielu sceptycznie się na udział konia w wojnie zapatrywało, inni natomiast wskazywali na wojnę angielsko-burską, gdzie koń oddawał usługi znakomite, zwłaszcza gdy chodziło o treny i o szybkie przerzucanie oddziałów wojska z miejsca na miejsce, a także i ataki konnicy angielskiej, uzbrojonej w dzidy bardzo silnie na Burów oddziaływały. Wojna obecna, która zmobilizowała do walki miliony i miliony koni, miała dać jednak odpowiedź decydującą. I odpowiedź ta wypadła pod każdym względem dla konia niekorzystnie, i to tak co do jego roli w samej wojnie, jak i poza frontem, w kraju.

Co do pierwszej części, to jest wojennej niejako działalności konia, to ta wogóle zawiodła zupełnie. Te masy wojsk dzisiejszych potrzebowałyby niekończących się chyba szeregów wozów, zaprzągniętych

w parę lub dwie pary koni, a po drodze konie te trzeba żywić, trzeba poświęcić moc wielką ludzi wyłącznie do nadzoru koni, zaś ilość bagażu czy amunicyi, na taki wózek naładowana, jest wobec potrzeb dzisiejszej walki czemś śmiesznie małem. Takim wymogom podołać mogą tylko automobile i to ciężarowe, lub zgoła całe pociągi. Jeżeli bowiem dzisiaj jedna bitwa kilkogodzinna, na jednym odcinku prowadzona, zużyje kilkadziesiąt pociągów amunicyi, to ileżby wozów i koni potrzeba było, by tego dzisiejszego molocha wojny nakarmić dostatecznie! A cóż dopiero, by go nakarmić ludźmi! Przy dzisiejszych, na setki kilometrów rozciągających się frontach, trzeba ustawicznie przerzucać wojska z jednego miejsca na drugie, lecz nie pojedyncze oddziały, a całe dywizye. Takiemu zadaniu znowu podołać mogą tylko automobile, z szybkością kilkudziesięciu kilometrów na godzinę przewożące po pięćdziesiąt i więcej ludzi naraz. Toteż pola poza frontami armii dzisiejszych poprzerzynane być muszą drogami licznemi, dającemi możność ciągłych, szybkich a olbrzymich ruchów i połączeń automobilowych pomiędzy wszystkimi punktami frontu. To samo powiedzieć trzeba i o armatach dzisiejszych. Nietylko wielkiej berty ale żadnego działa wielkiego nie można już dziś poruczyć zaprzęży końskiej, do służby nadaje się tam wyłącznie potężny automobil, przy którym jeden człowiek czuwa nie nad parą koni, lecz nad maszyną o sile kilkudziesięciu koni, a konie te jedzą zawsze jedno i to samo, benzynę lub naftę, pokarm więc, który łatwo przewieść i zachować.

A wreszcie rola konia pod wierzchiem, jako zwierzęcia pomagającego do ataku na wroga — ta należy już dzisiaj do przeszłości. Wprawdzie niejednokrotnie w wojnie obecnej próbowano zdobywać, jak pod Rokitną, rowy atakiem konnicy, ale skutek dla atakujących był straszny bez żadnego dodatniego wyniku! Chyba poęci tylko plon z podobnych ataków zbierać mogli. Technika wojenna tutaj wyparła konia, zastępując go rumakiem stalowym, znanym już dziś powszechnie tankiem. Potwór ten o olbrzymiej sile i niezwykłej odporności, jeźdźca już nietylko nosi na sobie, ale w sobie, chroniąc go i pozwalając mu z niebywałą powolnością sobą kierować. Łagodny dla swoich, straszny dla wroga, a przytem zwinny, szybki, karmiący się tylko naftą, tank zaletami swemi pokonał konia zupełnie i pozbawił go wszelkiego dla walki czynnej znaczenia.

W wojsku więc hasło: „przecz z koniem“, grzmi po wszystkich dziedzinach pól marsowych, a rycerz zbrojny, który konno wraca z długiej wojny, znika z widowni świata obecnego. Lecz i praktyczny a zdu-

szony wojną hinterland także coraz sceptyczniej zaczyna się patrzyć na to zwierzę. Pominąwszy fakt, że dzisiaj płacić trzeba za konie bajeczne sumy, najbardziej dokucza rolnikowi i wogóle właścicielowi konia troska codziennie się powtarzająca o wyżywienie tego zwierzęcia. A koń je, jak koń, i zje, jak sobie to nasz chłop wykalkulował, tyle, co dwie krowy, — i nic, żadnego pokarmu, prócz robocizny, za to nie daje. Przed wojną, gdy zboże i inne produkty można było łatwo i tanio sprowadzić z zagranicy, stan ten nie był tak dokuczliwy, lecz dzisiaj, gdy przeliczają człowiekowi każde ziarnko zboża i każdą krupkę kaszy, którą do ust niesie, zaczyna się on rozglądać naokoło siebie i patrzyć pilnie, kto chleb jego zjada. I w pierwszym rzędzie dostrzega głównego rywala w koniu. A rywala nielada. W Niemczech podczas pokoju jeden koń przypadał średnio na 13 ludzi, tak, że konie zjadały tyle, albo może i więcej, niż ludzie. Boć i tym owsem i trawą, które koń zużywa, można wyżywić mleko- i mięso-dajne krowy, albo też wprost na to miejsce posiać chlebowego ziarna. Bismarck-Kniephof, który zresztą staje w obronie konia, tak oblicza roczne menu tego zwierzęcia: 3000 kg kartofli, 1650 kg owsa, siana i koniczu z $^1/_3$ hektara czyli blisko z morga, a prócz tego dużą ilość słomy na sieczkę — tak, że razem wypadnie tyle, że równa się to rocznemu plonowi z 3 morgów ($^7/_6$ hektara). A gdy dodamy do tego jeszcze wyżywienie parobka i uprzęż i źrebięta — i dnie bezczynne, lecz nie bezjedne konia, to łatwo zrozumiemy okrzyk: Precz z chlebożernym koniem, niech żyje automobil! Ten pracuje dzień i noc i przy wielkiej, wielokonnej sile tylko jednego człeka nad sobą potrzebuje, a karmi się naftą, benzyną, acetylenem, gazem, lub zgoła elektryką — wszystko pokarmy takie, że żaden człowiek, nawet obecny, który przez długie nieraz czasy dziwnym sposobem kartkami tylko żyć musi, pokarmu tego nie skosztuje i nikomu go też nie zajrzy.

Do zupełnego więc usunięcia konia nawet z rolnego gospodarstwa, potrzebaby jeszcze tylko, by wynaleziono takie automobilowe maszyny, któreby potrafiły, jak wytyka krytycznie wspomniany wyżej Kniephof, i zwieść siano z wilgotnej łąki, i wybronować poraz ostatni pulchno wyprawioną rolę i zaorać na nierównym a spadzistym kawałku gruntu i przejechać grzęzką drogą lub wązką ścieżyną i tp. drobne napozór, lecz w gospodarstwie rolnym niezbędne prace. Zanim to nastąpi, zachęca Kniephof do hasła innego: Jak najwięcej w rolnictwie maszyn, lecz koni przynajmniej tyle, ile ich było przed wojną. A wtedy, zdaniem tego fachowego rolnika, nawet w Niem-

czech, gdzie produkcya rolna tak stoi wysoko, można ją będzie jeszcze podnieść znacznie tak, że wystarczy hojnie na wyżywienie konia i jeźdźca. — Jeżeli tak jest w Niemczech, to tembardziej u nas, gdzie pole tak mało jeszcze wyzyskane, a hasłem naszym po wojnie być winno: jak najwięcej maszyn i — jak najwięcej ziarna z każdego kawałka ziemi. Strasznie to pomyśleć, jak lekkomyślni lub źli agitatorzy pędzą rolnika naszego do rozszerzania swych posiadłości, a tymczasem to, co jest w ręku chłopa, tak mały plon przynosi, tak słabo wyzyskane! Więcej ziarna z ziemi!

* * *

Wspomniany wyżej tank zasługuje, by bliżej nieco nim się zająć, już tak z powodu tego, co już zdziałał, jak i ze względów więcej ogólno-wojskowych, z powodu jego znaczenia w technice strategicznej. A znaczenie to, zdaniem fachowych wojennych krytyków, jest tak olbrzymie, że tank stanowić odtąd będzie stale trzeci rodzaj broni, równorzędny z piechotą i artyleryą. Więc nie, jak wielu sądziło, aeroplan lub balon, lecz tank. Wynalazek ten, wykrzesany z geniuszu angielskiego pod twardemi uderzeniami obecnej wojny, zarówno swą historyą powstania jak i sprawnością udowadnia zdumionemu światu, że Anglik dzisiejszy godnym jest synem dawnych mieszkańców Albionu.

Przed dwoma zaledwie laty tank wszedł w szranki wojenne, lecz w tym krótkim czasie przez dwa już przeszedł przeobrażenia. Początkowo była to machina olbrzymia, opancerzona, automobilowa wieża, gniotąca wszystko, co na drodze spotkała, czołgająca się poprzez zasieki i rowy, lecz poruszająca się powoli i opatrzona pancerzem tak słabym, że już karabin maszynowy był zdolny zadać mu ukąszenia śmiertelne. Jego ruchy wolne i zbyt słaby pancerz sprawiły, że zarówno artylerya jak i ręczne miny i karabiny maszynowe niemieckie bardzo prędko załatwiały się z nadchodzącymi tankami. Wtedy tank wszedł w drugą fazę. Dano mu postać mniejszą może, lecz zato szybkość ruchów jego stała się olbrzymia, prócz załogi nosi z sobą nadto armatę, a pancerz jego jest tak silny, że już karabin maszynowy zwyczajnie zmódz go nie zdoła. W tej formie wprowadzają go masami na pole bitwy, a przerzucany z powodu swej szybkości z łatwością na najbardziej potrzebne miejsca, tank oddał olbrzymie usługi entencie i on to wyłącznie, sprawił zwrot nieprzewidziany na froncie zachodnim. Tak, jak niegdyś w przemyśle dokonała przewrotu maszyna parowa, która wystąpiła do walki konkurencyjnej z pracą ludzką, tak obecnie w strategii dokonuje tego tank. Przeciwko maszynie, tylko maszyna — oto konkluzya, do

jakiej dochodzi znany krytyk wojskowy Presse, Fabius. Darmo żołnierze niemieccy z odkrytą piersią i miną w ręku idą do ataku na strasznego, ogniem ziejącego stalowego potwora, by go wysadzić w powietrze; za jeden zniszczony tank położyć życie musi wielu rycerzy. Darmo wymyślano na chwilę tak straszny sposób wojowania, że armaty bez zasłony, przed piechotą szły do ataku, narażając się na niezmierne straty; na miejsce zniszczonych tanków przyszły nowe, a artylerya cofnąć się musiała pod osłoną piechoty z wałów. Na tank, jeden tylko jest sposób: tank. W ten sposób walka znowu przenosi się na pole techniki. Wydobywa się gorączkowo z łona ziemi drogocenny węgiel, by wykopać i przerobić rudę na stal, pracują gorączkowo tysiące i tysiące robotników, by wyprodukować jak najwięcej tych piekielnych maszyn. A tymczasem ludzkość raniona krwawi się i zapada coraz głębiej, ustają badania naukowe, cofa się postęp, drży w posadach cywilizacya. Przed wiekiem wyprodukowała ona maszynę parową, odsłoniła i zaklęła w swą służbę elektryczność, i oświadczyła dumnie, że sama sobie wystarcza, że obejść się zupełnie może bez Boga i religii. I w dumnym swym twórczym pochodzie wyprodukowała wreszcie — tank; i produkować go musi bez wytchnienia i do ostatniego wysiłku — chyba, że się nad nią zlituje wzgardzony przez nią Bóg.

Ks. Feliks Hortyński.

Uwagi do artykułu „Anna z Bardzkich Karwatowa“ [1]).

Przez pomyłkę opuściłem wzmiankę o 4 utworach Karwatowej, których w mem zestawieniu wszystkich jej utworów braknąć nie powinno.

1. W a w r z y n a, obraz dramatyczny w 5 aktach wierszem (Drukarnia narodowa, Kraków 1908. Drugie wydanie w r. 1911 tamże). Autorka przedstawia w wiązanej w dobitnych dialogach walkę prześladowanej sieroty z wyższych sfer z chytrym opiekunem i ubiegającym się o jej względy i majątek przeżytym i moralnie słabym synem opiekuna. Autorka przeprowadza tu problem, że miłość godnej kobiety uszlachetnia zepsutego mężczyznę. Rozwój akcyi logiczny, język piękny i czysty, miara artystyczna zachowana. Namiętność występuje ze siłą, nie rażąc dobrego smaku

2. K w i a t J a g i e l l o n ó w, obraz historyczny z XVI wieku, usce-

[1]) Przegląd Powszechny, maj—czerwiec 1918, str. 375.

nizowany w 5 aktach wierszem. (Druk. Narod. Kraków 1911; drugie wydanie tamże). „Gazeta Narodowa“ we Lwowie pisze o tym dziele: „Kwiatem Jagiellonów jest Katarzyna Jagiellonka, siostra Zygmunta Augusta, żona Jana Wł., księcia Finlandyi, w końcu dramatu królowa szwedzka, matka naszego Zygmunta III Wazy. Sceny ujęte obrazowo, całość ma żywą akcyę, budowa sceniczna opracowana sumiennie. Pierwszy raz przedstawiono w utworze polskim, przeznaczonym na scenę, stosunki polsko-szwedzkie i polsko-finlandzkie.“

3. Z mojej teki — utwory ulotne. (Druk. Narodowa. Kraków 1907). „Praca“ w Poznaniu pisze o tej książce: „Dużo w tych utworach uczucia, forma gładka a rozmaita, język gładki i czysty. W zbiorku tym znajdujemy głęboko pomyślany cykl: „Księżycowe Noce“, składający się z pięciu części: „Dusza“, „Wieczność“, „Wiara“, „Nadzieja!! i „Miłość“. I wiele innych utworów w tym zbiorku to perły prawdziwe poezyi i myśli wyższych. Bardzo tu dużo utworów nadaje się do deklamacyi. Zbiórki bardzo polecić możemy młodzieży.“

4. Mszalny dzień, misteryum, utwór dłuższy, napisany prozą, wyszedł we Wielkim Tygodniu 1918 w „Gazecie Narodowej“ w Poznaniu. Przepiękny to opis męki Pańskiej, pełen bolu, zgrozy, ale i nadziemskiego majetastu, otoczonego poezyą, a przejęty głęboką religijnością, oraz znajomością zasad Kościoła.

Zakradła się też w artykule pomyłka w tytułach. Str. 381 powiedziano: „Czarna porta“, ma być „Czarna perła“. Na str. 382 czytamy: „Wieczór“, powinno być „Wieczór wigilijny“.

Wreszcie ukazał się teraz w drugiem wydaniu dramat 5-aktowy Karwatowej „Pod błogosławieństwem matki“ (nakładem księgarni A. Cybulskiego, Poznań). Dodaję tutaj, co należało mi powiedzieć w artykule moim, że w dramacie tym akcya jest żywa i jak we wszystkich sztukach Karwatowej sumiennie opracowana, język czysty, piękny i dobitny, sceny efektowne, charaktery świetnie psychologicznie przeprowadzone. Bardzo polecić możemy sztukę zawodowym teatrom, lecz również i amatorskim. Bo dziś wolą amatorzy nieraz przedstawiać rzeczy poważniejsze, obfitujące w piękne sceny walki duchowej, niż sztuki lżejsze.

Palecki.

REDAKTOR NACZELNY: *Ks. Jan Urban T. J.*
WYDAWCA I REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: *Ks. St. Podoleński T. J.*
DRUKARNIA EUGENIUSZA I DRA KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Nakładem księgarni Gebethnera i Ski w Krakowie.

— **Polski łan.** Lwów. Str. 44.

Logos IV. Dekalog nowej epoki, r. 1917. Str. 8.

Ks. Winkowski: **Egzorty dla szkół średnich,** r. 1917. Str. 331.

Zarzecki Lucyan: **O wychowaniu narodowem,** r. 1917. Str. 56 in 12°.

Oppman Artur: **Na San Domingo,** obrazy i wspomnienia, rok 1917. Str. 114.

Tur Jan: **Nauka i uczony,** r. 1917. Str 204.

Sienkiewicz Henryk: **Legiony,** powieść historyczna, r. 1917. Str. 256 in 12°.

Reymont Władysław St.: **Insurekcya,** powieść historyczna, rok 1917. Str. 441.

Prus Bolesław: **Od upadku — do odrodzenia**, r. 1918. Str. 322.

— **Wojtusie,** szkice i drobiazgi, r. 1918. Str. 406 in 12°.

Choynowski Piotr: **Pokusa,** nowele, r. 1918. Str. 243.

Sokołowski Alfred: **Wielkie klęski społeczne** (Ospa, choroby tyfusowe etc.) r. 1917. Str. 375 in 12°.

A. Conan Doyle: **Zatrute kręgi,** r. 1918. Str. 163.

Ks. Jędryś Józef: **Podstawy życia narodu,** nakładem autora, Kraków r. 1918, str. 74 in 12°.

Ks. Naskręcki Kazimierz: **Dogmatyczno-moralna Nauka rzymsko-katol. Kościoła w krótkim zarysie.** Księgarnia Leona Idzikowskiego. Kijów—Warszawa r. 1916; str. 168 in 16°.

Ks. Naskręcki Kazimierz: **Historya Kościoła katolickiego w krótkim zarysie.** Część I. Kijów r. 1917. 16⁰, str. 168.

— **Krótkie nauki o Mszy św.** Kijów—Warszawa—Kraków (Krzyżanowski) r. 1912. 16⁰, str. 115.

— **Pójdź za Mną.** Zbiorek najpotrzebniejszych modlitw dla wszystkich. Wydanie 4-te. Kijów—Warszawa rok 1917, 32⁰, str. 248.

Ks. Włodzimierz Jasiński: **„Zmacniajcie się w Panu".** Gebethner, Warszawa—Kraków. 16⁰, str. 194.

Ks. Dr W. Kalinowski: **Obszerna Historya święta z ilustracyami.** Część I: Stary Testament. Kijów rok 1916. 16⁰, st. 119.

— **Obszerna Historya święta.** Część II: Nowy Testament. Kijów. 16⁰, str. 157.

— **Apologetyka.** Podręcznik szkolny dla klas wyższych. Wydanie trzecie. Kijów r, 1917. 16⁰, str. 116.

Ks. Adam Lech: **Krótka Historya święta.** Z licznemi ilustracyami. Wyd. 2. Kijów 1916. Stary Testament, 16⁰, str. 45. Nowy Testament, 16⁰, str. 47.

Ks. Dr Edward Górski: **Jezus Chrystus w świetle Ewangelii.** Sandomierz r. 1918, 8⁰, str. 470.

Ks. Pelczar, biskup: **Krótkie wskazówki,** jak w odmawianiu Różańca modlitwę ustną łączyć z rozmyślaniem. Nakładem Służebnic Serca J. Kraków 1917, str. 128 in 16⁰.

IX. Sprawozdanie z czynności za rok 1914/16 Pols. Związku Niewiast katol. Kraków 1917. 16⁰, str. 116.

Ks. Dr Zygmunt Baranowski: **Pamiętnik wiejskiego księdza.** Poznań r. 1917, 16⁰, str. 145.

Ks. Franciszek Błotnicki: **Z ojczystego łanu.** Poezye. Lwów r. 1918. 16⁰, str. 201.

Sprawa polska w Białej. Nakł. Koła T. S. L. im. Wład. Jagiełły. Biała 1914. 15⁰, str. 75.

Ks. Nikodem Cieszyński: **Mowa poświęcona pamięci Dąbrowskiego w setną rocznicę jego zgonu.** Poznań r. 1918, 8⁰, str. 20,

Władysław Włoch: **Polska elegia patryotyczna w epoce rozbiorów.** Prace hist.-literackie Uniw. Jagiel. Kraków r. 1916. 16⁰, str. 133.

Dr Jan Sajdak: **Nowe tłumaczenie Pisma św. i jego stosunek do Wujka.** Lwów r. 1918. 16°, str. 46.

Dr Theodosius Titus Haluszczyńskyj O. S. B. M.: **De urbis Babel exordiis ac de primo in terra Sinear regno.** Lwów r. 1917, 8°, str. 105.

Ks. Kazimierz Zimmermann, Dr ekonomii polit., Prof. chrześcij. nauk społecznych Uniw. Jagiell.: **Fryderyk Wielki i jego kolonizacya rolna na ziemiach polskich.** 2 tomy. Nakł. księgarni św. Wojciecha w Poznaniu, r. 1915. 8°, str. 398 i 495, z ilustr.

Ks. Jan Urban: **Na wejście w świat.** Nakł. księgarni św. Wojciecha w Poznaniu, r. 1918. 16°, str. 424.

Dr theol. Adolf Donders: **P. Bonaventura O. Pr. — 1862—1914.** Ein Lebensbild. Herder, Freiburg in Br., 1918. 8°, VIII +326.

Dr Joseph Mausbach: **Naturrecht und Völkerrecht.** Herder, Freiburg in Br., 1918. 8°, VI+136.

Dr Mieczysław Offmański: **Dzieje klasztoru OO. Kapucynów w Nowem miejście nad Pilicą.** Lwów 1917. 8°, str. 32.

P. Abel S. J.: **Gedenkblätter zum 25 jähr. Bestande der Marian. Kongreg. für Kaufleute in Wien.** Wien 1916. 8°, 40 Seite.

Ks. Stanisław Sapiński: **Jasiek-Ksiądz.** Kraków 1918. 16°, s. 40.

Zofia Urbanowska: **Złoty pierścień.** Opowiadanie dla młodszych dzieci. Gebethner i Wolff. Warszawa r. 1916. 12°, str. 148.

Kurzer Führer die vorgeschichtliche Abteilung des Gräfl. Mielżyński'schen Museums. Posen 1917. 16°, 26 S.

H. A. Krose S. J.: **Kirchliches Handbuch für das katholische Deutschland.** Herder, Freiburg in Br., 1918. 8°, VII+455.

Ks. Adolf Bertram, Książę-Biskup Wrocł.: **Dzień Bierzmowania.** (Przekład Ks. Fr. Rucińskiego). Herder, Freiburg in Br., 1918. 16°, V+166.

P. Luis Martin S. J.: **Die heilige Theresia von Jesus.** Friedrich Pustet, Regensburg, 1913. 16°, XII+144.

A. Huonder S. J.: **U mistrových nohou.** — Praga 1915. 12°, str. 352.

Samookreślenie narodów w świetle filozofii chrześcijańskiej.

Dążenia narodów do zdobycia samoistnego politycznego bytu spotykały się aż do ostatnich czasów z surową oceną niektórych uczonych katolickich. W dziełach traktujących o etyce społecznej, nietylko poświęcano tym zagadnieniom bardzo szczupłe miejsce, ale rozwiązywano je zazwyczaj w sensie dla wszelkiego nacyonalizmu dość nieprzychylnym.

Tak np. w pomnikowem zresztą dziele o prawie przyrodzonem, tymi słowy zamyka Teodor Meyer swoje w tym względzie uwagi: „Tak zwana zasada narodowościowa i z praktycznej i z teoretycznej strony przedstawia się nam jako cząstka tego rozległego systemu błędów społecznych, któremu zwykle daje się miano liberalizmu i którego cechą jest racyonalistyczne zaprzeczenie i rozbicie całego społecznego porządku, ugruntowanego na prawie przyrodzonem i Bożem“ [1]). Owszem jeszcze w ciągu ostatnich miesięcy, gdy pod naporem narodowościowych tendencyi chwiał się już w posadach istniejący państwowy porządek, jeszcze podnosiły się głosy, które w sporze między narodem a państwem temu ostatniemu przyznawały bezwzględną słuszność. Tak n. p. znany i bardzo zasłużony filozof prawa, Prof. Biederlack oświadcza bez ogródki: „Prawno-państwowa nauka chrześcijańska najzu-

[1]) Ius naturale. Tom II. n. 348.

pełniej wyklucza zasadę samookreślenia narodów w łonie państw dotychczas prawnie istniejących.

Narody nie mają prawa więcej żądać nad poszanowanie swych narodowych interesów w ramach ogólno-państwowego dobra, owszem w myśl chrześcijańskich zasad mają obowiązek dobro państwowe daleko wyżej stawiać niż dobro własne. Bo państwom a nie narodom powierzył Stwórca zadanie pielęgnowania wśród ludzi tych dóbr społecznych, jakiemi są ład i pokój, sprawiedliwość i miłość" [1]).

Z powyższym poglądem solidaryzuje się całkowicie niemniej głośny uczony ks. Robert von Nostitz-Rieneck [2]) i wielu innych.

Co mogło wpłynąć na urobienie tego rodzaju zapatrywań?

Przedewszystkiem zaznaczamy, że nie są to pojęcia specyficznie i wyłącznie katolickie. Dałoby się wymienić niemało uczonych różnych wyznań i różnych obozów, którzy tę niechęć do nacyonalizmu podzielają w zupełności. Powtóre jednak nie trudno zrozumieć, że myśliciele katoliccy więcej niż inni mogli mieć powodów, by krytycznie spoglądać na narodowościowe dążenia i budowane na nich teoryе.

Bo najpierw nacyonalizm jest zjawiskiem młodem, a konserwatywna z tradycyi nauka katolicka do tego, co świeże, odnosi się zawsze ostrożnie. Jej środek ciężkości nie darmo jest w tym Rzymie, o którym powiedziano tak trafnie, *que sa lenteur est un des caracteres de sa sagesse.*

Powtóre zapominać nie można, że z hasłami narodowościowymi wiążą się dla Kościoła świeże a niedobre historyczne wspomnienia. Bo wszakże jednym z pierwszych owoców tych haseł była owa burza, co zniweczywszy państwo kościelne, wdarła się do Rzymu przez Porta Pia i w miejsce zwalonych tronów, rozsiała po całych Włoszech nieprzeliczone pomniki Wiktora Emanuela, Garibaldego i Cavour'a.

I wogóle nie mogli budzić wielkiego zaufania ci ludzie, od których wychodziła najgłośniejsza propaganda nacyonalistycznych teoryi.

---

[1]) Reichspost z d. 9 lutego 1918.
[2]) Stimmen der Zeit. Kwiecień 1918 str. 86 i n.

Pierwszy, niejasny jeszcze zarys praw narodów rzuciła, obok praw człowieka, rewolucya francuska. Posiew tej myśli zeszedł bujnie, po lipcowym przewrocie w łonie szkół liberalnych i lóż wolnomularskich, które z Mazzinim na czele siecią tajnych organizacyi oplotły trony, zanim na tron wyniosły swoje narzędzie, w osobie Napoleona III.

I w nowszych czasach, krystalizująca się coraz wyraźniej zasada samookreślenia narodów wychodziła przeważnie z kół dla Kościoła obojętnych lub wrogich. Wciągały ją w swój program prawie wszystkie socyalistyczne kongresy, aż do świeżej międzynarodowej konferencyi w Sztokholmie, głosiły ją zawsze masońskie deklaracye, wywiesił ją na swych sztandarach bolszewizm rosyjski, aż wreszcie u r b i e t o r b i, jako podstawę nowego porządku rzeczy, obwieścił ją światu świecki papież z białego domu w Waszyngtonie.

Z tych i wielu innych racyi, bardziej psychologicznej natury, łatwo da się zrozumieć, że na wzbierającą falę nacyonalistycznych dążeń spoglądało wielu myślicieli katolickich z nietajoną obawą.

Obawy jednak nie pomogły.

Światowa wojna rozpoczęta dla imperyalistycznych, nie narodowych celów, wydała nieprzewidzianie wprost przeciwne owoce. W miejsce ziszczenia ambitnych państwowych zamysłów, pękły spojenia najsilniejszych mocarstw; zamiast podboju nowych dzierżaw, runęły trony, zmiecione wichrem oburzenia ludów; zamiast umocnienia państwowości, patrzymy na zupełne zwycięstwo praw narodów.

Bo jest zwycięstwo, nie tylko faktyczne, lecz ideowe. W tem co się stało, nie prawo zostało pokonane, lecz siła. Ze serca ludzkości zbroczonej krwią i łzami, zranionej w najgłębszych nerwach społecznego organizmu, sama prawda wydarła krzyk rozpaczy ale i zdrowego rozsądku, że muszą uledz zmianie zasady państwowości, które doprowadziły świat do tak okropnego kataklizmu. Nie może tak być dalej, by ludy wbrew swojej woli pchane były do walki na śmierć i niedolę milionów, za obcą sobie, gniotącą obręcz państwową. Narody muszą mieć możność decydowania

własną wolą o swoim losie, musi nareszcie przyjść czas, że stanie się naprawdę s u u m c u i q u e.

Nie można obronić się przekonaniu, że to palec Boży wypisał na kartach dziejów e t n u n c r e g e s i n t e l l i g i t e, że wypisał i na sercach ludzkich nowe i głębsze zrozumienie odwiecznych swych myśli, ku którym dziwnemi drogami wiedzie mieszkańców ziemi duch Prawdy. Ma się nieprzeparte wrażenie, że w pojęciach prawnych o państwie dokonał się przy olbrzymim jakimś plebiscycie narodów duży postęp, że zrodzone wśród pożogi wojennej uznanie, iż ludy muszą mieć prawo stanowienia o swoim losie, weszło do zdobyczy myślowych, z którymi ludzkość chyba już nie zerwie.

Zadaniem naszem będzie wykazać, że nauka katolicka jest z tem uznaniem w zupełnej harmonii. Zanim jednak przystąpimy do tego zadania z pozytywnej strony, wypada nam roztrząsnąć rozumowania przeciwne a przedewszystkiem usunąć z drogi jedną poważną trudność.

Przytoczeni wyżej myśliciele, jak Biederlack i inni, twierdzeniom swoim dla nacyonalizmu nieprzychylnym przypisują często charakter „nauki katolickiej". To wyrażenie zdawałoby się wskazywać, że za ich poglądem stoi powaga nieomylnego Kościoła. Czy tak rzecz się ma w istocie?

Sprawiedliwość nakazuje wyznać, że za tem mniemaniem przemawiały niegdyś pozorne racye. Gdy Grzegórz XVI, w imię posłuszeństwa władzy ganił listopadowe powstanie[1]), gdy Pius IX. po wiele razy piętnował machinacye Piemontu, uwieńczone zjednoczeniem Włoch i zaborem państwa kościelnego, gdy do Syllabusa tegoż papieża wciągnięte zostały jako odrzucenia godne dwa zdania, które poniekąd i nacyonalizmu dotyczą[2]) — zdawać się

[1]) W encyklice do biskupów polskich z dnia 9 czerwca 1832. Dokument ten wydany na nalegania Mikołaja I., popartego przez dwory austryacki i pruski został z umysłu p o m i n i ę t y w zbiorowem oficyalnem wydaniu bull Grzegorza XVI., który później przyznał otwarcie, że został w błąd wprowadzony co do stosunków polskich. Porównaj w całej tej kwestyi interesujące szczegóły w pamiętnikach Jenerała Zamoyskiego T. III. rozdz. 14. str. 432 i nn.

[2]) Zdania te brzmią: Prop. 63. Legitimis principibus obedientiam detrec-

mogło, że i Stolica Święta, wbrew aspiracyom narodów, bezwzględnie za legitymizmem się oświadcza. Było tego zdania niemało katolików tak, jak wielu sądziło aż do czasów Leona XIII., że republikańska forma rządu sprzeciwia się stanowczo, jeśli nie orzeczeniom, to sympatyom miarodajnych kół w Kościele.

I w zasadzie nie byłoby w tem nic niezgodnego z katolickimi pojęciami, by jakiś papież, poza właściwą sferą ścisłej nieomylności, skłaniał się ku teoryi, od której następcy jego odstąpią. Poza tym aktem, którym Namiestnik Chrystusowy w dziedzinie wiary i obyczajów ogłasza coś uroczyście, jako prawdę objawioną od Boga, może on hołdować bądź mylnym, bądź nie zupełnie uzasadnionym przekonaniom, może ulegać wpływom chwili i umysłowego środowiska, może mniej lub więcej taktownie czy to odezwać się czy też postąpić. Historya kościelna dostarcza nam w tym względzie niejednego przykładu.

W naszym przedmiocie nie potrzebujemy jednak do takiego tłumaczenia się uciekać. Wnikając głębiej w przyczyny i myśl przewodnią wspomnianych dokumentów papieskich, widzimy jasno, że Stolica święta nie potępiała nigdy samej zasady samookreślenia narodów, ale jużto jej nadużycia, jużto środki przewrotne w jej służbę wprzągnięte, jużto przedwczesne próby wprowadzenia jej w życie. Między latami zeszłego wieku trzydziestym a siedmdziesiątym, gdy większość ludów dobijała się dopiero o konstytucyjną formę rządu, ani zasada sama nie była dojrzała ani samowiedza narodów dość ogólnie rozbudzona, ani przemoc państwa dość osłabiona, by walka o prawa ludów mogła mieć widoki powodzenia. Cóżby się było stało, gdyby Stolica święta już wówczas otwarła była drzwi na oścież nacyonalistycznym dążeniom? I jak mogła drzwi im otworzyć, gdy, z wybujałością właściwą młodym teoryom, podkopywały wszelkie prawa, wywracały wszelki porządek, hasłem miłości ojczyzny pokrywały wszelkie nadużycia? Wystarczy rzucić okiem na mrzonki i zasady etyczne, propagowane przez loże Mazziniego, aby natychmiast wystąpiły

tare, immo et rebellare licet. Prop. 64. Cuiusque sanctissimi iuramenti violatio... non solum haud est improbanda verum etiam omnino licita... quando id pro patriae amore agatur. Denzinger. Enchiridion ed. 10. nn. 1763, 1764.

we właściwem świetle cytowane wyżej zdania Syllabusa i inne pokrewne orzeczenia Piusa IX. Doprawdy same narody powinnyby być wdzięczne Stolicy świętej, że swą mądrą przezornością nie pozwalała im krwawić się w przedwczesnej, bezowocnej walce i że w zarodku chroniła ich aspiracye od zarazy fałszywych doktryn.

Ale ta sama przezorność sprawiła, że z biegiem lat i ze zmianą warunków mógł Kościół inne zająć stanowisko wobec zasad nacyonalizmu już dojrzalszych, wzmocnionych i uspokojonych wewnętrznie.

Już bezpośredni następca Piusa IX. z właściwem sobie zrozumieniem dla prądów współczesnych, powiada otwarcie: „Kościół tego nie potępia, że jakiś naród ani obcemu służyć ani wogóle pana nad sobą uznać nie chce, byleby się to dokonało bez uszczerbku sprawiedliwości“ [1]). Dalej jeszcze idzie Benedykt XV. W liście, wystosowanym świeżo do kardynała Gasparri, mówi w tym względzie rzeczy tak znamienne, że nie możemy nie przytoczyć dłuższego ustępu.

Pomawiano papieża, że nie są po jego myśli ostatnie tryumfy włoskiego oręża i że nie bierze udziału w ogólnej radości narodowej. Oto co odpowiada: „Z codziennych rozmów naszych, wiadomo ci dobrze, Księże Kardynale, jakie nosimy w sercu uczucia i jaka bywa w podobnych okolicznościach praktyka i doktryna katolickiego Kościoła. W liście z 1-go sierpnia 1917 roku, wystosowanym do naczelników państw wojujących, daliśmy wyraz pragnieniu, objawionemu i później, przy innej sposobności, by terytoryalne spory między Włochami a Austryą, rozstrzygnięte zostały po myśli *słusznych życzeń narodów*. I świeżo daliśmy wskazówkę nuncyuszowi naszemu w Wiedniu, by *nawiązał przyjazne stosunki z rozmaitymi narodami Austro-Węgier, które obecnie przekształciły się w samoistne państwa*. Kościół, którego jedynym celem jest uświęcenie ludzi każdego czasu i kraju, zarówno się dostraja do rozmaitych form rządu, jak *bez żadnej trudności uznaje słuszne zmiany terytoryalne i polityczne, jakie dokonywają się*

[1]) W encyklice *Libertas praestantissimum* z dnia 20 czerwca 1888. — Acta Leonis XIII. Tom 8. str. 245.

wśród narodów. Sądzimy, że gdyby te nasze zdania i poglądy do ogólniejszej doszły wiadomości, nikt roztropny nie podsuwałby nam bezpodstawnie uczucia żalu wobec powodzeń naszych Włoch ukochanych"[1]).

I nie jest to bynajmniej izolowana enuncyacya obecnego papieża. W licznych dokumentach wydanych poprzednio w sprawie pokoju raz po raz powraca do tej myśli, że jedyną drogą do uspokojenia wzburzonej wojną Europy jest zaspokojenie słusznych aspiracyi narodowych. Tak w odezwie do mocarstw wojujących z dn. 28. lipca 1915, w allokucyi konsystoryalnej z dn. 6. grudnia tegoż roku, w piśmie do Kardynała-Wikaryusza Rzymu z dn. 4 marca 1916, w nowej odezwie do wojujących z dn. 1 sierpnia 1917[2]).

Nie są to oczywiście uroczyste, dogmatyczne orzeczenia, ale pozwalają nam stwierdzić ze zupełnym spokojem, że przeciwne zasadzie samookreślenia narodów poglądy pewnych uczonych katolickich nie są bynajmniej oficyalną nauką Kościoła, lecz prywatnem zapatrywaniem ich autorów, które tyle tylko jest warte, ile są warte przytaczane przez nich dowody.

Spróbujmy więc poddać analizie treść i przebieg ich rozumowań.

Cóż to jest naród jako taki, pyta n. p. Wiktor Cathrein, głośny autor wielu dzieł z zakresu filozofii moralnej. Naród sam przez się nie tworzy jeszcze rzeczywistego, organicznie związanego społeczeństwa, ale ma tylko logiczną, a więc abstrakcyjną jedność. Jakże więc może być podmiotem praw i to praw tak silnych, by przeważały prawa państwowe, nabyte w historycznym rozwoju?[3]). Być jednym narodem to znaczy tylko mieć zdolność, lub conajwyżej odpowiedniość (convenientia) do stworzenia własnej organizacyi państwowej, ale czyż z tej zdolności ma wypływać prawo do gwałtownego obalenia istniejącego porządku?[4]). Wszakże

---

[1]) Do tej chwili przystępny nam był tylko tekst niemiecki wydany w *Reichspost* n. 522. z dnia 12 listopada bież. roku.

[2]) Por. Die Kundgebungen Papst Benedikts XV. zum Weltfrieden. Fryburg 1917. str. 53, 57, 61, 77.

[3]) Moralphilosophie. Tom II[4] str. 713.

[4]) Philosophia moralis, wyd. 2. n. 653.

oprócz jedności narodowej, dodaje Teodor Meyer, mogą istnieć i istnieją różne inne czynniki, które silniej niż wspólność krwi i języka wiążą ludzi w całość jednego państwa. Tak n. p. wiąże ich bliskość terytoryalna, wzajemna potrzeba i częste wzajemne stosunki, wiąże węzeł wspólnych dziejów pod jednym rządem i prawem, wspólność prac i walk przebytych, klęsk i tryumfów, wielkich czynów i chwały przeszłości[1]).

Owszem, powiada ten sam autor, jestto niezawodnie zrządzeniem Opatrzności, że nie każdy naród tworzy odrębne państwo. Jak przez węzeł małżeński odświeża się i wzbogaca krew rodzin, tak przez zjednoczenie narodów pod jedną władzą, umożliwia się żywsza wymiana dóbr społecznych, kompensują się wady a potęgują narodowe przymioty[2]). Rozerwanie świata na tyle państw, ile jest narodów, zacieśniłoby niewątpliwie, tak serca egoizmem plemiennym, jak horyzont kulturalny zasklepieniem we własnym myślowym światku. Jeżeli już dzisiaj tyle widzimy zawiści i nienawiści narodowych, cóżby dopiero się stało, gdyby każdy naród był państwem dla siebie?[3]). Biederlack głębiej jeszcze sięga. Skąd się wzięło państwo? Z obowiązku nałożonego przez Stwórcę, że tam, gdzie wielu ludzi razem żyje, muszą się poddać jednej władzy, bez której sprawiedliwość i miłość, pokój i zgoda nie mogłyby się ostać. Gdziekolwiek w ten sposób państwo powstało, tam na wszystkich jego poddanych, czy się nimi urodzili, czy z biegiem czasu do państwa wcielenia zostali, ciąży ścisły moralny obowiązek poszanowania władzy i służenia dobru ogólno-państwowemu, choćby kosztem najcięższych ofiar osobistych lub narodowych. I jak długo państwo istnieje, tak długo trwa powyższy obowiązek, pochodzący, wraz z władzą państwową od Boga, a więc tak poważny, że przeważa interesy czy to pojedyńczych ludzi, czy ludów[4]).

Na poparcie tej samej tezy powołują się księża Biskupi austryaccy w niedawno wydanym wspólnym liście pasterskim, na

---

[1]) Ius naturale II. n. 343 i 513.
[2]) jak wyżej n. 343, 3.
[3]) jak wyżej Moralphilosophie str. 714.
[4]) jak wyżej.

słowa Chrystusa do Piłata o „mocy danej z wierzchu“ (Jan 19, 11), na tekst św. Piotra: „Bądźcie poddani... dla Boga... królowi — bo taka jest wola Boża... króla czcijcie“ (I. 2, 13—17), wreszcie na słowa św. Pawła: „Wszelka dusza niechaj będzie poddana wyższym zwierzchnościom, albowiem niemasz zwierzchności jedno od Boga... a przeto, kto się sprzeciwia zwierzchności, sprzeciwia się postanowieniu Bożemu“ (Rzym. 13, 1. 2.) Owszem dalej jeszcze idąc, wyprowadzają obowiązek posłuszeństwa z Opatrzności Bożej, która kieruje wyborem samych osób do steru władzy powołanych [1]).

Lecz wreszcie, dodają wzmiankowi autorzy, na co wiele argumentów? Wszak zasada samookreślenia narodów jest zupełnie niewykonalna! Musiałby cały świat przewrócić się do gruntu, bo może jednego państwa niema na świecie, któreby tej zasadzie odpowiadało bezwzględnie. Musiałaby się rozpaść Austrya, Szwajcarya i Francya, musiałaby Irlandya oderwać się od Anglii, Turcya wynieść się za Bosfor, Polska zmartwychwstać itd. itd. Schulte oblicza, że w samej Europie 29 państw musiałoby powstać na nowo, a 7 zupełnie zaniknąć [2]). Któż nie widzi, że to wszystko jest niemożliwe? A choćby to i przyszło do skutku, pozostałyby wiecznem zarzewiem sporów i terytoryalne pasy o ludności mieszanej i etnograficzne granice narodów, nieraz tak zatarte, że niewiadomo prawdziwie do jakiej narodowości pewne grupy ludzi zaliczyć [3]).

Przytoczyliśmy w skróceniu wszystkie główniejsze dowody tezy przeciwnej.

Cóż o nich sądzić?

Możnaby krótko powiedzieć: *e pur si muove;* możnaby wskazać, jak rzeczywistość dziejowa urąga tej teoryi, jak wbrew

[1]) Tak w orędziu z dnia 4 sierpnia 1918. Por. Katholische Kirchenzeitung nn. 35 i 36. N. B. najniesłuszniej Reichspost n. 397 z 30 sierpnia wśród podpisanych ogólnie na orędziu księży Biskupów austryackich, domyśla się biskupów czeskich, polskich itd. Tym ostatnim bowiem treść listu pasterskiego wcale nie była zakomunikowana i o podpis ich nie proszono. Por. Gaz. kościelna n. 40 z 4 października bież. roku.

[2]) Tak w zbiorowem wydawnictwie Deutschland und der Katholizismus. T. II. Fryburg 1918 str. 74.

[3]) Cathrein, jak wyżej.

wszystkim trudnościom potoczyły się inną koleją i losy świata i myśli ludzkości. Ale bynajmniej nie trudna a dla naszego przedmiotu pouczająca jest i inna odpowiedź, która wprost uwydatni źródło słabości tych rozumowań, a mianowicie, że pewne przejściowe formy i pojęcia prawne podnoszą do rzędu zasad o bezwzględnej wartości.

Da się to stwierdzić na samym już punkcie wyjścia głównej seryi dowodów.

Bo czy to jest prawdą dzisiaj, jak było prawdą niegdyś, że węzły wspólności narodowej wytwarzają wśród rodaków jedność abstrakcyjną tylko i logiczną? Czy to do sfery abstrakcyi należy mówić tą samą mową, siedzieć na jednej ziemi i być z nią zrośniętym wszystkimi korzeniami wspomnień, ukochaniami serca, spuścizną własnych tradycyi i kultury, klęsk i chwały, umiłowaniem jednych ideałów i nadziei? Czy te węzły nie są stokroć potężniejsze od związków zależności państwowej, o ile państwo nie pokrywa się z narodem? Patrzmyż w rzeczywiste i obecne, nie przebrzmiałe i abstrakcyjne stosunki! Czy jedność ram państwowych spajała istotnie narody Austryi? Czy rozerwanie między różne państwa uśpiło dążenia Włochów i Alzatczyków, Rumunów i Serbów, Rusinów i Polaków?

Nie wystarczą rzekomo przeciwne przykłady Szwajcaryi i Stanów Zjednoczonych, Basków, Katalończyków i Celtów. Bo w tych wypadkach, jak słusznie mówi Paulsen[1]), grają rolę całkiem szczególne okoliczności. Szwajcarya, mimo swej wielojęzyczności, jest do pewnego stopnia jednym narodem, posiadającym węzły starych a pięknych tradycyi. Naród ten wciśnięty pomiędzy swe śnieżne szczyty i błękitne jeziora, nie uprawiając prawie wcale polityki zagranicznej, wyrobił sobie, być może, że trwałe podstawy jedności. W Stanach Zjednoczonych żyją wprawdzie mniejwięcej zgodnie różne narody, lecz najpierw, nie mając odrębnych siedzib, wolne są od wpływu tego czaru, co bije z własnej ziemi i wiąże z nią tysiącem nici serdecznych, powtóre, w atmosferze wolności amerykańskiej i amerykańskiego materyalizmu, w typowym kraju

[1]) System der Ethik II⁶. str. 551.

emigrantów, z których wielu nie wyrzeka się myśli powrotu do ojczyzny, oczywiście że niema podłoża dla narodowych aspiracyi. Co się zaś tyczy starych Basków, Katalończyków i Celtów — u jednych z tych ludów nie jest jeszcze wcale przesądzona sprawa narodowego rozbudzenia, u innych dążność do zjednoczenia rozbija się o zbyt potężne naturalne zapory. Kto wie zresztą, czy ruch narodowościowy, taki już żywy w Irlandyi, nie przerzuci się z czasem za kanał La Manche, by i tam obudzić reszty celtyckich Bretonów!

Jakkolwiek bądź, nieliczne wyjątki nie mogą osłabić reguły. A regułą doświadczalnie stwierdzoną jest, że pęd do jedności i samoistności narodowej nie należy bynajmniej do sfery abstrakcyi, ale jest realną siłą niesłychanej potęgi. Wielki myśliciel współczesny nie waha się twierdzić, że wśród popędów człowieka instynkt narodowościowy zajmuje co do siły miejsce najwyższe.

Mówią nam jednak: Cóż z tego, że jest *siłą*, jeśli ta siła sprzeciwia się *prawu?* Popęd, choćby najsilniejszy ani nie jest sam przez się tytułem prawnym, ani tytułu prawnego do zaspokojenia nie stwarza. Nie można więc przeciwstawiać *popędu* do zjednoczenia lub wyzwolenia narodów *prawom* państw słusznie i od wieków nabytym, a tem mniej twierdzić, że wolno siłą prawa te obalać. Oprócz samego popędu trzebaby wskazać na wolę najwyższego Prawodawcy, bądź to pozytywnie objawioną, bądź w zakonie przyrodzonym zawartą. Dopóki tego się nie zrobi, nabyte prawa państw pozostają w swej mocy i bez krzywdy naruszone być nie mogą [1]).

Twierdzenie, że popęd, jako taki, tytułu prawnego nie stwarza, wymaga stanowczo głębokich rozróżnień. Są popędy indywidualne i zbiorowe, sprzeczne i nie sprzeczne z rozumem, konieczne i nie koniecznie płynące z ludzkiej natury. Jeżeli jakiś popęd, z rozumem nie sprzeczny, z koniecznością wypływa z ludzkiej natury i dlatego zawsze i wszędzie jej towarzyszy, zupełnie słusznie można w nim upatrywać wyraz woli Bożej. Bo i z czegóż np. wnosi filozofia chrześcijańska, że państwo jest instytucyą naturalną i przez Boga zamierzoną, jeśli nie z przyrodzonego popędu do ży-

[1]) A. Castelein. Droit naturel. str. 928. T. Meyer jak wyżej n. 513.

cia społecznego i jego potrzeby? Otóż popęd do samoistności narodowej zdaje się należeć do wyżej opisanej kategoryi, bo całkiem samorzutnie i z elementarną siłą występuje, a rozumowi, jak niżej wykażemy, bynajmniej się nie sprzeciwia.

I nie można zarzucać, że nie występował zawsze. I instynkt państwowy nie zawsze w tej samej formie się objawiał. Być zupełnie może i niewątpliwie tak jest, że z postępem ludzkości pewne instynkty wrodzone silniej występują na jaw, rozwijając się jednak zawsze z zarodków, w naturze ludzkiej przez Stwórcę posianych.

Co więcej — jeżeli popęd do samoistności narodowej jest nielegalny i nieuzasadniony, dlaczego wszyscy bez wyjątku autorzy przyznają zasadniczą słuszność *przyczynom*, które ten popęd *muszą* z konieczności rodzić, utrzymywać i potęgować? Boć cała nauka katolicka mówi jednogłośnie, że naród wcielony w organizm innego, obcego sobie państwa, ma niezaprzeczone prawo do zachowania języka, do pielęgnowania tradycyi, zwyczajów, odrębności, do rozwoju sztuki i literatury narodowej [1]). Czyż zaś być może, żeby z tych źródeł nie wypłynęło pragnienie samoistności? Wszakże do *istoty*, do historycznej i psychologicznej *genezy* narodu należy wspomnienie o dawnym, może bardzo dawnym, ale własnym państwowym bycie! [2]). Czyż być może, by pielęgnowanie własnych tradycyi i zwyczajów nie budziło tych wspomnień? Czyż u tych ognisk przeszłości nie muszą się rozpalić światła ideałów, co ciągnąć będą ku lepszej przyszłości? Czy dawne pieśni i pamiątki nie muszą wykołysać owych pokoleń szlachetnej młodzieży, „która rzucając rówieśników grono, do starca bieży, co jej dumy pieje i umie słuchać z głową pochyloną, kiedy jej dawne powiadają dzieje“?

Historya czego innego nas uczy. Albo trzebaby tępić prądy narodowościowe tak, jak współczesne konstytucyjne państwa tępić ich już nie potrafią, albo trzeba zgodzić się na to, że godziwe pielę-

---

[1]) Por. np. Cathrein Staatslexikon pod słowem Nation. T. III. s. 1409 i n.

[2]) Na ten moment w pojęciu narodu za mało zwraca się uwagę. I wogóle przeciwnicy zasady narodowości z umysłu ścieśniają i ubożą pojęcia narodu, aby przypadkiem nie zaprowadziło ich dalej, niż sobie życzą. Najwzgardliwiej ze wszystkich traktuje naród Wojciech Dzieduszycki. „Narodowość to kupa ludzi, mówiących jednym językiem, albo jedną gwarą“. Dokąd nam iść wypada? s. 170.

gnowanie narodowości zrodzi godziwy popęd do samoistnego bytu.

Lecz niedość na tem. Na pewnych autorach, do których należy n. p. Cathrein, sama oczywistość wymusza następujące ustępstwo. „Złączenie całego narodu w jedno państwo samo przez się jest dobrem i wolno do tego dobra dążyć na prawnej i sprawiedliwej drodze, nigdy jednak siłą“ [1]).

Wolno dążyć na prawnej drodze! A więc wolno n. p. prowadzić takie opozycye parlamentarne i używać takich środków, jakich używali w przedwojennej Austryi Czesi lub południowi Słowianie! Lecz jeżeli to jest wolno, jak musi być wolno, to jedno z dwojga nastąpi: Albo silniejsza narodowość wytęży wszystkie siły, jak w Niemczech, lub Anglii, żeby zgnieść opozycyjną mniejszość i uwolnić się od trudności stawianych przez nią machinie państwowej, albo, gdzie narodowości, jak w Austryi, silniejsze były od obcego sobie rządu, musi następować powolny rozkład, który skończy się rozpadem państwa na narodowościowe składniki. Stąd też bez wielkiej trudności możemy zgodzić się z autorem, że prawa do samoistności nie wolno wywalczać *siłą*. Bo dopóki proces naturalnego rozkładu nie dojrzał, użycie siły byłoby daremne; gdy zaś ten proces dostatecznie już postąpił, użycie siły jest już zbyteczne, bo spojenia państwowe tak samo pękają, jak pęka strączek dojrzałego owocu. I wtedy nadchodzi chwila, w której nawet Biederlack prawa do samookreślenia nie odmawia: „Gdy jakieś państwo istnieć zgoła przestaje, części, z których ono się składało, odzyskują pierwotną wolność i mogą się decydować, czy do innego państwa się przyłączyć, czy własne państwo utworzyć zechcą“ [2]).

Lecz jedna jeszcze ważna rzecz zasługuje na uwagę. Najgłówniejszą trudność dla przeciwników samookreślenia stanowią „nabyte prawa państwowe“. Prawo bez wątpienia jest święte, ale czy wszystko jest prawem, co się prawem być mieni, a zwłaszcza czy wszystko jest prawem na zawsze niepodmiennem? Jak się rodziły owe „nabyte prawa państwowe?“ Często tak, jak „prawa“ do ziem polskich, nabyte przez rozbiorowe mocarstwa, często drogą

[1]) Moralphilosophie, jak wyżej str. 713.
[2]) jak wyżej.

małżeństwa wśród dynastyi panujących, zamianą ziem lub ich kupnem, prostym podbojem lub tak, jak na kongresie wiedeńskim, zimną, samowolną kombinacyą dyplomatów za zielonym stolikiem. Nie chcemy twierdzić, żeby wszystkie te sposoby nabywania władzy nad narodami *wówczas* gdy ich używano były bezprawiem. Ale czy nie mogą się zmienić i zmienić na lepsze pojęcia prawne ludzkości?[1]). Jak udoskonaliło się pojęcie o godności człowieka, czy nie może się wydoskonalić pojęcie o godności narodów? Zupełnie słusznie dowodzi świeżo wybitny myśliciel katolicki, że z biegiem czasu, pod wyraźnem kierownictwem Opatrzności Bożej zmieniały się poglądy na prawa ludów. O przynależności narodów do tego lub innego państwa decydowały niegdyś głównie dynastyczne interesy, potem interesy systemów państwowych i wymagania zbrojnej równowagi europejskiej. Dziś niezatartymi głoskami wypisane jest to przekonanie w świadomości współczesnej, że narody nie są rzeczą, o której możnaby rozstrzygać bez jej wiedzy i zgody, że ich rola nie w tem się zamyka, by na rzecz obcej sprawy płacić daninę krwi i grosza, ale że mają prawo głos swój rzucić na szalę wewnętrzno- i zewnętrzno-politycznych decyzyi[2]).

I niema powodu do zdziwienia lub obawy i żalu, że niektóre z tych pojęć dojrzewały poza Kościołem, często nawet w obozie jego wrogów. Bo najpierw, nie wszystkie dziedziny prawdy i dobra zwierzył Bóg opiece Kościoła, ale tylko dziedzinę objawionego przez Siebie depozytu wiary i błędem byłoby przypuścić, że owa „Światłość co oświeca wszelkiego człowieka na ten świat przychodzącego“ żadnych zgoła promieni poza widzialną społeczność katolicką nie wysyła. Powtóre jednak, jak niżej obszernie postaramy się wykazać, wspomniany rozwój pojęć prawnych ludzkości nie dokonał się bynajmniej bez wpływu Kościoła i chrze-

[1]) Bardzo słusznie uważa Vermeersch, że prawne podstawy państwowości nie są prawem przyrodzonem ściśle określone a stąd z postępem ludzkości rozmaicie kształtować się mogą. Quaestiones de virtutibus religionis et pietatis. — Brugis 1912 str. 280. Jaki ta zmiana pojęć wpływ wywarła na nowożytne pozytywne prawa międzynarodowe, objaśnia prof. Balasits w artykule: „Zasada samookreślenia“. Rok Polski. Czerwiec 1918, str. 384 i nn.

[2]) Tak Hilgenreiner w pięknych, głębokich a dziwnie bezstronnych artykułach: Das Selbstbestimmungsrecht der Völker. Bonifatiuskorrespondenz 1918. Marzec, kwiecień i wrzesień.

ścijaństwa. Jest on plonem ziarn przez Chrystusa rzuconych na rolę serc ludzkich i logiczną konsekwencyą zasad, które Kościół przeciwstawił pogańskim pojęciom o stosunku człowieka do państwa.

Zbierając w jedno myśli rzucone w toku rozprawy z tezą przeciwną w następujący sposób reasumujemy własne na rzecz poglądy.

Nie chcemy twierdzić, że każdy naród, niezależnie od stopnia swej dojrzałości, niezależnie od wszystkich nici, któremi krępowała go historya, z pierwszą chwilą obudzenia samowiedzy narodowej, ma prawo zrywać bezwzględnie wszystkie węzły, które bądź to w całości, bądź w częściach wiązały go z obcem państwem. Sądzimy jednak, że poza tem skrajnem sformułowaniem jest inna łagodniejsza forma, w której zasadę samookreślenia ludów utrzymać można i trzeba. Sądzimy mianowicie, że jak w każdym narodzie jest pęd do samoistności, tak jest po temu i zaród ścisłego prawa. Zależnie od przeróżnych historycznych i geograficznych warunków zaród ten rozwijać się będzie słabiej lub silniej, powolniej lub prędzej, ale zawsze ma prawo a poniekąd i obowiązek rozwoju, stąd źle i daremnie robią państwa usiłując rozwój ten zabić lub stłumić. A gdy wybije godzina, że zaród ten dojrzał, godzina, którą zwykle zaznaczy Opatrzność jakiemś wielkiem wstrząśnieniem dziejowem, potencyalne prawo do samookreślenia, jak powiedziałaby scholastyka przechodzi w akt i nabyte prawa państwowe obowiązane są mu ustąpić.

Czy i dla ilu ludów ta godzina obecnie wybiła — przyszłość pokaże. Wybitni myśliciele sądzą, że, jak wiek XIX pod hasłem praw człowieka, tak wiek XX. rozwijać się będzie pod hasłem praw narodów.

W świetle powyższych uwag nie trudno nam już będzie odpowiedzieć na resztę przeciwnych argumentów. Przytoczone przez Księży Biskupów austryackich teksty pisma św. o poszanowaniu władzy, zstępującej od Boga, bynajmniej nie stoją w sprzeczności z zasadą samookreśenia narodów. Bo przedewszystkiem odnoszą się i odnosić się mogą li tylko do władzy prawowitej, a warunki prawowitości mogą z biegiem wieków ulegać zmianie. Był czas, że była prawowitą władza od woli i zgody ludu zupełnie nieza-

leżna; zdaniem naszem czasy te minęły. A twierdząc to, nie przeczymy bynajmniej, że wszelka władza od Boga pochodzi i nie stawiamy tezy z nauką Kościoła niezgodnej, że wola ludu jest władzy ostatniem i najgłębszem źródłem. Jak w republikańskiej formie rządu, której Kościół nigdy nie potępił, choć lud wybiera swych rządców, przecież władza wybranych od Boga pochodzi, tak wola narodu może być warunkiem prawowitości władzy a nie ostatnią jej przyczyną.

Nie możemy też podzielać obawy, że powstanie państw narodowych obniżyłoby poziom ogólno-ludzkiej kultury. Jestto wprawdzie niezaprzeczoną i historycznie stwierdzoną prawdą, że żywe we wszystkich dziedzinach międzynarodowe stosunki na rozwój cywilizacyi wpływają bardzo dodatnio, ale skąd przypuszczenie, że państwa narodowe rozdzielą się wzajemnie jakimś chińskim murem, który żadnej wymiany, ni myśli, ni towarów, ni krwi rodzimej nie dopuści? Pomijając to, że zawsze pozostaną pasy graniczne o ludności mieszanej, pomijając i inną okoliczność, że narodowe państwa, wogóle mniejsze i mniej wystarczające sobie, z konieczności będą skazane na wieloraką pomoc wzajemną, dlaczegóż, pytam, jak przepowiada Wojciech Dzieduszycki „musiałby być zabroniony albo utrudniony dostęp do starych narodowych literatur", dlaczego „miałyby się odwrócić umysły od istotnych zadań literatury i nauki", dlaczego szkolnictwo spoczywałoby jedynie w ręku warstw niższych, a warstwy prawdziwie cywilizowane musiałyby się ze swą cywilizacyą ukrywać" itp.?[1]).

Zupełnie nie widać tej konsekwencyi. Owszem spodziewać się można, że z usunięciem głównych przyczyn wzajemnej zazdrości i zawiści narodowej, zaczęłyby narody swobodniej i pełniej wymieniać dobra swoiste, czerpać ze skarbu ogólno-ludzkiej kultury i skarb ten zasilać dorobkiem własnych rąk i umysłów.

Schulte boi się znowu, że każde z drobnych narodowych państewek stanie się tak dalece karłem i to karłem kaleką, że militarnie, ekonomicznie i umysłowo nie da sobie rady i wnet zatęskni do dawnej większej całości[2]).

[1]) jak wyżej str. 171 i n.

[2]) „Militär lebensfähig wären weder der Staat der Tschechen, noch der

Odpowiedzieć można, najpierw, że nie wszystkie przecież narodowościowe państwa będą tak drobne, a powtóre, że jak przykłady Belgii, Szwajcaryi, Holandyi niezbicie dowodzą, i maleńkie państewka mogą dojść do bardzo wysokiej kultury. Że zaś militarnie pozostaną słabe, to może nie bardzo im zaszkodzi, kiedy przestanie ciążyć nad światem wylęgła w Berlinie zmora zbrojnego pokoju. Możliwe jest zresztą i prawdopodobne powstanie federacyi państwowych. Więcej może trudności jest w innym zarzucie, że rozbudzone narodowe uczucia mogą wywołać wśród narodów najpierw tarcia a potem krwawe konflikty. Szczególniej socyalista Karol Renner widzi już w bujnej wyobraźni Europę pokrytą mnóstwem koszar i arsenałów, widzi narody czyhające wzajem na siebie jak dzikie zwierzęta, by się ranić i pożerać, widzi mord, grabież i zniszczenie podniesione do rzędu etycznych czynów, a stąd twierdzi za Grillparzerem, że formuła: „Von Humanität durch Nationalität zur Bestialität" byłaby treścią nowożytnej, na nacyonaliźmie opartej historyi [1]).

Nie przeczymy, że w chwili kiedy się rodzą narodowościowe państwa i układają wzajemne ich stosunki, może a nawet musi przychodzić do sporów, które często tylko oręż rozstrzygnie. Smutnym dowodem tej prawdy jest i nasz biedny Lwów w obecnej chwili i czesko-węgierskie walki na Słowaczyznie i wnet zapewne Rjeka i Tryjest i inne jeszcze punkty spornych terytoryów o mieszanej ludności. Nie sądzimy jednak by ten stan rzeczy musiał trwać z konieczności, nietylko zawsze, lecz długo. Mimo wszystkich trudności, które rozgraniczeniu narodów stawia historya i geografia i polityka, ufać można że zdrowy rozsądek pod kierunkiem Opatrzności Bożej i pod wpływem zasad chrześcijańskich upora się powoli ze skomplikowanem zadaniem, które otwarła przed nim

er Ungarn... Die kleinen Nationalstaaten würden auch im Innern verkrüppelt bleiben... Europa gliche einem Krüppelheime. Und welcher Krüppel sehnte sich nicht danach, wieder mit gesunden Gliedern in den Dienst seines alten Herrn zurückzukehren?" Deutschland und der Katholizismus. Fryburg 1918. T. II str. 76 i n. N. B. od „karłów" żąda autor „die Gefühle strengster Loyalität gegenüber dem Staate" a w zamian obiecuje im ze strony państwa tylko „Ritterlichkeit mit Vorsicht gepaart". Tamże str. 82.

[1]) Das Selbstbestimmungsrecht der Nationen. Leipzig 1918 str. 17.

długa ewolucya pojęć, zakończona obecną światową tragedyą. Spodziewać się też można, że kiedy oręż na dobre schowa się już do pochwy, ludy nie prędko porwą się napowrót do broni, tem bardziej, że o wojnie i pokoju decydować już będą nie władcy i dyplomaci, ale ci sami, co płacą za wojnę krwią i łzami, głodem i niedolą.

I z tem dobiegliśmy do końca pierwszej polemicznej przeważnie części naszej pracy. Staraliśmy się w niej udowodnić, że przesłanki, z których wyciągano wnioski przeciwne zasadzie samookreślenia narodów, były prawdziwe tylko w pewnej epoce rozwoju, ale nie miały wartości absolutnej i wiecznej. Leży przed nami pozytywna część roboty: musimy wykazać, że dziejowa ewolucya pojęć, której owocem są prawa narodów, ma głębokie korzenie w zasadniczych dogmatach filozofii chrześcijańskiej.

Ks. Jan Rostworowski.

Czego Pan Bóg nie może.

(Urywek z monologu filozoficznego).

. . . . . .

Dochodzę zatem do przekonania, że na drodze pozytywnej nie potrafię zdać sobie sprawy z tego, czem jest byt bezwzględny, jaka jest w rzeczywistości istota Pana Boga. Tą drogą wchodzę od razu w jakąś otchłań straszliwych jasności, które rażą me oczy nieuchronnie ślepotą całkowitą i pogrążają mię w nieprzedarte pomroki nocy, albo też staczam się w bezdenie zawrotne i przepaści bezkresne prabytu, które grożą memu rozumowi śmiercią niezawodną.

Może prędzej dojdę do celu, idąc za radą starego Pseudo-Dyonizego, drogą porównywania i zaprzeczania. Zastanawiać się będę, czem nie jest byt bezwzględny, czem Pan Bóg w rzeczywistości być naprawdę nie może.

Zacznę więc od pytania: czego Pan Bóg nie może?

Że Pan Bóg, jako byt najrozumniejszy, jako Logos najracyonalniejszy, nie może popełnić sprzeczności logicznej, że więc nie może sprawić, żeby n. p. dwa a dwa nie było cztery, to jest tak oczywista, że nad tem nie mam się co zastanawiać.

Oczywistą również aż zanadto jest rzeczą, że byt bezwzględny, jako byt najdoskonalszy, nie może popełnić niedorzeczności moralnej, więc żadnej zbrodni, żadnego zła etycznego. Zresztą rzecz ta była już całkowicie jasna dla starego Xenofanesa i wszystkich

Eleatów, dla Sokratesa i jego następców; a główną racyą Platona, dlaczego wyklął nielitościwie ze swojego państwa wszystkich wielkich poetów, nie wyłączając boskiego Homera, było to, że potrafili o bogach barwnie opowiadać niegodziwości ludzkie.

Lecz może pytanie postawione jest jeszcze za ogólnikowe? Może lepiej zacieśnić je nieco, by myśli moje podczas tego zastanawiania się nie pierzchały za łatwo i nie bujały rozbieżnie, a miały raczej jakiś konkretny punkt oparcia i jednolity kierunek wytyczny. Formułuję więc inaczej pytanie. Czy Pan Bóg może to, co ja mogę?

Ja mogę usiąść na krześle przy stole i spisywać swoje rozmyślanie, mogę zmienić położenie rąk nóg, mogę się zdrzemnąć nieco albo i przespać noc całą. Mogę wyjść na przechadzkę i wrócić z powrotem do domu, mogę zrobić dalszą wycieczkę koleją, jeszcze dalszą okrętem, aeroplanem... A Pan Bóg tego wszystkiego nie może. Pan Bóg nie może n. p. udać się z ziemi naszej na Marsa albo na słońce, ze słońca na Aldebarana albo na Vegę, z Vegi na mgławicę w Oryonie albo w Andromedzie, a potem poza rubieże wszechświata udać się na odpoczynek. Prawda, że Pan Bóg tego wszystkiego nie potrzebuje, ale nie tylko nie potrzebuje — On tego wszystkiego istotnie nie może.

Ja jestem bytem przestrzennym, głowa moja w innem jest miejscu, a w innem ręka, jeszcze w innem serce albo wątroba. Nie dosyć na tem. Jestem całkowicie związany przestrzenią z innymi bytami świata fizycznego. Od jednych przedmiotów się oddalam, do drugich się zbliżam, względem wszystkich pozostaję w określonych stosunkach przestrzennych odległości. Moje miejsce, moje położenie można określić zapomocą trzech spółrzędnych przestrzennych czyli trzech parametrów. U Pana Boga tego wszystkiego niema. Pan Bóg nie jest bliżej Rzymu, jak Krakowa, nie jest dalej od Polski, jak od Afryki lub bieguna południowego, jest równie daleko od ziemi jak od słońca, jest równie blizko mnie jak Syryusza, Kassiopei lub mgławicy spiralnej w Psach gończych. Pan Bóg nie jest jedną częścią na ziemi, drugą na Arkturusie, trzecią na gwieździe polarnej. — Każdy byt przestrzenny jest z natury swej koniecznie względny i stosunkowy. Byt abso-

lutny nie jest i nie może być bytem przestrzennym, ani ziemią rodzicielką, ani słońcem ożywczem, ani nawet przestrzenią bezwzględną. Pan Bóg zatem nie może wypełnić żadnego miejsca, żadne miejsce nie może Go objąć, do Niego nie dadzą się zastosować żadną miarą, pod żadnym warunkiem, żadne parametry przestrzenne. Pan Bóg jest niecielesny, niemateryalny, nieprzestrzenny; więc niewidzialny, niesłyszalny, nietykalny. — Tę właściwość Pana Boga nazywam często niezmierzonością, ale nazwa ta jest w grucie rzeczy zanadto ludzka i niebezpieczna, bo nie wyklucza wyraźnie przestrzenności, tylko raczej przypuszcza wielkość przestrzenną nieograniczoną. Nie dziw więc, że ta nazwa wprowadziła w błąd nawet tak trzeźwego myśliciela jak Newton, tak iż utożsamił niezmierzoność Bożą z t. zw. przestrzenią bezwzględną.

Atoli i mnie nie określają jeszcze dokładnie trzy parametry przestrzenne. Bo żyjąc w przestrzeni, znajduję się jednocześnie w czasie, zmieniam więc naprawdę nieustannie miejsce w przestrzeni. Do mego określenia dokładnego potrzeba zatem prócz parametrów przestrzennych parametru czasowego. Słusznie zwrócił niedawno matematyk Minkowski na to uwagę, że wszechświat fizyczny nie jest rzeczywistością trójwymiarową, jeno czterowymiarową, że więc do trzech spółrzędnych przestrzennych należy dołączyć czwartą spółrzędną czasu. — I czem jest ta moja czasowość? Jest to szczególniejszy i bardzo charakterystyczny sposób mego istnienia. Istniałem wczoraj, przed rokiem, przed 50-u laty; ale to wszystko już minęło, tego istnienia obecnie już niema. Istnieć będę jutro, za tydzień, za rok, za lat tyle a tyle, ale tego istnienia jeszcze niema, ono będzie dopiero. Moja przeszłość goni niejako moją przyszłość i pochłania ją i asymiluje ją doszczętnie, jednocześnie przecina się z nią i styka nieustannie, tak iż to przecięcie, ta granica nigdy nie stoi, tylko w ciągłym jest ruchu. I ta granica przeszłości i przyszłości jest moją właściwą teraźniejszością, jest moją jedyną rzeczywistością. Istnienie moje zatem nie jest do pewnego stopnia tem, co jest, jeno raczej tem, czego niema; jest bowiem tem, co było, a czego już niema; jest tem, co dopiero będzie, a czego jeszcze niema — jest tem, co już nie jest tem, czem było; jest tem, co jeszcze nie jest tem, czem będzie.

Moja rzeczywistość czasowa zatem to strasznie marna rzeczywistość, to rzeczywistość, składająca się przeważnie z nierzeczywistości, to naprawdę tylko granica, tylko różniczka albo matematyczna pochodna rzeczywistości właściwej.

Czasowość zatem polega ostatecznie na ciągłej zamianie przyszłości na przeszłość, przyczem ani przeszłość ani przyszłość nie są naprawdę rzeczywiste, jeno stykają się ciągle z rzeczywistością na swej granicy, bezprzerwnie w dal płynącej; czasowość zatem jest ciągłą zmiennością a do tego zmiennością nieodwracalną, bo przeszłość nie powraca więcej ani wrócić nie może ani do teraźniejszości ani do przyszłości. Parametr czasowy różni się zasadniczo od parametrów przestrzennych.

Czy byt bezwzględny może być bytem czasowym? Gdyby Pan Bóg miał przeszłość za sobą taką, jak ma n. p. cały wszechświat, albo taką, jak ma nasza ziemia, albo taką przynajmniej, jak mój włos na głowie — jużby obecnie nie miał całkowitej swej rzeczywistości, nie miałby bowiem tej, co była, a już nie jest. Gdyby Pan Bóg miał przyszłość przed sobą, jak mgławice w przestworzach niebieskich, jak młody uczony genialny, a choćby jak jętka jednodniówka, co za chwil kilka ma zginąć niezawodnie — nie miałby obecnie tego, co dopiero będzie, a czego jeszcze niema. Stąd Pan Bóg nie był młody, kiedy żył człowiek jaskiniowy; nie był młody, kiedy się okazało po raz pierwszy życie na ziemi; On nie był młody, kiedy wśród prawichury szalonej spadł pierwszy deszcz na gorącą skorupę ziemską, ani nawet wtedy, kiedy nasza ziemia była dopiero zarodkiem mgławicznym. Co więcej, Pan Bóg nawet na początku czasu samego nie był młodym, bo młodym wogóle nigdy nie był, bo młodym nigdy być nie mógł. Tak samo Pan Bóg nie będzie stary, a nawet ani odrobinę starszy niż dzisiaj, za tysiąc ani za miliony lat. Chociaż słońce i Syryusz i Vega i Oryon świecić przestaną, chociaż nowe systemy światów z dzisiejszych mgławic powstałe zestarzeją się całkowicie, Pan Bóg i wtedy nie zacznie się jeszcze starzeć. Pan Bóg wogóle nie może się starzeć, nie może być rzeczywistością czasową, bo tem samem byłby bytem zmiennym i względnym.

Każdy byt względny jest czasowy, jest tylko istną różniczką

rzeczywistości, ma za sobą przeszłość a przyszłość przed sobą. Byt bezwzględny jest Rzeczywistością samą, jest Rzeczywistością pełną, jest Teraźniejszością samą bez przeszłości i przyszłości, jest Rzeczywistością wyłącznie teraźniejszą, jest Teraźniejszością w całej pełni rzeczywistą. O Panu Bogu nie można więc powiedzieć, że b y ł, kiedy nasza ziemia tworzyła pierwszą skorupę stałą, że b y ł za czasów Solona lub Arystotelesa, że b y ł za panowania Chrobrego lub Sobieskiego, tak jak nie można o Nim ściśle powiedzieć, że b ę d z i e w 21. wieku naszej ery, że b ę d z i e wtenczas, kiedy na słońcu zapanuje temperatura lodu. Kiedy gdzieś w zaraniu czasów mgławica powszechna rozpadała się na mgławice oddzielne, mające wytworzyć różne systemy solarne, Pan Bóg nie był, tylko j e s t; kiedy w naszej mgławicy solarnej zaczęły się tworzyć pierwsze zawiązki planet, Pan Bóg j e s t; w epoce sylurskiej, czy węglowej, czy kredowej, czy neolitycznej — On j e s t, ten sam, taki sam, jak obecnie j e s t; za lat tysiące, za lat miliony, za lat kwadryliony i centyliony On nie będzie, jeno j e s t. Pan Bóg naprawdę nigdy nie był, nigdy nie mógł być; Pana Boga naprawdę nigdy nie będzie — On przed czasami wszystkiemi j e s t — On zawsze jeden, ten sam, taki sam j e s t, On wiecznie jest i wiecznie króluje.

Lecz czas już przejść do moich doskonalszych zdolności. Ja mogę przedewszystkiem dużo rzeczy poznać albo raczej poznawać. Całe jednak poznanie moje ma swe pierwotne korzenie w zmysłach. Zacznę więc od zmysłów, od wrażeń i postrzeżeń zmysłowych.

Posiadam zmysł najogólniejszy skórny, zapomocą niego mogę odczuwać ciepło, zimno i ból, mogę się dotykać różnych przedmiotów i odbierać od nich wrażenia miękkości i twardości, gładkości i szorstkości, wilgotności i suchości, ciężaru i lekkości. Pan Bóg, jako byt nieprzestrzenny, nie posiada zmysłu skórnego, posiadać go wcale nie może. Nie może zatem dotknąć się niczego, nie może marznąć na mrozie, nie może odczuć gorąca ni bolu.

Posiadam zmysł smaku, mogę więc smakować słodycze miodów i cukrów, gorycze chinin i piołunów, mogę się rozkoszować smakiem ananasów lub pasztetów francuskich, bażantów lub kawioru, wina tokajskiego lub szampańskiego. Pan Bóg tego wszyst-

kiego nie może, nie może nawet skosztować smaku wody krynicznej.

Mam węch, mogę rozeznawać najrozmaitsze aromaty korzenne, kwiatowe, owocowe, żywiczne. Pan Bóg nie może mieć powonienia, nie może zatem odczuwać woni kadzideł, zapachu wody kolońskiej, aromatów pochodzących z olejków eterycznych lub balsamicznych; nie mogą Mu być wstrętne i nieznośne, jak mnie, aromaty gnilne lub pirydynowe.

Przy pomocy słuchu mogę wejść w świat tonów i szmerów, mogę przysłuchiwać się śpiewom skowronków i słowików, rykom wodospadów lub rozszalałych bałwanów morskich, hukom grzmotów lub moździerzy motorowych, mogę słyszeć głos matki lub przyjaciół, mogę słuchać deklamacyi aktorów, mów retorów, rozpraw filozofów... Pan Bóg tego wszystkiego nie może, bo nie ma słuchu. Nie może zatem słyszeć żadnej muzyki ni klasycznej ni modernistycznej, żadnego zgrzytu ni rozdźwięku, żadnego huku rozlegającego się z tysięcy dział ni monotonnego grzechotania karabinów maszynowych, nie może, jak ja, słyszeć tylu płaczów dzieci i matek, tylu jęków, wydobywających się z piersi rannych, chorych i konających, tylu zawodzeń i narzekań, pochodzących z ust zgłodniałych i opuszczonych.

A jaki świat otwiera się przede mną dzięki oczom moim! Kolory tęczy, blaski zorzy północnej, niebo gwiaździste, wschody i zachody słońca, faliste zwierciadła oceanów, wybuchy wulkaniczne, kwiaty roślin, barwy motyli i ptaków, galerye obrazów, oko człowieka... Co za nieznane światy otwiera mi mikroskop, luneta, spektroskop, światło spolaryzowane! — Pan Bóg nie może widzieć tego wszystkiego, bo nie ma oczu. Nie może więc widzieć bitew morskich ni lądowych, nie mógł widzieć bitwy pod Gorlicami albo nad Stochodem, nie może się popatrzyć przez mikroskop na budowę misternych okrzemek lub promieniowców albo przez lunetę na pierścień Saturna, nie może zobaczyć rumieńców wiośnianych lub potu i bladości śmiertelnych na twarzy ludzkiej, ani łzy w oku sieroty lub skamieniałego bolu w suchem oku matki osamotnionej.

Skoro Pan Bóg nie może mieć wrażeń i spostrzeżeń zmysło-

wych, to nie może tak samo robić żadnych obserwacyi naukowych, nie może wykonywać żadnych eksperymentów ni chemicznych, ni fizycznych, ni biologicznych, nie może uskutecznić żadnych pomiarów technicznych lub astronomiczych.

Na tej samej podstawie nie może mieć Pan Bóg żadnych wyobrażeń, nie może więc wyobrazić sobie ni trójkąta ni elipsy, ani słońca ani motyla, ani europejczyka, ani murzyna; konsekwentnie nie może mieć żadnych marzeń, nie może snuć żadnych rojeń, jak ja to często robię.

Z życiem zmysłowem wiąże się u mnie ściśle życie wzruszeniowe; mogę mieć najrozmaitsze uczucia przyjemności i nieprzyjemności, podniecenia i uspokojenia, mogę podlegać zmieniającym się kapryśnie nastrojom, afektom stenicznym i astenicznym, mogę się niecierpliwić, unosić, oburzać, rozpaczać. W Panu Bogu to wszystko jest zgoła niemożebne.

Życie zmysłowe, związane ściśle z przestrzennością i cielesnością, jest tem samem bardzo niedoskonałe, nie dziw więc, że jest niemożebne w Bycie najdoskonalszym. Ale moje zdolności umysłowe, moje życie duchowe! Spróbuję pokrótce zdać sobie sprawę i z tego, żeby się przekonać, czy Pan Bóg może to, co ja mogę pod względem czysto umysłowym.

Na czem polega moje poznanie intelektualne, czem jest mój rozum? Rozum ludzki musi mieć jakiś punkt zaczepienia i oparcia w poznaniu zmysłowem, bez tego nie potrafi zacząć działać, nie może się nawet zacząć rozwijać. Ale jak prędko potrafi przetrwać i przekroczyć szranki zmysłowości i dotrzeć tam, gdzie i śladu niema grubej cielesności; jak prędko, uwolniwszy się z tych więzów, rozpina swe skrzydła do prawdziwie królewskiego lotu i buja z rozkoszą w świecie prawd duchowych, oderwanych, ogólnych, pozaczasowych i pozaprzestrzennych! Wszak już poznanie prawdy $2 \times 2 = 4$ należy do owego świata. A jak daleko może zajść rozum ludzki, to można wnosić z tego, jak dalece postąpił już dotychczas. O tem zaś mówią mi dobitnie i dowodnie takie genialne umysły, jak Platon i Arystoteles, św. Augustyn i św. Tomasz z Akwinu, Kopernik i Newton... o tem mi mówi stan dzisiejszy nauk matematycznych, astronomicznych, fizykochemicznych, bio-

logicznych, lingwistycznych, historycznych... o tem mi prawią owe olbrzymie instytuty pracy naukowej: obserwatorya, laboratorya, akademie, polikliniki... cała literatura światowa, sztuka i kultura ludzka... przekonywa mię o tem cała technika dzisiejsza z opanowaniem ziemi, wody i powietrza, promieni widzialnych i niewidzialnych.. Zaprawdę, mogę być słusznie dumnym z ewolucyi wspaniałej rozumu ludzkiego.

Atoli mimo to wszystko rozum ludzki, tak jednostkowy jak zbiorowy, jest i pozostanie na zawsze rozumem skończonym, z samej zatem natury swojej jest i będzie zawsze ograniczony. Z tego ograniczenia wynika najpierw, że rozum ludzki nie może pojąć ni poznać prawdziwie bytu nieskończonego, bezwzględnego. Może poznać jakąś jego różniczkę i to, kto wie, którego rzędu; samego Bytu, samej Rzeczywistości nieskończonej nie poznaje z pewnością, poznać absolutnie nie może. To więc, co twierdzili tak stanowczo ontologiści, że człowiek posiada intuicyę Absolutu, że skończoność poznaje zapomocą nieskończoności, jest naprawdę nieprawdą, jest tylko jednem z częstych złudzeń umysłu ludzkiego. Człowiek jest niestety aż nadto oczywiście i straszliwie skończony i dlatego pojmuje samą nieskończoność jedynie na sposób skończoności, a inaczej jej pojąć żadną miarą nie zdoła.

Z tej skończoności wynika następnie charakterystyczna ciasnota umysłu ludzkiego. Ujawnia się ona bardzo jaskrawo w dwu przedewszystkiem kierunkach: w pojęciach ogólnych i w poznawaniu stosunków bez troszczenia się o wyrazy stosunku. Pojęcia ogólne! przecież to szczyt i zaszczyt mojego rozumu, to swego rodzaju nieskończoność! Od Sokratesa, Platona i Arystotelesa ciągnie się poprzez 25 wieków aż do naszych czasów i w filozofii i w naukach wszystkich formalny kult pojęć ogólnych — a jednak to tylko kult ciasnoty umysłu ludzkiego. Czyż naprawdę pojęcia im ogólniejsze, tem doskonalsze? W takim razie najdoskonalszem mojem pojęciem musiałoby być najogólniejsze pojęcie bytu czyli pojęcie „coś"! A jakbym wyraził to pojęcie sposobem matematycznym? Tylko zapomocą nieznanego x, pisząc nie równanie nawet, jeno tożsamość, coś = x. Czyż mogę się zachwycać bezdenną głębią takiego poznania? czyż może być ciaśniejszy kąt widzenia

poza kątem „cosiowatości"?! Każde pojęcie ogólne jest tem samem ogólnikowe, zacieśnione, jednostronne, a im ogólniejsze, tm ciaśniejsze, tem bardziej ogólnikowe, tem bardziej nieokreślone. Pozorna nieskończoność pojęć ogólnych to tylko ich nieokreśloność.

Nie dziwię się teraz, że przeciwko kultowi pojęć ogólnych podnosiła się w ciągu wieków raz po razu silniejsza lub słabsza opozycya. Zrozumiały jest dla mnie nieprzejednany przeciwnik Platona Antystenes, pierwszy pono nominalista w dziejach myśli ludzkiej; zrozumiała długotrwała i zaciekła walka, jaką podejmuje w średnich wiekach najpierw Roscelin a później Ockam wraz z licznymi zwolennikami swoimi; zrozumiałe zjawisko, że w czasach nowożytnych ten sam nominalizm i terminizm jest o wiele częstszy, niż się to pospolicie przypuszcza, że w czasach dzisiejszych wyraźne jego ślady można napotkać u znacznej części myślicieli, że taki Mauthner albo Aster bronią świadomie i zasadniczo tez i poglądów nominalistycznych. A jednak i ten cały kierunek terministyczny, zwalczając kult pojęć ogólnych, wprowadza na jego miejsce tylko kult słowa i symbolu, ciasnotę większą od tamtej, bo jeszcze płytszą, jeszcze powierzchowniejszą, jeszcze bardziej ograniczoną.

Druga wielkość i pewnego rodzaju nieskończoność umysłu ludzkiego to poznawanie stosunków, szeregów, praw. Znając n. p. liczby 1, 2, 3, 4... sto, tysiąc, milion, i znając prawo tworzenia tych liczb, znam i takie liczby, jak 10^{18} (trylion), 10^{24} (kwadrylion), 10^{30}, znam wszystkie liczby całkowite naturalne, znam więc cały ich szereg nieskończony. Lecz czy ja znam naprawdę wszystkie liczby naturalne? czy znam cały szereg nieskończony? czy znam choćby tak często powtarzaną liczbę trylion? — Jak prędko upłynie trylion n. p. sekund? Ponieważ jeden rok zawiera w sobie 31536000 sekund, więc trylion sekund upłynie za 31600 milionów lat — czyli na samo przeliczeni tej liczby, licząc bezprzerwnie dniem i nocą, potrzebowałbym prawie 16000 milionów lat! A samo przeliczenie jakiejś liczby nie jest przecież jeszcze jej całkowitem poznaniem! — Co znam więc naprawdę z szeregu liczb naturalnych? Prawo tworzenia liczb w tym szeregu czyli ich schemat formalny. Ten schemat mi wystarcza, to prawo upaja mię swoją sto-

sowalnością i powtarzalnością bez końca, tak iż odurzony nią przypisuję sobie znowu nieskończoność — o same liczby nie troszczę się wcale, troszczyć się nie mogę, bo to przechodzi me rzeczywiste siły. To samo da się powiedzieć o wszystkich niemal stosunkach. Co zaś szczególniejsza, to to, że im mniej mię obchodzą same wyrazy stosunków, tem jaśniejsze i pewniejsze staje się poznanie samych stosunków. I to mi tłumaczy wyjątkową jasność i wyjątkową jednocześnie pewność matematycznego poznania i nauk matematycznych wogóle.

W mojem poznaniu umysłowem zatem ujawnia się zasadniczo albo ogólność i ogólnikowość, albo formalizm schematyczny i jakaś szablonowość.

Ależ ja mogę zacząć od pojęć ogólnych, pojęcia jak „zwierzę", i przechodzić następnie do pojęć coraz szczegółowszych, jak pojęcie „pies", aż dojdę do pojęć jednostkowych, jak „Bryś". Tylko czem jest to pojęcie jednostkowe Brysia? Jeśli chodzi o zakres tego pojęcia, to oznacza ono jedną tylko jednostkę rzeczywistą, lecz jeśli chodzi o treść jego, to zamiast systematycznej całości cech, swoistych i właściwych wyłącznie tej jednostce, otrzymuję coś nieokreślonego, jakieś nieznane x, które w tym przypadku nazywam Bryś. Mogę wprawdzie określić jednostkę rzeczywistą zapomocą trzech parametrów miejsca i parametru czasu, ale te cztery parametry określą mi dokładnie tylko położenie owej jednostki, jej natury i jej rzeczywistości nie dotykają właściwie wcale. Zadowalam się dlatego imieniem własnem jednostki. I rzecz charakterystyczna, że właśnie kiedy chodzi o właściwe pojęcia jednostkowe, muszę być wbrew samym nominalistom terministą czystej krwi. Chcąc zaś mimo to określić dokładniej treść jakiegoś pojęcia jednostkowego, uciekam się z konieczności do innych pojęć, ale ogólnych. Ściśle zatem rzecz biorąc, nie mam właściwych pojęć jednostkowych, lecz i jednostki same poznaję zapomocą pojęć wyłącznie ogólnych. A to samo odnosi się i do rzeczywistości, bo każdy byt rzeczywisty jest indywidualny i jednostkowy. Więc rzeczywistość, jednostkowość, indywidualność same w sobie pozostają dla mnie zawsze jako tajemnicze x; mogę je wprawdzie raz po razu stwierdzać, lecz gdy następnie zabieram się do ich

właściwego poznania, mogę to uskuteczniać jedynie w minimalnych okruchach, ułamkach, różniczkach — zapomocą ogólników i schematów czyli pojęć ogólnych. Datego żadna nauka nie zajmuje się naprawdę jednostkami; indywidualności nauk historycznych i geograficznych to tylko indywidualności pozorne, a jednostki fizyczne i matematyczne to najoczywistrze pojęcia ogólne. Stądto u filozofów rzeczywistość nie wprowadza nowej cechy w treść pojęcia. I na tem się opiera owo słynne powiedzenie Kanta, że sto talarów rzeczywistych nie zawiera w sobie nic ponadto więcej, co sto talarów możebnych, chociaż jasną jest rzeczą, jak słusznie zauważył Brentano, że sto talarów rzeczywistych zawiera w sobie akuratnie o sto talarów więcej, niż sto talarów możebnych tylko.

Całe zatem poznanie moje, chociaż duchowe, jest nawskróś niedoskonałe i okruchowe, ogólnikowe i straszliwie powierzchowne, ciasne i przeraźliwie jednostronne. Czyż takie poznanie możebneby było w Bycie najdoskonalszym?

Więc Pan Bóg nie może, jak ja ciągle czynić muszę, stawiać sobie pytań, powątpiewać, zastanawiać się, roztrząsać.

Więc Pan Bóg nie może, jak ja, mieć pojęć ogólnych, oderwanych, powszechnych, zbiorowych; bo to są pojęcia możebne tylko w umysłach bardzo ciasnych i ograniczonych. Pan Bóg zatem nie może mieć pojęcia „coś“ czyli bytu wogóle, substancyi wogóle, przypadłości wogóle, zwierzęcia wogóle, człowieka wogóle...

Więc Pan Bóg nie może mieć takich pojęć, jak 3, 100, 10^3, 10^6, 10^{100}..., jak liczby urojone i sprzężone, jak różniczka, pochodna, całk, jak zbiory pozaskończone..., bo to tylko ogólnikowe schematy i skróty mnemotechniczne dla umysłów, obejmujących mało szczegółów i łatwo je zapominających.

Więc Pan Bóg nie może używać kategoryi logicznych, ni arystotelesowskich ni kantowskich.

Więc Pan Bóg nie może się posługiwać w poznaniu swojem ani analizą ani syntezą, bo jedna i druga suponuje nieznajomość albo części albo całości.

Więc Pan Bóg nie może wydawać sądów, nawet prawdziwych, ani analitycznych ani syntetycznych, ani apryorycznych ani apo-

steryorycznych, bo to właściwość tylko niedołężnych, ciągle sylabizujących umysłów.

Więc Pan Bóg nie może liczyć, dodawać, odejmować, mnożyć, dzielić..., szukać logaryntmów liczb lub funkcyi goniometrycznych, różniczkować lub całkować, używać spółrzędnych Descartesa albo biegunowych. A zatem nie może zliczyć, ile jest 2×2, 5×5...

Więc Pan Bóg nie może rozumować, wyciągać wniosków ani podług logiki dedukcyjnej ani podług logiki indukcyjnej, nie może nawet utworzyć najprostszego syllogizmu Barbara..., bo na to trzeba umysłu, który się musi męczyć i wysilać nad zdobyciem choćby okruszyny prawdy.

Więc Pan Bóg nie może nic sobie przypomnieć ani o niczem zapomnieć, bo tylko w umysłach takich, jak mój, zapominanie i przypominanie muszą się ciągle splatać i ciągle wymieniać.

Więc Pan Bóg nie może się niczego nauczyć, nie może przeprowadzić żadnych badań, naukowych czy filozoficznych, bo to wszystko wobec Niego niewinna igraszka dzieci niedorosłych lub niepewne macanie ślepych.

W takim razie Pan Bóg chyba nic poznać nie może. I tak jest istotnie. Pan Bóg nic poznać nie może, bo wszystko wie i wszystko zna. O Panu Bogu nie mogę nawet ściśle powiedzieć, że ma rozum, jeno raczej, że jest rozumem. Lecz i to powiedzenie jest jeszcze zbytnio ludzkie i zbyt niedokładne, bo ja przez rozum oznaczam zwykle samą zdolność umysłowego poznania, a ta jest w Bogu wprost niemożebna. Byt bezwzględny, jako Rzeczywistość wyłącznie teraźniejsza, nie może być rozumem-zdolnością, tylko Rozumem-rzeczywistością, musi więc być Rzeczywistością nieskończenie świadomą, musi być samą Wszechwiedzą rzeczywistą i jednocześnie samą Wszechsamowiedzą, samą Prawdą i samą Świadomością prawdy, musi być samą Rzeczywistością bezwzględnie wszechwiedną i nawskróś samowiedną.

Więc chociaż Pan Bóg nie widział bitwy pod Gorlicami, bo widzieć nie mógł, chociaż nie słyszał ryku dział pod Verdun, bo słyszeć nie mógł, to jednak On te walki wszystkie, czy w Karpatach czy Alpach, czy na Kaukazie czy w Argonach, czy nad Du-

najem czy Soczą, czy nad Marną czy Wisłą... zna lepiej, niż wszyscy naoczni świadkowie i uczestnicy razem wzięci, zna głębiej, niż wszyscy uczeni historycy kiedyś znać będą. On zna drogę i losy każdej kuli karabinowej, On zna każdy odłamek pocisku armatniego, On zna zmianę położenia każdego kamyczka, każdej cegiełki, każdej grudki ziemi w walących się okopach, w tworzących się lejach, w rozpadających się kościołach, w płonących wsiach i miastach, On zna każdego żołnierza z osobna od najwyższego do najniższego w całej rzeczywistości i indywidualności, On zna każde poruszenie, drgnienie, dygotanie i wahanie serca żołnierskiego, On zna zapał i trwogę, tęsknoty i pragnienia, żale i skargi, najskrytsze nawet myśli i życzenia każdej duszy żołnierskiej. On zna nie tylko wszystkie olbrzymie zmagania się wojny dzisiejszej, On zna we wszystkich szczegółach i szczególikach do cna, nawskróś, wyczerpująco wszystkie walki, jakie się tylko zdarzyły między ludźmi od czasów Kaina i Abla. Wojny punickie i wojny perskie, wyprawy Aleksandra Wielkiego i rzymskich cezarów On zna, nasz Grunwald i Tannenberg, nasz Kirchholm i Kłuszyn, Beresteczko i Chocim, Wiedeń i Racławice On zna, jak zna również z tą samą dokładnością wszystkie walki, które się toczyć będą na lądach, morzach i w powietrzu naszej ziemi w wieku 25 albo za lat tysiące i miliony.

Pan Bóg nie może rachować, nie może mierzyć, bo to jest sprzeczne z Jego doskonałością — ale każdy włos mojej głowy jest Mu nawskróś znany, ale znane Mu jest każde ciałko krwi mojej, każda komórka mojej kory mózgowej, każda drobina ciała mojego, każdy atom ziemi naszej, każdy elektron wszechświata. Jak łatwo mi to powiedzieć! lecz czy ja zdaję sobie choćby w przybliżeniu sprawę z tego, co to znaczy? — Według możliwie dokładnych obliczeń fizyków, znajduje się w jednym centymetrze sześciennym (1 cm^3) wodoru w stanie gazowym około 55 trylionów atomów; potrzebowałbym zatem na samo ich przeliczenie przeszło 872.000 milionów lat! A ile trylionów atomów będzie w 1 cm^3 ciała stałego! Ile dopiero w całej naszej ziemi, której objętość wynosi przeszło 1080 kwadrylionów cm^3! A czem nasza ziemia wobec całego systemu słonecznego, skoro sam promień jego dochodzi pra-

wie do 450 bilionów cm! Nie koniec na tem. Nasz system solarny to tylko mała cząstka wszechświata. Najbliższy system gwiazdowy x Centauri oddalony jest od nas o przeszło 4 tryliony cm. Inne olbrzymy słoneczne krążą w bezporównania dalszych przestworzach. A takich systemów gwiazdowych ma być podług najnowszych oszacowań astronoma monachijskiego Seeligera około 50 milionów. Ile zatem jest atomów we wszechświecie?! A każdy atom składa się jeszcze z elektronów! — I Pan Bóg zna doskonale, wyczerpująco, przenikliwie nie tylko każdy atom, ale i każdy elektron wszechświata w jego wewnętrznej istocie, w jego konkretnej jednostkowości i rzeczywistości, jak i wszystkie jego stosunki; a zna nie tylko stan ich dzisiejszy, ale zna tak samo dokładnie każdy z tych elektronów z czasów, kiedyto z nich tworzyły się dopiero pierwsze zawiązki Wielkiego wozu, Woźnicy, Łabędzia... zna je wszystkie tak samo z owych przyszłych czasów, kiedy wspaniały Oryon gasnąć zacznie, albo kiedy Kastor i Pollux lodem się pokryją. Co za nieprzejrzany ogrom i bezmiar wszechwiedzy Bożej!

A jednak, czem ten ogrom cały wobec jednostkowej rzeczywistości Bożej? To kropla w oceanie, to pyłek w powietrzu, to elektron w mgławicy, to tylko istna różniczka rzeczywistości i prawdy. Pan Bóg zna nawskróś siebie samego i tem samem dopiero zna całą Prawdę. Na tem dopiero polega niepojęta wielkość, niedostępna majestatyczność, bezdenna głębokość i rzeczywista nieskończoność znajomości i wiedzy Bożej. Byt bezwzględny, znając siebie, zna jeden jedyny całą rzeczywistość nieskończoną; znając ją, zna też cały wszechświat możebności wszelkich, a zna go nie w ogólnikach, ejdosach, kategoryach, typach i schematach, lecz zna każdy byt możebny z osobna z wszystkiemi jego możliwemi uwarunkowaniami.

I kto, prócz Boga, pojmie naprawdę tę pełnię nieskończoną rzeczywistości, światła, prawdy, mądrości? Wobec niej ćmi mi się w oczach i mąci mi się umysł, bo to świat dla mnie w ścisłem znaczeniu niepojęty, niedościgły, niewysłowiony, niewymawialny, nienazwalny. Cokolwiek pomyślę o nim, cokolwiek o nim powiem, muszę zaraz temu zaprzeczyć; bo moje pojęcia i wyrazy moje

wzięte są z mego świata skończonego, względnego i czasowego i dlatego odnieść się ściśle do Rzeczywistości nieskończonej i nieczasowej absolutnie nie dadzą.

Jeśli tak się rzecz ma z wiedzą Bożą, to tak samo musi się mieć ze wszystkiem. Jeśli w Bogu niemożliwa jest zdolność poznania, to niemożebna też być musi zdolność jakakolwiek. Każda bowiem zdolność, czy potencyalność czy możność, oznacza z natury swej jakąś niedoskonałość, oznacza mianowicie, że coś, co może być urzeczywistnionem, nie jest jeszcze rzeczywistością, oznacza zatem jakąś nierzeczywistość; a wszelka nierzeczywistość pozostaje i pozostawać musi w rażącej sprzeczności z pełnią samej rzeczywistości. Dochodzę zatem do znamiennego wyniku: żadna zdolność, żadna możność, żadna potencyalność nie jest w Panu Bogu możebna. Otrzymuję zatem na postawione sobie pytanie odpowiedź: Pan Bóg naprawdę nic nie może.

Jeśli zaś możność sprzeczna jest z rzeczywistością Bożą, to tem bardziej sprzeczna być musi sama możebność. Stąd wynik jeszcze dziwniejszy: Rzeczywistość nieskończona nie może być możebna, Pan Bóg nie jest możebny. Istotnie Rzeczywistość pełna i właściwa jest tylko rzeczywistością, jest tylko czynem i to czynem najdoskonalej wykończonym, ale niezaczętym i nieskończonym, nie jest nawet *entelechią* czyli urzeczywistnianiem potencyalności, a czystą możebnością absolutnie być nie może. Tylko o bytach zwyczajnych i skończonych mogę powiedzieć: co istnieje, to jest możebne. O Bogu, ściśle rzecz biorąc, powiedzieć tego nie mogę. Pan Bóg możebny, pełna Rzeczywistość możebna to sprzeczność wewnętrzna. Pan Bóg nie jest możebny, możebny nigdy nie był, nigdy możebny nie będzie. Pan Bóg jest rzeczywisty, przed wiekami i czasami jest rzeczywisty, po wieków trylionach On jest rzeczywisty. Więcej mogę powiedzieć On jeden i On jedynie jest rzeczywisty naprawdę, bo jest wiecznie i nieczasowo rzeczywisty. Wszystkie inne byty to są raczej nierzeczywistości i niebyty, bo to tylko rzeczywistości czasowe, tylko różniczki Rzeczywistości właściwej, nieskończonej. I dlatego każda możebność musi mieć swą podwalinę, swe ostateczne założenie ontyczne w tej wiecznie teraźniejszej rze-

czywistości Bożej, w niewymawialnym *Jahve*. On jeden nie suponuje możebności swojej, On jeden dlatego nie potrzebuje żadnego punktu wyjścia ni oparcia, każdy zaś inny byt przypuszcza koniecznie swą możebność, a tem samem swą ostateczną podstawę i zasadę, Rzeczywistość — Boga.

. . . . . .

Ks. Jan Nuckowski.

O przyrodzonem chrześcijaństwie ludzkiej duszy.

(„Anima naturaliter christiana").

Do słynnego zdania, wyrzeczonego przez Tertulliana w 17-tym rozdziale jego „Apologetyku" i na początku małej rozprawki „o świadectwie duszy", nawiązujemy tu nie w zamiarze podtrzymywania go w znaczeniu, w jakiem używał go ten pisarz o wielkich zdolnościach i afrykańskim temperamencie, czynny z najlepszą wiarą i zapałem, ale jednostronnie i namiętnie, wrogi klasycznej kulturze a w końcu, jako zwolennik sekty Montanistów, oddzielony ze związku z Kościołem Powszechnym. Tertullian rozumiał swoją sentencyę: „dusza człowieka jest z przyrodzenia chrześciańską" tak, że ma ona mieć wrodzoną skłonność do uznania istnienia Boga wszechmocnego, wszechwiednego, życzliwego ludziom, nagradzającego im po śmierci czyny dobre a karzącego złe, a zatem takich prawd, które w związku ze stwierdzoną w owem uznaniu nieśmiertelnością osobistą i wolnością woli, nakazują przekonaniem tego apologety przyjąć religię chrześciańską jako jedynie zbawczą. Tymczasem od śmierci Tertulliana (z początkiem III. stulecia naszej ery) wiele doświadczeń dziejowych okazało, iż człowiek może na te trzy prawdy godzić się, a jednak nieobjawiać naturalnego pociągu do zostania chrześcia-

ninem. Co więcej, nowoczesny ateizm i przychylne jego rozwojowi kierunki w zapatrywaniu się na świat, jako na jeden wielki mechanizm dusz i ciał, powołując się przytem na opisy wierzeń ludów dzikich, barbarzyńskich a nawet kulturalnych, przeszkadzają dziś bardzo powszechnemu przyznaniu owego rzekomo naturalnego w człowieku pociągu ku monoteizmowi, ku wierze w byt pozagrobowy i w swobodę wyboru między dobrem i złem.

Jednakże owo zdanie, iż dusza ludzka jest z przyrodzenia chrześciańską, może mieć jeszcze także inny sens, którego sobie Tertullian albo wcale nie uświadomił, albo bardzo mętnie i niewyraźnie. Mianowicie może ono znaczyć, iż w organizacyi duchowej człowieka, przynajmniej w ujawnionej dotychczasowym jego rozwojem, są pewne rysy wspólne i stałe, które go skłaniają do przejęcia się zasadami etyki chrześciańskiej, a to zarówno w teoryi, co do uznawania za najcenniejsze jej podstawowych założeń, jak w praktyce, co do czynnego ich przestrzegania i wysnuwania z nich jak najrozleglejszych konsekwencyi. Oczywiście z przypuszczenia takich stałych i wspólnych właściwości psychicznych, wytwarzających w człowieku grunt podatny dla wmawania i praktykowania określonych zasad, nie wynika bynajmniej, iżby w tymsamym rodzaju, a nawet i w tymsamym osobniku ludzkim nie działały inne i to w dodatku wręcz przeciwne tamtym popędy. Gdy więc mówimy o „przyrodzonem chrześciaństwie ludzkiej duszy“, to nie musi to znaczyć, iż zamykamy oczy na wszystkie jej instynkty drapieżne, samolubne, na żądze użycia, wyzysku i wywyższenia się, na mnóstwo owych mniej lub więcej podobnych i pokrewnych sobie sprężyn we wnętrzu ludzkiem, które, jak tylko daleko wstecz sięga naukowe poznanie przeszłości, stają w poprzek pełnemu urzeczywistnieniu ideałów etycznych. Nie wchodząc zatem w dociekania teologiczne czy też metafizyczne co do początku zła w duszy człowieka, możemy przecież śledzić i wykazywać, jakie czynniki, stale w świetle naszych obserwacyi i opartych na nich wniosków związane z jego duchowym ustrojem, a więc nie postronne, nie zewnętrzne, dopomagają w tem jego odradzaniu się i doskonaleniu, którego właśnie żąda etyka chrześciańska.

Przedewszystkiem jednak koniecznem jest porozumieć się co do naczelnych wymagań etyki, rozwiniętej na gruncie wierzeń chrześciańskich. Nie da się zaprzeczyć ich związek ścisły z treścią owych wierzeń. Tylko bardzo sztuczny i dowolny uzyskuje się wytwór, gdy się w chrześciaństwie oddziela stronę rzekomo czysto etyczną, racyonalną i społeczną (zawartą w hasłach miłości bliźniego jak siebie samego, równomiernego traktowania ludzi i pielęgnowania w sobie i innych życia duchowego), od strony religijnej, pozazmysłowej, nadrozumowej i nadprzyrodzonej. To znaczy: od strony, która główną wagę przywiązuje do miłości Boga nadewszystko, z wiarą w Jego interwencyę w aktach: zbiorowego odkupienia ludzkości przez wcielenie, naukę i mękę Chrystusa i indywidualnego wybawienia przez oświecającą i rozgrzewającą moc Łaski. Te dwie strony są bowiem od kolebki tej etyki i religii zrośnięte z sobą nierozerwalnie i przenikają się nawzajem. Tak n. p. do istotnych niewątpliwie wskazań etyki chrześciańskiej należy to, iż ona nam zaleca, byśmy się starali dążyć do doskonałości i tym sposobem upodabniać się Bogu, w szczególności, ażebyśmy miłowaniem nieprzyjaciół naśladowali Ojca Niebieskiego, który zsyła cenne dary zarówno dobrym, jak złym, a zwłaszcza naśladowali Chrystusa jako Boskiego mistrza i wybawcę. Nie można więc już nazwać w ścisłym sensie chrześciańską miłością bliźniego, takiej ku niemu życzliwości, z którą nie idzie w parze wiara w możliwość nieograniczonego duchowego doskonalenia się, a pierwej jeszcze wiara w możność odrodzenia się z win i upadków w każdym człowieku, temsamem w możność powrotnego przybliżania się do wzoru Bożego. Jeśli się wątpi wogóle o istnieniu Boga, albo przynajmniej o istnieniu Boga miłosiernego, opiekującego się ludzkością i uznaje we wszechświecie tylko nieubłagane, nieodmienne rządy rozumnego Prawa, któremu wszakże obojętną miałaby być zasada rozszerzania altruizmu na wszystkie istoty myślące, wówczas zagadkowym i nieumotywowanym rozumem staje się nakaz powszechnej miłości Boga i bliźniego wraz z poszanowaniem tegoż duchowych celów i to, co jest dla etyki chrześciańskiej istotnem, zawisa jakoby w powietrzu.

To też jeżeli istotnie jest coś w duszy ludzkiej, co ją w sposób dla niej przyrodzony, stale od początku jej właściwy i ją wyodrębniający od dusz innych, znanych nam jestestw, pociąga ku chrześciaństwu, to nie będzie tym wspólnym stałym elementem psychicznym sama potrzeba czynienia innym ludziom dobrze i widzenia wokół wzajemnie życzliwych sobie. Najpierw zachodzi pytanie, czy liczba takich ludzkich „natur", które wolą, żeby się ich lękano i błagalnie się ku nim zwracano, aniżeli żeby je kochano lub co najmniej w ich życzliwość albo miłosierdzie ufano — nie jest tak wielka, że trudno te wszystkie natury nazwać wyjątkowemi, nieprawidłowemi. Ale gdyby nawet można było przyjąć jako regułę, że popęd do życia towarzyskiego w człowieku jest tak silny i powszechny, iż przestawanie tylko z osobami, których nieżyczliwości lub obojętności może się domyślać, odbiera istnieniu wszelki urok — przecież jeszcze daleko od takich ciaśniejszych węzłów uprzyjemniających życie do obejmowania współczuciem ludzi, z którymi się osobiście nie zżyło i z którymi się nie podziela dążeń poruszających nami najsilniej. Bardzo radykalny jest ów przedział między uczynnością towarzyską z gotowemi za nią nagrodami w zanadrzu, a dbałością o cudze dobro nie podsycaną żadnemi bezpośredniemi korzyściami. Ten przepaścisty odstęp zaostrza naszą czujność na pytanie, pod jakimi to warunkami i w jakiem znaczeniu spodziewać się można bez złudzeń bezinteresownej miłości bliźniego w tak ułomnej istocie, jaką się z niezliczonych doświadczeń okazuje człowiek. Do tego jest mianowicie niezbędnem nabrać niewzruszenie pewnego p r z e k o n a n i a, „r o z u m n e j w i a r y", w jakiś i d e a l n y, czczony przez siebie p r z e d m i o t, niezależny w swojem istnieniu i w swojej wartości od tego, czy my istniejemy i cenimy go faktycznie, a tembardziej od tego, czy do niego rzeczywiście dążymy. Ten Przedmiot musi być umieszczony bardzo wysoko ponad zabiegami ciaśniejszych grup ludzkich. Tylko wtedy bowiem da się uważać za rzecz dobrą w sobie i za pożądaną dla jakiegokolwiek człowieka okoliczność, iż ktoś inny temu samemu idealnemu Przedmiotowi się oddaje, służy mu, przybliża jego pełną realizacyę w sprawach ludzkich. Na tle takich to przekonań czysty, zgoła

bezinteresowny a zarazem najszerzej ogarniający wszystkie jednostki i zespoły ludzkie altruizm przedstawia się zrozumialszym i łatwiejszym do ziszczenia, aniżeli jakąkolwiek inną drogą, przystępną dla naszych obserwacyi. Skoro na przykład uznałem za rzecz w sobie cenną, ażeby każdy człowiek chwalił Boga, ażeby urabiał o nim pojęcie jak najlepiej odpowiadające jego duchowej wielkości, potędze, świętości moralnej, ażeby każdy postępował zgodnie z wolą Bożą, muszę temsamem życzyć każdemu człowiekowi, ażeby jego rozwój duchowy nie był zatamowany przez żadne przeszkody fizyczne, ażeby głód, choroby, klimat nieprzyjazny, nie osłabiały w nim tego wewnętrznego pędu ku doskonaleniu się, wykształcaniu się na organ czci Bożej, ażeby w nim i dokoła niego nie działo się nic takiego, coby mogło udaremnić jego zbliżanie się do Boga. Jeżeli znów przedmiot idealny określimy ogólniej, jako prawdę, której poznanie jest samo w sobie faktem cennym bez względu na to, czy ją poznaje ten czy inny osobnik ludzki, a które to poznanie jest tem dokładniejsze i temsamem cenniejsze, im więcej osób w niem uczestnicy i wzajemnie prostuje i uzupełnia swoje spostrzeżenia — uznamy *za rzecz pożądaną, ażeby każdy człowiek w swojem poznawaniu jak najwięcej do prawdy się przybliżał i ażeby* — co się z tem nieoddzielnie łączy — *wszyscy jak najpełniej rozwijali się umysłowo,* nie doznawali w tym rozwoju zapór ani ze strony fizycznych lub społecznych warunków, ani zwłaszcza ze strony swych wewnętrznych dyspozycyi, t. j., ażeby ich wola poznania prawdy była dość wytrwałą i zapanowywała nad odwodzącemi od ukochania i poszukiwania prawdy pobudkami zmysłowo-egoistycznemi.

Otóż ten to właśnie rys w naturze ludzkiej, który ją uzdalnia do wyłonienia wszelkiej wyższej kultury: *pociąg do przedmiotowości idealnej, do rozwinięcia i poświęcenia swej energii czemuś, co się uważa za cenne dla każdego,* „mojego", „twojego" i czyjegokolwiek życia myślącego, dałby się w swojem pełnem rozwinięciu ująć zarazem jako jeden z konsekwentnie zamieszczonych owoców *prawdziwie chrześciańskiego* życia religijnego i moralnego. Kto bowiem jest chrześcianinem nie tylko z imienia i z zewnętrznych praktyk, ale pragnie nim stać się do dna duszy, ten

bierze żywy udział w każdej znanej mu sprawie, w której chodzi o urzeczywistnienie Królestwa Bożego czy to w duszy jednego człowieka, czy w stosunkach między ludźmi. Odczuwa każdy krok naprzód ku ziszczeniu się tego Królestwa, jako wypadek dla niego pomyślny, do którego wedle sił chce się przyczyniać, każdy zastój lub cofanie się na tej drodze, jako własne niepowodzenie, przestrogę („memento" jego ludzkiej ułomności) lub nawet jako wyrzut, jeżeli mógł był skutecznie przeciwdziałać a zaniedbał tego. Gdy się posiadło tę uszczęśliwiającą wiarę, iż to, co w nas naprawdę żyje, t. j. najrozleglejszym i najtęższym tętni żywotem, to nie jest nasze zależne i zmienne „ja", ale przenikające nas i oświecające tchnienie Ducha Bożego, wówczas pod karą utraty tego ducha wewnętrznej mocy, rozpostarcia się i harmonii, nie śmie przejęta taką wiarą istota być obojętną na to, czy ów Duch i w innych ludziach żyje i rozrasta się. Z tą samą chwilą, w którejby jej zaczęła wystarczać do szczęścia i całkowicie ją zaspokajała nadzieja własnego zbawienia, kiedyby już nie troszczyła się o to, że inni ludzie żyją w dusznej rozterce, że są w swym rozwoju zatrzymani a nawet staczają się na dno zbrodni i upodleń wszelakich, że wogóle w świecie ludzkości są jakieś braki i zło, z któremi można i trzeba walczyć, już to będzie jestestwo w sobie zaskorupiałe, duchowo upośledzone. Uleciał zeń daleko powiew owej ogarniającej wszechbyt Miłości i opatrznej Myśli. Jest to już istota nie starająca się naśladować Zbawiciela i wypełniać Jego wezwanie: „bądźcie doskonałymi, jako Ojciec wasz w niebiesiech doskonały jest".

Nietylko chrześciaństwo, ale i inne religie, n. p. mozaizm, islam, buddyzm podają każda na swój sposób wiernym drogę do wybawienia od tego, co w ich oczach jest głównem złem człowieka. Nie w samej więc idei wybawienia, ale w tem od czego człowiek ma być wybawionym i jakimi środkami może to nastąpić, tkwi odrębna, specyficzna cecha etyki religijnej chrześciańskiej. Złem głównem jest w świetle religii Chrystusa oddalenie się woli ludzkiej od woli Boskiej, polegające na wyosobnieniu się jednostek i grup i wrogich względem siebie wzajemnych stosunkach, na przełożeniu dóbr materyalnych, „świata", nad dobra duchowe

z ich wspólnem źródłem i podstawą, Bogiem, na szukaniu raczej dóbr podmiotowych, t. j. potęgi osobistej i zbiorowej, aniżeli urzeczywistnienia dobra przedmiotowego, jakiem byłby powszechny ład w wewnętrznem życiu i społecznych stosunkach jestestw rozumnych, czyli zdolnych do porozumienia się z sobą i przestrzegania zasad logicznego myślenia, ład, który jako Boży plan musi każdy monoteista odnosić ostatecznie do Najwyższej Mądrości i Woli. Środkiem zaś realizacyi owego przedmiotowego dobra jest wedle wierzeń specyficznie chrześciańskich Boskie wcielenie się, przyjęcie dobrowolne ludzkiej natury i win, odcierpienie za nie, przedstawiające ze względu na Osobę Cierpiącego nieskończoną wartość, a w następstwie odradzanie się i wykształcanie Boskiego pierwowzoru w duszach wszystkich jednostek, współczynnych z Chrystusem, z Jego nauką i życiem, przyłączających się doń czynem i przekonaniami, jako do odkupiciela.

Przy takiem ujmowaniu celów i środków zbawienia nie śmie etyka religijna chrześciańska pod karą następstw płynących z niekonsekwencyi zamykać się w ciasnem kole jednostkowych zabiegów lub dotyczących tylko jednego zbioru ludzi. Wysoko ponad zadowoleniami i ambicyami osobników i grup musi umieszczać przedmiotowe dobro życia duchowego całej ludzkości, jakiem jest wzrost chwały Boga, ziszczanie się Jego woli w mierze coraz pełniejszej. Nie odpowiadałoby to oczywiście duchowi tej etyki i wiodłoby nawet do następstw niedorzecznych, gdyby ktoś pod pozorem żywego współudziału dla rozwoju moralnego swoich bliźnich, dla owoców ich pracy nad sobą samymi, zaniedbywał pracę nad rozwojem moralnym własnym, gdyby w pierwszym rzędzie nie starał się w zupełności dokonywać tego, co do niego należy. Boć nie mógłby nikogo skutecznie zagrzać do spełnienia jego powinności ten, ktoby nie dawał własnymi postępkami odpowiedniego przykładu i wówczas całe interesowanie się tem, co drudzy czują, mówią, chcą i czynią, kończyłoby się na jałowem, szkodliwem plotkarstwie. Każdemu byłoby wygodniej być obserwatorem postępowania drugich, chwalić ich, ganić, zachęcać lub napominać, aniżeli samemu się natężać.

Nie należy wszakże znów z drugiej strony przeoczać, że wzo-

ry, jak należy pełnić własny obrany przez siebie zawód, zawarte w Ewangeliach i Listach apostolskich, ukazujące nam Boskiego Nauczyciela, dobrego pasterza, lekarza dusz i ciał, nieustraszonego w głoszeniu gorzkich prawd i chłostaniu hipokryzyi, są przedewszystkiem wzorami zaparcia się. Zaparcie się zaś mamy prawo stwierdzić wówczas, gdy ktoś postępkami swymi dowodzi, że większą dla niego cenę ma prawdziwe, moralne, dobro drugich, aniżeli jego własne bezpieczeństwo, dostatek, popularność u tłumów, a więc u czynników, cieszących się powagą swej uczoności, rozumu, lub innymi wpływami.

Nie do innych na tym punkcie wyników dochodzi etyka czysto świecka naukowo-filozoficzna. Mianowicie rozważając stosunki między indywidualno- a społeczno-duchowemi sprężynami postępu moralnego, czyli przyrostu wartości dobrej woli i dobrych czynów (t. j. etycznych), ukazuje nam ona człowieka „lepszym“ w miarę, jak jego pobudki i intencye, posługujące się trafnemi w miarę możności przewidywaniami, podporządkowują się sprawie wspólnej ludziom w stopniu wyższym, t. j. szerszy ich ogół obchodzącej, mającej za sobą więcej podstaw do uznania jej za przedmiot idealny czyli za godny pielęgnowania i czci, niezależnie od mniejszych lub większych korzyści, które się poszczególnym jednostkom i zbiorom obiecują z zajmowania się nim.

Przyrodzonem więc chrześciaństwem duszy ludzkiej nazwiemy ową stałą własność organizacyi psychicznej człowieka, która polega na jego pociągu do stawania się coraz bardziej przedmiotowym, bezstronnym, równomiernym w powodowaniu się przy swoich ocenach i postępkach nie jakąś przynętą osobistą, ale czcią i przywiązaniem dla sprawy w sobie wielkiej, czystej, duchowej. Wprawdzie ten pęd ku życiu wyższemu, któremu do szczęścia wystarcza urzeczywistnić coś niezależnie cennego i przeczuwać stałe, powszechne Dobro, służąc mu, krzyżuje się w ułomnych istotach, jakiemi jesteśmy, z gonitwą za interesami własnymi i swoich bliższych, z naturalną odrazą przed trudem i cierpieniem, z pragnieniem, by się zwiększyły lub powtórzyły zaznane przyjemności i to właśnie przy nakładzie możliwie jak najmniejszego wysiłku. Niemniej uporczywą przeszkodę stawiają wznoszeniu się

ducha po szczeblach coraz doskonalszej przedmiotowości osobiste sympatye i niechęci, często jakoby instynktowne, wytłómaczalne chyba zbiegami wpływów dziedziczności i wrażeń, odebranych w dzieciństwie, niemniej znów często będące zupełnie zrozumiałym — wziąwszy rzeczy po ludzku — odruchem za wyświadczone przez jednych ludzi dobro a zrządzone przez innych szkody.

Jakkolwiek wszakże mnogie i groźne są te przeszkody i nie dały dotychczas całym warstwom społecznym i narodom wydźwignąć się na wyżynę ściślejszej sprawiedliwości i braterskiego pożycia z innymi, to przecież heroizm wielu setek tysięcy od wieków wychodzi z walki z nimi zwycięsko. A tego ducha zaparcia najjędrniej przyoblekł Chrystus w słowa, czytane przez Kościół w rocznicę męczeństwa Ś. Wawrzyńca (10 sierpnia): Amen, amen, powiadam Wam, jeżeli ziarno zboża nie zamrze wpadłszy do ziemi, s a m o dalej trwa, a jeżeli zamrze, przynosi wiele owoców. Kto miłuje swoje własne życie („duszę"), zatraci je, a kto znienawidzi swoje życie na tym tu świecie, ustrzeże je na żywot wieczny" (Ewang. ś. Jana XII. 24—25). Podobnego z chrześciańskiem zaparcia się dla idealnego przedmiotu, wymaga od człowieka już każde szczere dążenie do prawdziwie wyższej kultury.

Nawet ów najradykalniejszy rzecznik czysto nowożytnej, jak on sądził kultury, sam nazywający się immoralistą, chełpliwy w swoich próbach przewartościowania wszelkich wartości, wróg zajadły chrześciaństwa, Fryderyk Nietzsche, nawet ten chwalca wojny „uczciwej" uświęcającej według niego każdą sprawę, on, co oczyma wyobraźni, przychylnie wyrozumiałemi, zapragnął był oglądać Cezara Borgię na tronie Piotrowym, nawet Nietzsche przejrzał niekiedy i szczęśliwymi rzutami wyrażał tę wielką prawdę, że w życiu ludzkiem chodzi o urzeczywistnienie pewnych wartości przedmiotowych. Jego ideał nadczłowieka może mieć bowiem chyba tylko to zrozumiałe i uzasadnione znaczenie, że miarą dla szacunku należnego rozmaitym zabiegom ludzkim nie jest większa lub mniejsza liczba egoistycznych pożądliwości i wygód, którym owe zabiegi obiecują i gotują zaspokojenie, ani też stopień takiego zaspokojenia. Ale że ponad wszystkie nędze zasklepionych w sobie istnień, z ich wzdryganiem się przed trudem i niebezpieczeń-

stwem, a gotowością do wyzysku, do skorzystania z łatwej okazyi, ażeby wywrzeć swą przewagę nad słabszym, z próżnością i pretensyami, by każdy był brany pod jeden strychulec — wybija się pęd ku wyrobieniu wyższego człowieczego typu, że żyje wbrew tym wszystkim płaskościom i pospolitościom w sercu ludzkiem głód bohaterstwa ochoczo godzącego się z myślą, że dopiero na naszych prochach, ale jako owoc naszych wysiłków, wykwitną jakieś trwalsze i cenniejsze od tego, czem my jesteśmy, twory i dzieła.

Dla nietzsche'ańskiego ateizmu i anarchizmu, nieuznającego we wszechświecie żadnego rozumnego ładu, ani wieczystego prawa, musiało pozostać nierozwikłalną zagadką pytanie, skąd się wogóle tego rodzaju pociąg bohaterski wziąć może i na jakiej podstawie można się spodziewać, że przyszłość przyniesie formacye lepiej odpowiadające duchowym potrzebom. Nie jest ono wszakże zagadką dla duszy z przyrodzenia chrześciańskiej, t. j. dla tych usposobień i umysłów, którym praca z zapareiem się kwoli przedmiotu idealnego jest równoznaczna ze spełnianiem tego, do czego człowiek w powszechnym porządku rzeczy jest przeznaczony, mianowicie do tego, aby był swobodnym współpracownikiem Boga, by przyczyniał się do rozrostu Jego chwały, tępiąc zło bluźniące Jemu samym faktem swego istnienia, a utwierdzając coraz mocniej i coraz wyżej wznosząc wiązania wewnętrznej kultury ducha, takiej kultury mianowicie, któraby tworząc arcydzieła niespożytej energii, myśli rozległej, jasnej i przenikliwej, potrafiła niemniej żarliwie i sumiennie dochowywać wiary głosowi sprawiedliwości i czystej miłości bliźniego.

Prof. W. Rubczyński.

Instytut Matki Bożej Miłosierdzia.

(Z okazyi setnej rocznicy istnienia).

Niemoralność grasowała i u nas, jak zresztą wszędzie od dawna, przenikając z biegiem czasu do młodzieży coraz to niższych lat. Przyszła wojna. Wielu sądziło, że groza jej odwróci ludzi od złego, a skieruje serca do Boga i przyczyni się do ogólnej poprawy. Niestety, zawiedliśmy się srodze. Ani blizka śmierć, czyhająca każdej chwili na żołnierza, ani bojaźń Boża, widmo hańby i strasznych chorób nie zdołały odstraszyć pozostałych przy życiu od sięgania po zakazany owoc. Owszem zło rozpanoszyło się niesłychanie i przybrało rozmiary klęski społecznej. Świadczą o tem wymownie głosy najwybitniejszych lekarzy i statystów, kreślących smutny stan, jaki przedstawia się obecnie wszędzie, nie wyjmując naszych polskich dzielnic.

Nie posiadamy dokładnych statystyk, ponieważ obok prostytucyi jawnej, publicznej wyrasta druga tajna, przewyższająca ogromem tamtę, a kryjąca się uporczywie przed okiem władz. Stąd wszystkie cyfry podają nam znacznie mniejszą liczbę upadłych kobiet, niż zachodzi w rzeczywistości. A jednak i te, które są znane, przerażają.

W r. 1912 było w samym Berlinie 4.000 prostytutek reglementowanych a co najmniej 60.000 tajnych. Na 10.000 mieszkańców przypada w Dreznie 7 prostytutek jawnych (urzędowo zapi-

sanych), w Hamburgu 11, w Królewcu 14, we Wrocławiu 27. W Warszawie zapisano w r. 1915-16 w urzędzie lekarskim 2103 prostytutek (z tych 1926 wenerycznie chorych), nie licząc tajnych. Ile ich jest obecnie na ziemiach polskich, trudno policzyć; niech nam jednak wystarczą słowa prof. dra Blaschko: Wprost nie do uwierzenia, jak ogromna ilość kobiet, od nędzarek i wyrzutków społeczeństwa począwszy, aż w sfery wysoko pod względem inteligencyi, zamożności a dotychczas i moralności stojące oddaje się dzisiaj w tej Polsce prostytucyi[1]).

I gdybyśmy zwrócili uwagę jedynie na ruinę tylu istot, oddanych nałogowi, czyż nie byłoby czego opłakiwać? A przecież na tem nie koniec. Wszak wiemy, że w ślad za niemoralnością idą choroby weneryczne, a leczenie tychże rozciąga się na długi czas, jest trudnem i niełatwo daje pewność zupełnego wyjścia. Wiemy, że niespodzianie odzywają się one po latach 20-u i 30-u, niwecząc często kwitnące szczęście domowe. Wiemy wreszcie, że są zaraźliwe i dziedziczne, a mszczą się okropnie na biednej, młodej generacyi.

Na tle tego obrazu spustoszenia, jakie ściele się przed naszemi oczyma, na jedno z pierwszych miejsc wysuwa się ochrona dziewcząt przed zepsuciem. Tłumy ich padały już przedtem ofiarą zarówno zaślepienia i chwilowej namiętności jak uwodzicieli i handlarzy żywym towarem. Wzmagające się zaś obecnie zdenerwowanie, atmosfera złego przykładu i nędza materyalna popchnęły dziś w objęcia złego mnóstwo dziewcząt, które w innych warunkach nigdyby nie zeszły tak nizko.

Wytężona a dobrze zorganizowana akcya nad zwalczaniem wszelkiego rodzaju rozpusty, tępieniem uwodzicielstwa i usuwaniem tych przyczyn, które sprzyjają prostytucyi, musi być zaliczona do rzędu najpilniejszych zadań obecnej chwili. Wszak tu chodzi o uratowanie moralnego zdrowia tysiącom tych, które będą mogły zostać matkami nowego pokolenia i pożytecznemi pracownicami w społeczeństwie, jeśli się je uchroni od sideł zepsucia.

[1]) Prof. Emil Wyrobek: Z posiewu bogini wojny; cz. I. str. 52, 179. — Dr med. Alfred Sokołowski: Wielkie klęski społeczne; Gebethner i Wolff, 1917 str. 314, 320.

Atoli akcya społeczna nie może ograniczać się do środków zapobiegających szerzeniu się zepsucia moralnego. Musi ona rozciągnąć się i na te istoty, które niemoralność wciągnęła już w swe sieci. Chrześcijańskie pojęcie wartości duszy, stworzonej na obraz i podobieństwo Boże, nakazuje, w ślad za Dobrym Pasterzem, szukać zbłąkanych jednostek i wyrywać je grzechowi. Ze stanowiska społecznego nie jest to również obojętnem: odpowiednio ujęta akcya poprawcza zdoła odzyskać z powrotem dla społeczeństwa niejedną pożyteczną jednostkę a zarazem wytępi rozsadniki zgorszenia i chorób.

Dlatego Kościół katolicki przywiązywał zawsze wielką wagę do pracy nad umoralnianiem upadłych dziewcząt, tworząc w ciągu wieków liczne domy i instytucye, temu celowi służące. Dość wspomnieć zasługi na tem polu takich świętych, jak Ignacy Loyola, Jan Rossi, Jan Franciszek Regis, Alfons Liguori i wielu innych.

W niniejszym artykule pragniemy zwrócić uwagę społeczeństwa na jedną z takich instytucyi, która istnieje już u nas czas dłuższy i rozwija zbawienną działalność w pomienionym kierunku, a która 1-go listopada b. r. obchodziła setną rocznicę swego założenia. Jest nią zgromadzenie zakonne, pod nazwą „Matki Bożej Miłosierdzia".

* * *

Kolebką jego było francuskie miasto Laval, leżące niezbyt daleko od Paryża, w departamencie Mayenne. W ogrodzie wznoszącego się tamże zakładu widzimy grobowiec w formie gotyckiej kapliczki. Na marmurowej jego tablicyi widnieje następujący napis: „Tu spoczywa Teresa Rondeau, dziewica oddana całkowicie Bogu i ludziom, która po 48-letnich rządach tego, założonego przez siebie domu Miłosierdzia, umarła w r. 1866, licząc 72 lat życia".

Kim ona była, jakie jej dzieło? — Teresa Agata Rondeau przyszła na świat 6. października 1793 r. na przedmieściu Laval, z ojca Gabryela Juliana i z matki Teresy z Deslieres'ów. Ukończywszy szkołę u SS. Szarytek, odbyła naukę prania i prasowania, a idąc za życzeniem rodziców, założyła własną pralnię. Po pewnym czasie, dzięki dobroczynnemu wpływowi i zachęcie Teresy, powstał

z 40-u jej pomocnic rodzaj stowarzyszenia, w celu wzajemnego wspierania się w pobożności i dobrych uczynkach.

Taki stan rzeczy nie trwał długo. Gorliwy spowiednik Teresy X. Chanon T. J., widząc w niej ducha Bożego, poddał jej myśl, aby działalność swą rozciągnęła na moralnie upadłe dziewczęta i starała się je sprowadzać na drogę prawą. Mimo naturalnego wstrętu zgodziła się Teresa chętnie i, mając dopiero 23 lat życia, rozpoczęła pracę nad 6-u dziewczętami. Nowe to zajęcie nie było rzeczą łatwą i wymagało odpowiedniego wyszkolenia. Aby go nabyć, wyjechała Teresa do Bordeaux, gdzie pod zarządem M. Teresy Lamourous rozwijał zbawienną działalność instytut „Dobrego Pasterza". Tu przyjęła dnia 15 paźdz. 1818 r. suknię zakonną i przybrała imię Teresy Franciszki Borgiasz od Krzyża.

Po trzech miesiącach pobytu powróciła do domu. Uzyskawszy od biskupa dyecezyalnego, X. de Pidoll, pozwolenie na założenie w Laval zgromadzenia zakonnego, sprowadziła się 1-go listopada 1818 r. do wynajętego uprzednio domu, do którego przeniesiono też pralnię.

Odtąd rozpoczęła się regularna praca. Jak każde dzieło Boże, tak i nowa instytucya musiała przejść wiele trudności i niedostatków. Nieugięty jednak duch M. Teresy zdołał je wszystkie przetrzymać, dopóki nie zajaśniały pogodniejsze chwile. Bóg zaś błogosławił. Powołania mnożyły się szybko; już w pierwszym roku 33 osób przyjęło habit zakonny, a ilość pokutnic wzmagała się ciągle. To też niedługo przeniesiono zakład do nowego obszerniejszego domu, który z czasem musiano w dalszym ciągu powiększyć, ażeby zdołał pomieścić 350 pokutnic, które tu znalazły przytułek.

Lecz wtedy M. Teresa dojrzała już dla nieba. Wyniszczona utrudzającą, pełną zaparcia pracą, nawiedzana ciężkiemi chorobami, oddała ducha Bogu 16-go lipca 1866 r., otrzymawszy przedtem błogosławieństwo od Ojca św. Piusa IX. Liczyła 72 lat życia, z których 48 spędziła w zakonie.

Opuszczając Bordeaux, zabrała M. Rondeau reguły tamtejszego zakładu, lecz musiała je dostosować do miejscowych potrzeb, co pociągnęło za sobą pewne zmiany. Praca ta trwała długo i do-

piero pod koniec życia, po długich doświadczeniach i próbach zdołała czcigodna fundatorka dokonać dzieła. Ostateczne jednak wykończenie konstytucyi nastąpiło znacznie później, bo dopiero w r. 1877; zajęli się niem dwaj Jezuici, znany teolog X. Jan Terrien i X. Kersabiec. Przesłano je do Rzymu a Kongregacya dla zakonów, opierając się na chlubnych świadectwach otrzymanych z kraju, wydała 7-go września 1878 r. dekret pochwalny dla Zgromadzenia. Ostateczne zatwierdzenie zostało dla różnych względów odłożone na później.

* * *

Już od najwcześniejszych czasów Zgromadzenie Matki Bożej Miłosierdzia zaczęło się rozgałęziać, obejmując działalnością swą Francyę i Polskę.

W kraju ojczystym posiada ono trzy filie. Pierwsza z nich, t. zw. „św. Józef na polach", przedstawia się raczej jako część domu macierzystego i powstała niedługo po jego założeniu. Oddalona o sześć km. od Laval, obejmowała folwark, w którym zajętych było 40 pokutnic. Statua św. Józefa, umieszczona w kaplicy, wzniesionej w r. 1840, zasłynęła niedługo cudami, których dowodem były liczne wota, pokrywające całe prawie ściany. W r. 1893 przeniesiono ją do nowego kościoła, poświęconego czci tegoż Patrona. — Pozostałe dwa domy znajdują się w Quimper w Bretanii i w Lisieux w Normandyi. Pierwszy z nich założony z końcem r. 1855, drugi dopiero w r. 1873. Wszystkie trzy filie razem mieściły około 400-u pokutnic.

Krótka ta wzmianka niech nam wystarczy o Francyi. Natomiast nieco obszerniej przyjrzyjmy się rozwojowi Zgromadzenia w Polsce. W jaki sposób zostało ono przeszczepione do naszej ojczyzny?

Dwie bogobojne panie, przebywające w Warszawie, Ewa z książąt Sułkowskich Potocka i Tekla z Wyszkowskich Kłobukowska, po stracie swoich mężów postanowiły oddać resztę życia Bogu i poświęcić je pracy nad upadłemi dziewczętami. Zamiar podzielała też panna Antonina Kłobukowska, córka Tekli. Światły ich spowiednik, znany szeroko X. Goljan, doświadczywszy praw-

dziwości ich powołania, wysłał je do Laval do nowicyatu. M. Rondeau otoczyła nowoprzybyłe szczególniejszą opieką i miewała dla nich osobne konferencye. Po ośmiomiesięcznym pobycie nastąpiła 10-go lipca 1862 r. ceremonia obłóczyn a w tydzień później opuściły Francyę i przybyły do Warszawy, gdzie dnia 1-go listopada objęły w posiadanie istniejący już tam zakład „Opieki Najśw. Maryi Panny“ [1]). Sam arcybiskup Feliński dokonał poświęcenia domu i kaplicy.

Pomimo początkowych niedomagań materyalnych i trudności ze strony rządu rosyjskiego, zakład rozwijał się coraz lepiej, tak, że w r. 1901 musiano wystawić nowy obszerny gmach, w którym znalazło pomieszczenie 135 pokutnic. Najprzykrzejszą jednak była ustawiczna obawa o przyszłość. Dotychczas bowiem zakład posiadał tylko zatwierdzenie czasowe z r. 1883, które każdej chwili mogło być cofniętem. Przez 10 lat czyniono daremne zabiegi u rządu i dopiero w r. 1905 dzięki osobistej przychylności jenerałowej Maksimowiczowej, żony generał-gubernatora warszawskiego, udało się otrzymać ministeryalne zatwierdzenie ustaw. Odtąd instytut mógł się rozszerzać w całem Królestwie Polskiem.

Zanim to jeszcze nastąpiło, powiodło się Siostrom założyć parę nowych domów. Dzięki ofiarności hr. Alexandrowej Przeździeckiej otworzono w r. 1881 w gminie Falęty, w powiecie warszawskim, dom filialny Opieki św. Józefa, który z małych początków rozwijał się coraz lepiej i od r. 1902 liczył około 84-ech pokutnic. Jako miejsce wytchnienia dla Sióstr i dziewcząt otrzymano dom i ogród w Służewie, o godzinę drogi od Warszawy; posiadłość tę oddali hr. Braniccy w bezpłatną dzierżawę.

W r. 1903, dzięki pomocy hr. Tyszkiewiczowej, otworzono dom w Częstochowie, który zawierał pewną nowość. Z powodu odmówienia pozwolenia ze strony rządu, założono tu eksternat dla dziewcząt dochodzących w dzień, które pod kierunkiem Sióstr uczyły się szycia, gotowania i gospodarstwa, zachowując regulamin bardzo zbliżony do ścisłego zakładowego. Już w r. 1906 było

[1]) Dom ten założonym został w r. 1853 przez kilka pań i prowadzonym był z początku przez nie a następnie, aż do r. 1862, kolejno raz przez SS. Felicyanki i SS. Rodziny Maryi.

ich 70, a zbawienny ten system otrzymał zatwierdzenie od kapituły generalnej. Skoro tylko nastały pomyślniejsze warunki, zniesiono jednak to urządzenie, jako nie wystarczające i zorganizowano je na wzór innych.

Nie mniej pomyślnie powiodła się sprawa w Płocku. Istniejący tu zakład poprawczy „Bożej miłości“[1]) wszedł naprzód w styczność z domem warszawskim a w r. 1896 został wcielonym całkowicie do niego, za zgodą biskupa Nowodworskiego. Od Sióstr płockich zażądano tylko, żeby każda z nich przyjechała na pewien czas do nowicyatu, w celu zapoznania się z regułą i duchem Zgromadzenia. Wrogie stanowisko rządu względem zakonów było przyczyną, że instytut istnieć mógł jedynie jako zakład przemysłowy; dopiero kiedy dom warszawski otrzymał aprobatę rządową wraz z pozwoleniem zakładania filii na prowincyi, mógł Płock uzyskać w r. 1906 prawne zatwierdzenie. Obecnie mieści się tu dwadzieścia kilka Sióstr i około 60-ciu pokutnic.

W r. 1908 zawiązało się w Wilnie stowarzyszenie pań, mające za cel pracę nad upadłemi dziewczętami. Przejęły one w swe ręce własność i zarząd zakładu ale jako wychowawczynie sprowadziły Siostry Matki Bożej Miłosierdzia, które z powodu wrogiego stanowiska rządu musiały zachować charakter osób świeckich, przybranych do pomocy. Było ich koło 10-ciu i pracowały nad 50-iu dziewczętami; jaki jest stan obecny domu, nie wiemy.

Dzięki niezwykłej ofiarności X. Kubickiego otwarto w ubiegłym roku nową placówkę w Radomiu, która rokuje dobre nadzieje na przyszłość. Mieści się tam sześć Sióstr i do 20-u pokutnic. Nie brakło też już przedtem innych prób osiedlenia się, n. p. w r. 1906 w Lublinie a w następnym roku w Żytomierzu, które jednak z różnych przyczyn spełznąć musiały na niczem.

Przenieśmy się teraz do Galicyi. — Powodowana niepewnością położenia w Warszawie rozpoczęła M. Teresa Potocka już w r. 1867 starania około założenia domu w Krakowie[2]). Pomimo niezbyt

[1]) Założony on został w r. 1891 za sprawą p. Łabanowskiej i przy pomocy X. Welońskiego.

[2]) Wcześniej jeszcze otwierały się widoki we Lwowie, gdzie księżna Leonowa Sapieżyna założyła w r. 1856 zakład podobny jak w Laval i posłała prze-

sprzyjających warunków udało się w następnym roku wynająć kościółek z domem i ogródkiem na Smoleńsku. Zamieszkało tam parę Sióstr, które po niedługim czasie miały koło 20-u pokutnic. Utrzymanie ich napotykało jednak na znaczne trudności, ponieważ nie można było z początku znaleźć roboty. Kłopoty finansowe zmniejszyły się nieco, kiedy w r. 1870 prof. A. Z. Helcel zapisał Siostrom w testamencie 50.000 koron, za które zakupiono parterowy dom na rogu ulicy Straszewskiego i Zwierzynieckiej. Po niezbędnych adaptacyach i poświęceniu przez X. Goljana przeniesiono tam zakład, który mógł teraz pomieścić do 50-iu pokutnic. Z czasem jednak i ta posiadłość okazała się za szczupłą a nadto ciążyły na niej długi niełatwe do spłacenia.

Lecz Opatrzność czuwała nad Swem dziełem. Książę Alexander Lubomirski ofiarował milion franków X. kardynałowi Albinowi Dunajewskiemu na założenie zakładu dla opuszczonych dziewcząt. Ten, będąc wielkim przyjacielem Zgromadzenia, zakupił dla niego 28 morgów gruntu w Łagiewnikach pod Podgórzem, wystawił dom i kaplicę a resztę kapitału przeznaczył na utrzymanie pokutnic. Teraz dopiero nastały pomyślniejsze warunki rozwoju, a liczba dziewcząt podniosła się do 130-u. Przeniesienie się do nowego zakładu, nazwanego Józefowem nastąpiło w r. 1891 a w dwa lata później otwarto nowicyat. Wyposażenie domu pozostawia jednak zawsze wiele do życzenia i potrzeba wielkiej zapobiegliwości i pracy, żeby zdobyć potrzebne środki.

Nowe widoki otworzyły się w r. 1916 w Przemyślu, dokąd posłano cztery Siostry. Ciężkie warunki obecne stoją jednak na przeszkodzie pomyślniejszemu rozwojowi i na razie nie można jeszcze nic wróżyć o przyszłości.

* * *

Tak przedstawia się w krótkich rysach historyczny rozwój Zgromadzenia. Przypatrzmy się teraz jego organizacyi i pracy.

łożoną jego tamże dla odbycia praktyki. Jednakże Zgromadzenie Matki Bożej Miłosierdzia nie objęło tego posterunku, ponieważ nie miał on charakteru wyłącznie poprawczego lecz obejmował i inne rodzaje pracy. Dopiero w ostatnich latach lwowski Zakład św. Teresy podjął właściwą poprawczą pracę nad upadłemi dziewczętami, organizując w tym celu filię w Lackiem.

Całe Zgromadzenie dzieli się na dwie grupy domów, francuską i polską. Pierwsza z nich znajduje się pod zarządem Matki Generalnej, przebywającej w Laval, w której ręku też spoczywa zwierzchnie kierownictwo całego Zgromadzenia. Domy w Polsce podlegają bliższemu kierownictwu Matki Wikaryuszki[1]). Poszczególne domy pozostają pod władzą miejscowej przełożonej. Siostry składają po odbyciu nowicyatu śluby: ubóstwa, czystości i posłuszeństwa a głównem ich zadaniem jest praca nad poprawą dziewcząt moralnie podupadłych. Do pomocy w tem dziele służą im Siostry konwerski oraz t. z. nadzorczynie, t. j. starsze pokutnice, które w czasie dłuższego pobytu w zakładzie złożyły dowód niezwykłej sumienności, pobożności i wzorowego zachowania się.

Co się tyczy pokutnic, mieszkają one stale w zakładzie, gdzie otrzymują wszystko bezpłatnie. Różnorodność ich i liczba pociąga za sobą konieczność rozklasyfikowania na poszczególne oddziały. Takich „klas" bywa zwykle kilka, a każda z nich powinna mieć osobną pracownię, jadalnię, sypialnię, miejsce w kaplicy i dla rozrywki, aby pomiędzy osobnikami ich nie było najmniejszej styczności. Na czele każdej klasy stoi S. dyrektorka, mająca przydzieloną sobie do pomocy odpowiednią ilość innych Sióstr i wspomnianych powyżej nadzorczyń. Władza przyjmowania i wydalania leży w ręku przełożonej domu, oczywiście w porozumieniu z odpowiednimi czynnikami. Każda z dziewcząt otrzymuje przy wstępie przybrane imię, aby nikt w domu nie wiedział, jak się nazywa; nie wolno jej też nikomu opowiadać o dawnem swem życiu. Mądre to urządzenie ma na celu ochronę dobrej sławy danej osoby i jej rodziny.

Podwójny cel stawia sobie Zgromadzenie w pracy nad pokutnicami: możliwie szybkie wydobycie ich z przepaści złego a utwierdzenie w dobrem i zabezpieczenie ich przyszłości. Aby to osiągnąć, posługuje się ono trzema głównymi środkami: modlitwą, pracą i dobrze zrozumianym wypoczynkiem.

---

[1]) Złączenie wszystkich domów polskich Galicyi i Królestwa w jeden wikaryat, ze wspólnym nowicyatem w Łagiewnikach, nastąpiło w r. 1911. Urząd wikaryi piastuje obecnie M. Janina Bartkiewiczówna, przebywająca stale w Warszawie.

Pierwsza z nich, jako niezbędna w nadprzyrodzonem dziele, którem jest sprowadzenie zbłąkanej duszy na drogę cnoty, ma konsekwentnie szerokie zastosowanie. Codzienna msza św. a podczas większych świąt uroczyste nabożeństwa, połączone z nauką, rachunek sumienia, pobożne czytanie oraz różne modlitwy, przeplatające zajęcia ręczne, należą do stałego programu. Pozostały czas obraca się na pracę, której moralne znaczenie jest tu nadzwyczaj doniosłe. Różne jej rodzaje są w użyciu: roboty kościelne, haft biały, koronkarstwa, szycie, tkactwo, wyrób dewocyonaliów, introligatorstwo, koszykarstwo, piekarstwo, ogrodnictwo i pranie. Podczas pracy panuje naprzemian milczenie lub ożywiona rozmowa, to znowu czytanie stosownej książki lub niezbędny wypoczynek. Najdłuższym bywa on po obiedzie i kolacyi, a dnie świąteczne poświęcone są całe wytchnieniu i rozrywce. Nie brak też nadzwyczajnych uroczystości, n. p. z okazyi imienin przełożonych, urozmaicanych przez deklamacyę, śpiewy a nawet przedstawienia.

Trzy powyżej wymienione czynniki: modlitwa, praca i wytchnienie, mogą się jednak stać środkami prawdziwie wychowawczymi dopiero przy światłem i umiejętnem kierownictwie Sióstr dyrektorek. W ich ręce, obok spowiednika, złożonem jest wzniosłe dzieło prostowania spaczonych dusz i wdrażania ich w umiłowanie cnoty i obowiązku. Niezmiernie trudne to zadanie wymaga naturalnie odpowiedniego wyszkolenia i dłuższej praktyki a przytem głębokiego wyrobienia duchowego, opartego na gorącej miłości Boga i powierzonych sobie dusz. Ale też przyznać trzeba, że życzliwość ta, oparta na nadprzyrodzonych podstawach, działa cuda. Najoporniejsze nawet serca miękną i zmieniają się do niepoznania. Dla większej części pokutnic pobyt w zakładzie przestaje być przymusowym a przechodzi w prawdziwe przywiązanie. Wiele z nich nie chce wcale opuścić zakładu i pragnie pozostać w nim na zawsze; kroniki poszczególnych domów notują przykłady wprost zdumiewające.

Opuszczenie zakładu może być dobrowolne lub przymusowe. To ostatnie stosuje się bardzo rzadko i tylko w razie uporczywej niepoprawności i zgorszenia a nigdy z powodu choroby lub niezdolności do pracy. Również wypuszcza się ze zakładu te dziewczę-

tą, które nie przebyły wprawdzie okresu potrzebnego do poprawy, ale nie chcą dłużej pozostać. Przy cierpliwości i łagodności udaje się niejedną taką chwiejną duszę przekonać o nieroztropności jej kroku i nakłonić do zmiany postanowienia. W razie stałego uporu dozwala się jej jednak odejść, ponieważ zakład nie zatrzymuje nikogo przymusowo. Te wreszcie pokutnice, które ukończyły swe zadanie, tak że można liczyć na ich poprawę, mają do wyboru pozostanie przez czas dłuższy albo na zawsze w zakładzie lub opuszczenie go. Niedorosłe powracają do rodziców, innym, które pragną oddać się pracy, ułatwiają Siostry spełnienie ich zamiarów, służąc im radą i pomocą.

* * *

Krótki ten zarys rzuca jasne światło na zbawczą działalność Zgromadzenia. Ażeby jednak mogło podołać rosnącym z dnia na dzień wymaganiom, potrzebuje ono, obok błogosławieństwa Bożego i licznych powołań, większego poparcia ze strony społeczeństwa, da którego sprawy się poświęca.

Jżeli bowiem praca nad upadłemi dziewczętami ma się rozwijać w duchu instytutu i przynieść spodziewane owoce, musi posiadać odpowiednie środki. Do tych należy zarówno wymagana ilość sal, niezbędna dla zachowania ścisłej separacyi pomiędzy poszczególnemi klasami, jak wzorowe urządzenie warsztatów, zaopatrzonych we wszelkie najnowsze przybory i utrzymanie potrzebnej liczby fachowych sił nauczycielskich. Wszystkie te urządzenia są kosztowne, lecz konieczne, gdyż bez nich zakład nie będzie w stanie odpowiedzieć swej misyi. Dziewczęta bowiem nie nabędą znajomości żadnego rzemiosła w tym stopniu, żeby im mogła zapewnić dostatnie utrzymanie; po opuszczeniu zakładu znajdą się w niedostatku, który je może pociągnąć z powrotem do występnego życia. Jeżeli zaś, dla uniknięcia tej ostateczności pozostaną na zawsze w zakładzie, to dom zamieni się powoli na „przytułek dla ubogich kobiet“ a z powodu ograniczonej liczby miejsc braknie ich dla dziewcząt moralnie upadłych i potrzebujących poprawy. W ten sposób instytucya minęłaby się ze swem powołaniem, z wielką szkodą dla dobra ogólnego.

Nie można oskarżać naszego, znanego z ofiarności, społeczeństwa o brak zajęcia się tą sprawą, tak dla niego żywotną. Przyczyną niedostatecznego poparcia jest raczej okoliczność, że Zgromadzenie to dotychczas nie jest znanem szerszej publiczności. Oby więc ten stuletni jubileusz rozniósł znajomość jego wśród najszerszych warstw i rozniecił żywe zainteresowanie się u ogółu. Niech Bóg, który wzbudził to dzieło, błogosławi nadal zbożnej jego działalności na ziemiach naszych.

Ks. Stanisław Podoleński.

Władyka Krupecki w walce z dyzunią.

Do województw, które nie przyjęły unii brzeskiej, należało województwo ruskie. W szczególności ziemie lwowska z halicką i przemyska z sanocką przez stulecie całe wytrwały przy dyzunii, w ciągu którego to okresu zapalczywa tu trwała walka pomiędzy zwolennikami unii a wyznawcami, jak się sami zwali, starej greckiej wiary. Zwłaszcza w przemyskiem spory i waśnie przybrały charakter stałej, upornej walki pomiędzy władykami unickimi a dyzunickimi, królowie bowiem mianowali władyków dla unitów osobno, a wybranych znowu na soborczykach dyzunickich władyków zatwierdzali w urzędowaniu biskupiem, jak to zresztą praktykowało się i w innych dyecezyach. Wszędy tedy wrzała walka; w północnych województwach do Litwy należących przybrała ona charakter zwycięzki dla unii, w południowych i wschodnio-południowych zwyciężali dyzunici. Ponieważ w dyecezyi przemyskiej widzimy niejako typowy obraz zaciętej walki, pomiędzy władykami jednej i drugiej strony toczonej, zasługuje on tem bardziej na dokładniejsze poznanie.

Po śmierci Michała Kopystyńskiego, władyki przemyskiego, który nie przyjął unii brzeskiej, mianował król dyplomem datowanym w Orszy 15 września 1609 r., podczas pochodu na zdobycie Smoleńska, „urodzonego“ Aleksandra Oleksowicza Krupeckiego władyką przemyskim [1]). Był to pisarz kancelaryi królewskiej, na

[1]) Castr. Sanoc. 142 p. 1621.

dworze królewskim dobrze zasłużony, a zalecony królowi na wysoką godność z powodu pobożności i biegłości w Piśmie świętem ruskiem. Był on człowiekiem widocznie niemłodym, skoro król w nominacyi swej mówi, że przez czas niemały zasługował się na dworze, a on sam o sobie w trzy dziesiątki lat później mówi, że jest starcem trzęsącym się. Pochodził z Wołynia, gdzie ojciec jego, Hieronim na Krupcu Krupecki, zmarły w 1618 r., posiadał ziemskie dobra w powiatach włodzimierskim i łuckim, a także i na Białej Rusi w województwie mścisławskiem[1]). Braci miał kilku; z tych poznamy trzech: Janusza, Józefa i Mikołaja, którzy mu towarzyszyli w podróży do Przemyśla celem objęcia władyctwa i przy nim pozostali. Wszyscy oni byli obrządku rzymskiego. Do nominacyi Krupeckiego przyczynił się głównie łaciński biskup przemyski, Stanisław Sieciński, a to z powodu gorliwości, z jaką się Krupecki zaznaczył jako zwolennik unii. Promowując jednak pisarza królewskiego na władyctwo, miał biskup niemałe i przewlekłe trudności do pokonania, o czem wszystkiem donosił papieżowi Pawłowi V. Nominatowi polecił król udać się do metropolity kijowskiego, Hipacego Pocieja, wziąść od tegoż poświęcenie, objąć potem władyctwo, pomnażać chwałę Bożą i rządzić archimandrytami, igumenami, archipresbiterami, protopopami, presbiterami, popami, czernicami i czernicami we władyctwie przemyskiem i samborskiem i władać według obyczaju ruskiego, a wszyscy w ogólności dyecezyanie mają być posłuszni. Władze starościńskie i miejskie otrzymały nakazy spieszenia Krupeckiemu z pomocą na każde jego żądanie.

Według wschodniego zwyczaju wstąpił nominat do zakonu św. Bazylego i otrzymał imię Atanazego, a po wyświęceniu przez metropolitę w Brześciu Litewskim 20 czerwca 1610 r. pojechał do Przemyśla w celu objęcia dyecezyi. Tu jednak spotkały go duże przeszkody. Duchowieństwo greckie i szlachta tegoż obrządku nie chcieli go dopuścić. Krupecki ucieka się do pomocy władz, jednak i to nie skutkuje. Kryłoszanie i szlachta, jak: Chłopeccy, Radyłowscy, Tatomirowie, Wysoczańscy, Winniccy, Kobłańscy i inni, któ-

[1]) Castr. Prem. Rel. 834 p. 602 Władyka w 1618 r. daje pełnomocnictwo Januszowi co do rozdziału dóbr po śmierci ojca.

rzy się na lipcowe roki ziemskie zjechali dnia 20 t. m. do Przemyśla, założyli protest w księgach ziemskich, iż Krupecki nie wiedzieć skąd i czym jest, jakiej religii i kondycyi, że przyjechawszy do Przemyśla szczycił się jakiemś pismem z kancelaryi królewskiej na władyctwo tutejsze i od tego czasu zażywając potęgi (siły) sposobi sobie środki, aby się na episkopią wśrubować mógł, turbuje ich i następuje na sumienia i prawa[1]). Pojechał władyka na sejmik deputacki we wrześniu do Sądowej Wiszni, aby się usprawiedliwić i przejednać szlachtę, która publicznymi listami, pismami, insynuacyami utrudniała mu objęcie rządów. Z urzędu wyznaczył mu sejmik w Wiszni dom mieszkalny z nadpisem: władyczyn; dopuszczono nawet go na sejmik. Tutaj atoli Chłopeccy, Lityńscy, Błażowscy, Tatomirowie, Burdowie, znieważyli, spotwarzyli, zniesławili go, a gdy uciekał z Wiszni, rzucali kamieniami za karetą[2]. Szlachta pod wodzą Jana i Mikołaja Chłopeckich, Marcin Rytarowski, Teodor Turzański, Sozańscy Jan i Andrzej, Tustanowscy, Uherniccy, rzymskiej i wschodniej wiary, grozili jego życiu i król, dowiedziawszy się o tem, z obozu pod Smoleńskiem naznaczył wysokie wadyum, 50 tysięcy dukatów węgierskich, pomiędzy władyką z jednej a godzącą na życie tegoż szlachtą z drugiej strony. Wnet potem mandatem z 30 listopada 1610 r. polecił składać władyce posłuszeństwo i pobory cerkiewne[3]). Rozesłano osobne mandaty do kleru, osobne do szlachty. Wysłano dworzanina królewskiego, Stanisława Myszkę, celem wprowadzenia władyki do katedry przemyskiej św. Jana, do dworu i dóbr władyczych; dworzanina jednak królewskiego nie dopuszczono do wykonania zleceń królewskich. Namiestnik i kryłoszanie, jak Dmitr Burda, Toma Furmanic i szlachta wyżej wspomniana oświadczyli wręcz Myszce, „iż dobra po śmierci władyki nie należą do sekwestru królewskiego, lecz do kapituły, tak długo, dopokąd nowy władyka ich nie obejmie; rze-

[1]) Ter. Prem. 75 p. 1779.

[2]) Obacz protest. w t. XX p. 136 Aktów gr. i ziemskich, zawierającym Lauda sejmików wiszeńskich; lauda cytujemy w dalszym ciągu li tylko z datą, są one, jak i instrukcye wiszeńskiego sejmiku, drukowane w tomach XX—XXIII. Aktów grodzkich i ziemskich w chronologicznym porządku.

[3]) Castr. Prem. 327 p. 18, 19. Vadium z datą pod Smoleńskiem 17 listop. 1610 roku.

czony zaś Szyska, zwany Krupeckim, ma być rzymskiej wiary, czy też unickiej religii, a nadto poddanym litewskim i przywilej otrzymał wbrew prawom naszym (o wolnym wyborze władyków) i wbrew konstytucyi z 1609 r., zabezpieczającej prawa i wolności tak unitom jak i dyzunitom[1]). Ale nietylko duchowieństwo i szlachta, także i mieszczanie, jak np. Samborscy, założyli protest, „że ten pan Krupecki nietylko w naszej ziemi, ale i w całem województwie nie jest znany".

Jak już zaznaczyli przemyscy kryłoszanie i szlachta w swej „odpowiedzi" danej władyce, sposobił on środki, by bądź co bądź objąć stolicę przez króla i za zgodą Stolicy Apostolskiej sobie nadaną. Więc za staraniem jego w sierpniu 1611 r. wychodzą z kancelaryi królewskiej pozwy na sądy sejmowe, doręczone tak kryłoszanom, jakoteż i szlachcie imiennie poszczególnionej; wśród nazwisk spotykamy też Jana Chłopeckiego, tudzież Teodora Winnickiego, ziemian przemyskich, których bliżej poznamy, a których to wszystkich pozywał w sprawie okupacyi tak katedry przemyskiej i władyczego domu, jakoteż katedry św. Spasa w Starem Mieście i zajęcia dóbr ziemskich władyczych. Inne pozwy dotyczyły zniesławienia go na wiszeńskim sejmiku, a nawet starosta przemyski, Adam Stadnicki, pozwany był o zajęcie folwarków, należących do władyctwa[2]). Na skutek zabiegów władyki nie sąd sejmowy, lecz trybunał koronny, do którego sprawa weszła, wydał w tej sprawie wyrok, poczem z rozkazu królewskiego w początkach 1612 roku w obecności delegowanego królewskiego, Jerzego Stana, podstolego sanockiego, odbyła się intromisya czyli wwiązanie w cerkwie i dobra władyctwa. Objęto nią i katedrę św. Jana przemyską i dwór władyczy, cerkwie przemyskie, grunta i folwarki podmiejskie z poddanymi, jak Psarcze, Podzamcze, Podgórze, dalej dobra Walawę, Hruszowice, Wielunice, Witoszyńce, Straszowice, dwór i cerkiew w Starem Mieście z dobrami w samborskiem położonymi, w końcu i monastery Spaski pod Starem Miastem z wsiami Wołkowice i Busowiska, monaster św. Onufrego z wsią Nanczułką, dalej

[1]) Obacz protest Myszki z 8 kwietnia 1611 i reprotestacyę kryłoszanów i szlachty w Castr. Prem. 327 p. 805, 817.

[2]) Castr. San. t 143, p. 279—281.

monastery czernic w Smolnicy, św. Iwana i w Nahujowicach (wsi królewskiej) z lasami, żupami do tychże należącymi. Wiele z tych dóbr było już w innem ręku, skutkiem czego wszczął Krupecki z dzierżawcami, a nawet z starostami samborszczyzny proces, dlaczegoteż w wyroku zastrzeżono, że wwiązanie nie ma w niczem uwłaczać wszczętym procesom[1]). Widocznie mało skutkowała ta intromisya, gdyż niektóre tylko dobra, jak Witoszyńce, Kruhel, pod Przemyślem leżące, wypuścił Krupecki w dzierżawę[2]). Nawet skarbca katedralnego mu nie wydano i musiał skarżyć o wydanie tegoż Mikołaja Kopestyńskiego, prawdopodobnie krewnego swego poprzednika na władyctwie, Marcina Rytarowskiego, Aleksandra Uhernickiego i innych, bądź przyjaciół, bądź krewnych wspomnianego władyki, o wydanie felonów, koron perłowych władyczych, kielichów, grobnic (relikwiarzy), kadzielnic, srebra, słowem skarbca katedry św. Jana. Dopiero d. 24 lipca tegoż roku zdołał od zagrożonych banicyą odebrać własność cerkiewną[3]) i to w myśl dekretu trybunału, do którego wniósł także i skargę przeciwko tymże i przeciwko szlachcie innej, że nie chodzą do cerkwi i nie oddają mu posłuszeństwa[4]). O to ostatnie również, jak i o okupowanie cerkwi i dóbr cerkiewnych, rozmaitymi przywilejami obdarzonych, oskarżył władyka świaszczenników przemyskich, stryjskich, samborskich, sanockich, wiszeńskich, grodeckich, jaworowskich, drohobyckich, staromiejskich i starosolskich i uzyskał na nich dekrety banicyjne w trybunale[5]). Chcąc zmusić kler do posłuszeństwa, używał władyka środków przemocy, a nawet gwałtu. Wniosek ten wypływa ze skargi przeciwko niemu ze strony szlachcica, świaszczennika wąniowickiego, nazwiskiem Warłama Brośniowskiego, o napad nocny, o związanie mu w tył rąk, przywiązanie go u szyi sznurem, uwiązanym do wozu, pławienie go przez Dniestr i uprowadzenie do Straszewic, a stąd do Spasa, gdzie wówczas władyka

[1]) Castr Prem. 328 p. 651.
[2]) C. Pr. 328 p. 1361.
[3]) Ter. Prem. 76, p. 633, 1301.
[4]) C. Pr. 328 p. 1012 cf. 1205, 1352, 1421, 1521—4.
[5]) Ibidem p. 994—1000 cf. 972—978, dekreta te z 4 maja 1612 r.

rezydował i skutego kajdanami do więzienia monasterskiego wtrącił[1]).

Zbyteczna ta energia władyki nie wiele skutkowała, a może raczej spowodowała tem większy odpór tak ze strony duchowieństwa, jakoteż i powierzonej mu trzody. Aby energię tę złamać i dyecezyę uspokoić, skłonił władykę biskup Stanisław Sieciński do misyi na Węgry. Znany dobrze biskupowi Jerzy Drugiet z Homonny, zwany w Polsce Humieńskim, upraszał biskupa, by przysłał mu dla utwierdzenia tamecznych Rusinów w katolickiej wierze którego z wybitniejszych unitów. Na prośby biskupa, a swego promotora, wyjechał Krupecki na Węgry do Humieńskiego, dzięki któremu otrzymał był nawet tytuł biskupa Munkaczowskiego, który sobie później władyka przydawał do tytułów przemyskiego i samborskiego władyki. Misya Krupeckiego i na Węgrzech nie powiodła się. Gdy bowiem odprawiał nabożeństwo w cerkwi w Krasnobrodzie za Homonną, dyzunici tameczni przeszkodzili mu i to w ten sposób, że byłby zabity przez podburzony tłum, gdyby go z rąk roznamiętnionych nie wydarł Walenty Drugiet, zapewne krewny pana Humieńskiego.

Widocznie skargi Rusi polskiej dotarły i na Ruś węgierską. Wszakże w niedalekim od granicy Sanoku starszyzna miasta, obrządku greckiego, wręcz zabroniła namiestnikowi sanockiemu, popowi Andrzejowi, składać posłuszeństwo władyce[2]). Wogóle miasta stanęły okoniem przeciwko niemu, a gdy powrócił z Węgier, dowiedział się zaraz, że i Przemyślanie zajęli mu dwie cerkwie, jedną za Sanem pod wezwaniem Bogarodzicy, drugą św. Trójcy na przedmieściu. Było to w końcu grudnia 1612 r. Co prawda, na skargi zaniesione o to zajęcie uzyskał mandat z kancelaryi królewskiej do Przemyślan[3]), którzy zażaleń jego na mieszczan greckiego obrządku w magistracie rozstrzygać się wzbraniali, aby wszelkie krzywdy od dyzunitów pochodzące rozsądzali według rejestru spisanego, później zaś sprawdzanego przez władykę. Co bardziej, król nakazywał, by mieszczan sprzeciwiających się obowiązkowi odda-

[1]) Ibidem p. 2501.
[2]) C. San. 143 p. 471.
[3]) C. Pr. 332 p. 84.

wania poborów cerkiewnych do uczęszczania na nabożeństwa przymuszali, na co ojciec władyka od króla uzyskać listy prywatne i mandaty osobne do urzędu miejskiego wyjednać ma, celem szybszej egzekucyi, na podstawie których to mandatów magistrat ma egzekwować opornych. Nie wiemy, czy władyka uzyskał takie mandaty, sprzeciwiające się prawom Rzpltej, to pewna, że nietylko Przemyślanie i popi tameczni, ale i popi w całej dyecezyi, w szczególności samborscy, starosolscy, stryjscy, wiszeńscy, żurawiccy, dubieccy, sanoccy, krymiccy, lescy, tak namiestnicy, jakoteż czerńcy, czernice, wzbraniali się pasterzowi, którego nie uznawali, składać poborów, oddawać prowentów futrzanych (kunic), w dzień Bożego Narodzenia i na dzień św. Jana Chrzciciela; na sobory duchowne na tenże prażnik świętojański do katedry przemyskiej nie uczęszczali, olejów świętych (chrisma) dla chrztu dzieci nie brali, biskupa swego w modłach nie wspominali, wogóle żadnych obowiązków, w starodawnych zastrzeżonych dokumentach i od wieków praktykowanych, nie spełniali[1]). W szczególności kładł władyka w swych skargach nacisk, że Przemyślanie opłat na św. Jana od 1609 r. nie płacą, do chrztu dzieci nie przynoszą, ani też innych Sakramentów nie używają, a synów swych do szkoły greckiego obrządku nie posyłają. Zapadły na trybunale na oskarżonych banicye, nadto skazano na zapłatę wysokich grzywien tak popów jak i miasta. Skazani podali do trybunału, z powodów formalnych o kasacyę wyroków i dalej trwali w nieposłuszeństwie. Przemyślanie zaś, podrażnieni przez władykę wszczętymi przez tegoż procesami w sprawie dóbr ziemskich, o czem jeszcze niżej wspomnieć przyjdzie, urządzili mu w tymże jeszcze roku 1614 dwukrotnie demonstracyę: w dzień św. Piotra i św. Jana Chrzciciela. Mianowicie, po raz pierwszy, w chwili, gdy kler wyszedł naprzeciwko mającemu celebrować władyce, podburzony przez Wasila popa i Kuźmę popowicza, tłum rzucał za nim kamieniami i kijami. Jeszcze boleśniejsza zniewaga spotkała władykę na prażniku świętojańskim. Groził bowiem tłum kapłanom, biorącym udział w asyście, przeszkadzał nabożeństwu, nadto pobił dwóch sług władyczych, Balta-

[1]) C. Pr. 330 p. 898.

zara Witkowskiego w Walawie i drugiego w Straszewicach, przyczem Witkowski, broniąc się, zabił z pistoletu jednego z mieszczan przemyskich, Waśka Torskiego. Wybryki przybrały takie rozmiary, że sejmik wiszeński w marcu 1616 r. z powodu skarg, „braci religii greckiej" polecił posłom na sejm wysłanym starać się o to, aby waśnie z powodu religii były uspokojone, by religia grecka w prawach swych zachowaną była i by wyroki, które władyka przeciwko popom uzyskał, zniesione były [1]). Wobec powszechnego głosu szlachty wzbraniał się też starosta ówczesny, Marcin Krasicki, egzekwować wyroki na nieposłusznych, a władyka pozywa go do trybunału o opieszałość w urzędowaniu, zagrożoną stu grzywnami[2]).

Nie przestał też władyka używać środków przemocy, zwłaszcza wobec kleru, jak tego doświadczył na sobie — co tutaj poznamy — Anastazy, czerniec monasteru św. Onufrego w Dobromilu[3]). Z podmowy władyki pleban starosolski, ks. Adam, pojmał wspomnianego Anastazego, gdy tenże przybył do Starej Soli, i dał o tem znać władyce. Na rozkaz władyki przyprowadzono czerńca do św. Spasa, tam go okuto w kajdany, do piwnicy wsadzono i przez trzy dni dręczono. Potem sposobem widocznie praktykowanym, uwiązanego za wozem „jako złoczyńcę", przez ćwierć mili aż do Terszowa wlókł władyka, 2 razy przez Dniestr się przeprawiając, jak bestyą pławił — powtarzamy tutaj słowa czerńca — i na wóz wsadzić kazał dopiero w Terszowie. Stąd jadąc do Sambora, znowu powtórzył władyka owe włóczenie za wozem. Ponieważ w Samborze nie przyjęto czerńca do miejskiego więzienia, powiózł go władyka do Przemyśla i w domu władyczym za szyję łańcuchem wielkim do ławy przywiązać kazał. W nocy odwiedził władyka swego więźnia, i świecami ledwo mu oczu nie wypalił, urągając mu, a gdy czerniec ostro odpowiedział na urągania, by władyka na karanie pomniał Boże, „ja wpierw ciebie karać będę" odrzekł, poczem świecę gorejącą kazał mu pod lewe kolano przyłożyć i tak mocno a zapalczywie bił go po głowie, że ledwo służba oderwała swego

[1]) AGZ. tom XX. pod datą 12 marca 1616.
[2]) Ter. Prem. 86 p. 7 (rok 1617).
[3]) Castr. San. 144 p. 1351.

pana od ofiary. Nazajutrz władyka kazał czerńca w łańcuchu do sklepu pod cerkwią katedralną wsadzić, gdzie go bez strawy przez dwa dni trzymano i dopiero za wstawieniem się litościwych ludzi puszczono na wolność. Charakterystyczne to opowiadanie, malujące brak miłosierdzia, surowość i srogość władyki, opowiedziano tutaj słowy czerńca. Zbytecznem byłoby dodawać, że te inkwizycyjne środki mijały się z celem.

Także i środki prawne, do których się władyka uciekał, czy to wobec miast lub też wobec szlachty, w celach odbioru na własność cerkwi, dóbr cerkiewnych, lub też w obronie praw i przywilejów katedry swojej, były tak częste i tak bezwzględnie zastosowywane, że również nie osiągały zamierzonego skutku. Wypływa ten wniosek ze sporów prawnych, jakie wiódł władyka z mieszczanami przemyskimi.

Jak już wspomniano, spory z miastem toczyły się tak o nieuznawanie jurysdykcyi władyczej, jakoteż o dobra cerkiewne, mianowicie o pewne grunta na przedmieściach miasta, o które i poprzednicy władyki toczyli spory, a co do których obie strony miały przywileje i na ich podstawie sądziły, że za ich prawami przemawiają. Mieszczanie przedkładali przywileje królów Władysława Jagiełły, Zygmunta Augusta, komisarski wyrok z 1509 r.; władyka zasłaniał się przywilejami starszymi księcia Lwa którym już w owych czasach na sejmach a często i w sądach nie przyznawano autentyczności, a których prawdziwość i nowsza nauka kwestyonuje. Już w 1613 r. zapadł wyrok na deokkupacyę tych gruntów podmiejskich, a tylko młyn nad Wiarem przysądzono mieszczanom. Gdy przyszło do rozmierzenia przysądzonych wyrokiem ról i pastwisk, okazało się, że poddani władyki rzucili do Sanu graniczne kamienie, że prowadzili dukt po za dawną granicę na szkodę miasta, wiedli na miejsca, co do których nawet prawdopodobieństwa nie było, aby tam kiedykolwiek młyn istniał i oczywiście spór się wznawiał tem ostrzejszy, że jak już wspomniano, jurysdykcyi władyki nie uznawali mieszczanie, tłumacząc się, że według konstytucyi przysługuje każdemu wolność wyznania. Celem zbadania obustronnych praw i skarg wysadził król komisyę, złożoną z sekretarza królewskiego ks. Achacego Grochowskiego, sę-

dziego przemyskiego Jana Ulińskiego, ustanowił wysokie wadya pomiędzy stronami, nakazując im spokój i cierpliwe oczekiwanie rezultatu komisyi. Był ten rezultat wysoce niekorzystnym dla władyki, który też nie podpisał protokołów komisarskich. Spór przybrał ostrzejszą formę, tak dalece, że władyka, który w obronie życia postarał się o glejt bezpieczeństwa, w lipcu 1614 r. wniósł skargę przeciwko miastu o wiolacyą żelaznego listu. Na prośby władyki wyznacza król drugą komisyę w osobach biskupa przemyskiego, Stanisława Siecińskiego, wojewody bełzkiego, Adama Stadnickiego, jednego z kanoników przemyskich, wspomnianego już sędziego ziemskiego, a wreszcie i przemyskiego podstarościego. Komisya miała za zadanie rozstrzygnąć także zażalenie mieszczan, że władyka wbrew układowi miasta, który dawniej jeszcze zawarto z władyką Radyłowskim o zamurowanie muru i baszty, nie chce dokończyć budowy i oczywiście komisya, której wyrok miał być obowiązującym dla obu stron pod grzywną tysiąca dukatów, nakazała władyce dokończyć dzieła. Gdy atoli wyrokiem wspomnianym odsądzili komisarze władykę od Błonia, od dalszego budowania domów na Zasaniu, od zagrody Michałowskiej, od młyna nad Wiarem, od folwarku Dorohostowa, który, jak się okazało, do wsi miejskiej Kruchla należy, władyka, mimo, że komisya odbywała się pod przewodnictwem jego protektora, biskupa przemyskiego, wbrew jej dekretowi kazał zająć wspomnianą zagrodę Michałowską z pół łanem roli na znak, że wyroku nie uznaje[1]). Apelacyi jego do sejmu nie dopuściła komisya, a to na podstawie prawa przysługującego oskarżonym mieszczanom, należącym do forum asesoryi. Musiał zapłacić władyka grzywny, z drugiej zaś strony na mieszczan w sprawie, w trybunale toczonej, o gwałty, o nieoddawanie dochodów władyczych itp. zapadł wyrok banicyi[2]), której skasowania zażądało natychmiast miasto. Proces o dobra podmiejskie toczył się dalej, i jeszcze 1620 r. skarży władyka mieszczan, że przez lat 30 używają gruntów, jak Mościszcza, Kosteniowa, Przekopanej, Wiarowitego, przez co go na 30.000 zł. poszkodowali, że na pastwiskach władyczych wieś Błonie założyli,

[1]) C. Prem. 332 p. 82.
[2]) Castr. Pr. 331 p. 298.

Wilcze mu odjęli, pod samą katedrą św. Jana pole cerkiewne zajęli i domy tam pobudowali.

Gdy w Kijowie 1620 r. Teofan, metropolita jerozolimski, odnowił dyzunicką hierarchię, a i dla Przemyśla władykę wyświęcił, walka ta w Przemyślu nieco ustała. Skoro atoli po śmierci Zygmunta III następca jego, Władysław IV zatwierdził i rozszerzył prawa dyzunitów i gdy na nowo zawrzała walka pomiędzy władykami unii, a dyzunii, odbiła się ona głośnem echem także i w Przemyślu. Brat władyki, Janusz, wraz z zarządcą dóbr władyczych, Filonem Czerkaskim, napadali na mieszczan w realności Psarce zwanej, z drugiej znowu strony mieszczanie oskarżeni byli o pobicie władyki i brata jego Janusza. W szczególności zawistnem okiem patrzano na nowe zarządzenia władyki. Widząc, jak wielką siłę przeciwnicy czerpią w bractwach cerkiewnych, zorganizował Krupecki u siebie takoweż, a członków bractwa, rozmaitych rzemieślników, poosadzał nietylko przy swym dworze władyczym, lecz nadto w pobudowanych na gruntach miejskich domach, jak na przedmiejskim, nad Sanem, Wilcza zwanym. Także zakładanie handlów, cechów — bractwa bowiem stanowiły dla tychże podstawę — było wbrew przywilejom miasta wymierzone, zwłaszcza gdy władyka o żadnych ciężarach i podatkach wiedzieć nie chciał, a rzemieślnicy, których poosadzał, do cechów miejskich przystąpić nie chcieli. Za zezwoleniem grodu urząd miejski wysłał swą czeladź, by zabrać tych „partaczów i stularzów“ — jak nazywano drobnych przemysłowców i kramarzy pozamiejskich —, oni zaś, uderzywszy w dzwon na gwałt, pobili i poranili czeladź miejską. Było to w początkach 1637 r., tak nieszczęsnego dla władyki z powodu najazdu monasteru Spaskiego za Sanem, gdy stamtąd uchodząc schronił się do wsi podmiejskiej Wilcza [1]). Gdy bowiem tutaj w cerkwi mszę św. odprawiał, mieszczanie, biorący udział w napadzie i rabunku monasteru, w kilkaset zbrojnych wkroczyli do cerkwi, targają starca za włosy, biją, rabują dom i ruchomości. Wypadek ten zaszedł 15 października. W niespełna pół roku później powtarzają mieszczanie napad w towarzystwie poddanych z Bło-

[1]) C. Pr. 360 p. 1502.

nia, Kruhla, w r. 1639 okupują Mościszcze i łany Kosteniów, Przekopane, Madowite, na skutek czego tysiąc zł. rocznej straty w dochodach swych poniósł władyka, a zasądzeni *in contumatia* przez trybunał, otrzymawszy list żelazny, bronią się zwykłymi a znanymi sobie środkami, podają o kasacye wyroków banicyjnych, wznawiają spory o własność miejską, o spustoszenie dóbr, lasów, wnoszą zażalenia na władze, jak na starostę, z powodu wyroków sobie nieprzychylnych, o których skásowanie proszą. W r. 1646 powtórzyli mieszczanie latem napad na wspomniany monaster Spaski, od którego na pół mili rozciągały się grunta władycze, gęsto łoziną do przemysłu przez mieszczan używaną obsadzone, do których to gruntów miasto rościło sobie prawo. W trzysta strzelb uderzono i zdobyto monaster, wtargnięto pod cerkiew, w której władyka celebrował. Starzec wychodzi naprzeciwko napastników, a widząc wśród nich mnóstwo banitów, już zasądzonych infamisów, zabiegając dalszym zbrodniom, mówi do nich łaskawie, nakłania do zaprzestania gwałtów, błaga o nieprzelewanie krwi, oni zaś starca uderzają, potrącają, znieważają, poczem odchodzą, rzucają się na łozinę, wycinają ją i setki wozów cudzej własności uwożą do miasta[1]). Podpadają za te gwałty nowym wyrokom banicyjnym, o których skasowanie drogą znaną zabiegają. Za przykładem Przemyśla idą i inne miasta, w szczególności Stare miasto, zwane podówczas Starym Samborem. W 1623 r. oskarżał mieszczan tych władyka o dewastacyę lasów, należących do opodal leżącego Spaskiego monasteru, a także do monasteru Smolnickiego czernic, o zabór pól, łąk, błonia, będących własnością cerkwi, której on był pasterzem i obrońcą.

W tym charakterze gorliwego i bezwzględnego zapaśnika o własność cerkiewną, występował władyka zaraz po objęciu rządów także i przeciwko szlachcie. Procesy przeciwko niej wytoczone i przez szereg lat prowadzone w rozmaitych subseliach, wznawiane po przegranej, obejmują długi szereg imion i nazw, począwszy od dygnitarzy najwyższych, jak podskarbiego koronnego, a skończywszy na szlachcie zagonowej, jak to było w samborskiem,

[1]) C. Pr. 372 p. 1897.

rojącem się od drobnych ziemian, którzy na okazowaniach rycerskich jawili się z kijem, w braku innego a tak kosztownego w owych czasach oręża. Zamożnym w ziemi przemyskiej był ród Drohojowskich, któryto cerkwi dawał władyków. Od dawna trwały pomiędzy rodem tym a władykami spory o własność ziemską, które 1594 r. uspokojono układem zawartym pomiędzy władyką Michałem Kopystyńskim z jednej a Tomaszem Drohojowskim z drugiej strony, przyczem referendarz koronny, ów Drohojowski, zrzekł się wyjednanej od króla Stefana opieki nad władyctwem przemyskiem. W archiwum władyczem były atoli akta procesowe, wyroki dawniejsze, były i sprawy, które nie były objęte układem wspomnianym i łatwo przyszło takiemu znawcy prawa, jakim był niewątpliwie władyka, a dawniejszy pisarz królewskiej kancelaryi, wznowić z dobrym skutkiem proces, w celu przysporzenia cerkwi dochodów. W taki sposób oskarżony Mikołaj Marcin Drohojowski przegrywa proces (1613 r.), chce płacić przysądzoną sumę 1400 złp. władyce, który nie podnosi tejże i żąda egzekwowania na przeciwniku także i dekretów zapadłych na nim za poprzednika Michała Kopystyńskiego. Mimo że proces został skasowany, uzyskuje władyka w dalszym ciągu sporu dekret banicyi na Drohojowskim. Starosta miejscowy, Adam Stadnicki, nie chce egzekwować wyroku tego: otrzymuje o to pozew do trybunału. Matiasz i Jan Drohojowscy, synowie kasztelana sanockiego Jana, nie mają żadnego w swym Drohojowie sąsiedztwa z władyczą Walawą; władyka wydobył widocznie z aktów archiwalnych jakieś przeciwne świadectwo i stanąwszy na gruntach drohojowskich oświadczył poddanym swym walawskim, że kopce, które tam stały są pierwszy walawski, drugi drohojowski, a trzeci małkowicki. Wnet też wytoczył proces także i podsędkowi przemyskiemu, Janowi Dunikowskiemu, o granice Małkowic, wszczęty przez Kopystyńskiego. Wizya graniczna sprawdza naruszenie granicy przez władykę i że niema nawet prawdopodobieństwa, aby granice przez Krupeckiego wskazane były rzetelne. I innych sąsiadów walawskich, jak Piotra Kowinnickiego, jak Łukasza Boguckiego zasypuje władyka pozwami.

Daleko liczniejszych sąsiadów, aniżeli walawskie dobra wła-

dycze, miały dobra wspomnianych wyżej monasterów w Samborszczyźnie. Otoczone były te klasztory spaski, smolnicki, straszewicki, św. Onufrego, ekonomią wielką, samborszczyzną i drobnymi enklawami, które sobie drobna szlachta bądź przywilejami, bądź też długoletniem używaniem na własność przysporzyła. Ekonomii samborskiej dobra były w tysiącznych rękach tak dygnitarzy jak i szlachty, jak np. Marcina Krasickiego, starosty przemyskiego, a kasztelana lwowskiego, jak Mikołaja Daniłowicza, podskarbiego koronnego, Jana Ulińskiego, sędziego ziemskiego przemyskiego, Jerzego Stana, stolnika przemyskiego, Stanisława Wapowskiego, kasztelana przemyskiego, Marcina Stadnickiego, kasztelana sanockiego, sukcessorów Jana Potockiego, nie wymieniając innych ziemian. Wszyscy oni w 1619 r. otrzymali pozwy w sprawie okupacyi dóbr wspomnianych monasterów. Żądał bowiem władyka, by dobra owe pozostawały w granicach, jak je opisywał przywilej fundacyjny księcia Lwa Daniłowicza, by pozwani ustąpili z całego szeregu wsi i zwrócili koszta tak procesu, jak i długoletniej okupacyi. Nie będziemy tutaj przytaczać szczegółów tego długoletniego procesu, toczonego za urzędowania na podskarbiostwie, złączonym podówczas z urzędem starosty Samborszczyzny, aż trzech dygnitarzy: dwóch Daniłowiczów, Mikołaja i Jana i Hermolausa Ligęzy. Przytoczymy tylko charakterystyczne cechy sporu dla tem lepszego poznania charakteru władyki, trudności wśród jakich toczyli walkę i skutków tych procesów dla sprawy unii.

Wśród ogromnych borów położone były owe klasztory, a z lasów dziewiczych podwójny już szedł pożytek, albowiem i drzewo spławiano i wywożono, jako już w cenie będące, i z sosen, dupliska pszczelne zawierających, pozyskiwano miód i wosk. W 1623 roku skarżył władyka podskarbiego Mikołaja Daniłowicza, że na pół mili wszerz i wzdłuż wyciął drzewostan boru, należącego do monasteru, a nie do ekonomii; w cztery lata później pozwał Hermołausa Ligęzę, następcę Daniłowiczowskiego w urzędzie, również o spustoszenie lasów, tudzież o wybicie z posessyi żupy, Baszową zwanej, obok monasteru św. Mikołaja położonej i obicie swaryczów, przez podżupka Kotowskiego i poddanych nahujowskich. Zaledwie po Hermolausie Ligęzie objął urzędowanie Jan Mikołaj Daniłowicz,

a już doręczono mu pozew w sprawie obalenia kopców granicznych, zniszczenie znaków odgraniczających Samborszczyznę od dóbr spaskich, tudzież św. Onufrego przez poprzednika na urzędzie starościńskim samborskim. Nakazano wizyę graniczną i znowu władyka wnosi skargę na podstarościego samborskiego, że tenże wójtom, krajnikom, poddanym zabronił wskazywać graniczne kopce, groził im biciem, kilku pobił i do więzienia wsadził i że w ten sposób wieś Suszyca i inne odpadły od władyki, co bardziej, że gdy na odpust św. Onufrego wielka ludzi ciżba zebrała się do św. Spasa, Daniłowicz przez hajduków swych zaniepokoił zgromadzenie, a domki dla pielgrzymów pobudowane rozwalić kazał „na wzgardę religii w unii z Rzymem pozostającej". Jeszcze w roku 1644 pozwał władyka tegoż podskarbiego o wycięcie sosen pszczelnych, i to na długość półmilową i na takąż szerokość. Oczywiście opierając się w swej skardze na nadaniu ks. Lwa. Z drugiej strony zaznaczyć należy, że n. p. Sozańscy, autentycznymi dowodzili dokumentami, że od dwustu przeszło (a więc od 1436 r.) są w posiadaniu dóbr, które władyka rekwiruje na podstawie problematycznego nadania od ks. Lwa Daniłowicza, a władyka odpowiada, że poświętne dobra nie podlegają zadawnieniu.

Także i świaszczennicy w Samborszczyźnie, skłonieni przez władykę, oskarżyli wspomnianego podskarbiego w sprawie granic. Władyka, który już za Hermolausa Ligęzy, w sprawie podobnej przez mieszczan samborskich wytoczonej, urzędował jako komisarz królewski, był i w maju r. 1632 przewodniczącym komisyi. Po wydaniu wyroku, nie dopuściwszy apelacyi do sądów nadwornych, wysłał sług swoich do Samborszczyzny z nakazem wykonania. Starosta Daniłowicz — jak się skarży władyka — kazał swym hajdukom na opresyą unitów pojmać dwóch wójtów ekonomii samborskiej, szlachtę Bazylego Łomnickiego i Jana Susickiego i to w obliczu władyki na zamku samborskim.

Dbały o dobro cerkwi, zakupił władyka w 1622 r. od Andrzeja Ustrzyckiego wioskę Żurawin w sanockiem [1]) za 17.000 złp., z której to kwoty zaraz 10.000 miał zapłacić sukcessorom. Była to kwota, jak na owe czasy za mała za wioskę; władyka jednak zstrzegł

[1]) C. San. 158 p. 1333.

uroczyste modły za duszę Andrzeja, o które tenże upraszał i kupno będące raczej darowizną przyszło do skutku. Nabytek ten cerkiewny był źródłem ustawicznych trosk, kłopotów, procesów dla władyki, niemal do śmierci tegoż, a więc prawie przez lat trzydzieści. Rodziny bowiem Andrzeja, jak Ustrzyckich, wraz z innymi współsukcessorami, wreszcie z tymi, którzy na dobrach zapisy mieli, czując się pokrzywdzonymi, procesowali i władykę i urząd grodzki sanocki, wobec którego transakcya przyszła do skutku. Były to rodziny Hermanowskich, którzy zapisy swe na Żurawinie ustąpili Andrzejowi Boguskiemu; dalej Andrzej Konopacki, nadaremnie upominający się o zwrot sum, na tej wiosce ciążących; rodziny Polańskich, Stadnickich, Pruchnickich, Kąckich, Ciecierskich, sąsiadów Żurawina, których poddani zrabowali w 1642 r. cały dwór, doszczętnie go spalili, wyrządzając szkody na kilkadziesiąt tysięcy dzierżawcy. Jeszcze w r. 1650 zapadł na władykę dekret banicyjny w sprawie tychże dóbr na skargę ze strony Ustrzyckich i Fredrów. Oczywiście władyka podał o kasacyę, zaprzeczając jakoby redonacyą tychże dóbr kiedykolwiek uskutecznił. Natomiast dzierżawca Żurawina, Aleksander Klofas, przegrał proces, który wytoczył władyce. Proces z tymże dzierżawcą, jak w ogólności z rodzinami, mającemi roszczenia dawne do majątku, trwał dalej aż do śmierci Krupeckiego, który zresztą pozostawił go w spadku swym następcom.

Jeżeli takimi procesami zrażał sobie władyka szlachtę, cóż dopiero powiedzieć o innych mnogich sporach prawnych, wytaczanych ziemiaństwu całej a obszernej dyecezyi, już samą liczbą mogących rozbudzić powszechne ku niemu ze strony szlachty niezadowolenie. Z zacną rodziną Grochowskich toczy n. p. proces przez dwie generacye, za ojca i syna, przegrywa go w trybunale 1622 r. z dworzaninem królewskim Krzysztofem Świętosławskim, a także z Prokopem Pieniążkiem o dzierżawę Chotynia i Hruszowic, dóbr należących do kapituły, o inny jakiś majątek z Nieświatowskim z Grabownicy. Żywy i długi spór toczy władyka z Marcinem Krasickim, wszczęty w 1629 r. o karczmę w Śliwnicy, o zajęcie sreber cerkiewnych u żyda przemyskiego, o więzienie poddanego biskupiego; wygrywa go, ale bez skutku widocznego, gdyż jeszcze 1637 r. brat nie-

boszczyka Marcina, Jerzy, wzbrania władyce żądanej na podstawie werdyktów rumacyi, a gdy we dwa lata później wygrywa proces, starosta miejscowy wzbrania egzekucyi, a proces toczy się, o ile z aktów wyśledzić można, jeszcze 1641 r., w którym Jerzy dwakroć zasądzony na banicyę, otrzymuje na kilka miesięcy zwolnienie od wyroku, a to w celu przedsiębrania dalszych środków prawnych w owej zawiłej sprawie z władyką. Jakkolwiek w ostatnich latach rządów władyczych mniej spotykamy procesów z sąsiadami toczonych, w każdym razie szereg tych sąsiadów jest dość wystarczający do wyrobienia sobie sądu o stosunkach władyki z ziemiaństwem w przemyskiem i sanockiem. Należy bowiem i to przytoczyć, że jeszcze 1646 r. na sejmiku wiszniеńskim polecono na skutek skargi Sozańskich, by proces ich z władyką już przez kilka sejmów zwłokę odnoszący, był wreszcie ukończony.

Jeżeli o stosunek władyki do władz zapytamy, musimy i tutaj sprawdzić, że nie był on wcale przyjaznym; wszakże wszystkie urzędy, władze były w ręku szlachty, zasypywanej procesami. Częste skargi władyki, procesa wszczynane z starostami prawie wszystkich starostw, w obrębie obszernej dyecezyi, mającej stosunki lub dobra także w sąsiednich ziemiach, nietylko przemyskiej i sanockiej, zasypuje władyka procesami o niewykonanie wyroków sądowych. Starostowie bełzki, łucki, lwowski, halicki itp., muszą się przed trybunałem lubelskim usprawiedliwiać w sprawie skarg władyczych o niespełnianie czynności obowiązkowych swego urzędu. Nawet podstarości przemyski, nawet woźny stawa przed sądem, ten drugi oskarżony, że fałszywą zeznał w sądzie relacyę i krzywo przysiągł, albowiem intromisya pani Walawskiej do Walawy była zaprzeczoną, czego woźny nie przyznał. Spełniający urzędowanie podstarości odpowiada przed trybunałem za wkroczenie do komór władyczych i zamknięcie ich na swoje kłódki, tudzież za wkroczenie do katedry św. Jana i zamknięcie kilku staruszek do kuny, „a to na wzgardę religii i jurysdykcyi władyczej“ [1]).

Skutki wszystkich owych, a tak bardzo licznych sporów, toczonych z osobami stanu świeckiego i duchownego, z dygnitarzami

[1]) C. San. 150 p. 485, 513.

i z szlachtą, z dyecezyanami i z władzami nie mogły być połączone z korzyścią dla rządów władyczych. Bo jeżeli zapytamy o materyalne korzyści cerkwi, to stwierdzić należy, że i w ciągu trwania tych procesów odpadały niektóre dobra od władyctwa, kapituły lub monasterów, widocznie na skutek dowodów, stawianych przez zaczepioną stronę. Gdy jednak tę i ową wioskę odebrał władyka z rąk iniquo iure posesorów, jak się wyrażał, to koszta długoletnich w rozlicznych sądach i instancyach toczonych procesów były tak wielkie, że nie odpowiadały materyalnemu zyskowi cerkwi, dla której dobra były podejmowane. Toż władyka cierpiał ustawicznie na brak gotówki, nie płacił długów, kładziono areszt na dobra jego, które obciążał długami. Środki, do jakich nieraz wśród procesów musiał się uciekać, nie mówiąc o ich etycznej stronie, były bardzo kosztowne, jak owe komisye, nie dziw przeto, że walczący z brakiem gotówki władyka musiał brnąć w długi i wchodzić w zawisłość od osób, nie sprzyjających idei, której był przedstawicielem i wodzem.

Utracając z pod obedyencyi swej szlachtę, tem bardziej dbał władyka o pozyskanie innych stanów, jak mieszczan i włościan. Stwierdziliśmy ten wniosek powyżej, przedstawiając zakładanie bractw, sprowadzanie rzemieślników i przemysłowców drobnych na przedmieścia Przemyśla. Dbał też o rozwój w tym kierunku i innych miast. O los chłopka, mimo, że tacy Wyszatyczanie zaorują mu grunta w Walawie, troskał się również, co widać z umiarkowanych zarządzeń jego w sprawie pańszczyzny w Hruszowicach 1638 r. poczynionych [1]). Co prawda, dzierżawca władyczy w Walawie, Eustachy Czerkawski, nakładał na włościan tak niesłychane robocizny i podatki, a gęste i częste z żalem przed władyką zanoszone skargi tak mało skutkowały, że chłopi w obronie swobód swoich wysyłają trzech z pośród siebie ze skargą do króla. Czerkawski z innymi sługami władyki napadają na wysłańców pod Przemyślem i w ten sposób ich traktują, że 2 z nich nie wiedzieć gdzie zapodzieli, trzeciego, na poły umarłego, na polu zostawiwszy [2]). Z drugiej strony wiemy, że władyka czyni swych poddanych włodarza-

[1]) C. Pr. 361 p. 104.
[2]) C. Pr. 344 p. 911.

mi majątków, którzy biją szlachtę[1]), pozwala też, jak n. p. Jackowi, synowi Jurka, przywłaszczyć sobie nazwisko Bereźnickich, szlachectwo i herb i ułatwia zakupno dóbr ziemskich[2]). Zraża tem sobie władyka i drobną szlachtę, o ile że Jacko podstępnie wszczyna zwady ze szlachtą, zarzuca już wspomnianemu Filonowi Czerkawskiemu, pełnomocnikowi władyczemu, nieszlachectwo i pozwala się kondemnować w zaoczności, oczywiście, aby później z aktów wydobyć kondemnatę na dowód swego szlachectwa. Mimo tak widoczne faworyzowanie, poddani z dóbr władyczych i monasterskich zbiegali całemi masami do Samborszczyzny i brali udział w demonstracyach i wykroczeniach przeciwko władyce wymierzonych. Podobnie jak protegowaniem przedmieszczan przeciwko patrycyatowi i mieszczanom zraził sobie miasta, taksamo zbytniem wynoszeniem chłopka nietylko że mało pozyskał chłopów dla sprawy unii, ale nadto odstręczył od niej drobną szlachtę w szczególności, a szlachtę w ogólności, która też na sejmikach nietylko że nie popierała władykę, ale już w interesie samego spokoju i bezpieczeństwa publicznego domagała się równych praw i wolności dla dyzunitów.

Otoczenie też władyki nie posiadało warunków skutecznego wspierania go w pracy. Składało się ono bowiem z ludzi bez wyższego wykształcenia, a skutkiem tego małego wpływu i znaczenia. Co do krewnych, ci wprost tamowali pracę władyki. W otoczeniu jego znajduje się brat Józef, który wstąpiwszy do monasteru Bazylianów, zostawszy przeorem monasteru Spaskiego, stał się później jakoby sekretarzem i rządcą dworu władyczego. Na tym urzędzie, wymagającym łagodności i ugrzecznienia względem licznych stron, zgłaszających się do wysokiego dostojnika, rozwinął tak bujny temperament, że gdy pewnego razu (w 1642 r.) woźny w dworze biskupim w Wilczu położył pozwy do zniesienia banicyi z mieszczan przemyskich, otrzymanej na skutek skargi władyki, Ojciec Józef przy pomocy innych urzędników i sług zbił obuszkiem i kijami urzędującego woźnego, a wetknąwszy mu w gębę mandat, rozkazał mu go zjeść. I drugi brat Jan odznaczał się gwałtownością charakte-

[1]) C. Pr. 333 p. 427.
[2]) C. Pr. 349 p. 1695.

ru [1]), bije świaszczenników, jak w Wołoszynowej Woli szlachetnego Jacka Wołoszynowskiego. Usunął też władyka brata z dworu, wypuszczając mu w dzierżawę Żurawin. Janusz bowiem występował z gwałtownością nieokiełznaną nawet przeciwko władyce i jego kapitule. I tak n. p. 1640 r. zajechał zbrojno dobra kapitulne Wielunice, zmusił kryłoszan do procesu kilkuletniego, a zasądzony na banicyę 1645 r. otrzymał glejt królewski dla oczyszczenia się z zarzutów, które nań ściągnęły srogi wyrok. W czasie trwania procesu Józef Krupecki, upiwszy się w towarzystwie sług władyki, wnocy napadł na dom Janusza na władyczem w Przemyślu[2]); zrabowano złote i srebrne rzeczy, tudzież szuby i kosztowności, wybiwszy drzwi i okna, za co wszystkich na wieżę zasądzono. Obu braci usuniętych do Żurawina, Janusza i Józefa, widzimy i po śmierci władyki w tym majątku. Objęli oni z dzierżawą i liczne procesa o ten majątek.

Także i stosunek władyki do biskupów i do kleru łacińskiego nie był tego rodzaju, żeby mu miał przysporzyć przyjaciół. Wspomnieliśmy już o odrzuceniu wyroku komisyi, w której prezydował biskup przemyski Sieciński, protektor Krupeckiego. Z Karmelitami bosymi, których uniccy władykowie używali do reformy zakonu Bazylianów, toczył spory, zajeżdżać kazał ich folwarki, jak n. p. w Przemyślu[3]). Także i łatwość udzielania rozwodów za prostem zeznaniem stron w urzędzie sądu ziemskiego o rozejściu się małżeństwa, za wypłaceniem pewnej sumy przez męża żonie, i pozwolenie władyki na zawarcie drugiego małżeństwa z osobą łacińskiego obrządku, musiały prawdopodobnie pociągnąć za sobą konflikt z duchowieństwem rzymskiem[4]), a w każdym razie nie zdołały mu pomnożyć skromnej liczby przyjaciół.

Charakter i usposobienie władyki trapionego troskami zawodu ciężkiego, nabierały goryczy; stawał się coraz bardziej zgryźliwym, niecierpliwym, a częstokroć nawet srogim i gwałtownym. Snać już i ze krwi rodzina ta była zapalczywą i do gwałtu skłonną. Wiadomą

[1]) C. Leop. 395 p. 325.
[2]) C. Pr. 371, 1080.
[3]) C. Pr. 374 p. 1798.
[4]) Ter. Prem. 99 p. 957.

było rzeczą, że sam nielitościwie smagał, bił i dręczył świaszczenników, a p. Dydyński z Opar w 1643 r. dowodami stwierdził[1]), że woźnego, który władyce w Straszewicach pozwy doręczył, w taki sposób zbić kazał, a nadto w srogiem więzieniu przez trzy tygodnie trzymać i codziennie plagami smagać, że gdy wreszcie go wywleczono, inny woźny, na żądanie Dydyńskiego sprowadzony, wizyą sprawdził, że zaledwie już mówiącego zastał swego kolegę. Gdy popi w Sanockiem wzbraniali się płacić kunicy, wprawdzie dawnymi przywilejami zastrzeżonego, lecz z biegiem czasu z używania już wyszłego władyczego podatku, postarał się władyka u sejmiku wiszeńskiego[2]) w styczniu 1636 r. o prośbę, zwróconą do szlachty powiatu tego, by nakazała popom oddawać tę powinność. Oczywiście część szlachty sprzyjającej unii spełniła prośbę, z małym dla władyki skutkiem. Odwołując się na konstytucye sejmowe, na mocy których władyctwo przemyskie wiecznymi czasy do unii przyłączono, tudzież na nakaz sejmiku wiszeńskiego, nakazuje władyka mandatem z 1 sierpnia 1642 r.[3]) popom sanockim stawić się na terminie w Sanoku, kunicę w ręce delegatów władyczych składać, co bardziej opornych grabić.

Środki, jakich używał władyka w drodze do celu, nie zawsze odpowiadały wysokiej godności władyczej, chociażby np. powoływanie się w procesach na widoczne falsyfikaty. Podskarbi Jan Mikołaj Daniłowicz skarżył się[4]), że władyka użył przy kreśleniu mapy granic dzielących dobra władycze od Samborszczyzny sprzyjającego sobie komornika Stefana Jamińskiego, który linię wytkniętą przy rektyfikacyi i wyznaczeniu granic umieścił wprawdzie na mapie, danej władyce, ale nie umieścił jej w egzemplarzu, danym podskarbiemu, jako niekorzystną dla sprawy władyki. Plenipotent jego fabrykuje jakieś fałszywe kontrakty w sprawie spornej z Ustrzyckimi o Żurawin[5]). Także i nakazy dawane ludowi w sprawach granicznych, jak to wytykali Drohojowscy, nie były zgodne z powagą biskupią.

[1]) C. San. 394 p. 1285 cf. 1287.
[2]) C. Pr. 357 p. 428.
[3]) C. San. 156 p. 1251.
[4]) C. Pr. 357 p. 617, rok 1636.
[5]) C. Pr. 371 p. 1147.

Z tem wszystkiem Krupecki był człowiekiem bogobojnym, bardzo ściśle spełniającym ciężkie praktyki religijne, zwłaszcza ciężące na władykach, nie używających pod owe czasy wcale mięsa, jak sam o sobie mówi: „bardzo skąpą strawą żyjący“, ale, surowy względem siebie, tę samą surowość zastosowywał w stosunkach do dyecezyan, do szlachty, do władz. Był chciwym władzy i najbardziej dużego jej rozszerzenia, ambitnym tak dalece, że tytułu biskupa Munkaczowskiego nie porzucał, mimo że w rzeczywistości nie posiadał tej dyecezyi, a drażnił nim dyzunitów, którzy nie uznawając jego rządów udawali się w swych sprawach o poradę lub pomoc duchowną do Munkaczowskich władyków dyzunitów, mnożąc tem i tak już potężny rozstrój w obszernej dyecezyi. Niecierpliwy, chciał energiczną władzą odrazu unię wskrzesić w dyecezyi, a nie ustępujący w niczem, nie był zdolnym do wytrwałej ustawicznej pracy, do ugody, którą to drogą można było pozyskać sobie społeczeństwo, wśród którego działał. Historyk unii cerkiewnej [1]) nazywa rządy czterdziestodwuletnie władyki nieustannem męczeństwem jego i jego stronników. Niezawodnie bardzo słusznie, jednakże należy zastrzec, że tej wysokiej zasłudze brakło miłości. Zamiast pozyskiwać miłość dyecezyan, swem postępowaniem zrażał ich sobie i idei, której służył. Nie znał rady św. Franciszka Ksawerego: przekonasz w czem chcesz, jeżeli ci, którzy słuchają, pokochają ciebie, i łatwo wielu pozyskasz dla Boga, jeśli nikogo nie zrazisz. Ludy nie nawracają się przez dekrety, trzeba czasu i cierpliwości; chcieć uczynić odrazu to, co wymaga lat wielu, byłoby narażeniem wszystkiego na niebezpieczeństwo. Jednem słowem Krupecki był dzielnym żołnierzem unii, ale nie jej wodzem, nie władyką, co się dowodnie okazało w stosunkach jego do innych władyków i ujemnie wpłynęło na jego działalność w sprawie unii.

[1]) Pelesch, Gesch. der Union der ruth. Kirche mit Rom II, 345.

Dr. Antoni Prochaska.

(C. d. n.)

Historyczna trylogia Reymonta.

Powieściopisarze nasi nie rzucają się wprawdzie na tak olbrzymie przedsięwzięcia jak francuscy w rodzaju Balzaków, (Comédie humaine), Zolów (les Rougon-Macquart), ale przyznać im trzeba także wielkie pomysły, jakie wykonują z nakładem wielkiego wysiłku i wielkiej pracowitości. Nie wystarczają im poszczególne powieści, tworzą całe cykle: Żeromski znowu niebezpieczną „Walką z szatanem", Sieroszewski „Beniowskim", Reymont swoim „Rokiem 1794" [1]).

Z wszystkich przedsięwzięć rzuca się w ostatnich latach najwięcej w oczy tematem szczęśliwie dobranym i ogromem potężnej chwili dziejowej właśnie ta trylogia Reymontowa.

Mamy już sporo powieści na tle XVIII w., zwłaszcza w dawniejszem piśmiennictwie, że wspomnimy tylko „Listopad" Rzewuskiego, specyalistę Kaczkowskiego, no i tytana naszej powieści Kraszewskiego, ale insurekcyi i bohaterskiej postaci Kościuszki nie tknęło dotąd jeszcze zdolniejszego powieściopisarza pióro.

Objawia się w tem odwaga Reymonta, że właśnie takie przełomowe chwile obrał za tło swej powieści, a nawet powiedziałbym pewna śmiałość, że odrazu zabrał się do powieści historycznej

---

[1]) „Ostatni sejm Rzeczypospolitej polskiej". Warszawa—Kraków, str. 468. „Nil desperandum". Warszawa 1916 r., str. 477. „Insurekcya". Warszawa 1918, str. 441.

o wielkim rozmachu. Swoich „Chłopów“ poprzedził szeregiem osobnych studyów z życia wiejskiego a osobliwie znakomitym, potężnym szkicem „Sprawiedliwie“ (1889), ale historycznych rzeczy znaczniejszych dotąd nam jeszcze nie dawał. Toć nawet Sienkiewicz, ten par excellence historyczny powieściopisarz, poprzedził swoją nieśmiertelną trylogię „Niewolą tatarską“, opowiadaniem historycznem. Tem samem nie czyni się autorowi nowej trylogii zarzutu, lecz zaznacza się tylko jego bujną śmiałość i z tem żywszem rozciekawieniem bierze się dzieło do ręki, pytając, izali autor sprostał ważkiemu zadaniu.

Jakoby pod sromotne jarzmo kandyńskie, wstępujemy w nieszczęsny rok straszliwych klęsk i nieszczęść do tego miasta, gdzie zbrodnicza ręka pisała na chwiejącej się ścianie ongiś świetnej Rzeczypospolitej tajemne M a n e T e k e l F a r e s. Lecz nie zważa na te znaki rozbawiona socyeta polska: tłumnie dąży na bale, wyprawiane ku czci Sieversa, gnie karki przed obcemi potencyami, a częściowo podli się zdradą i sprzedajnością. O jak boleśnie drga to bujne i barwne życie zapustne tuż przed wielkim postem naszym narodowym na kartach zdolnego pisarza, jak smutnie wygląda obok bogatych balów i biesiad upokarzające ubóstwo ostatniego monarchy polskiego! Tak wśród nocnych ansemblów i szalonych lusztyków zbiera się ostatni sejm Rzeczypospolitej i potwierdza pod grozą obcych grenadyerów drugie rozdarcie Ojczyzny. To też nie dziw, że od czasu do czasu wśród tej ogólnej maskarady bucha krzyk wściekłości i przeciwu, że zelanci-patryoci gotują insurekcyę.

Do nich to należy bohater powieści Sewer Zaręba, ognisty junak, dzielący aktualnie miłość swą między Ojczyznę a piękną Izę Rudską, żonę starego, schorzałgo szambelana. Żarliwy oficer, zabiegający około tworzenia oddziałów żołnierskich, znajduje jeszcze czas na rozmaite ansamble, a nawet na amory z tą, którą już jako pannę kochał, ż spiesząc na umówioną schdzkę natyka się na scenę straszną: kochankę znajduje w objęciach moskala Zubowa. Tem żarliwiej rzuca się więc w wir zabiegów spiskowych, słuchając ze zgrozą słów O. Serafina: „Polska nierządem stoi, Pol-

ska ginie, Polskę krucy rozdrapują! Jakaż ma być, kiedy chłop w niewoli, szlachcic głupi, wielmoża nikczemny".

Co sądzić o tym pierwszym tomie? Jest przejaskrawiony, gdy chodzi o strony ujemne; jest to zbyt czarny, zbyt ponury obraz owego społeczeństwa nieszczęsnego.

Już o dawniejszych powieściach autora powiedzieć można, że zbyt obficie szafują czarnemi barwami. Gdzież w „Chłopach" znaleźć między osobami, co się wysuwają na plan pierwszy, typ doskonalszy? Co dobre, to stare, jak Agata, albo głupie, jak Kuba, albo też stoi poza rojem chłopstwa żyjącego instynktem, jak Rocho. Chyba Hanka jeszcze jako tako dźwiga się swoją miłością do Antka. Pewnie, że dzieło tłumaczone na obce języki narodowi, mającemu rzekomo tak nieokrzesany lud, nie przynosi chwały!

Mimo woli nasuwa się porównanie między naturalizmem „Chłopów", a naturalizmm Zoli w „La Terre". Janina Mańkowska[1]) w osobnem studyum usiłuje dowieść, że „Chłopi" o całe niebo idealizmem swym wyżej stoją od powieścidła Zoli. Ale kto wie, czy Reymont od tego ojca naturalizmu nie przejął coś na swą paletę? Uwierzyć nie możemy, żeby w całej rojnej wsi polskiej nie miało się znaleść więcej dodatnich typów, jakich n. p. nie brak choćby w „Gromadzie" Weyssenhofa.

Podobnie jak w „Chłopach", więcej jeszcze w tej pierwszej części historycznej trylogii bije w oczy ta w niebo o pomstę wołająca znikczemniałość socyety. Weźmy pod uwagę choćby kobiety, oto jak je trafnie charakteryzuje Antoni Mazanowski: „Ohydny światek kobiecy: wyzywająco bezwstydne, bez śladu wyższych uczuć, bez cienia obywatelskiej myśli, tylko nasyceniu instynktu oddane, tylko wystawę ciał czyniące — są stadem bydląt"[2]).

Czyż nie było w Polsce wówczas matron zacnych i dostojnych? A gdzież matki owych żołnierzy Kościuszkowskich, owych odważnych legionistów Dąbrowskiego? Wiemy, że były w Polsce kobiety wówczas zepsute, ale wiemy, że nie brak było i dzielnych,

[1]) Pamiętnik literacki, Lwów 1917, zesz. III i IV. str. 226.
[2]) Przegląd powszechny 1917 czerwiec, str. 715.

Toć najwyraźniej piszą Pamiętniki Zaręby, wydane przez Helenijusza o paniach warszawskich: „Damy polskie, którym pochlebiali Rosyanie zachwycając się ich pięknością i wdziękiem nieznanym w ich kraju, nie zważając na Rosyan publicznie w ich obecności wynurzały swe uczucia, utrzymując i powiększając w młodzieży zapał patryotyczny“[1]).

Toteż odruchowo spodziewamy się zapoznać z temi cnotliwemi a patryotycznemi damami, przynajmniej w przyszłych tomach. I rzeczywiście w drugim odrazu wprowadza nas autor w ciekawy świat zacisznej wsi polskiej, gdzie, rozumie się, kobieta wybitne zajmuje stanowisko. Jesteśmy w Grabowie, ojcowej wsi Zaręby. Przyleciał dotąd Sewer, który jako słońce wiosenne porywa wszystkich oczy i serca swą młodością, urodą i rycerskością, by się pożegnać z rodzicami i wyruszyć na twardą, krwawą służbę dla Ojczyzny. Odwiedziwszy w sąsiedztwie starca-oryginała, swojego stryja, nie pożegnawszy się nawet z ojcem, jako że ten kazał mu obić chorego, rannego giermka Kacpra za jakoweś amory, rusza nagle do Warszawy, a uwozi z sobą w duszy miły mu i drogi obraz Ceśki Kobierzyckiej, na żonę mu przeznaczonej. Z Warszawy, gdzie krząta się jako ukropie po zebraniach i politycznych także masońskich schadzkach, jedzie do Paryża, by się tutaj oglądać za pomocą dla Polski. Natyka się właśnie na szaleńcze rządy teroru, na krwi niewinnej rozlew i zgiełkliwy rozgardyasz radzących i wyrokujących Jakobinów, zapoznaje się z głowaczami rewolucyi, lecz nic nie wskórawszy, wraca do stolicy nadwiślańskiej. Tütaj bierze znowu udział w pracach spiskowych, zawierając znajomość z majstrem Kilińskim, ale wpada też w wabne sidła uroczej Izy. Nagle odwołany do domu, zjeżdża na kulig, śmierć ojca i zaręczyny własne z Ceśką. Tymczasem w Warszawie spisek odkryto, wywozi się obwinionych, gorączkowa wre praca w lożach klubów i między wojskiem, wszystko pcha do insurekcyi.

„Nil desperandum“ oto bardzo trafne nazwanie tej części, oto wielkie hasło nadziejne, unoszące się nad tem różnorodnem ży-

[1]) E. Helenijusz, Wspomnienia lat minionych, Kraków 1876.

ciem odradzającego się społeczeństwa. Napis ten piękny sam się dopraszał o zastosowanie go, a nietrudno było go znaleźć, boć „Nil desperandum“ to nazwa znanej broszury Kołłątajowej. W owym czasie krążyła po Warszawie broszura, wydana we Francyi pod takim niemal napisem „Nihil desperandum“, ale ścigana przez Moskali nie dochowała się do naszych czasów, jak pisze Hellenijusz czyli Iwanowski.

Druga ta część, pewnie najlepsza ze wszystkich, ogromnie rozszerza widnokrąg powieści. Nie zamyka się już w ciasnych i cuchnących murach Grodna i jego okolicy, ale wiedzie nas w świat szeroki nawet do Paryża, a co dla nas milsze, dla autora zaszczytniejsze—na wieś polską. Otóż tu odzyskuje autor całą pewność siebie, nabiera w płuca rzeźwiącego powietrza i z młodzieńczym rozmachem, z epicką swobodą maluje nam urocze ranki, ciche południa i hałaśliwe wieczory w dworku polskim. Od razu czuje się, że tu właśnie autor w swoim żywiole, poznaje się w całej pełni twórcę „Chłopów“ i chłonie się z najgłębszą przyjemnością soczyste barwy i wonne widoki wiejskie. Rozumie się nie brak i tu plam ponurych, bo tych dużo przecież było w życiu szlachty wiejskiej, a zresztą paleta Reymonta lubuje się w nich.

Wielce krzepiącym objawem w tem życiu wiejskiem to żywy patryotyzm stryja, który zebrał całe zapasy broni i amunicyi dla tworzącego się wojska insurekcyjnego i też rzeczywiście do Warszawy cały oddział przesyła.

Bo już też jak rzeki i strumienie zewsząd płyną do szerokiego morza, tak z całego kraju, zewsząd nadciągają oddziały i oddziałki do obozu Kościuszki w Krakowskiem, obozu, jaki umiejętna ręka malarza powieściowego kreśli wspaniałymi rysy i kontury w trzecim tomie. A od chwili jak się to wojsko przenosi do Krakowa, wyłaniają się ku nam przeważnie owe znane, wypadkami wielkiemi brzemienne, chwile dziejowe, olśnione aureolą ogromnej chwały, ubrane w majestat bohaterstwa po wszystkie czasy i dla wszystkich pokoleń: przysięga na rynku krakowskim, wiosennie jasny dzień Racławickiej wiktoryi i kwietniowe walki w Warszawie, uwieńczone wypędzeniem Moskali. Wśród tych niezapomnianych bo ogromnych ewentów wiją się to jasną to znów ponurą wstęgą

partykularne zabawy i przejścia Zaręby i jego przyjaciół, aż ginie wieść o nich zupełnie w rozgwarze tłumów zwycięstwem rozradowanych i chyba domyślać się tylko można rozwiązania ich ostatecznego.

Oto ogromne dzieło Reymontowe, poświęcone wielkim czasom i wypadkom, określone głównemi zarysy.

Jak w „Chłopach" zaraz na pierwszej stronicy uderzała oryginalnością swoją forma zabarwiona ludowymi pierwiastkami, tak i tu zaraz w początku zajmuje każdego język. Autor, chcąc przedstwić epokę ówczesną wiernie, musiał wprost językiem ówczesnym do nas przemawiać tem więcej, że od dzisiejszego artysty-powieściopisarza wymaga się niemal wczucia się w język epoki, jaką przedstawia i o ile to możliwe wiernego odtworzenia mowy ówczesnej.

Już Sienkiewicz w „Trylogii", „Krzyżakach" i innych swych dziełach archaizował język, ale nowsi pisarze w tym względzie poszli o wiele dalej. Nieraz nie mając wprost materyału językowego z okresu jaki chcieli opracować, opierając się na języku staropolskim, wytwarzają sami archaiczny język. Podziwienia godnymi mistrzami okazują się Żeromski w swym „Walgierzu Udałym" [1]) i Berent w swej „Opowieści Rybałta" [2]).

Łatwiej już było Reymontowi odtworzyć język niedawno ubiegłych czasów, po któych ostały się nam nietylko poezye i powieści, ale pamiętniki, odezwy, przebogate „silvae rerum" i najrozmaitsze kazania i zapiski. Trzeba przyznać, że autor szeroko rozwartą dłonią czerpał z językowego bogactwa 18. wieku, a najwyraziściej się to okaże choćby w kilku wyjątkach znakomicie charakteryzujących styl autora, a zarazem także społeczeństwa i jednostki. Oto jak nam opisuje Kościuszkę:

„W obejściu dworny i prosty, zarazem foremnej postaci z włosem nieco zwichrzonym, z czołem jasnem i otwartem, piękny wyrazem dobroci, o spojrzeniu wyniosłem i jakby zadumiałem, ujmujący słodyczą, uśmiechem i szlachetnością, dawał z siebie obraz człowieka, w którym nie mogła powstać nikczemność, fałsz ni

[1]) Chimera 1905.

[2]) Zdrój, 1917 i 18, ocena pisma w Przegl. Powsz z. 5—6, str. 343.

egoizm. Promieniował niby słońce — ogrzewał i rozjaśniał. Może byli w narodzie więksi od niego wodzowie i statyści, ale nie było większego serca, większego umiłowania ojczyzny i większej cnoty poświęceń. Przeto górował jako orzeł w locie podniebnym nieprześcigły" (III, 51).

A znowuż przeciwstawmy mu króla nieszczęsnego i nieszczęśliwego w chwili największego wstrząśnienia, kiedy lęka się w czasie walk ulicznych o życie własne i szarpie zgryzotami i niepokojem.

„Musiał strasznie cierpieć, bo wyglądał jak zdjęty z krzyża, niekiedy ocierał łzy, łamał ręce i ciężko, żałośnie wzdychał... Blady, tragicznie zasępiony, samotny i opuszczony, dygocący za każdym głośniejszym wybuchem strzałów, dawał obraz człowieka gonionego przez furye (III, 404 i 405).

Świetnie udały się autorowi opisy tłumów ulicznych, pospólstwa wzburzonego np. na panów.

„Wzgarda i nienawiść rozpierała serca, nie było już miejsca na litość. Pobłażliwość przybierała pozór nikczemnej zbrodni. Ale w głębiach na spodzie pod wzburzonemi czuciami urastała dzika żądza wolności. I srogi gniew na nieprzyjacioły ojczyzny ustawał. I jakieś jeszcze lękliwe marzenia o powszechnej szczęśliwości rozkwitały. I niewytłómaczona radość brała na tęczowe skrzydła i pod nieba ponosiła. I pragnienie czynów wielkich i ofiarnych, pragnienie jakiegoś dobra i wszystkie wzniosłe czucia jęły targać szarem, wynędzniałem pospólstwem. Prostowały się nagle karki jarzmem niewoli przygięte do ziemi. W przebudzonych duszach roiły się niepojęte, zuchwałe myśli o prawach, o Rzeczypospolitej, matce dla wszystkich, o braterstwie i powszechnej równości. I coraz żywsza troska wyzierała z rozognionych oczów i twarzy, poradlonych ciężkimi ewentami życia" (III, 242 i 243).

Świetnie niekiedy, z odcieniem humoru i ironii umie odmalować jakąś oryginalną postać albo charakterystyczną czynność. Oto karykatura O. Hyacinta reformata, rezydenta Zarębów.

„He, ha", śmiał się, aż trzęsła mu się ogromna blada twarz wsparta na trzech kondygnacyach. Brwi miał niby krzaki ośnieżone, nochal na podobieństwo trąby, wargi zaciśnięte, wyłupiaste, niebieskie oczy i łysą głowę, zwieńczoną tonsurą zaledwie dojrzaną nad karkiem sfałdowanem w grube kiełbasy. Mówił reformackim obyczajem przez nos, niemiłosiernie szpikując łaciną. Znał się arte na winach i miody sycił — jak nikt drugi. Niemałej też zażywał powagi i jako mówca i człowiek oświecony".

A indziej czyta się o żołnierskiej mszy O. Serafina.

„Ksiądz spieszył z nabożeństwem, niby przed bitwą i słowa jego modlitw padały twardym głosem komendy, a czynił znak krzyża jakby rąbał szablą lub sięgał po krucicę, lecz biło mu przytem z twarzy takie żarliwe uniesienie, że kiedy się odwracał, rozkładając ramiona, to zdał się tym ruchem przygarniać do serca te wszystkie pochylone głowy i błogosławić im".

Widoczne z tych ustępów, że autor umiał wniknąć w ducha ówczesnego języka i starał się go odtworzyć. Mazanowski naigrawa się z tego języka pisząc, że to „brzydki volapük podobny w smaku do paprykowanej na żółto mieszaniny węgierskiego gulaszu", — zdaniem naszem niesłusznie. Pewnie, że nie jest to styl Krasickiego, ani Naruszewicza, ani Trembeckiego, dodajmy ani Kitowicza ani Karpowicza, pewnie że autor nie naśladował Rzewuskiego lub Kaczkowskiego, ale trzeba pamiętać, że nowoczesny autor nietylko odtwarza, ale i tworzy, że taki mistrz i wirtuoz słowa, jak Reymont, nie będzie się wzorował na starych narratorach dziś właśnie, kiedy nasz język tak monarszym majestatem bogaty, ani pewnie nie naśladował Nowaczyńskiego, o co go profesor pomawia. Chłonąc jednak ten język wrażliwością duszy młodej artystycznej powiedzieć trzeba, że jest piękny, miejscami wprost niedościgniony.

Ale nasuwają się jednak pewne wątpliwości. Autor skłonny do przejaskrawiania zjawisk i tu nie ustrzegł się pewnych jaskrawości. Otóż ma się wrażenie, że autor zbyt wielu używa wyrazów obcych. Na początku 18 w. język był wprost zaśmiecony obcymi wyrazami, jak dowodzą tego choćby kazania Kierśnickiego, Rozmarynowskiego, Dziewulskiego, ale w końcu tegoż stulecia język odmładzający się, jakoby feniks, wykwita z pod popiołów obcych naleciałości. Jest w nim jeszcze moc obcych wyrazów, ale czytajmy Pamiętniki Kitowicza, mowy Karpowicza, a przekonamy się, że już są dość rzadkie. Za to mógł był autor więcej jeszcze się posługiwać onymi oryginalnymi wyrazami polskimi, owemu wiekowi właściwymi, w rodzaju „zdrowiów", „uczuciów", „słowa przyzwoite" (stosowne), „czasiech", „spokojność", „zadumiony", „kuczki", a na tem język zyskałby jeszcze. Niektórych współczesnych używa autor, ale razi, że niekiedy za często, jako owego „dawać obraz", „dawać postać", zna-

chodzimy ów zwrot „dawać obraz“ n. p. u Karpowicza [1]), ale są też i inne n. p. u Kitowicza „czynić widok“, lub „wyrażał gwiazdę“ [2]). Podobnie i owe pewnie współcześnie mniej używane „dygotanie“ powtarza się za często wcale niehomerycznym sposobem. Taksamo porównania nie zawsze silne, a zazwyczaj za krótkie niekiedy wprost kuleją, jak żołnierze walczyli „szaleństwem archaniołów, zwalczających szatana“ (III, 370), trudno sobie wyobrazić archaniołów szalejących; albo „arsenał bronił się niby lew osaczony“ (III, 381).

Nie tylko tajniki językowe zgłębiał autor, ale starał się wniknąć w całe życie ówczesne, odtworzyć wiernie mianowicie historyę. Więc przewija się przez karty trzytomowej trylogii rojny tłum postaci historycznych, począwszy od słabego króla i dzielnego Naczelnika, od generałów i biskupów i statystów aż do rzemieślników, jak Kiliński i Sierakowski i chłopów, jak Bartos Głowacki. Sam bohater Zaręba zda się być historyczną postacią, choć w większej części jest tworem autora. Jeden przedstawiciel sławnego narodu, który już w XII w., jest znany w Polsce, był rzeczywiście oficerem w wojsku Kościuszki i brał udział w onym sejmie grodzieńskim, o czem też zostawił „Pamiętniki“, ale ten pochodził z Morozówki, a nasz bohater jest z Grabowa. Zresztą z tych „Pamiętników“ Reymont nie wiele czerpał.

Najmniej ścisłej historyi znachodzimy w tomie drugim, ale za to w trzecim, omawiającym i insurekcyę w Krakowskiem i w Warszawie, lwia część to powieściowa parafraza historyi. Widać, że opiera się autor nietylko na pamiętnikach, ale wprost na samych opracowaniach historycznych i wojskowych, taka tam dokładność w opisie walk ulicznych i bitwy Racławickiej. Szkoda więc, że autor owych sławnych słów Kościuszkowskich, skierowanych do chłopstwa: „Zabrać mi chłopcy te armaty! Bóg i ojczyzna, naprzód wiara!“ nie cytował ściśle za najlepszym biografem Kościuszki, Tadeuszem Korzonem.

Lecz właśnie ta, że się tak wyrazimy historyczność, ten wiel-

[1]) Kazanie... na rozpoczęcie pierwszych Seymików w kościele parafialnym Preńskim 1792 Wilno str. 33.

[2]) Kitowicz, Pamiętniki str. 169 i 269. Poznań 1885.

ki tłum postaci najróżnorodniejszych obniża artystyczną wartość powieści. Do świetnego przedstawienia historycznych postaci i wypadków nie wystarcza zdolność malarsko-opisowa, jaką w wysokim stopniu według Matuszewskiego [1]) odznacza się Reymont. Ale właśnie daje się tu odczuwać brak zdolności analitycznej, jaki Reymontowi wytyka już Matuszewski. Brak zdolności przedstawiania przedmiotu plastycznie i z większem napięciem dramatycznem sprawia, że powieść w końcu staje się wprost nużącą. Objawia się przytem, że autor jest więcej poetą nastrojowcem, niż narratorem historycznym, ogarniającym jednolitość akcyi i harmonijny stosunek do tła i drugorzędnych wypadków. Prześliczne są poszczególne sceny, opisujące sielanki, ansemble w Grodnie, albo życie w Grabowie, albo rozwichrzone tłumy na ulicach Warszawy, ale brak właśnie między temi scenami silniejszych połączeń i węzłów, szczególnie w ostatnim tomie, najsłabszym z wszystkich. Wogóle czuć jakoby wysiłek ze strony autora; nie płynie tok już tak potoczyście i naturalnie, tak iż przypominają się słowa niemieckiego poety: „Man merkt die Absicht und man wird verstimmt".

Ponieważ główna siła autora to malarski opis, postaci jego wypadają blado, brak im tego uroku typowych i żywych postaci powieściowych, które zrastają się ze sercem i nawet potocznem życiem czytelników. Sam bohater ma miejscami ogromnie dużo namiętności i siły, ale na ogół za mało wyraziście rysuje się przed duszą czytelnika, wypadki jego życia chociaż bardzo różnorodne za mało budzą zajęcia i przykuwają uwagę. Podobnie nie przemawiają do nas i postaci ściśle historyczne. Szczególnie rozczarowanie sprawia Kościuszko, tak mało w nim realizmu i onej uroczej potęgi podbijającej serca. Ma autor jednak i szczęśliwsze chwile, mianowicie w pierwszych częściach kiedy jaskrawemi barwami maluje nam wstrętne postaci zdrajców i jurgeltników. A najlepiej udał się autorowi ów król z niewieścią duszą, w niewieście spowity koronki. Jest tam nawet pewien bolesny tragizm w tej postaci; współczucie, jakie ma autor, udziela się i czytelnikowi.

[1]) Twórczość i twórcy. Warszawa 1904.

z prawdziwym realizmem życiowym jawi się przed oczyma naszemi zgrzybiały i złamany a lalkowaty król.

Za to w rozmaitych scenach zbiorowych zaznacza Reymont dawniejszy swój i znany już lwi pazur, jednakże więcej w obrazach raczej pokojowych niż w onych krwawych, bitewnych zmaganiach. W takie sceny umie on wlać tyle swoistego czaru i uroku, że i w tej powieści pozostaje pierwszorzędnym artystą. Albowiem zazwyczaj przdstawia on nam nie tylko trafnie, umiejętnie i wiernie jakiś obraz zabawy u Sieversa lub jego popleczników, jakieś zebranie w klubie politycznym czy w loży masońskiej, zabawę tłumów ulicznych pod przewodnictwem tajnego Baraniego Kożuszka, ale przy tem jeszcze on właściwy nastrój, ożywiający smutkiem czy weselem, powagą czy grozą, on nastrój zbliżający nam obrazy.

Ten nastrój stać się może dla czytelnika niebezpiecznym, gdy chodzi o moralną stronę powieści. Pomijamy już najróżniejsze, nieprzyzwoite żarty i arcyrubaszne przysłowia, ale zauważyć musimy, że nie brak w powieści scen zmysłowych, buchających warem krwi i rozedrganych grzeszną namiętnością; mianowicie stosunek Zaręby do zamężnej Izy, opisany miejscami dość realistycznie, a ciągnący się przez całą trylogię, może budzić poważne wątpliwości. Nie twierdzimy tem samem, że erotyczny realizm Reymonta należy do najniebezpieczniejszych w naszem piśmiennictwie, przeciwnie nie posuwa on się tak daleko, jak u Przybyszewskiego, Żeromskiego i innych, a owiany wielką poezyą, gdy chodzi o przedstawienie namiętności, dużo zawiera w sobie zwodniczego uroku i, niestety, znowu właśnie kobieta polska cierpi pod pręgierzem tego realizmu. Pod względem erotycznym Iza mogłaby być prababką Jagusi. I jej nie wystarcza miłość starego męża a nawet młodego Zaręby. Rzuca się przecież jeszcze w objęcia Cycyanowa, a później Zubowa, niebezpiecznych wrogów kraju. Mimo chwilowej wzgardy dzielny skądinąd oficer polski trwa przy niej a nawet wśród zawziętej walki na ulicach Warszawy — dziwna to sprzeczność w charakterze Zaręby — szuka jej z narażeniem życia, choć to życie tak niezwyczajnie potrzebne ojczyźnie. Ale przyznać trzeba, że jak w „Chłopach", tak i w tej trylogii

idea dobra zwycięża, a nawet występek ściąga na siebie karę. Tam Antek wraca sercem do Hanki, a Jagnę wyświecają ze wsi, tutaj Iza wzgardzona i wleczona do więzienia, a Zaręba oddaje serce dzielnej, fizycznie bujnej, duchowo oryginalnej wiejskiej pannie Cześce Kobierzyckiej.

Wogóle czuje się, że autor przez te bagniska rozpasania zmysłowego, przez te labirynty upodlenia i knowań zdradzieckich, od ogólnego upadku wiedzie tok swego opowiadania ku ogólnemu odrodzeniu. Kiedy w początkach rej wodzą w Grodnie utracyusze jurgieltnicy, a zelanci kryć się muszą z szlachetnymi zamiarami, to wkońcu staje przed narodem w jasnej aureoli bohatera Naczelnik w krakowskiej sukmanie, to w Warszawie obok patryotycznych generałów i oficerów szewc Kiliński, zwalczając czerwony jakobinizm, jako że według niego „dzisiaj król pod topór, jutro konie do kościołów, a pojutrze *Andzia* na ołtarzu fary“ (słowa Kilińskiego) oddaje się ciałem i duszą wielkiemu dziełu wypędzenia wroga ze stolicy, to zwycięstwo wielkiej idei miłości ojczyzny króluje nad całą powieścią, dając głośne i wymowne świadectwo o istnieniu potężnej siły w narodzie, a osobliwie w ludzie.

Czytając trylogię Reymonta, mimowoli porównywa się ją z nieśmiertelną trylogią największego mistrza naszej powieści historycznej. Jak z jednej strony dzieło Reymonta na tem porównaniu traci, jako że brak mu tej wspaniałej plastyki, tej wstrząsającej dramatyczności, tego mistrzowskiego narratorstwa, tej szerokiej objektywności, tak arcydzieło Sienkiewicza właśnie dzięki tym zaletom w tem pełniejszem przedstawia się oświetleniu. Postawić opis bitwy Racławickiej obok opisów walk pod Machnówką w „Ogniem i mieczem“ albo na pograniczu Prus książęcych w „Potopie“, postawić Jaremę obok Kościuszki, Kmicica obok Zaręby, Baśkę obok Cześki, a zauważy się bijące w oczy jaskrawe różnice.

Tarnowski, pisząc kiedyś o trylogii Sienkiewicza, powiedział, że matki mogą ją spokojnie dać do ręki panienkom; o trylogii Reymonta tego powiedzieć nie można. A przecież mimo przejaskra-

wionych zmysłowych scen, mogących budzić zaciekawienie, jest ona arcynudną w porównaniu do powieści Sienkiewicza. Za to obu autorom, chociaż nie w równej mierze jest wspólne, że pisali ku skrzepieniu serc polskich.

Ks. N. Cieszyński.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

O. Morin, Benedyktyn: **Idea zakonna,** opracował O. Aleksander, Paulin z Jasnej Góry, str. 186 in 16°, Jasna Góra r. 1917.

Dziełko powyższe jest opracowaniem książki znanego w świecie naukowym O. Morina O. S. B. W 12-tu konferencyach, wypowiedzianych w czasie rekolekcyi, starał się autor wykazać, że wielka i doniosła idea zakonna pierwotnego Kościoła jest dziś jeszcze przez wielu źle zrozumianą, a przynajmniej niedocenianą. Autor miał przedewszystkiem na oku regułę św. Benedykta, do której członków przemawiał, tłumaczowi zaś bardziej chodziło o życie zakonne wogóle, z którego ideą chciał szersze warstwy inteligencyi polskiej zapoznać, to też odpowiednio do swego celu więcej podkreślał te cechy życia zakonnego, które są różnym zakonom wspólne. Rzecz wypadła z miłą lekkością w ujęciu rzeczy, nie mniej jak z gruntowną znajomością przedmiotu.

Książka powyższa jest bardzo na czasie, tak z powodu dość powszechnej u nas, w pewnych sferach, nieznajomości zadania zakonów, a stąd częstego uprzedzenia przeciw nim, jak z powodu, że obecne warunki przełomowe wymagają coraz to większego zasobu pracowników na niwie zakonnej. Życzyćby więc sobie należało, aby książka omawiana przez nas, jak najprędzej znalazła się w ręku inteligentnej mło-

dzieży i rozbudziła w niej zapał do poświęcenia się temu życiu, którego zadaniem jest miłość Bożą pogłębić najpierw u siebie, aby potem z tem większą gorliwością zapalać nią serca bliźnich.

Ks. B. T. J.

Zabytki przedhistoryczne Galicyi wschodniej napisał Bohdan Janusz. (Prace naukowe. Dział 1. Tom V.) Lwów 1918. Nakładem Towarzystwa popierania nauki polskiej. Z funduszu Bolesława Orzechowicza. 8-ka str. VI. i 310.) Cena koron 12.

Każdy, kto oddawał się poważnie badaniom przedhistorycznym u nas, wie o tem dobrze, jak niełatwą jest kontrola nad zgromadzonym do jakiejkolwiek kwestyi materyałem, zbytnio rozsypanym po wydawnictwach rozmaitych, by ogarnąć się dał bez żmudnych poszukiwań, całe lata nawet trwających. W dzisiejszym zaś stanie nauki każda praca, stawiająca sobie za zadanie stworzenie czegoś nowego, opierać się musi bezwarunkowo na całokształcie dokonanych dotychczas badań, wprowadzać ład w chaos bezkrytyczny, ogarniając najdalej sięgające horyzonty, zdawać sobie sprawę z tego, co nowego przynosi, a co przed nią już było wiadome.

Temu celowi musi się poświęcać mnóstwo czasu i pracy, które właściwie praktyczniej wyzyskaćby można, gdyby istniał podręcznik, uprzystępniający każdemu wyniki przez naukę już uzyskane, które ostatecznie każdemu stają otworem, wymagając tylko z osobna nieekonomicznego tracenia czasu. Faktem jest, iż wszyscy pracujący dziś naukowo w prehistoryi naszej, każdy trudem własnym długoletnim, opracować musieli dla użytku swego zestawienia materyału już zdobytego, a podobnie postąpić sobie będą musieli wszyscy, którzy z kolei oddać się zechcą studyom przedhistorycznym, o ile nie ukaże się wydawnictwo, co dokona tego dla jasno pojętych celów naukowych ogółu. Za potrzebą tego przemawia choćby sam wzgląd na ekonomię czasu i potrzeba oszczędzania wysiłków zbędnych, bo łatwo dających się zastąpić trudem raz dokonanym. Rzecz podobna, przeznaczona dla ogółu, tę jeszcze wartość może przedstawiać, iż stanowiąc dokładną inwentaryzacyę materyału zebranego i zabytków poznanych, odda usługi praktycznym celom konserwatorskim, czy innym tego rodzaju.

Względy powyższe skłoniły autora do stworzenia pracy omawianej. Pracę tę zacieśnił autor wyłącznie do terytoryum Galicyi wschodniej z dwu względów: Galicya wschodnia, w rozumieniu części kraju po pra-

wym brzegu Sanu, odrębny posiadała w czasach przedhistorycznych charakter od obszaru nadwiślańskiego i nie byłoby racyi z nim jej łączyć, ograniczenie się zaś w ścisłych granicach niezbyt wielkiego terytoryum większą daje rękojmię wyczerpującego opanowania i opracowania materyału, pozwalając też na ściślejszą analizę i krytykę.

Dla celów informacyjnych poprzedził autor rzecz właściwą rozdziałem, zaznamiającym z dotychczasowymi wynikami badań naukowych nad prehistoryą Galicyi wschodniej, a dla umożliwienia szybkiego oryentowania się w całej pracy zamknął ją przeglądem analitycznym, tudzież rejestrem miejscowości. W zestawieniu poszczególnych powiatów kraju wybrał autor system alfabetyczny, wychodząc z tego założenia, że układ według dorzeczy utrudniałby korzystanie z książki, podczas gdy układ alfabetyczny pozwala na dowolne zestawianie materyału w niej zawartego, czemu jeszcze sprzyjają załączone indeksy.

Ogółem zestawienie p. Janusza obejmuje 739 numerów, z których każdy został pokrótce opisany i zaopatrzony w wykaz literatury przedmiotu. Rzecz cała napisana nader sumiennie i zwięźle, jak na podręczną książkę, odda niewątpliwie usługi nieocenione przyszłym badaczom na polu przedhistorycznem, zyskującem u nas coraz to więcej wytrwałych współpracowników.

Dr. St. Zdziarski.

Kaźmierz Bartoszewicz: **Dzieje Galicyi.** Jej stan przed wojną i wyodrębnienie. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Warszawa Str. III. + 215.

— **Utworzenie Królestwa Kongresowego.** Kraków. Nakł. Centr. Biura wydawnictw N. K. N. Str. XI + 302.

Edmund Jezierski. **Tadeusz Kościuszko.** Warszawa, 1918. Nakł. Kasy przez. i pom. warszaw. pomocników księgarskich. Str. 309, illustracye.

1. W przedmowie do „Dziejów Galicyi“ wyjaśnia autor genezę ich powstania, przyczem dowiadujemy się, że był zmuszony, skutkiem zbiegu rozmaitych okoliczności, „dać w nich szkic a nie obraz podkończony“. Przyznać jednak trzeba, że to, co zamierzył, wykonał dobrze i z temperamentem, cechującym zawsze jego pióro publicystyczne.

Ścieśniony bardzo całokształt dziejów zaboru austryackiego znajdujemy w jego książce, a raczej obszernej broszurze, lecz wcale nie pobieżny. Skutkiem tego „Dzieje Galicyi“ — choć przeznaczone głównie

dla czytelników z Kongresówki — z pożytkiem czytane być mogą i w Galicyi, gdzie młodzież po ukończeniu szkoły średniej ma bardzo niejasne wyobrażenie, lub też nie ma go wcale, o kolejach, jakie przechodziła ta część Polski, począwszy od r. 1772 aż do naszych czasów.

„Dzieje Galicyi“ owiane są duchem czystego, bezpartyjnego patryotyzmu, przejawiającego się w tem, że Bartoszewicz ocenia ludzi i wypadki bezstronnie, niekiedy może nawet wbrew swoim osobistym inklinacyom. Między innymi wyszedł np. Agenor Gołuchowski tak jasno w jego przedstawieniu, jak tego trudno było spodziewać się po autorze, który, wnioskując z jego dawniejszych prac publicystycznych, innej jest „oryentacyi“ niż ta, jakiej się trzymał ów mąż stanu. Dziwić się zresztą nie należy, iż Bartoszewicz trochę może zawiele świateł a zamało cieni dał w swoim obrazie, chciał bowiem przeciwstawić niepomiernemu nieraz krytykowaniu Galicyi przez Królewiaków faktyczny stan rzeczy, daleki od ich uprzedzeń.

W omawianej pracy na szczególną uwagę zasługuje dokładne przedstawienie narodzin kwestyi ruskiej w Galicyi oraz tejże kwestyi rozwoju w ciągu ubiegłego stulecia.

Wyborna polszczyzna oraz zajmujący sposób opowiadania sprawiają, że czyta się „Dzieje Galicyi“ z dużem zajęciem bez względu na treść dość suchą, choć tok wypadków odejmuje już ich ostatniemu rozdziałowi, traktującemu o „wyodrębnieniu Galicyi“, aktualne znaczenie. Nieunikniony to jednak los publikacyi historyczno-politycznych, powstałych pod wpływem chwili bieżącej.

2. Druga praca Bartoszewicza p. t. „Utworzenie Królestwa Kongresowego“ jest od poprzedniej obszerniejszą i posiada zgoła odmienny charakter. To nie szkic publicysty, lecz monografia historyczna. Autor zaznacza w przedmowie, że chodziło mu w niej przedewszystkiem o dokładne wyświetlenie działalności Komitetu Centralnego, jakoteż o zobrazowanie stanu umysłów społeczeństwa polskiego w onej przełomowej dobie, t. j. w 1814-tym i 1815-tym roku.

Wiadomo wprawdzie, że historya się nie powtarza, ale za to widzimy w jej przebiegu nieraz uderzające analogie. „Chwila osobliwa“, jaką teraz przeżywamy, z wielu względów podobną jest do tej, jaką przeżywali nasi pradziadowie przed stu laty. I, aczkolwiek nie wiemy napewno, co nam najbliższa przyszłość przyniesie, to przecież dobrze jest spoglądać w przeszłość, aby z niej czerpać naukę dla teraźniejszości.

Dość skomplikowany przebieg ówczesnych wypadków przedstawił Bartoszewicz jasno i zwięźle. Charakterystyka głównych działaczy tej epoki, jak ks. Adam Czartoryski, car Aleksander I., Metternich i t. d., jest wyborna. Miarą zaś zdolności narratorskich autora może służyć kapitalnie, choć tylko w ogólnych rysach przedstawiony Kongres wiedeński, o którym nabierzemy z krótkiego opisu Bartoszewicza dokładniejszego wyobrażenia, niż z daleko obszerniejszych opisów innych pisarzy.

Po przeczytaniu tego sumiennego studyum o czasach tak podobnych do obecnych, czytelnikowi nasuwa się, mimo woli, pytanie, jak długo jeszcze skazani jesteśmy na oscyllowanie między nadzieją a zwątpieniem, gdy chodzi o naprawienie straszliwych krzywd, jakich Polska doznaje od brutalnej przemocy w ciągu niemal półtora wieku. To pytanie szczególniej staje się aktualnem, gdy zestawimy utworzenie aktem końcowym Kongresu wiedeńskiego, Królestwa Polskiego, które główny jego twórca, car Aleksander nazwał „un ridicule Royaume de Pologne“, z aktem z dnia 5-go listopada 1916-go roku.

3. Treść książki Jezierskiego o Kościuszce — to nagromadzenie mnóstwa szczegółów, zatracających całość; opowiadaniu brak potoczystości, a stylowi polotu. Natomiast co krok spotyka się banalne frazesy i pewną czułostkowość, nie licującą z powagą opowiadanych wypadków i ludzi, którzy brali w nich udział.

Dalej, razi w tej książce nierównomierność w rozkładzie treści. I tak, opowiadanie o pobycie Kościuszki w Ameryce zajmuje stron 76 i tyleżsamo rozdział, poświęcony Insurrekcyi. Pobyt naszego Bohatera na drugiej półkuli jest niezawodnie epoką nader ważną w jego życiu, ale wolelibyśmy przecież widzieć skróconym opis tego pobytu a rozszerzonym opis wiekopomnej walki z 1794 roku.

Przy tej swej drobiazgowości zapomina jednak autor nieraz o bardzo ważnych szczegółach. Między innemi np. wyliczył daty urodzin rodzeństwa Tadeusza Kościuszki, a co do niego samego podał, że urodził się 4 lutego, ale w którym roku — nie wymienił.

Bardzo też niemile uderza, iż autor przedstawia Kościuszkę, jako jakiegoś deistę, który „w rzeczach wiary wyznawał wolność“ (Str. 137). Niezliczona znów moc pochwalnych superlatywów, którymi obdarzył Naczelnika, czyni wrażenie raczej jakiegoś pochlebstwa a nie uzasadnionej „pochwały“. Pisząc prościej, ale od serca, byłby p. Jezierski wywołał efekt daleko większy.

Józef Trepka.

Bruchnalski Wilhelm. **Poezya polska średniowieczna,** napisał... (Nadbitka z XXI. tomu „Encyklopedyi polskiej"). Kraków, 1918.
Tenże. **Rozwój wymowy w Polsce,** napisał... (Nadbitka z XXII. tomu „Encyklopedyi polskiej"). Kraków. 1918.

W zakresie historyi literatury polskiej istnieje zaledwie kilka prac, mogących mierzyć się z wymienionemi — przedewszystkiem olbrzymią, niecodzienną w czasach dzisiejszych erudycyą, ogromem materyału, ogarniętym i opanowanym przez autora przedziwnie w książkach o wcale ograniczonych rozmiarach, tak dalece, że nadmiar treści spowodował nie tylko widoczne co krok niedomówienia, ale wprost — zdaje się — rozsadza szczupłe ramy, wyznaczone wbrew woli autora jego książkom.

Wystarczy dla wyrobienia sobie przybliżonego bodaj wyobrażenia o sumie wprost benedyktyńskiej pracy, włożonej w obydwie rozprawy prof. Bruchnalskiego, jeśli powiem, że nie zostało w nich nic pominięte, co wchodzi istotnie w zakres tematów niezwykle rozległych. Jeśli zaś w pracu drugiej — o rozwoju wymowy w Polsce — brak tego lub owego autora — nie pochodzi to bynajmniej z winy prof. Bruchnalskiego, jeno z powodu szczupłych ram, w jakich musiał pomieścić materyał najważniejszy, skutkiem czego rzeczy o znaczeniu podrzędnem musiały zostać pominięte milczeniem. Pomimo to — śmiało rzec można, iż dokładności prof. Bruchnalskiego nie można nic zarzucić. Dość będzie, jeśli zechce się przeglądnąć bibliograficzne zestawienie literatury przedmiotu, umieszczone pod koniec obu rozpraw, ażeby przekonać się, ile to mrówczej pracy, mozolnych szperań i dociekań złożyło się na ten bogaty plon, jaki zawarty został w książkach szczupłych rozmiarów.

I co jeszcze jest w nich uderzające i zasługuje na podniesienie? — Oto zadziwiająca ścisłość definicyi, którą prof. Bruchnalski doprowadził wprost do mistrzowstwa. A obok tej ścisłości — jasność w formułowaniu definicyi, których, zwłaszcza w książce pierwszej napotyka się całe mnóstwo. W podręcznikach takich, za jakie uważamy obydwie książki prof. Bruchnalskiego obie wymienione co dopiero zalety są wprost nieocenione.

Usterek bowiem brak zupełny im. Jeśli zaś co da się im zarzucić, to to, że są napisane w sposób tego rodzaju, iż korzystać z prawdziwym pożytkiem będzie mógł z nich tylko ten, kto zna dobrze historyę literatury. Bo nie tylko dowie się wielu rzeczy zupełnie nowych,

ale też w razie potrzeby szybko wyszuka i przypomni sobie to, co mu uleciało z pamięci lub w niej niezbyt jasno było wyryte.

Jak powiedziałem, ograniczenie miejscem nie było dobre dla obydwu tych prac, pomimo to, że gdyby każda z nich była wydrukowana w zwykłym formacie książkowym, dałaby każda z osobna pokaźny tom. Stąd też wreszcie obie prace prof. Bruchnalskiego zawierają w sobie wprost gotowe tematy do szeregu licznych nowych dociekań w sprawach, które w obydwu książkach jedynie z lekka, pobieżnie mogły być poruszone czy dotknięte. Będą one stanowić dla historyków literatury na długie lata skarbnicę, z której czerpać przyjdzie licznym pracownikom.

Dr. St. Zdziarski.

Z piśmiennictw obcych.

Dr. Julius Graf. **Der Hebräerbrief. Wissenschaftlich — praktische Erklärung.** Fryburg. Herder. 1918. XVI. + 331.

Po wyczerpujących monografiach Schäfera, Seisenbergera, Rohra oto jeszcze jedna próba objaśnienia majestatycznego, przebogatego, a zarazem jakimś urokiem zagadkowości owianego listu do Żydów. Graf postanowił uchylić rąbek tej zasłony i ukazać czytelnikom kryjące się poza nią bogactwo wiecznie świeżej myśli Bożej.

Budowa jego książki jest następująca: 1. Przedmowa. 2. Wstęp. I. część: przeważnie naukowo-teoretyczny komentarz. II. część: praktyczne objaśnienie listu. We wstępnych rozdziałach (str. 1—37) zaznajamia nas autor z treścią listu, jego autentycznością i rdzennie Pawłowym światem idei. Dalej tłumaczy, czy i o ile odbił się na Autorze listu wpływ szkoły aleksandryjskiej, zwłaszcza Filona. Ponieważ styl listu jest o wiele wytworniejszy, niż wszystkich innych pism, niewątpliwie Pawłowych, przeto z większością egzegetów, idących za Origenesem, przypuścić musimy, że go Apostoł w całości sam nie napisał, ale użył do tego kogoś ze swego otoczenia. Jeśli sam redaktorowi

nie dostarczył materyału ideowego przez bezpośrednią, osobistą współ[illegible] pracę, to przynajmniej przez końcowy dodatek (r. 13. w. 18—25) uznał jego dzieło za swoje własne i przyłożył na nie pieczęć swego autorstwa. Gdy chodzi o rodzaj literacki, słusznie stwierdza Graf przeciw wielu racyonalistom, że orędzie do Żydów jest prawdziwym listem, a nie uczoną rozprawą, czy mową. Było zaś skierowane do Żydów palestyńskich, gdyż przemawiają za tem liczne dowody, czerpane z jego treści i starożytny napis: „Pros Hebraious", istniejący w najstarszych nawet rękopisach. Cel i myśl przewodnią listu nie trudno odgadnąć, gdy się przyjmie, że był napisany koło roku 63. lub 64, a więc w czasie, kiedy nad chrześcijanami, pochodzącymi z Żydostwa, coraz groźniejsze wisiało niebezpieczeństwo powrotu do judaizmu. Wszak majestat, blask, wystawność nabożeństw, świątyni jerozolimskiej działały na wielu czarująco; tymczasem chrześcijanie schodzili się tylko do domów prywatnych „na łamanie chleba". Tęsknota więc za starozakonną wystawnością, zawiedzione nadzieje rychłego powrotu Chrystusa na sąd świata, nadto srożące się prześladowanie, którego ofiarą padł Jakób św., sprowadziły wielu nad brzeg przepaści. By ich zatem powstrzymać od zboczenia z pewnej drogi, ekonomii i łaski Chrystusowej na błędne ścieżyny starozakonnego prawa, stawia im przed oczy wyższość nowego przymierza nad zakon Mojżeszowy, szkicując wielkimi rzutami nieskończenie większą dostojność Syna Bożego ponad wszystkich dotychczasowych pośredników, wyższość jego kapłaństwa ponad kapłaństwo Aaronowe, a jego ofiary ponad ofiary starozakonne.

Uporawszy się z uwagami wstępnymi, przechodzi Graf w I. części (str. 38—271) do naukowego komentarza. Chodzi mu w nim o jaknajjaśniejsze odgadnięcie myśli natchnionego pisarza. W tym celu podaje naprzód t ł u m a c z e n i e. Ponieważ list napisany był dobrą greczyzną, przeto i tłumacz chciał się utrzymać na takim samym poziomie. Stąd dla dosłownego oddania oryginału nie chciał zaniedbywać formy i starał się o to, by jego przekład nie wyglądał, jak rola w grube skiby zorana. Drobiazgowy krytyczny aparat n a u k o w e j e g z e g e z y niekiedy do tego stopnia pochłania uwagę autora, że przykuwszy go do jakiejś cegiełki, nie pozwala mu wznieść oczu w górę i objąć jednym rzutem wdzięku całej budowy. Otóż, żeby czytelnicy listu św. Pawła nie tracili z oka całokształtu myśli, podaje Graf zaraz po tłumaczeniu obszerną p a r a f r a z ę, w której swoimi słowami stara się

odtworzyć myśl analizowanej perykopy. Przy tem odtwarzaniu właściwego sensu nie używał autor z umysłu żadnych źródeł, by tem niezależniej i swobodniej ciepłymi, barwnymi, niemal poetycznymi słowami naszkicować to, co, zdaniem jego, w danem miejscu Apostoł powiedział. Niekiedy przy pierwszem odczytywaniu tych rekonstrukcyjnych, osobistem tchnieniem owianych parafraz ma się wrażenie, że za wiele w nich fantazyi, czy subjektywnego „widzimi się", po bacznem atoli wpatrzeniu się dostrzegamy, że ta lekka budowa wspiera się na głębokich podwalinach zasad egzegetycznych. Po parafrazie przychodzi naukowy rozbiór i objaśnienie tekstu. A składa się z dwóch części. W pierwszej idzie autorowi głównie o uwydatnienie i uwypuklenie związku ideowego danych perykop. W tym celu, przytaczając tekst grecki i przechodząc wiersz za wierszem, króciutko, poprostu, swoimi słowami zaznacza pochód myślowy listu. W drugiej części podaje szczegółowy rozbiór słowa po słowie, zdania po zdaniu pod względem filologicznym, gramatycznym. Jeżeli gdzie, to przedewszystkiem w tej części widać zawodowego egzegetę, który swój przedmiot nietylko posiadł i ukochał, ale na tem polu pracuje z mrówczą skrzętnością i dokładnością.

W ściśle egzegetyczny rozbiór tekstu powplatał autor teologiczno-biblijne zagadnienia, jak n. p.: „nauka o aniołach w liście do Żydów", „egzegeza św. Pawła", „pojęcie doskonałości", „znaczenie arcykapłaństwa", „krew w nowym Testamencie, a wiara Żydów", „przedmiotowe i podmiotowe odkupienie", „czy trwa, dalej w niebie rzeczywista ofiara?"

Tak mniej więcej wygląda teoretyczno-naukowy komentarz Grafa. Lecz nie tu kres jego studyum. Ktoby, zdaniem autora, odkrywszy właściwy sens księgi natchnionej, na tem urywał swoje badanie, ten uważałby odkopane żyły złota za kapitał obrotowy i wyłączną własność li tylko uczonych giełdziarzy. Tymczasem są one skarbem całego Kościoła. Dlatego egzegeza praktyczna ma sprowadzić ogół wiernych do tych kopalni Bożych i z nich hojną dłonią, na wszystkie strony szafować. Niezawodnie listy Św. Pawła już same przez się, bez komentarza, mówiły do czytelników swojego wieku żywiej, aktualniej, niż mówią do nas dzieci 20 stulecia. Czyż się więc przeżyły? Bynajmniej! Tylko my ich nie odczuwamy i nie bierzemy tak serdecznie i ciepło, jak przyjmowali je pierwsi chrześcijanie. Otóż egzegeza praktyczna ma na powrót wykrzesać z nich tę iskrę aktualności i współ-

czesności, ma tę wiecznie świeżą myśl Bożą przenieść w nasze stosunki, potrzeby, niemoce, braki i szukać w niej lekarstwa, dźwigni, siły. Jeśli egzegezę teoretyczną nazwiemy drobiazgową analizą, to praktyczna jest syntezą. W teoretycznej oglądamy skrupulatnie szczególiki, jak turysta z mozołem wspinamy się ze zrębu na zrąb, w praktycznej rozkoszujemy się widokiem całości, patrzymy na łańcuch górski, kąpiący się w blaskach zachodzącego słońca.

Oto idealne pojęcie i określenie zadania egzegezy praktycznej. I w istocie w drugiej części dzieła (str. 277—326) starał się Graf przybrać je w szaty rzeczywistości. Przechodząc tedy rozdział po rozdziale list Św. Pawła, porusza szereg myśli głębokich, praktycznych, aktualnych, dla kaznodziejstwa przydatnych. Tak n. p., że pominę inne, z okazyi słów: „T r z e b a b y ł o, a b y C h r y s t u s c i e r p i a ł", podaje zgrabną synopsę do kazania o cierpieniu. W ustępie zaś p. t. „Chrystus współczująca dusza" potrąca o bardzo ważną kwestyę współczucia i wyrozumiałości w pracy kapłańskiej. Słowem, w komentarzu praktycznym, który swemu idealnemu określeniu nie zawsze odpowiada, narzucił szereg luźnych, ulotnych spostrzeżeń, może nie tak ściśle wynikających z treści listu, ile raczej wywołanych jej rozważaniem. Spostrzeżenia te jednak są nieraz podane tak górnolotnie i uczenie, że w ten sposób możnaby chyba mówić przed dobranem gronem teologów.

Ocena całości dzieła wypaść musi pochlebnie. Jeśli komu imponuje typ niemieckiej uczoności, to w niniejszej książce znajdzie jego wcielenie. Uwagi wstępne, historyczno-krytyczne opracowane są tu gruntownie. Jeśli chodzi o tłumaczenie, to nawet najszerzej rozumiejący swobodę przekładów muszą przyznać, że w całym szeregu miejsc autor raczej parafrazował, a nie tłumaczył (cf. str. 72 w. 1—3; 85; w. 2; str. 95 w. 14—16; str. 99. w. 1—2; str. 113 w. 11—12. str.; 129 w. 9—12; str. 246 w. 15). Komentarz teoretyczny, sumienny i na ogół trafny. Parafrazy i komentarz praktyczny kryją w sobie wiele oryginalnych myśli. Na ogół pisze autor bardzo jasno, wyróżnia drobiazgowo najzawilsze kwestye i uwydatnia je nawet w druku, grupując wszystko w rozdziały i poddziały. Język, zawsze poprawny, ma niekiedy wiele polotu, obrazowości prawie poetycznej.

Ks. Wł. Lohn T. J.

Dr. Johannes Brinktrine. **Der Messopferbegriff in den ersten zwei Jahrhunderten.** Eine biblisch-patristische Untersuchung. Freiburg in Br. 1918. Herder.

Z ukazaniem się dzieła Renza „Die Geschichte des Messopferbegriffs". Freising. 1901/2 powstała w obozie katolickim dość żywa polemika na temat bezkrwawej ofiary. W książce tej między innemi głosił Renz śmiało, że istnienia mszy św. nie można udowodnić z Pisma św., lecz jedynie z tradycyi. Wieland, wierny renzowski sekundant, posunął się jeszcze dalej, twierdząc, że przed rokiem 150 podanie chrześcijańskie nie zna żadnej, przedmiotowej, zewnętrznej ofiary, ale li tylko modlitwy, dziękczynienia, życie czyste i umartwione. (cf. Mensa und Confessio. München. 1906. Die Schrift Mensa und Confessio und P. E. Dorsch S. J. München. 1908. Der Vorirenäische Opferbegriff. München 1909). Dopiero jakoby pod wpływem pism Ireneusza i Cypryana Eucharystya przyobleka się w szaty ofiarne.

Przeciw tym zdaniom posypały się liczne protesty, a ich jakby dalekiem, cichnącem echem jest niniejsza praca Dra Brinktrine. Ze spokojem i znajomością rzeczy stara się autor w pięciu rozdziałach uwypuklić siłę przytaczanych powszechnie dowodów za istnieniem mszy św. w dwu pierwszych wiekach. W I. rozdz., po wstępach, krytycznych uwagach o autentyczności i historyczności opowiadania synoptyków, podkreśla charakter ofiarny ostatniej wieczerzy i twierdzi, że według Mateusza, Marka i Łukasza sam Chrystus uważał ustanowienie Eucharystyi za prawdziwy obrzęd ofiarny. Przekonywują nas o tem Jego czyny i słowa. W Starym Testamencie żądał Bóg przy zawieraniu przymierza pewnego podziału i dwoistości. Stąd Abraham dzieli trzodę na dwie części. (Gn. 15. 9.), Mojżesz rozdziela krew zabitych bydląt (Ex. 24. 4.). Dlatego i u Chrystusa, kładącego przy ostatniej wieczerzy podwaliny pod nowe przymierze, widzimy podobną dwoistość: albowiem pod postacią chleba podaje uczniom swe ciało, a pod postacią wina wręcza im krew swoją. Ponieważ zaś według pojęć żydowskich (Żyd. 9. 18.) zawarciu przymierza towarzyszyła zawsze ofiara, przeto i Chrystus, kładąc kamień węgielny pod nową epokę i podając oddzielnie pod dwoma postaciami ciało i krew swoją, chciał prawdopodobnie przez to nadać eucharystycznej uczcie cechę prawdziwej ofiary. Nadto o jej ofiarnym charakterze przekonywują nas słowa Zbawiciela. Podając ciało, mówi: „to jest Ciało moje, które się za was wydaje". Gdyby Jego ciało nie było darem ofiarnym,

to zdanie względne, określające: „Które się „dla", „za" was wydaje" nie miałoby żadnego sensu. Wręczając kielich z krwią, zaznacza Zbawiciel, że to krew nowego przymierza (Mt. 26. 28). A ponieważ w ideologii żydowskiej przymierze kojarzyło się nierozerwalnie z ofiarą, więc jest nią i krew Chrystusowa. Być może, że przez słowa: „to jest bowiem Krew moja Nowego Przymierza" (Mt. 26. 28.) chciał Chrystus przypomnieć uczniom ofiarę Mojżesza, złożoną przy ogłoszeniu prawa i poświęceniu ołtarza (Ex. 24. 4.), a więc tem samem zaznaczałby, że w wieczerniku rozgrywa się podobna scena, co niegdyś na górze Synaj. Wreszcie grecki imiesłów czasu teraźniejszego „didómenon", „ekchynómenon" wskazuje najprawdopodobniej na obecne wydanie i wylanie, a zatem na ofiarę.

Niewątpliwie uczta paschalna była w pojęciach żydowskich obrzędem ofiarnym. (Ex. 12. 6, 10). Chrystus zaś, jak to wynika z opowiadania Synoptyków, z umysłu ustanowił Najśw. Sakrament pod koniec uczty paschalnej; a zatem ustanowienie Eucharystyi było również ofiarą. By przy ocenie całości do tego punktu nie wracać, napomykam, że na ten dowód nie pisze się dziś grono tych uczonych katolickich, którym w kwestyi związku wieczerzy Pańskiej i śmierci Jezusa z paschą żydowską uśmiecha się teorya „prostej wieczerzy 13. Nisan." (cf. Szczepański: Cztery Ewangelie. Wstęp str. 116. n. 365.) Jeśli bowiem Chrystus przemienił chleb i wino nie podczas uczty paschalnej, lecz przy zwykłej wieczerzy, natenczas oznak prawdziwej ofiary trzeba szukać gdzieindziej, nie zaś w związku Eucharystyi z barankiem wielkanocnym.

Prócz Synoptyków mówi o Eucharystyi, jako ofierze, także Paweł św. w I. liście do Koryntyan (X. 16—20), przeciwstawiając pożywanie ciała i krwi Pańskiej biesiadom pogańskim i żydowskim. Jak przez uczestnictwo w ucztach ofiarnych „ci, którzy pożywają ofiary uczestnikami są ołtarza", tak pożywający ciało i krew Pańską uczestnikami się stają Pana, a jako jedzący z ofiar składanych bałwanom uczestnikami się stają stołu djabelskiego, tak pożywający chleb eucharystyczny, uczestnikami są stołu Pańskiego. Gdyby Paweł św. nie wychodził z założenia, że przygotowanie i rozdzielanie Eucharystyi jest prawdziwą ofiarą, to przeciwstawienie i rozumowanie jego nie miałoby siły dowodowej. Ubocznie więc z założenia i przypuszczenia Pawłowego wynika, że Eucharystya — to ofiara. W liście do Żydów (13. 10.) przestrzega Paweł rodaków, by siły i pokrzepienia duchowego nie szukali w ofia-

rach żydowskich, ale gdzieindziej. „Mamy ołtarz, z którego nie mają mocy jeść, którzy przybytkowi służą?“ Jakiż ołtarz ma na myśli św. Paweł: krzyż golgocki, czy Eucharystyę? Otóż według Brinktrine i wielu egzegetów „thysiastérion“, „mensa“ — oznacza ofiarę bezkrwawą. Czy atoli przytoczone przez autora racye jasno dowodzą, że istotnie Paweł św. mówi tu o eucharystycznym ołtarzu, niech nam o tem będzie wolno wątpić, choćby tylko dla tych poważnych trudności, jakie przeciwko takiemu tłumaczeniu wysuwa Dr. J. G r a f w swym komentarzu.

Przechodząc do epoki Ojców Apostolskich, załącza autor dość obszerny dodatek o proroctwie Malachiasza i głównie przeciwko racyonalistom uzasadnia, że prorok ma na myśli zewnętrzną, przedmiotową ofiarę, która w okresie mesyańskim wyruguje ofiary krwawe.

W literaturze starochrześcijańskiej znachodzimy dość wyraźne wzmianki o istnieniu eucharystycznej ofiary. I tak: rozdz. 14. Didache zdaje się dość wyraźnie podkreślać ofiarne cechy Eucharystyi, gdyż czyni alluzyę do Mt. (V, 23—24.) Rozdział znów 15. stawia zapowiedzianą przez Malachiasza ofiarę na równi z łamaniem eucharystycznego chleba. Wprawdzie List Barnaby r. 2 (w. 4—9) nie wyklucza w N. Testamencie całkowicie ofiar, ale też nie można zeń czerpać dowodu na istnienie euch. ofiary. Jak Didache nazywa po raz pierwszy łamanie i błogosławienie chleba „thysia“, tak znów św. Klemens Rzymski w I. liście (r. 40—44) zwie je „prosfora“ „leiturgija“. Pierwszorzędnem zadaniem biskupów i dyakonów jest „składać dary ofiarne“ (r. 44. 6.) Trudno dowieść z całą pewnością, że św. Ignacy M. podkreślał w swych listach ofiarny charakter Eucharystyi, ale też trudno zaprzeczyć, że nie czyni o nim wzmianki w 4. r. listu do Efezów i w 4 r. do Filadelfian. Wszelkie wątpliwości pierzchają, gdy mowa o 41 r. Dyalogu z Tryfonem. W nim bowiem nazywa św. Justyn chleb i kielich prawdziwym darem ofiarnym, a Eucharystyę utożsamia z zapowiedzianą przez Malachiasza ofiarą. Klemens Alex. nie wyraża już, co prawda, swej myśli tak dobitnie jak św. Justyn, lecz charakter ofiarny Najśw. Sakramentu ma, zdaje się, na oku w Stromatach: r. I. 19; IV. 25; V. 10.

Rozprószone promienie zbiera św. Ireneusz w jedno ognisko i w „Epidejksis“ przedkłada katolicką naukę o ofierze Mszy św., jak nikt dotąd, z niezwykłą dobitnością i wyrazistością. Aczkolwiek gruboby uwłaczał historycznej prawdzie, ktoby wraz z W i e l a n d e m uważał św. Ireneusza za twórcę i wynalazcę obcego i nieznanego dotąd chrystyanizmowi pojęcia ofiary; to jednak przyznać trzeba, że św. Biskup

z Lyonu mówi o ofierze bezkrwawej o wiele jaśniej, dobitniej, wyraźniej, niż wszyscy jego poprzednicy.

Co sądzić o wartości niniejszego studyum?

Jest to starannie obrobione ogniwo w wielkim łańcuchu zagadnień, dotyczących mszy św. W świetle wywodów autora widzimy, jak pewny grunt ma w Piśmie św. i tradycyi nauka katolicka o eucharystycznej ofierze. Nietylko w obszernym spisie ale przedewszystkiem w toku dziełka pokazał Brinktrine wielką znajomość bieżącej literatury. Jak z jednej strony tkwi w tem wartość naukowa rozprawy, tak z drugiej pociąga to za sobą pewną niedogodność. Oczytanie się bowiem, zwłaszcza w literaturze racyonalistycznej pchało autora do ciągłych wycieczek, przypisków i uwag polemicznych, które zacierają myśl przewodnią rozprawy i sprowadzają czytelnika w zaułki polemiki.

Nadto można podnieść pewną wątpliwość co do tytułu dziełka. Czy nie jest on za szeroki i zbyt ogólny? Treść rozprawy wykazuje, że Eucharystya zarówno w Piśmie św. jak i w literaturze starochrześcijańskiej nosi na sobie cechy prawdziwej ofiary, czyli, że w źródłach objawienia istnienie mszy św. ma swe uzasadnienie. Odpowiednio więc do treści lepiejby odpowiadał taki n. p. tytuł: „Opfercharakter der Eucharistie". Napis zaś „Messopferbegriff" zapowiada, że rozprawa da scholastyczny wykład o istocie mszy św. jako ofiary, czego autor wcale nie daje.

Ks. Wł. Lohn T. J.

Ein Glaubensheld der modernen Zeit: Contardo Ferrini. Według biografii Dra Carlo Pellegrini przełożył na język niemiecki Dr. Alojzy Henggeler. Fryburg. Herder.

Mamy w książce niezwykły obraz męża nauki i głębokiej wiary. Ferrini był w najpodnioślejszym tego słowa znaczeniu człowiekiem nowożytnym. Żył wśród ludzi, w wielkich ogniskach umysłowego życia. Wielką była jego wiara, wielką nauka. Spędzał długie godziny na modlitwie w świątyni, a potem wstępował na katedrę jednego z najświetniejszych uniwersytetów włoskich, a sława jego, jako uczonego prawnika, wybiegła daleko poza granice jego ojczyzny. Zgłębiał Pismo św. i Ojców Kościoła, ale równie dobrze znał literaturę współczesną. Pracował z zamiłowaniem nad uczonemi księgami, ale nie był oderwanym od życia i przyrody. Kochał ludzi i przyrodę, wnikał w jej tajniki, podziwiał jej wielkość i piękno. Nie odwracał się od życia, oceniał wedle

prawdziwej wartości prądy i walki współczesne. Nie będąc politykiem w dosłownem znaczeniu, zajmował się jednak politycznemi, społecznemi sprawami, zasiadał w Radzie swego rodzinnego miasta, pracował dla dobra swego narodu, gdzie tylko powinność go wołała. Życie jego w niedługim, bo tylko 43 letnim okresie przedstawia bogatą, harmonijną całość. Pierwiastek Boży i ziemski przedziwnie w niem zespolone.

Ferrini wszędzie widział Boga i serce swoje w każdej chwili życia wznosił ku Niemu, ale obok tego cieszył się pięknem świata, wielkością ludzkiej kultury i potęgą ducha, bo w tej ziemskiej wielkości oglądał oblicze niebieskiego Ojca.

Od dzieciństwa odznaczał się nadzwyczajną pobożnością, która z latami rosła i pogłębiała się. Obok niej znamiennym rysem była u niego pogoda ducha, o której sam powiedział, że jest „danem nam od Boga prawem, jest wiarą w obietnice Boże, szczęściem, płynącem ze zjednoczenia z Bogiem, radością, wywołaną przez wielkość i dobroć Bożą."

Pobożność Ferrini'ego była nietylko uczuciową, ale i rozumową, a moralność uważał za kamień probierczy każdego filozoficznego czy religijnego systemu. Wszystko do Boga go wiodło, nauka i sztuka, życie i przyroda. Usposobienie miał miłe, umiał być przyjacielem i licznych miał przyjaciół, na których ogromny, a podniosły wpływ wywierał. Wzorowym, kochającym był synem i bratem, życiu rodzinnemu serdecznie oddanym.

Wielkie swoje zdolności zwrócił do nauki prawa, które studyował w rodzinnem swem mieście, następnie w Berlinie, Paryżu i w Rzymie. W bardzo młodym wieku powołany na katedrę prawa rzymskiego w Padwie, następnie w Messynie, w Modenie, potem znów w Padwie. Działalność jego jako profesora i uczonego była bardzo rozległa, a ożywiający ją duch Boży czyniłją apostolstwem.

Miłość Boga i nauki nie wyziębiły serca Ferrini'ego dla ojczyzny, kochał ją czynnie i nie usuwał się od współpracownictwa w sprawach ogólnego dobra, a pieścił w duszy nadzieję, że powróci do społeczeństw chrześcijański duch i urządzenia, a rozwiązanie kwestyi społecznej upatrywał w zastosowaniu zasad etyki Chrystusowej. Uznawał, że socyalizm stawia wogóle słuszne żądania, ale chciał, by je realizowano bez naruszenia podstaw społecznych. Podziwiał encyklikę Leona XIII „Immortale Dei" i oceniał usiłowania katolików, podejmowane dla wprowadzenia jej w życie.

Pozostawił bogatą spuściznę w pismach prawniczych, a co do zna-

jomości prawa rzymskiego był jedną z pierwszych w Europie powagą, pisywał też książki treści religijnej, owiane najpodnioślejszym duchem. Umarł w ukochanych swoich górach nad Lago Maggiore, w r. 1902. Usta ludu nad świeżą mogiłą wypowiedziały, że umarł święty, a uczeni całych Włoch, nawet niewierzący, zawtórowali sądowi prostaczków. Z Treviso, Wenecyi, Messyny, napływały do Piusa X prośby, by Contardo Ferrini został ogłoszony błogosławionym; zbierano odnośne dokumenta — proces beatyfikacyjny w toku.

Bywają ludzie, którym się zdaje, że święci, to ludzie epok odległych, postacie nieledwie legendarne. Contardo Ferrini jest żywem tych pojęć zaprzeczeniem. Żył w czasach naszych, a nie na pustyni, ale wśród ludzi i wśród ścierających się współczesnych prądów. Jest równie wielkim jako uczony i jako święty, syn swej epoki, a równocześnie idealny typ chrześcijańskiego myśliciela, łączącego wiarę z nauką i z przejawami współczesnego życia.

Helena Skolimowska.

Die römische Frage, Dokumente und Stimmen, herausgegeben von Prof. Dr. Hubert Bastgen. Freiburg, Herder, I Band, S. 467.

Die Kundgebungen Papst Benedikts XV. zum Weltfrieden, herausgegeben von Dr. Arnold Struker, Freiburg, Herder, S. 143.

Z zadowoleniem zanotować wypada te dwa zbiory dokumentów historycznych, pierwszy do kwestyi państwa kościelnego, drugi do kwestyi pokoju. Zbiór Dr. Bastgena, dotąd nieukończony, zawiera atoli dokumenty, począwszy od początku VIII stulecia aż do r. 1860 włącznie. Są tu nadania królów i cesarzy, akty z czasów sekularyzacyi państwa kościelnego za Napoleona I, przywrócenia tegoż państwa i nowych zamachów na nie ze strony Włoch. Noty dyplomatyczne, debaty w parlamentach, ważniejsze głosy prasy etc.

Zbiorek Strukera daje dokumenty starań Benedykta XV. o sprowadzenie na świat pokoju do sierpnia 1917 r., jak również noty i głosy stron wojujących w tejże sprawie. Zapewne niebawem doczekamy się dalszego ciągu tego zbioru, który nam może zastąpić poniekąd oficyalną żółtą księgę Stolicy Apostolskiej.

Oba zbiorki oddadzą cenną usługę historykóm, prawnikom i publicystom, uwalniając ich od trudu szukania odnośnych dokumentów po niedostępnych nieraz źródłach. *J. U.*

Dr. Emil Goller, **Das Eherecht** im neuen kirchlichen Gesetzbuch. Freiburg, Herder 1918. S. 80.

Prof. Dr. Jakob Bilz, **Die Ehe im Lichte der katholischen Glaubenslehre.** Freiburg, Herder, 1918, S. 52.

Dr. Joseph Ries, **Die Mischehe, eine ernste Pastorationsfrage,** Freiburg, Herder, 1918, S. 75.

Trzy wzajemnie uzupełniające się broszury: pierwsza komentuje nowe prawodawstwo małżeńskie Kościoła, druga rozpatruje instytucyę małżeństwa w świetle wiary i rozumu, trzecia wreszcie aktualną zawsze w Niemczech sprawę małżeństw mieszanych. Wszystkie przeznaczone dla praktycznego użytku kleru. Broszury Bilza i Riesa wchodzą do seryi „Hirt und Herde", poświęconej zagadnieniom praktycznego duszpasterstwa w naszych czasach. Ta serya broszur zasługuje na uwagę i naszego duchowieństwa. Przydałoby się u nas podobne wydawnictwo. *J. U.*

Dr. Jakob Schäfer: **Die Wunder Jezu in Homilien erklärt.** 8° (VIII + 312) Freiburg 1918, Herdersche Verlagshandlung. M. 5, 50; in Pappband M. 6, 50.

Dr. Jakob Schäfer: **Der Rosenkranz ein Pilgergebet, Predigten, Lesungen und Betrachtungen.** Erster Teil: Die freudenreichen Geheimnisse. 8° (VIII + 84) Freiburg 1917, Herdersche Verlagshandlung. Kart. M. 1, 20.

Dr. Hermann Sträter: **Das Männerapostolat.** Seine Bedeutung und praktische Ausgestaltung in der Jetztzeit. 8° (12 + 68) Freiburg 1917, Herdersche Verlagshandlung. M. 2, 40.

Joh. Peter von Kasteren S. I.: **Wie Jesus predigte.** Deutsche Bearbeitung von Johannes Spendel S. I. 8° (IV + 112) Freiburg 1917, Herdersche Verlangshandlung, bros. M. 1, 80.

Homilie Schäfera o cudach Chrystusa Pana tem się różnią od innych podobnych dzieł nowszej literatury homiletycznej, że omawiają wszystkie cuda Chrystusowe (33). Autor dzieli swe dzieło, zawierające 39 homilii, na cztery księgi: cuda w przyrodzie, uzdrowienia, wypędzenia czartów, wskrzeszenia zmarłych. Gruntowna egzegeza przy wielkiej prostocie i gorącej pobożności to główne zalety tej publikacyi.

Drugie dziełko tego samego autora chce pouczyć, jak trzeba różaniec jako modlitwę rozumieć, jak go odprawiać i jakie są najcenniejsze tej modlitwy owoce. Jest to praca znakomita pod względem homi-

letycznym. Wyniki naukowe badań biblijnych obficie są uwzględnione, wskutek czego rozważanie tajemnic różańcowych ma podkład gruntowny, a same tajemnice przedstawiają się nietylko jako prawdy dogmatyczne, ale i jako fakta historyczne. Sposób traktowania przedmiotu jest rzeczowy, choć wcale nie suchy. Zaletą dziełka jest i to, że w objaśnieniu tajemnic autor posługuje się obszernie Pismem św. Dziełko to przeznaczone jest nietylko dla księży i zakonników, lecz służyć może zarówno wykształconym osobom świeckim, jak i kaznodziejom do homiletycznych kazań o różańcu.

„Apostolstwo mężczyzn" zaprowadzone ośm lat temu w Crefeldzie przez autora, proboszcza Dra Strätera, rozpowszechniło się potem szybko po całych Niemczech; zaprowadzono je także w Austryi, Luksemburgu i Szwajcaryi. Polega ono na tem, że mężczyźni przystępują co miesiąc do spowiedzi i komunii św. dla uczczenia Najsł. Serca P. J. Autor daje w pierwszej części swego dziełka pogląd na rozwój i stan obecny tego apostolstwa, tłumaczy jego istotę i cel, następnie omawia jego znaczenie tak dla członków, jak i dla innych; w końcu daje praktyczne wskazówki, odnoszące się zwłaszcza do czasów wojennych i powojennych, wykazując także konieczność misyi i osobnych rekolekcyi dla mężczyzn po wojnie.

Książkę O. von Kasterena T. J. każdy człowiek wykształcony przeczyta z pożytkiem i zajęciem, każdy zaś kaznodzieja pozna z niej jeszcze lepiej i pokocha goręcej niedościgniony swój ideał — Chrystusa Pana. O. von Kasteren, członek holenderskiej prowincyi zakonnej, znany jest w świecie jako badacz biblijny. Wprost świetnie kreśli nam stosunki miejsc i czasów, wśród których Chrystus Pan kazał. Książeczka ma także charakter apologetyczny; przy każdej bowiem sposobności, zwłaszcza w rozdziale „Vergleich, Gleichnis, Allegorie", zbija autor przekonywująco, acz w krótkich słowach niedorzeczne opinie skrajnych krytyków, jak Jülichera i Loisy'ego. *R. M.*

Z literatury muzycznej.

Dr. phil. Alicja Simon. **Polnische Elemente in der deutschen Musik bis zur Zeit der Wiener Klassiker.** Zürich, 1916. Druck von Gebr. Leemann u. Co. 8°, 198 str. (10 Mk.).

Peter Wagner. **Geschichte der Messe,** I. Teil: Bis 1600. Leipzig, Druck und Verlag von Breitkopf u. Härtel, 1913 8°, VIII + 548.

W. Gieburowski, Dr. phil. **De „Musica Magistri Szydlowite",** ein polnischer Choraltraktat des XV. Jahrh. und seine Stellung in der Choraltheorie des Mittelalters, mit Berücksichtigung der Choraltheorie und Praxis des XV. Jahrh. in Polen, sowie der Nachtridentinische Choralreform. Posen, Druck und Verlag der St. Adalbert-Druckerei, 1915, 8°, IV + 216 str.

1. Pierwsza praca jest doktorską dyssertacyą autorki, opracowaną podczas studyów muzykologicznych w Berlinie (pod kier. prof. dra H. Kretzschamara), przedłożoną zaś fakultetowi filozoficznemu w Bazylei, gdzie seminarya historyi muzyki prowadzi uczeń Kretzschmara i badacz muzyki 17. w., prof. dr. Karol Nef. Temat pracy dra Simonówny interesuje zarówno Polaków (ze względu na zrozumiałą zupełnie ciekawość, czy i jakie wpływy muzyki polskiej u obcych objawiły się w historyi muzyki), jak i Niemców, którzy są wybitnymi specyalistami w poszukiwaniu wpływów, którzy jednakże zwłaszcza w zakresie muzyki słowiańskiej nie zawsze zdradzają znajomość rzeczy, potrzebną dla ich własnych badań i nie zawsze umieją pewne wschodnie wpływy zauważyć. Dlatego opracowanie tego tematu przez nie-niemca mogło być bardzo pożądane. Tematem tym nie zajmowano się dotąd wyczerpująco. Jedynie sprawozdawca poruszył tę kwestyę w pracy p. t. „Die deutschen Musiktheoretiker im 16.—18. Jahrhundert und die polnische Musik (Zeitschrift der Internation. Musikgesellschaft, 1911) w Przeglądzie muzycznym (1910), gdzie stara się tylko stwierdzić, że wpływy polskie na muzykę niemiecką istniały, oraz w pracy „Polnische Musik und Musikkultur des 16. Jahrh. in ihren Beziehungen zu Deutschland" (Sammelbände der Intrn. Musikgesell., 1912), a także w „Stosunku muzyki polskiej do zachodniej w 15. i 16. w." (Kraków 1909), gdzie znowu stwierdzone są oddziaływania muzyki niemieckiej na polską. Źródłem dla autorki były teoretyczne traktaty niemieckie (do 18. w.), powiększone wiadomościami z kronik, pamiętników, pisanych gazet (z przed 18. w.), oraz wszelkich prac polskich, francuskich, niemieckich i skandynawskich. Pod tym względem zdaje się być praca autorki wyczerpującą, jakkolwiek nie przynosi materyałów, któreby zasadniczo zmieniły poglądy dotychczasowe. Źródłami drugiej części jej pracy są materyały muzyczne drukowane i rękopiśmienne, po części znane, po części uwzględnione po raz pierwszy przez autorkę. Tu okażą

się pewne nieznaczne zresztą luki, o których będzie mowa później. Podzieliła autorka swą pracę na 2 rozdziały. W pierwszym zajmuje się wyłącznie źródłami literackiemi. Rozpoczynając od kroniki śląskiej z pocz. 15. w. porządkuje chronologicznie wszystko to, co źródła niemieckie (niekiedy też i francuskie) piszą o polskich tańcach i instrumentach (skrzypce, kobza, dudy itd.), używanych w Niemczech, oraz regestruje wzmianki o zetknięciu się muzyków polskich i niemieckich na gruncie polskim lub niemieckim i o wędrownych polskich muzykantach. Daje wykaz polskich kompozycyi, drukowanych w Niemczech w 16. i 17. w. (Szamotulski, Długoraj, Jakób Polak, Diomedes), na co zresztą już zwrócono dawniej uwagę. Największą wartość posiada zestawienie wszystkich poglądów pisarzy niemieckich 18 w. na polonezа i (w małej części) na mazurka. Ten ustęp jest coprawda tylko uzupełnieniem pracy sprawozdawcy w „Zeitschrift der intern. Musikges." (1911) i nie zawiera rzeczy zasadniczo nowych; niewątpliwie jednak jest całkowitem ujęciem kwestyi, zwłaszcza co do owych polonezów w charakterze „polskim" i „niemieckim". Wskazuje autorka na to, że n. p. francuscy pisarze prawie wcale nie zajmowali się tańcami polskimi w przeciwieństwie do pisarzy niemieckich, dowodząc jak bardzo ignorowanym jest polonez we francuskich pracach o historyi i rodzajach tańca. Kończy wzmianka o publikacyi, której tytuł brzmi: „Danses de jadis et de naguère Fête de la Présidence de la République au Palais d'Elysée, 10 Août 1900". Tańce przeszłości i tecaźniejszości są w niej opisane wierszami, polonez zupełnie jest opuszczony. Może względy natury politycznej... Miejmy nadzieję, że na przyszłość niejedno się zmieni, a „Présidence" przypomni sobie, że i francuskich polonezów istnieje dość..., że Thomas, Delibes, Godard nie byli jedynymi kompozytorami polonezów Paryża, w którym od 1831 roku do końca życia mieszkał — Chopin. — Pod względem metodycznym można autorce uczynić jedną uwagę. Wprawdzie chronologiczne zestawienie materyału ma swe dobre strony, ale rozdział ten zyskałby znacznie, gdyby podział jego był następujący: a) źródła dotyczące o g ó l n y c h stosunków muzycznych między Polską i Niemcami, b) Instrumenty polskie w Niemczech, c) Tańce polskie w N. Brak tego podziału powoduje, że tok wywodów jednej kategoryi nagle zrywa się i następują wiadomości kategoryi drugiej, potem znowu wracamy do pierwszej itd. (por. str. 20, 27, 31, 60, 62). Nadto jeszcze należy wspomnieć o kilku szczegółach: jeśli autorka powołuje się na dawnych poetów polskich

(Kochanowski, Opaliński, Rej), jako źródła historyi instrumentów w Polsce, to nie powinno między nimi brakować „Ogrodu Fraszek" Potockiego. Na str. 44 brak podania źródła, z którego autorka czerpie swe wiadomości o rytmice tańców w Tabulaturze Jana z Lublina (1540). — Od braków metodycznych nie jest wolny drugi rozdział pracy autorki, zajmujący się krytycznem omówieniem tańców polskich i w „polskim stylu" pisanych kompozycyi w Niemczech. Jako podstawę dla porównania nakreśla dr. S. w 1. części 2. rozdziału szkic p. t. „Die polnische Volksmusik". Jest w tej części wiele kwestyi leżących poza tematem i mających z nim w najlepszym razie luźny związek, ale jako całość sama dla siebie jest ta część zupełnie trafnie ujęta systematyką ludowej pieśni polskiej. Jak autorka wyzyskała tę część przy analizie polskich tańców pisanych w Niemczech, zobaczymy w dalszym ciągu tego sprawozdania. Obecnie zajmą nas pewne szczegóły tej części pracy. Na str. 66-tej podaje autorka bibliografię zbiorów tekstów i melodyi ludowych polskich w wydaniach polskich i niemieckich. Jestto jednak zestawienie niezupełne, skoro wymienia dr. S. „Pieśni ludu Podhalan" Zejsznera, zawierające tylko teksty, to właśnie ze względu na swój temat powinna była zająć się zbiorem melodyi podhalańskich Kleczyńskiego, wydanym w latach ośmdziesiątych w „Pamiętniku Towarzystwa Tatrzańskiego". Zbiór to bardzo dobry, jak przekonałem się osobiście, czyniąc porównanie (między innymi z grą Bartłomieja Obrochty w Rostoce, szanującego tradycye conajmniej półwiekowe i odróżniającego „starą nutę" od nowej). Pominięcie tego zbioru pociągnęło za sobą pewne konsekwencye, o których mowa poniżej. Przy spisie zespołu wiejskiego nie wspomina autorka o tem, że nietylko drugi kontrabas bywa w nim używany, ale i drugie skrzypce, nazywane „sekundą" (od sekundowania skrzypcom pierwszym). Należało też wspomnieć o parafonicznych interwalach (kwinta i kwarta, także oktawa), t. j. tych, o które potrąca wiejski skrzypek, grając melodyę, a co autorka fałszywie nazywa „basowymi tonami" (str. 73). Niezgodnem z naukowem słownictwem jest wspomnienie o „motywach (!) czterotaktowych" (str. 76); wszak są to czterotaktowe grupy, w obrębie których mogą się mieścić motywy. W pieśni polskiej ludowej obok progresyjnego prowadzenia motywów (str. 77) istnieje jeszcze powtarzanie motywu w tejsamej pozycyi małą lub żadną zmianą. O zastosowaniu fermaty w polskiej melodyi ludowej (str. 79) dałoby się powiedzieć o wiele więcej. To co autorka pisze o rytmie krakowiaka jest trafne,

ale i niekompletne, zwłaszcza ze względu na to, co o pokrewnych rytmach węgierskich pisze cytowany przez autorkę Géza Molnar („A Magyar Zene Elmélete", 1904). Potrąca dr. Simonówna kwestyę wpływu muzyki ludowej na melodye węgierskie. Należało jednak wspomnieć o wpływie wzajemnym, czego autorka nie byłaby pominęła, mając w ręku wspomniany zbiór Kleczyńskiego. Znajduje się w nim popularny na Podhalu skalnem „marsz zbójnicki", wzięty z Orawy, ale zupełnie węgierski w charakterze, podobnie jak część rytmicznych zwrotów melodyi z Tatr polskich. Nie uwzględnia autorka szeregu zbiorów rusińskich melodyi, wydanych przez prof. Filareta Koleszę na podstawie własnych fonograficznych zdjęć. Znalazłaby w nich także rytmy krakowiaka. Są to oczywiście szczegóły, nawet dość ważne, ale nie ujmujące nic kwalifikacyom naukowej metody, której autorka przestrzega w tej części 2. rozdziału. Muszę wreszcie zaznaczyć, że zapoznanie się z monumentalnem dziełem dra Roberta Lacha p. t. „Studien zur Entwicklungsgeschichte der ornamentalen Melopöie" (1913) byłoby nasunęło autorce niejedną myśl, zwłaszcza w zakresie symetrycznej i asymetrycznej budowy melodyi ludowych. — Część druga tego rozdziału jest chronologicznie ułożonym opisem tych polskich tańców i w „polskim stylu" napisanych kompozycyi, które powstały w Niemczech od 16—18 wieku. Szereg nieznanych dotąd tańców zdołała autorka wydobyć na światło dzienne. Z drugiej strony jednak uszły jej uwagi dwa niemieckie w i e l k i e zbiory drukowanych tańców polskich: „Amoenitatum musicalium hortulus" (1622) i „Tafelmusik" Jana Fischera (1702). Jest to cokolwiek dziwne, że autorka zna „Kwartalnik muzyczny" wydawany od 1911—14 r. w Warszawie, a jednak nie zauważyła, iż tańce polskie z „Hortulus" wydał tamże sprawozdawca wraz z wyczerpującym komentarzem. W ostatnim zeszycie zaś „Kwartalnika" (1914) ukazała się praca uczenicy podpisanego dr. B. Wójcikówny o polskich tańcach Jana Fischera (1646—1721). Następnie byłoby rzeczą także ze względu na dzisiejsze stosunki ciekawą zbadać pieśń ludową niemiecką na pograniczu, tam gdzie ścierają się dwie wrogie sobie narodowości. Możnaby dla przysłowiowego naszego „stanu posiadania" zakreślić niejednokrotnie bardziej realne granice, niż to uczynić są w stanie badania statystyczne, geograficzne itp. Niewątpliwie też istnieją i w Niemczech t. zw. wędrujące melodye, z nich zaś niektóre — o czem wiemy pozytywnie — są pochodzenia polskiego. Metodycznej usterki nie brak i w tej części 2. rozdziału. Główną treścią jej jest, a przynajmniej ma

być rozpatrzenie krytyczno-analityczne niemieckich utworów w polskim charakterze napisanych. W połowie swych wywodów str. 101—104 czyni autorka nagły zwrot i znowu zajmuje się muzykami polskimi w Gdańsku i gdańskimi w Polsce, co wszak należy do 1. rozdziału pracy. Mimo to oczywiście cenne są i te ustępy, gdyż przynoszą nowe szczegóły z zakresu historyi polskiej i niemieckiej kultury muzycznej. Głównem zadaniem autorki było zbadanie w niemieckich kompozycyach do końca 18. w. wszystkich tych cech, które sprawiają że ich twórcy pozostawali pod wpływem melodyi ludowej polskiej. Argumenty, jakimi autorka posługuje się, a raczej dowody tego wpływu, streścić można w następujących określeniach, które dla uniknięcia dwuznaczności wyrazów podaję w języku, w jakim napisana jest praca: „Der prägnante Rhythmus", „Verwendung der Sequenz", „müsettenartige Harmonien", „mehr ausgearbeiteter Rhythmus", „schärfer geprägter Periodenbau", „weibliche Schlüsse", „Prinzip der Sequenz", „Wiederholung eines einzelnen Tones im schnellen Tempo", „synkopierter Rhytmus", „Zerteilung der akzentuirten Wiederholungen von Tönen und Tonphrasen", „Umspielung eines Tones", „aufgelöste Synkopen am Schluss", „rhythmisch verschobene Akzente" „Sequenzen im Liede, namentlich gegen Schluss", „Akzente auf schwache Taktteile", „die häufigen Achtelwiederholungen", „die üblichen Rhythmen (punktierte Viertel mit Achteln verbunden)", „breite Rhytmen auf einen und denselben Ton", „Umspielungen der Kadenz", „Wiederholungen kurzer Motive", „Sequenz (auch in melodischer Umspielung)", „Akzentverschiebungen", „Verbindung von 3- und 2-Taktphrasen", „Hemiolen", „charakteristische Sprünge" „Benützung der übermässigen Quarte", „Vorhalt bei den Kadenzen". Zdaje mi się, że wyczerpałem już słownik naukowych terminów autorki, odnoszących się do cech polskości w niemieckich utworach. Stwierdzamy, że te wyrażenia w ciągu pracy powtarzają się często, raz w mniejszej, raz w większej ilości, zależnie od tego czy wpływ polski objawia się w mniejszej lub większej ilości cech. Jeśli jednak zreasumujemy te cechy, to dojdziemy do przekonania, że jednak autorka nie wyczerpała wszystkich możliwości. Wynika to z tego, że prawdopodobnie nie przyswoiła sobie tej nowożytnej techniki analitycznej, której twórcą jest nie we wszystkich muzykologicznych seminaryach niemieckich lubiany — Riemann. Gdy mowa o rytmie, należy zwrócić uwagę na znaczenie taktu słabego i mocnego, na położenie motywu w obrębie grupy taktowej itd. itd. To dopomogłoby au-

torce do osiągnięcia jeszcze piękniejszych rezultatów. Czy tylko w polskich melodyach spotykamy „silniej skrystalizowaną budowę peryodów", „bardziej wypracowany rytm", „powtarzanie tegosamego tonu w szybkiem tempie", „sekwencye", „synkopowany rytm", „opisywanie głównego tonu (mniejszymi)", „częste powtórzenia ósemek", „szerokie rytmy", „ozdobne kadencye", „połączenie 3- i 2-taktowych „fraz" (lepiej: grup), „charakterystyczne skoki", „pasaże na końcu", „punktowany rytm" itd.? Zapewne znane są autorce podobne efekty z włoskiej i francuskiej zwłaszcza muzyki. Ale mimo to nie da się zaprzeczyć, że w melodyach polskich lub na ich wzór pisanych w Niemczech wszystkie te cechy znajdą się w mniejszej lub większej ilości obok siebie. Główny jednak a przez autorkę nie poruszony problem mieści się w pytaniu: w jakim związku m u s z ą pozostawać te cechy, aby dana melodya ludowa była polską lub pewna kompozycya niemiecka czy inna zdradzała niedwuznacznie wpływy polskiej melodyi. — Mimo to polski instynkt autorki doprowadził do stwierdzenia polskiego wpływu na szeregu muzyków niemieckich. Do najciekawszych ustępów tej kategoryi należą wywody, dotyczące „polskich sonat" Telemana, dzieł J. S. Bacha, zbioru Sperontesa (1736) i szkoły berlińskiej. Należy też z uznaniem zaznaczyć, iż dr. Simonówna bada także zewnętrzne okazye, przy których twórcy polskich kompozycyi w Niemczech zetknęli się bezpośrednio z Polakami lub wogóle polskością.

Kilka jeszcze szczegółów mamy do uzupełnienia. Pisząc na str. 105 o utworze J. H. Schmelzera (17. w.) p. t. „Polnische Sackpfeifen", widzi autorka w tymże stanowczo za mało cech polskich; jest ich w rzeczywistości więcej. Wszak może najbardziej charakterystycznem w nim jest to małe intermezzo w rytmie mazurka, o czem niema w pracy wzmianki. Polonezy W. F. Bacha zasługiwały na obszerniejsze omówienie. Cennem jest zwrócenie uwagi na nieznaną dotąd kompozycyę M. Mielczewskiego (17 w.) na 2 skrzypiec i bas cyfrowany. Czy jednak autorka nie zauważyła, iż pierwsza jej fraza jest prawie identyczną z pierwszą frazą ludowej pieśni niemieckiej do słów „Kraut und Rüben haben mich vertrieben", którą Bach umieścił w quodlibecie, kończącym Goldbergowskie waryacye? Zbadanie tej kwestyi byłoby wdzięcznem zadaniem. — Wartość pracy podnosi znacznie nutowy dodatek, obejmujący 40 pieśni ludowych (ze zbiorów Glogera i Kolberga), 16 tańców i polskich w swym charakterze utworów niemieckich częściowo już znanych z innych wydawnictw, częściowo zaś po raz pierwszy

opublikowanych przez autorkę (na pierwszy plan wysuwają się zwłaszcza 2 sonaty Telemana i „polonez" z jego suity; zbiór kończy urywek kompozycyi Mielczewskiego i polonez Grabowieckiego (1782). Dodatek ten spełnia znakomicie zadanie swe, dając obraz rozwoju polskości w niemieckiej muzyce aż do czasów wiedeńskich klasyków. Pracy Simonówny życzyć można — drugiego wydania, w którem uzupełnienie pewnych braków i wyrównanie szczegółów, przedewszystkiem jednak zastosowanie nowszej metody analitycznej sprawi, że wartość pracy, już obecnie wartościowej, znacznie się powiększy.

2. Dr. Piotr Wagner, profesor muzykologii na uniw. fryburskim w Szwajcaryi i dyrektor tamtejszej Akademii gregoryańskiej, był znanym dotąd jako pierwszorzędny autorytet na polu gregoryańskiego śpiewu. W tym charakterze obdarzył świat naukowy dziełem fundamentalnem, które w 2. wydaniu rozpadło się na 2 tomy: „Ursprung und Entwicklung der liturgischen Gesangsformen bis zum Ausgange des Mittelalters" (1901) i „Neumenkunde" (1912). Obok tych dzieł, tłómaczonych na różne języki, napisał prof. dr. P. Wagner szereg bardzo wysokiej wartości prac mniejszych i godne przekładu na język polski „Elemente des gregorianischen Gesangs" (1909). Stosunkowo niewiele pracy dotąd poświęcił Wagner muzyce religijnej wielogłosowej (Palestrina, de Rose). Rok rozpoczęcia zgubnej wojny przyniósł pierwszy tom „Historyi (wielogłosowej) mszy", do napisania której nikt nie mógł mieć więcej danych, jak prof. Wagner; i powiedzmy odrazu: dał nam dzieło klasycznej doskonałości pod każdym względem. Nie będzie też przesadą, jeśli szwajcarskiego uczonego nazwiemy jednym z klasyków muzykologii, który prócz tego wywarł wielki wpływ na reformę, t. j. restytucyę gregoryańskiego chorału, usankcyonowaną przez Motu proprio Piusa X. z 22. listopada 1903 r., do której dołączyła Stolica Apostolska rozporządzenie św. Kongregacyi Obrządków (z 8. I. 1904). Prof. Piotr Wagner wraz z wypędzonymi z Francyi OO. Benedyktynami (z Solesmes) zdobył i w praktyce kościelnej wielkie zasługi. Praktyk muzyczny przegląda też z każdej strony nowego dzieła Wagnera. Jeśli go zaś nazwałem klasykiem muzykologii, to głównie z tego powodu, gdyż umie — jak mało który uczony — łączyć naukowe doświadczenia z praktycznemi. Przytem sądy wydawane przez Wagnera tchną takim spokojem, takiem zrównoważeniem, wytrawnością i bezstronnością w rzeczach, co do których istnieją poglądy nieraz radykalnie przeciwne — doskonałość metody naukowej i wprost imponująca trzeźwość

sądu posunięta jest do tak wielkiego mistrzowstwa, że tylko niewiele dzieł może dorównać „Historyi mszy“ Piotra Wagnera. Prawda, że wielką ilość mszy od 14.—16. wieku wydano, że napisano wiele rozpraw i studyów, ale znaleźć się wśród tego ogromu materyału i nadać mu formę, odpowiadającą prawdzie i logice ewolucyi historycznej, umieć wynaleźć indywidualne rysy każdej szkoły (mimo objektywnego charakteru muzyki religijnej 15. i 16. wieku) i każdego większego twórcy, uzupełnić ważniejsze braki w materyale własnemi, często żmudnemi kopiami dzieł porozrzucanych w wielu bibliotekach, umieć znaleźć pomosty, prowadzące ponad lukami, jakich mimo najlepszych chęci nie mógł Wagner wypełnić, gdyż zajęłoby to życie nie jednego, ale wielu badaczy — temu ogromowi zadania podołał Wagner w sposób wprost doskonały. Wydania mszy 16. w. są bardzo dalekie do ukończenia. Szereg wielkich mistrzów jeszcze przedstawia się jako „terra incognita“. Ale mimo to zdołał Wagner objąć całokształt i dzięki jemu możemy dziś mówić o całkowitym obrazie mszy wielogłosowej w epoce renesansu. Znamy jej rodzaje i jej rozwój, wiemy, jakie różnice istniały między mszą niederlandzko-francuską, a włoską, angielską, hiszpańską i niemiecką. Rozdział III. dzieła Wagnera, w którym wielki uczony wprost usuwa mgły zawieszone nad mszą renesansu, należy do najdoskonalszych. Przekonujemy się dowodnie, jak bardzo Ambros mylił się, twierdząc, że badanie wartości gregoryańskiego śpiewu, jako składnika obrządku, nie jest zadaniem historyi sztuki... Właśnie Wagner choralista przybywa ustawicznie na pomoc Wagnerowi jako badaczowi mszy wielogłosowej i jej związku z aktem liturgicznym. Wspomniany rozdział, poprzedzony wykładem o mszy jednogłosowej i pierwszych próbach komponowania wielogłosowego „ordinarium“ i „officium“, jest jakby estetyką f o r m y mszy; wszystkie dalsze rozdziały wchodzą tylko w techniczno-stylistyczne szczegóły, które nigdzie nie mącą całokształtu, lecz są jakby uzupełniającymi komentarzami do III. rozdziału. Dzieło kończy się charakterystyką mszy Palestriny. Czyż może ktoś lepiej to uczynić niż Piotr Wagner? Z większem zrozumieniem rzeczy i większem umiłowaniem przedmiotu?

Dzieło to niech znajdzie się w ręku każdego, kto pragnie połączyć „dulce cum utili“ — mnóstwo przykładów muzycznych z głębokimi wywodami naukowymi.

3. Z niemałą radością spełnić wypada podpisanemu obowiązek sprawozdawczy z doskonałej pracy ks .dra W. Gieburowskiego i po-

witać w autorze znakomitego pracownika na polu historyi muzyki w Polsce. Praca powyższa jest dyssertacyą doktorską, napisaną pod pieczołowitą opieką jednego z największych uczonych muzycznych doby obecnej, prof. dra J. Wolfa w Berlinie i nosi na sobie znamiona świetnej naukowej metody, tak iż za zbyteczne uważam wszelkie pochwały na rzecz tej pod każdym względem nieskazitelnej i — co najważniejsze — nawskróś pozytywnej w rezultatach rozprawy.

Autor zajmuje się teoretycznym traktatem XV. wieku, znajdującym się w Bibliotece Seminaryum duchownego w Gnieźnie i będącym pochodzenia polskiego, gdyż autor traktatu zwał się Szydłowitą, pochodził więc z Szydłowa pod Krakowem i był magistrem. Nie jest pewnem, który z kilku Szydłowitów napisał ten bardzo cenny traktat; zachowując wszelkie naukowe ostrożności, przypuszcza ks. dr. Gieburowski, że autorstwo należy przypisać albo Mateuszowi albo Janowi Szydłowicie. Obydwaj należeli do sfer uniwersyteckich w Krakowie. Następnie podaje ks. dr. G. cały traktat in extenso, zwracając uwagę na te miejsca, w których najbardziej nas uderzają podobieństwa z odnośnemi miejscami traktatów obcych ze średniowiecza i wczesnego renesansu. Przekonujemy się, że nasz uczony Szydłowita znał bądź wprost bądź pośrednio traktaty Adama z Fuldy, Jana Cottoniusa, Isidora z Sewilli, Guidona l'Arezzo, Jana de Muris, Engelbeta z Admontu, Gobelina Persona, anonimowego mnicha Kartuza i słynnego Anonyma XI. (Conssemacker III). Oczytanym był więc bardzo, a oprócz wymienionych tu teoretyków głównemi źródłami byli dwaj inni: Theogerus z Metzu i Johannes Olendrinus. Niezmiernie sumienne badania ks. dra Gieburowskiego zdołały jednak stwierdzić stosunek Szydłowity do wielu innych pisarzy muzycznych średniowiecza. Wszelkie słabsze i dodatnie strony polskiego traktatu ukazują się w najobjektywniejszem świetle, przyczem znajomość wielkiej literatury średniowiecznej dotyczącej nauki o chorale jest u ks. dra G. tak świetna i miejscami budząca podziw, iż nie popełnimy przesady, gdy autorowi przyznamy palmę pierwszeństwa w Polsce, zaś zaszczytne miejsce między historykami średniowiecza wogóle. Praca tej wartości wynosi się niebotycznie ponad t. zw. „dyssertacyami". Naukowa ostrożność pozwala autorowi nie przesądzać wartości traktatu Szydłowity; autor wie dobrze, co w tym traktacie jest oryginalnego, wie też, że na ogół jestto mało samodzielna kompilacya, i że tylko w formalnym kierunku stara się Szydłowita być samodzielnym. Jego zamiarem było

dać traktat o teoryi chorału, celem zaś „eruditio scholarium in musica minus perfectorum". W każdym razie jestto p i e r w s z y przed r. 1500 napisany p o l s k i traktat w tym zakresie.

Do swej pracy dołączył ks. dr. Gieburowski osobny rozdział o teoryi i praktyce chorału w 15. wieku w Polsce, z uwzględnieniem reformy po-trydenckiej. Jestto niezmiernie pouczająca część pracy. Jej rezultatem jest udowodnienie, że w Polsce przestrzegano tradycyjnego chorału, że mimo pewnych ujemnych objawów już w 15. w. nie brakło dostojników kościelnych, którym stan chorału leżał na sercu. Doskonałem uzupełnieniem dawniejszych usiłowań (Molitora) jest przedstawienie reformy chorału w Polsce po soborze trydenckim. Jeśli zaś ks. dr. Gieburowski nie szczędzi gorzkiej uwagi dzisiejszym kościelno-muzycznym stosunkom w Polsce i stawia za wzór wiek 15., to na szczęście czy nieszczęście nie jest w swych poglądach odosobnionym. Już dawniej (także w naszym „Przeglądzie") nie mogłem tej kwestyi pominąć obojętnie.

Wreszcie niech autor pozwoli, jeśli moje sprawozdanie zakończę prośbą: aby z tąsamą gorliwością zechciał poddać badaniom historyę chorału w Polsce przed wiekiem 15. i zajął się także rozwojem pieśni religijnej polskiej do r. 1500, choćby na podstawie tych materyałów, jakie posiadają biblioteki głównych miast polskich. Nie możemy też wątpić, że ks. dr. Gieburowski zajmie wybitne u nas miejsce także jako muzykolog nauczający...

Prof. Dr. Adolf Chybiński (Lwów).

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Przebudowa polityczna państw a Stolica Święta.

Już w orędziu swem do panujących i narodów z dnia 1 sierpnia 1917 r. zaznaczył Ojciec święty Benedykt XV. dość wyraźnie, że w kwestyi terytoryalnych granic państw nie stoi na stanowisku bezwzględnego *status quo ante*. Proponuje bowiem dość daleko idące zmiany, które dzięki wypadkom wojennym dojrzały do urzeczywistnienia. Nawołuje mianowicie papież strony zainteresowane do rozstrzygnięcia spornych kwestyi, jak przynależności terytoryów austryackich, zamieszkałych przez Włochów, jak zagadnienia alzacko-lotaryńskiego, jak sprawy bałkańskiej, lub armeńskiej, wreszcie ziem, które niegdyś należały do Rzeczypospolitej polskiej, — „mając wzgląd w mierze słuszności i możliwości, na dążenia narodowościowe tych krajów i starając się pogodzić cząstkowe interesy z dobrem wspólnem całej wielkiej społeczności ludzkiej". Obecnie, kiedy to, co nie zostało osiągniętem drogą wzajemnych ustępstw i porozumienia, wymuszonem jest przez bieg wypadków, Ojcu świętemu nastręczyła się sposobność do przemówienia jeszcze raz w sprawie dokonywującej się politycznej przebudowy Europy. Sposobność to zresztą o charakterze przykrym. Wrogie Stolicy Świętej koła

włoskie, czyhające na każdą okazyę, by przeciw papieżowi jakiś zarzut ukuć, rozpuściły świeżo oskarżenie, że Benedykt XV. nie cieszy się ze szczęśliwego dla Włoch wyniku wojny i z osiągniętych z niej korzyści. Otóż Ojciec Święty z całą stanowczością odpiera ten zarzut w liście do Sekretarza Stanu, kard. Gasparri. Przypomina mianowicie co w sierpniowem swojem orędziu z roku przeszłego proponował wojującym stronom w sprawie terytoryalnego między Austryą i Włochami sporu. Tego jednego przypomnienia dość, by odeprzeć złośliwe inkryminacye, rzucane dziś na Stolicę Świętą.

Ale przy tej sposobności Benedykt XV. napisał coś więcej, co i dla nas ma niemałe znaczenie. Dowiadujemy się z listu Ojca Świętego, że nuncyuszowi w Wiedniu zostały udzielone wskazówki, aby wszedł w „przyjazne stosunki" z rozmaitymi narodowościami Austro-Węgier, które obecnie ukonstytuowały się w niezależne państwa". Czytamy dalej, że „Kościół, ta doskonała społeczność, której celem jedynym po wszystkie czasy i wszędzie jest uświęcanie ludzi, zarówno godzi się z rozmaitymi formami rządów państwowych, jak i uznaje bez żadnej trudności słuszne terytoryalne i polityczne zmiany narodów". — Jakie znaczenie posiada ten głos Ojca świętego w zastosowaniu do zasady narodowościowej w polityce, tego dotykamy w innem miejscu naszego pisma. Tutaj chcemy zwrócić szczególną uwagę na stanowisko papieża wobec dokonanych politycznych zmian w dawnej Austryi. Skoro poleca swemu nuncyuszowi nawiązanie przyjaznych stosunków z nowopowstałymi organizmami państwowymi i uzasadnia to tem, że Kościół bez trudności uznaje prawne zmiany, tem samem, zdaje się, uznaje i prawomocność nowych państwowych formacyi i obranych przez nie form rządu. W tym duchu już niektórzy biskupi austryaccy, jak n. p. biskup Gföllner w Linzu, kard. Piffl w Wiedniu i inni, dali wskazówki swemu klerowi, by współdziałał przy budowie nowych stosunków życia politycznego. Ze wskazówek Ojca świętego wynika pewna przestroga (zawarta zresztą już w encyklice Leona XIII „Immortale Dei" z r. 1885), żeby ani Kościoła ani nauki katolickiej nie wciągano w spór o taką czy inną, monarchiczną czy republikańską, formę rządu. Pod tym względem

katolicy mają zupełną wolność zdania i bronić mogą tej lub innej teoryi, ale na własną swoją, nie zaś Kościoła, odpowiedzialność. O co jednak mają usilnie, a zgodnie się starać przy nowem kształtowaniu życia publicznego, to o to, żeby w to życie tchnąć Chrystusowego ducha, by Kościołowi zapewnić niezbędną wolność w tem, co jest jego celem — w wychowywaniu w tym duchu społeczeństwa chrześcijańskiego i uświęcaniu dusz ludzkich. Każda legalnie utworzona forma rządu, byleby uszanowała przeznaczenie i wolność Kościoła, może być pewna jego uznania i poparcia.

Najbliższe zadanie katolików w Polsce.

W świetle wyłuszczonej powyżej zasady można naszkicować choć zgrubsza program katolickiej akcyi w Polsce na najbliższą metę. Zgóry trzeba się spodziewać, że budowa państwa u nas, jak zresztą wszędzie, nie obejdzie się bez silnych tarć i walk wewnętrznych. Ujawnią się one zapewne najbardziej przy wyborach do konstytuanty polskiej. W tej chwili, od której pono cały kierunek przyszłości zależeć będzie, staje przed nami zadanie poniechać sporów o rzeczy drugorzędne tak wewnątrz obozu katolickiego, jak i w stosunku do tych partyi i kierunków, które przynajmniej wyraźnie programu katolickiego nie zwalczają — odłożyć wszelkie obrachunki partyjne tembardziej osobiste, zszeregować się natomiast do obrony zasad, które stanowią o duszy narodu, do zapewnienia rodzącej się Ojczyźnie katolickiego charakteru. W szczególności będzie chodziło o zapewnienie religijnego wychowania dorastającego pokolenia, o obronę instytucyi chrześcijańskiego małżeństwa, wreszcie o rozwiązanie zagadnień społecznych i ekonomicznych bez łamania odwiecznego prawa Bożego. Rodzina, szkoła, własność — oto dobra, około których rozgrywać się będzie batalia, jaką wygrać powinniśmy. Kościół będzie nam tu wodzem, wiekopomne encykliki Leona XIII i wskazówki jego następców — światłem, wierność Bogu i poświęcenie się dla Jego sprawy — rękojmią zwycięstwa.

Program Związku katolicko-ludowego.

Mamy do zanotowania przykład zajęcia zasadniczo takiego właśnie stanowiska wobec za-

gadnień doby obecnej, jakie dopieroco naszkicowaliśmy. Rada naczelna polskiego Związku katolicko-ludowego, na zjeździe w Tarnowie 11 Listopada, uchwaliła szereg rezolucyi, które mają służyć za drogowskazy dla tego, pięknie rozwijającego się związku. Nie wchodzimy w omawianie wszystkich uchwał tarnowskich, które *in extenso* znaleźć można w organie Związku „Lud katolicki“ z 17 listopada; chodzi nam tylko o wytyczne linie tych uchwał. Braku demokratyczności nikt nie będzie mógł im zarzucić, jaki to brak często ze strony przeciwnej zarzuca się wszelkim, na gruncie katolickim stojącym organizacyom i ugrupowaniom. I tak, w kwestyi wyborów do Sejmu wypowiada się Rada naczelna Związku za wyborami na podstawie powszechnego, równego i bez różnicy płci głosowania. Uznaje również potrzebę reform społecznych, a w szczególności rolnej. W tę jednak demokratyzacyę i tę reformę chce tchnąć chrześcijańskiego ducha. Potępia też wszelkie zakusy narzucenia nam bezwyznaniowej szkoły, ograniczenia wolności Kościoła, domaga się uznania religii katolickiej za panującą w kraju, oczywiście przy zapewnieniu wolności innych wyznań. W poczuciu potrzeby konsolidacyi uchwalono dążyć do porozumienia, a ewentualnie i zjednoczenia się z innemi stronnictwami i stowarzyszeniami katolickiemi, jak również do porozumienia się ze Stronnictwem ludowem z pod znaku „Piasta“ celem zgodnej pracy na polu narodowem, politycznem i ekonomicznem. Pamiętano również o losie bezdomnych i inwalidów, polecając ich szczególnej opiece przyszłego Sejmu. Na zasadach, przyjętych w Tarnowie, dałyby się zorganizować olbrzymie jeszcze zastępy wierzącego polskiego ludu, nie objętego dotąd żadną z politycznych organizacyi.

Pogłębianie znajomości religii wśród inteligencyi.

Od lat kilku w większych centrach umysłowego życia w naszym kraju podejmowane są próby kursów i odczytów dla inteligencyi, mających pogłębić znajomość nauki katolickiej we wszystkich jej rozgałęzieniach. W Krakowie i Warszawie próby te przyjęły taką formę, że można mieć nadzieję urzeczywistnienia myśli stałych kursów religijnych dla

inteligencyi, myśli, jaką rozwijaliśmy w majowym zeszycie z r. 1917 naszego pisma. Mianowicie w Krakowie grono kapłanów pod egidą Towarzystwa św. Augustyna już trzeci z rzędu rok urządza seryę publicznych wykładów z zakresu teologii i pokrewnych jej gałęzi wiedzy. W Warszawie postawiono sprawę jeszcze szerzej i lepiej. Katolicki Związek Kobiet polskich, który oświacie katolickiej zasłużył się już przez systematyczne kursa katechetyki i pedagogiki, otwiera w tym roku kursa religijno-filozoficzne dla inteligencyi płci obojga przy udziale dobranych sił pod kierunkiem ks. Dra Lutosławskiego. Wykłady obejmować mają metafizykę, psychologię, logikę, pismo święte, teologię, historyę Kościoła, etykę i liturgię katolicką, wreszcie metodykę nauczania religii. Otrzymujemy więc formalny wydział teologiczny dla świeckich. Powodzenie dotychczasowych prób daje rękojmię powodzenia i na przyszłość; korzyści z tego rodzaju wykładów będą niewątpliwie wielkie. Ośmielilibyśmy się tylko zaproponować, by do programu wciągnięto obywatelskie wykształcenie w duchu zasad katolickich, a więc omawianie zagadnień społecznych, politycznych itp. Zresztą może one są przewidziane pod ogólnem mianem „etyki" chrześcijańskiej.

Quo vadis, Bohemia? Naród czeski często dostarczał powodów do podejrzeń, że przywiązanie jego do wiary katolickiej nie jest dość głębokie. Żeby nie sięgać dalej, wszak stwierdzano ciągle jakieś sympatye dla potępionego w 15 wieku husytyzmu, wyrażające się w przesadnym kulcie Husa, wszak na gruncie czeskim miał pewne powodzenie ruch *Los von Rom*, wszak czescy koloniści na Wołyniu i Ukrainie z lekkiem sercem przyjmowali prawosławie dla uzyskania prawa kupowania ziemi, itd. Obecnie, gdy naród z podziwu godną solidarnością buduje swoje własne państwo, zauważać się dają niebezpieczne dla religii katolickiej tendencye. Wszak już obwołanie prof. Masaryka, znanego ze swego radykalizmu, prezydentem republiki czeskiej, nie zbyt dobrze wróży. Nadto już od pewnego czasu przebąkiwano o jakiejś akcyi w celu unarodowienia Kościoła. Obecnie dzienniki notują jakieś wrzenia w łonie

pewnego odłamu kleru, domagającego się liturgii narodowej i małżeństwa księży. Z drugiej jednak strony słychać, że rząd Dra Kramarza nosi się z zamiarem nawiązania rokowań z Rzymem o konkordat, a nawet że już takie rokowania podjęto, przyczem niektórzy spodziewają się pewnych ustępstw ze strony Stolicy Świętej co do użycia języka słowiańskiego w liturgii. Nie możemy uprzedzać wypadków i przepowiadać, jak się ułożą stosunki między Kościołem a rzecząpospolitą czeską, to jednak uważamy za pewne, że lepszyby usługę religii i narodowi swemu oddali przodownicy kleru czeskiego, gdyby zamiast zakusów rozluźnienia jedności kościelnej, obrócili swe starania w kierunku budzenia ducha katolickiego wśród szerszych mas ludności, a zwłaszcza inteligencyi. Smutnym faktem z ostatniej doby było zburzenie przez tłum figury Matki Boskiej przed ratuszem w Pradze. Podobno widziano w owym pomniku symbol zwycięstwa Niemców nad Czechami pod Białą Górą, zdaje się jednak, że grało tu niemałą rolę zacietrzewienie adoratorów Husa. Temu ostatniemu wzniesiono przed paru laty pomnik vis-a-vis historycznej statuy Maryi, lecz widocznie sąsiedztwo tych dwóch pomników odczuwano jako anomalię, aż zdecydowano się na to, by raczej figura Dziewicy Najświętszej ustąpiła. Pretekst znalazł się, ale fałszywy; figurę tę bowiem wniósł Ferdynand III r. 1650 na pamiątkę obrony Pragi od najazdu Szwedów. Dzieła usunięcia figury dokonano w sposób brutalny, nie dobrze świadczący o poszanowaniu nie już przedmiotów czci religijnej, ale choćby zabytków sztuki.

Gruzini a Kościół. Polityczna przebudowa świata, która niejedną zadała ranę Kościołowi, otwiera jednocześnie przed katolicyzmem nowe możliwości rozszerzania się i podbojów. Zasługuje na uwagę choćby dawna Rosya, w której już nigdy zdaje się prawosławie nie wróci do dawnych swych przywilejów. Z tem większą łatwością będzie mógł Kościół pójść ze swą misyą do krajów, które od Rosyi odpadły. Na Kaukazie, wśród mozaiki rozlicznych szczepów odznacza się naród gruziński. Dumny jest on nietylko z waleczności swych mężów i urody swych córek, ale i ze starej, bo pier-

wszych wieków naszej ery sięgającej kultury. Historyę jednak miał twardą. Już w 4 wieku chrześcijański, hierarchicznie od Antyochii zależny, naród ten raz dochodził do rozkwitu, to znowu zapadał w ciężką niewolę Islamu. W końcu 18 wieku oddał się pod protektorat Rosyi, który niebawem zamienił się na unicestwienie politycznej niezawisłości i rusyfikacyę brutalną. Pod względem kościelnym jeszcze w 5 wieku otrzymali Gruzini pewną autonomię pod rządami wybieranych „katolikosów", w 11 stuleciu autonomia ta przeszła w całkowitą niezależność od Kościoła greckiego, którego jednak liturgię Kościół gruziński zatrzymał. Do schizmy Gruzini byli wciągnięci nieświadomie, bez czynnego udziału ze swej strony, wprost z powodu braku bliższych stosunków z Rzymem. W ciągu średniowiecza i później jeszcze podejmowano pewne próby zbliżenia się do Rzymu. Rosyjska okupacya zastała na Kaukazie misyę kapucyńską, której zawdzięczamy pozyskanie dla Kościoła pewnej choć niewielkiej garstki Gruzinów, która dotąd pozostała wierną katolicyzmowi. Pod rosyjskimi rządami Kościół gruziński stracił znowu swoją samodzielność; na miejsce „katolikosa" narzucono mu z Synodu petersburskiego „egzarchę", zawsze Rosyanina, który trzymał pod swą jurysdykcyą pięciu biskupów narodowości gruzińskiej i służył głównie interesom polityki rosyjskiej. Sufragani też jego wciąż acz napróżno walczyli o przywrócenie kościelnej autonomii. Oczywiście w epoce panowania rosyjskiego nie mogło być mowy o żadnych próbach unii z Rzymem. Lecz oto wojna przyniosła nietylko polityczną wolność Gruzinom, ale też kościelną samodzielność, i dawne choć słabe stosunki z Rzymem odnawiają się. Nowy katolikos Kyron II przez swego wysłańca w Konstantynopolu złożył na ręce Delegata papieskiego, Mgr. Dolci, pismo do Ojca Świętego, w którem zawiadamia o swym wyniesieniu i wyraża żal z powodu dokonanej niegdyś schizmy między prawosławiem a Rzymem. Pełnomocnik katolikosa załączył prośbę o wysłanie do Tyflisu osobnego arcybiskupa dla tamecznych katolików, dotąd zależnych od biskupstwa w Saratowie. Z tych kroków głowy Kościoła gruzińskiego można powziąć nadzieję, że w niedalekiej przyszłości stosunki między Gruzinami a Stolicą Świętą jeszcze bardziej się zacieśnią, a może

i do zupełnego połączenia się z Kościołem doprowadzą. Według statystyki Synodu w Petersburgu egzarchat gruziński liczył w 1907 roku 1.718.044 wiernych.

Ks. Jan Urban.

Organizacya polskiej młodzieży robotniczej i wiejskiej.

Jedną z najważniejszych trosk katolickiego społeczeństwa winno być zaopiekowanie się dorastającą młodzieżą wszelkich warstw, by ją uchronić od złych wpływów i zaprawić do życia zawodowego i obywatelskiego. Pracę tę podjęto na naszych ziemiach, zwłaszcza od kilku lat. Niestety, wskutek rozbicia dzielnicowego i przeszkód wojennych dotąd jeszcze trudno zoryentować się w tej pracy i zestawić w całość osiągnięte rezultaty. Podajemy garść danych, dotyczących Galicyi i tak zwanej do niedawna okupacyi austryackiej w Kongresówce.

Już od szeregu lat biskupi galicyjscy zachęcali do organizowania młodzieży. Były też we wszystkich dyecezyach sporadyczne próby podjęte w tym kierunku. Wciąż atoli odczuwano potrzebę jakiegoś stałego organu, któryby kierował całym ruchem. W dyecezyi krakowskiej rolę tę miał spełniać Komitet Dyecezyalny, którego pierwszym zadaniem było rozszerzanie wzorowej organizacyi uczniów rękodzielniczych, następnie także młodzieży wiejskiej. Na polu organizacyi terminatorów pracował komitet bardzo szczęśliwie; wszystkie prawie miasta dyecezyi krakowskiej miały już przed wojną odpowiednie organizacye. Gdy wskutek trudności, wywołanych wojną praca organizatorska nieco osłabła, a z drugiej strony jej potrzeba stała się jeszcze bardziej naglącą, postanowiono innym sposobem wziąć się do dzieła. Z początkiem października 1916 r. doszedł do skutku zjazd księży dyecezyi krakowskiej. Referaty, wygłoszone na tym zjeździe, odnosiły się do potrzeby zrzeszenia młodzieży, stworzenia dla stowarzyszeń generalnego sekretaryatu i założenia miesięcznika dla zorganizowania młodzieży. Zjazd postanowił przeprowadzić odpowiednie rezolucye. Powstał tedy sekretaryat generalny, założono „Młodzież polską“ jako organ stowa-

rzyszeń. W następnym roku urządzono znowu zjazd. Liczba uczestników, przechodziła setkę, co świadczy o szczerem zajęciu się sprawą Sprawozdanie z ruchu organizacyjnego dowiodło, że rozpoczęte dzieło jest bardzo na czasie i ma najlepsze widoki. W pierwszym roku powstało już 50 stowarzyszeń. Ilość zrzeszonych w poszczególnych związkach chwieje się zazwyczaj między 60—100. Referaty i dyskusye tego zjazdu wyjaśniły jeszcze lepiej zadanie sekretaryatu a między innymi przyjęto wniosek stworzenia głównego związku wszystkich stowarzyszeń. Trzeci zjazd odbył się 24 października b. r. Sprawozdawca, ks. Śliwa, wykazał, że związki zataczają coraz szersze kręgi; liczba ich doszła już do 91 a obejmuje mniej więcej 5000 młodzieży pozaszkolnej, byłoby to prawie 5% wszystkiej młodzieży dyecezyi krakowskiej. Na dwa lata działalności jest to już bardzo dużo, lecz o wiele więcej pozostaje jeszcze do zrobienia. Dyecezya krakowska posiada 211 parafii, w czem 876 miejscowości, jest zatem jeszcze miejsce na pomnożenie stowarzyszeń. Poza tem wiele wysiłków trzeba jeszcze łożyć na wydoskonalenie organizacyjnej pracy; na wciągnięcie jej niejako w program pracy duszpasterskiej i życia parafialnego. Na ten temat wygłosił swój referat ks. Kasprzyk i toczyły się żywe dyskusye. Na tym zjeździe dokonano też wyborów do Głównego Wydziału Związku Katolickich Stowarzyszeń dyecezyi krakowskiej.

Praca dyecezyi krakowskiej odbiła się donośnym echem w sąsiadującej dyecezyi tarnowskiej. Postanowiono i tam wziąć się energicznie do czynu. Jeszcze w listopadzie 1916 r. urządzono zjazd duchowieństwa miejscowego, na którym wybrano komisyę do ułożenia statutu związkowego i powołano do życia sekretaryat generalny. Usiłowania duchowieństwa wieńczy wcale dobry rezultat. Do lipca b. r. było już 56 stowarzyszeń z 2600 członkami. Dotychczas odbyły się już dwa zjazdy księży i jeden młodych delegatów wszystkich stowarzyszeń, który wypadł nadspodziewanie świetnie. Obecnie myślą powołane czynniki o przeprowadzeniu kursów dla księży prezesów, co niewątpliwie wpłynęłoby bardzo dodatnio na rozwój młodych organizacyi.

Dyecezya przemyska i lwowska, choć niejednokrotnie dały dowód swej zdolności organizatorskiej, dotychczas nie zdobyły się na systematyczną i jednolitą pracę w tym względzie. Prawdopodobnie jednak przyjdzie wnet do tego.

Następnie przeniósł się ruch za dawny kordon rosyjski. W lipcu b. r. urządzono w Kielcach zjazd celem powzięcia stanowczego kroku

w tym względzie. W zjeździe brali udział przedstawiciele działaczy galicyjskich. Roztrząśnięto wszystkie zasadnicze problemy o potrzebie, formach, sposobach i przeszkodach organizacyi, zadecydowano stworzenie sekretaryatu, wybrano komisyę do zredagowania statutu, który w październiku już był gotowy.

Za dyecezyą kielecką poszła sandomierska. Zaraz w sierpniu na zjeździe w Radomiu powzięto takiesame uchwały. W najbliższym czasie ma podobno uczynić tosamo dyecezya lubelska, a niewątpliwie i inne nie pozostaną w tyle. Wiadomo przecież, że duchowieństwu dawnej Kongresówki nie była obca ta praca. Mimo tysiącznych zakazów skupiało ono młodzież w przeróżnych stowarzyszeniach, to w śpiewackich, to w gimnastycznych i t. p. by jakoś panować nad umysłem i sercem młodzieży. Dziś, gdy Opatrzność zgruchotała potęgi wrogie, zapał duchowieństwa będzie mógł rozwinąć swe skrzydła i porywać gromadnie do lotu młode polskie orlęta.

R. M.

Organizacye katolickie w Niemczech.

Nie ulega wątpliwości, że po bankructwie swej polityki ekspansyjnej wstąpią Niemcy w najbliższej przyszłości na drogę reorganizacyi i wzmacniania wewnętrznego swego życia publicznego. Jeżeli wybujały nacyonalizm, o który są oskarżani i katoliccy Niemcy, przyprowadził naród na kraj przepaści, może zostanie zrozumianą głębiej ta prawda, że kształcić potrzeba w duszach ludzkich przedewszystkiem o g ó l n o l u d z k i e pierwiastki, których żaden patryotyzm nie zastąpi. Istnieje atoli niebezpieczeństwo w Niemczech, jak wszędzie, rzucenia się w drugą ostateczność — międzynarodowego socyalizmu. Złoty środek zdoła się utrzymać, jeżeli społeczeństwa przejmą się do głębi duszy zasadami katolickiemi, nakazującemi godzić miłość Ojczyzny z bezwzględnemi zasadami sprawiedliwości i miłości ku obcym. Do tego muszą zaistnieć wszędzie dwa warunki: zrzeszenie sił katolickich i głębokie z wszystkiemi konsekwencyami uświadomienie sobie ducha chrześcijańskiej nauki. Na pochwałę Niemiec, a zachętę do naśladowania dla nas, na-

leży podnieść, że pierwszy z tych warunków już przed wojną w znakomitej mierze osiągnięty został i zapewne odegra swą rolę w przyszłem odrodzeniu tego narodu.

Wyjmujemy sumaryczne zestawienie dat i cyfr, dotyczących organizacyi katolickich w Niemczech, jak się one przedstawiają w znakomitem wydawnictwie ks. H. A. Krose T. J. „Kirchliches Handbuch“ [1]).

Duch organizacyjny w dużej mierze wypływa z niemieckiej psychy, przyzwyczajonej do zbiorowego porządku, uginającej się łatwo przed władzą, stosującej się karnie do prawa. Ruch organizacyjny tak szeroko rozwinięty przed wojną nie osłabł wcale i w ostatnich latach, owszem stosując się do nowych potrzeb, przybierał nowe formy. W ten sposób powstało sporo nowych stowarzyszeń i związków, a dawne stowarzyszenia rozszerzyły swą działalność na nowe tereny. Postęp organizacyi katolickiej w Niemczech w czasie wojny odznacza się i tem, że dawne stowarzyszenia koncentrują się coraz bardziej i w ten sposób wytwarzają coraz większą wspólnotę pracy katolickiej. Organizacye miejscowe, parafialne przeradzają się powoli w dyecezyalne, te znów łączą się w ogólno niemieckie. Zasadniczo jest to zjawisko bardzo korzystne. Chociaż bowiem zbytnia centralizacya jest napewno przeszkodą, ponieważ tamuje rozwój sił indywidualnych, to jednak pewne ujednostajnienie pracy pomaga bardzo do jej rozpoczęcia i rozszerzenia, pozwala łatwiej korzystać z doświadczenia drugich, ułatwia wzajemną pomoc i porozumienie, przyczynia się do postępu, wywołując rywalizacyę.

Na tej podstawie uorganizował się ostatecznie pod koniec 1917 r. o g ó l n y z w i ą z e k w s z y s t k i c h k a t o l i c k i c h i n s t y t u c y i i s t o w a r z y s z e ń d o b r o c z y n n y c h. W obrębie tej organizacyi rozwija się 171 różnych typów stowarzyszeń dobroczynnych, posiadając niemal całkowitą swobodę i autonomię w swej zawodowej organizacyi. Niektóre z tych organizacyi łączą się jeszcze w zawodowe związki, które stoją w pośrodku między poszczególnemi stowarzyszeniami a ogólnym związkiem. Takich związków zawodowych było już 30 pod koniec 1917 r. Czternaście z nich powstało z inicyatywy central-

[1]) Mamy przed sobą 7 tom tego wydawnictwa, dający nam obraz katolicyzmu niemieckiego za rok 1917/18. Wyd. Herdera we Fryburgu 1918, str. 450. Przy obecnem zrastaniu się naszych dzielnic, wartoby pomyśleć o podobnem wydawnictwie polskiem, któreby obejmowało wszystkie strony religijnego i kościelnego życia w całej Polsce.

nego związku, reszta tworzyła się niezależnie od niego, lecz do niego należy i podlega jego ogólnym zarządzeniom. Szesnaście dyecezyi do dziś ma swoje związki dyecezyalne, łączące wszystkie stowarzyszenia dobroczynne.

Znamienną cechą organizacyi niemieckich jest to, że prawie wszystkie posiadają swe zawodowe pismo. Jak bogate jest ich wydawnictwo świadczy n. p. fakt, że sam związek centralny wydaje sześć różnych czasopism, z których jedno „Caritasstimmen" wychodzi w 30.000 egzemplarzy. Wiele stowarzyszeń utrzymuje specyalne zakłady dla przeprowadzenia dobroczynnej akcyi, niektóre zaś urządzają czasowe lub stałe kursa, by wyszkolić odpowiednio siły do zawodowej pracy dobroczynnej.

Oczywista tego rodzaju urządzenia wymagają odpowiednich funduszów. Składają się na nie i zasiłki rządu i stałe lub jednorazowe ofiary osób zamożniejszych, jak niemniej wkładki wszystkich członków. Jak katolicy niemieccy skłonni są do spłacania wysokich wkładek zaświadczy fakt, że członkom dożywotnim centralnego związku można było przepisać jednorazową wkładkę wynoszącą 200 M.

Nie sposób na tem miejscu przedstawić dokładnie wszystkich kierunków i wielkości dobroczynnej akcyi katolickich Niemiec, musimy się więc ograniczyć tylko do podania paru charakterystycznych liczb, z których można sobie wyrobić jakie takie pojęcie o całości ruchu. W dwu latach 1916/17 wysłał centralny związek 200.000 dzieci na wieś, by ratować ich nadwątlone zdrowie. Inna organizacya dała w jednym roku przytułek przeszło siedmiu tysiącom dzieci. Centralny związek opieki nad dziećmi utrzymuje 853 zakładów wychowawczych. W związku opiekującym się kalekami fizycznymi lub umysłowymi i dbającym o ich utrzymanie i jakieś zawodowe wykształcenie pracowało pod koniec 1917 r. 50 tysięcy członków. Jedno stowarzyszenie należące do tego związku dało w trzech latach pomoc przeszło czterem tysiącom osób. W trzech stowarzyszeniach, opiekujących się głuchoniemymi, pracuje z górą trzy tysiące członków. W samej paderborneńskiej dyecezyi utrzymuje związek szpitalny 68 szpitali. Centralny związek stowarzyszeń katolickiej młodzieży urządził w zupełności, lub czynnie pomógł do urządzenia 750 schronisk dla znękanego wojną żołnierza, itd. itd.

Poza temi organizacyami o charakterze czysto dobroczynnym rozwijają się całkiem pomyślnie organizacye stanowe: robotników, robotnic, urzędniczek, pomocnic handlowych, studentów i t. p.

Ostatnia w bieżącym roku nabrała jeszcze więcej społecznego znaczenia przez otwarcie centralnego biura pracy, które uczącej się młodzieży służy informacyami w obiorze zawodu, pośredniczy w uzyskaniu posad i udziela wskazówek w sprawach, odnoszących się do pracy naukowej i zawodowej. O rozmiarach tej organizacyi mówią cośkolwiek następujące daty: Związek stowarzyszeń młodzieńczych w Niemczech łączy 3.623 różnych stowarzyszeń młodzieży, przedstawiających 362.000 członków. Katolicki związek młodzieży w Bawaryi liczy 20.406 członków zwyczajnych i 7.339 nadzwyczajnych. Do centralnego związku dziewcząt katoliczek należy 2.095 stowarzyszeń, w których jest blisko pół miliona stowarzyszonych. Dyecezya monastyrska ma 340 stowarzyszeń ze 130.000 członków. Jakkolwiek liczby te są istotnie bardzo pokaźne, są przecież tylko fragmentem rzeczywistości.

Słówko jeszcze wypada poświęcić stowarzyszeniom kulturalno-oświatowym. Stare przysłowie „inter arma silent musae“ częściowo tylko ziściło się na nich dzięki wytrwałej pracy członków. Jeszcze w ubiegłym wieku powstałe towarzystwo Görresa działało dalej z wielką wydatnością. Mimo wojny rozporządzało w r. 1916 62 tysiącami marek, a więc niespełna o dziesięć tysięcy mniejszym niż w czasie swego największego rozkwitu przed wojną. Podobnie stowarzyszenie sztuk pięknych jeszcze w roku 1917 wydawało dalej swe pismo „Christliche Kunst“, którego dotąd wyszło 13 tomów z przeszło 9 tysięcami wzorowych reprodukcyi. Nie ustały też w swej działalności stowarzyszenia, mające na celu popieranie wykształcenia estetycznego.

Dla szerzenia dobrej prasy katolickiej i bibliotek istnieje w Niemczech sporo różnych stowarzyszeń, między innemi katolicki związek prasowy w Bawaryi. Warto wspomnieć, że ów związek posiadał w 1917 r. 470 bibliotek publicznych z 352.000 tomów. Podczas wojny wypożyczył 3.383.673 tomów osobom cywilnym, osobom zaś wojskowym podarował ponad sześć milionów książek, pism i broszur. Niemniej dzielnie sprawia się stowarzyszenie św. Karola Boromeusza w Bonn, którego zadaniem jest dostarczanie dobrych pism i książek czy to w formie sprzedaży, czy podarunku, czy też przez zakładanie bibliotek stałych lub ruchomych. W r. 1916 podało w ten sposób do rąk pół miliona dzieł, a do końca 1917 r. dostarczyło żołnierzom 1.354.314 tomów i przeszło 8 milionów różnych pism.

Są to rzeczywiście bardzo okazałe cyfry, będące chlubą dla ini-

cyatorów i kierowników społecznej pracy a dla katolicyzmu niemieckiego silną pomocą w walce przeciw protestantyzmowi i materyalizmowi. Dodać na tem miejscu można, że piętnaście różnych typów organizacyi niemieckich posiada swoje związki także i poza granicami Niemiec, głównie w Szwajcaryi, cztery sięgają aż za Atlantyk, dwa zaś związki księży abstynentów grupują się z hasłem międzynarodowości

R. M.

REDAKTOR NACZELNY: *Ks. Jan Urban T. J.*
WYDAWCA I REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: *Ks. St. Podoleński T. J.*
DRUKARNIA EUGENIUSZA I DRA KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Ks. Dr. K. Kantak: **Idee religijne w nowszej literaturze polskiej.** Poznań, r. 1918. Str. 38 in 12°.

Joseph Stiglmayr S. J.: **Jesuiten.** Was sie sind und was sie wollen. Herder, Freiburg in Br. 1918, 16°, VIII+148.

Georg Schreiber: **Mutter und Kind in der Kultur der Kirche.** Herder, Freiburg in Br., 1918, 8°, 20+160.

Dr. Michael von Faulhaber: **Das Schwert des Geistes.** Feldpredigten. 3. und 4. Auflage, Herder, Freiburg im Br., 1918, 8°, XIV+526.

Fr. Snopek: **Klemens von Rom und seine Reliquien.** Kremsier 1918. 8°, 75.

Franz Ehrle S. J.: **Grundsätzliches zur Charakteristik der neueren und neuesten Scholastik.** Herder, Freiburg im Br., 1918, 8°, IV+32.

Dr Joseph Ries: **Die Mischehe** (Hirt und Herde, 3 Heft), Herder, Freiburg im Br., 1918, 8°, IV+76.

— **Leben der seligen Margareta Maria Alacoque.** 2. und 3. Auflage. Herder, Freiburg im Br., 1918, 8°, VIII+228.

Ks. J. Adamski T. J.: **W imię Ojczyzny Polskim rodzinom.** Nakładem księgarni św. Wojciecha, Poznań 1918, 8°, s. 117.

Dr Michael von Faulhaber: **Waffen des Lichtes.** (Gesammelte Kriegsreden). 5. Auflage, Herder, Freiburg im Br., 1918, 12°, IV+244.

Emanuel Masák: **K branám věčnosti.** Olomouc, 1918, str. 284 in 12⁰.

O. Casel O. S. B.: **Das Gedächtnis des Herrn in der altchristlichen Liturgie.** Herder, Freiburg im Br., 1918, 12⁰, XII+38.

Dr Irena Pannenkowa: **Walka Galicyi z centralizmem wiedeńskim.** Nakładem „Wydawnictwa Polskiego", Lwów 1918. str. 295 in 12⁰.

Józef Brzeziński: **Przyszła Polska a Kościół.** Kraków 1918, str. 23 in 12⁰.

Dr A. Ski: **Stanowisko religii w szkole.** Nakładem „Ateneum kapłańskiego", Włocławek, 1918, str. 51 in 8⁰.

Dr Franciszek Bujak: **O podziale ziemi.** 2 wyd. Nakładem redakcyi „Piasta". Kraków, 1918, str. 68 in 12⁰.

— **Przyczyny upadku Polski.** Odczyty. Gebethner i Wolff, Warszawa 1918, str. 295 in 12⁰.

Henryk Mościcki: **Unici.** Wspomnienia z dziejów męczeństwa. Gebethner i Wolff. Warszawa 1918, str. 163 in 12⁰.

Marya Tańska: **Historya Unii.** Gebethner i Wolff. Warszawa 1918, str. 29 in 12⁰.

Zuzanna Rabska: **Miniatura.** Warszawa 1918, Gebethner, stron 135 in 12⁰.

Teodor Jeske-Choiński: **Przyjaciółki, Przyjaciele żony i różnego rodzaju typy niewieście.** Warszawa 1918, Gebethner, str. 295 in 12⁰.

— **Demon odrodzenia.** Powieść historyczna. Warszawa 1917. Gebethner, 2 tomy, str. 250 i 209 in 12⁰.

Ludwik Włodek: **Bolesław Prus.** Zarys społeczno-literacki. Gebethner i Wolff. Warszawa 1918, str. 352 in 8⁰.

Adam Grzymała Siedlecki: **Wyspiański.** (Cechy i elementy jego twórczości). Gebethner i Wolff. Warszawa 1918, wydanie 2, str. 333 in 8⁰.

Mieczysław Baranowski: **Pedagogika do użytku seminaryum nauczycielskiego i nauczycieli szkół ludowych,** wydanie 9. Warszawa, Gebethner i Wolff, str. IV+140 in 8⁰.

Feliks Koneczny: **Polska w kulturze powszechnej.** Dzieło zbio-

rowe pod redakcyą Dra Feliksa Koneczнego. 2 tomy, Kraków 1918, str. 419 i 649 in 8°.

Deutschland und der Katholicismus, herausg. von Dr M. Meinertz und Dr H. Sacher. I B. Das Geistesleben. (S. VIII +446). II B. Das Gesellschaftsleben (S. XXIV + 515). Freiburg, Herder.

W przededniu pokoju.

Mnożą się oznaki bliskiego pokoju!

Horyzont polityczny jeszcze się nie wyjaśnił, ale barometr świata idzie w górę, a ta masywna pokrywa, która tłoczyła całą ludzkość przez lata, tak zdawało się silna, bo nie z chmur, ale z żelaza i ołowiu ulaną, pęka jednak i złom po złomie usuwa się z niej i zapada gdzieś w przepaść. Wypadki na Bałkanach, przeobrażenia wewnętrzne wojujących mocarstw, wreszcie powszechne zmęczenie i wyczerpanie ludów wojną — wszystko to uprząta zawady z drog ku pokojowi. Taka czy inna pokojowa nota, takie czy inne jej przyjęcie — wszystko to są podrzędne momenty, poza którymi stoi czynnik główny i decydujący: powszechne pragnienie pokoju.

I pokój ten, da Bóg, rychło zaświta ludzkości.

Myśląca tej ludzkości część zajmie się zapewne niebawem obrachunkiem szkód, jakie ta straszna wojna wyrządziła i zysków, jakie przyniosła. Jak ten bilans wypadnie, trudno przepowiedzieć; straty te bowiem i zyski są zbyt różnorodne, by je było można do wspólnego mianownika sprowadzić; końcowy plus czy minus dużo zależeć będzie od tego, co się w szacunku na pierwszem miejscu postawi. Dla człowieka wierzącego, który z pewnym religijnym optymizmem na rozwój dziejów patrzy, to jedno zdaje się nie ulegać wątpliwości, że tak straszną katastrofę mogła Opatrzność dopuścić na świat tylko dla widoku jakiegoś wielkiego dobra, że rui-

na starego świata domaga się budowy świata nowego. To zamierzone przez Opatrzność dobro, ten świat nowy może jeszcze nie rysuje się nam w określonych kształtach. Przyszłość je nam ukaże i wtedy rządy Boże usprawiedliwią się całkowicie w oczach naszych...

Tak, ale i to dobro musi zrealizować ludzkość własną pracą, a ta praca będzie tem większą, że trzeba będzie usunąć nagromadzone przez wojnę ruiny. Może najłatwiejszą częścią zadania będzie odbudowa ekonomiczna, trudniejszą będzie rzeczą i więcej czasu pochłonie usuwanie posiewu wojny w zdrowiu fizycznem narodów: wycieńczenie sił życiowych przez głód, zachwianie równowagi nerwów przez tak długie ich napięcie i tak silne wstrząśnienia, cherlactwo, sprowadzone zaraźliwemi chorobami — oto ruina, której usunięciu wiele wysiłków wypadnie poświęcić.

Ruina moralna jeszcze groźniejsza: oswojenie się z krwią ludzką, rozluźnienie rodzinnych węzłów, zatracenie poszanowania cudzej własności, wogóle stępienie zmysłu moralnego i rozwydrzenie dzikie obyczajów. Chyba najwięcej będzie kosztowało ludzkość, by te ruiny usunąć, bo tu musi dźwigać samą siebie upadła i zdeprawowana wola.

To wszytko jednak stanowi dopiero połowę programu. Druga połowa, prawdziwie pozytywna, to nie o d b u d o w a, lecz b u d o w a nowego ładu i nowych stosunków na świecie. Trzeba będzie przecież realizować to wyższe dobro, jakiego Opatrzność oczekuje po dźwigającej się z ruin ludzkości. Dlatego z troską wielką spoglądamy w przyszłość. Czy ludzkość zrozumie plany Boże i pocznie tworzyć rzeczy niespożyte, czy też wznosić będzie na starym piaszczystym gruncie stare gmachy, przyszłe ofiary katastrofy nowej?

Tak, chodzić powinno głównie o tę myśl Bożą względem ludzkości i o fundamenta trwałe. Między rzeczami pożytecznemi, których ta wojna winna była ludzi nauczyć, jest lekcya pokory dana ludzkiemu duchowi. Głosił on ustami mędrców ubiegłego wieku swoją dojrzałość i bezwzględną autonomię: Boże światło i Bożą pomoc odrzucał, pierwsze jako przesąd niegodny siebie, drugą jako rzecz zbyteczną. Tracąc coraz bardziej z oczu przewodnią gwiazdę transce-

dentalnych przeznaczeń swoich, postawił za bożyszcze swoje, uczynił wyłącznym bodźcem wysiłków swoich zewnętrzną kulturę i materyalny dobrobyt. Te, siłą rzeczy egoizm podsycające, zasady miały jednak, według zapewnień tychże mędrców, sprowadzić na świat powszechne braterstwo ludzi i ludów. Wojna stała się egzaminem wartości tych zasad i egzamin wypadł fatalnie. Sławiona, jako najwyższa ducha ludzkiego zdobycz, kultura przeobraziła się w gigantyczną machinę, która sama siebie niszczy, grzebiąc pod gruzami swymi dobrobyt i komfort; zamiast obiecywanego braterstwa ludów, świat dał widowisko dwóch obozów zapamiętałych wrogów. Dotychczasowe więc wartości trzeba poddać przewartościowaniu, trzeba szukać innej podstawy do życia i współżycia ludzi, innych bodźców do działania. Czy zechce je ludzkość zobaczyć po tej strasznej poglądowej lekcyi? Czy nie ulegnie pokusie zaufania znowu samej sobie?

Obawy pod tym względem nie są bezpodstawne. Rodzi je sama akcya mocarstw wojujących. Wilsonowskie punkta, które mają się stać podstawą przyszłego pokoju, zawierają bezwątpienia zasady sprawiedliwe i etyczne, trzeba powiedzieć więcej — zrodzone z ducha chrześcijaństwa, zdradzają atoli ten niedostatek, że nic wspominają nic o swem źródle właściwem, o ostatecznej podstawie wszelkiego prawa, którą jest nie co innego, jak tylko prawo przyrodzone i Boże. I może się powtórzyć historya z przed 130 lat. Ówczesne hasła równości, braterstwa, wolności były owocem całego rozwoju wieków, dokonanego pod tchnieniem Ewangelii: gdy jednak zapoznano ich źródło i podano je jako zdobycz autonomicznego ludzkiego rozumu, podcięto ich skuteczność i wynaturzono ich treść. Oby się nie stało coś podobnego z dzisiejszemi hasłami, pod któremi nam pokój przychodzi! Punkta Prezydenta Stanów Zjednoczonych z 8 stycznia naprawdę nie głoszą żadnej zasady oprócz tych, jakie ze skarbca nauki katolickiej poczerpnął Benedykt XV. o pół roku wcześniej. Wilson tylko wchodzi więcej w konkretne szczegóły. Otóż niedobry byłby to znak, gdyby w decydującym momencie akcyi pokojowej zapomniało się o nocie papieskiej i pominęło Stolicę św. Usunęłoby się tym sposobem z pod pięknych zasad właściwą ich podstawę. A wskutek tego i ich sku-

tecznośc w korzeniu by się podcięło. Jakąż bowiem sankcyą opatrzy się pokojowe układy, jeżeli nawet najsprawiedliwszy ład na świecie zaprowadzą, czem się zabezpieczy na przyszłość braterstwo ludów, jeśli się pominie Boga, jako najwyższego sprawiedliwości stróża i sędziego wiarołomców? Czyż nie do tej samej brutalnej siły militaryzmu trzeba będzie się zwrócić i nią opatrzyć skuteczność pokojowych postanowień, jeśli się nie zechce zaryzykować, że staną się one wkrótce „świstkiem papieru“ dla tych, co większą fizyczną siłę poczują? Tylko Bóg i jego odwieczne prawo, jeżeli je głęboko wszczepi się w świadomość jednostek i narodów, zdolne będą zapewnić poszanowanie dla zasad sprawiedliwości i zapobiedz nowym zderzeniom narodowych egoizmów. Niestety, budowniczowie pokoju pono zapominają o tym fundamencie z granitu.

Jaka rola przypada w pokojowej pracy naszej Ojczyźnie? Chyba tylko ślepy nie dojrzy palca Bożego w tem, co się z nami dzieje. Zmartwychwstaje Polska, ten Łazarz narodów, nie dzięki tym czy innym zabiegom czy orjentacyom naszych dyplomatów, ale dzięki wszechmocy Bożej, odwalającej ciężkie kamienie grobowe. Dziś już możemy być pewni, że i nam zostanie wymierzoną sprawiedliwość. Ale to Boże dobrodziejstwo nakłada na nas obowiązek podwójny, bo już nie tylko na słuszności, ale i na wdzięczności oparty, byśmy w budowaniu naszej przyszłości oparli wszystko na prawie Bożem. Choćby nawet wzory innych nie dopisały pod tym względem, my pamiętajmy, by nasze stosunki wewnętrzne i zewnętrzne, społeczne i narodowościowe, wspierały się na niespożytej podstawie i owiane były duchem ewangelicznej miłości. Umilknąć powinny złowrogie pomruki nienawiści jednych, ustąpić prywata i egoizm klasowy drugich, zniknąć wszelka względem obcych niesprawiedliwość w całym narodzie! Samolubstwo każde czy to klasowe, czy narodówościowe, tak samo jak egoizm osobisty, będzie źródłem rozbicia i upadku; nie kładźmy go jako kamień węgielny budowy. „Błogosławiony lud, którego panem Bóg jego“ — niech te słowa psalmisty spełnią się na nas, w naszem narodowem powstaniu, a wtedy nie napróżnośmy zajęli miejsce wśród wolnych.

Ks. Jan Urban.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Strona

Sprawa przyszłości żydów w palestynie. Przez *Ks J. Pawelskiego T. J.* 391

O prawa obywatelskie dla kobiet. Przez *Ks. Jana Urbana T. J.* 414

Z działalności literackiej konstancyi morawskiej. Przez *Stanisława Tarnowskiego* 432

Bóg w duszy sprawiedliwego. Przez *Ks. J. St. Adamskiego T. J.* 456

Mowy ku czci kościuszki przed stu laty wygłoszone. Przez *Ks. Nikodema Cieszyńskiego* 469, 611

Z czasów chmielniczyzny. Przez *Dra Ant. Prochaskę* 480, 578

W przededniu pokoju. Przez *Ks. Jana Urbana T. J.* . . 1*

Mniejsze pisma tacyta. Przez *Kazim. Morawskiego* . . . 531

Jeszcze do sporu o chełmskich wyznawców. Przez *Ks. Jana Urbana T. J.* 546

Pożyczki wojenne w starożytnym rzymie. Przez *Dra M. Gumowskiego* 556

„Zła rada". Przez *Maryę Czeską* 586

Wojenne czasy muzyki. Przez *Prof. Dra A. Chybińskiego* 596

Samookreślenie narodów w świetle filozofii chrześcijańskiej. Przez *Ks. Jana Rostworowskiego T. J.* . . . 675

Czego pan bóg nie może. Przez *Ks. J. Nuckowskiego T. J.* 693

Strona

O PRZYRODZONEM CHRZEŚCIJAŃSTWIE LUDZKIEJ DUSZY. Przez *Prof. W. Rubczyńskiego* 709

INSTYTUT MATKI BOŻEJ MIŁOSIERDZIA. Przez *Ks. Stanisława Podoleńskiego T. J.* 719

WŁADYKA KRUPECKI W WALCE Z DYZUNIĄ. Przez *Dra Ant. Prochaskę* 731

HISTORYCZNA TRYLOGIA REYMONTA. Przez *Ks. N. Cieszyńskiego* 753

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Powstanie i rozwój emigracyi sezonowej. Ks. Dr A. Mytkowicz (*J. Krzep.*) 496

Wiara i moralność. Ks. Jan Szmigielski (*Ks. Jan Urban T. J.*) . . 499

Alfred Loisy, analiza psychologiczna. Ks. Dr Czesław Sokołowski (*Ks. Jan Urban T. J.*) 599

Poezye. Ks. Stanisław Sapiński (*Ks. Tadeusz Karyłowski T. J.*) . . 500

W rozterce. Iza Konarska 501

Melioracye rolne. Wierzbicki Aleks. (*Zet.*) 502

Podręcznik statystyki. Edward Grabowski (*Dr St. Z.*) 503

Nauka moralna Epikura. Ks. Dr Stanisław Zegarliński (*Ks. Stanisław Podoleński T. J.*) 625

O opatrzności boskiej. Ks. Ludwik Wrzol (*Ks. Ludwik Cichoń T. J.*) 627

Wielkie klęski społeczne i walka z niemi. Dr med. Alfred Sokołowski (*J. U.*) 628

De Gregorio Nazianzeno poetarum christianorum fonte. Johannes Sajdak (*Ks. prof. Wł. Szczepański T. J.*) 629

Ta, co nie zginęła... Edward Słoński (*Ks. T. Karyłowski T. J.*) . . 631

Trzy po trzy. Aleksander hr. Fredro 632

Pułk czwarty. Karol Rzepecki (*Ks. J. U.*) 632

Idea zakonna. O. Morin, Benedyktyn (*Ks. B. T. J.*) 766

Zabytki przedhistoryczne Galicyi wschodniej. Bohdan Janusz (*Dr St. Zdziarski*) 767

Dzieje Galicyi. Utworzenie Królestwa Kongresowego. Kazim Bartoszewicz (*J. Trepka*) 768

Tadeusz Kościuszko. Edmund Jezierski (*Józef Trepka*) 768

Poezya polska średniowieczna. Wilh. Bruchnalski (*Dr St. Zdziarski*) 771

Z piśmiennictw obcych.

Cursus Theolog. Oniensis. Blasio Beraza S. J. (*Ks. L. Cichoń T. J.*) 504
„Le sang nouveau". Andre Lichtenberg (*H. Skolimowska*) 507
Bajeslovne drobty z lidowych pudani. — Janeus Dunaj v ukrodni poesii ruske. — Povidky lidove o zkroceni zle zeny. Jiři Polivka (*Dr St. Zdziarski*) 509
Boccace. Henri Hauvette (*J. Trepka*) 633
La France vivante. Gabriel Hannotaux (*H. Skolimowska*) 635
„Au dessus de la mêlée". Romain Rolland (*H. Skolimowska*) . . 637
Lettres de prêtres aux armées. Victor Bucaille (*H. Skolimowska*) 639
Am Wege des Kindes. N. Fassbinder (*Józefa Merunowiczowa*) . . 641
Der Hebräerbrief. Dr Julius Graf (*Ks. Wł. Lohn T. J.*) 772
Der Messopferbegriff in den ersten zwei Jahrhunderten. Dr Johannes Brinktrine (*Ks. Wł. Lohn T. J.*) 776
Ein Glaubensheld der modernen Zeit: Contardo Ferrini. Dr Carlo Pellegrini (*H. Skolimowska*) 779
Die römische Frage. Dr Hubert Bastgen. — **Die Kundgebungen Papst Benedikts XV. zum Weltfrieden.** Dr A. Struker (*J. U.*) 781
Das Eherecht. Dr Emil Goller. — **Die Ehe im Lichte der katholischen Glaubenslehre.** Prof. Dr Jakob Bilz. — **Die Mischehe, eine ernste Pastorationsfrage.** Dr Joseph Ries (*J. U.*) 782
Die Wunder Jezu in Homilien erklärt. Dr Jakob Schäfer. — **Ein Rosenkranz ein Pilgergebet, predigten, Lesungen und Betrachtungen.** Dr Jakob Schäfer. — **Das Männerapostolat.** Dr Hermann Sträter. — **Wie Jesus predigte.** Joh. Peter von Kasteren S. J. (*R. M.*) 782
Z literatury muzycznej. Polnische Elemente in der deutschen Musik bis zur Zeit der Wiener Klassiker. Dr phil. Alicya Simon. **Geschichte der Messe.** Peter Wagner. **De musica Magistri Szydłovite.** W. Gieburowski (*Prof. Dr Adolf Chybiński*) 783

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

LIPIEC—SIERPIEŃ.

Sprawy Kościoła: Akcya stronnictwa katolickiego w nowej Polsce. – Memento w sprawie robotników sezonowych. (*Ks. J. Pawelski T. J.*) 511
Z wydawnictw katolickich. The Catholic Encyclopedia P. XIII. (*Teresa Wodzicka*) 518
Wojenne wydawnictwa Ukraińskie. (*Dr Stanisław Zdziarski*) . 523
Z wystaw szkolnych. (*ka*) 527

Strona

WRZESIEŃ—PAŹDZIERNIK.

Sprawy Kościoła: Obsadzenie stolic biskupich. — Trudne stanowisko Kościoła w Rosyi. — Kościół na Ukrainie. — Konkordat czy rozdział? — Uniwersytet w Lublinie. — Ks. Metrop. Szeptycki a celibat. — O nuneyaturę papieską w Chinach. (*Ks. J. Urban T. J.*) 644

Trzy lata działalności K. B. K. (*Ks. Romuald Moskała T. J.*) . . 657

Ze świata odkryć i wynalazków. Pismo i psychologia. Nowy sposób uczenia pisania. — Transplantacya a pokrewieństwo gatunków. — Precz z koniem! — Nowy gatunek broni. (*Ks. Feliks Hortyński T. J.*) 662

Uwagi do artykułu „Anna z Bardzkich Karwatowa" (*Palecki*) 670

LISTOPAD—GRUDZIEŃ.

Sprawy Kościoła: Przebudowa polityczna państw a Stolica Święta. Najbliższe zadanie katolików w Polsce. — Program Związku katolicko-ludowego. — Pogłębienie znajomości religii wśród inteligencyi. — Quo vadis Bohemia? — Gruzini a Kościół. (*Ks. J. Urban T. J.*) 793

Organizacya polskiej młodzieży robotniczej i wiejskiej. (*R. M.*) 801

Organizacye katolickie w Niemczech (*R. M.*) 803